PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 143.

ROK DZIESIĄTY. — TOM XL.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1893.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1893.

Errata.

Str. 289 w. 13 od góry,	zamiast:	lineacyi.	czytaj:	limacyi.
Str. 289 w podpisie,	„	*R. K.*	„	*M. K.*
Str. 345 w. 19 od góry,	„	Golicyn.	„	Galicyn.
Str. 348 w. 6 od dołu,	„	Golicyn,	„	Galicyn.

W HUCULSKICH GÓRACH.

Kiedym, lat kilka temu, bawił parę tygodni w Stanisławowie, spotykałem się raz po raz z pytaniami, wykrzyknikami:

— A znasz już nasze Pokucie?

— Jakto, nie byłeś w Dorze, nawet nie byłeś w Delatynie!?... A może i w Słobodzie Rungurskiej nie byłeś?... Ależ wybrać się tam koniecznie trzeba... Potem do Mikuliczyna, potem do Żabiego...

— To cudowna, oryginalna okolica — zaręczała i zachęcała energiczna turystka, opowiadająca z entuzyazmem przeszłoroczną swą wycieczkę na Czernąhorę. — I ludzie oryginalni, jakich gdzieindziej nie spotkać! Gdybym mogła, to co rokubym tam jeździła.

— I zwyczaje huculskie oryginalne i mało znane. Wiesz ksiądz co, nie namyślajmy się długo, a zorganizujmy małą wycieczkę, przynajmniej aż do Żabiego. Już w tem moja głowa, że nie pożałujesz.

Na razie projektowana wycieczka do skutku nie przyszła, ale nasienie padło, zwolna — całe pięć czy sześć lat — kiełkowało, aż wreszcie wydało owoc w formie jasnego postanowienia: „Trzeba na Pokucie wyjechać, Huculszczyźnie się przypatrzyć!“ I teraz wprawdzie nie było mi zupełnie jasne, jakiemi granicami to Pokucie zamknięte, gdzie huculskie królestwo zaczyna się gdzie kończy, co widzieć w niem warto, z czem zapoznać się należy; ale od czegóż — pocieszałem się naiwnie — książki,

od czegóż liczne pewnie „Przewodniki“ po uroczej tej krainie. Istotnie, podobno takie „Przewodniki“, czy „Przewodnik“, nie są tylko mitem; zapewniano mię o tem w krakowskich księgarniach odsyłając do lwowskich, zapewniano we lwowskich odsyłając do stanisławowskich, zwłaszcza do kołomyjskich; zapewniano i w Kołomyi, zalecając napowrót do Lwowa się zgłosić, doradzając usilnie, abym miasto uganiać się za jakimś niedokładnym i powierzchownym huculskim Baedeckerem, odżałował kilkanaście florenów, kupił sobie znajdujące się właśnie „na szczęście“ cztery tomy Kolberga o Pokuciu, i wędrował z niemi pod pachą przez góry i lasy. Trudno było, z niejednego względu, posłuchać tej życzliwej rady; zresztą, mógł Kolumb bez żadnych „Przewodników“ zwiedzać wielką Amerykę, mógł sam granice krajom i prowincyom naznaczać, czemuż nie moglibyśmy w podobny sposób urządzać wypraw po małem Pokuciu? Dodaje to nawet całej wycieczce pewnego uroku tajemniczości, poezyi; łechce nadzieją jakichś zbójeckich przygód, jakichś, na kolejowych szlakach tak rzadkich, tak trudnych do odszukania, awantur. A nuż uda się odkryć w tych czarnych borach, za siedmiu pagórkami, za siedmiu rzekami, nieznaną dotąd światu osadę; może od tatarskich napadów datującą kolonię; może przez słynnego Dobosza założone, przez potomków jego rządzone księstewko!...

Tymczasem zanim zaczarowany rumak przeniesie mię w to zaczarowane „carstwo“, które tak ponętnemi barwami malują mnogie „kazki“ i pieśni huculskie — leniwie ciągnący się pociąg wyrusza z dawnej stolicy halickiego królestwa, wkracza za Dniestrem w ziemię pokucką i wiedzie do dwóch rywalizujących ze sobą stolic Pokucia: Stanisławowa i Kołomyi. Które z tych miast właściwą stolicą, które pokuckim Lwowem, a które Krakowem, próżnobyś badał, ludzi i księgi pytał; Bogiem a prawdą, nic też i nikomu na tem praktycznie nie zależy. To pewna, że jak pierwsze tak drugie miasto powinnoby sobie właściwie rościć pretensyę do tytułu: stolicy żydowskiej; tylu Żydów, tak starożytnie przybranych, tak zacięcie i głośno popisujących się ze swym szwargotem, znajdziesz chyba na słynnym po świecie całym krakowskim „Kazimierzu“, na uprzywilejowanej wiedeńskiej *Judengasse*.

Tylko że tutaj nie wzięli oni jednego przedmieścia, jednej czy kilku ulic w wyłączne swe posiadanie; całe miasto zalane potopem czarnych jarmułek, długich, szarawych pończoch, podziurawionych pantofli; na rogach domów ćwiczyć się możesz raz po raz w odcyfrowywaniu hebrajskich afiszów; dodane z boku niemieckie tłumaczenie zaprasza na żydowski teatr, wzywa do bożnicy na żydowską uroczystość. W Kołomyi nawet nazwy ulic przypominają, że tutaj Żydzi rządzą i panują: zwrócisz się na prawo, to wpadniesz w ulicę Spinozy *(sic!)*; skręcisz na lewo, to masz przed sobą ulicę Berkowicza. Dlaczegóż zresztą nie mieliby i w ten sposób okazać swej niezaprzeczalnej przewagi? Przecież w Stanisławowie — jak zaręcza miejscowy obywatel — ma być, wedle ostatniego spisu ludności, o dwa tysiące więcej Żydów, niż mieszkańców wszystkich innych wyznań; o ileż dopiero musi być ich więcej w Kołomyi!

Dla ochrony chrześcijańskich interesów powstał w Stanisławowie z początkiem 1892 r. dwutygodnik: *Gazeta Stanisławowska.* Główny cel i program tego pisma streszcza się w *motto,* drukowanem tłustemi czcionkami na czele każdego numeru: „Kupujmy tylko wyroby krajowe! Wspierajmy przemysł ojczysty! Ratujmy kraj od ekonomicznego upadku! Kto popiera ziomków pracę, pomnaża własny majątek". *Gazeta* ciężkie musi staczać walki ze znacznie od siebie starszym, bo istniejącym już od ośmiu lat tygodnikiem: *Kuryer Stanisławowski,* pismem bladem, nastrojonem na silnie przestarzałą liberalno-semicką nutę, ale dość czytanem, choćby dlatego, że wielu od ośmiu lat go już czyta, i że zawsze milej mieć świeże wiadomości co tydzień, niż co dwa tygodnie. W dodatku dla zwalczenia występującego świeżo na arenę arcyniepożądanego rywala, nazwano *Gazetę* organem antysemickim; jeżeli — rozumowano nie bez pewnej słuszności i znajomości stosunków — nie padnie pod pociskiem takiego kalibru, to chyba znajduje się w posiadaniu czarnoksięskiego jakiegoś eliksiru, obdarzającego wiecznem życiem, wieczną młodością. Napróżno *Gazeta* protestuje raz po raz przeciw narzuconej sobie nazwie; napróżno stanowisko swe wyświeca. „Oświadczamy — pisze w artykule specyalnie kwestyi żydowskiej po-

święconym[1] — że antysemitami nie jesteśmy, a najmniej w kierunku religijnym. Wzywamy kupców, przemysłowców, włościan, by się ratowali i czynem to dowieść możemy. W naszem mieście wszędzie i na każdym kroku Żydzi wszystko zagarnęli, i niedawne lata jak z urąganiem wołał jeden z nich: ‚Co wy tu macie? kościół polski i ruski — zabierzcie sobie i idźcie'. My nie pójdziemy, przodkowie kościoły nasze budowali, a nasz przemysł i handel nasze mieszczaństwo, a naszą ziemię nasza szlachta i lud jeszcze utrzyma! Tego mieszczaństwa czynem, to Towarzystwo kredytowe mieszczańskie, a ci sami co *Gazetę Stanisławowską* wydają, założyli Bazar krajowy, Towarzystwo handlowe, spółkową cegielnię, budzą na każdym kroku narodowe życie!...“ Próżne tłumaczenia, naiwne wyjaśnienia! Czyż założenie Bazaru, Towarzystwa handlowego, cegielni, nie jest właśnie i na pierwszem miejscu najstraszniejszym antysemityzmem, czyż nie zabiera semitom tysięcy, które dotąd niepodzielnie do ich kieszeni wpływały?

Jakim i czyim organem jest wychodząca dwa razy na tydzień *Gazeta Kołomyjska*, pismo, jeśli tytułowi wierzyć, „poświęcone sprawom społeczno-ekonomicznym?“ Ci, których o to w Kołomyi pytałem, wzruszali ramionami, rzucali krótką uwagę: „Oh! to pismo wpływu u nas nie ma!“ i spiesznie przechodzili do innego, snać milszego sobie przedmiotu. Próbowałem i z samym redaktorem pomówić, ale próba spełzła na niczem; to do redakcyjnego lokalu dopukać się nie można było, to znowu pan wydawca i redaktor w jednej osobie, tak pochłonięty był grą w karty czy w domino, że już nietylko polski, ale kto wie czy i amerykański reporter nie musiałby z zamierzonego „interwiewu“ zrezygnować. A gdyby jeszcze spróbować, czy czego przypadkiem o *Gazecie* z samej *Gazety* nie będzie można się dowiedzieć? I to nie! Tyle tylko po kupieniu i sumiennem przestudyowaniu kilku numerów mogłem się czarno na białem przekonać, że *Gazeta* żywi pewien, nie wchodzę w to, usprawiedliwiony czy nieusprawiedliwiony rankor dla kołomyjskiego magistratu. Jeśli na tem streszcza się

[1] „Kwestya żydowska“, nr. 31, z 10 czerwca 1893.

obecnie i zasadza jej „społeczno-ekonomiczny“ program, to istotnie zakreśliła szczupłe granice swej działalności: jak na jedyny organ polski w Kołomyi, skromną jest, aż do zbytku skromną!

— A ruskie pisma? — zapytałem pokazującego mi łaskawie niektóre kołomyjskie osobliwości, starszego już wiekiem, kupca, żarliwego antysemity, ale za którego sklepową wystawą—dziwnym zbiegiem okoliczności, czy wykwitem przemyślnej dyplomacyi — błyszczał i z daleka na siebie uwagę zwracał wielki wizerunek Hirscha.

Odpowiedź nie wypadła wesoło. Dwa organa „radykalnej partyi ruskiej“: *Narod* i *Chliborob*, szerzą w stosunkowo bardzo szerokich kołach prądy „radykalne“, jak je tu nazywają, „socyalistyczne“, jakby je u nas po zachodniemu nazwano. Tylko kiedy gdzieindziej prądy te spotykają się z pewnym oporem, kiedy tam socyalistyczni przywódcy liczyć się przynajmniej muszą z ogólnem wykształceniem czytelników lub słuchaczów — to tutaj trafiają na ziemię dziewiczą, gotową przyjąć każde bez różnicy nasienie. Radykalne pisemka ruskie rozchodzą się z Kołomyi nietylko już po miasteczkach, ale i po wsiach; sieją hojną dłonią niechęć, niezadowolenie; wzbudzają w nizkich, małomiasteczkowych domkach, w drewnianych wiejskich chatach, niemożliwe do spełnienia pragnienia.

— Patrz zresztą! — ciągnął dalej mój przewodnik, wskazując na kamieniczny mur, gęsto plakatami oblepiony. — Oto pamiątki ostatniego wiecu ludowego, zwołanego na 18 czerwca, w sprawie powszechnego głosowania. Narodowość żadna skarżyć się nie może: radykalny komitet ogłasza zawsze swe odezwy i po polsku, i po rusku, i po niemiecku, i nawet po hebrajsku. Na publicznych zgromadzeniach również trzy przynajmniej pierwsze języki mają prawo obywatelstwa; czasami, co prawda, tylko ruski i niemiecki, bo tłumaczą się, że żydowscy robotnicy dobrze po polsku nie rozumieją. Mowy te, argumenty, frazesy podobne jak dwie krople wody, do mów i frazesów wypowiadanych we Lwowie lub w Krakowie; jedno, co mniej podobne, to, że tutaj starają się, i to z pewnym skutkiem starają się wciągnąć lud wiejski w koło agitacyi. Pierwszego maja prze-

mawiał za powszechnem głosowaniem ruski chłop Sandulak, i mówią, że dość sprytnie przemawiał. Nie wchodzę w to naturalnie, czy on sam mowę sobie ułożył, czy inni mu ułożyli; niechby i inni, niechby sam Bebel lub Liebknecht ją napisał; w każdym razie chłop, w chłopskim swym stroju ją wygłosił, a wieść o tem idzie od sioła do sioła i staje się najpotężniejszą agitacyjną bronią. Dawniej śpiewanoby może dumki na cześć Sandulaka, jak je śpiewano na cześć górskich opryszków; dziś dumki sobie nie wysłuży, ale kto wie, czy już nie opowiadają sobie o nim, czy opowiadać wkrótce nie będą, jakby o jakim bohaterze, po karczmach i drogach, dziś w Korniczu, Korolówce, jutro w Jabłonicy, a pojutrze w Żabiu i Krzyworówni.

Dalsze wywody przerywają wązkie, karkołomne schody, prowadzące na ratuszową wieżę, z której miał się otwierać prześliczny widok na miasto i okolicę. Istotnie warto było głowę, a już co najmniej kapelusz zaryzykować; warto zdecydować się na kilka hazardownych skoków, które dla wprawnego gimnastyka byłyby zapewne fraszką, dla kogoś, co z gimnastyką nie stał nigdy na przyjaznej stopie, wydają się czynami heroicznej odwagi. Dopiero co przeciągająca z grzmotami i błyskawicami burza spłukała ulice, wicher nie ustał jeszcze i przypuszcza do wieży coraz nowe i silniejsze szturmy, jakby ją z posad chciał wyrzucić, ale już z za gęstych chmur zaczyna słońce wyglądać, rzucać promienie na dalekie góry i lasy, otaczające miasto czarodziejskim wiankiem, ciągnie złote pręgi po prutowych falach, zagląda w okna i okienka gęsto pod stopami rozsianych domów i domków. Ma jednak racyę, obijająca się tu raz po raz o uszy kołomyjka:

Kołomyja — ne pomyja
Kołomyja misto —

Tak! Kołomyja sławne „misto“ i z pewnością „ne pomyja“ gdy z wysokiej wieży w jednym obrazie się maluje, a ulewny deszcz uniósł do Prutu i z tej nawet wysokości widoczne, piętrzące się po uliczkach i zaułkach różnobarwne i różnowoniejące pagórki; parę godzin przedtem po zaułkach tych i między pagórkami temi się błąkając, o mało co nie zadałeś kłamu ludowej pio-

sence. A i nazajutrz wczesnym porankiem, gdy czekając na „lokalkę“ przechadzasz się wzdłuż i wszerz po kołomyjskim rynku, gdy rad nierad przypatrywać się musisz, jak paru mieszkańców, wyższych nad cywilizacyjne przesądy, dopełnia tutaj publicznie swej toalety, a przerzynającą rynek kałużę przemienia w zakład kąpielowy; gdy z drugiej strony wprost naprzeciw lekko odrapanej, ale niemniej francuskim napisem imponującej fasady *Hôtel Français*, kilku nielitościwie brudnych Żydów ciśnie się koło koszyka z mięsem, do słońca mu się przygląda, palcami wytrzymałość próbuje i napowrót flegmatycznie do koszyka składa; gdy kilka innych, mniej jeszcze estetycznych i apetycznych obrazków w oku ci się odfotografuje — znów wątpić zaczynasz, znów dręcząca niepewność do umysłu ci się wkrada: „A czy też kołomyjka z prawdą się nie mija, czy nie widzi swej Kołomyi w zbyt różowem, poetycznem świetle?“

Szczęściem, pociąg łączący Kołomyję ze Słobodą Rungurską nadchodzi i niedozwala ciągnąć dalej rozpoczętego albumu. „Lokalka“ — „nasza lokalka“, jak tu wszyscy pieszczotliwie, nie bez odcienia pewnej dumy kolej nazywają — idzie sobie spokojnie środkiem miasta, dzwonkiem ostrzega przechodniów, aby z drogi się jej usuwali; dla większego bezpieczeństwa pędzi jeszcze przed nią miejski pachołek z chorągiewką pod pachą, i zbyt zadumanych nad swym geszeftem Żydków, z wyszczerzonemi oczami przypatrujących się dziwnemu zjawisku przybyłych z dalekich gór Huculów, ze szyn spędza. Przed wejściem do wagonu konduktor ostrzega, że dzięki parotygodniowym deszczom, „lokalka“ dochodzi tylko do Peczeniżyna. Bardzo dobrze! do Peczeniżyna dojechać dziś chciałem; — co potem, jak i dokąd się przedostanę, o tem dość będzie czasu myśleć i mówić w Peczeniżynie.

Już w Kołomyi założyć się śmiało można było, że w każdem drugiem usłyszanem zdaniu, w sklepach, na ulicy, w restauracyi, znajdą się wyrazy: landwerzyści, manewry, arcyksiążę Rainer; na drodze do Peczeniżyna, gdzie się właśnie w tej chwili manewry owe odbywają, stanowią one niemal wyłączne tło myśli i rozmowy. Udadzą się, czy nie udadzą, czy arcyksiążę kontent będzie, czy przyjmie śniadanie u pana Szczepanowskiego, czy nie

przyjmie; czy wróci napowrót do kołomyjskiego *Hôtel d'Europe*, gdzie od dni paru szorowano na jego intencyę podłogi, bielono ściany, wypędzano biedne pająki z najtajniejszych kryjówek; czy tam jeść będzie śniadanie, czy i obiad jeść będzie? Któż wiedzieć to może, któż zdoła czytać w księdze przyszłości? Tymczasem szybko czas leci na miłej, choć nie doprowadzającej do pozytywnych rezultatów dyskusyi; mijamy „Kąpiele w Prucie“, mijamy „Wierżbiąż niżny“ i mija się tu z nami malownicza huculska karawana, pędząca z całych sił, na drobnych swych konikach, choć nie z wiatrem, to z parą na wyścigi; mijamy „Sopów“ i „Sopów Mueller“ i „Peczeniżyn-Szczepanowski“ — i otóż jesteśmy już w samym Peczeniżynie, bez innych określeń i dodatków — w Peczeniżynie mieście.

Miasto — może urzędowa ta, kolejowa nazwa, trochę za wiele wyraża; w każdym razie jest Peczeniżyn bardzo miłem miasteczkiem, schludnem, ruchliwem. I jak ruchliwem być nie ma, kiedy tuż obok obrał sobie rezydencyę pan Szczepanowski, który z godnym podziwu uporem wmówić próbuje w Polaków i słowem i przykładem, że i u nich przemysł jest możliwy, i że byle trochę dobrej woli, z pewną dozą energii i znajomości rzeczy się połączyło, mogliby przysłowiową nędzę wygnać z Galicyi na cztery wiatry? Dziś ruchliwsze, niż zwykle. Już wczas rano spieszył, kto w Boga wierzył, do świeżo z drzewa wystawionego kościołka, gdzie spodziewano się na Mszy arcyksięcia zobaczyć; teraz kupią się jeszcze gromadki mieszczan, nad manewrami i nad arcyksięciem debatują; za godzin kilka kupić się znowu będą, aby przypatrzyć się wracającym z pola pułkom, kurzem okrytym, niemało z pewnością zmęczonym, choć wszelkich sił dokładają, aby na zewnątrz to zmęczenie jak najmniej się przebijało.

Ale swoją drogą znużeni muszą być żołnierze, oficerowie, kiedy tak obojętnie, ledwie od niechcenia okiem rzuciwszy, przechodzą obok wielkiej, rzekłbyś, fortecy, kominami najeżonej, dymem wkoło ziejącej — od największej na świecie, jak z pewną może przesadą zapewnia mnie jeden Peczeniżanin — największej przynajmniej w Austryi, jak poprawia go drugi, naftowej de-

stylarni. Wokoło Kołomyi destylarni nie brak, ale królową pomiędzy niemi jest destylarnia peczeniżyńska. Ile kominów tutaj snopy iskier w powietrze ciska; ile setek i tysięcy beczek, czystym, biało-żółtawym płynem napełnionych rozchodzi się stąd dzień po dniu na wszystkie strony świata; ile w zamian za złoty ten płyn przynosi przedsiębiorcom, fabrykantom, złotego kruszcu!? — Radbym w odpowiedzi na te pytania spisał długie, długie rzędy cyfer; kto wie nawet, czybym niemi paru kartek nie zajął, gdybym wogóle mógł je gdzie odszukać, a odszukawszy nawet, nie miał usprawiedliwionej obawy, czy czytelnik tego nawału liczb się nie zlęknie i nietylko nad naftą, ale nad całą mą wycieczką nie przejdzie do porządku dziennego. Cóż robić, poświęcono już nieraz naftowy nasz przemysł „wyższym interesom“; poświęcono go nafciarzom kaukazkim i amerykańskim, złożono w ofierze węgierskim handlarzom, o włos nie zabito go na ołtarzu nowożytnego Molocha, strasznego „fiskusu“; niechże więc wytkniętym torem i teraz w ofierze pada, literackim „wyższym interesom“ z drogi ustępuje!

Kto lubi jeździć z nieustannem pytaniem na ustach: wywrócę się, czy się nie wywrócę? skąpię się, czy się nie skąpię? — ten niech nie dojeżdża koleją do Słobody, ale puści się z Peczeniżyna drogą kołową, dokładniej byłoby powiedzieć wodną, bo przez wodę, przez górski strumień, dość w tej chwili bystry i szeroko rozlany, przeprawiać się trzeba nieskończoną liczbę razy. Dla dodania animuszu opowiada mi towarzysz doli i niedoli, peczeniżyńsko-rungurski proboszcz, a organizator tej wycieczki, różne przygody, które zimą i latem tu mu się trafiały; jak konie iść nie chciały lub koło się złamało, jak do wózka pełno wody się nalało, jak zziębnięty, zmoczony, pieszo brnąć musiał przez śniegi, błota, potoki. Miłe i pokrzepiające wspomnienie! — dobrze, że już w bok nieco skręcamy, i ukryta dotąd, wynurza się w całej swej okazałości, galicyjska Pensylwania, galicyjskie Baku, mówiąc bez przenośni, słynna Słoboda Rungurska. Oryginalna to osada; mimowoli na pierwszy już rzut oka przychodzi na myśl Ameryka, jej miasta powstające z błyskawiczną szybkością wśród dziewiczych lasów, złożone raczej

i prędzej z fabrycznych kominów, niż z mieszkalnych domów. Dołem płynie strumień, poprzecinany kilku kładkami, bo o mostach myśleć niema czasu, niema interesu. Ku strumieniowi nachylają się lekko z obu stron w mnóstwo nieforemnych wypukłości wyrzeźbione wzgórza, zajmujące kilkudziesięciomorgową przestrzeń: na nich las kilkuset wież wiertniczych; tuż za niemi, wciska się między wieże, rywalizować czasem próbuje ze szumem maszyn, ze zgrzytem pił, dziewiczy bór, rozciągający się daleko, daleko jak okiem sięgnie. Do lasu przypierają, na stokach gór malowniczo rozpościerają się pańskie wille, szlacheckie dworki, ubogie chałupki — szałase; umieściły się gdzie i jak mogły, gdzie trochę miejsca wolnego zostało. Za jedną z najgustowniejszych will wynurza się z leśnej zieleni mała, ale miła kapliczka; krzyż na wieżyczce błyska i błogosławi temu nieprzerwanemu ruchowi, tej ciągłej pracy, która u jego stóp razem z wijącym się tam potokiem, niedawno temu wzbierającym, rozszalałym, teraz spokojniej, ciszej toczącym swe nurty, wciąż płynie i płynie...

Wieczorem, gdy po stromych, światłem księżycowem zalanych ścieżkach wspinasz się od jednej wieży do drugiej, aż dziwnie, jak wygląda tu samotnie, pusto. Tylko jednostajny, przygłuszony jęk maszyn, tylko czasem głośniejsze ostrzeżenie czy nawoływanie: „Hej, hej!“ — tylko snopy iskier w górę strzelające ostrzegają, że to nie jakieś zaklęte miasto umarłych, o którego istnieniu świadczą jedynie nagie, w wieczornym zmroku straszliwe kształty przybierające szkielety dawnych baszt i wieżyc, lecz przeciwnie, że tu wszystko wre, pracuje, żyje. Tak niedawno jeszcze temu panował tu las samowładnie, niepodzielnie; dziś ustąpić nieco musiał, ale wszędzie, na każdym kroku zostawił ślady długoletnich swych rządów i czeka cierpliwie, pewny, że ostatecznie zwycięży i wypędzi najeźdźców.

Myśl, hukiem maszyn, szumem lasów ukołysana, cofa się mimowoli w ubiegłe lata, przechodzi krótką, a tak ważącą w dziejach ubogiego naszego przemysłu, historyę Słobody. Od lat kilkudziesięciu szukano tu nafty, znajdowano potrosze i z kolei zniechęcano się do dalszych poszukiwań; wreszcie w r. 1880 znalazł się pio-

nier, odważny i gorący jak Polak prawdziwy, wytrwały jak mieszkaniec Anglii, w której uczył się i ćwiczył, i umiejętnie, po angielsku, zabrał się do dzieła, do szukania bogactw, zakopanych w Słobodzie. Od chwili wystąpienia tego pioniera naszego przemysłu, Stanisława Szczepanowskiego, datuje era rozwoju galicyjskiej Pensylwanii. Nieszczęściem, polskie kapitały nie śmiały, czy nie mogły, udzielić rozwiniętemu od razu na wielką skalę przedsiębiorstwu dostatecznego poparcia; chętnie, czy niechętnie zwrócić się trzeba było do zagranicy i dozwolić cudzoziemcom czerpać pełnemi dłoniami w otwierających się skarbach. Przybyły bez szeląga przy duszy Mac Garvey, który pierwszy zastosował, nieznany dotąd i głęboką tajemnicą okryty, system kanadyjskich, głębokich wierceń, został niebawem wielomilionowym panem; inni, licznemi gromadkami ściągani i ściągający się do kraju naftą płynącego, Kanadyjczycy, Francuzi, Anglicy, opuszczali go po kilku latach z trzosem obficie naładowanym; jeżeli który zbankrutował, to chyba dlatego, że nadludzkich starań dokładał, aby grosza w kieszeni nie utrzymać.

Nafta tryskała wszystkiemi porami, lała się strumieniami; zdawało się, nie wszystkim, ale jednak zbyt wielu, że tak lać się będzie bez przerwy i końca. Więc po cóż zbierać, po co oszczędzać, po co rachować się z wymaganiami jakiejkolwiek racyonalnej gospodarki; płynie złoto, niech odpływa! Odpływało też w szybkiem tempie; droga od Kołomyi do Słobody roiła się od fur zwożących drogie wina, koniaki, delikatesy, któremi nafciarze krzepili się po pracy; tańce, hulanki, swawola szły w parze z otrzymanemi zyskami; bywało, że wydostawały się na pierwsze miejsce w szalonych tych wyścigach.

— Co to teraz Słoboda? — pyta i opowiada z zapałem jeden z łaskawych na mnie nafciarzy, oprowadzając po kopalni, wtajemniczając w labirynt przeróżnych rur, zbiorników, świdrów, pomp, których nazwy i szczegółowe przeznaczenie napróżno staram się sobie w pamięci utrwalić. — Kiedy podatki nas nie cisnęły, kiedy nafta jak górski potok po deszczach pędziła, to wtedy była prawdziwa Słoboda, warto było do niej przyjechać, przypatrzyć się temu kipiącemu życiu, które wszystkiemi brze-

gami się przelewało. Dziś zyski bardziej uregulowane, stosunkowo skromne, więc i życie skromniejsze. Jeszcze pięć lat temu było tu około 5000 ludzi, dziś niema więcej nad tysiąc; któż odgadnąć zdoła, wielu za lat kilka zostanie? Prawda, i dziś wzbogacić się można, a kto nie ma pretensyi zostać w paru dniach Krezusem, aby później przez parę miesięcy żyć po krezusowsku, ten i dziś ma tu przed sobą bardzo piękne pole do pracy. Ot, ten np. szyb na prawo daje od nie wiedzieć wielu lat ośm beczek dziennie; zawsze to kawałek chleba. Tamten wyżej, dawał przez pewien czas po 150 beczek; teraz ledwie kilka, parę beczek z niego wydobędziesz; tamten i tamten znowu zupełnie już wyschły. Oczywiście, jak w każdym interesie, tak i tu poprzestać nie można na spokojnem pompowaniu ropy z otwartych już studni; trzeba nowe wyświdrowywać, a to grube pieniądze kosztuje, mniej więcej do 6000 złr.; duże pieniądze a większe jeszcze ryzyko, większe bodaj niż w karty. Znajdziesz obfitą żyłę, twoje szczęście; nie znajdziesz, toś po prostu pieniądze zakopał, i płacz, włosy sobie wyrywaj, nie odkopiesz już ich bratku!

Strudzony ciężką robotą „wiertacz“, starszy już człowiek, który ma za sobą długi szereg lat spędzonych w Słobodzie, zna jej historyę z własnego doświadczenia, niejednemu groźnemu wypadkowi się przypatrzył, z niejednego, rzecby można, cudem uszedł; opowiada różne wesołe a częściej smutne zdarzenia, których naocznym był świadkiem, wyjaśnia stosunki pracy i płacy. Praca trwa dzień i noc, wyjąwszy niedziel i świąt; w sobotę wiercenie ustaje już na pół godziny przed północą, tak, że kiedy północ wybije, głęboka, prawdziwie świąteczna cisza zalega kopalnię. Pompowanie odbywa się bez przerwy, bo bez wielkiej straty pieniężnej przerwaćby go się nie dało, ale wymaga też ono nie właściwej pracy, lecz co najwięcej, pewnego dozoru. Szychta trwa dwanaście godzin bez przerwy; kęs to czasu i nie bardzo nogi i ręce czujesz, kiedy do końca dociąga, ale też i zarobek nie bardzo znów zły. Majster wierciarski ma do 60 złr. miesięcznie; pomocnik do 30, najmniej i w najgor-

szym razie 25 złr. Kto oszczędnie żyje, ten może za to już wyżyć, a nawet i jaki taki grosz odłożyć sobie na ciężką chwilę.

Gwiazdy mrugały już od paru kwadransów na firmamencie — aby wyrazić się poetycznie, jak w tej chwili widok ich i prześliczny ciepły wieczór mię nastrajał — kiedy skończywszy zajmującą wędrówkę po kopalni, przechodziłem furtkę wiodącą do ogródka, następnie do dworku znanych szeroko w Słobodzie, w Peczeniżynie, i aż het po Kołomyję, po Majdan, Nadwórnę, znanych i kochanych, z polskiej swej, w najszerszem tego słowa znaczeniu, gościnności, państwa Mościckich. W Peczeniżynie, gdzie wczoraj dopiero poznałem pana Mościckiego, musiałem mu uroczyście i przy świadkach dać rękę, że choć on „chłop, chłop prosty i basta!“ — w Słobodzie wprost do niego zajadę, tem bardziej, że święcić się właśnie będzie w jego „chałupie“ domowa uroczystość, imieniny najstarszej córki, i pewnie kilku nafciarzy, kilku poczciwych „gadów“, których poznać warto, do kolegi się zjedzie. Istotnie w ogródku, w dworku rojno i gwarno; zjechali się już z najodleglejszych zakątków nafciarskiego królestwa starzy przyjaciele, starzy i młodzi towarzysze broni; przybywają zwolna Słobodczanie; tworzą się grupy i gromadki, a do którejbądź się zbliżysz, z góry już założyć się możesz, że jak gdzieindziej panowie mówią o rzepaku i oziminie, panie o modach, o teatrze, o ostatniej powieści w paryskiej *Révue* — tak tu pierwszym i ostatnim wyrazem każdego frazesu jest: ropa i nafta, nafta i ropa.

Myślałby kto może, że profana nudzić to musi! Otóż zupełnie przeciwnie: takie nowe, nieznane, nafciane światy przed nim się otwierają; tyle dowiaduje się niezmiernie zaciekawiających szczegółów, rzucających nowe, jasne światło na cały galicyjski przemysł, że jeśli kiedy rozmowa od nafty odbiegnie, sam usiłuje wprowadzić ją na dawne tory, i żałuje tylko, że nie może wszystkiego pojąć i spamiętać; żałuje, że nie ma przy sobie miniaturowego aparatu fotograficznego, aby pochwycić ukradkiem różnorodne charakterystyczne typy obradujących nafciarzów.

Ciekawaby to była książka, gdyby każdy z nich zechciał

opowiedzieć swe dzieje, przygody, które napotkał, trudności, z któremi walczył. Ten bez grosza przed latami tu przybył, pracował ciężko, aż własnemi rękami, na których pozostały ślady długoletnich mozołów, dobił się majątku, znaczenia; tamten parę już razy był na przemian możnym panem i biednym chudakiem, ale rąk nigdy nie opuścił i znowu, po trzeci, po czwarty raz na wierzch się wybił; dowcipny, młody jego sąsiad, odziedziczył po ojcu interes naftowy, i prowadzi go wesoło, biedy nie zaznał — pytanie, czy jej kiedy nie zazna; obok również młody, zaoceański przemysłowiec, czasem ledwie parę niemieckich słów rzuci, ale choć mało mówi, często kielichem się trąca, a po twarzy mu widać, jak pragnie odgadnąć, co współbiesiadnicy między sobą gwarzą, jak przy wznoszonych toastach złowić usiłuje kilka znajomych sobie dźwięków, za ich pomocą innych się domyśleć; tam wreszcie naprzeciw, wkradł się w grono nafciarzów skromny, spokojny zarządca lasów: anibyś się domyślił, że to dawny powstaniec, że i dziś, gdy na koń wsiędzie, z wichrami się goni.

Charakterystyczne postacie; niemniej charakterystyczna i ciekawa rozmowa i obecnie przy akompaniamencie wciąż uderzanych o siebie kielichów, i nazajutrz w ogrodowej altance przy akompaniamencie dzień cały kropiącego deszczyku, i trzeciego dnia wreszcie na wózeczku, sfabrykowanym prawdopodobnie pierwotnie dla lalek lub dla niemowląt, a którym poważny majdański nafciarz, przez góry, przez jary odwozi mię do Delatyna. Prawdziwie przez góry i jary, bo dzięki grzeczności jednego z zarządców tych niekończących się leśnych obszarów, liliputowy nasz wózek nie potrzebuje zakreślać szerokiego koła wytyczonego publicznym gościńcem, lecz przecina wprost kameralne bory, osobną, zwykłym śmiertelnikom niedostępną drogą. Zbudowano ją przed paru laty, kiedy minister Falkenhaym zwiedzał te puszcze bez końca, oddane swemu zarządowi; puszcze, w których ministerska noga stanęła bodaj! po raz pierwszy od stworzenia świata; zbudowano, a co więcej szczęśliwie zachowano, jako trwały pomnik nadzwyczajnego tego zdarzenia, stanowiącego epokę w dziejach Huculszczyzny. Pięknie tu, ma-

lowniczo, ale próżno kusiłbyś się tędy konika pokierować, gdybyś nie miał w ręku olbrzymiego, do armaty raczej niż do innego jakiegoś narzędzia podobnego klucza, który otwiera gęsto rozrzucone, szczelnie zatarasowujące drogę, rogatki. I z kluczem nie zawsze łatwa sprawa; żelazo syczy i zgrzyta, czasem nieledwie iskry się zeń nie sypią pod wytężeniem herkulesowej dłoni mego towarzysza, a oporny zamek, wygodnie we rdzy się kąpiąc, ruszyć się nie łaskaw. Nakoniec poruszył się, rogatka się podnosi; męcz się teraz, aby ją zamknąć; wysilaj się po paru kilometrach, aby następną otworzyć; podtrzymuj wózek, aby nie utonął w czyhającem nań zdradliwie z boku błotnistem jeziorku.

Drobne przygody i przeszkody nie psują nam humoru; wynieśliśmy go zbyt sporą dozę z tryskającego swojską, rodzimą wesołością domu państwa Mościckich. Pan Brzozowski — aby przestać wreszcie w zawsze niemiłe anonimy się bawić — zna tu każdą dróżkę, zna cały ten kraj, jak własnych swych pięć palców; każdą też wieś, każdą osadę z kolei wskazuje, nazywa: „Tu Osław Czarny, tam Biały; dalej w bok „Potok Czarny, z drugiej strony Jaworowa"...; o każdej umie pewne ciekawe szczegóły opowiedzieć, charakteryzuje ogólne wady i zalety Huculów, cytuje poszczególne fakta dla wyraźniejszego uwydatnienia kreślonych przez siebie obrazków.

Obrazki te, niestety! jak wszyscy je tu malują, nie bardzo jasne, nie bardzo pociągające; tem smutniejsze, im piękniejsza przyroda ram im dostarcza. Skąd Huculi w tych stronach się wzięli i zajęli południowy kąt Pokucia; jakie narodowości zlały się na utworzenie odrębnego tego, tak mało dotąd znanego szczepu; z pomieszania jakich i jak różnorodnych języków wyrobiła się dzisiejsza ich gwara? — Wszystkie te i mnóstwo innych pytań w znacznej części dotąd nie rozstrzygnięte, a raczej tak rozmaicie, z tak różnego punktu widzenia rozstrzygane, że bez głębszych i dłuższych studyów, byłoby oryginalną pretensyą chcieć samemu sąd jakiś wydać, na tę lub na tamtą stronę się przechylić. To pewna, że kąt ten z samej natury geograficznego swego położenia był od wieków od reszty świata prawdziwie

deskami zabity; kto wśród gór tych zamieszkał, ten nie potrzebował wiedzieć i często nie wiedział, czy poza górami, których szczyty na widnokręgu się rysowały, są dalej inne jakie kraje, czy mieszkają tam inni ludzie; nie wiedział, a tem mniej o nim wiedziano. Więc kto grubszego co zawinił na polskiej, czy na węgierskiej stronie, na Wołoszy, czasem i w Niemczech dalekich; kto lękał się ludzkiej zemsty lub sprawiedliwości; komu pokoju nie dawała żyłka awantur, w piersiach grała żądza krwi, rozboju — szedł w te góry, pewny bezkarności, bezpieczny, że nikt tu nad nim przewodzić nie będzie; trochę rozbijał, jeśli i kiedy do tego sposobność się nadarzyła; trochę rolę uprawiał i bydło hodował; nieraz za młodu z opryszkami się bratał, a później jako poważny i poważany gazda, żył spokojnie w siole i „srokowce“, talary składał do kabzy. Dziś dawni „mołodźce“, postrach siejący opryszki znikli z widowni; ale wiele z dawnych, wiekami przechowywanych nawyknień, tradycyj pozostało we krwi i obyczajach i pokutuje po staremu w ciągnących się w nieskończoność siołach, na połoninach szerokich, w borach głębokich.

Jakże moralność ma kwitnąć, kiedy Hucuł, Hucułka, „łegin“ [1], „donia“ ubogiego czy nieraz i „bohacza“, wybiera się z bydełkiem, z „marzyną“ wczesną już wiosną na zielone, pachnące połoniny i jesienią dopiero na doliny wraca. Jedynie Bóg i sumienie stawićby mogło zaporę pokusom, cisnącym się bez przeszkody, a na nieszczęście ten pasterz, pasterka, ledwie że co wie o Bogu, o sumieniu, przez większą część roku nie może nawet pomyśleć o wstąpieniu do cerkwi; a i wtedy, kiedy do niej wstąpi, zbyt często żegna się tylko machinalnie, wybija pokłony i szepcze, widocznie nie myśląc o ich treści, wyuczone mechanicznie na pamięć pacierze. Samo nawet pojęcie moralności rozluźnione do najwyższego stopnia; obowiązek wierności małżeńskiej zredukowany w praktyce do granic, do których gdzieindziej dochodzą zaledwie stołeczne „pół-światki“. Mówi z goryczą o strasznej tej chorobie, co duszę niszczy i ciało pożera, i ksiądz i lekarz i turysta; wydają się z nią bez długich cere-

[1] Parobek.

monij sami Huculi w niedwuznacznych żartach, opowiadaniach o „lubasach", „lubaskach"; poświadczają jej istnienie mnogie swawolne piosnki i piosneczki, z ust do ust podawane kazki i bajki, których może i Kochanowski zawahałby się między „Fraszkami" umieścić, może i Rej wstydziłby się podpisać.

Do usunięcia tej zarazy nie przyczyniają się pewnie rozstawione gęsto po wszystkich drogach, wyrastające wszędzie, gdzie tylko kilka chałup, kilka szałasów razem stanęło, żydowskie karczmy. Niewiele karczma taka od zwyczajnej chałupy się różni; równie mała, równie brudna; poznasz ją tylko po zawalonem słomą i błotem podsieniu; po szyldzie, na którym po niemiecku wypisane imię właściciela, np.: *Ausschank des D. Wildhoren*, lub pociągające na kolejowych robotników obliczone godło, dajmy na to: *Zum lustigen Italiener;* bywa, choć rzadziej, że błyśnie i polskiemi literami koszlawo nakreślony napis: „Restauracya italiańska". Wewnątrz niemniej brudno, na ścianie portret Hirscha, obok szynkwas z butelkami napełnionemi nie wódką, lecz chyba witryolem, po którym pływają żółtawe zioła, mające owemu witryolowi dodać jeszcze mocy i krzepiącej huculskie gardło goryczki. O wino próżnobyś się dopytywał; zamiast piwa, podadzą ci jakiś stęchły, ze słomy prawdopodobnie i z siana przyrządzony, kolorem istotnie do piwa zbliżony napój; za to witryolowa wódka wszechwładnie się rozpiera i samym swym widokiem pobudza licznie zgromadzonych Hucułów i Huculki do wdzięcznego uśmiechu. I Żyd się uśmiecha, figluje z miłymi gośćmi, pozwala łaskawie za pejsy się chwytać, a sam w policzki ich szczypie, gawędzi z chłopem po rusku, z surdutowym gościem i wogóle z Polakiem po niemiecku, z włoskim robotnikiem w im obu tylko zrozumiałej gwarze, a wszystkim kieliszek ze śmierdzącym, żółtawym płynem podsunąć usiłuje.

Niedarmo karczmarz, karczma zajmują tyle miejsca w huculskich śpiewach; niemniej zajmują go w życiu. Pyta piosnka [1]:

Szczo-ż ty pysznesz (poczniesz) aryndariu,
Jak ne budem pyty?

Odgraża się hardo:

[1] Kolberg, „Pokucie", t. II, nr. 445.

Perestanesz krasno jisty,
Choroszo chodyty...
Budesz u nas mołotyty,
Żinka szmatie praty,
A żydyki nychlujnyki
Svyni zawyrtaty...
Izjicz czorta, psieczyj synu,
Parcho borodatyj,
Ny pohlanu na smyrdiuchu,
Ni do twoji chaty.

Odgraża się, opowiada z lubością, jak chwaccy kozacy rzucili szynkarkę w rzekę głęboką; maluje barwnie skutki pijaństwa, do którego ciągną niegodziwe Żydy; lamentować każe wykułakowanym przez pijanicę „po bokach, po szczekach“ żonie i dzieciom; ale niemniej żona, choć przeczuwa, że „bude mene muż mij byty“, ciągnie do karczmy, do Żyda; ciągnie mąż, ciągną dzieci, i wracają wszyscy „iz korczmońki“ pijaniusieńcy A cóż dopiero, kiedy wesołe jakie, czy smutne zdarzenie wyrwie Hucuła z codziennego trybu życia; kiedy jarmark, prażnik, pogrzebowa stypa, lub weselna uczta nęci i prosi: „Pij biedaku! tyle twego co wypijesz!“ Za silna to pokusa i oprzeć się jej niepodobna; wypić, a i podpić sobie trzeba przy kupnie, przy sprzedaży, na „mohorycz“; przy weselu, przy chrzcinach na szczęście; przy pogrzebie na pocieszenie. Któżby tam uważał, że przy tej pijatyce najserdeczniejsi przyjaciele rzucają się na siebie z pięściami wyciągniętemi i wzajemnie sobie życzą: „Bodaj ci oczy wylazły“ — „bodajbyś konał i nigdy nie skonał!“; któżby brał zbyt na seryo, że czasem przy wynikłych bitkach jeden drugiemu kość nadwyręży, oko podbije lub wybije; że czasem w parę dni po takiej bitce trzeba o pogrzebie myśleć. O wypadek nietrudno, a że nieszczęściem wypadek wydarzył się właśnie w karczmie, utrzymywanej przez jednego z Mojżeszów, Chajmów, Izaaków, czyż i cóż oni temu winni?

Pohulanki, pijatyka, uprzywilejowany przybytek pijatyk i pohulanek: żydowska karczma, nie przyczyniają się oczywiście do podniesienia tak moralnego poziomu, jak materyalnego dobrobytu. Niedawne jeszcze czasy, kiedy „bohacz“, co garncami mierzył srokowce i talary, a setkami wyganiał bydło na poło-

niny, rzadkością nie był; dziś znajdziesz jeszcze kilku gazdów prawdziwie zamożnych, których majątek cenią na kilkadziesiąt tysięcy florenów, ale to wyjątki, które można na palcach wyliczyć. Niezmierne obszary, zajęte dawniej przez Hucułów, dziś stały się już w pewnej części własnością Żydów. Zdarzały się wypadki, że przemyślny Żyd brał bogatego, podeszłego w latach Hucuła na całkowite utrzymanie; dostarczał mu przez lat parę niedrogich zresztą przysmaków i napojów, ile zażądał, a rozpiwszy biedaka i ułatwiwszy mu w ten sposób szybszą drogę do śmierci, zagarniał w posiadanie, mocą zawartej poprzednio urzędowej umowy, cały jego majątek. „U nas — słychać raz po raz z ust najpoważniejszych, najlepiej lud huculski znających i dolą jego najgorliwiej się zajmujących księży, urzędników — u nas niepodobna nie być do pewnego stopnia antysemitą; nie wchodzimy w to, co jest i jak być powinno gdzieindziej, ale dla Huculszczyzny równouprawnienie Żydów stało się prawdziwie śmiertelnym ciosem. Odtąd datuje się pod każdym względem coraz szybszy upadek naszego ludu; dziś wypędzony on już w wielkiej części z swych pastwisk, z swych domów; jeżeli w tem samem tempie pójdzie jeszcze przez lat kilkanaście, to Huculszczyzna stanie się po prostu żydowskiem królestwem, dumni niegdyś z swej niezawisłości Huculi, będą bez wyjątku niewolnikami żydowskimi. Czy tak długo potrwa, czy krew Doboszów, Drahyruków nie odezwie się wtedy o swe prawa? Bóg jeden wie. To pewna, że dziś Huculi z dniem każdym staczają się i staczają na dół; że zdawaćby się mogło, jakby na zagubę byli przeznaczeni. A przecie piękny to lud, z otwartą głową i sercem, bogato od Boga uposażony, który mógłby, który powinienby innemi iść kolejami“...

Kto bronić ma piękne, malownicze sioła huculskie przed ciemną tą przyszłością, dajmy na to, że trochę pesymistycznie, ale w głównych zarysach z pewnością prawdziwie i wiernie odmalowaną? Rzecz prosta, jedynie zdrowa, rozumna, na wierze oparta i z niej płynąca oświata, która pouczyłaby Hucuła o prawdziwych jego interesach, dała mu broń do walki z nieprzyjaciółmi jego duszy, zdrowia i mienia: z pijaństwem, rozpustą,

lenistwem. A tę oświatę kto ma szerzyć, czy i kto ją szerzy? Starsza, szlachecka brać w rachubę nie wchodzi, tak jej tu mało; a i to, co słyszeć się daje o wpływie wywieranym przez jeden np. z rzadkich dworów, w górach gdzieś zakopanych, za innemi, za liczniejszemi tęsknoty nie budzi. Następcy dawnych mandataryuszów, pisarze gminni, niższi urzędnicy gospodarujący w kameralnych dobrach, nie mają również, i z natury rzeczy, ogółem wziąwszy, mieć nie mogą opinii ludzi, którzyby sobie wzięli za zadanie szerzyć cywilizacyę, stawać do rycerskiej walki w obronie moralnych, czy materyalnych interesów mieszkańców siół i przysiółków. Pozostaje szkoła i cerkiew; — cerkiew, bo łacińskie kościoły znajdują się w większych tylko miasteczkach i tak od siebie są oddalone, że proboszcz mimo najlepszej woli, zaledwie jest w stanie zadośćuczynić najgwałtowniejszym potrzebom swych parafian; o bliższem poznaniu, gruntowniejszem pouczeniu tu i ówdzie wśród unickiej ludności zabłąkanych owieczek, ani marzyć mu niepodobna. A szkoła, a cerkiew, czy i jak spełniać mogą, spełniają swe zadanie? Ani wątpić, że i nauczyciele i ruscy księża pragną spełniać je jak najlepiej; nieszczęściem nie sama tylko dobra wola ma tu swe słowo do wypowiedzenia. Szkoła daleko, dzieci w lecie na połoninach zajęte przy bydle, w zimie nieprzebytemi zaspami od reszty świata odcięte, nie mają możności, gdy mają możność to nie mają czasu do niej uczęszczać, i wyrastają pół-dziko, zahartowane do przyszłych trudów przez jedynych, prawdziwych swych mistrzów i dozorców: deszcz ulewny, słońce palące, zaledwie domyślając się, że jakieś litery na świecie istnieją, zaledwie, jak przez mgłę wiedząc, że nad borami, nad górami króluje jakiś potężny Pan, którego uświęconą formułką wspomnieć trzeba, gdy mijasz znajomego, nieznajomego, któremu parę razy do roku wybić trzeba w cerkwi pewną liczbę pokłonów. Parę, kilka razy do roku, bo i cerkiew daleko; bo znowu latem trudno bydełko bez opieki zostawić, zimą niełatwo się do niej przez śnieżne góry przekopać. I tak lata mijają, dzieci zmieniają się w młodzieńców, starców; ale o Bogu, wierze, nakazanej przez nią moralności, nie mają o wiele lepszego pojęcia,

jak miały je wtedy, gdy małemi niemowlętami przyniesiono je do chrztu, do cerkwi, i to głośno płakały, to znów otwierały jak mogły najszerzej oczka i buzie, wyciągały rączki do niebieskich i różowych Aniołków, purpurowych i szafirowych Świętych.

Nadzwyczaj niedokładna i powierzchowna znajomość prawd katechizmowych, pociąga za sobą naturalnie wytworzenie jakby nowego jakiegoś, z pokolenia na pokolenie przechodzącego i strzeżonego z niezmierną troskliwością katechizmu, na który składają się tysiączne gusła, zabobony, przesądy. Gdzie stąpisz, tam, wedle opowiadań i wyobrażeń Hucuła, otaczają cię gęste zastępy wiedźm, upiorów, upiorzyc. Posucha czy deszcze, głód czy zaraza: zawsze ostatecznie winna „wig'ma“ (wiedźma), „opyr“ (upior), czarownik lub czarownica; o to tylko chodzi, aby umieć przeciw sztuczkom ich się bronić i znaleść sobie znahora lub znahorkę, którzy za odpowiednią zapłatę, zaklęliby upiory, pokonaliby wiedźmy przeklęte i zmusili je do ucieczki. Nie zamierzchłe to jakieś, starożytne, średniowieczne dzieje, lecz najnowsze, dzisiejsze. Przed kilkudziesięciu jeszcze latami pławiono w Mikuliczynie podejrzane o szkodzenie ludziom czarownice; w Kosmaczu spalono w r. 1827 kilka czarownic na cierniowym ogniu; r. 1880 urząd gminny w Nazurnie i Dobrowódce nakazał z urzędu wpędzić do wody wszystkie dziewczyny i kobiety dla sprowadzenia deszczu; kilka lat przedtem wójt wsi Dziurkowa zarządził pławienie wszystkich, juryzdykcyi swej podległych kobiet, w celu odkrycia czarownicy, sprowadzającej długotrwałą posuchę [1]. Po dziś dzień istnieją i profesyę swą na szeroką skalę wykonywają znahorzy i znahorki, wróże i wróżki. Znają oni sztukę zaklinania wężów; umieją sprowadzić na nieprzyjaciół najstraszniejsze choroby; umieją też, w razie potrzeby, choroby te leczyć: tabaką, jęczmieniem, cybulą, białkiem święconem, pajęczyną, kociem sadłem; gdy wyrzekną pewne tajemnicze wyrazy, miłość w sercu wzbudzą lub w najzaciętszą nienawiść ją przemienią; czytają w przyszłości, jak w otwartej księdze, — a biada, po trzykroć biada temu, kto się na gniew ich narazi!...

[1] Por. Kolberg, t. II. i III.

Na interesującej pogadance o Huculach, o zwyczajach i ich obyczajach, czas płynie tak prędko, że ze zdziwieniem widzę przed sobą kilka brudnych, żydowskich ruder, pierwszych zwiastunów żydowskiego miasteczka. Czyżby to już miał być Delatyn? Tak niestety! — Niestety! tu rozchodzi mi się droga z dotychczasowym miłym towarzyszem podróży; on, tęgiemi swemi rumakami pomknie z wichrami na północ, ku Majdanowi, aż tuż przed Majdanem ugrzęźnie w wieczystych błotach; ja, żydowską podwodą pociągnę na południe, ku Dorze, ku Mikuliczynowi. Rozłączyć się trzeba, ale przedtem jeszcze wspaniała uczta, poetyczna, bo urządzona na miękkiej murawie, nad brzegiem wartkiego ruczaju, a przy tej poezyi niemniej pozytywna, ze względu na wagę i liczbę najrozmaitszych przysmaków, któremi rungurscy gospodarze obładowali nasz wózek. I uczcie już koniec, koniec toastom. Ostatni wznosimy na cześć tych naszych gospodarzy, na cześć serdecznej, polskiej gościnności — i „do widzenia!“ Czy tylko naprawdę, czy tu jeszcze na ziemi, czy i gdzie: „do widzenia?!“... Ha! któż wiedzieć i powiedzieć może, czy spotkam się gdzie, kiedy, z tą prutową falą, co teraz tak szybko z przed oczu ucieka?

Lat temu przeszło sześćdziesiąt, stał, na tem samem może miejscu, młody wówczas, pełen życia, nadziei poeta, późniejszy wielki misyonarz, Karol Antoniewicz, i również gonił wzrokiem prutowe fale i prosił i pytał [1]:

Ach, tylko chwilkę, jednę chwilkę w biegu
Chciejcie się wstrzymać me fale ojczyste...
Tutaj na brzegu rosną barwne zioła,
Tutaj na brzegu igrają motyle!
Któż na was czeka? Mówcie, któż was woła,
Że się nie chcecie wstrzymać ani chwilę?

Patrzył na rozścielający się u stóp Delatyn, „prześliczne miasteczko“, i żałość mu w sercu wzbierała, że dalej iść musi [2]:

I jak po gałązkach fruwają ptaszyny
Na skały się wspinać, omijać doliny:

[1] „Poezye ks. K. Antoniewicza“. W Krakowie 1861. „Prut“, str. 210 np.
[2] *Der Ausflug in die Karpathen.* Liederkranz. Wien 1829: „Delatyn“.

Choć w duszy tęsknota, choć serce się żali,
Pielgrzymie nie pytaj, idź dalej i dalej.

W pogodę iść dalej — zgoda na to; w ulewny deszcz, już nie iść, ale i jechać mniej przyjemnie, a właśnie tuż za Delatynem czarne chmury zakryły góry i lasy, z poza gór odezwały się grzmoty, a strugi wody płynęły z niebios, płynęły, jakby kto cały Prut przewrócił dnem do góry i na obłokach osadził. Wprawdzie i Antoniewicza spotkała tu niegdyś burza i opisał on ją nawet bardzo pięknym szylerowskim wierszem [1]; ale Bogiem a prawdą, słaba to dość pociecha i chętniebym zrezygnował z tego skądinąd arcyzaszczytnego podobieństwa, tem bardziej, że biedna, zlana deszczem głowa, nie ma najmniejszej ochoty myśleć o polskich nawet, a cóż dopiero o niemieckich rymach. Pociecha tem słabsza, że olbrzymi ów wodospad, w jaki cały widnokrąg się przemienił, nie dozwala mi dotrzeć do opiewanego również przez Antoniewicza wodospadu w Dorze. Dzisiaj ten wodospad to cień dawnego; drwale, szybszego zysku chciwi, rozsadzili prochem górne jego piętra, wezbrane fale prutowe rozniosły wydrążenie w skale, w które woda spadając wydawać miała prześliczne dźwięki, odgrywać syrenie jakieś pieśni, nęcące z niepowstrzymaną siłą przechodniów ku swym toniom. Ale i dzisiaj, — zapewnia poważny unicki proboszcz, który po starosłowiańsku otwarł serce swe i chatę na przybycie, mniejsza o to, że nieznanego, dość że zmoczonego gościa — i dzisiaj warto wodospad zwiedzić; zdrowo i miło przyjechać, śladem coraz liczniejszych lwowskich zwłaszcza gości, na parę tygodni wypoczynku do zacisznej, do uroczej Dory!

Na boku zostawiamy niewielką wioskę Pasieczną, w której Antoniewicz nasz przebył letnie miesiące 1847 r. i w listach swych tyle rzewnych, serdecznych ustępów jej poświęcił. „Cóż to jest ta Pasieczna?“ — pyta [2], a zapytanie to powtórzyć, a tę samą odpowiedź co o Pasiecznej, o jej mieszkańcach, bez zmiany dać można o każdej wiosce huculskiej: o Tatarowie,

[1] *Das Gewitter bei Dora.* Tamże.
[2] „Listy z zakonu“. Poznań 1849. List V, VIII, IX.

jak o Jabłonicy, o Jamnie, jak o Worochcie. — Co to Pasieczna? „Skały najeżone dokoła, kilka potoków wszerz i wzdłuż i w prawo i w lewo krzyżują się i szumią i huczą i pienią i gniewają się, to znowu pokornie liżą nogi tych skał; kilka chałup huculskich, jak gniazda orle zawieszonych po górach — to cała Pasieczna, nibyto wieś, nibyto obóz koczujących pielgrzymów, co przez puszczę świata ciągną do nieba w pośród łez i boleści, bo na łzach, nędzach i boleściach tu nie zbywa. Bieda, głód, choroby dziwnie sobie tę okolicę upodobały i komorą zamieszkały w tych chatach huculskich“...

„Tu rodzi się biedna dziecina i tu umiera stary Huculi; i świat go nie znał i on świata nie znał, chyba o tyle, ile mu boleści sprawiał, i te góralskie pokolenia, jak te jodły po parowach wznoszą się i nikną, a pamięci ich ani na grobach, ani na sercach żadnego śladu niema... Pięknie tu i bardzo pięknie, i smutno i wesoło, i posępnie i jasno, tak jak w duszy... Jak stare zamczyska dziwnych kształtów skały pilnują nas, abyśmy stąd nie uciekli, a na ich wierzchołkach, jak nieme straże, pojedyńcze sterczą jodły. Gra chmur i słońca, które czasem nadgląduje, co się dzieje w tych zakątkach, dziwna, przedziwna... Kto szuka i pragnie wrażeń, na co mu romansów, teatrów; niech tu przyjedzie, niech te skały odwiedzi, a zobaczy; niech się z tym ludem rozmówi, a posłyszy w rzeczywistości to, co najbujniejsza wyobraźnia w czczych marzeniach dać mu nie może. To dziwna rzecz, że o boleściach i cierpieniach wszystkich narodów najodleglejszych, najmniej znanych, wszyscy wiedzą; że dla Irlandyi już niejeden grosz popłynął, niejedna łza się uroniła — ale o polskich boleściach i cierpieniach nikt nie wspomni, a nasz lud z głodu i nędzy ginie...“

Nie! nic się tu nie zmieniło od czasu, kiedy Antoniewicz wzruszoną ręką te wiersze kreślił. Głód, nędza zagląda dziś, jak przed laty; dziś zagląda, a co będzie w zimie, pytają z trwogą Huculi, co będzie na rok przyszły, jeżeli dokuczliwa słota trochę dłużej potrwa? Skarżą się biedacy na słotę, a nie przewidują, że zbliża się już ku pięknym ich górom straszniejszy wróg: morowa dziewica, która rozniesie po całym świecie na-

zwiska: Delatyna, Tartarowa, Mikuliczyna i smutną sławę im zjedna: „To ogniska cholery!“...

Dobrze, że na tę tak niedaleką przyszłość gęsta zasłona spuszczona; nie przewidując nawet przez sen, jacy tu goście wkrótce zawitają, jedziemy skalistym brzegiem Prutu, ciesząc się, że chmury się rozchodzą, blaski błyskawic ustępują słonecznym promieniom. I na dzisiejszej nawałnicy spełniło się przysłowie, że co gwałtowne, długo nie trwa; i drugie równie pocieszające, że po burzy słońce świeci. Teraz dopiero, przy czarownem oświetleniu słońca chylącego się już nieco ku zachodowi, złotem i purpurą tkającego góry i lasy, podziwiać można w całej pełni dziką, romantyczną drogę, wiodącą tuż ponad przewalającemi się z szumem i hukiem falami Prutu przez Jamnę, Mikuliczyn do Tatarowa. Nie długo czekać, a popędzi tędy, hukiem swym i szumem zagłuszyć spróbuje dźwięczną prutową muzykę, pociąg kolei żelaznej, mający połączyć Stanisławów z Woronieńką, Woronieńkę z węgierskim Körösmezo, słowackim Jasieniem. Mnóstwo robotników, przeważnie wspaniale zbudowanych, ogorzałych Włochów, łamie z wysileniem kamienie, toczy przed sobą olbrzymie, granitowe bryły; inni borykają się z niedawno temu królującemi na wierzchach gór olbrzymami lasów; jeszcze inni klecą naprędce z desek i gałęzi liche szałasy, które przez następnych parę tygodni służyć mają za schronienie całemu temu ludzkiemu mrowisku. Raz po raz odzywa się, jakby z głębi niedostępnych jakichś pieczar, przygłuszony, a jednak groźny huk; to dynamit przychodzi kilofowi na pomoc i bryzga wokoło odłamami opornej skały. A tam dalej o kilkanaście kroków, bór stary, ręką ludzką nieruszany, do widoku ludzkich twarzy nieprzyzwyczajony, dziwi się temu zbiegowisku, zrozumieć nie może tych odgłosów i poważnym szumem wypytuje prutowe fale: „Co to znaczy, — co to będzie?“...

Drobny, drobniutki deszczyk — jak dla zabawki, która jednak wkońcu nudną i przykrą stawać się zaczyna, towarzyszy do Mikuliczyna, towarzyszy następnie do Tartarowa, jak chcą niemieckie wojskowe mapy, do Tatarowa, jak tu wszyscy bez wyjątku mówią, a podobno i piszą. Gdzie tu na

noc zajechać, gdzie dostać szklanki herbaty, gdzie języka o dalszej drodze zasięgnąć? Podróżujesz po Styryi, czy Tyrolu, to masz Baedeckera; spotykasz na każdym kroku wskazujące i opisujące dalszą drogę, wszelkiemi możliwemi kolorami obmalowane słupy; masz gościńce, zajazdy, na szczytach gór osobno dla turystów zbudowane, we wszystko co do potrzeby i wygody służy obficie zaopatrzone „przytułki“, „domki“, „chatki“; pożywisz się jeszcze od biedy, znajdziesz przytułek i w Tatrach i w Pieninach; ale co zrobisz ze sobą biedaku, niepoczciwą jakąś ciekawością wiedziony, teraz dopiero widzieć zaczynasz, że niepoczciwą, że niepotrzebną i w piersi się za to bijesz, przygnany do Tatarowa. W karczmie niepodobna: wszystkie zmysły energicznie na samą myśl o tem protestują; zresztą karczma tak z powodu owego deszczyku zapchana, że sam Żyd zainterpelowany o możliwe jakie miejsce na noc, sceptycznie brodą i ramionami rusza i choć wprost nie powiada: „miejsca niema“, to wyraża w tej mierze bardzo ważne i stanowcze wątpliwości. W huculskiej lepiance byłoby bez wątpienia arcypoetycznie noc spędzić; ale poezya poezyą, a stające przed wzrokiem wyobraźni różnego koloru i wielkości robaczki, a myśl o ciasnocie, o nieznośnym zaduchu, które tam panują, nie dozwalają dać folgi poetycznej fantazyi, którą w dodatku odpokutowaćby trzeba bezsennością, a zatem naturalną konsekwencyą, bólem głowy, a zatem złym, czarnym humorem na cały dzień jutrzejszy.

— Więc cóż? — pytam z gniewem przypatrującego mi się z filozoficznym spokojem Żyda — więc nigdzie tu miejsca niema, więc pod gołem niebem, na deszczu mam nocować?

Żyd znowu słowem odpowiedzieć nie raczy, ale w lekko przymrużonych oczach, w skrzywionej do złośliwego uśmiechu twarzy, wyczytać możesz aż zbyt wyraźną odpowiedź: „Cóż mię to obchodzi? Nocuj, nie nocuj, leż lub spaceruj na świeżem powietrzu, rób sobie co chcesz, a mnie daj święty spokój. Gdybyś był przynajmniej nie wzgardził wódką, którą zaraz po przestąpieniu mego progu ci ofiarowałem, możnaby jeszcze pogadać, może na szynkfasie, może pod szynkfasem, ścisnąwszy

nieco dotychczasowych gości, miejsceby się znalazło; ale kiedyś taki delikatniś i chleba ci się zachciało, kiedyś sobie myślał, że z biedakiem karczmarzem wszystkie żarty dozwolone, i wypytywał się, czy klusek, czy kaszy nie dostanie, to idź sobie teraz na złamanie karku i szukaj pańskich przysmaków!"

Idźmy, szukajmy, ale gdzie? Z otchłani pamięci wydobywają się zwolna jedne za drugiemi informacye, ostrzeżenia, któremi poczciwi przyjaciele i znajomi opatrzyli mię na huculską wędrówkę. I otóż błyska już jaśniejszy jakiś promyczek, błyska, rozświeca egipskie ciemności, otaczające tak ważne w tej chwili dla mnie pytanie, o wiele aktualniejsze od kwestyi peruańsko-chilijskiej, o włos nie powiedziałem: od całej wschodniej kwestyi; — pytanie proste, a doniosłe: „Co ja teraz nieborak ze sobą zrobię?" W Słobodzie jeszcze, czy w Delatynie wykładał mi ktoś życzliwy długo i szeroko, jaką rolę odgrywają na zapadłej Huculszczyźnie — leśniczówki. To fortece cywilizacyi; informacyjne biura; hotele, w których strudzony turysta znajdzie spoczynek i posiłek; w danym razie ajencye Coocka, ułatwiające wędrówkę przez góry; nawet dyrekcye policyi, ambasady krajów jakkolwiek cywilizowanych, chroniące od nadmiernego wyzysku, pośredniczące w nieuchronnych sporach między huculskimi przewodnikami a Europejczykami, którzy zabłąkali się w tym galicyjskim Tybecie. Z daleka ten hymn wyśpiewany na cześć leśniczówek, zakrawa na przesadę; ale zawitaj niedowiarku do Tatarowa, przedrzyj się stąd do Worochty, a zanucisz go sam, jak piersi ci wystarczą, najgłośniej. Zanuciłem go i ja sobie, na jak umiałem najpiękniejszą i najwyższą nutę, kiedy zostawiwszy za sobą misternie piętrzące się góry żydowskich betów i brudów, zaprzestawszy mniej miłej pogadanki z zaglądającym w oczy wiatrem i deszczem, znalazłem się za gościnnym progiem pana Ottona Büchnera, w miłej obrazami Świętych obwieszonej izdebce, przed olbrzymią szklanicą dymiącej herbaty!

Niedość, że p. Otto daje nieznajomemu, natrętnemu gościowi i herbatę i nocleg; że sam nazajutrz wczesnym porankiem usadowia w maleńkim pocztowym wózku, który nie wiem

jakim cudem przewieźć ma do Worochty — o mnie już nie mówiąc — i zadumanego pocztyliona-Hucuła, i jeden czy dwa listy, i jedno jakieś pudełko i wielki worek z kaszą; — w dodatku zaopatruje mię jeszcze polecającym biletem do swego kolegi, pana Kellera. Nieszczęściem, na worochciańskiej leśniczówce nie zastaję w domu ani pana, ani pani; zastępująca ich chwilowo w gospodarstwie krewna, radaby pomódz „księdzu proboszczowi", krząta się jak może, stół wiejskiemi przysmakami nakrywa, zaprasza, częstuje; lecz czy dość ze stosunkami obeznana, czy dość posiada energii i wpływu, aby prędko, bezpiecznie i bez zbytniej szkody dla niezbyt wypchanej mej kieszeni do Żabiego mię wyekspedyować?

Przywołany osobnym gońcem na walną naradę „pobereźnik", niezachęcająco kiwa głową: ludzie zajęci, przewodnika znaleść trudno, i konia znaleść niełatwo, a piechotą o przeprawie do Żabiego, zwłaszcza po ostatnich deszczach, ani myśleć. Zresztą, kto wie, dobrze poszukawszy, może się i znajdzie; w każdym razie dość grubo trzeba będzie zapłacić; koni mało i do robót kolejowych użyte, ludzie również przy kolei zajęci. Musi „pobereźnik" mieć racyę, bo wywody jego potwierdza jedna baba, potwierdza i obszerniej rozsnuwa druga. Usłużna gospodyni przekłada mi te argumenty z rusko-huculskiego na polskie; w środku zdania zwraca się z niemieckim frazesem do małego dziecka państwa Kellerów i znowu bez chwili namysłu, bez zająknięcia się prowadzi ruskie obrady, spełnia funkcye polskiego tłumacza. Wreszcie główne zarysy przyszłej umowy ułożone i przyjęte; tyle a tyle „baniek" (reńskich) wypłacić mam z góry gaździe, który z ciężkiem sercem i jedynie z serdecznego współczucia dla mnie, zdecydował się wynająć mi konia do Żabiego; trzecią, od biedy i czwartą częścią tej sumy zadowolnić się gotów przewodnik mający towarzyszyć mi w tej wyprawie, a następnie konia odstawić do swego właściciela. Trochę słona cena, przyznają wszyscy, przyznaje i sam gazda, wymawiając się — jakby szlachcicem galicyjskim był — wyjątkowo trudnemi i ciężkiemi czasami, jednocześnie dołącza słowo pociechy: „Zawsze lepiej, że udało ci się konia dostać, niż

gdyby ci się nie udało!“ Prawda! — jakżeż wobec takiego argumentu głowy nie uchylić?

Ugoda zawarta, gazda „banoczki“ wziął i do przewieszonej na ramionach „tajstry“ troskliwie schował; wszystko w porządku, tylko konia i przewodnika niema. Zabawiam się tymczasem studyowaniem małego saloniku na leśniczówce. Białe ściany przybrane w różne myśliwskie trofea; z pod sufitu zwieszają się gęstym szeregiem rogi jelenie; od podłogi śnieżnej białości, wczoraj najdalej mytej i szorowanej, odbijają różnobarwne, umiejętnie wypchane ptaki, docierają aż do olbrzymiej zielonej skrzyni, z poza której dumnie prezentuje się cały arsenał różnej wielkości i wartości cybuchów, cybuszków. Przez okna zagląda bez i wciska się między nieodzowne a liczne wazoniki; przez krzaki bzu przeciska się słońce, oświeca rozrzucone na stoliku zeszyty: *Wiener Mode*, maluje białe ściany w fantastyczne, złotem i srebrem tkane desenie. Sielsko tu, swobodnie; znać że gwar świata dalekiem tylko, przyciszonem echem do domku tego dochodzi. Jak miłoby było oddać się w nim poezyi, dumaniu; — jak miłoby było, gdyby nie nieznośne nerwy, naganiające co dwie, co trzy minuty do wyjmowania zegarka, do niecierpliwego pytania: „Kiedyż nakoniec nudny ten przewodnik się wyguzdrze, kiedyż zjawić się raczy?“

Widać go z daleka — przybywa! Nie dziw, że trochę się spóźnił, bo od stóp do głów świątecznie przybrany, jakby na jaki prażnik lub wesele się wybierał; w ręku trzyma łańcuch, którym ciągnie za sobą wychudzoną szkapę, mającą odgrywać rolę słynnej Rosinante w naszej kiszotowsko-żabiowskiej wyprawie. Targ z właścicielem konia był już niby poprzednio przybity, teraz rozpoczyna się nowy z przewodnikiem; kilkakrotnie, jakby w żydowskiej szkole spędził długie miesiące na pilnej nauce, cofa się, udaje że odchodzi, zaklina się, że ani sposób przystać na proponowane przeze mnie warunki, że on tylko i wyłącznie z miłości ku mnie drogę tę podejmuje, ale kiedy na takiego oszczędnego pana natrafił, to woli w domu spokojnie siedzieć: nie zarobi, bo nie zarobi, ale przynajmniej szkapy i siebie napróżno nie sforsuje. Wie hultaj, że ostatecznie zdać

się muszę na jego łaskę i niełaskę; hojnie też korzysta z tej swojej przewagi i ostatecznie w wyrachowaniu swem się nie myli. I później, co godzinę, co pół godziny, żal serdeczny wzbudzając, że lepiej ze sposobności nie skorzystał i więcej grosza nie wydusił, rozpoczyna treny na temat zbytniej swej miękkości i poczciwości, którą dał się nakłonić do zawarcia tak niekorzystnej dla siebie umowy; wypytuje, czy przynajmniej porządny „napiwek“ dostanie; przechwala się, jak to on dobremi, prostemi dróżkami prowadzi i wraca znowu do wciąż powtarzającej się zwrotki: „Ale dostanę więcej, niżeśmy się ugodzili; prawda, że dostanę więcej“. — Niemiły to bądź co bądź rys, przejęty chyba od Żyda, z którym Hucuł tak często obcuje.

Z niemałą biedą wydrapałem się na mego rumaka, zdziwionego niepomału, trochę zapewne i podrażnionego w miłości własnej, że dźwigać musi jeźdźca, który tak małe ma wyobrażenie o szlachetnej sztuce jeżdżenia konno i zwolna dopiero kombinować sobie musi, jak i z której strony wziąć się należy do wygramolenia się na siodło. Szkoda, że nie znalazł się w tej chwili pod ręką przemyślny jaki fotograf; nie pochlebiając sobie, sądzę, że zrobiłby niezły interes, sprzedając któremu ze lwowskich, a choćby i wiedeńskich pism humorystycznych szereg odbić z naszej nieco humorystycznie wyglądającej grupy. Na przodzie idzie przewodnik, drugi Sancho, praktyczny, spokojny, dziwiący się pewnie w duszy awanturnikowi, co konia dosiadać nie umie, a do Żabiego się wybrał; idzie sobie spokojnie, lulkę pyka i targa co sił parułokciowym, grubym jak pięść łańcuchem, perswadując w ten sposób opornej Rosinante, że nie czas teraz trawkę skubać, i z każdego strumyka wodę popijać; że nie należy zbyt szybko, zbyt często i gwałtownie łba na dół schylać ku owym trawkom pachnącym, ku owym wodom nęcącym, bo może to niedoświadczonego jeźdźca przyprawić o niemiłą jaką, o niezdrową przygodę. I jeździec — trudno mi sobie tego nie przyznać — przedstawia się romantycznie. Długa czarna burka zwiesza się po beduińsku najmniej do połowy końskiego ogona, zaczepia o krzaki, o gałęzie, kąpie się czasem w wodzie, częściej w błocie; bandycki, szerokiemi kre-

sami opatrzony kapelusz, stroi się to w błotniste pręgi, to w zielone szpilkowe igły, w gałązki i w liście, które po drodze, wbrew najenergiczniejszym protestom właściciela, umaić go usiłują; szpicrutę zastępuje parasol, spadający od czasu do czasu na ziemię, kiedy głębsze jakieś bagno, niespodziany wybój wyprowadza jeźdźca z równowagi, i doradza, oboma rękami, nieco nerwowo, za siodło — mówiąc pod sekretem, i za grzywę — mu się chwycić.

Ani słowa, huculski nowożytny Don Kiszot do konia niewprawny, bo też sporo już lat upłynęło, kiedy ostatni raz niewielkim wyrostkiem na kucyku siedział; ale istotnie, jak na pierwszą, po tak długim czasie, próbę, nieco za ciężkie miał przed sobą zadanie, które kto wie, czy i niejednemu wypróbowanemu kawalerzyście nie dałoby do myślenia. To wspinaj się koniku na górę tak stromą, śliską, że przypomina mimowoli owe łojem obsmarowane słupy, na które chłopcom każą po nagrodę się drapać; wyszukuj mozolnie, spokojnie kamyków, na których mógłbyś nogę oprzeć; zgadnij, spróbuj czy ciężar twój zniosą, czy za silniejszem pociśnięciem w przepaść się nie potoczą. To znowu — najmniej to przyjemne i najbardziej denerwujące wspomnienie — staczaj się niemal że prostopadłą linią na dół i wciąż na dół, obchodź, przechodź kamienne bryły, co wązką ścieżkę zagradzają. A ty biedaku co na koniku siedzisz, i po niewczasie zastanawiasz się, czy nie lepiej ci było w Krakowie pióra i kałamarza pilnować, opędzaj się od gałęzi, gałązek, co jakby figle sobie strojąc, po ramionach, po twarzy cię biją: o kałuże, o większe, o mniejsze nie pytaj; zamykaj oczy gdy z boku przepaść się otwiera, gdy sprytny konik nogę w górę podniesie i długą, długą chwilę, za jakimś stałym punktem oparcia się ogląda. Skończyło się staczanie z góry, przebyłeś wąwóz, i jeden i drugi, przedostałeś się przez rzekę, przez tuzin bagien i tuzin strumieni; skończyło się, no! to wtaczaj się znowu, to staczaj się później spokojnie z drugiej góry, staczaj się z trzeciej, czwartej ... a siodła jak umiesz i możesz się trzymaj, jeśli milsze ci niepołamane, choć srodze teraz już bolące ręce i nogi, niźli ludzkie względy.

Jak długo trwała ta karkołomna jazda, jeśli gimnastyczne sztuczki, wyprawiane przez niepozorną, wychudzoną a tak zgrabną i mądrą huculską szkapę, jazdą nazwać należy? Pięć czy sześć godzin, nie wiem dobrze; to wiem dobrze i pamiętam, że z niekłamaną radością przyjąłem ogłoszony przez przewodnika na jakimś zakręcie rozkaz dzienny: „Staniemy za chwilę w Bukowienie; trzeba tam sobie będzie odpocząć, gniadego popasać ... a potem to już migiem do żabiego sioła!“

Bukowien, drobna osada, złożona z paru chałup, paru szałasów, służyć może za typ pasterskich kolonij, rzuconych w góry, należących urzędowo do odległego o mil parę „sioła“, ale mających z niem z natury rzeczy bardzo mało stosunków. Z jednej strony lasy bez końca, z drugiej połoniny bez końca; wokoło kąpiące się w obłokach szczyty Bukowieni, Hodaka, Kostrycza; a w środku tej puszczy, czy tego morza zielonego, na którem milami i milami ludzkiej twarzy nie zobaczysz, zapomniana, jedynie na sztabowych mapach i w podatkowych wykazach figurująca i znacząca, raczej wysepka niż oaza, na której pędzi pustelnicze życie paru pasterzów, parę pasterek, kilkoro arcyprymitywnie ustrojonych dzieci.

Przewodnik prowadzi mię wprost do najwykwintniej zbudowanej chaty dobrego swego znajomego, dającego tutaj ton arystokraty, bogatego Jura. Chata, jak wszystkie inne na Huculszczyźnie, tylko nieco obszerniejsza i porządniej zbudowana. Z niewielkiej sionki wchodzi się na lewo do komory, na prawo do dość obszernej izby, pełniącej funkcye bawialni, a zarazem jadalni i sypialni. Dwa okienka wychodzące na południe, rzucają sporo światła na izbę czystą, wymiecioną. Pod oknami wzdłuż całej ściany ciągnie się szeroka ława, zastępująca łóżko dla młodszego pokolenia; przed nią ustawiony wązki, masywny stół, który następnie — wespół z ławą — w bok zakręca i do połowy wschodniej ściany dociera, gdzie spotyka szafkę z miskami, garnkami. Za szafką pociąga oko w różne desenie malowana skrzynia na odzież; za nią gospodarski tapczan, podobny raczej do wielkiego niezgrabnego pudła niż do łóżka, prostą, grubą derą nakryty, bez poduszek, bez siennika, bez niczego,

coby choć z daleka poduszki lub siennik przypominało. Tuż do samego tapczanu przypiera piec olbrzym, zajmujący przynajmniej czwartą część całej izby; strach pomyśleć, ile on zimą drzewa musi pożerać, w jaką łaźnię izbę przemieniać! Ściana naprzeciw drzwi jest pewnego rodzaju familijnym skarbem. Tu rozwieszone są nabyte w najrozmaitszych okazyach pobożne obrazy, obrazki i bohomazy, oczywiście na pierwszem miejscu obrazy Matki Boskiej i św. Mikołaja; do ram jednego z obrazów przyczepił się nawinięty na sznurek rząd szklanych paciorków; w środku, między dwoma Świętymi, króluje poważnie fajansowy talerz, również do ściany misternie przywiązany. Jedyny to prawdopodobnie talerz w całej bukowieńskiej osadzie; nie dziw, że takiego honoru dostąpił.

Jura nie zastajemy w chacie. Na szczęście powrócić ma niezadługo, tymczasem zastępuje go i poważnie rolę gospodyni spełnia, piętnastoletnia może dziewczyna, domyśleć się nie łatwo: siostra pana domu, córka, czy służąca. Nie spodziewała się przybycia obcych gości, więc ubrana bardzo po prostu i bez pretensyi: w długiej koszuli i wełnianej zapasce, — a w domowym tym stroju nie rozróżnisz największej huculskiej arystokratki, najpyszniejszej z swej urody „doni bohacza“, od żyjącej z pięciu palców najemnicy. Nawet zwieszające się na szyi w kilkanaście rzędów różnokolorowe, wielkie, jak orzech laskowy, szklane paciorki, nie są dostateczną odróżniającą cechą; zbytek to, bo zbytek, ale ostatecznie i najuboższa nieraz dziewczyna wygłodzi się, wychudnie, a zbytku sobie tego nie odmówi. Bądź co bądź, młoda gosposia umie spełniać honory domu bardzo swobodnie, bez najmniejszej oznaki zażenowania. Ledwie wymieniła uświęcone słowa powitania: „Sława Bohu!“ ledwie przewodnika mego wypytała: „Czy dużyj, czy myrno?“ — czy zdrów i jak mu się wiedzie? — a już energicznie pochwyconą miotłą czyściła na cześć znakomitego gościa izbę, sionkę, podwórko; już popędziła po jaja, po kukurydzianą mąkę; już zakrzątnęła się rączo w komorze koło piecyka, na którym miały się dla zgłodniałych wędrowców piec, smażyć, gotować różnorodne specyały.

Niebawem nadchodzi Jur w długiej, po kolana, koszuli ze zgrzebnego płótna, silnie rzemieniem ściśniętej, z malowniczą „dziobenką“ (torebką) przewieszoną przez ramię, w wygodnych, w sam raz do chodzenia po górach nadających się chodakach, zwanych tu „postołami“, od których biegną w górę ściskające nogi, w zasadzie i pierwotnie z białego płótna wycięte, obecnie gęsto błotem nakrapiane „onucki“. Następują wzajemne powitania, komplementa, w których żywy zwłaszcza udział bierze przybyła również w gościnę do Jura, rozmowna Hucułka. Miękkie dźwięki, miękkie, zdrobniałe nazwy: „Juroczko!“ „sołodeńki“, „lubeńki“, krzyżują się ze sobą, i wprowadzają w pewną odrębną, powiedziećby się prawie miało ochotę — gdyby w huculskiej chacie zbyt oryginalnie to nie brzmiało — piżmem i paczulą przesiąkniętą atmosferę. Lecz nie czas na rozmowy, przerywają się komplementy. Już stół nakryty ręcznikiem, na którym z daleka błyszczy czerwony haft, składający się w niemiecki napis: *Geduld bringt Rosen;* już posługująca dziewczyna niesie olbrzymią misę mleka; już mój przewodnik, już i Hucułka zwrócili się ku obrazowi, pokłonili się przed nim, przeżegnali się kilkakrotnie, półgłosem wyszeptali modlitwę. Przygotowania zakończone; uczta rozpoczyna się!

Czemuż niema tu wieszcza, huculskiego Mickiewicza, aby barwnym pendzlem odmalował, jakie bywają w chacie Hucuła biesiady? Warte wieszczego pióra, to orzeźwiające, rzekłbyś mrożone mleko, w które z początku trzy łyżki systematycznie w takt uderzają; do którego następnie Jur i Hucułka, nie krępując się dłużej wielkoświatowemi ceremoniami, o wiele praktyczniej i szybciej się biorą, i wprost z misy leją w usta płyn srebrzysty; leją obecnie miasto zupy, popijają niem później miasto piwa lub wina smaczniejsze kąski; na końcu znowu, zamiast czarnej kawy, mlekiem się uraczą. Po mleku, na moją specyalną intencyę, jaja na twardo; po nich najgłówniejsze dania: prosto od pieca odstawiona mamałygowa babka, topione masło z jajami, kukurydzianą mąką lekko przyprószone — wyborna potrawa, jeśli sądzić wolno po błogim uśmiechu, po doskonałym

apetycie współbiesiadników. „To po huculsku“, objaśniają mi sami; zachęcają, proszą: „Charczujte, charczujte!“ — i patrzą z pewnem zgorszeniem na kapryśnika, któremu nawet topione masło nie smakuje; który chyba z drugiego końca świata przybył, kiedy Hucuła na połoninie pyta naiwnie: „Czy może kawałka chleba nie macie?“

Jakże to zmienne koleje losu w każdej wędrówce, i w tej długiej co się życiem nazywa, i teraz w tej krótkiej huculskiej! Ledwie cztery godziny minęły, kiedy na twardej ławie siedziałem za misą mleka, za miseczką masła topionego; jeszcze w oczach żywo malują się łąki zielone, w szachownicę „woryniami“—płotami z łupanego drzewa—poprzecinane; przesuwają się w oryginalnym pochodzie smukłe postacie dozorujących bydło „bouharów“, to żwawych i gibkich, to znów ku ziemi schylonych, to na koniu paradujących Hucułek z wrzecionem w ręku, z nieodstępną fajeczką w ustach; szumią w uszach rwiące górskie potoki, dygocą nogi pod rzuconemi od niechcenia nad rzeką, nad potokiem pajęczynowemi kładkami; jeszcze wydaje ci się, że na góry mozolnie się wspinasz, odsuwasz chłoszczące po twarzy gałęzie, — a tymczasem to nie lasy, nie połoniny, lecz gustowny salonik ruskiego proboszcza w Żabiem; nie stare „watahy“, krępe „bouhary“, dziarskie „łeginy“, lecz zebrani z całej okolicy księża, panie, panowie, na imieniny gościnnego, szeroko znanego, wszędzie kochanego księdza Władysława.

Sen to, czy nie sen? Czy nie huculskie chochliki, „majki“, „letawice“, może jaki złośliwy „Wowkun“, może podziemny „Rachmanyn“ figle płata, zastawia zaczarowane stoły, do których gdy się zbliżysz, zmienią się — jak opowiada miejscowa kazka — w mgliste opary, w niewoniejące dymy? Nie sen to na szczęście, choć oczy po kilkugodzinnej konnej jeździe, kilkugodzinnej pieszej wędrówce, do snu nieprzezwyciężoną siłą się kleją; nie „Rachmanyny“ to, nie „Wowkuny“; — raczej dobre, opiekuńcze duchy, co z całą troskliwością krzątają się koło niespodziewanego, a niemniej mi-

łego gościa, czuwają bacznie, aby mu niczego nie brakło; żadnych nie szczędzą starań, aby mu malownicza, het daleko, po bukowińskie kresy, po węgierskie góry rozciągająca się, władnąca huculska stolica, a ze stolicą cała Huculszczyzna zapisała się ostatniem, najmilszem wspomnieniem głęboko w pamięci, w sercu. I zapisała się rzeczywiście.

Ks. Jan Badeni.

LICHWA NA WSI W GALICYI.

(Dokończenie).

V.

Już w rozdziale trzecim zaznaczyliśmy, że lichwa istnieje dotąd, skoro istniała nawet tuż po wejściu w życie ustawy z dnia 19 lipca 1877, l. 66 dpp. i skoro już wówczas lichwiarze umieli ustawę świeżo wydaną obchodzić różnemi sposobami, jakie w rozdziale drugim streściliśmy; wskazaliśmy na rozwielmożnione dotąd między ludem naszym pijaństwo, jako naturalnego sprzymierzeńca wszelkiego wyzysku, wkońcu zaś położyliśmy nacisk na ogromną ilość sporów drobiazgowych w Galicyi, tudzież na niestosunkowo wysoki między niemi procent ugód sądowych, dowodzące naszem zdaniem obchodzenia ustawy przeciw lichwie na wielką skalę.

Obraz działalności istniejących w kraju naszym kas i towarzystw, podany w rozdziale czwartym, zawiera dalszy argument za dotychczasowem istnieniem lichwy. Wszystkie wielkie instytucye, zajmujące się dawniej u nas udzielaniem kredytu włościańskiego, jakoto: Bank włościański, Bank ruski i Zakład kredytowy ziemski w Krakowie, tudzież Towarzystwo kredytowe miejskie i Kasa zaliczkowa, przestały istnieć, a Bank krajowy udziela dotąd pożyczek hipotecznych włościanom tylko w bardzo nieznacznej ilości. Tymczasem potrzeba kredytu nietylko pozostała ta sama, ale z wzrostem oświaty i wymogów stanu znacznie się wzmogła, tak iż na pewno twierdzić można, iż, gdzie niema

odpowiednich instytucyj kredytowych, tam lud zmuszony jest dotąd uciekać się do pomocy lichwiarzy, tam oni zawsze jeszcze dzierżą naturalny monopol. Jak zaś odnośne stosunki wyglądają w rzeczywistości, to pozwolimy sobie przedstawić na kilku przykładach z najświeższej przeszłości, które dadzą miarę wyzysku dotąd istniejącego. Przykłady te, tu i ówdzie zebrane, aż nadto bogate dla przekonania ogółu, że lichwa istnieje dotąd, zbyt jednak są niedostateczne, iżby pozwoliły już dzisiaj na ułożenie wyczerpującego i wszechstronnego programu pozytywnego działania:

W Złoczowskiem sprzedał w r. 1891 gospodarz gruntowy, mający niespełna $1^1/_2$ morga kiepskiego gruntu, znanemu lichwiarzowi 10 par (10 korcy żyta i 10 korcy pszenicy) po cenie nader nizkiej z dostawą w żniwa i pod warunkiem, że gdyby zboża dostarczyć nie mógł, winien będzie cenę targową zapłacić. W niemożności włościanina wyprodukowania takiej ilości zboża na swem gospodarstwie tkwi tu wyzysk, skierowany nie na dostawę towaru, ale wprost na zapłacenie ceny wygórowanej poprzednio umówionej, a z tego okazuje się, że podobna umowa o sprzedaż na kredyt przy przewidzianej z góry niemożności dłużnika wywiązania się ze swego zobowiązania, miała jedynie na celu zamaskowanie umowy pożyczkowej z wymówieniem lichwiarskich odsetek.

W Hodowie koło Pomorzan zdarzają się często dotąd pożyczki w naturaliach, np. w zbożu na przednowku. Po upływie pół roku — w żniwa — oddaje chłop lichwiarzowi za korzec, $1^1/_2$ korca lub co najmniej $1^1/_4$ korca i 6 garncy.

W Synowódzku pożyczają dotąd lichwiarze żydowscy „bojkom“ 1000—2000 złr. przed rzym.-katol. świętem Wniebowzięcia Najśw. Maryi Panny (15 sierpnia) na zakupno śliwek, orzechów włoskich i laskowych, gruszek, jabłek i winogron na Węgrzech, z zastrzeżeniem zwrotu pożyczonej sumy na Nowy Rok z 10%, co czyni w niniejszym wypadku przeszło 25 od sta. Jeśli tak wysoki procent opłacać muszą majętni gazdowie, biedni od małych kwot oczywiście opłacają znacznie wyższe procenta. Od 5 złr. np. za ten sam czas opłacają w Synowódzku 2 złr., co

czyni przeszło 105%. Jeżeli dłużnik nie może się uiścić z długu, musi wierzycielowi dług swój na polu odrobić.

W Horodnicy i Rasztowcach (pow. Husiatyn) lichwiarze sprzedają ludowi na kredyt po wygórowanych cenach sól kupioną od wekturantów i fikcyjną tę wartość każą sobie odrabiać w polu.

W okolicy Czernichowa zwyczajny procent wynosi dotąd, według relacyi d-ra F. Stefczyka[1], 5 cnt. od 1 złr. tygodniowo, tj. 260%. Nadto w zachodniej Galicyi bardzo znaczna część włościan nie posiada własnego bydła, lecz wynajmuje je od zamożniejszych gospodarzy lub od Żydów. Czynsz najmu od sztuki wynosi 4—8 złr., co wobec przeciętnej wartości krowy 25—45 złr. czyni 15—25%. W razie sprzedaży i kupna bydła włościańskiego wciskają się między obie strony pośrednicy, tak zw. przelewacze, przywłaszczający sobie bezprawnie godziwy zysk jednej lub drugiej strony. Naszem zdaniem, czynią oni tem samem ze zwyczajnego jarmarku rodzaj giełdy bydła, sprzedając je, gdy obeznani ze stosunkami miejscowemi pewni są już zakupna po cenach niższych, lub kupując je z zamiarem odprzedaży po nierównie wyższej cenie. Niezdrowa spekulacya na zwyżkę lub zniżkę cen wciska się tym sposobem między rzeczywistego handlarza bydłem a włościanina, eskontując dla siebie bezprawnie każdą konjunkturę targową. I w tem zjawisku mieści się rodzaj lichwy. Przelewacz bowiem za dogodność wcześniejszej wypłaty ceny kupna włościaninowi, zyskuje znacznie wyższą cenę od handlarza, którą bez udziału jego sam włościanin byłby uzyskał, albo też w razie wielkiego popytu za bydłem, z góry obowiązuje się dostarczyć handlarzowi potrzebną mu ilość sztuk bydła, którą następnie od okolicznych włościan po cenach nizkich nabywa, korzystając tym sposobem podstępnie z ich nieznajomości stosunków targowych i braku doświadczenia, często nadto z ich przymusowego położenia lub lekkomyślności. W Niemczech związki chłopskie i stowarzyszenia przeciw lichwie zawiązane udzielają włościanom pożyczek na czas dłuższy na zakupno bydła,

[1] „O spółkach systemu Raiffeisena". *Przegląd Polski*, t. 97.

albo też same trudnią się wypożyczaniem bydła i tym sposobem skutecznie przeciwdziałają lichwie.

W powiecie nadwórniańskim dłużnik pożyczywszy sobie 10 złr. od lichwiarza w gotówce lub naturaliach, pasie, zimuje i utrzymuje mu przez 3 lata za procent na własnem pastwisku sztukę bydła. Oprócz tego lichwiarze namawiają chłopów do emigracyi, a przedstawiając im stosunki zagraniczne (brazylijskie, a w ostatnim czasie w pow. zbaraskim i rosyjskie) w najświetniejszych barwach, skłaniają ich do sprzedaży swych gruntów za bezcen.

W Kossowskiem chłop sprzedaje cielęta tuż po urodzeniu lichwiarzowi za bezcen, ale zatrzymuje je przez lat kilka na połoninach, gdzie je żywi, hoduje i zimuje. Potem właściciel odbiera sobie cielę i sprzedaje na jarmarku, a chłopu za żywienie nic nie zwraca, kompensując koszta żywienia procentem od zaliczonej z góry ceny kupna. I tu więc właściwie nie było kontraktu kupna, ale był kontrakt pożyczki. Towarzystwo zaliczkowe w Birczy donosi w dniu 10 września 1890 r. Związkowi stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych o lichwie przy handlu bydłem, co następuje: „Lichwiarz kupuje u nas często wołu lub krowę i zawiera potem z chłopem, posiadającym dobre pastwisko, umowę o utrzymanie bydła. Kiedy już wartość sztuki bydła znacznie wzrosła wskutek dobrego odżywiania go, następuje sprzedaż i podział zysku. Ponieważ jednak cenę zwierzęcia oznacza sam lichwiarz według swego widzimisię, a przeto cenę zakupna podaje bardzo wysoką, cenę sprzedaży zaś bardzo nizką, a chłop nie towarzyszy lichwiarzowi na targ, więc i tu staje się ofiarą lichwiarskiego wyzysku".

Towary codziennego użytku sprzedają kupcy włościanom na kredyt, ściągając należytość następnie w naturaliach, niestosunkowo nizko oszacowanych. Rzemieślnikom wiejskim, jakoto garncarzom, koszykarzom i t. d., zaliczają inni z góry pewne kwoty potrzebne dla opędzania wydatków domowych lub na materyał, i pożyczki te odbierają w towarze za bezcen nabytym. Często zdarza się, że do podobnych interesów Żydzi pożyczają pieniądze od włościan i wówczas sami opłacają sowity procent.

Nie zawsze jednak lichwiarz galicyjski jest Żydem. I tak

w Kociubińcach zdarzył się w r. 1885 szczególnie rażący wypadek lichwy, przyczem wyzyskującym był nie Żyd, ale włościanin. Pewien włościanin pożyczył mianowicie od drugiego 40 złr. Wierzyciel wziął „jako kaucyę“ grunt 3-morgowy, faktycznie jednak używał go przez lat sześć, tj. do r. 1891, nadto zaś jako procent pobierał 5 od sta rocznie. Żydzi w tej miejscowości tak są ubodzy, iż udzielać mogą tylko małych pożyczek po 1—2 złr., a zamiast procentu pobierają jaja, kury, nabiał i inne naturalia.

W sprawie handlu ziemią donosi *Kwartalnik stow. kandyd. notaryalnych* (zeszyt lipcowy 1891 r.), iż potworzyły się formalne ciche spółki kapitalistów, kupujących grunta a następnie sprzedających takowe z ogromnym zyskiem. Komendę nad każdą taką szajką ma jako biegły w prawie pokątny pisarz. Wszyscy członkowie takiej spółki robiąc interes, nibyto się nie znają, bałamucą sprzedającego fałszywem przedstawianiem stanu rzeczy, teroryzują go w najrozmaitszy sposób, nareszcie dopiąwszy swego, prowadzą ofiarę do swojego pisarza, który spisuje kontrakt, najczęściej sprzeczny z wolą sprzedającego, bo zawsze na jednakowo wydrukowanych formularzach, pomijając zupełnie zastrzeżenia przez chłopa poczynione, jak np. że nawóz na oborze jest jego, albo że odda grunt w posiadanie dopiero za rok, i tem podobne. Z tego powstają następnie procesy, oczywiście zawsze dla chłopa na niekorzyść wypadające. Najczęściej oszukują chłopa przy wypłacie ceny kupna. Chłop kwituje bowiem zawsze odbiór całej ceny, gdy tymczasem spółka za poradą pokątnego pisarza zatrzymuje mu część aż do oddania w posiadanie gruntu. Przy oddaniu zaś nabywca znajduje zawsze jakiś powód, że mu zatrzymanej reszty albo całkiem nie zapłaci, albo część urwie. „Śmiało można powiedzieć, że do wyjątków należy, aby chłop kupił grunt od chłopa, zawsze go kupuje od Żyda. Wystarczy wziąć parę kontraktów, aby się przekonać jakie interesa Żydzi na tem robią; kupują za kilkanaście, sprzedają za parę dni za kilkadziesiąt złr.; kupują za kilkadziesiąt złr., sprzedają za 100—200 złr.; kupują za 500 złr., sprzedają za 1000 złr. i t. d.“. Twierdzenia te uzasadnia *Kwartalnik* całym szeregiem jaskrawych przykładów. Wydział powiatowy skałacki

w petycyi z dnia 31 maja 1889 r. l. 825, wniesionej do komisyi dla kodeksu karnego a oświadczającej się za przyjęciem wniosku posła d-ra hr. Pinińskiego w sprawie ograniczenia handlu gruntami włościańskiemi, opisuje szczegółowo wyzysk ludności włościańskiej przy handlu ziemią, i to tak w razie, gdy lichwiarz „pośredniczy“ jako faktor, jak i w razie, gdy grunt nabywa dla siebie, aby go wnet potem z zyskiem odprzedać. Różnica cen jest tak wielka, że za trzy morgi gruntu, kupione za 120 złr., otrzymał lichwiarz po kilku tygodniach 420 złr. — a w innym wypadku $^3/_4$ morga nabytego za 80 złr., sprzedał za 165 złr. Przytem zauważyć należy, że niewiele tylko przeniesień własności widocznych jest z księgi gruntowej, ponieważ lichwiarz zawiera wprawdzie ze sprzedającym umowę na piśmie, ale bez świadków i bez interwencyi notaryusza, a przeto niesposobną do wpisu hipotecznego, czyni to zaś w celu oszczędzenia stempla i należytości przenośnej, i dopiero po wyszukaniu dogodnego nabywcy, „pośredniczy“ w przyjściu do skutku umowy formalnej między pierwotnym sprzedającym a obecnym nabywcą. Jeżeli lichwiarz się obawia, że pierwotny sprzedający po dokonanej sprzedaży nie zechce przystąpić do podpisania ponownej umowy z osobą trzecią, wówczas z góry zabezpiecza się w ten sposób, iż każe sobie wystawić w chwili kupna uwierzytelnione pełnomocnictwo do sprzedaży, a w nowym kontrakcie z wyszukanym przez siebie odbiorcą figuruje wprawdzie sam, ale nie jako sprzedający, czem jest w istocie, lecz jedynie jako pełnomocnik poprzedniego właściciela, a w ten sposób zrzuca na niego i obowiązek ponoszenia należytości przenośnej na pół z nabywcą — sam zaś od płacenia tejże się uwalnia. Często zdarza się także, że wieśniak ścigany długami lichwiarskiemi, sprzedaje grunt swój lichwiarzowi za bezcen i następnie bierze go od niego w dzierżawę. Opłaca więc lichwiarzowi corocznie pewną, dość znaczną kwotę, która pobiera się po większej części na czynsz dzierżawny, resztę zaś na otrzymaną cenę kupna, którą teraz przyjmuje się jako dług. Złudna nadzieja utrzymania się przy ojcowiźnie, czyni takim sposobem włościanina niewolnikiem lichwiarza.

Podobnych przykładów możnaby wykazać bez liku, a wszystkie one stwierdzają, że lichwa istnieje dotąd, że dotychczasowa organizacya kredytu okazała się niedostateczną, ciężką i pozbawioną wspólnego rezerwoaru, dostarczającego w razie potrzeby funduszów jednym, lub przechowującego zbędne drugim kasom lub stowarzyszeniom zaliczkowym; że ustawy dotyczące nie dosięgnęły źródeł złego i że zresztą wypadki doniesień karnych na wsi już dlatego muszą być rzadkie a nawet wyjątkowe, ponieważ włościanin bezbronny, nieświadomy prawa i społecznego ustroju, oddany jest na łaskę i niełaskę lichwiarza i o możności jakiejkolwiek obrony prawnej nie ma nawet pojęcia.

Stąd wszechstronna reforma stosunków kredytowych na wsi okazuje się nieodzowną. A jak w medycynie trwały gmach terapii wznieść się może jedynie na fundamencie ścisłej i umiejętnej dyagnozy, tak w gospodarstwie społecznem każdy projekt reformy, jeśli osiągnąć ma wytknięty cel uzdrowienia organizmu społecznego, oprzeć się musi na ścisłej obserwacyi jak największej ilości objawów konkretnych, tudzież następnie na sprowadzeniu ostatnich do pierwiastków wspólnych, rzucających światło na pierwotne źródła zjawisk. Zasada ta w zastosowaniu do sprawy lichwy w naszym kraju koronnym wskazuje nam metodę, jaką obrać nam wypada, jeśli pragniemy Galicyę uwolnić wreszcie od obelżywego miana — klasycznego kraju lichwy.

VI.

Stowarzyszenie *Verein für Socialpolitik* w Eisenach, do którego należą najwybitniejsi uczeni z całych Niemiec, zwróciło na posiedzeniu z dnia 28 grudnia 1885 r. uwagę na to, iż mimo istnienia ustawy przeciw lichwie z dnia 24 maja 1880, i w Niemczech sroży się dotąd lichwa, a pragnąc zbadać odnośne stosunki, uchwaliło rozesłanie kwestyonarza w tej sprawie do wpływowych osobistości w całem państwie. Kwestyonarz ten, z możliwą dokładnością ułożony przez tajnego radcę Thiela, objął wszelkie rodzaje lichwy: pieniężną, przy handlu bydłem, ziemią i towarami, nadto zaś zapytywał także o przyczyny pojawienia się lichwy i o sposoby zaradzenia złemu. Na wiosnę 1886 r. roze-

słano pytania, a już w czerwcu 1887 r. można było przystąpić do wydania sporego tomu, obejmującego relacye ze wszystkich stron Niemiec [1]. Radcy ministeryalni, landraci, posłowie, obywatele ziemscy, byli autorami poszczególnych sprawozdań. Ale właśnie dlatego relacye te nie wypadły tak ściśle, jakby sobie tego życzyć należało. Tajny radca Thiel usiłuje w przedmowie winę tego przypisać pewnej jednostajności praktyk lichwiarskich, skutkiem czego powtarzanie się było nieuniknionem. Korespondenci poszczególni pisali nie sprawozdania oparte na autopsyi, ale rozprawy bądź historyczne, bądź dogmatyczne, bądź też gdzieniegdzie wypisywali skargi na Żydów, nie umotywowane należycie dostarczonym materyałem faktycznym. Osobistości sprawozdawców, jakoteż zbyt wielki obraz terytoryów przez nich omawianych utrudniały należyte krytyczne opracowanie relacyj, a wskutek tego publicystyka niemiecka nietylko skwapliwie skorzystała z popełnionych przez inicyatorów błędów, ale nadto przesadziła je rozmyślnie, aby z góry odmówić tym sprawozdaniom wszelkiej wartości naukowej. Tak jednak nie jest. Książka: *Der Wucher auf dem Lande* zbyt wiele odsłania rzeczy nieznanych dotąd — złożyło się na nią tylu uczciwych i zamiłowanych w pracy około dobra ludu wiejskiego obywateli, że przejść nad nią po prostu do porządku dziennego, jak pragnął pewien odłam prasy niemieckiej, niepodobna. Wypada tylko zredukować do właściwej miary zarzuty uczynione tej książce — jeśli nie w interesie prawdy, bliżej Niemców niż nas obchodzącej, to choć dla ustrzeżenia się od błędów w badaniu tej samej sprawy na gruncie naszym.

Rozprawmy się naprzód z zarzutami niesłusznemi, podnoszonemi przeciw kwestyonarzowi. Dr. Juliusz Zuns w odczycie mianym we Frankfurcie dnia 19 marca 1888 r. [2], wystąpił z obszerną krytyką kwestyonarza, ułożonego przez radcę Thiela.

---

[1] *Der Wucher auf dem Lande.* Berichte und Gutachten, veröffentlicht vom Verein für Socialpolitik. Leipzig, Duncker und Humblot 1887.

[2] *Der Wucher auf dem Lande.* Eine Kritik des Fragebogens der vom Verein für Socialpolitik veröffentlichten Wucherenquête, von Jul. Zuns, Doctor der Staatswissenschaften. Frankfurt am Main. 1888.

Wytyka mu mianowicie, że po raz pierwszy nazwano tu lichwą wynagrodzenie za pośrednictwo przy handlu bydłem lub zysk przy tym handlu osiągnięty; w takim razie, zdaniem Zunsa, przysparzanie sobie niestosunkowych korzyści w każdym handlu byłoby również lichwą, czego atoli Zuns nawet nie przypuszcza. Krytyk sądzi, że lichwa polegać może tylko na interesie kredytowym, wszystko inne jest handlem.

Naszem zdaniem jest to spór o słowa i jako taki, jałowy. Chodziło o zbadanie wyzysku w każdej formie, w jakiej występuje na zewnątrz i dlatego kwestyonarz wszelkie objawy jego objąć musiał. Pojęcia z biegiem czasu modyfikują się — o jakiemś ustalonem jakoby pojęciu lichwy, niewzruszonem w nauce, mówić niepodobna. Profesor dr. Miaskowski usunął, naszem zdaniem, wszelką wątpliwość, określając pojęcie lichwy w znaczeniu gospodarczem, jako korzystanie jednostek z faktycznego monopolu, jaki im w obrocie służy, jedynie dla swego dobra a ze szkodą lub nawet zgubą osób trzecich [1].

Zuns krytykuje zwłaszcza pytania odnoszące się do handlu bydłem, wychodząc z założenia, że nie można tu, jak przy wiktuałach, książkach i t. d., mówić o cenie targowej, którejby się kupiec trzymać musiał, ale że handel ten stoi na równi z handlem obrazami, starożytnościami lub starzyzną, gdzie niema cen ustalonych, gdyż w jednym wypadku kupiec zyskać może znacznie, ale za to w drugim wypadnie mu stracić. Zuns zapomina chyba, że stopień ryzyka przy handlu bydłem nie jest ani o włos większy od ryzyka istniejącego w innych gałęziach codziennego handlu; że sprzedając kawę, cukier, sukno i t. d. jest się tak

[1] Jakkolwiek nie ze wszystkiem z tą definicyą się zgadzamy, to jednak zużytkowaliśmy ją we wstępnem objaśnieniu do kwestyonarza umieszczonego w dodatku. (Zob. str. 49). Por. nadto cały szereg definicyj pojęcia lichwy w mojej książce *Der Wucher* (Lipsk, Duncker i Humblot 1893), str. 78—82, i moją definicyę str. 146. Definicya moja różni się zasadniczo od definicyi Miaskowskiego, podobnie jak od wszystkich dotychczasowych. Mimo to nie wcielam tu własnych teoretycznych wywodów, ponieważ chodzi mi w tej chwili jedynie o praktyczną stronę sprawy, a do tego definicya Miaskowskiego, najlepsza z dotychczasowych, najzupełniej wystarcza.

samo zależnym od cła, podatków, kryzysów handlowych, różnicy waluty, kursu dewiz i t. d., jak przy handlu bydłem od choroby nabytej sztuki bydła, zarazy w Rumunii lub Rosyi, rezultatu zbiorów, lub od innych, od woli handlarza niezależnych okoliczności. Przedmioty przez Zunsa postawione na równi z bydłem, zupełnie są innego rodzaju — nie mają bowiem wcale ceny targowej, a przeto argumentu tego nawet na seryo brać nie można.

Twierdzi dalej Zuns, że niesłusznie przyjmuje kwestyonarz monopol handlarza, skoro takowy faktycznie nie istnieje. Jakto, pyta, czyliż chłopi nie mogą założyć sobie towarzystw konsumcyjnych, jeśli nie chcą kupować u Żydów wiktuałów lub towarów bławatnych? Dlaczego omijają oni np. w Bawaryi targi i jarmarki na bydło, wyznaczone przypadkiem na soboty lub święta żydowskie, skoro Żydzi ich wyzyskują? Widocznie więc chłopi zadowoleni są z tego stanu rzeczy.

Argumentacya to nie nowa, nie wyszła dotąd poza widnokrąg szkoły manczesterskiej, którą zbyt wcześnie zaliczono do historyi. Wychodzi ona z fałszywego założenia równego rozwoju i równej świadomości wszystkich, i dlatego w samopomocy widzi *panaceum* wszelkiej niedoli ludzkiej. Zapomina atoli o ociężałości chłopa, o jego braku oświaty i braku środków, zmuszającym go do ustawicznego a nie, jak Zuns mylnie przypuszcza, wyjątkowego korzystania z kredytu; zapomina, że chłop w swoim rodzaju jest najgorliwszym zwolennikiem zasady: *laissez faire;* to co jest uważa za nietykalne, a każdą reformę w prostocie swego ducha, poczytuje za niebezpieczne nowatorstwo; pomija rozmyślnie, że ponad wrzekome prawo *de l'ordre naturel et essentiel* istnieją jeszcze prawa etyki i obowiązki solidarności społecznej — że przeto okoliczność, iż cierpiący poddaje się chorobie w mniemaniu, że jest ona złem koniecznem i że na nią niema już rady, nie uwalnia obeznanego ze sztuką leczenia od obowiązku uzdrowienia organizmu, skoro upatruje jeszcze możność ratunku.

Zarzuty Zunsa streszczają wszystko, co prasa niemiecka przeciw kwestyonarzowi i ankiecie błędnego naprowadziła, nie należy wszakże zapominać, że z zarzutami podobnemi wystąpiła tylko prasa miejska, znajdująca się w rękach ludzi bądź co bądź

nieobeznanych ze stosunkami na wsi; natomiast cała rolnicza prasa niemiecka tudzież towarzystwa gospodarcze wszech Niemiec nie miały nic do zarzucenia faktycznym rezultatom ankiety.

Ze stanowiska naukowego wszelako wypada wytknąć kwestyonarzowi pewne niedostatki, których można było uniknąć, a które wpłynęły niekorzystnie na odpowiedzi referentów.

W szczególności pytania stylizowane są zbyt ogólnie, niekiedy suggestywnie, przytem zaś niedokładnie określają, co rozumie pytający pod pojęciem lichwy, wskutek czego istotnie niektórzy referenci wiele wypadków pośrednictwa i handlu wciągnęli niepotrzebnie w zakres swoich sprawozdań.

Niewątpliwie wypada dążyć do tego, aby pośrednictwo handlarzy w wielu wypadkach uczynić zbędnem, a zysk z niego płynący przez odpowiednie zorganizowanie związków zarobkowych przysporzyć włościanom; niemniej przeto pozostać musi rzeczą niewątpliwą, że handlu nie posiadającego cechy wyzysku nazwać lichwą niepodobna.

Zarzucono również, że najwłaściwszą i najpewniejszą drogą do zebrania prawdziwych wiadomości o pewnych stosunkach, byłoby wysłanie komisyi fachowej po kraju, nie zaś zebranie w drodze pisemnej sprawozdań. Wprawdzie wówczas mogłoby to trwać zbyt długo, nimby komisya zdołała zgromadzić i krytycznie opracować olbrzymi materyał; w każdym jednak razie w ten sposób uzyskanoby najwyższy stopień prawdopodobieństwa otrzymanych informacyj. Słusznie wskazał Schnapper-Arndt[1], że nie chodzi o ogólny pogląd, którego utworzenie przypaść winno dopiero redakcyi sprawozdań, lecz przeciwnie o przytoczenie jak największej ilości konkretnych wypadków typowych z każdej okolicy, z wymienieniem nazwisk dłużników i wierzycieli, a tego właśnie brak wielu sprawozdaniom, dzięki zbyt ogólnikowej stylizacyi pytań.

Chcąc zużytkować doświadczenia zebrane w Niemczech, wypadło nam tedy obrać drogę, któraby łącząc wymagania

[1] *Zur Methodologie socialer Enquêten.* Frankfurt a. M. 1888.

praktyczne z celami nauki, zdolną była dostarczyć w czasie jak najbliższym rezultat najbardziej do prawdy zbliżony.

W pierwszej linii i nam nasunąć się musiała wyższość ustnego kontradyktoryjnego postępowania, stosowanego z takim skutkiem w Anglii, zwłaszcza że fachowa, przez Wydział krajowy na ten cel delegowana komisya, mogłaby poprzestać na zwiedzeniu 1—2 gmin typowych w każdym powiecie, a nadto głównie mogłaby skierować swą uwagę tylko na wschodnią Galicyę, co na ukrócenie prac jej bardzo korzystnieby wpłynęło.

Wszakże nie zapoznając rozlicznych trudności, jakie takiemu przedsięwzięciu stanęłyby na przeszkodzie, poprzestaliśmy na ułożeniu kwestyonarza, opartego na wynikach badań przedstawionych w rozdziale pierwszym, drugim i piątym. Kwestyonarz nasz różni się zasadniczo od niemieckiego. Stara się mianowicie wniknąć w najdrobniejsze szczegóły, żąda odpowiedzi konkretnych i dokładnych, słowem dąży do nagromadzenia jak największej ilości podstawowych danych, celem wysnucia z nich uogólnień i wniosków reformy. Dlatego kwestyonarz nasz nie zwraca się do kilkunastu ludzi wybitnej inteligencyi, jak to miało miejsce w Niemczech, przeciwnie chodzi nam o zebranie kilku a nawet więcej referatów z każdego powiatu, aby tym sposobem uzyskać informacye faktyczne, od ludzi obeznanych z warunkami miejscowemi, tudzież aby módz następnie informacye te porównać ze sobą i opracować krytycznie z uwzględnieniem osoby, stopnia wykształcenia, zapatrywań i t. d. referenta.

Tam, gdzie istnieją już Kółka rolnicze, prawdopodobnie będą one najlepiej i najbezstronniej oceniały stan rzeczy w gminie, najwięcej też ich relacye obfitować powinny w szereg pouczających przykładów, któremi wypadnie zapewne odeprzeć w przyszłości niejeden zarzut przesady lub uprzedzenia. Oprócz Kółek, duchowni, nauczyciele, towarzystwa zaliczkowe tudzież właściciele i przełożeni obszarów dworskich, znani z zajmowania się dobrem ludu, naostatek zaś rady powiatowe, notaryusze, adwokaci, urzędnicy rządowi, zwłaszcza urzędnicy starostw, powinniby wziąć udział w tej sprawie.

Przypuszczając, że kwestyonarz nasz dostanie się w ręce

ludzi różnego stopnia wykształcenia, staraliśmy się uczynić go ogólnie zrozumiałym i wykluczyć zeń wszelkie terminy prawnicze lub zwroty teoretyczne. W krótkim wstępie pomieszczonym na czele kwestyonarza, zaznaczyliśmy cel jego a zarazem zaleciliśmy bezstronność, która jedynie umożliwić zdoła rezultat pomyślny.

Niemniej dla zapobieżenia mylnemu pojęciu rzeczy, w jakie nawet referenci niemieccy mimo wybitnego stopnia wykształcenia popadli, zaznaczyliśmy różnicę istniejącą między lichwą a handlem, kładąc nacisk na pełne uprawnienie drugiego. Mimo to pomiędzy pytaniami naszemi znachodzą się i takie, które właściwie odnoszą się nie do lichwy, ale do handlu pośredniego; stało się to jednak w pełnem przeświadczeniu, że i taki handel, mający wszelkie pozory legalności, może przybrać w miarę okoliczności cechy lichwiarskie — nie w razie nadzwyczajnych zysków, bo i tym uprawnienia odmówić czasem niepodobna, ale w razie, jeśli zyski, chociażby mniejsze, połączone są z monopolem wierzyciela a zgubą i ruiną dłużnika. Pytania więc do samego handlu się odnoszące, mają jedynie na celu wykrycie praktyk lichwiarskich, a tem samem obronę uczciwego handlu przed ubliżającem utożsamianiem go z lichwą. Również i pytania odnoszące się do cen robocizny mają na pozór luźny tylko związek z badanym przedmiotem. W istocie rzeczy atoli mają one na celu wykrycie lichwy dworskiej, gdzieby ona dotąd istniała, i zbadanie wyzysku włościan także i w tej formie.

Kwestyonarz w sprawie lichwy na wsi.

Wstęp.

Lichwiarzem jest każdy, kto wyzyskuje przymusowe położenie drugiej osoby na wyłączną korzyść własną a na szkodę lub zgubę tego, z kim wchodzi w stosunek prawny. Należy go odróżnić od uczciwego kupca, pożytecznego i sobie i społeczeństwu, któremu za miernem wynagrodzeniem dostarcza potrzebnego mu towaru. Lichwa więc może się pojawiać w najrozmait-

szych postaciach i nie ogranicza się do pożyczek pieniężnych; przeciwnie kupiec zbożowy, handlarz bydła, towarów bławatnych, nasion i t. d. może być lichwiarzem lub człowiekiem uczciwym, stosownie do swego postępowania.

Lichwa najniebezpieczniejszą musi być dla włościan, ponieważ im najtrudniej przychodzi przeboleć jakąkolwiek stratę materyalną, tudzież, ponieważ dla braku oświaty najłatwiej dają się wyzyskiwać. Jest przeto najpilniejszem zadaniem społeczeństwa, jak najrychlej zbadać rozmaite objawy lichwy na wsi i rozmiary jej w każdym zakątku kraju naszego, aby potem przystąpić do przedsięwzięcia właściwych reform ustawodawczych i zainicyowania gospodarczych urządzeń, które okażą się potrzebnemi.

Aby dokonać tak wielkiego dzieła, potrzebnem jest szczere i gorliwe współdziałanie wszystkich obywateli kraju, którzy znając dokładnie otaczające ich stosunki lub mogąc łatwo je zbadać, wyświadczą krajowi swemu niepospolitą przysługę, jeśli podejmą się szczegółowej i gruntownej odpowiedzi na pytania w kwestyonarzu zawarte. Świadomi celu, do którego pytania te zdążają, winni oni podawać w odpowiedziach to tylko, co wiedzą dokładnie, lub na co mogą podać źródła wiarogodne; świadomi odpowiedzialności, jaka na nich zaciąży, winni przytłumić w sobie tam, gdzieby ono istniało, uczucie niechęci dla jednostek nieprawych a tem więcej dla całych klas społecznych lub wyznań, których nigdy winić nie należy za błędy jednostek, a powodować się jedynie chęcią poznania prawdy i dostarczenia jej ogółowi. Pożądanem jest, o ile możności, wymienienie nazwisk tak dłużników jak i wierzycieli dla zasłonięcia zarówno odpowiadającego jak i ankiety przed możliwym zarzutem stronniczości lub przesady. Nazwiska te jednak nie będą publikowane. Tylko w ten sposób trwała i skuteczna naprawa odnośnych stosunków może z Boską pomocą nastąpić.

Kwestyonarz.

I. *Pytanie ogólne.* Czy znane są pytanemu we wsi wypadki lichwy i jak się ona objawia; czy tylko przy pożyczkach w pieniądzach i zbożu, czy także przy handlu ziemią, bydłem, sprzę-

tami gospodarskiemi, nasionami i t. d., przy dzierżawie gruntów lub godzeniu najmitów na robociznę?

II. *Pożyczki pieniężne.* Czy przy udzielaniu pożyczek ustanawia się dotąd wysokie procenta lub prowizye i jakie?

Czy zdarzają się pośrednicy do wyrobienia tych pożyczek, czy i jakie wymawiają sobie wynagrodzenie? Czy w umowach pożyczkowych wierzyciele wymawiają sobie kary umowne na wypadek niedotrzymania terminu zwrotu pożyczek? Czy ostatnie płatne są w gotówce lub w naturaliach? Czy wierzyciel potrąca sobie procent za czas trwania pożyczki z góry przy wypłacie takowej?

III. *Dokumenta żądane przez wierzyciela.* Jakich żąda wierzyciel dokumentów? Czy poprzestaje na prostym skrypcie dłużnym, ułożonym przez niego samego, pisarza gminnego lub zawodowego pisarza pokątnego, czy też wymaga na skrypcie notaryalnej legalizacyi lub zgoła aktów notaryalnych i weksli? Czy zdarza się, że zamiast wystawienia skryptu dłużnego gospodarz pozwala się zaskarżyć do sądu o jakiś dług nieistniejący wcale i bądź na terminie zawiera z wierzycielem ugodę sądową, bądź wcale na terminie nie staje, wskutek czego wierzyciel uzyskuje przeciw niemu wyrok zaoczny, poczem dopiero udziela mu pożyczkę w umówionej wysokości? O ile różni się kwota istotnie pożyczona od sumy ugodą lub wyrokiem objętej? Czy zdarza się, że wierzyciel wzbrania się wprawdzie pożyczyć dłużnikowi potrzebną mu sumę, ale natomiast żąda, aby dłużnik zeznał na rzecz trzeciej niepodejrzanej osoby skrypt dłużny na sumę niestosunkowo większą (i o ile), następnie zaś otrzymawszy ustępstwo (cesyę) tej wierzytelności od owej osoby, wypłaca nie kapitał skryptem objęty, ale tylko pierwotnie umówiony, by tym sposobem zasłonić się osobą ustępującego (cedenta) przed podejrzeniem trudnienia się lichwą?

IV. *Zabezpieczenia żądane przez wierzyciela.* a) Zastaw nieruchomości. W jaki sposób zabezpiecza sobie wierzyciel zwrot kapitału, czy mianowicie żąda oddania w zastaw gruntu, czy bierze go w dzierżawę za czynsz odpowiadający wysokości na-

leżnych mu procentów, czy poprzestaje na zastawie ruchomości lub zgoła żadnego nie żąda zabezpieczenia?

Czy wierzyciel używa gruntu zastawionego; czy każe sobie ponadto płacić procent, czy też poprzestaje na dochodzie z roli zastawionej?

Czy zdarzają się sprzedaże gruntów „na lata“ lub z zastrzeżeniem prawa odkupu dla dłużnika i pod jakiemi warunkami? Czy w takich kontraktach cena kupna odpowiada istotnej wartości sprzedanego gruntu, czy też jest niższą i o ile? Czy w kontraktach dzierżawnych, zawieranych między wierzycielem a dłużnikiem, czynsz opłacany przez wierzyciela odpowiada istotnej wartości gruntu, czy też jest niższy i o ile? Czy wierzyciel od czynszu tego potrąca sobie jeszcze przed wypłatą procent od pożyczki udzielonej i jaki?

b) Zastaw ruchomości. Czy zdarzają się wierzyciele trudniący się regularnie i stale udzielaniem pożyczek na zastaw ruchomości, czy posiadają oni wymagane koncesye od starostw, czy używają przedmiotów oddanych im w zastaw lub wypożyczają innym do użytku za zapłatą, czy wydają kwity zastawnicze, zawierające szczegółowy opis zastawu? Czy po upływie terminu zwrotu pożyczki uznają zastaw za przepadły, a w razie sprzedaży takowego zwracają dłużnikowi możliwą nadwyżkę po potrąceniu pożyczki z narosłemi procentami?

V. *Sposób zaciągania i uiszczania się z długu.* Czy dłużnik uiszcza procent lub nawet kapitał gotówką, w naturaliach, wytworach przemysłu domowego i rzemiosła, lub odrobkiem, i czy sposób zwrotu procentu lub kapitału ustanawia z góry już umowa, czy też wierzyciel w miarę potrzeby lub dłużnik w miarę możności wybiera jeden lub drugi sposób zwrotu?

Czy zdarzają się pożyczki udzielane w zbożu, np. w czasie przednowku lub głodu, które dłużnik obowiązuje się zwrócić gotówką, według ceny zboża znacznie wyższej, w pewnym dniu z góry określonym? Czy zdarzają się pożyczki pieniężne, które dłużnik obowiązuje się zwrócić w naturaliach, ale w ilości przechodzącej znacznie możność wyprodukowania na gruncie do niego należącym? Czy zdarzają się podobne umowy kupna spodziewa-

nych plonów, co do których jednak z góry przewidzieć może dłużnik, że ich ziemia w takiej ilości wydać nie może i przeto będzie zobowiązany zapłacić kupcowi pewną karę umowną z góry postanowioną lub wartość niedostawionego zboża znacznie wyższą w pewnym dniu z góry określonym?

VI. *W szczególności zwrot w formie odrobku.* Czy zdarzają się wypadki, w których wierzyciel narzuca się wprost włościaninowi, ofiarując mu pożyczkę, o którą tenże wcale nie prosił, jedynie celem zapewnienia sobie wytworów jego rzemiosła po niestosunkowo nizkich cenach, względnie dla zapewnienia sobie taniego robotnika na czas żniw lub innych robót polnych? Jeżeli zwrot następuje w wytworach przemysłu domowego lub rzemiosła dłużnika, w jakiej cenie przyjmuje je wierzyciel i o ile takowa jest niższą z jednej strony od ceny płaconej przez handlarza rękodzielnikowi, który nie jest jego dłużnikiem, z drugiej zaś strony od ceny sklepowej? Jaki jest upływ czasu od chwili zaliczania pożyczki do chwili odebrania produktów dłużnika? Jakiej kategoryi rzemieślnicy korzystają najczęściej z tego rodzaju kredytu? Jeżeli zwrot procentów lub kapitału następuje w formie odrobku, w jaki sposób następuje rozrachunek? Czy mianowicie dłużnik obrabia pole wierzyciela jedynie za procent, czy też policza mu się ceny robocizny według zwyczajnych cen przyjętych we wsi lub według cen mało co niższych? Czy w takim razie policza się wprawdzie z jednej strony wartość robocizny, a z drugiej procent od pożyczonego kapitału, ale pierwszą przyjmuje się w kwocie niestosunkowo nizkiej?

Jaka jest w szczególności w okolicy cena robocizny przy sianie i żniwie, przy młocce, przy orce i siejbie, w lesie, przy plewieniu i kopaniu ziemniaków, z wiktem czy bez wiktu, a jaką cenę przyznaje wierzyciel za dokonanie tych robót dłużnikowi? Czy za robotę w polu płaci się najmitom pieniędzmi, czy też wódką, solą lub innemi wiktuałami? Czy policza się je w cenie odpowiedniej, czy też znacznie wyższej?

VII. *Prolongata.* Czy w skryptach dłużnych przez włościan wystawianych zastrzeżone bywa na rzecz wierzyciela prawo żądania zwrotu kapitału każdej chwili lub w pewnym krótkim, np.

14-dniowym terminie, a to bądź bezwarunkowo, bądź w razie niedotrzymania któregokolwiek warunku umowy, np. niezapłacenia choćby jednej raty w terminie? Czy w tym wypadku wierzyciel robi użytek ze swego prawa, lecz wypowiedziawszy kapitał folguje następnie dłużnikowi za pewną opłatą lub np. wskutek zobowiązania się dłużnika odprzedania tylko wierzycielowi oczekiwanego plonu lub przychowku z bydła, choćby inni kupcy wyższą ofiarowali cenę?

Czy wogóle zdarzają się prolongaty pożyczek i pod jakiemi warunkami? Czy mianowicie dłużnicy okupywać muszą każde odroczenie terminu zapłaty długu świadczeniami w naturze lub robotą w polu? Na czem polegają te świadczenia i ile dni roboczych zwyczajnie wymawia sobie wierzyciel w takim razie?

VIII. *Handel ziemią.* Czy zdarzają się w gminie wypadki zakupienia gruntów włościańskich przez nie-włościan, a to bądź na publicznych licytacyach, bądź z wolnej ręki, przyczem nabywca wyzyskuje przymusowe położenie właściciela, który np. emigrować zamierza, lub nieobecność innych licytantów celem nabycia gospodarstwa za niestosunkowo nizką cenę, następnie nabyte w ten sposób grunta bądź w całości, bądź w części odprzedaje włościanom? Czy nabywca tego rodzaju nie powstrzymuje innych włościan od udziału w licytacyi lub nie przeszkadza wogóle bezpośredniemu przyjściu do skutku kontraktów kupna, sprzedaży między włościanami, zjednywając sobie możliwych współzawodników wódką (mohoryczem) lub innemi ustępstwami? Czy przy tego rodzaju handlu ziemią nie zachęca odprzedający włościan do lekkomyślnego zakupna ziemi po niestosunkowo wysokich cenach, przyjmując od nich nieznaczny zadatek lub nawet nie żądając na razie żadnych rat?

Jakie są następstwa podobnego lekkomyślnego nabywania ziemi, której zapłacić nie mogą, po stronie włościan?

IX. *Handel bydłem.* Czy zdarza się, że włościanin na przednowku lub w innej potrzebie sprzedaje kupcom miejscowym przychowek z bydła teraźniejszy lub także i przyszły, wszakże przyjmując warunek dalszego wypasania i hodowania go kupcowi przez lat kilka i warunek dalszy, że gdyby bydło w mię-

dzyczasie zdechło, szkoda trafi nie właściciela ale sprzedającego? Czy nie zdarza się na targach lub poza niemi, że bydła od włościan nie zakupują wprost handlarze zawodowi, ale t. zw. przelewacze, o ile niższą wypłacają oni cenę od handlarzy i dlaczego lud nie woli udawać się do ostatnich: z niewiadomości, z powodu oddalenia targów, czy też z innych powodów? Czy zdarza się, że włościanie zakupują bydło od przelewaczy takich na kredyt i obowiązują się cenę kupna w pewnych, z góry oznaczonych ratach uiszczać, przyczem się postanawia, że w razie niedotrzymania choćby jednej raty, poprzednio uiszczone bezwzględnie przepadają na rzecz sprzedającego, a zakupiona sztuka bydła wraca do niego bez żadnej bonifikacyi dla włościanina? Czy zdarzają się umowy tej treści, że handlarz wstawia sztukę bydła w stajnię włościaninowi niejako na wypas, potem zaś ją sprzedaje? Czy w takim razie zyskiem osiągniętym ze sprzedaży przychowku dzielą się obie strony i jaki mianowicie udział przypada na włościanina? Czy kupiec od wypłaconej z góry ceny kupna policza sobie procent i jaki, i czy takowy z udziału włościanina potrąca?

Czy gospodarze najmują bydło cudze do roboty w polu, pod jakiemi warunkami i od kogo? Czy właściciel wynajętej sztuki bydła każe sobie za to płacić pieniędzmi, czy też zastrzega sobie część (połowę?) przychowku, mleko od krów, robociznę i t. d.

Czy nie zdarza się, że taki właściciel wynajętej sztuki bydła zażąda nagle jej zwrotu, a to właśnie w chwili, w której jest ona włościaninowi niezbędnie potrzebną, w zamian zaś za dalsze jej pozostawienie, żąda zawarcia z nim innych interesów kupna, sprzedaży lub zamiany gruntów, bydła, danin w naturaliach, robocizny i t. d.?

Czy nie zdarza się, że wierzyciel wymawia sobie tytułem procentów od udzielonej pożyczki utrzymania bydła swego na pastwisku dłużnika? Jaką jest ta pożyczka, ile sztuk bydła wierzyciel pasie wówczas na pastwisku dłużnika i jaka jest przeciętna wartość tej paszy w gminie?

X. *Sprzedaż artykułów drobnego handlu włościanom i zakupy-*

wanie od nich produktów surowych lub wyrobów domowego przemysłu. Czy odbywa się w gminie wymiana zboża, masła, sera, jaj i t. d. na wódkę, towary kolonialne, bławatne i t. d. mniejszej wartości, atoli bez dopłaty ze strony właścicieli ostatnich towarów?

Czy nie zdarza się w szczególności, że kupcy dostarczają włościanom i rzemieślnikom wiejskim mąki, kaszy, chleba, soli, nafty, nasion, słoniny, tytoniu, butów, płótna, igieł, perkalu, rzemieni, żelaza, nici oraz innych przedmiotów codziennego użytku na kredyt, wymawiając sobie zwrot w naturaliach lub robociźnie niżej oszacowanej? O ile wzajemne to świadczenie dłużnika przyjmuje wierzyciel w niższej wartości w porównaniu z cenami opłacanemi przez kupujących za gotówkę? Jaka miara lub waga towaru kupca odpowiada przy podobnych kontraktach zamiany mierze lub wadze towaru włościanina, a jakie są ceny zwyczajne tych towarów przy kupnie, względnie sprzedaży za gotówkę?

XI. *Pominięte wypadki.* W jakich jeszcze interesach, na wsi zawieranych a tu pominiętych, ma jedna strona sposobność do wyzyskania niewiadomości, lekkomyślności lub przymusowego położenia drugiej, w jakich interesach czyni z tej możności rzeczywiście użytek i w jaki sposób?

XII. *Stosunki osobiste lichwiarzy.* Jaki jest właściwy zawód wyzyskiwaczy wiejskich, czy trudnią się oni lichwą pod różnemi postaciami, tylko jako ubocznem zajęciem, czy też wyłącznie i jako główne je traktują? Czy arendarze, dzierżawcy dystrybucyj, rzemieślnicy wiejscy trudnią się lichwą? Czy trudnią się nią Izraelici, koloniści niemieccy, majętniejsi gospodarze na wsi?

XIII. *Agitacya lichwiarzy przeciw samopomocy włościan. Przestrzeganie ustaw.* Czy lichwiarze powstrzymują lud wiejski od kupowania w sklepikach „kółek rolniczych“ lub od pożyczania pieniędzy w gminnych lub powiatowych kasach pożyczkowych, w towarzystwach zaliczkowych, pow. kasach oszczędności i t. d., dostarczając bądź towaru istotnie w większym wyborze lub lepszym gatunku, bądź pieniędzy zaraz i pod sekretem, którego istotnie dochowują? Czy przepisy ustawy o pijaństwie z dnia 19 lipca 1877 r. l. 67 dpp. są w karczmie na widocznem miejscu po polsku a względnie po rusku umieszczone i czy napisy te są

czytelne? Czy szynkarze udzielają napojów gorących na kredyt, mimo że dawniejszy dług z podobnego tytułu nie został dotąd zaspokojony? Czy w takim razie żądają zastawów lub poręki?

Czy pomimo niezaskarżalności podobnych długów zdarza się, że szynkarze je zaskarżają, podając inne tytuły, a dłużnik nie znający przepisu ustawy i nie umiejący czytać i pisać, nie podnosi żadnego zarzutu? Czy zdarza się, że szynkarze przez ostrożność na długi powstałe z kredytowania napojów gorących każą sobie wystawiać skrypta dłużne lub weksle?

XIV. *Wnioski reformy.* Jakie reformy w organizacyi sklepików „kółek rolniczych“, tudzież kredytu włościańskiego, handlu bydłem, parcelacyi gruntów i t. d. wydają się odpowiedniemi dla naprawy odnośnych stosunków?

Dr. Leopold Caro.

BUDDHYZM.

Buddhyzm zaliczają wszyscy, i słusznie, do religii Indyj, tutaj on bowiem wziął początek i stąd rozszedł się po dalekim Wschodzie, jednakże nie można zaliczać go do hinduizmu. Jakkolwiek doktryny buddhystyczne nawiązane zostały do pojęć filozoficzno-religijnych Aryów Wschodnich, jakkolwiek część Aryów przyjęła je za swoje i należy do tego wyznania, jednakże przez to już samo, że buddhyzm odrzuca Wedy, do hinduizmu zaliczonym być nie może; są zresztą inne przyczyny, o których pomówimy niżej, które dostatecznie usprawiedliwiają pomieszczenie buddhyzmu w osobnym dziale. Przedewszystkiem należy się porozumieć co do znaczenia samej nazwy.

Przez buddhyzm, w najobszerniejszem słowa znaczeniu, rozumiemy religię, która uznaje Buddhę za swego założyciela i zakonodawcę, ten jest jedyny punkt wspólny dla wszystkich buddhystów, poza tem wyznawcy jej tak się różnią między sobą, nietylko w zewnętrznym kulcie ale i w zasadniczych dogmatach, iż każdy kraj, w którym wyznawany jest buddhyzm, całkiem odrębną stanowi sektę. Buddhyzm Cejlonu różni się od buddhyzmu Nepalu, buddhyzm Birmy i Kochinchiny nie jest podobny do buddhyzmu Tybetu i Mongolii, chiński i japoński buddhyzm nazwą swą nawet wyróżnia się od buddhyzmu hinduskiego. Co więcej, buddhyzm w ciągu swego dwudziestopięcio-wiekowego istnienia takim uległ przeobrażeniom, iż gdybyśmy nie wiedzieli skądinąd, że Sanczi i Amrawati są pomnikami buddhyjskiemi, moglibyśmy się

zawahać, do jakiej zaliczyć religii te świątynie. A jednakże buddhyści posiadają „stare“ księgi religijne, które winne były utrzymać wśród nich jednostajność doktryny, lecz właśnie krytyczny przegląd tych ksiąg wyświeca nam rozdroża, po jakich roztoczył się buddhyzm.

Najdawniejszą księgą buddhystyczną jest *Try-pitaka*, czyli kanon cejloński. Try-pitaka pisana jest językiem *pali*, lecz ten język różni się tak od języka Asoki, jak i od prakrytu, którym mówią obecnie mieszkańcy z okolic Magadhy. Według podania Mahinda, syn Asoki, około r. 250 przed Chr. przywiózł te księgi na Cejlon i przetłumaczył je na język Sinhalezów, lecz tekst ten zaginął, i w V. dopiero wieku naszej ery, około roku 420, mnich buddhyjski Buddha-ghosza, przybywszy z Magadhy, zebrał podania ustne i piśmienne i wydał je w dzisiejszej osnowie. Czy Mahinda przywiózł księgi buddhyjskie na Cejlon, nie jest rzeczą pewną, natomiast o pochodzeniu Try-pitaka z V. w. zapewniają nas kroniki cejlońskie, *Maha-wansa*, z tegoż wieku, a którym wszyscy pisarze europejscy przyznają wierzytelność. Jeżeli zatem byłoby prawdą, jak utrzymują buddhyści, że Gautama żył i nauczał w VI. w. przed Chr., wówczas najdawniejsze księgi buddhyjskie byłyby spisane w 1000 lat po śmierci swego autora. Wynika z tego, że wrzekomo autentyczne słowa Gautamy, podane w Try-pitaku, są czystym wymysłem, a jak twierdzi uczony indolog Copleston [1], biskup anglikański na Cejlonie, cały „Kanon cejloński“ jest raczej dziełem i doktryną Buddhy-ghoszy a nie Gautamy.

Kanon północny, zwany Nepalskim, jest jeszcze późniejszy, sięga on VI. w. po Chr., pisany jest sanskrytem; księgi te zostały przetłumaczone na język tybetański i noszą tam nazwę *Kandżur*.

Jakkolwiek o szczegółach doktryny buddhystycznej dowiadujemy się dopiero z V. wieku po Chr., o istnieniu samej sekty mamy daleko wcześniejsze dane. Megasthenes, około r. 300 przed

[1] *Buddhism, primitive and present, in Magadha and Ceylon*, by R. S. Copleston. London 1893.

Chr., rozróżnia między filozofami hinduskimi dwie szkoły: Brahmanów i Garmanów, Γαρμᾶνες; otóż tych ostatnich indologowie identyfikują ze Śramanami Asoki, czyli buddhystami. Pomniki późniejsze, z III. w. przed Chr., na tak zwanych *latach* rzucają nieco światła na buddhyzm.

Asoka żył w III. w. przed Chr., a miał być wnukiem słynnego Czandra-gupta, z grecka Sandrokottos, przy którego dworze posłował Megasthenes, wysłannik Seleuka. Napisy, jakie pozostawił Asoka, znajdują się w Gudżeracie, Beharze, Kutaku, Allahabadzie, Delhi i Afganistanie. Potężny król Magadhy zabrania w swych ukazach wszelkich krwawych ofiar, zaleca zaś spokój, łagodność, dobroć, moralność, uczynność tak względem ludzi jak i zwierząt; nie wspomina nic o Najwyższej Istocie, a raz jeden wymienia Buddhę. To pominięcie Najwyższej Istoty jest nader znaczące i pouczające. Jeżeli sobie przypomnimy, że pomiędzy napisami staro-perskiemi niema ani jednego, w którymby panujący Achemenida nie wyraził swej wiary w *Baga wazarka,* nie okazał i nie nakazał czci dla *Auramazdy,* wówczas liczne napisy Asoki, pomijające zupełnie milczeniem Najwyższą Istotę, dowodzą niezawodnie bezwyznaniowości buddhyzmu, co zresztą potwierdzenie otrzymuje w Sutrach filozoficznych, o których mówiliśmy.

Słynne Topy z Sanczi i Amrawati, budowane w pierwszych wiekach naszej ery, są nadzwyczaj cennemi i pouczającemi źródłami do historyi buddhaizmu; pomówimy o nich obszerniej na właściwem miejscu.

Wreszcie posiadamy wierzytelny opis podróży dwu chińskich buddhystów, Fah-Hian i Hiuen-Czang, z których pierwszy zwiedzał Indye między 399—414 r., drugi zaś między 629 i 645. Stolicą Magadhy była Patali-putra, gdzie Fah-Hian przebył lat trzy. Miasto było wówczas wielkie, było w niem wiele pagod, pałac Asoki leżał w gruzach. Odbywały się tam wspaniałe procesye. Wielki wóz, na którym umieszczony był posąg Buddhy, prowadzono wśród niezliczonych tłumów. Wihary były bardzo liczne, w niektórych przebywało kilkaset, a nawet kilkanaście tysięcy Śramanów. W kilka wieków później Hiuen-Czang stwier-

dza, że buddhyzm w Indyach znajdował się już w zupełnym upadku.

Takie są tylko wierzytelne źródła, odnoszące się do buddhyzmu; do odtworzenia jego historyi należało je uzupełnić krytycznemi wyciągami z kronik miejscowych, i tam gdzie się dało, świadectwami pisarzy klasycznych. Dzięki gruntownym pracom pisarzy europejskich, możemy już dziś podać prawdopodobny przebieg ruchu religijnego buddhystów.

Założyciel buddhyzmu nazywał się *Gautama,* albo *Gotama,* jak się wymawia w języku *pali.* Ojciec jego należał do pokolenia *Sakya,* stąd pochodzi nazwa *Sakya-muni,* tj. „mędrzec z pokolenia Sakya", jaką dają krzewicielowi tej doktryny; *Buddha,* znaczy „oświecony" i jest również przydomkiem.

Gautama miał się urodzić w VI., inni utrzymują, że w V. w. przed Chr. w Kapila-wastu, dzisiejszem Bhuila, które leży na południe od Nepalu. W tych właśnie stronach powstał i rozwinął się buddhyzm, tu leżą miejscowości, gdzie przebywał i nauczał Gautama, mianowicie Ayodhya, Buddha-Gaja, Magadha (dzisiejszy Behar), stolica potężnego już wówczas państwa, którego początek ma sięgać, według kronik miejscowych, XV. a nawet XXX. wieku przed Chrystusem [1].

O działalności Gautamy i jego nauczaniu nic nie wiemy pewnego; kroniki buddhyjskie nie zasługują na uznanie; wtargnięcie dopiero Greków do Indyj i zapiski ich pisarzy, dostarczają nam pewniejszych danych, odnoszących się do buddhyzmu.

Jednym z wodzów hinduskich, którzy wyparli Greków z Indyj, był Czandra-gupta, owładnął on następnie tron Magadhy i dał początek nowej dynastyi, zwanej Maurya; stolicą jego państwa była Patali-putra, około r. 315 przed Chr. [2]. Wnuk jego Asoka był nader wojowniczym, rozszerzył granice swego królestwa od Peszawaru i Kaszmiru po rzekę Kistna, od Suratu po Orysę i Bengal. Około roku 257 Asoka został buddhystą, zwołał

[1] Prof. Wilson podaje rok 1400; Sir William Jones rok 3101.

[2] Grecy nazywali go *Sandra-Kottus,* a stolicę jego, dzisiejszą Patna, *Palibothra.*

„wiec buddhyjski"; tam miała być ułożona doktryna Gautamy[1] i „Kanon ksiąg", zwany Cejloński. Asoka ogłosił buddhyzm jako religię panującą, a wszechwładna ręka monarchy azyatyckiego nie przebierała zapewne w środkach, mających zapewnić wykonanie swej woli. W pierwszym wieku naszej ery, Kaniszka, wódz scytyjski, wtargnął do Kaszmiru, podbił go pod swe panowanie i został gorliwym buddhystą. Za jego właśnie czasów miał się zebrać „drugi", buddhyści zaś utrzymują „czwarty", wiec buddhyjski, który dał początek „doktrynie północnej"; w późniejszym czasie miał być ułożony tamże „Kanon", zwany Nepalskim.

Za panowania Asoki i Kaniszki buddhyzm doszedł do szczytu swego rozwoju, w tym czasie wielka część mieszkańców Indyj należała do tego wyznania, cały półwysep pokryty został wspaniałemi świątyniami buddhyjskiemi, wysłano misyonarzy buddhyjskich na Wschód, i niebawem Birma, Siam, Kambodża, Kochinchina, Tybet, Mongolia, część Chin i Japonii przyjęły nowe wyznanie[2]. Świetność jednak buddhyzmu, przynajmniej w Indyach, nie długo trwała; podróżnicy chińscy z VI. wieku zaznaczają już jego upadek. Generał Cunningham, na mocy badań archeologicznych, jakiemi zajmował się w Indyach, utrzymuje, że między V. a VII. w. naszej ery, buddhyzm zaczął upadać, w ciągu wieku VIII. upadek jego był gwałtowny; do XII. jednak wieku utrzymywał się jeszcze w Benares, Malwie i Gudżeracie. W dzisiejszych czasach buddhyzm jest w zupełnym upadku. Do niedawna wprawdzie liczono buddhystów w całym świecie około 500 milionów, lecz liczba ta była błędną; statyści zaliczali wyznanie Konfucyusza i Taoistów do buddhyzmu, profesor uniwersytetu oksfordzkiego Legge i uczony ambasador chiński Liu,

[1] Buddhyści nazywają ten wiec „trzecim", dwa pierwsze miały się odbyć dawniej, nie ma na to jednak żadnych dowodów, i Copleston, w dziele wyżej wspomnianem, nazywa ten wiec „pierwszym".

[2] Według danych, obrobionych krytycznie przez pisarzy angielskich, buddhyzm został wprowadzony do Chin w r. 65 (naszej ery) za panowania Ming-ti; do Jawy między 24—57 r.; do Kaoli w Korei w r. 372; do Pe-ci (Korea) w r. 384; do części Tybetu w r. 407, do całego Tybetu w r. 632; do Japonii w r. 552; do Birmy w r. 450.

rzecz tę wyświecili — buddhystów jest tylko około 100 milionów, a z tej liczby 8 milionów przypada na Cejlon i Nepal.

W najświetniejszych jednak czasach swego istnienia buddhyzm nie stanowił nigdy jedności ani doktrynalnej ani hierarchicznej. Według samychże buddhystów, w zaraniu swego istnienia podlegał różnym zmianom; w pierwszych wiekach naszej ery rozpadł się na dwie wielkie sekty: *Maha-jana,* „wielki wóz", i *Hina-jana,* „mały wóz"; buddhyści z Cejlonu, Birmy i Siamu zaliczają się do tej ostatniej sekty, buddhyści innych krajów do pierwszej. Każda znowu z tych sekt dzieli się na większą lub mniejszą liczbę drobniejszych; każda prawie Wihara i Lamazerya jest sektą niezależną.

Sekty buddhyjskie różnią się nie tak istotą rzeczy jak raczej zewnętrznemi oznakami: w teoryi powołują się na swe „księgi kanoniczne", praktycznie, wszyscy dzisiejsi buddhyści wyznają wielobożność.

Uczeni buddhyjscy w swych akademickich rozprawach poruszają czasem teoretyczną stronę doktryny; lecz jeżeli dawniej, kiedy brahmani brali żywy udział w rozprawach buddhyzmu, jak to widzieliśmy poprzednio, doktryna Buddhy nie była ściśle naukową, nie była ani filozoficzną ani teologiczną, to dziś tem bardziej; dzisiejsze rozprawy rzekomo uczonych buddhystów mogą jedynie wywołać uśmiech politowania na usta [1]. Zresztą te „księgi kanoniczne", które teozofowie europejscy, na przekór chrystyanizmowi, tak wysoko w swych pismach wynoszą, oprócz etycznych przepisów, wziętych zresztą, jak to widzieliśmy, z Manu, a prawdopodobnie zaczerpniętych również z chrystyanizmu, są zbiorem najniedorzeczniejszych i najniesmaczniejszych bajek. Jako przykład podajemy tu streszczenie XX. rozdziału księgi „Lotus dobrego prawa" [2]; rozdział sam nosi tytuł: „Skutki nadprzyrodzonej władzy Buddhy":

Jeden z Buddhów dawniejszych, Prabhutaratna, odwiedził Gautamę i zajął miejsce obok niego. Natychmiast otoczeni zostali setkami

[1] Ks. Huc przytacza, w opisie swej podróży, ciekawe szczegóły.

[2] *Saddharma pundarika* e. a. d. „Lotus de la bonne loi", traduit par E. Burnouf. Anglicy tłumaczą: „Lotus of the True Law". Ta księga należy do Kanonu Nepalskiego.

tysięcy milionów, miliardów Bodhisattwa (tj. tych, którzy już doszli do Nirwany), liczba ich była nieprzeliczona, równała się atomom tysiąca światów, a wynurzyli się ze szczelin ziemi pod wpływem promienia świetlnego, który wytrysnął z brwi Sakyamuni. Bodhisattwy z rękami złożonemi do modlitwy oddają pokłon Buddzie. Święty Buddha i święty Prabhutaratna uśmiechają się. Ich język wychodzi poza usta i sięga nieba Brahmy; a zarazem wydobywa się z tych języków wiele setek tysięcy milionów, miliardów promieni. Bodhisattwy naśladują Buddhów, wystawiają swe języki i wskutek swej władzy nadprzyrodzonej pozostają w tym stanie przez sto tysięcy lat. Po upływie tych stu tysięcy lat wciągają napowrót swe języki i wydają zarazem odgłos, jakby gwałtownego wyrzucenia oddechu z gardła, przyczem psztykają palcami.

Praktycznie, dzisiejszy buddhyzm jest religią wielobożną i bałwochwalską. W każdej pagodzie znajduje się charakterystyczny posąg Buddhy, przedstawiony jest w postawie siedzącej, z nogami podwiniętemi, pogrążony w dumaniu. Temu bałwanowi buddhyści oddają cześć boską i składają mu ofiary. Nadto w tejże samej świątyni, obok Buddhy, znajduje się cały panteon bożków i bogiń: jest tam Wisznu, Siwa, Ganesa, Kali, Konfucyusz, Szin, bożkowie i boginie o kilkunastu głowach, rękach i nogach, mający różne najpotworniejsze kształty, a wszyscy odbierają cześć boską [1]. Co więcej, buddhyści oddają cześć boską rzekomym relikwiom Buddhy, włosom, paznogciom, słynnemu „zębowi“ w Kandy, który, mówiąc nawiasem, nie mógł być zębem człowieka, z powodu swych rozmiarów, lecz, jak utrzymują niektórzy, jest po prostu kłem dzika. Buddhyści wierzą w nieprzeliczoną moc duchów dobrych i złych, wszystkim oddają cześć; dobrym, by sobie zaskarbić ich opiekę, złym, żeby się uchronić od ich gniewu; oddają też cześć boską różnym symbolom i fetyszom. W Tybecie i Mongolii mają buddhyści „żyjących Buddhów“. W każdej większej Lamazeryi czyli klasztorze buddhyjskim znajduje się żywy Awa-

[1] „Its observances in Japan have undergone a still more striking alteration from their vicinity to the Sintu sect; and in China they have been similarly modified in their contact with the rationalism of Lao-tsze, and the social demonology or spirit-worship of the Confucians“. Sir Emerson Tennant, *Ceylon*, p. 527.

tara Buddhy, którego uważają za bożka i cześć boską mu oddają. Ks. Huc w swej podróży widział takiego żyjącego Buddhę, uderzył go przedewszystkiem wyraz oczu tego Buddhy, wzrok jego miał coś szatańskiego, a ks. Huc nie był całkiem ideologiem.

Buddhyści dzisiejsi nie przyjmują Nirwany w znaczeniu „nicości", lecz wierzą w „niebo" a raczej „nieba", których, według Koeppen'a, jest 26, a w każdem z nich są inni bogowie i boginie.

Kult buddhyjski jest bezkrwawy: buddhyści ofiarowują swym bałwanom owoce i kwiaty, palą na ich cześć wonne kadzidła. W liturgicznych obrzędach buddhyści zapożyczyli wiele z chrystyanizmu, śpiew, dzwonki, światło jarzące, ubrania kapłańskie wzięte zapewne były z katolickich obrzędów. Modlitwy buddhystyczne są krótkie; ogólnie przyjęta przez wszystkie sekty jest następująca: „Uciekam się do Buddhy, uciekam się do Prawa, uciekam się do Zgromadzenia". Zwykła modlitewka północnych buddhystów składa się z dwu wykrzykników i z dwóch słów sanskryckich: *Om mani padme Hum,* po polsku „Om klejnot w lotusie Hum"; co ona ma znaczyć, tego nikt nie wie. Im więcej razy powtórzoną jest modlitwa, tem większe przynosi skutki, lecz powtarzanie ustami nie jest wymagane i dlatego buddhyści wypisują te modlitwy na chorągwiach płóciennych, na skrzydłach małych wiatraków lub kołach wodnych, prąd wiatru i wody porusza je ciągle i zastępuje bogomodlcę.

Oprócz pospolitego kultu, buddhyści w każdym kraju mają specyalne kulty zbliżone do miejscowych: w Mongolii podali rękę Szamanizmowi, w Chinach Lao-ce, w Japonii Szin'owi, w Indyach wreszcie Jogizmowi i Saktyzmowi; „co gorsza, pisze Williams [1], buddhyzm zlał się zupełnie z Tantryzmem, to jest ,ze czcią żeńskiego pierwiastku, i tym sposobem sankcyonował najohydniejszą rozpustę". Tenże sam autor pisze dalej: „Lamazerye Sikkimu i Tybetu roją się od dzieci, które jakkolwiek nazywają się siostrzeńcami i siostrzenicami mnichów, są ich prawdziwymi dziećmi". Sir Ryszard Temple spotykał często w Sikkimie mni-

[1] *Buddhism*, p. 152.

chów żonatych, którzy się z tem nawet nie kryli [1]. Anglikański biskup Copleston, który od dłuższego czasu przebywa w Cejlonie, stwierdza moralny upadek buddhystów. Według tego autora, buddhyści nie rozumieją, że religijność winna się objawiać w życiu, co więcej, przyznają sami nizki swój poziom moralny [2]. Miss E. M. Clerke, opierając się na danych statystycznych, dostarczonych jej przez Giles, inspektora policyi w Cejlonie, pisze iż niema może na całej kuli ziemskiej ludu, któryby liczył wśród swego społeczeństwa tyle zabójstw, ile ich zdarza się wśród buddhystów cejlońskich, chociaż według ich przykazań nie wolno im pozbawiać życia żadnej istoty [3]; stwierdzają to samo opisy podróżników i w innych krajach buddhystycznych [4].

To następstwo było nieuniknione. Buddhyzm teoretyczny, obywający się bez pierwiastku religijnego, jakkolwiek przepisywał zdrowe zasady etyczne, nie sankcyonował ich wolą Najwyższej Istoty, której nie wyznawał, nie podawał też środków stosownych do wprowadzenia ich w życie: nieuchwytna Nirwana nie mogła być wędzidłem, powstrzymującem nieprawe namiętności. Lecz i późniejszy buddhyzm praktyczny, bałwochwalska i wielobożna religia buddhystów, nietylko nie był hamulcem, lecz jak

[1] *Journals,* II, p. 216.

[2] „I attribute this less to the want of exemplary religious characters than to the want of any idea that religiousness was to be tested by conduct in ordinary life... I have found a low standard of conduct acquiesced in as proper to Buddhists as compared with Christians. Instead of the Christian claim, which, whether well founded or not, is constantly made, ‚You can trust me, for I am Catholic'; I have often heard something like this, ‚What can you expect of me? I am only a Buddhist'... I am painfully avare, as I write this, how little Christian conduct corresponds to Christian Standard; but, at any rate, ‚Christian behaviour' means — on all lips — ‚good behaviour'; I suppose no one ever heard a Singhalese use ‚Buddhist conduct' as a synonym for ‚good conduct'. Copleston, *Op. cit.*, p. 481.

[3] Artykuł pod tytułem: *Buddhist Fanaticism in Ceylon*, w *Illustr. Cath. Mis.*, 1889.

[4] „Perhaps no religion equals the Buddhist in its injunctions as to tenderness for animal life; yet the Chinese, amongst whom are many Buddhists, and the Burmese, all of whom are Buddhists, are, as races, amongst the least merciful of mankind; are cruel, revengeful, and remorseless shedders of the blood of their fellow-man". Balfour, *The Cyclop. of India*, v. I, p. 499.

i inne religie pogańskie, uprawniał i pobudzał złe skłonności natury ludzkiej. Istota tedy buddhyzmu łatwo nam tłumaczy nizki poziom moralny jego wyznawców, lecz nie tłumaczy jeszcze zupełnego jego upadku w Indyach i poza ich granicami. Około V. wieku naszej ery większa część ludności w Indyach wyznawała buddhyzm, dziś liczba buddhystów ograniczona jest zaledwie do 8 milionów; w innych krajach, szczególnie w Japonii i Chinach, gdzie do niedawna buddhyzm był tak rozpowszechniony, liczba wyznawców coraz więcej maleje, buddhyzm przeobraża się i zlewa z religią krajową; jaka jest przyczyna jego upadku?

Największa część historyków, którzy zajmowali się tym przedmiotem, przypisuje upadek buddhyzmu w Indyach prześladowaniu brahmanów; zwolennicy teozofizmu szczególnie, wymownem oburzeniem, godnem lepszej sprawy, miotają się na rzekomych prześladowców. Otóż mniemanie to nie ma za sobą żadnych danych historycznych, nie było żadnej krwawej walki między brahmanami i buddhystami.

Książęta hinduscy wyznawali jedni buddhyzm a inni brahmanizm, jednakże niema nigdzie żadnej wzmianki, aby wiedli z sobą wojny religijne. Przeciwnie, istnieją dowody, że pod tym względem Hindowie okazywali wielką tolerancyę. Książęta tej samej dynastyi byli wyznawcami często różnych wyznań, a Radża panujący obdarzał wspaniałomyślnie zarówno buddhystów jak i wisznuitów i siwaitów. W XI. w. jeden z książąt wybudował swym kosztem trzy świątynie, z których jedna poświęcona była Dżajnie, druga Śiwie, trzecia Wisznu. Monety książąt turyjskich z I. w. są buddhaistyczne i siwaityczne zarazem. Pomijamy wiele innych przykładów, które znajdują się w dziełach specyalnych [1], dodamy tylko, iż dzisiejsi pisarze krytyczni uważają za bajeczne prześladowanie buddhyzmu w Indyach.

Co więcej, jeżeli było kiedy jakie prześladowanie, jakikolwiek ucisk religijny w Indyach, to takowy wywierany był ze strony buddhystów. Możny i słynny król Asoka był nietylko zwo-

[1] *Indian Antiquary* zawiera nadzwyczajne cenne zabytki, odnoszące się do tego przedmiotu. Piśmiennictwo krajowe, mianowicie, słynne dramaty Bhava-bhuti, popierają to zapatrywanie. Ob. również Barth i Kern.

lennikiem lecz i gorliwym krzewicielem buddhyzmu; w napisach swych mówi wyraźnie, że w ciągu dwóch lat „bogowie, którzy byli uważani w Dżambudwipa (Indyach) za prawdziwych, stali się czczymi, a wynik ten nie był skutkiem mojej wielkości, lecz mojej gorliwości“ [1]. Otóż ta „gorliwość“ w ustach azyatyckiego despoty każe się domyślać, iż nie obeszło się tam bez ucisku i gwałtu.

Nie jest również prawdą, aby wszyscy brahmani zajęli wrogie stanowisko wobec buddhyzmu: rzeczą stwierdzoną jest historycznie, że wielu brahmanów zostało buddhystami i w *Sangha,* tj. w zgromadzeniu buddhystów, zajmowali poczesne stanowiska „doktorów“.

Niektórzy historycy przypisywali wzrost buddhyzmu w Indyach zniesieniu przez Gautamę kastowości; otóż mniemanie to jest całkiem mylne, pod każdym względem. Lud hinduski ma całkiem inne pojęcie o kastowości, aniżeli pisarze europejscy: należenie do kasty jest rzeczą honorową w Indyach, utrata dopiero kastowości jest piętnem pogardy. Zresztą Gautama nie znosił całkiem kastowości, przyjmował uczniów ze wszystkich kast, nikogo nie wyłączał, nauczał że „jego prawo jest prawem łaski dla wszystkich“, lecz samych kast nie znosił. Co więcej, wraz z wprowadzeniem buddhyzmu do Cejlonu i wysp oceanu Indyjskiego, wprowadzone zostały tam kasty, gdzie dawniej ich nie znano [2]. Istotnie przyczyn wzrostu, a następnie i upadku buddhyzmu należy szukać gdzieindziej, zajść do źródła, należy mianowicie wyświecić nagły jego wzrost w Indyach, szczególnie zaś jego rzeczywistą, pierwotną doktrynę.

Według kronik hinduskich, które zgadzają się pod tym względem z pomnikami buddhystycznemi, najświetniejszy okres

---

[1] *Ind. Ant.*, vol. VI, p. 156.

[2] „Le bouddhisme, à l'epoque où il fut dominant, ne toucha nullement à la caste dans les pays où elle existait, et non seulement il n'y toucha pas, mais ce fut lui, selon toute probabilité, qui l'importa dans des contrées où elle n'existait pas encore, dans le Dékhan, à Ceylon, dans les îles de la Sonde, partout où un afflux considérable de population hindoue pénétra à sa suite“. Barth, *Op. cit.*, p. 75.

buddhyzmu, jak to już widzieliśmy, rozpoczął się w II. w. przed Chr. a przeciągnął się najdalej do wieku V. po Chr. W tym okresie występują dwie postacie historyczne, mające ścisły związek z buddhyzmem. Asoka i Kaniszka podbili pod swą władzę północne Indye, a ponieważ byli gorliwymi buddhystami, stąd, jak przystało na możnowładców azyatyckich, znaleźli stosowne środki do nawrócenia ludów, pozostających pod swym berłem, na religię państwową. Warunki też miejscowe sprzyjały temu niepoślednie.

Największa część ludów, które przyjęły wówczas buddhyzm, nie należała do szczepu aryjskiego; przeważnie byli to Turowie albo Finowie, a zatem byli pochodzenia scytyjskiego, jak słynny ich wódz Kaniszka, a może jak i Asoka, jest bowiem rzeczą pewną, że po kądzieli był on Sudrą. Wśród tych to ludów, nad dolnym Gangesem, Gautama począł głosić swą doktrynę, i wśród nich pozyskał pierwszych zwolenników; ludy też tego samego szczepu, lub z nim spokrewnione, mianowicie ludy tybetańsko-mongolskie dalekiego Wschodu pokwapiły się z przyjęciem buddhyzmu, i wśród nich też utrzymał się on do naszych czasów w całej pełni. Rozkrzewienie i utrzymanie się buddhyzmu jedynie wśród ludów tybetańsko-mongolskich nasuwa myśl, że doktryna Gautamy musiała się zbliżać do zasadniczych pojęć tych ludów; otóż, jak się przekonamy niebawem, pierwotny buddhyzm nie różnił się rzeczywiście od ich wyznania.

Lecz i inne ludy, mianowicie aryjskie, zajmujące już w owym czasie doliny gangesowe, wzięły żywy udział w religijnym ruchu buddhyjskim. W czasach, w których począł się szerzyć pierwotnie buddhyzm, Aryowie pod względem religijnych pojęć, znajdowali się w okresie przejściowym: dawniejsze wzniosłe i jednobożne pojęcia o Najwyższej Istocie osłonięte już były pomroką, przerodziły się w poetyczny wedyzm, który jednakże był jeszcze zbożnym. Wobec wzrastającego buddhyzmu wśród ludów, pomiędzy którymi zamieszkiwali, wobec zapewne parcia gorliwych możnowładców buddhyjskich, Aryowie nie mogli pozostać obojętnymi widzami. Nie myśleli, zdaje się, Aryowie o nawracaniu tamtych ludów na swe wedyjskie wyznanie, lecz nie mogli też przyjąć

buddhyzmu takiego, jakim się przedstawiał. Wobec braku wszelkiego pierwiastku religijnego w buddhyzmie, Aryowie nie mogli go przyjąć bez zastrzeżeń i zmian gruntownych. Hinduskie Sutry filozoficzne pouczają nas o walkach, jakie brahmani prowadzili w swych rozprawach akademickich; tam widzieć można, z jednej strony, ustępstwa jakie synkretyzm brahmański robił nowej doktrynie, a z drugiej, jak ich doktryneryzm naciągał ją do starych pojęć wedyjskich. Kompromis brahmański pozyskał uznanie, a ponieważ brahmani stali niezaprzeczenie daleko wyżej umysłowo od innych ludów buddhyjskich, stąd cały ruch religijny przeszedł w ich ręce i oni stali się rzeczywistymi twórcami dzisiejszego buddhyzmu. Brahmani pozostawili pierwotnemu buddhyzmowi kształty zewnętrzne, lecz przemienili jego istotę, uczynili go zbożnym a przykroili z wedyjska: do swego panteonu przyjęli Buddhę, który jako Awatara dobrze im się nadawał, zgodzili się na kult bezkrwawy, przypominający wedyjskie obrzędy, nadali nawet nowemu wyznaniu nazwę buddhyzmu, do czasu wszakże. Taki buddhyzm mogli już byli przyjąć brahmani i takowy przyjęli, różnił się on właściwie od wedyzmu tem tylko, iż pominięto milczeniem Wedy. Rozstanie ze staremi księgami leżało na sercu Aryom, i skoro nastały sprzyjające okoliczności miejscowe, Aryowie powrócili do swych Wed, a nie zmieniając nic z utartego już wyznania, przemienili tylko jego nazwę, buddhyzm nazwany został Wisznuizmem, dawniejsi buddhyści w Indyach zostali Wisznuitami.

Buddhyzm, z wyjątkiem mało co znaczącym w Indyach, utrzymał się tylko na dalekim Wschodzie, wśród ludów tybetańsko-mongolskich, lecz, jak już wspomnieliśmy wyżej, przejął się pojęciami religijnemi miejscowych ludów i różni się od buddhyzmu „kanonicznego“, a przedewszystkiem od buddhyzmu pierwotnego.

Jaki był buddhyzm pierwotny, o tem nie pouczają nas żadne księgi pisane, choć roszczą sobie do tego prawo: spisane tysiąc lat po śmierci Gautamy, przepełnione najniedorzeczniejszemi bajkami, żadną miarą nie zasługują na uznanie. Na szczęście mamy inne źródła: płaskorzeźby z Sanczi i Amrawati, ryte

w kamieniu, są wierzytelnemi dogmatami buddhyzmu pierwszych wieków.

Płaskorzeźby z Sanczi [1], pochodzące z I. wieku przed Chr., przedstawiają ludy różnych ras, zanoszące modły do Dagoby albo Czajtii, Drzewa, Ćakra albo Koła i Węża; Buddha nigdzie nie jest przedstawiony. Rzecz ta godna jest zastanowienia. Wiemy na pewno, że Stupa z Sanczi jest buddhyjską, że niektóre jej części były budowane jeszcze za Asoki, mimo to, nie widać tu całkiem buddhyzmu, a nawet przeciwnie, różnorodne przedmioty czci wykazują niezawodnie różne religie czy wyznania, a różnice typowe ludów w każdym obrazie utwierdzają to zapatrywanie. Co więcej, charakterystyczną cechą obrazów z Sanczi jest zupełny brak ascetyzmu. Kapłani nie są nigdzie przedstawieni, lecz częste tylko uczty i zabawy, tańce, miłosne przygody i podochocone oblicza [2]. Najbardziej uderzającem jest to, że na tych pomnikach przedstawiona jest wojna; wprawdzie idzie tam o pozyskanie „świętych“ relikwij, jednakże jeżeli bratobójcza walka sprzeciwia się wszelkim przyrodzonym pojęciom, to tem bardziej sprzeciwia się zasadniczym prawom buddhyzmu, który taki nacisk kładzie na zakaz pozbawiania życia wszelkiej istoty zwierzęcej.

Obrazy z Amrawati, późniejsze o lat 300, są prawie, co do istoty, takie same jak w Sanczi; przedmiotami czci są tu również: Czajtia, Drzewo, Ćakra, Wąż, z niektóremi jednak zmianami. Czajtia przybiera znamię bardziej symboliczne; kult Drzewa zaczyna się obniżać, w najdawniejszych obrazach spotyka się często, w późniejszych liczba ta tak maleje, iż w pomnikach z w. VI. zaledwie jeden, drugi okaz spostrzedz można. Ćakra występuje częściej i liczniej w Amrawati, aniżeli w Sanczi; najwybitniejsza jednak różnica spostrzegać się daje w kulcie Węża. W Sanczi kult Węża przedstawiony był tylko na jednym obrazie, w Amrawati Naga występuje bardzo często. Fergusson pisze [3]: „Przed-

[1] Ob. powyżej str. 167 i następ.

[2] „Music and dancing take the place of divine service, and drinking and love-making fill up the time of the Buddhists of those days“. Fergusson, *Tree and Serpent Worship*, p. 222.

[3] *Op. cit.*, p. 223.

stawienie kultu Węża napotyka się w Amrawati razy dziesięć albo dwanaście, na Dagobie i na słupach, i to w miejscach najcelniejszych, co wskazuje, że Naga był głównym przedmiotem kultu. Dwa razy przedstawiony jest Buddha w postaci siedzącej pod baldachinem z Nagów; trzy razy, takiż baldachin okrywa ‚święte stopy', a razy trzydzieści albo pięćdziesiąt zwiesza się nad głowami Radżów; bardzo często, prawie zawsze, poza postacią niewiasty wystaje łeb Nagi". Najwybitniejsza jednak różnica między obrazami z Sanczi i Amrawati polega na tem, że w tej ostatniej miejscowości pojawia się już kilka razy Buddha w postawie siedzącej, z podwiniętemi nogami — postać odtąd już typowa dla całego buddhyzmu; mnisi też buddhyjscy z ogolonemi głowami występują tu po raz pierwszy.

Tak się przedstawia ta religia, którą nazwaliśmy „buddhyzmem pierwotnym", a z którą buddhyzm późniejszy, rzeczywisty, stara się nawiązać łączność. Pierwszy rzut oka wskazuje zaraz wybitną różnicę, jaka między niemi istnieje, a jak to zobaczymy niebawem, różnica ta jest zasadniczą; jednakże jest i podobieństwo, mianowicie w symbolach. Lecz i samo znaczenie tych symbolów jest również różne. Buddhyzm właściwy przyswoił sobie przedmioty czci ludów z Sanczi i Amrawati, lecz nadał im swoje, własne znaczenie symboliczne. Wypada tę rzecz wyjaśnić nieco obszerniej.

Drzewo nie jest przedmiotem czci u buddhystów, jest tylko dla nich pamiątką doniosłego, wrzekomo historycznego zdarzenia, mianowicie zaś w cieniu drzewa *Pipali, Ficus religiosa*, Gautama miał otrzymać swą niezwykłą mądrość i posłannictwo krzewienia swej doktryny. Z tego to powodu buddhyści nazywają to drzewo *Boddhi-druma*, „drzewem mądrości" albo „umiejętności", od źródłosłowu *budh* „znać", a stąd *boddhi* „wiadomość, mądrość" [1]. Boddhi-

[1] Drzewo figowe, w cieniu którego Buddha otrzymał doskonałą mądrość, nazywane jest często w tej legendzie drzewem Bodi. Wyraz *bodi* znaczy mądrość, umiejętność, wiedzę... Nie jest całkiem rzeczą nieprawdopodobną, że nazwa ta jest wspomnieniem dawnych podań o drzewie wiedzy, jakie istniało w Raju. Bigandet, *The life or legend of Gaudama*, vol. I, p. 92.

druma znajduje się dziś przy każdej Stupie, Wiharze, Lamazeryi we wszystkich krajach, po których rozlał się buddhyzm; drzewa te mają pochodzić od oryginalnego Pipali z Buddha-Gaya, niedaleko Patny, pod którym Gautama miał otrzymać swe objawienie. Pątnicy chińscy Fah-Hian i Hiuen-Czang z V. i VII. w. naszej ery, podają szczegóły, które przedstawiają wierzytelny stan pojęć buddhyjskich z tej epoki; przytaczamy tu ustępy z Hiuen-Czanga[1] o Pipali z Buddha-Gaya:

Idąc w kierunku południowo-zachodnim od gór Pragboddhi, przybyliśmy do drzewa Boddhi. Drzewo jest otoczone murem z cegieł i ma około 500 kroków obwodu. Wewnątrz ogrodzenia jedno drzewo jest obok drugiego, we wszystkich kierunkach. W jednem miejscu znajdują się Stupy, w innem Wihary. W środku ogrodzenia stoi Boddhi-druma, pod którym jest wzniesiony tron zwany Boddhi-munda. Tam to Buddha spoczywał, skoro otrzymał najwyższą mądrość. W czasach trzęsienia ziemi, to jedno miejsce nie porusza się. W dawnych czasach, za życia Buddhy, Boddhi-druma czyli Pipala, święte drzewo figowe, miało wysokości kilkaset stóp. Liście nigdy nie więdną ani nie usychają, zimą czy latem, lecz zawsze lśnią i połyskują się, z wyjątkiem dni każdej Nirwany, wtedy na jakiś czas więdną, lecz niebawem odmładzają się. W tym dniu tysiące tysięcy (buddhystów) zgromadza się naokoło i polewają korzenie pachnącą wodą i mlekiem. Król Asoka, przed swem nawróceniem, usiłował zniszczyć drzewo, potem chciał uczynić to samo król Sasanka, lecz korzenie wydały zawsze pędy pełne życia.

Na wschód od Boddhi-druma wznosi się Wihara, wysoka na 160 albo 180 stóp, pokryta jest niebieską dachówką, w niszach znajdują się pozłociste posągi. Obok tej Wihary stoi inna, mniejsza, zbudowana przez Asokę, następnie jeden z nawróconych brahmanów wybudował większą.

Na północ od Boddhi-druma jest plac, długi na 70 kroków, tam przechadzał się Buddha; po otrzymaniu doskonałej mądrości, przez siedm dni nie ruszał się z miejsca, potem dopiero przez siedm dni następnych przechadzał się po wyżej wymienionem miejscu.

Na południowej stronie Pipali znajduje się Stupa, budowana przez króla Asokę, dochodzi do 100 stóp wysokości. Na wschód od drzewa wskazują miejsce, w którem Gautama był kuszony od Mary,

[1] Tłumaczenie S. Beal'a, vol. II, p. 115.

który go namawiał, żeby się ogłosił wszechwładnym i powszechnym królem; tam znajdują się „dwie stopy". Na północnym zachodzie znajduje się Wihara, a w niej cudowny obraz Kassyapa Buddhy. Od czasu do czasu wydaje on z siebie wielką światłość... Wskazują tu również miejsce, gdzie zdarzył się nadzwyczajny wypadek, gdzie mianowicie Buddha pokonał węża djabelskiego. Wśród nocy Naga począł zionąć na Gautamę takim dymem i ogniem, iż cała izba zdawała się być w płomieniach; lecz Buddha zmusił dumnego smoka do wejścia w swój garnek jałmużniczy i nazajutrz pokazał go swym niewiernym przeciwnikom.

Buddhyzm dzisiejszy zgadza się zupełnie z opowieścią Hiuen-Czanga co do symbolicznego znaczenia *Drzewa,* zgadza się z nim również co do pojęć o Wężu.

Buddhyści dla nawiązania widocznie swego wyznania z religią ludów z Sanczi i Amrawati przedstawiają czasami Buddhę, jako siedzącego na olbrzymich zwojach węża, czasami też siedmiogłowy Kobra zwiesza się w kształcie baldachinu nad postacią Buddhy. Oto jedyna łączność buddhyzmu dzisiejszego z buddhyzmem pierwotnym. Buddhyści nie oddają czci Wężowi, przeciwnie nawet, uważają go za przedstawiciela „złego ducha"; legenda przytoczona przez Hiuen-Czanga znana jest we wszystkich krajach buddhystycznych; ks. biskup Bigandet zamieścił w swem dziele[1] podobną legendę z Birmy:

Buddha stoczył raz zaciętą walkę z Nagą. Działo się to w monasterze, któremu przewodniczył jeden z trzech Kathabów. Buddhę, gdy przybył do monasteru, zaprowadzono do kuchni, lecz uprzedzono go, że Naga jest opiekunem tego miejsca i będzie mu przeszkadzał. W istocie, skoro tylko Buddha wszedłszy do kuchni pogrążył się w głębokiem rozmyślaniu, zjawił się Naga i rozgniewany począł wyrzucać z paszczy całe chmury dymu; niewzruszony Buddha odpowiedział pięknem za nadobne i taki czarny i gęsty dym puścił na przeciwnika, iż ten zdumiony cofnął się. Nie dał jednak za wygraną, i tą razą takiemi ognistemi płomieniami począł zionąć na Buddhę, iż przytomni mnisi struchleli ze strachu. Buddha jednak całkiem spokojnie takie siarczyste wyrzucił płomienie na Nagę, iż zmusił go do odwrotu. Bitwa była wygrana.

[1] *Op. cit.*, vol. I, p. 139.

Trzecim symbolem łączącym buddhyzm z obrazami z Sanczi Amrawati jest *Ćakra*, czyli „Koło“. Uczeni buddhyści uznają w Ćakra zasadniczą doktrynę buddhyzmu. Świat jest jak koło, bez początku i końca; wszystko co się dzieje na świecie jest nieprzerwanym i ciągle powtarzającym się ciągiem przyczyn i skutków. Tłumaczenie widocznie naciągane, nietylko błędne samo w sobie, lecz nie licujące nawet z doktryną buddhyjską.

Ostatni wreszcie symbol, *Dagoba*, zachował najwięcej podobieństwa z Dagobą z Sanczi, z tą jednak różnicą, że Dagoba dzisiejsza jest relikwiarzem samego Buddhy, zawierającym jego wrzekome włosy, paznogcie i ząb.

Te zresztą symbole mają dziś całkiem drugorzędne znaczenie w buddhyzmie, głównym ich symbolem jest tak zwany *Try-ratna*, „potrójny klejnot“, który się składa z *Buddhy*, *Dharma* czyli „Prawa“ i *Sangha* czyli „zgromadzenia wiernych“. Dharma i Sangha uosobione są w posągach, mianowicie Dharma przedstawiony jest w postaci człowieka o czterech rękach, jedna para rąk złożona jest jak do modlitwy, druga para trzyma księgę; Sangha wyobrażony jest jak osoba siedząca, jedną rękę wspiera na kolanie, drugą trzyma kwiat „Lotusu“. Try-ratna odpowiada hinduskiemu *Try-sul;* niektórzy autorowie chcieli widzieć w tym symbolu Trójcę Przenajświętszą, lecz jak dobrze utrzymuje Williams [1], niema tu najmniejszego podobieństwa.

(Dok. nast.).

Ks. W. Zaborski.

[1] „This circumstance has led scholars to speak of what it is the fashion to term a Buddhist trinity; but in real fact neither Buddhism nor Brahmanism has any trinity in the true meaning of the term, for although Buddhists claim a kind of tri-unity for their triad, and say that the first contains the second, and that the third proceeds from the first two and contains them, yet the first is clearly never regarded as either the Father or Creator of the world, in the Christian sense“. *Buddhism*, p. 179.

BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORYI.

(Dokończenie).

Przegląd nasz nie byłby zupełny, gdybyśmy błędy i fałsze w naszej historyi pominąć mieli milczeniem. Nie mamy wprawdzie tu żadnego zestawienia plewy historycznej, jakich literatury obce posiadają tyle, mimo to przy wielkiem mnóstwie tych baśni, kilka lub kilkanaście dla przykładu zacytować nietrudno.

Najdawniejszych podań o Polsce nikt chyba, zdawałoby się, nie bierze na seryo, a jednak ze zdumieniem się czyta na tablicy pamiątkowej, nie tak dawno wystawionej na murach Wawelu, od strony Wisły, przez księcia Stanisława Prus Jabłonowskiego, następujący napis:

Krakus książę Polski
panował między 730—750 r.
(Peters. Metryki koronne, fasc. 2, pag. 40).

W tem miejscu jest jama, w której zabiwszy dzikiego smoka,
osiadł na Wawelu i fundował miasto Kraków.

Ale i pierwsze wieki historyczne dostarczają właśnie wskutek skąpych i niepewnych źródeł wiele łamigłówek, baśni i fałszów. Nawet skąd chrześcijaństwo do nas przyszło, jest dotąd przedmiotem spornym. Było dawniej powszechne mniemanie, poparte powagą niemieckich uczonych, jak: Waitza, Arndta i Roepella, że zawitało do Polski z Czech, i dziś jeszcze prof. Abraham staje w obronie tej opinii[1]. Wymowne jednak argu-

[1] „Organizacya Kościoła w Polsce“, str. 17—24.

menta prof. Wojciechowskiego, na które się najpoważniejsi badacze nasi godzą, wykazały, iż z Saksonii głównie napłynęła pierwsza fala krzewicieli wiary nad Odrą, Wartą i Wisłą, mianowicie zaś z Korwejskiego opactwa nad Wezerą[1].

Genialna postać Bolesława Chrobrego pozostawiła po sobie w pamięci potomnych niezatarte ślady. Do dziś żyje ten król-duch polskiego narodu w gawędzie ludowej i przebywa zaklęty, wedle wieści gminnej tatrzańskich górali, jak niemiecki Barbarossa, w granitowym łonie Tatr. Już Galla opowiadanie o tym królu nosi na sobie wyraźne piętno tradycyi, niejeden rys tam przekształcony, niejeden fantazya dodała, przypisując Chrobremu czyny, jakie niewątpliwie się odnoszą do jego imienników i następców na tronie polskim. Opowiadają między innemi, że Bolesław Chrobry, wjeżdżając do wspaniałej stolicy ruskiej, uderzył na znak zwycięstwa mieczem w złotą bramę kijowską tak silnie, iż wyszczerbił głównię. Odtąd miecz ten, nazwany „Szczerbcem", przechowywano jako drogi klejnot koronny i przypasywano go królom polskim przy obrzędzie koronacyjnym. Bolesław Chrobry atoli ani w złotą bramę nie uderzył, ani miecz „Szczerbcem" zwany, nie pochodzi z czasów Chrobrego. Co do złotej bramy, to wedle Nestora, w r. 6545 (1037) dopiero „założył Jarosław gród wielki w Kijowie, w którym to grodzie są złote wrota". Stąd wynika, że Bolesław Chrobry nie mógł w r. 1018 swym mieczem uderzyć w bramę, która nie istniała. Współczesny wypadkom Thietmar, jakkolwiek szeroko się nad zdobyciem Kijowa rozwodzi[2], nic o tem nie wspomina. Gallus dopiero pierwszy przy opisie zajęcia Kijowa powiada, iż Chrobry, wjeżdżając do miasta, *evaginato gladio in aurea porta percutit*[3]. Ale mówiąc o zdobyciu Kijowa przez Bolesława Śmiałego w r. 1068, pisze o tymże w ten sposób: *Ipse quoque sicut primus Boleslaus magnus Ruthenorum regni caput urbem Kyyewo hostiliter intravit, ictumque*

[1] Wojciechowski, „O rocznikach polskich X—XV. wieku". Pamiętnik Akad. Umiej. w Krak. Wydz. hist.-filoz., t. IV, str. 192 i 211. Por. Smolka, „Poczet królów polskich", wydanie Perlesa, zeszyt I.

[2] *M. P. H.*, I, str. 317.

[3] *M. P. H.*, I, str. 402.

sui ensis in porta aurea signum memoriae dereliquit. „Wszystko to zdaje się nam dowodzić, powiada prof. M. Sokołowski, że wzmiankę o złotej bramie, głośnej ze zdobyczy Bolesława Śmiałego r. 1068, odniesiono do zwycięstw Chrobrego, któremu tradycya w ten sposób żadnej chwały nie chciała odmówić“ [1].

Gallus też i Kadłubek przyczynili się, wedle Sadowskiego, podaniami swemi o uderzeniu mieczem w złotą bramę Kijowa przez Chrobrego i Śmiałego do powstania późniejszych legend o „Szczerbcu“, jako rzekomej spuściźnie po jednym z tych dwóch Bolesławów [2]. Jednakże sama nazwa „Szczerbiec“ budzi wątpliwości co do wiarogodności tych legend. Już Czacki powątpiewa, czy nazwę swą miecz koronacyjny królów polskich otrzymał od szczerby d o z n a n e j n a o s t r z u przy uderzeniu nim w bramę; pisze bowiem w liście do Naruszewicza: „Kiedy z woli sejmu r. 1792 otwierałem skarbiec Rzeczpltej, w Krakowie będący, i spisywałem tam złożone koronne sprzęty, uważałem, że ten pałasz miał szczerbę w środku główni, ale nie w ostrzu“. Gruntowne badania p. Sadowskiego rozwiały ostatecznie legendę o „Szczerbcu“ Bolesława Chrobrego. Wykazał on w cytowanej pracy niezbicie, iż miecz ten, przechowywany od wieków między insygniami koronacyjnemi królów polskich, a wykradziony w r. 1795, znajduje się obecnie w zbiorach Ermitażu petersburskiego. Z rozpatrzenia się zaś w kształcie jego, w emblematach umieszczonych na nim, nareszcie w stylistycznych i tektonicznych znamionach, tudzież w paleograficznych właściwościach napisów, wynika niezawodnie, że miecz ten zrobiono w Niemczech na początku wieku XIII. dla jednego z możniejszych rycerzy Zakonu teutońskiego. Napis, znajdujący się dawniej na bokach rękojeści miecza, dziś zatarty: *Iste est gladius Principis et haeredis Boleslai ducis Poloniae et Mazowiae, Lanciciae,* świadczy, iż właścicielem jego był Bolesław, najstarszy syn Konrada Mazowieckiego. On też zapewne lub jego ojciec, miecz ten, ceniony wy-

[1] „Ruiny na Ostrowie jeziora Lednicy“, w Pam. Wydz. hist.-fil. Akad. Umiej., t. III, str. 207, przyp. 2.

[2] J. N. Sadowski, „Miecz koronacyjny polski ‚Szczerbcem‘ zwany“. Kraków 1892, str. 56.

soko przez Krzyżaków, otrzymał w darze. Odziedziczył go po wczesnej śmierci Bolesława Kazimierz Kujawski, a po nim syn jego, dzielny Władysław Łokietek. Ten zaś, osiągnąwszy zapowiedziane na mieczu prawa rodu swego do korony polskiej, przypasał go przy koronacyi w r. 1320 do boku i następnie złożył w skarbcu królewskim, w znaczeniu miecza koronacyjnego. Świadczy o tem orzełek na mieczu się znajdujący, a przypominający najbardziej kształtem swym orła na pierwszej pieczęci majestatycznej Łokietka, wkrótce po koronacyi przez niego używanej. Orzełek ten został zatem w tym czasie dopiero z rozkazu króla na mieczu umieszczony. Że miecza koronacyjnego wreszcie przed Łokietkiem między insygniami królewskiemi nie było, potwierdza świadectwo naocznego świadka z XIII. wieku, Dominikanina Wincentego z Kielc, który w życiorysie św. Stanisława, dwukrotnie wymieniając insygnia królewskie, przechowywane w skarbcu katedry krakowskiej, miecza pomiędzy niemi nie wymienia. *Haec autem regalia insignia,* pisze tenże, *corona videlicet sceptrum et lancea usque ad hodiernum in armario arcis Cracoviensis ecclesiae ad memoriam posterorum jacent recondita* [1].

Jedną z największych zagadek w dziejach polskich jest niewątpliwie panowanie Bolesława Śmiałego, zwłaszcza zaś historya jego katastrofy jest bardzo zamącona i dała pochop do hipotez mniej lub więcej fantastycznych. Już Czacki, a za nim Bielowski, poruszyli na podstawie Galla [2] myśl, że zamordowanie biskupa św. Stanisława Szczepanowskiego, było karą za zdradzieckie jakoby stosunki tegoż z Czechami. Nowszemi czasy wznowił tę hipotezę p. Stefczyk, używając dla potwierdzenia jej ustępu z Cosmasa i interpretując odnośny ustęp w sposób tak naciągany, iż wedle trafnych słów ś. p. Liskego, „wywody jego mogą tylko do tego posłużyć, aby wykazać, jak nie należy średniowiecznych źródeł interpretować; w ten sposób można wszystko, co się tylko żywnie podoba, naiwnym kronikarzom średniowiecznym podsunąć“ [3]. Galla wiadomość o całem zajściu

[1] *M. P. H.*, t. IV, str. 365 i 393.
[2] *M. P. H.*, t. I, 422.
[3] *Sybels Historische Zeitschrift*, t. 56, str. 172.

między królem a biskupem jest tak ogólnikowa i wymijająca że na niej oprzeć zarzutu niepodobna. Panegirzysta Krzywoustego chce się ponad tą dla niego arcyniemiłą sprawą przemknąć, zresztą, jak wynika z opisu pogrzebu Mieszka, syna Bolesława Śmiałego [1], musiały go jakieś bliższe stosunki z rodziną wypędzonego króla łączyć. Nie dziw więc, że przez niego przemawia opinia familii królewskiej, opinii *per fas* i *nefas* broniącej sławy swego najbliższego. Jeżeli zaś zważymy, że już współczesne zapiski kronikarskie mówią o męczeństwie [2] Stanisława biskupa, że już w 9 lat po zaszłym fakcie, solennej translacyi dokonał następca Stanisława na stolicy biskupiej, Lambert, i już wtedy, wedle tak wytrawnego znawcy średnich wieków, jakim jest prof. Wojciechowski, powzięto zamiar starania się o kanonizacyę biskupa, czego translacya była niejako początkiem; jeżeli to zważymy, to przecież trudno uwierzyć słowom Galla i, lekceważąc narodową tradycyę, posądzać męczennika o zdradę. Zginął on w obronie praw Kościoła, jak to najpoważniejsi nasi uczeni, że wspomnimy, prócz wymienionych, Szujskiego, Bobrzyńskiego, Smolkę, Lewickiego i t. d., przyznają. Krew jego przelana stała się zarazem nasieniem wolności i samoistności narodu wobec wszechwładzy monarszej. Stąd też naród otoczył św. Stanisława czcią, jaką żadnego Świętego nie otacza.

Niezwykłą na swoje czasy osobistością musiał być Piotr Włast, powiernik i przyjaciel Krzywoustego, stając się tak rychło ulubionym przedmiotem legend. Rozmarzona fantazya średniowieczna nadała tej postaci cudowne, romantyczne kształty. Dzięki temu stał się on łupiezcą skarbów, zbrodniczym banitą z Danii, skazanym za to przez spowiednika papieskiego na wybudowanie siedmiu kościołów, których jednak pokutujący grzesznik buduje aż siedmdziesiąt [3]. Co do pochodzenia Piotra, to źródła polskie niewątpliwie wykazują, że był synem Świętosława [4], wielmoży szląskiego, i z dziada dziedzicem włości na górze Sobótce pod

[1] *M. P. H.*, I, 423.
[2] *M. P. H.*, II, str. 796.
[3] Boguchwał, *M. P. H.*, t. II, 506, 508, 520.
[4] Małecki, „Studya heraldyczne", t. II, 12.

Wrocławiem. Źródła baśni o duńskiem pochodzeniu Własta, należy, wedle Semkowicza, szukać w próżności rodowej. „Aby wytłumaczyć początek rodu Duninów, potrzeba było Piotra Własta z Danii sprowadzić“ [1]. Co zaś do ogromnej liczby kościołów, zbudowanych rzekomo przez niego, to przyjmując nawet bez zastrzeżeń liczne podania, że ten lub ów kościół jest fundacyi Duninowej, za prawdziwe, nikt takich podań do 77 budowli przywiązanych, naliczyć nie potrafił. Wiele z tych rzekomo Duninowskich fundacyj, jak opactwa sulejowskie i czerwieńskie, mając daty erekcyi znacznie późniejsze, nie są dziełem Piotra. Na pewno tylko o kościołach św. Wincentego i N. M. Panny na Piasku w Wrocławiu i dwóch kościołach w Strzelnie, możemy twierdzić, że Piotrowi Własowi lub jego rodzinie zawdzięczają swój początek [2].

Sprowadzenie Krzyżaków do Polski i nadanie im ziemi chełmińskiej przez Konrada, było nietylko przyczyną kilkuwiekowej walki Polaków z tymże zakonem, lecz i po najnowsze czasy przedmiotem licznych badań i kontrowersyj naukowych. Niezrozumiały był długo dla historyków fakt, że książę polski nadając zakonowi ziemię *cum perfecto et pleno dominio*, zrzekał się tem samem zwierzchnictwa nad tą ziemią. Starano się zatem, mimo wyraźnego brzmienia tekstu, dowodzić, że zakon tylko w lenno otrzymał ziemię chełmińską, że podobne nadania zwyczajem średniowiecznym otrzymywały inne korporacye duchowne, a jednak nie przestawały być zawisłe od książąt fundatorów [3]. Węzeł ten gordyjski przeciął dopiero niemiecki uczony Perlbach, wykazując, że główny dokument donacyjny, zwany kruszwickim, z r. 1230, jest falsyfikatem z r. 1234. Krzyżacy podrobili go na podstawie dokumentów autentycznych, nie zawierających oczywiście tak monstrualnych przywilejów, przedłożyli ten fabrykat, odpowiadający ich zaborczym dążnościom, Grzegorzowi IX. i skło-

[1] Semkowicz, *M. P. H.*, t. III, str. 747—750.

[2] Łuszczkiewicz, „Rzeźby Duninowskie“. Pam. Akad. Umiej. Wydz. filol.-hist., t. III, str. 90—93.

[3] Roepell, *Geschichte Polens.* — Sokołowski A., „Konrad ks. na Mazowszu i zakon niemiecki“. Poznań 1873.

nili go, że ziemie, nadane im przez księcia Konrada, przyjął w lenno św. Piotra, wszelką inną zwierzchność nad niemi wyłączając. Dopiero w 10 lat po śmierci Konrada, tj. r. 1257, kazali sobie transumpt tego sfałszowanego i pod r. 1234 do regestów papieskich zaciągniętego nadania wystawić i posługiwali się odtąd nim, jako główną podstawą swych praw do ziemi chełmińskiej i pruskiej [1].

Wszystkie podręczniki historyi polskiej, nie wyłączając najnowszych, streszczają ustawodawczą działalność Kazimierza W. w wydaniu słynnego statutu wiślickiego, przyjętego i ogłoszonego dla całej Polski na walnym zjeździe dostojników duchownych i świeckich w Wiślicy r. 1347, dnia 11 marca. Najnowsze jednakże studya Piekosińskiego wykazały, że statut wiślicki nie jest jednolitym statutem, lecz złożonym z kilku przynajmniej statutów, przyjętych na kilku wiecach wielko- i małopolskich. Wiślickich wieców było dwa za panowania króla Kazimierza; jeden z nich odbył się w 1356 r. 20 stycznia, drugiego daty wcale nie znamy; jest tylko prawdopodobnem, że w r. 1347 miał miejsce. W dniu zaś 11 marca tego roku, odbył się wiec piotrkowski, a tylko dzięki fałszywej kombinacyi Długosza, przyczepiono tę datę do wiecu wiślickiego. Wiec ten wreszcie nie był powszechny, za panowania bowiem Kazimierza nie było wieców, w którychby dostojnicy różnych ziem wspólnie głosowali; jeżeli zaś chodziło, aby się wszystkie dzielnice na jakiś projekt zgodziły, to projekt ten był w każdej dzielnicy osobno na jej własnym prowincyonalnym wiecu przedkładany. Uchwały zatem zapadłe na wiecu wiślickim obowiązywać mogły tylko Małopolskę [2].

Tak ważny w dziejach naszych wypadek, jakim było połączenie Litwy i Rusi z Polską, zajął, ostatniemi zwłaszcza czasy, bliżej uwagę naszych badaczy. Gruntowne prace prof. Smolki, Lewickiego i d-ra Konecznego, uchyliły nieco zasłonę, jaka do-

[1] Perlbach, *Preussisch-polnische Studien zur Geschichte des Mittelalters.* 1886, str. 78.

[2] Piekosiński, „Uwagi nad ustawodawstwem wiślicko-piotrkowskiem". Rozpr. Akad. Umiej. Wydz. histor.-filoz., t. 28, str. 209—299.

tąd pokrywała tę w naszych dziejach może najpiękniejszą kartę, wykazały zarazem, jak błędne i mętne były poniekąd nasze zapatrywania na tę sprawę. Unia w pierwszych swych początkach uchodziła dotąd za unię tylko osobistą, a jednak ta unia pierwotnie była prostem wcieleniem Litwy do Polski wedle traktatu krewskiego z r. 1385. „Przez to wcielenie, jak powiada dr. Koneczny [1], przestało istnieć W. Ks. Litewskie jako państwo odrębne, złożone do niedawna z dwóch wielkich księstw w Wilnie i w Trokach. Rozwiązano związek lenny pomiędzy udziałami Gedyminowiczów a W. Księstwem w Wilnie, poddając każdy z nich bezpośrednio Koronie polskiej. Na miejsce Jagiełły nie miał nikt zostać w. księciem litewskim, on zaś sam miał pozostać nim jako król polski". Dopiero kiedy w r. 1391 się przekonano, że to wcielenie Litwy nałożyło na Polskę o wiele więcej ciężarów niż się spodziewano, gdy się okazało, że traktat krewski był czynem przedwczesnym i wyszedł na złe Polsce i Litwie, postanowiono tamże przywrócić oddzielną godność wielkoksiążęcą. Myśl ta nie wyszła od Jagiełły, lecz narzuconą mu została przez panów małopolskich i za ich wpływem, zniewolony niepomyślnemi wypadkami lat 1391 i 1392, oddał tenże godność tę Witołdowi w r. 1392. Błędnem zatem jest mniemanie, iż król mianował najpierw Skirgiełłę w. ks. litewskim. Skirgiełło otrzymał w r. 1387 Troki, Połock, cały udział wileński, stanowisko wyższe od swej braci, co wszystko graniczyło o miedzę z samąż godnością wielkoksiążęcą, lecz nią nie było; taką godność mógł tylko katolik otrzymać, Skirgiełło zaś był schyzmatykiem [2]. „Bezpodstawnem jest wreszcie mniemanie, jakoby Witołd uważał od razu siebie za naturalnego następcę Jagiełły na Litwie po jego wyniesieniu na tron polski. Witołd podpisując akt unii krewskiej, przyznawał godność wielkoksiążęcą wyłącznie królowi polskiemu. W latach 1385—1387 miał on tylko pretensye do Trok i do pewnej kompensaty za zrzeczenie się godności wielkoksiążęcej, odziedziczonej po ojcu. Nie

[1] „Jagiełło i Witołd", część pierwsza: Podczas unii krewskiej 1382—1392". Lwów 1893.

[2] Tamże, str. 117 i 160.

otrzymawszy jednak żadnego wynagrodzenia i zepchnięty, dzięki podejrzliwości Jagiełły, na szary koniec Gedyminowiczów, postanowił jakimbądź środkiem, choćby z pomocą Krzyżaków, pozbawić Jagiełłę panowania na Litwie, a tem samem rozerwać związek Litwy z Polską. Na szczęście panowie polscy znaleźli formułę, w której można było ambicye Witołda i unię z sobą pogodzić“ [1].

„Ponieważ Jan Olbracht lubiał się otaczać tajemniczością, zawisła tajemniczość ta do dziś dnia nad jego osobą, i rozpostarły się takie mgły nad wypadkami z jego czasów, że ich dotąd jeszcze przedrzeć nie zdołano“, powiada prof. Lewicki w swym fragmencie o klęsce bukowińskiej [2]. „Tyczy się zaś to najbardziej wyprawy wołoskiej“. Już współcześni o tej wyprawie najdziwaczniejsze plotki roznosili, późniejsze pokolenia pomnożyły je bardziej, a dzisiejsza krytyka, budująca na tych fantastycznych pogłoskach swe hipotezy, jeszcze większy zamęt sprowadza. Prawie pewnikiem historycznym stała się bowiem hipoteza, że wyprawa wołoska z r. 1497 nie miała na celu pomszczenia klęski warneńskiej na Turkach, jak głoszono, by jej nadać pozór krucyaty, lecz że chodziło o zdobycie Mołdawy, wypędzenie z niej Stefana, hospodara wołoskiego, i osadzenie tam brata królewskiego, Zygmunta. Według Caro'a, był to formalny spisek wszystkich Jagiellonów przeciw Stefanowi, Zakonowi krzyżackiemu, który zamierzono przenieść na Podole, spisek uknuty w tajemnicy przed własnymi magnatami na zjazdach w Lewoczy i Parczowie przeciw własnym poddanym i całemu wschodowi Europy [3]. Odkryta w królewieckiem *Staatsarchiv* przez prof. Lewickiego instrukcya Olbrachta, dana jego posłom do króla Władysława II. i widocznie bezpośrednio po powrocie z wyprawy wysłana, zawierająca zaś całą genezę tej wyprawy, jej motywa i przebieg, wszystkim tym hipotezom kłam zadaje. Kłamać bowiem przed Władysławem w tej instrukcyi nie mógł i nie

[1] „Jagiełło i Witołd“, cz. I, str. 161.

[2] „Król Jan Olbracht“. *Kwartalnik historyczny.* Rocz. VII, zesz. I, 1893, str. 1.

[3] Caro, *Geschichte Polens,* t. V, 2, str. 711.

miał potrzeby Olbracht, bo przecież król węgierski do rzekomego spisku należał i o wszystkiem wiedział. Wedle tego aktu, spisek Jagiellonów w Lewoczy i Parczowie okazuje się urojeniem. Uradzono tam zdobyć na Turkach Kilię i Białogród, i to zdobyć dla wojewody mołdawskiego, który się tej wyprawy domagał. Tymczasem sam Stefan, przestraszony pogłoskami, że ta wyprawa przeciw niemu jest skierowana, zdradza Polaków, łączy się z Turkami. Że takie pogłoski rzeczywiście istniały, stwierdza fakt, iż Władysław II. sam im uwierzył i posłów z protestem przysłał do obozu polskiego. Pogłoski zaś takie, zdaniem prof. Lewickiego, miały podstawę nie w jakichś złowrogich zamysłach Olbrachta, lecz w jego tajemniczości, a przedewszystkiem w samym planie wyprawy, który był nieszczęśliwie pomyślany i dwuznaczny; boć że przy zdobyciu Kilii i Białogrodu nie chodziło o pomnożenie potęgi wiarołomnego lennika, tylko zabezpieczenie Polski, to jasne jak na dłoni. Twierdze czarnomorskie, zdobyte przez polskie wojska, polskąby niechybnie otrzymały załogę, i nominalnie tylko należałyby do Mołdawy, w rzeczywistości służąc do utrzymania w karbach posłuszeństwa przeniewierczej Wołoszy. Kiedy tedy Stefan, zdradziwszy Polskę, wraz z Tatarami i Turkami napadł na Halicz i Kołomyję, postanowił go Olbracht ukarać i obległ Suczawę. Interwencya węgierska zniewala go do zwinięcia oblężenia; zawarto z posłem króla węgierskiego, występującego w interesie Stefana, układ, w którym Polakom wolny odwrót został zabezpieczony. Gdy wojsko polskie, spuszczając się na ten układ, zwykłych ostrożności w pochodzie zaniechało, zdradziecki Stefan wraz z Turkami, a nawet i Węgrami, napadł je niespodzianie i zadał mu znaną klęskę [1].

W ostatnich lat dziesiątkach, od głośnej teki Stańczyka, nazwa trefnisia „starszych braci Zygmunta Starego“, nabrała niezwykłego rozgłosu. Stał się on, dzięki, to publicznym odczytom, to znakomitym kreacyom Matejki, czemś w rodzaju nieśmiertelnych błaznów Szekspira, reprezentujących w masce błazeńskiej zdrowy rozsądek i trzeźwość umysłu, na jakich bohaterom tragicznym

[1] Caro, *Geschichte Polens*, t. v, 2, str. 14.

w namiętności grze pospolicie zbywa. Tak więc zrobiono Stańczyka głębokim myślicielem i politykiem, niemal Kasandrą polską. Imię jego stało się firmą stronnictwa przeciwnego rewolucyjnemu patryotyzmowi, a w oczach obozu przeciwnego najgorszem przezwiskiem, wyrazem największej pogardy, synonimem najgorszej przewrotności. Zdaniem naszem, za wiele zaszczytu z jednej i z drugiej strony. Pomijając nowożytnego Stańczyka, gdyż do historyi policzyć go byłoby przedwcześnie, o dawnym Stańczyku musimy to stwierdzić, że zbyt mało o nim posiadamy wiarogodnych wiadomości, by coś pozytywnego wogóle o nim powiedzieć. Jedynem autentycznem źródłem o nim jest pobieżna wzmianka u Łukasza Górnickiego, który w swych „Dziejach korony polskiej“ [1], przy opisie powrotu nieszczęśliwej Izabelli, siostry Zygmunta Augusta a wdowy po Zapolyi, do Polski, wspomina: „i to co Stańczyk, starszej braci króla Zygmunta błazen, człowiek barzo stary rzekł, gdy król do Węgier tę córkę swą dawał a rzekł temi słowy: Królu pocóż ty tam tę córkę twą do Węgier dajesz, być ci jej tu zaś u ciebie; a przeto zbuduj wczas jej kamienicę w Krakowie, żeby miała gdzie mieszkać!“ Niewątpliwie urzędowy błazen starszych braci Zygmunta I., zatem Olbrachta i Aleksandra, otrzymujący na dworze Zygmunta *panem bene merentium*, w tym wypadku trafnie i dowcipnie scharakteryzował przyszłość córy królewskiej, co jednak przy zawichrzonych stosunkach węgierskich przewidzieć nie było trudno. Nie samemu zapewne Stańczykowi takie obawy się nasuwały, jeden zatem udały dowcip nie usprawiedliwia tej roli, jaką trefnisiowi królewskiemu gwałtem narzucono. Wszystkie zaś inne znane i mniej znane opowieści i anegdoty o Stańczyku mają te same cechy wiarogodności, co podobne dykteryjki i opowiadania o jego kompanach w zawodzie, jakimi byli Till Eulenspiegel, Pfaffe Amîs lub Pfaffe von Kalenberg. Jest to bowiem zjawiskiem powszechnem, że osoby znane z dowcipów stają się punktem kry-

[1] „Wybór pisarzy polskich“, edycya Mostowskiego. Warszawa 1805, str. 331.

stalizującym wszystkich dowcipów, obiegających w pewnym okresie czasu i pewnej okolicy.

Znane także słowa Stefana Batorego: *Disce puer latine, faciam te Mości Panie!* rzekomo przy zwiedzaniu szkół wileńskich do młodego Karola Chodkiewicza wyrzeczone, a tegoż świetną karyerę przepowiadające, nie znachodzą się wedle tak kompetentnego znawcy czasów Batorego, jakim jest prof. Zakrzewski, w żadnem współczesnem źródle. Wobec tego autentyczność ich jest co najmniej podejrzaną.

W biografiach ks. Skargi jest po dziś dzień w obiegu nazwa „Pawęski"; pojawia się ona pierwszy raz w drugiej edycyi kazania Fabiana Birkowskiego na pogrzebie ks. Skargi i jest prawdopodobnie prostą myłką drukarską; gdyż wedle aktów sądowych brzmi nazwa rodowa Skargów „Powęski". Za jedną pomyłką poszła druga. Przyznano Skardze herb Radwan, ponieważ takim herbem pieczętowała się rodzina Pawęckich. Wedle d-ra Czuczyńskiego [1] jednak rodzina ks. Piotra Skargi, tak ojciec jego Michał, jak i brat Mikołaj, młynarz, byli mieszczanami grójeckimi. Dopiero brat ks. Piotra, Franciszek, otrzymał ze względu na kaznodzieję królewskiego w r. 1593 od Zygmunta III. przywilej szlachecki i przybrał nazwę Powęski od wsi Powązki, gdzie prawdopodobnie przodkowie jego siedzieli nie jako dziedzice, gdyż wieś ta była własnością książąt mazowieckich, następnie zaś królewszczyzną, lecz chyba jako kmiecie. Pieczętował się zaś ten pierwszy uszlachcony Skarga nie herbem Radwan, lecz herbem Prus.

Prawdziwą krzywdę wyrządzili, postaci zresztą mniej znanej, Urszuli, zwanej Meierin, literaci, jak Kraszewski [2], Magnuszewski [3], Majeranowski [4], wreszcie Przyborowski w swych szki-

[1] „Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Powęskiego". *Przegląd Powszechny.* Maj 1892, str. 187—208.

[2] „Rok ostatni panowania Zygmunta III.". Obraz historyczny. Wilno 1833 r.

[3] „Zemsta panny Urszuli". Prace literackie, t. I. Wiedeń 1838.

[4] „Urszula Mejerin". Dramat historyczny. 1846.

cach historycznych [1], robiąc z niej to kochankę Władysława IV., to znowu miłośnicę Zygmunta III., w każdym razie coś w rodzaju pani de Pompadour. Rehabilitował tę postać i całkiem z kału plotek i oszczerstw literackich oczyścił, wyświecając zarazem należycie jej stanowisko na dworze Zygmunta III., dr. Wisłocki, w rozprawce p. t.: „Urszula ochmistrzyni Łabędzianka“ [2]. Na kochankę zatem Władysława IV. była panna Urszula zbyt stara, licząc co najmniej dwadzieścia kilka lat w chwili urodzin tegoż, tj. 9 czerwca 1595 r. Nie nazywała się właściwie „Meierin“, lecz była nią, piastując długie lata urząd ochmistrzyni na niemieckim dworze Zygmunta III.; a ponieważ ją na dworze tak zwano, więc przy końcu życia sama tę nazwę przyjęła. Rodowego jej nazwiska nie znamy; pochodziła z Niemiec i była pochodzenia szlacheckiego, pieczętując się niemieckim herbem Łabędź. Przybyła do Polski wraz z Anną Austryaczką, pierwszą żoną Zygmunta, i umiała sobie tak pozyskać względy obojga królestwa, tudzież drugiej żony Zygmunta, Konstancyi, iż miała poruczony dozór nad dziećmi królewskiemi, była na równi uważana z familią królewską, i miała niemały wpływ w szafunku łask królewskich. Lecz żeby trzęsła całym dworem i Rzecząpospolitą, to przesada, a już kompletnie bez podstawy jest insynuacya Przyborowskiego, że była podobno piękna i że nieme szwedzkie djablę nie było obojętne na jej wdzięki. Wiarogodne świadectwa Albrechta Radziwiłła i bawiącego pod on czas w Polsce nuncyusza Visconti'ego, wreszcie pogrzeb jej w 1635 roku 11 maja z wystawą prawie królewską, na którym kasztelan lubelski wygłasza mowę pochwalną, świadczą, że to była niewiasta niepospolita pod każdym względem, wykształcona, rozumna, a przedewszystkiem zacna i świątobliwa. Już to samo, że przybywszy do Polski, nauczyła się języka polskiego i tym językiem w listach się posługuje, że wszystko, co zebrać mogła — a mogła więcej przy swym wpływie, wedle świadectwa Visconti'ego, niż zebrała — zostawiła umierając w Polsce i zapisała testamentem

[1] „Cudzoziemcy w Warszawie w XVII. i XVIII. w.“. *Niwa,* z dnia 15 sierpnia 1877 r.

[2] *Przegląd Polski* 1877, październik, str. 94—122.

na różne cele pobożne lub rodzinie królewskiej — już to samo wyróżnia ją mocno od wszystkich innych cudzoziemców i cudzoziemek, bawiących chwilowo lub dłużej w Polsce, i powinnoby jej wrócić tak niesłusznie sponiewieraną pamięć [1].

Jedną z najciekawszych osobistości ostatnich chwil Rzeczypospolitej był Hugo Kołłątaj, po dziś dzień ulubieniec partyi demokratycznej, przedstawiany jako wzór patryotyzmu i poświęcenia. Między innemi miał on Stanisławowi Augustowi na pamiętnem posiedzeniu z dnia 23 lipca 1792 r., gdzie chodziło o zachowanie się króla względem konfederacyi Targowickiej, doradzać, by, jeżeli chce koniecznie odstąpić od konstytucyi 3 Maja, przynajmniej nie z Targowicą, lecz wprost z Rosyą paktował. Tak przynajmniej twierdzi pod redakcyą Kołłątaja publikowane dzieło „O ustanowieniu i upadku Konstytucyi". Tymczasem badania Wegnera [2], zajmujące się specyalnie tą sprawą, wykazały, że Kołłątaj przeciwnie oświadczył: „Najjaśniejszy Panie, połącz się lepiej dziś niż jutro z Targowiczanami!" Nadto publikacye Bułhakowa i Siemieńskiego [3] stwierdzają, że Kołłątaj oświadczył nawet gotowość przystąpienia do Targowicy. Gdy po owem posiedzeniu z dnia 23 lipca 1792 r. opuszczał kraj, dał on Ludwikowi baronowi Strasserowi własnoręcznie podpisany i pieczęcią swą zaopatrzony blankiet z poleceniem wypełnienia go akcessem do konfederacyi Targowickiej na wypadek, gdyby Moskale jego dziedziczne lub kościelne dobra mieli pustoszyć [4]. Że ten blankiet nie został wypełniony, nie było zasługą Kołłątaja, albowiem Targowiczanie: Ankwicz, Głębocki i Raczyński, uprzedzając Moskali, dobra Kołłątajowe dla siebie zagrabili. Strasser zatem nie widział potrzeby z akcessem Kołłątaja wystąpić i blankiet wypełnić [5].

---

[1] *Przegląd Polski,* tamże, str. 116.

[2] „Rocznik Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego". Tom v, str. 1—68.

[3] „Listy Hug. Kołłątaja, pisane z emigracyi 1792—1794". Zebrał L. Siemieński 1872.

[4] *Kraj* 1872, nr. 247.

[5] Liske, *Sybels Historische Zeitschrift,* t. 29, str. 484 i 85.

Ostatni bohater Polski przedrozbiorowej, Tadeusz Kościuszko, zbyt był sławny, aby nie zwrócić na siebie uwagi kłamliwej prządki dziejowej. Głośny romans jego z panną Ludwiką Sosnowską, którą rzekomo miał wykraść, zmalał wobec krytyki do cichych wzdychań młodego kadeta do pięknej córy hetmańskiej [1]. Bajka o wykradzeniu panny Sosnowskiej pojawiła się jeszcze za życia Kościuszki, najpierw w jakiejś gazecie angielskiej, stąd zaś dostała się do dzieła Ségura, p. t.: *Tableau des evenements politiques de l'Europe.* Powstała zaś, wedle Kajetana Kraszewskiego [2], stąd, iż w tym czasie właśnie, kiedy niewinny romans kadeta skończył się całkiem spokojnie chłodnem pożegnaniem przyszłego bohatera przez matkę panny, kapitan rosyjski Markow wykradł jednę z panien respektowych pani hetmanowej. Dwa fakta więc całkiem odrębne lecz współczesne, zmieszano w jednę romantyczno-rycerską baśń, rzucającą bądź co bądź cień lekkomyślności na młodość bohatera narodu. Podobnym wymysłem jest również u Ségura pojawiająca się wieść, jakoby pod Maciejowicami Kościuszko, spadając ciężko ranny z konia, miał zawołać: *Finis Poloniae. Quod volumus, credimus libenter;* chętnie tej bajce dano posłuch i jeszcze dziś w niemieckich dziełach historycznych pokutuje. Kościuszko, jak wiadomo, przeciw tej i tamtej bajce w liście do Ségura zaprotestował i dopominał się energicznie o sprostowanie fałszów.

Podaliśmy czytelnikowi zaledwie drobną wiązkę najgłośniejszych lub świeżo odkrytych fałszów i baśni w naszej historyi, a jest ich tyle, iżby spory tom a może więcej ich się zebrało. Dotychczas nikt jeszcze w naszem piśmiennictwie nie zajął się ich zestawieniem. A jednak indeks taki baśni i fałszów, czy do naszej, czy do historyi powszechnej się odnoszących, byłby bardzo pożądany właśnie dla naszego społeczeństwa.

Co do historyi powszechnej, to społeczeństwo, mające tyle z własną biedą do czynienia, nie interesuje się zbytnio spra-

[1] Siemieński, „Żywot Tadeusza Kościuszki". Kraków 1866.
[2] „Z podań i szpargałów". Kraków 1892, str. 353.

wami odległemi, a zresztą choćby czuło potrzebę zaznajomienia się bliższego z ogólnym tokiem dziejów ludzkości, nie było stać na to dotąd nasz świat naukowy, by w sposób odpowiedni postępom nauki tej potrzebie zadość uczynić. Społeczeństwo, mające zaledwie na jednym skrawku dawnej Polski sposobność normalnego rozwijania się, nie mogło na tem polu nic oryginalnego i wielkiego stworzyć. Zapożyczamy się zatem u obcych, szczególnie u Niemców, potrochę u Francuzów, Anglików i innych. Wybór dzieł tłumaczonych lub przerobionych nie zawsze szczęśliwy. W ostatnich czasach głównie Warszawa dostarczała tłumaczeń i opracowań z dziedziny historyi powszechnej. Niewiele tego było, a i to co było, pod względem formy i treści niekiedy wiele pozostawia do życzenia. Niejednokrotnie przestarzałe poglądy lub jednostronne sądy puszcza się w obieg jako wyniki niezbite najnowszych badań, a czytelnik, nie mający innego środka informacyjnego, musi je przyjąć za dobrą monetę. Indeks zatem takich baśni i błędów, a może i ważniejszych kwestyj spornych, popularnie, a jednak umiejętnie napisany, wielkąby przysługę oddał społeczeństwu, jako ochrona przeciw fałszom importowanym przez mniej powołanych literatów i literatki.

Co zaś do historyi polskiej, to potrzeba takiego zestawienia utartych błędów i fałszów jeszcze naglejszą się nam wydaje. Zainteresowanie się ogółu przeszłością narodu jest wielkie i powszechne. Zapatrywania jednak na tę przeszłość są całkiem odmienne. Dla narodu, który byt polityczny utracił a jednak żyć nie przestał i żyć chce, historya jest nietylko wspomnieniem przeszłości, lecz wspomnieniem drogiej przeszłości; zajmowanie się nią jest jednym z objawów życia narodowego. Stąd też zrozumiały jest ten optymizm i panegiryzm, jaki panował w historyografii polskiej po utracie ojczyzny. Historya jednak przestałaby być nauką ścisłą, gdyby, zadawalniając się rolą mowcy pogrzebowego, po dyletancku tylko chwalić chciała. Jeżeli atoli ma spełnić wielkie swe zadanie, jeżeli ma być rzeczywistą mistrzynią życia, musi mieć przedewszystkiem i wyłącznie tylko prawdę na oku. Postępując wedle tej zasady najnowsza szkoła

historyczna, burzy fałszywą aureolę, jaką poprzednicy i ich epigonowie otoczyli przeszłość naszą; odrzuca do plewy dziejowej na przetaku krytycznym niejedną złotą baśń, niejedno drogie sercu wierzenie i dlatego wśród szerszej publiczności nie znajduje sympatyi i nie stała się popularną. A jednak na popularyzowaniu pewnych wyników nauki wiele zależy. Stąd też indeks fałszów i baśni, będący zarazem niejako streszczeniem wyniku najnowszych badań, przyczyniłby się wielce do usuwania przesądów i szerzenia prawdy wśród społeczeństwa.

Historya jest nauką, która ze wszystkich umiejętności najwięcej ma zagadek i tajników. Im głębiej się w dociekaniu prawdy posunie, tem szersze horyzonty napotyka, tem więcej skomplikowane czynniki odkrywa, których zbadanie nowe nasuwa tematy, do nowych odkryć prowadzi. Wyniki jednak badań, jeżeli mają przynieść pożądaną korzyść, muszą się stać własnością społeczeństwa, inaczej są kwiatem przedwcześnie zakwitłym, który owocu nie wyda. Aby zatem fałsz, tak bujnie w literaturze każdej się krzewiący, kwiecia prawdy nie tłumił, nie zamącał umysłów zwłaszcza młodych, aby historya, zamiast być mistrzynią prawdy, nie stała się służebnicą namiętności politycznych, czy społecznych — należy jak najprędzej fałsze te i błędy w jeden kodeks zestawić i pod pręgierz wystawić jako plewę bez wartości.

Oby przykład zagranicy jak najrychlej znalazł u nas zastosowanie, czy to zbiorowemi siłami, czy to poświęceniem się jednostki tej zmudnej i trudnej pracy, wymagającej i uzdolnienia i trafnego i wyrobionego sądu! Nie sądzimy bynajmniej, że w ten sposób wszystkie ciemności się rozproszy i błędy zupełnie usunie — błąd zawsze jest nieodstępnym towarzyszem dzieł ludzkich i takim pozostanie — jednakże wiele się z nich usunie, co już będzie znacznym postępem naprzód w dążeniu do prawdy. To zaś dążenie do prawdy, zwłaszcza w dziedzinie historyi, jest niekiedy jedynie możliwe dla człowieka; prawdę pełną zna tylko Jeden — ten, który przenika najskrytsze tajniki, *scrutans corda et renes Deus.*

Dr. K. Krotoski.

SZKOŁA POWIATOWA BAZYLIAŃSKA W WILNIE

w klasztorze Św. Trójcy.

Solitudinem faciunt, pacem appellant...
Tacitus.

Nie jest naszem zadaniem kreślić dzieje monasteru bazyliańskiego Św. Trójcy, z którym się łączy tyle pamiątek i drogich wspomnień religijnych i narodowych; nie zamierzamy wcale opowiadać, przez jakie losy przechodził ten monaster, jakich walk był świadkiem, co zdziałał dla cywilizacyi i spraw wiary, — pozostawiamy to innym, bardziej powołanym do tego, a przypominamy tu tylko, że bardzo wiele prześlicznych opisów i ciekawych szczegółów o tym monasterze znajduje się w cennem dziele francuskiego zakonnika reguły św. Benedykta, O. Guépin'a [1], który z prawdziwą benedyktyńską dokładnością ślicznie nam odtworzył przeszłość tego monasteru i piękne z lepszych czasów przedstawił obrazy.

Jednocześnie z tem dziełem wyszło drugie, bądź co bądź wielkiej doniosłości, a nieznane uczonemu Benedyktynowi francuskiemu, w którem są zawarte materyały, tyczące się monasteru Św. Trójcy w Wilnie [2], a w kilkanaście lat potem p. Szczerbicki wydał w Wilnie po rosyjsku małą tegoż monasteru mono-

[1] Cfr. *Saint Josaphat et l'église grecque unie en Pologne.* Poitiers 1874. I, 354; II, 546.

[2] *Archeograficzeskij Sbornik*, t. x. Wilno 1874, w 8-ce, str. 388.

grafię[1]. Monografia ta, stronniczo, z pominięciem wielu szczegółów, napisana, nie jest wystarczającą; O. Guépin nie mógł korzystać ze źródeł, wydanych już po napisaniu jego dzieła, wreszcie jego uwaga nie była zwrócona ku temu tylko monasterowi — słowem, nie mamy jeszcze wyczerpującego zupełnie opisu tego monasteru, chociaż źródeł do tego jest już dużo nagromadzonych, a przedmiot to bardzo ważny i pouczający; lecz obrobienie jego, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, pozostawiamy innym, sami zaś mamy zamiar słów kilka powiedzieć o czasach stosunkowo późniejszych, bo o szkole powiatowej Bazylianów wileńskich, przy tym klasztorze powstałej w pierwszej tego wieku ćwierci, o czem, naturalnie, ani u O. Guépin'a, ani w owym *Sborniku archeograficznym*, a nawet i w tej monografii Szczerbickiego, niema mowy.

Istnienie tej szkoły, co prawda, nie było długie, nie miała ona czasu rozwinąć się należycie, nie odznaczała się niczem szczególnie wybitnem; ale jest to zawsze ważnym, w naszem przekonaniu, przyczynkiem do dziejów pedagogicznej OO. Bazylianów działalności i świadczy wymownie o gorącej ich chęci niesienia usług naszemu społeczeństwu na polu oświaty i cywilizacyi.

Czasy, kiedy powstała ta szkoła, były dla Bazylianów bardzo ciężkie: nieprzyjaciele tego znakomitego i zasłużonego zakonu i jego cywilizacyi wytężali wszystkie swoje siły, aby go ubezwładnić i tym sposobem przyspieszyć upadek, a potem łatwiej już dać sobie i z samą unią radę. Były to znane walki, wywołane przez wrogów unii, walki Bazylianów ze świeckiem duchowieństwem unickiem, które chciało się pozbyć Bazylianów, a raczej ich wpływów w kościele unickim, a dążyło szybkim krokiem ku katastrofie 1839 roku. Pośród takich to zapasów i ciągłych utarczek ze świeckiem duchowieństwem i rządem, podtrzymującym je, udało się Bazylianom otworzyć jeszcze jedną — już ostatnią — szkołę publiczną i jakiś czas w niej nauczać, szerząc oświatę, o ile się to dało w owych ciężkich już czasach.

---

[1] *Wilenskij Swiato-Troickij Monastyr.* Wilno 1886, w 8-ce, str. 190.

Jak wiadomo, OO. Bazylianie utrzymywali bardzo dużo szkół, wyższych i niższych, na Rusi i Litwie; niektóre z nich bardzo długo kwitnęły, wydając z siebie pożytecznych członków społeczeństwa; inne zaś mniej były głośne i w mniejszym działały zakresie, ale wszędzie była gorliwość wielka i pracowitość w nauczaniu.

Może przy innej sposobności i na innem miejscu powiemy o głośniejszych szkołach Bazylianów, a teraz do skromnej powracamy szkoły powiatowej Bazylianów wileńskich.

Szkoła ta otworzoną została dnia 13 v. s. września 1825 roku [1]. Otwarcie odbyło się dość uroczyście: Mszę św. celebrował O. Bosiacki, mianowany prefektem szkoły, ks. biskup r. g. Hołownia zaintonował po Mszy *Veni Creator*, a dyrektor ówczesny szkół wileńskich, p. Kajetan Krassowski, miał mowę przygodną i odczytał reskrypt Nowosilcowa, zatwierdzający tę szkołę; O. Józafat Żarski, dr. filozofii, przełożony natenczas klasztoru, wygłosił także oracyę o pożytku nauk, połączonych i w związku z religią będących, a na końcu przemówił O. Parmanowski, kandydat filozofii, nauczyciel gramatyki, który mówił o tem, że gramatyka zasadza się na zwyczaju narodowym i naturze mowy ludzkiej.

Z niektórymi z tych zakonników warto się nam bliżej zapoznać, bo zasługują oni na to z wielu względów.

O. Wiktor Bosiacki, mąż uczony, dzielnie czynny, gorliwy, prześladowany od Siemaszki, umarł na wygnaniu. Wieleby można powiedzieć o jego działalności, ale już mówiliśmy o tem wszystkiem na innem miejscu [2].

Adryan Hołownia, szlachcic, urodził się 1750 roku, nauki pobierał u Jezuitów witebskich, potem wstąpił do zakonu św. Bazylego i, po otrzymaniu święceń kapłańskich, był kaznodzieją w witebskim klasztorze i żyrowickim, a potem sekretarzem przy metropolicie Rostockim; w 1793 roku mianowany koadjutorem opata bracławskiego, po śmierci którego sam został bracławskim

[1] Cfr. *Kuryer Litewski*, 1825, z września.

[2] Cfr. „Monaster bazyliański w Ladach", *Przegl. Powszechny*, 1891.

opatem (ostatnim); od roku 1807 był asesorem w t. zw. kolegium w Petersburgu, a we dwa lata później, biskupem sufraganem wileńskim r. g. Adryan Hołownia bardzo był przywiązany do swego zakonu i unii, walczył ze świeckiem duchowieństwem swego obrządku, nie chcąc zatracić wpływu Bazylianów, czuł się Polakiem, kochał uczuciem synowskiem Rzym. Siemaszko powiada o nim w swoich Pamiętnikach, że był oddany rzymsko-katolickiemu Kościołowi, ale nieznacznego charakteru, i że jego reformom nie mógł ani szkodzić, ani pomagać; lecz drugi historyk Unii, rosyjski jenerał Bobrowski, utrzymuje na lepszych podstawach, potwierdzając to licznemi faktami, że rzecz się miała zupełnie przeciwnie, że Hołownia zawsze energicznie działał w duchu Rzymu i jego instytucyj, że zawsze gorliwie bronił unii i Bazylianów, jako zawsze najgorliwszych unitów. Hołownia, jak to powszechnie wiadomo, nie przyjmował żadnego udziału w reformach Siemaszki i umarł, wiernie wytrwawszy na swojem stanowisku, w późnej starości, w 1831 roku [1].

Józafat Żarski, także szlachcic, przyszedł na świat 1779 r. na Litwie, od r. 1787—1801 pobierał nauki w szkołach nowogrodzkich i boruńskich, gdzie też ukończył je, a w r. 1802 wykonał śluby zakonne, zostawszy we dwa lata potem kapłanem. Studya zakonne odbywał w Żyrowicach i wileńskim uniwersytecie, gdzie także studyował matematykę i fizykę. Potem nauczycielem w różnych szkołach zakonnych zostawał; od r. 1816—1818 był prefektem szkół w Żyrowicach, następnie sekretarzem prowincyi, pomiędzy rokiem 1822—1826 konsultorem i przełożonym klasztoru Św. Trójcy w Wilnie, i od r. 1826—1832 prowincyałem litewskim (ostatnim), w którym to roku wysłano go do Petersburga, jako członka kolegium. Był czas, gdy Siemaszko niedowierzał Żarskiemu, podejrzywając go o „polonizm“, a nawet, według pewnych wskazówek, o to że przyjmował udział w powstaniu 1831 r.; lecz wszechwładny jakiś czas Nowosilcow lubił Żarskiego, używał go do różnych misyj, co gniewało Siemaszkę,

[1] Cfr. Bobrowski, *Russkaja Uniatskaja Cerkow*, str. 122—123; „Pam. Siemaszki“, I, 66; Stebelski, „Ostatnie prace“, Kraków 1877.

który wreszcie był tego przekonania, że Żarski nie potrafi mu szkodzić. Pomału jednakże udało się Siemaszce zjednać sobie ostatniego prowincyała litewskiego i uzyskać nawet od niego coś w rodzaju t. zw. „podpiski“, czyli cyrografu na swoją duszę i sumienie, poczem Siemaszko zgodził się zrobić Żarskiego episkopem, co nastąpiło w Petersburgu, w lutym 1834 roku—i tak został Żarski sufraganem litewskiej episkopii, a na utrzymanie jego wyznaczono monaster byteński, fundusze monasteru leszczyńskiego, którego Żarski czas jakiś był archimandrytą, kapitały monasteru antopolskiego i t. zw. sumy prowincyałów. Episkopem był ostatni prowincyał nie długo, bo tylko cztery lata, i w 1838 roku przeniósł się do wieczności [1]. Siemaszko powiada w swoich Pamiętnikach, że po śmierci Żarskiego znaleziono w jego pokoju własnoręczne na piśmie jego zeznanie, że on nie przyjmował udziału we wszystkich sprawach i reformach, tyczących się kościoła unickiego. W tem zeznaniu można zauważyć, że w sercu sufragana litewskiego tlały jeszcze jakieś iskierki sumienia i dawnej wiary. I rzeczywiście całe swoje życie Żarski był człowiekiem słabego charakteru i chwiejnych przekonań [2].

O stanie i urządzeniu tej szkoły bazyliańskiej dowiadujemy się z wizyty profesora Podczaszyńskiego, dokonanej w maju 1826 r., a więc wkrótce po jej otwarciu [3].

Na czele jej stał wtenczas tenże sam O. Wiktor Bosiacki, kandydat filozofii, rodem ze Słonimskiego, z parafii różańskiej, liczący wtedy lat 40, z których 14 przepędził nauczając w różnych szkołach zakonnych, a w Wilnie zaczął swoją działalność od 1 września 1825 roku. Wizytator referował o nim, że pilny i gorliwie dopełnia swoich obowiązków, że urządził szkołę już w pierwszym istnienia roku należycie i otaczał ją

[1] W tymże samym roku umarł ostatni metropolita unicki, Bułhak, co upoważniło Siemaszkę i ułatwiło mu uczynić zamach na kościół unicki i dokonać go na początku 1839 roku.

[2] Cfr. „Pam. Siem.“, I, str. 113 i 661; Bobrowski, *Russkaja Uniat. Cerk.*, Petersb. 1890, str. 237, 260—262, 309—318 i nast; Lista służby jego, manuskrypt.

[3] Oryginał tej wizyty znajduje się w ręku piszącego.

swoją troskliwością, i z tego powodu zasługiwał na pochwałę od zarządu szkolnego.

O. Fabian Mażalski był nauczycielem arytmetyki i geometryi. O nim powiedziano, że się urodził na Litwie w Bracławskiem, w parafii duksztańskiej, miał naówczas lat 37, a 12 nauczycielstwa. Wizytator nazywa go należycie usposobionym i dobrze uczącym, ze znakomitym dla uczniów pożytkiem [1].

O. Bazyli Dobrowolski, kand. filozofii, uczył geografii i historyi, pochodził z Borysowskiego, parafii berezyńskiej, urodził się w 1799 r., 8 lat nauczał w różnych szkołach swego zakonu, a rok pierwszy w Wilnie; profesor Podczaszyński powiada o nim, że pilny, dostatecznie usposobiony, lecz niedość jeszcze oswojony z nowemi przepisami nauczania.

O. Arseni Chrólkiewicz, magister filozofii, z Kobryńskiego, urodził się w 1799 r. w parafii różańskiej, nauczycielem był już cztery lata, w liczbie których rok pierwszy w Wilnie, gdzie uczył religii; chociaż sposobił się do nauk matematycznych i posiadał je w wysokim stopniu, jednakże dobrze wykładał powierzony sobie przedmiot. Miał to być człowiek niepospolitych zdolności i energii, to też Siemaszko zwrócił zaraz na niego swoją uwagę i potrafił go zjednać do swoich celów, uzyskał od niego żądany cyrograf i odtąd był już Chrólkiewicz ulubieńcem Siemaszki. Po zacnym O. Bosiackim został przełożonym w Wilnie w 1837 roku i na tem stanowisku, jako już troicki archimandryta, przeniósł się do wieczności [2].

O. Jozafat Kudrzycki, kand. filozofii, nauczyciel fizyki i historyi naturalnej, rodem także z Kobryńskiego, podczas wizyty liczył lat trzydzieści, z których pięć już nauczał w szkołach bazyliańskich, a rok pierwszy w wileńskiej. Wizytator twierdzi, że

---

[1] Więcej szczegółów o nim można znaleść w „Bazylianach na Żmudzi", *Przegl. Powszechny,* 1891.

[2] Chrólkiewicz przełożył na polski język „O życiu Hermana Augusta Franke, założyciela naukowo-sierocego domu w Hali"; cfr. „Dzieje dobroczynności", III, 167—174, 685. — O Chrólkiewiczu w „Pam. Siem." II, 30, 119, 281; III, 522—524, 550, 557, 600—601, 721, 757, 791, 805, 833.

mu zbywało na wielu przymiotach nauczycielskich, a osobliwie na nauce i zdolnościach uczenia w szkołach świeckich.

O. Ambroży Parmanowski, kand. filozofii, uczył po polsku i po łacinie, urodził się około r. 1799 w Wołkowyskiem i dopiero rok pierwszy był publicznym nauczycielem, ale pilnie i gorliwie czynił zadość swoim obowiązkom.

O. Jan Owelt, z Wiłkomirskiego, mający natenczas lat 26, studya odbywał w wileńskim uniwersytecie, uczył języka rosyjskiego. O tym Owelcie wiadomo z Pamiętników Siemaszki, że w 1839 r. był jeszcze w wileńskim monasterze i nie chciał się poddać woli Siemaszki, wskutek czego zesłany był na pokutę do monasteru byteńskiego, gdzie się zgodził w 1840 r. dać „podpiskę", ale z tym warunkiem, aby mu wolno było zakon opuścić i w świeckim pozostać stanie, wyznawając panującą w Rosyi wiarę [1].

Aleksander de Ronville wykładał język francuski, a rodził się w Słonimskiem i nauki pobierał na pensyi swego ojca w Różanie, miał lat 36, uczył rok pierwszy. Wizytator powiada o nim: spokojny, pilny, zna gramatykalnie swój język, ale wymawianie ma trudne i w wielu wyrazach błędne.

Karol Schmell, rodem z Memla, uczył po niemiecku, kształcił się w szkołach traszkuńskich i wileńskim uniwersytecie, nauczycielem był rok pierwszy; zasłużył także na pochwałę wizytatora.

Liczba uczniów:

W I. kl. 74, w II. kl. 23, w III. kl. 26, razem 123, z których wszyscy, z wyjątkiem dwóch protestantów, byli katolicy. Wiek ich był taki: w I. kl. najmłodszy miał lat 8, najstarszy 23, w II. kl. *minimum* 10, *maximum* 20, w III. kl. 11—24; ze szlachty 105, mieszczan 18; z wileńskiego powiatu 79, z innych 32, z innych gubernij 11, z zagranicy 1. W zakładach dobroczynności miało utrzymanie 36 uczniów, od rodziców 76, z własnego utrzymywało się zarobku 11. U nauczycieli mieszkało 3 uczniów, w mieście 84. W ciągu roku ubyło przed skończeniem 10 uczniów. Celującymi byli w I. klasie: Aleksander Eisenblätter, Ksawery Dziakowicz; w II. kl. Władysław Zienkowicz, Antoni Kim-

[1] Cfr. „Pam. Siemaszki", III, 454, 513, 554.

bar, Ludwik Kwiatkowski; w III. kl. Narcyz Trzeciak, Józef Żukowicz. Dozorców domowych było około 36 i pomocników ich dwóch: w konwikcie bazyliańskim jeden i w misyonarskim jeden; oprócz tego wszystkiego było 11 pauprów, ubogich chłopców, na usługach u księży i majętniejszych uczniów. O takich pauprach opowiadał nam jeden z żyjących jeszcze wychowańców tej szkoły (przed 1838 r.): W klasztorze w konwikcie było kilku chłopaków, którzy, ucząc się w klasach, pełnili jednocześnie przy księżach wszelkie posługi; do nich należało także sprzątanie w klasach, na kurytarzach i w kościele; chociaż uczęszczali oni na lekcye, lecz będąc zajęci usługą, nie mieli czasu na naukę i tylko przez wzgląd na nauczycieli, którym usługiwali, awansowali do klas wyższych. Takimi pauprami, za czasów owego wychowańca tej szkoły, byli: Kotowicz, Michniewicz, Zalewako i Łos, razem i organista, młodzieniec mający już lat 26 i uczęszczający jeszcze na lekcye do klasy pierwszej.

Jaka bywała liczba uczniów w tej szkole w późniejszych latach, o tem niewiele możemy powiedzieć. Tak Michał Baliński [1] powiada, że w 1832 r. w dwóch szkołach powiatowych w Wilnie — przy gimnazyum i bazyliańskiej — razem było 14 nauczycieli i 390 uczniów, a w roku następnym liczba uczniów doszła do 434, lecz trudno wiedzieć na pewno, wiele z tej liczby było u Bazylianów.

To tylko z pewnością twierdzić można, że po powstaniu 1831 r. liczba uczniów w szkole bazyliańskiej znacznie się zmniejszyła; i tak w r. 1834 liczono tam uczniów 29 i 5 nauczycieli [2], lecz nie trwało to długo, bo hr. Protasow, wizytując tę szkołę w 1835 roku, nazywa ją liczną [3], a w 1836 roku było tam 224 uczniów i 7 nauczycieli [4]. Mniej więcej, jak się zdaje, do samego końca tyleż bywało w tej szkole uczącej się młodzieży.

---

[1] Cfr. „Opisanie statystyczne Wilna". Wilno 1835, str. 79.
[2] Cfr. *Tablica učebnych zavědněj vsěch vědomostv.* Petersb. 1838.
[3] *Dopołnienie k sborniku postanovlenij po M. N. P.* Petersb. 1867, str. 485.
[4] *Żurnał M. N. P.*, 1837, XI.

Ponieważ podczas wizyty Podczaszyńskiego był to pierwszy rok istnienia tej szkoły, przeto o rozwiniętym zupełnie programie szkolnym, we wszystkich klasach, mowy nawet być nie mogło. Wstępujący uczniowie nie musieli być dostatecznie przygotowani, wskutek tego nie można było przejść wszystkiego, co w jakiej przepisane było klasie, dlatego w niektórych klasach, z pewnych przedmiotów, przechodzono toż samo, a także niekiedy pensa nie były zakończane.

Idąc tedy za referatem profesora Podczaszyńskiego, notujemy, co w jakiej przeszli klasie wyznaczeni do tego nauczyciele.

O. Arseni Chrólkiewicz wykładał naukę chrześcijańską w klasie I. dwie godziny tygodniowo, katechizm z dzieła znanego Bellarmina, a historyę świętą podług podręcznika przez rząd przepisanego. W ciągu tego roku przeszli w tej klasie: „poczęto od doświadczenia uczniów, czy umieją przepisane modlitwy i ważniejsze artykuły wiary, a skończono na wykładzie różańca; z historyi zaś świętej, od stworzenia świata aż do opisania stanu Żydów, w jakim byli przed przyjściem Mesyasza“. Podręczniki uznawał nauczyciel za dostateczne. Celujących uczniów było 18, dobrych 30, miernych 17, opieszałych 7 [1].

W II. klasie także było dwie godziny na tydzień religii; uczono podług Bellarmina i Fleury'ego; z katechizmu zaczęto od wykładu artykułów wiary, a skończono na czterech ostatecznych rzeczach; z historyi: „od powtórzenia dawnego przymierza, do oswobodzenia Kościoła, i o zakonnikach“. Celujących uczniów 8, dobrych 10, miernych 3, opieszały 1 (wszystkich podczas wizyty było 22). W III. klasie także dwie godziny na tydzień poświęcano religii i przeszli toż samo, co i w II. kl., a oprócz tego ćwiczono się w śpiewach kościelnych. Pierwszej kategoryi było 5 uczniów, drugiej 12, trzeciej 6, czwartej 3. Przy egzaminie uczniowie okazali postępy.

O. Owelt uczył języka rosyjskiego: w I. kl. cztery razy na

[1] Zapewne już w maju było tylko 72 uczniów w I. klasie, albo raczej 2 było protestantów.

tydzień z gramatyki Ostrowskiego [1]. Zaczęto od liter, a skończono na czasowaniu, oprócz tego co tydzień jedno ćwiczenie piśmienne. Celujących w tym przedmiocie było 7, dobrych 30, miernych 20, opieszałych 17. W II. klasie trzy lekcye tygodniowo, podług tejże gramatyki; ćwiczono się w czytaniu, tłumaczeniu z rosyjskiego na polski język, pisząc jedno ćwiczenie na tydzień. Celujących uczniów 5, dobrych 10, miernych 5, opieszałych 3. W III. klasie, podług Ostrowskiego i Grecza, przechodzono czasowanie i trybowanie, jedno *domesticum* tygodniowo. Celowało 2 uczniów, dobrych 8, miernych 9, opieszałych 7. Wizytator był zadowolony z postępów w tym przedmiocie.

O. Parmanowski wykładał język polski. W I. klasie trzymano się gramatyki Jakubowicza; były tam cztery lekcye na tydzień, zaczęto od „wyrazów uważanych ze względu na ich powierzchowność, a skończono na okazaniu wszystkich części mowy". Opieszałych uczniów było 22, miernych 33, dobrych 11, celujących tylko 8. W II. klasie 3 lekcye, z tejże gramatyki, od natury głosek do odmiany słów i jedno *domesticum* na tydzień. Opieszałych uczniów 2, miernych 10, dobrych 6, celujących 5. W III. klasie 2 lekcye na tydzień i jedno wypracowanie co dwa tygodnie; składnia, pisownia, sposób pisania listów. Opieszałych uczniów 5, miernych 12, dobrych 7, celujących 2. Wizytator wyraził się o O. Parmanowskim: „nauczyciel umiał pokonać trudności i niedostatki dzieła elementarnego i uczynić naukę jasną i pożyteczną dla uczniów, jak się to widzieć dało przy egzaminie" [2].

Tenże sam nauczyciel dawał lekcye łaciny: w I. klasie godzinę tygodniowo z gramatyki tegoż Jakubowicza; zaczęto od czytania, a skończono na czasowaniu słów foremnych; piśmienne

---

[1] Piotr Ostrowski urodził się w Telszach około 1788 r., uczył się w Telszach i w petersburskim pedagogicznym instytucie, od r. 1815 nauczał w Wilnie, zmarł 1846, jako dyrektor gimn. w Dynaburgu; wydał kilka podręczników, których się dawniej trzymano.

[2] Dawniej używana była za podręcznik znana gramatyka Kopczyńskiego, ale po 1824 r. zabronioną została, a na jej miejsce zalecili gramatykę Maksymiliana Jakubowicza, 1785–1853, znanego w swoim czasie filologa, a nawet czas jakiś profesora literatury starożytnej w kijowskim i moskiewskim uniwersytecie, który także napisał gramatykę łacińską.

ćwiczenie jedno tygodniowo, klasyfikacya takaż sama jak w polskim języku. W II. klasie dwie lekcye na tydzień; *domesticum* co tydzień; od przypadkowania i czasowania słów foremnych do deklinacyi imion greckich. Klasa III., dwie lekcye; ciąg dalszy gramatyki, przetłumaczyli 18 bajek Fedra i pierwszą księgę Eutropiusza, wypracowanie jedno co dwa tygodnie, klasyfikacya w tej i tamtej klasie taka, jak w polskim języku. Profesor Podczaszyński po egzaminie takie zapisał o tym przedmiocie zdanie: „czytać poprawnie, odmieniać wyrazy i tłumaczyć należycie, a względnie do klasy, umieli“ [1].

Język niemiecki (nauczyciel Schmell); w I. klasie 5 lekcyj na tydzień i jedno wypracowanie; gramatyka Kamińskiego, z której przeszli do czasowania słów. Celujących uczniów 15, dobrych 25, miernych 23, opieszałych 11. W II. klasie tyleż godzin, taż gramatyka i wypisy Gedyke'go, *domesticum* jedno na tydzień; przeszli składnię. Celujących uczniów 5, dobrych 8, miernych 6, opieszałych 4. W III. klasie trzy godziny tygodniowo; przechodzili toż samo, co w II. kl. Celowało 4 uczniów, dobrze się uczyło 6, miernie 7, źle 9. Wizytator zauważył niezłe postępy w tym języku.

Język francuski (nauczyciel Ronville). Liczba godzin takaż sama jak w niemieckim; podręczniki, gramatyka Plansona [2], wypisy Gedyke'go i notatki nauczyciela. We wszystkich trzech klasach przechodzili toż samo: od początku tego języka do konjugacyi regularnej. Wizytator nie był zadowolony z postępów w języku francuskim.

Nauki fizyczne (nauczyciel Kudrzycki); w I. klasie jedna lekcya na tydzień; przechodzono zoologię podług Jundziłła i przeszli od wstępnych wiadomości do opisu zwierząt w drugim rzę-

[1] W tej szkole, jak prawie we wszystkich owoczesnych powiatowych, bardzo mało poświęcali lekcyj łacinie i jest to dla nas prawdziwą zagadką, w jaki sposób przy tak ograniczonej liczbie godzin, mogli tyle przechodzić z tego przedmiotu.

[2] Antoni Planson ur. 1791 r., 1812 przybył do Polski i naprzód uczył w prywatnych domach, potem po szkołach publicznych, nakoniec był lektorem francuskiego języka w kijowskim i charkowskim uniwersytecie; wydał kilka podręczników.

dzie zawartych. Celowało 3 uczniów, dobrych 17, miernych 34, opieszałych 20. W II. klasie 3 lekcye tygodniowo; dalszy ciąg zoologii i początki botaniki, układ roślin. W pierwszej kategoryi uczniów 4, w drugiej 7, w trzeciej 6, w czwartej 6. W III. kl. 5 lekcyj, mineralogia z Jakowickiego, fizyka z Drzewińskiego, dalszy ciąg botaniki z Jundziłła; determinacya roślin; z fizyki do nauki o powietrzu, oryktognozya. Uczniów w pierwszej kategoryi 6, w drugiej 12, w trzeciej 8. Sąd wizytator o tych przedmiotach wydał taki: „ponieważ historyi naturalnej uczono na pamięć, nie wspierając jej bynajmniej wzorami, toż fizyka bez narzędzi i doświadczenia, stąd nauki te trudne były i pożytek z nich mały".

Arytmetyka, geografia, historya (Mażalski, Dobrowolski). W I. klasie 6 lekcyj arytmetyki i geografii; z arytmetyki przeszli do reguły trzech, podług podręcznika Czecha; z geografii, podług Szacfaiera, od początku do opisu Turcyi. Celujących uczniów 3, dobrych 16, miernych 17, opieszałych 38. W II. kl. z geografii dwie lekcye tygodniowo, którą ukończono opisaniem wysp oceanu Spokojnego, także podług tegoż podręcznika. Uczniów pierwszej kategoryi 3, drugiej 10, trzeciej 4, czwartej 6. W III. klasie trzy godziny historyi z dzieła Kajdanowa i geografia podług Szacfaiera i Śniadeckiego. Z geografii przeszli toż samo co w drugiej klasie (z niewielkim dodatkiem), a z historyi, od początku do historyi Rzymu. Celujących uczniów 3, dobrych 8, miernych 6, opieszałych 9 [1].

Arytmetyka i geometrya (Mażalski). W I. klasie z geometryi przeszli do trójkątów, z dzieła przez rząd zatwierdzonego. O tem dziele nauczyciel takie wygłosił zdanie: „geometrya na klasę I.

[1] Kiedy zabroniono używać polskich autorów przy wykładzie historyi po szkołach publicznych, z polecenia rządu przetłumaczyli podręcznik rosyjski Iwana Kajdanowa, dość obszerny, bo w trzech tomach (str. 226, 196, 380), w którym nowożytna historya doprowadzona do r. 1818. Tłumaczenia tego dokonał w Wilnie Rogalski, a Bentkowski w Warszawie; drugie wydanie wyszło w Petersburgu w r. 1823. Rosyanin, kształcący się na uniwersytecie protestanckim w Getyndze pod Heesenem — nie mógł się zdobyć na sprawiedliwość wobec katolików; o Polsce mówi pobieżnie i poglądy jego nie wytrzymują krytyki.

nie jest stosowna do podanego przepisu w projekcie urządzenia szkół; na inne zaś klasy, przechodzi usposobienie i pojęcie uczniów". Była tego przedmiotu jedna lekcya na tydzień. Celujących uczniów 2, dobrych 16, miernych 32, opieszałych 24. W II. kl. z arytmetyki przeszli ułamki zwyczajne, dziesiętne, podnoszenie do potęgi i wyciąganie pierwiastków, a z geometryi „skończono na 3 księdze" (?); dla obu tych przedmiotów poświęcano pięć lekcyj na tydzień. Celujących uczniów było 2, dobrych 7, miernych 6, opieszałych 7. W III. klasie także pięć lekcyj, przeszli o stosunkach, postępach, logarytmach i ich użyciu, a z geometryi skończono na 4 księdze (?). Jeden uczeń tylko celował, dobrych 9, tyluż miernych, opieszałych 7. Wizytator wyrzekł, że przy egzaminie dobrze bardzo, jasno i z precyzyą tłumaczyli się wszystkich trzech klas uczniowie.

Szkoła ta mieściła się w zabudowaniach klasztornych. Wyżej cytowany uczeń tej szkoły opowiadał, że I. klasa była na dole, II. na pierwszem piętrze, a III. na drugiem: tak chciano symbolicznie przedstawić idące do góry klasy. Nauczyciele mieszkali także w klasztorze; gabinetów żadnych, ani narzędzi matematycznych i fizycznych jeszcze nie było podczas wizyty Podczaszyńskiego; brakowało także okazów do nauk przyrodniczych; biblioteki osobnej szkolnej także jeszcze nie zaprowadzono, tylko profesor Planson, na początek, ofiarował na ten cel trzy swoje podręczniki; wypisy i wszystkie potrzebne szkolne książki były już jednakże zapisane.

Rząd uniwersytecki, pod władzą którego ta szkoła się znajdowała, wyasygnował na opłatę dwóch świeckich nauczycieli rs. 400, i 500 na urządzenie klas i potrzebnych w nich sprzętów.

Żadnych szczególnych występków, tak referuje raport wizytatora, nie było, oprócz tylko dziecinnych swawoli. Kary wymierzane były takie: upominanie prywatne, potem publiczne, klęczenie, siedzenie na ziemi, a w ostateczności kara cielesna. Przepisy zalecane od Zarządu wchodziły w życie i zalecane porządki zaprowadzały się.

W rok po tej wizycie taki był personal nauczycieli w tej

szkole[1]: Dozorca szkoły, świecki: Arnold Grauert[2], radca tytularny, kand. filozofii; nauczyciel religii: ks. Pankracy Tułowski; języka rosyjskiego: ks. Seweryn Chalimowicz, student aktualny filozofii; języka polskiego i łaciny: ks. Teofil Misiewicz; historyi i geografii: ks. Jakub Sarnocki; arytmetyki i geometryi: ks. Józef Szymkiewicz; fizyki i historyi naturalnej: ks. Ambroży Merecki, kand. filoz.; języka niemieckiego: tenże sam Karol Schmell; języka francuskiego: p. Józef Ponce de Sandon.

Po wypadkach 1832 r. zaszła zmiana w systemie nauczania po szkołach w zabranych krajach: zaczęto wprowadzać język rosyjski jako wykładowy — chociaż nie we wszystkich szkołach jednocześnie — do wszystkich przedmiotów, z wyjątkiem religii i polskiego języka, który się utrzymał jeszcze czas jakiś. W szkole bazyliańskiej wileńskiej ta innowacya zaraz nastąpiła po r. 1832, jak nam opowiadał ów wyżej wspomniany wychowaniec tej szkoły. Podług jego relacyi, nauczali pomiędzy r. 1830—1838 następujący profesorowie w wileńskiej bazyliańskiej szkole: ks. łaciński Chalimowski uczył po polsku, ks. łaciński Laskowski wykładał religię rzymskim katolikom, O. Ordanowicz O. S. B. unitom, O. Sieńkiewicz uczył po rosyjsku, O. Misiewicz był nauczycielem łaciny, O. Chrólkiewicz uczył matematyki, którą doskonale znał i znakomicie wykładał, tak, że nawet najsłabsi uczniowie mogli go rozumieć, i za jego tam nauczycielstwa matematyka najlepiej stała; oprócz tego umiał on wzbudzać ku sobie przywiązanie uczniów i ich sympatyę największą; OO. Rafałowicz i Lewicki uczyli geografii i historyi, O. Makowelski wykładał język niemiecki, a Lesle, żołnierz napoleoński, francuski.

Niektórzy z wymienionych tu Bazylianów bliżej są trochę znani z „Pamiętników Siemaszki“, o innych nic nie wiadomo.

[1] Cfr. „Kalendarzyk wileński na r. 1828“, druk. w Wilnie u M. Romma.

[2] Widocznie już wtedy nawet rząd Bazylianom niezupełnie dowierzał i posyłał im ze swego ramienia dozorców; ów Grauert, jak się zdaje, był pierwszy taki. A. Grauert, syn Fryderyka, był rodem z Białostockiego, rodził się około 1799 r., zapewne Niemiec, wykładał ten język w gimnazyum wileńskiem za czasów wizyty Podczaszyńskiego. Później takimi świeckimi dozorcami byli tam: Moszyński i Iliaszenko.

Tak np. znajdujemy wzmiankę o O. Pankracym Tułowskim, że w r. 1834 przenieśli go z monasteru nowogrodzkiego do torokańskiego, musiał więc nie być w guście Siemaszki [1]. Nie można na pewno wiedzieć, o jakim Ordanowiczu tu mowa; Ordanowiczów było trzech: jeden był dyakonem w wileńskim klasztorze za czasów jeszcze Bosiackiego — co się z nim potem stało, nie wiadomo; drugi, Herakliusz, jako już „podpiskowy" kapłan otrzymał za to 1841 r. 30 rs. nagrody (najmniejsza kwota); trzeci, Józef, ihumen w Lubarze, już w 1833 r. *persona grata* u Siemaszki [2]. O. Joachim Rafałowicz ze skasowanego monasteru nowosieleckiego wyznaczony do Wilna 1834 r., ale przedtem miano go wysłać na koszt monasteru wileńskiego do Żyrowic, aby się tam wykształcił w obrzędach i ceremoniach wschodniej Cerkwi [3]. Józef Sieńkiewicz 1833 r. wysłany przez Siemaszkę do seminaryum dyecezalnego, aby się tam, na koszcie monasteru wileńskiego, wydoskonalił w teologii; dalsze jego losy nieznane [4].

W r. 1835 hr. Protasow objeżdżał Litwę i wizytował znajdujące się tam szkoły publiczne; był także w bazyliańskiej w Wilnie, o której tak później referował: „Bazyliańska powiatowa szkoła jest liczna, ale lokal niewielki; postępy w naukach w tym roku dość słabe; potrzeba mieć więcej zwróconą uwagę na tę szkołę i więcej podniety ze strony bezpośredniej zwierzchności" [5].

Monaster wileński i szkoła w nim będąca nie miały także łaski u Siemaszki, który niejednokrotnie doradzał i zachęcał, aby monaster skasować i szkołę zamknąć, ale jakoś na te jego rady nie zwracano uwagi i nie uwzględniono jego życzenia.

Siemaszko donosił w swoim czasie, że monaster ten, w ciągłych z rzymsko-katolickiem duchowieństwem zostający stosunkach, pośród ludności przeważnie łacińskiego obrządku, podlegał rzymsko-katolickiego Kościoła wpływom, a nauczyciele tej szkoły, Bazylianie, więcej zależąc od swojej szkolnej zwierzchno-

[1] „Pamiętniki Siemaszki", III, 57. [2] Tamże, III, 51, 38, 417, 558.
[3] Tamże, III, str. 50. [4] Tamże, III, str. 13.
[5] *Dopołnienie k sborniku postanovlenij po Ministerstvu Narod. Prosv.* Petersb. 1867, str. 485.

ści, aniżeli od eparchialnej władzy, nie poddawali się jemu[1]. I rzeczywiście, długo nie udawało się Siemaszce zjednać ich dla swoich celów, bo nawet nie mógł ich z Wilna zabrać bez przeszkody w szkolnem nauczaniu, i to poniekąd ich broniło prawie aż do katastrofy 1839 r. Dopiero w tym roku w czerwcu wydał Siemaszko rozporządzenie, aby nauczyciele tej szkoły, Bazylianie: Teofil Misiewicz, Gerwazy Hryncewicz, Marceli Sokołaj księża mszalni, i dyakon Atanazy Makowelski, a także księża z zakonu św. Bazylego Owelt i Mażalski, wezwani byli do Bytenia. A ponieważ O. Włodzimierz Trzeciakowski i O. Tytus Ilnicki, mieszkający natenczas w tymże monasterze, także nie chcieli się poddać przełożonemu monasteru i przyjąć nowego wyznania wiary, więc i ich kazał Siemaszko wywieźć z Wilna, a na ich miejsce przysłał swoje kreatury, i tym sposobem unia w znakomitym i świetnym niegdyś klasztorze, uświęconym pobytem i działalnością św. Józafata, ustała zupełnie *de facto et de jure.*

Jakież były dalsze losy tej rozproszonej Bazylianów gromadki?

O. Misiewicz w 1840 r. był w tryhurskim monasterze na pokucie i nie chciał wydać na swoją duszę cyrografu; nasłano na niego tam policyę, ale i to policyjne apostołowanie nie odniosło skutku, więc go posłano w 1841 roku do gorszej jeszcze kazamaty, do monasteru zahorowskiego, gdzie go usiłowano nawrócić, ale nie znajdujemy żadnej wzmianki o tem, aby się to im udało [2].

O. Hryncewicz przy końcu 1839 r. z Bytenia, do którego Siemaszko go wyprawił, został zesłany w głąb Rosyi i internowany w Krasnosłobodzkim Preobrażeńskim monasterze penzeńskiej eparchii, i co się z nim dalej stało — niema wiadomości [3]. Zapewne musiał wytrwać, bo Siemaszko skrzętnie notował każdą apostazyę.

Marceli Sokołaj, będąc w 1840 r. w monasterze w Tryhurach, poddał się namowom ihumena Leontiego Skibowskiego

[1] Cfr. „Pamiętniki Siemaszki", III, str. 453—455.

[2] Tamże, III, str. 454, 532, 555, 556. [3] Tamże, III, str. 454, 481, 482, 494, 502.

(znanego niegdyś prefekta szkół, potem rektora w Humaniu) i przyjął panujące w Rosyi wyznanie [1].

Atanazy Makowelski w 1840 r. z Lubaru przeniesiony do pskowskiej eparchii, bo się nie poddał [2].

Owelt i Mażalski dali „podpiski“, z warunkiem, aby im wolno było zakon na zawsze opuścić [3].

O. Trzeciakowski, wycierpiawszy bardzo wiele w Byteniu, wytrwał w wierze; niema już potem o nim wzmianki [4].

Tytus Ilnicki, jako „uparty“, w 1840 r. zesłany do Rybińska, do eparchii jarosławskiej; żeby został apostatą, nie wiadomo [5].

Po zniszczeniu unii, szkoła w tym monasterze jeszcze jakiś czas istnieć musiała, naturalnie, zupełnie już przeistoczona, bo cytowany przez nas uczeń bazyliański opowiadał, że po 1839 r. uczniów tej szkoły, katolików, posyłali na msze już do „Bosaków“, tj. do kościoła Karmelitów Bosych przy Ostrej Bramie, a przed tym rokiem modlili się w kościele unickim przy tym klasztorze będącym.

Na zakończenie przypomnimy, że w tej bazyliańskiej szkole pobierał naukę Albert Zamet, później kształcący się w wileńsk. gimnazyum i akademii sztuk pięknych w Petersburgu, a nawet w Rzymie doskonalący się w malarstwie. Około 1859 r. powrócił do Wilna i zasłynął tam jako pejzażysta; był oprócz tego dekoratorem przy teatrze wileńskim. Uczył się także u Bazylianów Dépertes, syn żołnierza Napoleońskiego, naturalizowany na Litwie, który później swoje utwory poetyczne drukował w „Niezabudce“, „Noworoczniku“, w „Rusałce“; umarł około 1860 r. Z żyjących, tam także początkowo się kształcił dr. Julian Titius, znakomity lekarz w Wilnie, który przed trzema laty obchodził 50-letni jubileusz swojej lekarskiej działalności.

Wołyniak.

---

[1] W „Pamiętnikach Siemaszki“ niema wprawdzie o tem wzmianki, ale mi to wiadome z życia Skibowskiego.

[2] „Pam. S.“, III, str. 454, 533. [3] Tamże, III, 454, 513, 554, 533, 282.

[4] „Pam. S.“, III, 128, 454, 546, 547. [5] Tamże, III, 54, 454, 482, 494, 502.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z teki dziennikarskiej. Pogadanki literackie. *Ludwik Dębicki.* W Krakowie. Księgarnia Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893. (Str. VIII, 386, w 16ce).

Może przy natłoku prac zawodowych narzekałeś, czytelniku, na to, że z braku czasu nie śledzisz obecnych prądów i postępów pracy umysłowej w Polsce. Jeżeli powtarzałeś tę skargę dość powszechną, w takim razie głos twój znalazł posłuch: zasłużony autor zaprasza na „Pogadanki literackie“ wszystkich, co „wiele czasu na literaturę nie mają“. Wyjął „z teki dziennikarskiej“ te ustępy, które jasno i zwięźle zdają sprawę z celniejszych utworów naszego piśmiennictwa, i przeplótł je opisem najważniejszych szczegółów o czynach i wpływie mężów, którzy w ostatnich dziesiątkach lat przewodniczyli narodowi na różnych drogach pracy duchowej.

Skromny napis urywków „Z teki dziennikarskiej“ ukrywa bogatą osnowę wytrawnych myśli o pismach, wypadkach i ludziach, najgodniejszych wzmianki za ich doniosły wpływ na postęp naszego piśmiennictwa. Najwięcej może zawdzięczamy pisarzom, którzy w ostatnich dziesiątkach lat najżywiej brali udział w pracy umysłowej postronnych narodów: ich dziełom zawdzięczamy widnokrąg wiedzy szerszy od tego, w którym pracowali dawniejsi pisarze, kiedy głównie zapoznawali swoich czytelników z własnym krajem, jego potrzebami i sprawami. Na europejską widownię wchodzi już słusznie nasze piśmiennictwo, dzięki nowszym pisarzom. Ich zasługę bardzo słusznie oceniają „Pogadanki“ i rozbierają zalety kilku poważnych rozpraw polskich, które mogą zwrócić na

siebie uwagę uczonych cudzoziemców. Między dziełami tego zakroju, pierwsze miejsce zajmuje w „Pogadankach“ praca ks. biskupa Janiszewskiego, o „Kościele i państwie chrześcijańskiem“; także należne pochwały spotkały ks. Pelczara, za jego trzy tomy o „Piusie IX. i jego pontyfikacie“.

Polityczni pisarze nasi mniej obrabiali pola nauk ogólno-ludzkich: więcej rozpatrywali sprawy ojczyste i rozbierali skutki głównych wypadków w dziejach naszych z ostatniego stulecia. Treść ich rozpraw nie przyczynia im rozgłosu wobec obcych narodów, ani nie rozszerza wpływu naszego piśmiennictwa na cudzoziemców: ale wywiera w kraju potężny wpływ na ogólne sądy o takich wypadkach, jak konstytucya Trzeciego maja, ruchy powstańcze, stanowisko zajęte przez naszych posłów w Berlinie i Wiedniu i t. d. Dlatego na poczetnem miejscu w „Pogadankach“ spotykamy rozbiór dzieł St. Tarnowskiego, Pawła Popiela i innych pisarzy, których „Doświadczeniom i Rozmyślaniom“ albo pamiętnikom i ulotnym pismom zawdzięczamy niejeden promień światła na drogi, któremi szedł naród w dobie porozbiorowej.

Ostatnie dziesiątki lat wydawały wiele postaci, których życiu i pracom pisarskim winniśmy powrót coraz wyraźniejszy w naszym narodzie do wiary praojców. Pisarz, tak wybitnie katolickich zasad, jak hr. Dębicki, nie mógł zamilczeć o tym rozwoju ducha religijnego: zdał sprawę z wpływu najdzielniejszych przedstawicieli tego zwrotu, tak na wychodźtwie polskiem we Francyi i w Rzymie, jak w rozebranych dzielnicach rzeczypospolitej. Szczegółów do tego opisu dostarczyła po części praca ks. Smolikowskiego, o „Odrodzeniu religijnem na emigracyi“, po części życiorysy dwóch znakomitych pracowników na niwie kościoła polskiego: bł. Klemensa Dvořaka (Hofbauera) i ks. Stanisława Chołoniewskiego [1].

Znamienne piętna obecnej doby występują na jaw w europejskiem powieściopisarstwie: tęsknota za stałemi zasadami wiary odznacza wiele utworów beletrystycznych, szczególnie we Francyi, znużonej gonitwą za szczęściem na bezdrożach niedowiarstwa. Stąd powstało zjawisko mgliste, zwane neochrystyanizmem, któremu autor poświęcił kilka ustę-

[1] Przy opisie ruchu religijnego na wychodźtwie powtórzył szanowny autor często podawaną wiadomość, że „Księgi pielgrzymstwa“ Mickiewicza należą do zakazanych na Indeksie. Kilka najnowszych wydań Indeksu wymieniają wprawdzie dwie prace Mickiewicza francuskie, ale nie wspominają ani „Ksiąg pielgrzymstwa“, ani żadnych prac polskich naszego wieszcza.

pów. Zapoznaje z nazwiskami pisarzy, jak Desjardins i Leroy-Beaulieu, którzy „nie chcą działać przeciw Kościołowi, ale poza nim“ żądają „dobrych uczynków i cnotliwego życia, choćby bez wiary, płynących z głosu sumienia w porządku naturalnym“. Podobny duch wieje, choć oczywiście słabiej, w niektórych powieściach polskich, nawet znakomitszych. Znajdujemy w nich zachętę do cnoty, ale bez pacierza... i taka zachęta „tonie w czemś mglistem nieokreślonem“. W „Pogadankach“ słyszymy naganę tego zwrotu i przestrogę, że: „nie dość mówić za Orzeszkową i tyloma innymi: pracuj a wszystko uratujesz; ale potrzeba po dawnemu powtarzać: *Ora et labora!*“

Taką osnowę myśli podał hr. Dębicki w niniejszym tomie „Pogadanek literackich“, nadał im tok potocznej rozmowy towarzyskiej i ujął je wątkiem głębszych poglądów na stan i potrzeby naszego społeczeństwa. Praca jego może służyć za zachętę wielu młodszym dziennikarzom, żeby także zbierali podobne wiązanki swoich prac literackich, a nie poprzestawali na tem, że dostarczają „jednodniowej strawy“ czytelnikom różnych czasopism. Życzliwe przyjęcie najnowszej pracy hr. Dębickiego przez ogół czytelników, zachęci — spodziewamy się — czcigodnego autora, żeby prędko nas zaprosił na dalszy ciąg miłych „Pogadanek“.

K. C.

Wincenty Reklewski. Szkic literacki. *Bronisław Gubrynowicz.* Odbitka ze Sprawozdania c. k. gimnazyum Im. Franciszka Józefa. Lwów 1893. (Str. 36).

Można znać dobrze dzieje naszego piśmiennictwa, a mimo to nie spotkać się wcale z nazwiskiem Wincentego Gozdawy Reklewskiego, poety-żołnierza, przyjaciela obu Brodzińskich. Nazwisko Reklewskiego w istocie „umieszczone na długiej liście zapomnianych i nieocenionych“, dopiero rozprawa p. Gubrynowicza czytającej naszej publiczności zapewne przypomni. Czy należało je przypomnieć? Na to pytanie, które każdemu w duszy zrodzić się musi, kto wie, że całą zasługą Reklewskiego jest tylko wprowadzenie motywów ludowych do swych „Pień wiejskich“, odpowiada p. Gubrynowicz we wstępie do swej rozprawy temi słowy: „W chwili kiedy rozpoczęliśmy sumienny obrachunek z przeszłością, kiedy cienie wieszczów naszych przywołujemy przed trybunał krytyki literackiej, obliczamy się z nim; przyznajmy to co mu się należy, oceńmy jego talent i zasługi, a wreszcie wyznaczmy mu odpowiednie miejsce w gronie poetów. Dość już bowiem tych okle-

panych frazesów, które jak pacierz za panią matką bezmyślnieśmy powtarzali, a do tego rodzaju pacierza, należą sądy i oceny o Reklewskim, które po sławnych [1] naszych historyach literatury do dziś dnia się tułają".

Rozprawa p. Gubrynowicza składa się właściwie z dwu części: pierwsza zawiera życiorys Reklewskiego, druga poświęcona ocenie autorskiej działalności poety. Z życia Reklewskiego niewiele znamy szczegółów. Urodził się we wsi Obręcznej (powiat radomski) r. 1786, nie zaś 1785, jak mylnie podał K. Brodziński. W r. 1804 zapisał się Wincenty na wydział filozoficzny Uniwersytetu krakowskiego. W r. 1806 wstąpił w szeregi wojsk Napoleona i pozostał w nich aż do śmierci, która go w randze podpułkownika artyleryi w Rozestwie, po bitwie pod Smoleńskiem r. 1812 spotkała. Hipoteza p. Gubrynowicza (wypowiedziana zresztą z pewnemi zastrzeżeniami), że Reklewski uchodząc może przed wcieleniem go do wojska austryackiego, podążył pod rozkazy ks. Józefa Poniatowskiego, jest zupełnie nieuzasadnioną. Reklewski był legitymowanym szlachcicem, co szanowny autor kilkakroć z naciskiem w rozprawie swej powtarza, szlachcica zaś w Austryi wówczas nie wolno było przemocą wcielać do armii, szlachcic mógł jedynie dobrowolnie do niej wstąpić, do czego nie mając ochoty nie mógł być zmuszonym. Czyż egzaltacya sama nie mogła młodego poetę powieść w szeregi wojska narodowego, które ojczyźnie, jak mniemano, miało wolność przywrócić?

Do jakich szkół średnich uczęszczał Reklewski, nie mógł szanowny autor, mimo usilnych starań, dojść wcale. Ze szkół galicyjskich najprawdopodobniej wyniósł towarzysz Brodzińskich na polach sławy literackiej i wojennej, tę dokładną znajomość współczesnej literatury niemieckiej, której liczne dowody w „Pieniach" napotykamy.

Trzy główne czynniki wykazał p. Gubrynowicz w poezyi Reklewskiego: dokładną znajomość rzymskich poetów, bliższe poznanie się z literaturą niemiecką i zainteresowanie się ludem. Z rzymskich poetów, wpływał przedewszystkiem Owidyusz na Reklewskiego; z niemieckich, wzorem dlań zaś był przed innymi Gessner. Skutkiem zawisłości Reklewskiego od obcych wzorów, brak obserwacyi jest jedną z charakterystycznych cech poematów Reklewskiego. P. Gubrynowicz przypuszcza, że śpiewka ludowa z całym swym czarem niejednokrotnie do uszu Reklewskiego dolatywała i w pamięci poety na długie czasy po-

[1] Czy to nie zbyt dosadne wyrażenie?

zostawała, że sceny z życia ludu wiejskiego musiał Reklewski również nieraz nie bez głębszego wrażenia obserwować. Treścią krakowiaków Reklewskiego gorszy się p. Gubrynowicz i powtarza znane zdanie, że krakowiaki te „wydrukować jeszcze można, ale głośno przeczytać nie zawsze uchodzi". Wartość innych poematów Reklewskiego, wzorowanych na piosnkach ludowych, zdaje się nam, że przecenia p. Gubrynowicz. Zgodzimy się na to zdanie jego: „O Reklewskim zapomniano. Nazwiska jednak, choćby dla serdecznej przyjaźni jego z Brodzińskim, z literatury wykreślić nie można; z poezyj część pójdzie w zapomnienie, ale tych kilka na wiejską nutę zanuconych, pozostanie na zawsze w skarbnicy literatury naszej i zapewni ich piewcy choć skromne ale pewne miejsce w poczcie pisarzów polskich". Przesadą jednak jest bez wątpienia przypuszczenie, że dopiero z drukowanego zbioru poezyj Reklewskiego w roku 1811 w drukarni Gröblewskiej w Krakowie, nauczył się lud w drohobyckim powiecie śpiewać dumę o siostrze, która powrotu brata z wojny napróżno oczekuje. Kończąc nasze sprawozdanie z cennej zresztą i zajmującej rozprawy p. Gubrynowicza, przytoczymy jeszcze jedno zdanie o Reklewskim: ...„Ciekawym objawem jest to, że wypadki współczesne zupełnie w jego poezyach są pominięte i nawet najlżejszym śladem nie odbiły się"...

L. M. Dziama.

Skarbiec odpustowy, czyli zbiór modlitw odpustowych z odpowiedniemi uwagami, do codziennego użytku zastosował *ks. Maryan Fulman,* mag. św. Teologii. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Sp. 1893.

Droga Krzyżowa. W Krakowie. W drukarni „Czasu". 1893.

Pobudka Seraficka. W Krakowie. Nakładem Księgarni katolickiej. 1893.

Myśli św. Franciszka z Assyżu. W Krakowie. Nakładem Księgarni katolickiej. 1893.

Wypisane w nagłówku ascetyczne dziełka szczerze polecić możemy czytelnikom naszym. W „Skarbcu odpustowym" znajdujemy długi szereg najpiękniejszych modlitw, zastosowanych do wszystkich potrzeb duszy, wszystkich okoliczności życia, a wzbogaconych przez Kościół odpustami. Ks. Fulman podał odpustowe modlitwy wedle zatwierdzonego przez św. Kongregacyę Odpustów, podręcznika O. Arndta; wobec czego wątpliwości o dokładności przekładu, które niejednokrotnie w innych tłumaczeniach umysły mącą, tutaj miejsca mieć nie mogą. — Wydana gustownie i wytwornie nakładem księży Zmartwychwstania Pań-

skiego „Droga Krzyżowa“, bardzo ładnemi obrazkami opatrzona, znaleść powinna i znalazła już pewnie miejsce na licznych klęcznikach pobożnych rodzin; nadaje się doskonale, jako miły i cenny podarunek na pierwszem miejscu, z powodu wykwintnej swej formy, dla pań i panienek. — Dwa ostatnie dziełka przeznaczone są głównie dla coraz i w kraju naszym liczniejszych tercyarzów św. Franciszka; wchodzą w skład pokaźnej już dzisiaj tercyarskiej biblioteczki, do której krakowska księgarnia d-ra Miłkowskiego rok rocznie parę książeczek przydaje. „Pobudka seraficka“ jest przekładem z łacińskiej pracy *Incitamenta seraphica*, umieszczonej w *Acta Ordinis Minorum*, a choć właściwie odnosi się do zakonów serafickich w ściślejszem tego słowa znaczeniu, przecież i przez tercyarzów może być z pożytkiem czytaną. O treści tej książki, tem bardziej o treści złotych myśli św. Franciszka z Assyży, byłoby chyba zarozumiałością chcieć sąd wydawać; wskazanie źródeł, z których pochodzą, najlepszem tu bez wątpienia jest poleceniem. Co się tyczy samegoż polskiego tłumaczenia, to, zwłaszcza w „Pobudce“, dość często, niestety! treści nie dorównywa.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Immortelle. Spjevao *Stjepko Španić*. Zagreb 1892.
U zatišju. Spjevao *Josip Milaković*. U Sarajevu 1892.

Myliliśmy się, pisząc w ocenie *Nevenek* Harambašića, że autor ich należy do plejady chorwackich poetów, gdyż zastęp młodych *hrvatskih pjesnikov* stanowi już nie siedmiogłową plejadę, ale prawdziwą drogę mleczną na poetyckim firmamencie, na której coraz to nowe ukazują się gwiazdy, opromienione aureolą wprawdzie nie geniuszu, ale bądź co bądź niezaprzeczonego talentu. Wśród gwiazd, które w najnowszej zaczęły jaśnieć dobie, spotykamy między innymi autorów poetycznych utworów, wymienionych w tytule, a mianowicie pp. Španića i Milakovića.

Zbiór ulotnych poezyj, pod tytułem: *Immortelle*, stanowi debiut młodego pieśniarza, występującego bodaj po raz pierwszy na literackiej arenie. Za *motto* do tej poetyckiej równianki posłużyły słowa nieśmiertelnego Szekspira:

Doubt thou the stars are fire,	Wątp o gwiazdach czy są ogniem,
Doubt that the sun doth move,	Wątp o słońcu czy się rusza,

Doubt truth to be a liar,	Wątp o prawdzie czy nie kłamie,
But never doubt I love.	Nie wątp nigdy że ja kocham.

To *I love* powtarza się niemal na każdej kartce, już nie jako ulubiona zwrotka, ale jako treść, istota erotycznych utworów p. Španića. Jest to jedyna struna, naciągnięta na jego lutni i dźwięcząca szybszem lub powolniejszem tempem, jedyne uczucie, wypowiadane zresztą z wielką psychologiczną prawdą i w sposób bardzo udatny. Co za szkoda, że niezmierna łatwość władania formą i naginania jej do rozmaitych kształtów, nie została użytą do wcielenia poważniejszej i mniej jednostronnej treści. Sam autor nawet, jak to widać z pewnego ustępu, poczuwa się do obowiązku opromieniania swych utworów wznioślejszą myślą przewodnią, obchodzącą całe społeczeństwo, ale się tłumaczy tem, że w obronie takich idei woli kruszyć kopie, niż pióra. Bądź co bądź samo nawet opiewanie jednego i tegoż samego tematu w sześćdziesięciu piosnkach, w sposób bynajmniej nie nużący, dowodzi sporego zasobu talentu. Z drugiej strony, jeżeli całość „Nieśmiertelników“ grzeszy banalnością treści, to pojedyńcze ustępy zawierają wiele zręcznych i oryginalnych zwrotów. Oto jeden z takich ustępów, a właściwie mówiąc wiersz, zamykający powyższy zbiorek:

Kiedym ujrzał światło dzienne,	Kad se rodih malo čedo,
Nad kolebką wile stały,	Nad kolievkom vile stale,
I mnie biedne, małe dziecię	Pa su mene sirotana
Mnóstwem darów obsypały.	Darovima darivale.
Lecz nie mogły mi ozłocić	Gotovo me obasule
Życia z ciemną, szarą chmurą,	S čemera i briga pustih —
Tylko Anioł niewidzialny	Samo angjel nevidljivi
Do kolebki rzucił pióro.	U kolievku pero spusti.
Potem szepnął niemowlęciu:	Uz to šapne molitvicu:
— Bądź Chorwatem, jak przystoi,	— Ti mi budi Hrvat pravi,
Śpiewaj pieśni o wolności,	Pjevaj pjesme o slobodi,
O miłości śpiewaj twojej!	O slobodi i ljubavi!

Nie braknie więc p. Španićowi wielu pięknych pomysłów, ze względu zaś na widoczny talent, przebijający się w jego utworach, musimy życzyć, aby zamiast bujać po kwiatach jak motyl, wzbił się jak orzeł w sfery idei i skrzydłem swem coraz szersze zataczał koła, bo *Immortelle* i inne tym podobne poezye nieśmiertelności mu jeszcze nie zapewnią.

Daleko śmielszym polotem i bardziej wyrobionym talentem odznacza się p. Milaković, autor pełnych wdzięku utworów, wyśpiewanych przezeń *u zatišju*, czyli w cichem, samotnem ustroniu. Nie jest to już nowicyusz na literackiem polu, niejednokrotnie bowiem jego

poezye zdobiły łamy zadarskiej *Iskry*. Cykl oznaczony nazwą *U zatišju* pozwala śledzić stopniowo duchowy rozwój swego autora. Rozpoczyna go szereg utworów erotycznych, poświęconych *Dragoj*, i snać z bardzo jeszcze młodocianej pochodzących doby. Powoli jednak duch poety zaczyna kształcić się i wyrabiać w szkole nieszczęścia, ślady zaś tego procesu przebijają się wyraźnie w działach zatytułowanych: *Iz uvela lišća* i *Tugaljke*. Pierwszy z nich — jak się wyraża poeta — ma służyć zamiast pomnika na grobie jego matki, na grobie tej, „która go modlić się nauczyła". Serdeczna, głęboko odczuta boleść, znoszona jednak z chrześcijańską rezygnacyą, odzwierciedla się tam w każdem słowie, najpiękniejszym zaś z tego wieńca ze zwiędłych liści jest następujący:

Ięknęły dzwony... Serca zabiły nam trwogą...
Do ciemnej trumny matkę złożono nam drogą...
— O chodźcie, dzieci! — ojciec ze łzami zawoła —
Ostatni raz już uściskać swego anioła!...
Jej śliczna głowa ku nam się chyli z tęsknoty,
Jak gdyby mówiąc: Chodźcie, o biedne sieroty! —
Za chwilę krótką zimna mię ziemia przytłoczy,
Nie będą więcej wasze widziały mię oczy!...
Najpierwej ojciec całuje białe jej czoło,
Potem my dzieci tulim się do niej wokoło...
I więcej łzawe nasze nie ujrzy jej oko,
Bo w zimnej ziemi złożono nam ją głęboko...
Ucichły dzwony... Spłakani szliśmy do domu,
A w głowach naszych huczało jakby od gromu...
Lecz w domu ciemność i pustka ciężka a głucha:
Ogniwo pękło z rodziny naszej łańcucha!... [1]

---

[1] Jeknuše zvona... Srca nam groza potresa...
Milu nam majku staviše tamnog sred l'jesa...
— Dogjite, djeco! — otac sred plača će ljuta —
Majčicu dragu ljubnut još zadnji nam puta!...
Mila joj glava skrenu se lišćem baš k nama —
Ko da nam veli: Ljubite, vaša sam mama, —
Za malo, pa će zemljica tištit me hladna,
Ne ćete tad me vidjet već, dječice jadna!...
Najprvo otac poljubi lišce joj velo,
Tada smo mi joj ljubili ruke i čelo...
Za čas je veće ne vidje suzno nam oko,
U zemlju za čas sakriše nju nam duboko...
Prestaše zvona... S groblja smo pošli plačući,
Došli smo slabi, klonuli k rodnoj nam kući,
Ali unutri grozna praznina i tama:
Majčinog lika ne bje već tu megju nama...

Taż sama rzewność i prostota cechuje *Tugaljke*, oraz *Razne pjesme*, wśród których zaznaczyć musimy bardzo ładny wiersz pod tytułem: *Smrt Sokratova*. Najcelniejszym jednak pod względem podniosłej treści i szlachetnego sposobu myślenia jest zbiór sonetów, czyli *Sonetni Vijenac*, ofiarowany chorwackiej młodzieży. Poeta wskazuje tam ideały i cele, do jakich dążyć potrzeba, każąc stać przy sztandarze wiary, prawdy i cnoty, bo

...niejeden ugrzązł już głęboko,
Odrzuciwszy święte prawa Boga, —
Lecz ty, młodzi, w górę podnieś oko...
Nie patrz na nich, gdyż ich mylna droga!
Groźny przykład złości, co się puszy,
Niech nie kala twej młodzieńczej duszy!...[1]

Pod względem formy, utwory p. Milakovića zadawalniają wymagania krytyki, z wyjątkiem nielicznych ustępów, w których poeta lekceważy potrosze zasady rytmu i rymu. Zresztą zdarza się to rzadko, całość zaś jego kreacyj, zwłaszcza lirycznych, robi wrażenie w wysokim stopniu dodatnie. O nim też można wypowiedzieć to, co niegdyś Gete wyrzekł o wszystkich prawdziwych poetach:

Ich singe, wie der Vogel singt,
Der in den Zweigen wohnet,
Das Lied, das aus der Kehle dringt,
Ist Lohn, der reichlich lohnet!

Tytus Sopodźko.

Pozdrav istarskog Hrvata. Spjevao *Rikard Katalinić-Jeretov*. Zagreb 1892.

Wśród licznego grona chorwackich poetów i pisarzy, wzbogacających w danej chwili płodami swej twórczości narodową literaturę, najbardziej może przykuwa do siebie uwagę sympatyczna postać Katalinića-Jeretova, którego poważny i głęboko religijny sposób zapatrywania się na życie, szczery zapał dla wszystkiego, co piękne i szlachetne, a wreszcie wybitny talent, stawia niezaprzeczenie w pierwszym szeregu chorwackich braci po piórze. Liczne jego poezye, oraz syl-

[1] ...mnogi su zagrezli duboko,
Odbacivši istinu i Boga, —
Ali ti mi vini se visoko...
Ne gledaj ih, jer ne vr'jede toga!
Grozan prizor zloće rastrovane
Nek ne kalja duše ti mlagjane!...

wetki rodzajowe są od pewnego czasu prawdziwą *great attraction* wielu chorwackich czasopism; wszystkie jednak powyżej wymienione zalety odzwierciedlają się najlepiej w szeregu poetyckich utworów, który obecnie mamy przed sobą, a na którego czele jaśnieje piękne godło: *Bog i Hrvati!*

Już na jednej z pierwszych kartek poeta w wierszu pod tytułem: *Moja pjesma*, zlewa w harmonijny akord dźwięki swojej lutni:

Moja piosnka, to nie dziecię
Muz Preradowicza [1],
Co od gwiazdy na lazurze
Swoich barw pożycza.
Nie jest wielką i potężną,
Groźną, jak szyderca,
Moja piosnka — to westchnienie
Zbolałego serca!
. . . . . .
Moja piosnka — to przekleństwo
Na dzikiego wroga.
Co znieważa i przekracza
Przykazania Boga!

Moja piosnka — to modlitwa
Do niebiosów Pana,
By zabłysła nam wolności
Jutrzenka świetlana.

Moja pjesma nije čedo
Preradove lire,
Ne diže se do oblaka,
Gdje se zviezda šire...
Nije silna — nije jaka,
Nije veličajna,
Moja pjesma — to je jecaj
Moga srca vajna!
. . . . . .
Moja pjesma — to je kletva
Na sve dušmanine,
Kano kletva mi se radja
Kô prokletstvo gine!

Moja pjesma — to je molba
Do nebeskog svoda,
Da nam sine tračak zore
Žudjena sloboda.

Istotnie, uczucie gorącej pobożności i miłości ojczyzny jest jedną z charakterystycznych cech utworów p. Katalinića i w każdym z nich niemal znajduje swój wyraz. Oto jeden z nader licznych przykładów:

— Czego szukasz, mój księżycu,
W głębi chatki tej?
— Patrzę, jak się modli dziecię
U nóg matki swej.
I wciąż błaga Najwyższego,
Wznosząc drobną dłoń,
Za swój drogi kraj ojczysty,
Pchnięty w nieszczęść toń.
O! jak pięknie, gdy aniołek
Szuka Pańskich dróg,
Bo z pewnością prośbę jego
Raczy spełnić Bóg!

— Blied mjeseče, što to gledaš
U taj mali dom?
— Gledam, gdje se malo diete
Moli Bogu svom:
Sklopilo je sitne ruke,
Pa se moli sad,
Za svu dragu otačbinu,
Nek ju mine jad...
Al je krasno — kano angjel
Čini ti se zlat,
Sjegurno će njegvu molbu
Višnji uslišat!

[1] Piotr Preradowicz był jednym ze znakomitszych chorwackich poetów w pierwszej połowie bieżącego stulecia.

Taż sama treść, tylko w poważniejszą ujęta formę, cechuje piękny wiersz pod tytułem: *Preporodjaj* (Odrodzenie), w którym poeta opowiada, jak w latach dziecięcych codziennie matka do pacierza składała mu dłonie. Lecz wkrótce matka umarła, młodzian sam rozpoczął walkę życiową, i wówczas

Pośród gwaru zepsutego świata
Zapomniałem o modlitwie świętej,
Co dziecięce rozjaśniała lata,
Ale dzisiaj w duszy troską zdjętej
Zabrzmiał znowu odgłos dni minionych...[1]

Odgłosem tym było senne widziadło ukochanej matki, która go jak dawniej wzywa do modlitwy. Posłuszny jej woli, syn po raz pierwszy po wielu latach pada na kolana, mieniąc tę właśnie chwilę swojem odrodzeniem. I znowu we śnie ukazuje mu się matka, a poeta

Złożył głowę na matczynem łonie,
— Przebacz, matko! żem ja żył inaczej,
Matka rzekła: — Bóg ci sam przebaczy!!...[2]

Również silnie, jak pobożność wyniesiona z rodzinnego gniazda, dźwięczy w sercu poety miłość ku ziemi ojczystej. Uczucie to natchnęło go do skreślenia całego szeregu pełnych zapału patryotycznych utworów, które obfitują w prawdziwie piękne ustępy. W utworach tych, a zwłaszcza w wierszach pod tytułem: *Plani rode, Istranom, Mletačkom lavu, Djevojčica svomu domu, Glas Istrana* i t. p., poeta wyraża oburzenie na ucisk doznawany przez istryjskich Chorwatów ze strony włoskich irredentystów, starając się zarazem w serca uciśnionych wlać nadzieję lepszej przyszłości.

Oprócz poezyj lirycznych, znajdujemy w *Pozdravie* epiczny poemacik *Dora*, osnuty na tle życia biednego, uwiedzionego dziewczęcia, i odznaczający się wielką dramatycznością. Fabuła to nie nowa, bo sam nawet p. Katalinić posługuje się nią niekiedy w powieściowych swych szkicach. Z drugiej strony jest to temat, że się tak wyrazimy,

---

[1] U tom bučnom pokvarenom svietu
Zaboravih dane mladovanja,
Zaboravih na molitvu svetu,
Al se danas srcem mi odzvanja
Poziv sviesti — govor prošlih danka...

[2] Legoh g'lavu na njezino krilo,
— Prosti majko! što ti sinak sgrieši.
— Bog ti prosti — majka mi se smieši!!

obosieczny, może się bowiem stać zarówno lekarstwem, jak trucizną, stosownie do tego, w jaki sposób podany zostanie. Należy przyznać, że poeta wywiązał się tu dobrze ze swego zadania, gdyż losy nieszczęśliwej Dory stanowią wymowną, pełną grozy przestrogę dla każdego niedoświadczonego dziewczęcia. Pewnego razu biedna sierota spostrzega u brzegu morza tonącego młodzieńca, śpieszy mu na ratunek, pielęgnuje go chorego w swej chacie i... zostaje zgubioną. Nieznajomy odjeżdża, obiecując wrócić niebawem, aby się z nią ożenić, a nieszczęsna Dora po niewczasie poznaje swą winę i szuka ukojenia w modlitwie na grobie matki. Rozdzierająca jest ta modlitwa, a zwłaszcza ostatnia jej zwrotka:

...„Dość cierpiała twa nieboga,
Przebacz, przebacz, matko droga!...“
. . . . . .
Lecz zakrakał kruk na grobie:
„Już za późno, biada tobie!...“ [1]

Wreszcie po długiem daremnem oczekiwaniu narzeczonego nieszczęśliwa wpada w rozpacz, graniczącą z szaleństwem, i pod wpływem obłędu rzuca się w morskie fale, uwodziciel zaś jej zostaje zamieniony w skałę, sterczącą dziś posępnie nad brzegiem morza.

Wogóle wszystkie niemal utwory p. Katalinića tchną melancholią i głębokim bólem, nie jest to jednak krańcowy pesymizm, ale raczej przejęcie się zasadą, że większa część nieszczęść i cierpień ludzkich jest wynikiem zboczenia z drogi prawdy i cnoty. Co do formy zewnętrznej, to wiersz płynie lekko, zręcznie, bez pretensyi do oryginalności i patosu, ale z naturalnym wdziękiem. Żałujemy, że z powodu braku miejsca nie możemy przytoczyć wielu bardzo ładnych urywków, ale sądzimy, że to cośmy powiedzieli, daje poznać dostatecznie wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne zalety *Pozdrava istarskog Hrvata*. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak powitać nowy talent na niwie pobratymczej poezyi, wołając z głębi serca: *Još Hrvatska nij propala!* jeżeli ma tak dzielnych i szlachetnych synów.

Tytus Sopodźko.

---

[1] ...„Majko, majko trpih dosti
Ti mi prosti! ti mi prosti!...“
. . . . . .
...S groblja gavran grakće glasno:
„Sad je kasno, sad je kasno!...“

Directorium asceticum, in quo de viri spiritualis eruditione tutissima sanctorum Patrum documenta, traduntur a *R. P. Matthaeo Josepho Rousset O. Pr.* Friburgi Brisgoviae. Sumptibus Herder. 1893.

Ojcowie święci są i będą zawsze najlepszymi i najgruntowniejszymi mistrzami życia duchownego; nauki podane przez nich, to najbogatsza krynica, w której hojną dłonią czerpać mogą i powinni kaznodzieje, spowiednicy, katecheci, krótko mówiąc, każdy, w szczególności każdy ksiądz, który ma obowiązek dusze oświecać i do Boga prowadzić. Teoretycznie wszyscy o tem są przekonani; w czem leży praktyczna trudność, to w braku czasu i sposobności do wyczerpujących studyów nad setkami tomów zawierających dzieła Ojców Kościoła i Świętych Pańskich; to w szybkim zoryentowaniu się i odnalezieniu tych właśnie ksiąg i ustępów, których ktoś w danej chwili, stosownie do wytkniętego sobie celu, potrzebuje. Trudność tę, oczywiście w pewnej tylko, ograniczonej mierze, usuwa książeczka O. Rousseta. Autor, w pięknym wyborze z dzieł wielu Świętych i Ojców Kościoła, podaje, słowa ich dokładnie cytując, nauki odnoszące się do uregulowania całego życia duszy dobrego kapłana, przykładnego zakonnika. Dziełko otwiera rozprawa św. Wincentego Ferraryusza o życiu duchownem; następnie różni Ojcowie i Doktorowie Kościoła uczą z kolei najważniejszych zasad ascetycznych i praktycznych sposobów, któremi należy do codziennego życia je zastosowywać; dają kilka wskazówek, jak bliźnim na drodze do nieba dopomagać. O. Rousset należy do zakonu kaznodziejskiego; rzecz przeto bardzo naturalna, że w zebranych przezeń cytatach napotykamy przeważnie nazwiska tych właśnie Świętych i uczonych, którzy byli członkami tego zakonu.

Z prasy prawosławno-rosyjskiej.

Najnowsza statystyka wyznaniowa Litwy i Białejrusi. — Stosunki wyznaniowe tychże prowincyj z roku 1861. — Stosunki wyznaniowe po miastach gubernii wileńskiej i mińskiej. — Wzrost prawosławia w guberniach litewskich od r. 1870 po 1888. — Stosunki wyznaniowe w obu gimnazyach wileńskich i w tamecznej żeńskiej szkole niedzielnej. — Kasowanie kościołów w dyecezyi wileńskiej. — Obojętność urzędników rosyjskich na Litwie dla interesów prawosławia. — Rzekome pokrzywdzenie prawosławnych na Żmudzi. — Protopop dyzunicki z Czarnobyla o przyłączeniu Ukrainy do Moskwy. — Potrzeby Cerkwi prawosławnej na Wołyniu.

O rzekomo rosyjskim charakterze Litwy i Białejrusi, czyli tak zwanego „kraju północno-zachodniego“, tak często przychodzi dziś czy-

tać nietylko w dziennikach rosyjskich, ale i w poważniejszych pracach naukowych, że dla umocnienia się przeciwko kłamliwości rosyjskiej urzędowej i nieurzędowej dobrze jest od czasu do czasu rozpatrzeć się w najświeższych datach statystycznych, z których wynieść można przekonanie, iż zbyt jeszcze daleko do tego, aby kraj ten był rosyjskim, jeżeli nim wogóle może być kiedykolwiek; świadczą one zarazem, iż w ciągu ostatnich lat trzydziestu katolicyzm poniósł straty tylko w dwóch guberniach: mohilewskiej i mińskiej, a w innych cieszył się całkowicie normalnym przyrostem. Za podstawę naszych porównań bierzemy stosunki wyznaniowe w sześciu guberniach litewsko-białoruskich, jako dające najlepsze wyobrażenie o charakterze narodowym i cywilizacyjnym tamecznego kraju. Przedstawienie bowiem w cyfrach stosunków narodowościowych jest nadzwyczaj bałamutne i po prostu bez wszelkiej realnej podstawy. Całkowita bowiem dowolność ze strony urzędników, przeprowadzających spisy ludności, panuje przy każdej nasuwającej się wątpliwości, a zwłaszcza przy decyzyi, czy ktoś należy do narodowości polskiej lub litewskiej. Z drugiej znowu strony statystyka urzędowa nie robi wcale różnicy pomiędzy Rosyanami i Białorusinami, zaliczając tych ostatnich, bez względu na to, czy są wiary prawosławnej czy katolickiej, jakoteż i Litwinów wyznania prawosławnego, do narodowości rosyjskiej. Ewangelików wyznania helweckiego zaliczają zwykle do narodowości polskiej, lecz natomiast każdego ewangelika wyznania augsburskiego uważają z góry za Niemca. Zresztą przy spisach ludności niejeden ze względów oportunistycznych prędzej i łatwiej zaprze się swej narodowości, bo na to nie potrzeba żadnych dowodów, lecz zaprzeć się nie może, bez równoczesnej zmiany wiary, swego wyznania. Takich dowolności i niekonsekwencyj przy oznaczaniu narodowości na Litwie i Białejrusi moglibyśmy wykazać daleko więcej. Dla tych więc powodów podstawa wyznaniowa, aczkolwiek również korzystna dla Rosyan, bo łącząca z nimi w jednę cyfrę Białorusinów i Litwinów wyznania prawosławnego, jest jednak najpewniejszą dla wyrobienia sobie jasnego pojęcia o tych częściach dawnej Polski.

Dzisiejsze stosunki wyznaniowe w sześciu guberniach litewsko-białoruskich przedstawiają się — w sprawozdaniach centralnego Komitetu statystycznego — w cyfrach następujących:

Nazwa gubernii	ogólna liczba mieszkańców	katolików	prawo-sławnych	raskolników	ewangelików wyzn. augs-burskiego i helweckiego	orm.-gregor.	Żydów	mahometan.
mińska	1,751.380	172.335	1,222.717	12.436	5.606	—	328.558	4.728
kowieńska	1,538.917	1,120.485	34.322	29.627	51.873	—	301.283	1.267
grodzieńska	1,429.233	352.050	780.228	— —	12.143	—	281.664	3.148
mohilewska	1,326.468	37.175	1,102.377	19.687	2.541	22	164.606	60
wileńska	1,280.459	690.352	365.582	23.504	3.277	—	194.977	2.817
witebska	1,275.954	320.151	697.641	76.927	28.223	—	152.099	913
Razem	8,602.411	2,692.548	4,202.927	162.181	103.663	22	1,423.187	12.931

Z wykazów powyższych widzimy najdowodniej, że kraj ten wprawdzie pod względem wyznaniowym, a tem samem i narodowym, przedstawia wielką pstrociznę, to jednak wyznawcy Cerkwi prawosławnej (4,202.927) stanowią tam mniejszość w porównaniu z mieszkańcami innych wyznań (4,399.484). O wieleż niekorzystniej dla narodu panującego przedstawiłyby się stosunki narodowościowe, gdybyśmy mogli oddzielić rodowitych Rosyan czyli Wielkorosyan od Białorusinów, których bezstronniejsi nawet Rosyanie (np. Nadieżdin, założyciel rosyjskiego Towarzystwa geograficznego) uważali za odrębny naród słowiański. Siła żywiołu katolickiego na Litwie, a z nim razem i narodowości polskiej, przedstawiłaby się znowu w zupełnie innem świetle, gdyby statystyka była w możności nietylko liczenia, lecz, jeżeli się tak wyrażę, ważenia jednostek i pewnych warstw społecznych. Okazałoby się wówczas, że z wyjątkiem napływowej warstwy urzędniczej i wojskowej (oczywiście wyznania prawosławnego i narodowości rosyjskiej) zresztą wszystko w kraju, co się odznacza inteligencyą, majątkiem lub znaczeniem społecznem, jest dotychczas w przeważnej części katolickiem. I jeszcze jednę uwagę zrobić sobie pozwolimy. Tak jak dziś rzeczy stoją, żywioł panujący nie cieszy się bynajmniej u mieszkańców innych wyznań w tym kraju (np. u ewangelików, mahometanów) wielką sympatyą, a nawet inteligentni Żydzi litewscy, tak pochopnie przedtem przyjmujący język i obyczaj rosyjski, dziś znacznie już zobojętnieli, wskutek oczywiście różnych praw i rozporządzeń wyjątkowych, zmierzających do całkowitego usunięcia Żydów od wszelkich urzędów państwowych i miejskich i ograniczenia im źródeł zarobkowania.

Najsilniejszym w tym kraju jest obecnie żywioł katolicki na Żmudzi, to jest w gubernii kowieńskiej, a po niej z kolei idą gubernie: wileńska, grodzieńska, witebska, mińska i mohilewska. W gub. kowień-

skiej katolicy stanowią *gros* mieszkańców; w wileńskiej sami katolicy tworzą większość; w dwóch jeszcze guberniach: grodzieńskiej i witebskiej, katolicy wspólnie z mieszkańcami innych wyznań tworzą blizko połowy ludności; prawosławie zaś posiada stanowczą przewagę tylko w dwóch pozostałych guberniach: mińskiej i mohilewskiej, gdzie i za czasów polskich były główne ogniska schyzmy (Słuck, Mohilew).

Aby się przekonać, że prawosławie pomimo najsurowszych środków represyjnych po roku 1863 i nieustannego do dziś dnia ucisku katolików, nie potrafiło osiągnąć oczekiwanych wyników, możemy przytoczyć daty statystyczne z roku 1859, zaczerpnięte z 3-ej księgi „Zapisków rosyj. cesarskiego Towarzystwa geograficznego za rok 1861“:

Nazwa gubernii	ogólna liczba mieszkańców	katolików	prawo-sławnych	ewangelików obu wyznań	Żydów	mahometan.
mińska	1,016.986	180.735	736.378	527	96.981	2.365
kowieńska	906.038	757.300	7.504	39.479	101.337	418
grodzieńska	789.557	266.534	423.178	4.466	94.129	1.250
mohilewska	849.654	39.558	706.854	381	102.855	6
wileńska	838.074	570.906	187.048	902	76.802	2.416
witebska	684.200	212.689	398.694	10.158	62.628	31
Razem	5,084.509	2,027.722	2,459.656	55.913	534.732	6.486

Z tablicy tej widzimy, że przed trzydziestu trzema laty wszystkie inne wyznania w „kraju północno-zachodnim“ tworzyły także większość mieszkańców (2,624.853) w porównaniu z prawosławnymi (2,459.656); że żywioł katolicki był i wówczas najsilniejszym w gubernii kowieńskiej (na Żmudzi), a prawosławny tam najsłabszym; że pod względem siły katolicyzmu porządek gubernij litewsko-białoruskich nie uległ w ciągu tego czasu żadnej zmianie; że pomimo nadzwyczaj ciężkich czasów, jakie przeżyli katolicy, wzrost ich liczby w gub. kowieńskiej jest pocieszający, a w innych guberniach spotykamy się z większym lub mniejszym przyrostem. Ze smutkiem dostrzegliśmy jednak nieproporcyonalnie znaczny ubytek, jakby zanik żywiołu katolickiego w gubernii mohilewskiej i drobny ubytek w gub. mińskiej, w obu zresztą najbardziej prawosławnych guberniach z całego „kraju północno-zachodniego“. Cały ten okres wybujania systemu rusyfikacyjnego okazał się najpomyślniejszym — o ile z cyfr powyższych sądzić można — dla

Żydów i ewangelików (z bardzo małym wyjątkiem Niemców), albowiem wykazuje prawie trzykrotny wzrost pierwszych, a dwukrotny ostatnich.

Następstwa systemu wrogiego katolicyzmowi i polskości najjaskrawiej wystąpić musiały po miastach, gdzie po oddaleniu katolików z posad we wszystkich dykasteryach lub przeniesieniu niektórych do gubernij wielkorosyjskich nastąpiło stanowcze przesunięcie punktu ciężkości w stronę prawosławia. A pomimo to i tam stosunków wyznaniowych nie można uważać za zbyt niepomyślne dla katolików. Weźmy np. gubernię wileńską. W samem stołecznem Wilnie na 109.859 mieszkańców znajdujemy 33.905 katolików, 13.968 prawosławnych, 743 razkolników, 1839 ewangelików wyznania augsburskiego, 153 ewangelików wyznania helweckiego, 58.777 Żydów, 117 karaimów i 361 mahometanów. Wśród tej ró norodności wyznań, po Żydach najwięcej w Wilnie katolików, których trzy razy prawie więcej niż prawosławnych, pomimo wliczenia do tej liczby załogi wojskowej i warstwy urzędniczej, z małym wyjątkiem również całkowicie prawosławnej. Porównajmy jeszcze stosunek prawosławnych do katolików w sześciu miastach powiatowych tejże gubernii. I tak: w Trokach katolików 842, prawosł. 277; w Lidzie katolików 1540, prawosł. 913; w Świencianach katolików 1608, prawosł. 878; w Oszmianach katol. 1143, prawosł. 492; w Dziśnie katolików 2824, prawosł. 1063, pomimo że w powiecie dziśnieńskim prawosławnych jest więcej niż katolików (prawosł. 98.299, katol. 53.090). A tylko w mieście Wilejce katolików jest 292, prawosławnych zaś 1967; to też i w powiecie wilejskim prawosławie ma również przewagę nad katolicyzmem (prawosł. 110.628, katolików 62.528). Nawet w gubernii mińskiej, tej obok mohilewskiej najbardziej prawosławnej z gubernij litewsko-białoruskich, żywioł katolicki jest po miastach stosunkowo dosyć jeszcze silnym. I tak, z ogólnej liczby ludności miejskiej tej gubernii 256.856 osób, przypada: na katolików 28.363, na prawosławnych 77.273, na razkolników 751, na protestantów 1367, na Żydów 146.403, na mahometanów 2699.

Urzędowy *Wileńskij Wiestnik* wystąpił niedawno z twierdzeniem, iż niesłusznym jest zarzut prasy polskiej, jakoby rząd rosyjski prześladował katolików, i na dowód tego przytoczył słaby wzrost procentowy prawosławia w sześciu guberniach litewsko-białoruskich za czas od roku 1870—1888. I tak w ciągu tych lat ośmnastu procent wzrostu prawosławia przedstawia się w sposób następujący: w mińskiej 3%, w kowieńskiej 0,9%, w grodzieńskiej 3,8%, w mohilewskiej 4,1%, w wileńskiej 2,7% i w witebskiej 3,2%. Nieznaczny ten procent przy-

rostu prawosławia może raczej służyć jako dowód odpornej siły katolicyzmu, niż powściągliwości Kościoła panującego w tworzeniu prozelitów, a w najmniejszej mierze tolerancyi rządu rosyjskiego. Przytaczanie dowodów prześladowania katolicyzmu w ziemiach niegdyś polskich byłoby to samo, co noszenie wody do studni, albo sów do Aten, jak się starożytni Grecy lubili wyrażać. Na podorędziu mamy kilka przykładów z paru lat ostatnich. W Wilnie istnieje już od lat kilku niedzielna szkoła dla dziewcząt, do której uczęszcza od 150 do 170 uczennic, przeważnie szwaczek (60%) i sług (20%). Podług wyznań, katoliczki stanowią 80% uczących się, prawosławne 18%, a luteranki 2%. Do grona nauczycielskiego należą same panie wyznania prawosławnego; tylko nauki religii udziela katecheta prawosławny, W. Sokołow. W jego składzie niema katechety katolickiego, pomimo że $^4/_5$ uczennic są katoliczkami! Pójdźmy do wileńskich gimnazyów rządowych. W roku szkolnym 1892 w pierwszem gimnazyum pobierało naukę 587 uczniów, którzy co do wyznania dzielili się jak następuje: katolicy stanowili 39,0%, prawosławni 40,3%, protestanci 9,9%, mahometanie 0,3%, Żydzi 10,4%. W drugiem wileńskiem gimnazyum ilość wychowańców wynosiła 395, a stosunki wyznaniowe były następujące: katolików 48,1%, prawosławnych 29,6%, protestantów 4,9%, mahometanów 0,8%, Żydów 16,4%, karaimów 0,2%. Pomimo iż w obu tych gimnazyach razem wziętych młodzież katolicka stanowi znaczną większość, w składzie gron nauczycielskich znajdujemy tylko katechetów katolickich i nauczycieli języka francuskiego wyznania katolickiego, a reszta — sami prawosławni.

W ciągu roku minionego w samej tylko dyecezyi wileńskiej skasowano następujące kościoły katolickie: w Międzyrzeczu, w Rosowie i w Szużanach w powiecie słonimskim; kościół w Mścibowie w powiecie wołkowyskim jest od pewnego czasu nieczynny, ponieważ księdza proboszcza osadzono na pokucie w Grodnie. Kto zna wielki brak kościołów i księży katolickich na Litwie, ten pojmie z łatwością, jaką powyższemi kasatami wyrządzono krzywdę katolikom.

A jakie to żale umieją wywodzić tameczni przedstawiciele świata prawosławno-urzędowego, gdy który z nich musi się obchodzić bez nabożeństwa w dniu świątecznym. Posłuchajmy, co powiada korespondent *Wileń. Wiestnika* z miasteczka Kielm w gubernii kowieńskiej, gdzie wśród 4000 katolików i Żydów mieszka zaledwie 100 prawosławnych. „Przychodzą — pisze — święta. Każdy z innowierców idzie do swej świątyni. Żydzi — do synagogi, których trzy w miasteczku:

jedna murowana, z portykami i kolumnadą, na najokazalszem miejscu; katolicy — do kościoła parafialnego, przy którym dwóch księży; luteranie i kalwiniści — do zboru, który ze względu na swą okazałość mógłby zająć niepoślednie miejsce w porządnem mieście gubernialnem; tylko my, prawosławni, nie mamy swej świątyni, nie słyszymy nauk naszego duszpasterza, a dzieci, po większej części z małżeństw mieszanych, rosną niewzmacniane w swej wierze, uczęszczając wespół z rodzicami do innowierczych świątyń". Ubolewając nad tem przykrem położeniem stu wyznawców Kościoła urzędowego w Kielmach, winienem dodać wyjaśnienie, że wina ciąży w tym względzie na systemie biurokratycznym, dotąd jeszcze wszechwładnym w tej części państwa. Z jakiejś widocznie geometryi cerkiewnej — jeżeli się tak wyrażę — wypadło w tych stronach Żmudzi wybudować cerkiew parafialną, więc wybudowano ją o trzy mile od Kielm, w miejscowości, gdzie oprócz popa niema literalnie ani jednego prawosławnego.

Władze cerkiewne rosyjskie w ziemiach naszych za wiele się zajmują propagandą prawosławia wśród katolików, a za mało potrzebami religijno-moralnemi swych współwyznawców. Na tę okoliczność zwraca uwagę p. Władimirow, gruntowny, jak sam niejednokrotnie powiada, znawca stosunków litewskich. Naturalnie, że p. Władimirow, w artykule umieszczonym w czasopiśmie *Russkoje Obozrenie*, radby widzieć więcej żarliwości w sprawach religijnych u miejscowej inteligencyi prawosławnej, ale zarazem nie wyrzeka się i propagandy pomiędzy katolikami *per fas et nefas*. Ubolewa np., że u katolików bractwa kościelne są w kwitnącym stanie, a do prawosławnych nikt nie chce należeć; nawet starodawne wileńskie bractwo św. Trójcy znajduje się w upadku. Napróżno — żali się p. Władimirow — zarząd tego bractwa wzywa ruskich ludzi w Wilnie, aby do bractwa się wpisywali — nie chcą. W roku przeszłym przesłano podobne zaproszenie do jednej z tamecznych dykasteryj, przepełnionej czynownikami o kilkotysięcznych pensyach, na które jednak otrzymano wkrótce od szefa lakoniczną odpowiedź: „życzących przystąpić nie znalazło się". Chociaż niektórzy „ze względów służbowych" i przystępują do bractwa, robią na jego korzyść takie ofiary, za które „na obczyźnie przychodzi się rumienić". W spisie członków bractwa św. Trójcy z roku 1890 — powiada p. Władimirow — jest wymieniony rzeczywisty radca stanu, pobierający 4000 rubli rocznej pensyi, który na cele bractwa poświęcił rocznie $^1/_2$ rubla! Gdyby tak zrobił za rządów hr. Murawiewa — woła p. Władimirow z żalem,

iż te czasy już minęły — za taką ofiarę, obrażającą bractwo i godność rosyjską, niechybnie wyświeconoby go z Wilna.

W poważnem czasopiśmie historycznem pod tytułem *Russkij Archiw*, wydawanem w Moskwie przez pana P. Bartieniewa, znajdujemy ciekawy dokument, wybornie ilustrujący usposobienie inteligentniejszej części kleru dyzunickiego na Ukrainie, w chwili poddania się Chmielnickiego Moskwie. Jest to list dyzunickiego protopopa z miasteczka Czarnobyla (województwo kijowskie), pisany po polsku do swego przyjaciela Polaka, tytułowanego przezeń podstarościm. Oryginał listu zaginął, ale istnieje jego odpis również w języku polskim. Z tego odpisu dokonał tłumaczenia rosyjskiego znany ślawista O. M. Bodianskij. W *Russkim Archiwie* wydrukowano tłumaczenie p. Bodianskiego, ale nie dołączono doń odpisu polskiego. Nie mając nadziei ujrzenia rychło w druku tego ostatniego, musimy przetłumaczyć ten ciekawy dokument ponownie na język polski.

Protopop z Czarnobyla żył jak najlepiej z Polakami. Zmiana panowania nie przypada mu do gustu; wszystko go niepokoi, a zwłaszcza dręczy go obawa, iż nigdy już może nie ujrzy swych dawnych przyjaciół. „Modliłem się do Boga ze łzami w oczach, — pisze przedstawiciel Kościoła rzekomo prześladowanego w Polsce — aby sprawy poszły dobrze, lecz, jak widzę, idą źle: ponieważ Chmielnicki wydał nas wszystkich w niewolę carowi moskiewskiemu po Włodzimierz, Turow i jeszcze dalej. Sam przysiągł z wojskiem swojem i miasto Kijów zmusił przemocą do przysięgi, grożąc karą śmierci. Nie wiem, co będzie z Czarnobylem. Zapewne będzie to samo: zmuszą nas zrobić to samo.

„Sam swemi nieszczęsnemi oczami widziałem, jak Moskale wjeżdżali do Kijowa. W imieniu cara były następujące osoby, otoczone wszelkim możebnym przepychem: starszym z nich był Wasyli Wasylewicz Buturlin, blizki bojarzyn jego carskiej mości, namiestnik twerski; drugi — okolniczy i namiestnik muromski, Iwan Wasylewicz Alferiew; trzeci — dumny diak Hilaryon Łopuchin; czwarty — stolnik carski, a z nimi dwa tysiące moskiewskiej jazdy i dwa pułki kozaków. Przed ich chorągwiami prowadzono dziewięć tureckich koni, okrytych wspaniale oponami; potem niesiono bardzo piękne sztandary: jeden czerwony, a drugi purpurowy; na jednym przedstawiony był lew, na drugim — jednorożec, na trzecim — ryba morska z dziewiczą głową w koronie. Następnie prowadzono ośm koni tureckich, okrytych do samej ziemi oponami, srebrem wyszywanemi. Za temi końmi szli posłowie

pieszo aż do Złotej Bramy, gdzie spotkał ich metropolita, wraz z całem duchowieństwem. Od łez nie widzieli oni świata Bożego, a metropolita, jego miłość, z żalu umierał. Z posłami przybył archimandryta ze stolicy (Moskwy), który sam odczytywał przysięgę, gdy mieszczanie przysięgali. Protopop, zakonnicy i dyakonowie byli w strojach pontyfikalnych, ale sam hetman był nieobecny.

„Wojewoda moskiewski idzie do Kijowa ze stutysięcznem wojskiem: pięćdziesiąt tysięcy Moskali i tyleż Niemców. Gości tych oczekujcie u siebie w czasie jak najkrótszym i bądźcie bardzo ostrożni. Czterdzieści tysięcy dońców i ośmdziesiąt tysięcy kozaków idzie pod Smoleńsk. Wszystkiego tego oczekujcie w prędkim czasie, a list mój pokażcie wszystkim ich mościom, panom i dobrodziejom, a względem mnie zachowajcie waszą pańską miłość, ażeby życie moje tutaj w Czarnobylu było, przy waszej pomocy, w bezpieczeństwie; ponieważ nie mam na czem wywieźć stąd dzieci moje, dlatego pozostaję tutaj".

Literat rosyjski Liprandi, piszący pod pseudonimem Wołyńca — napiętnowany w ostatnich czasach za plagiaty przez p. Krestowskiego, redaktora *Warszaw. Dniewnika,* — umieścił w *Moskow. Wiedomostiach* artykuł pod tyt.: „Potrzeby prawosławia na Wołyniu". W nim zaczyna najpierw od przedstawienia w cyfrach stosunków wyznaniowych na Wołyniu. W ogólnej liczbie mieszkańców tego kraju, wynoszącej 2,351.000, liczy p. Wołyniec 1,722.000 prawosławnych, tj. 73%, 193.000 katolików, tj. 8%, 220.000 protestantów i 315.000 Żydów, tj. 13%. Cyfry te dają mu powód do wielkiego zadowolenia i ufności w przyszłość. Ale cóż, kiedy pomimo tak nieznaczącej liczby Polaków na Wołyniu, „ślady byłego panowania polskiego w kraju dotychczas są widoczne i dają się czuć na każdym kroku". Niegdyś — powiada p. Wołyniec — Wołyń przepełniony był świątyniami prawosławnemi: w XV. wieku było w samym tylko Krzemieńcu 70 cerkwi, a obecnie tylko 2; w Łucku było 16, a teraz 2; we Włodzimierzu Wołyńskim było 20, a teraz również 2 i t. d. Zanik tych wszystkich cerkwi, upadek tego kwitnienia prawosławia tłumaczy autor czysto po rosyjsku: „wszystkie te prawosławne cerkwie i monastery przeszły w ręce kleru katolickiego, zarówno świeckiego jak i zakonnego różnych reguł, do Jezuitów włącznie, którzy w pewnym okresie zapełnili wszystkie miasta i wsie Rusi zachodniej".

Po tych wywodach historycznych, nie popartych oczywiście żadnemi cytatami, a zaprawnych różnemi epitetami dla przeszłości pol-

skiej, przechodzi p. Wołyniec do dzisiejszych potrzeb prawosławia na Wołyniu. Ani dyecezyj nowych, ani władyków prawosławnych kraj ten nie potrzebuje; jest ich aż trzech: archiepiskop wołyńsko-żytomierski i dwaj władykowie-wikaryusze w Ostrogu i Włodzimierzu. „Gdyby się tylko postarano — konkluduje p. Wołyniec — o powiększenie liczby świątyń prawosławnych, potrzeby prawosławia w tym kraju możnaby uważać za zaspokojone". Wszystkie zatem „potrzeby prawosławia na Wołyniu" — jak to głosił szumny tytuł artykułu — zredukowały się ostatecznie do tego pojedyńczego postulatu. Gdyby to katolicy tameczni mogli głośno wypowiedzieć potrzeby swego Kościoła, znalazłby się cały ich szereg...

A. Szarłowski.

Z pism czasowych.

„Praca", pismo katolicko-socyalne.

Amicus Plato, sed magis amica veritas.

Dobrze to jest kiedy ksiądz zajmuje się kwestyą socyalną. On jest poniekąd stanowiskiem swojem urodzonym pośrednikiem między zwaśnionemi stronami posiadających i pracujących, i z Ewangelią w ręku łatwiej niż kto inny przywracać może między niemi pokój, sprawiedliwość i miłość.

Ojciec święty dał sam do tego przykład w znanej encyklice; — ale zarazem dał przykład wielkiej przezorności, z jaką wysłannik Chrystusowy kroczyć powinien na tym niebezpiecznym terenie: nie dając się porwać wirowi kotłujących namiętności, nie potakując aspiracyom lub mrzonkom złym lub niemożliwym, nie judząc nikogo przeciw nikomu, ale nawołując wszystkie klasy do miłości i wzajemnego wysługiwania się jak członki w organizmie. Człowiekowi zupełnie prywatnemu łatwiej ujdzie krok na tym terenie za śmiały; ale ksiądz, czy chce czy nie chce, czy pisze w gazecie, czy przemawia na jakiemś zgromadzeniu, zawsze poniekąd przedstawia Kościół, którego jest organem, i Chrystusa, którego jest sługą. Każde jego słowo, któreby jakiejś złej chuci lub błędowi sankcyę dawało, nieobliczalną wyrządzić może szkodę.

Kiedy przed trzema miesiącami zaczęła wychodzić *Praca* pod redakcyą ks. Br. Stysińskiego, znając prawy charakter, wykształcenie i gorliwość redaktora, spodziewaliśmy się, że potrafi temu trudnemu

zadaniu odpowiedzieć, i przyjęliśmy to pismo z zaufaniem. Po kilku numerach jednak spostrzegliśmy z żalem, że redaktor traci coraz więcej równowagę; a ostatnie dwa numera *Pracy* do tego doszły, że uważamy za obowiązek naszego pisma powiedzieć zacnemu redaktorowi *Pracy:* Przyjacielu, za daleko idziesz!

Rzućmy okiem np. na artykuł wstępny n-ru 6-go. Ks. Stysiński nieraz oświadczył, że nie chce waśnić klas społecznych, wytknął, że w tem właśnie waśnieniu leży zło socyalizmu. Otóż jakim sposobem waśni się klasy społeczne? Mówi się im, że samo istnienie różnych klas jest wynikiem dawnych wyzyskiwań i gwałtów; — mówi się jednej klasie, że druga czyha wrogo na jej zgubę i zbroi się, aby ją pognębić; — wkońcu wnioskuje się, że walka klas jest potrzebna, więc że należy szeregi skupiać, organizować się do boju, stanowiska i władze od wyborów zależne zdobywać dla ludzi swej klasy, wypierając z nich ludzi z „arystokracyi i burżuazyjnej inteligencyi". W peroracyi wreszcie przyzywa się „wszystkie prawa boskie i ludzkie" lub coś podobnego. — Czyż nie tak waśnią klasy socyaliści?

Otóż te wszystkie rzeczy wypowiada, jeżeli się nie mylę, redaktor *Pracy* w artykule wstępnym n-ru 6-go, p. t. „Związek rękodzielników chrześcijańskich", i nie owija ich w bawełnę. Czyż nie byłoby lepiej, roztropniej i prawdziwiej mówić, co do pochodzenia różności klas, że nic pewnego o tem nie wiemy; że nieraz zapewnie grał rolę gwałt, innemi razy zdolność i zasługa; ale w każdym razie majątek wiekami posiadany jest własnością prawdziwą, której tykać się nie godzi. A co do tej wrzekomo koniecznej walki klas, czyż nie byłoby właściwiej wytłumaczyć czytelnikom, że ona jest wymysłem socyalistów, celem ich zabiegów, nie zaś koniecznością wynikającą z natury społeczeństwa, ani nawet z istnienia różnicy klas. W każdym razie zaprzecza jej chrześcijańska idea społeczeństwa, w którem różne klasy w organicznej łączności wzajemnie się sobie wysługują. A ta idea chrześcijańska jest też rzeczywistością; klasy choć judzone przeciw sobie więcej wzajemnie sobie służą niż walczą ze sobą. Jeżeli to samo, że przedsiębiorca stara się tanio nająć robotnika, a robotnik stara się drogo swą pracę przedać — ma już być walką — toć i w łonie jednej klasy ta sama walka toczy się codzień na rynku między wieśniaczką a przekupką, między chłopem a chłopem. Dziś nawet, po zniesieniu przywilejów, granic między temi klasami oznaczyć nie można; w jednej rodzinie jeden brat jest ubogim rzemieślnikiem, drugi bogatym przedsiębiorcą albo profesorem wszechnicy — czyż dlatego mają ze sobą walczyć? Sztucznie

się te granice wytwarza i zaostrza, kiedy się mówi ludziom: Nie wybierajcie na urzęda miejskie i autonomiczne ani arystokracyi ani burżuazyjnej inteligencyi — zamiast im mówić (jakby wedle słuszności i po bożemu należało): wybierajcie, nie pytając czy kto z arystokracyi czy z burżuazyi, ale tylko czy prawy, uzdolniony i czynny. — Powtarzam, że nie podejrzywam bynajmniej ks. Stysińskiego o zamiar waśnienia klas; wierzę owszem, że jako gorliwy kapłan gotów wszystko uczynić aby je godzić; konstatuję jednak, że mu się wymykają z pod pióra takie zdania i hasła, które wcale nie do zgody prowadzą.

Numer 7-my *Pracy* jeszcze jest ujemniejszy. Cały ten numer wydaje mi się jakoś podobny do bądź którego n-ru np. *Naprzodu*. Na początku, p. t. „Dziedziczność obyczajowa i majątkowa“, gwałtowna dyatryba, naszpikowana utartemi u socyalistów ogólnikami, z której przeciętny czytelnik to jedno wywnioskować może, że ta arystokracya jest chyba strasznie przewrotną i podłą! — co, abstrahując od kwestyi czy to jest zupełnie prawdziwem, w każdym razie nie jest balsamem kojącym społeczne zawiści! — Potem jest polemika kwaśno-drobiazgowa z artykułem ks. Badeniego o wiecu, w którym nie wiadomo o co autorowi idzie (kiedy sam podobnie wiec ocenił w n-rze 4-tym *Pracy)*, chyba o to jedno, żeby coś przeciw ks. Badeniemu napisać. — Dalej w kronice jest napaść na hrabinę B. (wymienioną) za to, że pewnego księdza nie przyjęła, „dlatego że go nie zna“. Napaść ta jest tak niefortunna pod względem pomysłu i formy, że nie moglibyśmy jej scharakteryzować inaczej jak epitetami z niej samej wziętemi. Jest ona nawet z punktu redakcyjnego nietaktyczną: bo zestawia się w myśli czytelnika z artykułem wstępnym tegoż numeru, i nasunąć może podejrzenie, że nadzwyczajna werwa owej dyatryby nie jest wolna od wpływu osobistej nieprzyjemności. — Nakoniec odcinek tego numeru zawiera w formie noweli obrazek nędzy robotników, którym fabryka lichej płacy uszczupla. *Tout comme chez nous!* powiedzą w redakcyi *Naprzodu*. A przecież sam ks. Stysiński w swojej broszurze o „Socyalizmie polskim“, str. 33, słusznie zganił gazety socyalistyczne za podobną treść ich feljetonów, którą karmią czytelników.

Wracając jeszcze do artykułu wstępnego, mam niejednę wątpliwość co do zawartej w nim doktryny. Autor w szeregu szumnych frazesów pyta, „dlaczego karłowacieją pokolenia naszego narodu? dlaczego stygną cnoty wieków dawno ubiegłych? dlaczego rycerska otwartość zamieniła się w obłudę, honor w etykietę?“ i t. d. i t. d. — i konkluduje, że to skutek dziedziczności obyczajowej (!). Mnieby się zda-

wało, że przywiedzione różnice między przodkami, wielkimi i cnotliwymi, a potomkami podłymi i zepsutymi, nie prowadzą logicznie do konkluzyi za dziedzicznością, ale raczej przeciwko niej. Czyż nie tak? — Wiem, że autor nie zaprzecza wolnej woli jako współczynnika obok dziedziczności w ustroju charakteru jednostki; ale czemuż tak ważny przedmiot tak powierzchownie traktuje? i czemu rzuca nieoględnie frazesami, które sens gmatwają? — A co ma znaczyć ten końcowy wniosek praktyczny: „Więc precz z nią“ (z tą dziedzicznością)? czy fizyologiczne prawo dziedziczności ma być skasowane? albo czy ta klasa ludzi, która odziedziczyła tyle złego, ma być z tego świata uprzątnięta? czy może ma się jej wzbronić żenienia się, aby tej „zabójczej trucizny“ nie przekazywała potomkom?... czy co jeszcze?

Również lekkomyślnie przecina sobie autor jednem pociągnięciem pióra wielkie prawo dziedziczenia majątku po rodzicach — i konkluduje tonem klubowego rozprawiacza, że gdyby te dwie dziedziczności usunięte były, „toby był znaleziony filozoficzny kamień szczęścia ludzkości!“ Powinienby przynajmniej wziąć na uwagę autor, że prawo związane z tak głębokiemi uczuciami serca ludzkiego, bo jak mówi Apostoł: *parentes thesaurisant filiis*, oparte na odwiecznej praktyce, jeżeli nie całości, to przynajmniej ogromnej większości rodu ludzkiego, oparte także na teologicznych racyach i powagach — nie powinno być tak lekko traktowane, zwłaszcza w piśmie katolicko-socyalnem, przez księdza redagowanem i dla szerszych kół przeznaczonem.

W tych wszystkich, jakkolwiek może jaskrawych, uchybieniach to jedno widzę, że szan. redaktor *Pracy* dał się porwać prądowi dalej niż zamierzał. Chcąc przyciągnąć ludzi naszych socyalizmem zarażonych, aby ich na lepszą drogę naprowadzić, zbliżał się do ich sposobu mówienia i myślenia, i niespostrzeżenie zbliżył się zanadto. Pisał też zapewnie, przy nawale pracy, za prędko o przedmiotach, o których improwizować nie można. Jest to przestroga dla wszystkich pracujących lub chcących pracować na tem polu; — i przestroga, z której on sam, nie wątpię, zda sobie sprawę i skorzysta. Bo skądinąd takie pismo jak *Praca* ma u nas racyę bytu — i redaktor jego posiada, jak powiedzieliśmy, wiele odpowiednich przymiotów. Żeby tylko zdobył się na rozwagę i zdecydował się kroczyć nie samym krajem ale środkiem gościńca, utorowanego przez encyklikę, a pierwotnie przez Ewangelię.

Ks. M. Morawski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika papieska do biskupów węgierskich. — Prawa i burdy włoskie. — Francuskie wybory. — Wiec katolików niemieckich w Würzburgu. — Protesty duchowieństwa poznańskiego i galicyjskiego przeciw wichrzycielom.

ENCYKLIKA PAPIESKA DO BISKUPÓW WĘGIERSKICH.

W zagmatwaną, nieszczęśliwą sprawę samozwańczych reform kościelnych, któremi rząd węgierski pod Kościół a jednocześnie i pod państwo nieobrachowaną w strasznych następstwach minę zakłada, rzucił Leon XIII. promień ożywczego, daj Boże, zbawczego światła w encyklice do biskupów węgierskich, datowanej drugiego września, w uroczystość wielkiego patrona maryańskiego królestwa, św. Szczepana. Z dniem każdym, pisze wprost i wyraźnie Ojciec św., zwiększają się w kraju waszym niebezpieczeństwa, grożące religii; zaostrza się i zyskuje na sile i jawna i skryta walka przeciw chrześcijańskim instytucyom. Jeśli więc kiedy, to dzisiaj muszą wszyscy katolicy bez wyjątku rozważyć sumiennie i gruntownie, ile na tem zależy, aby religia, pomimo wszelkich zmian czasów i okoliczności, nie była ze strony państwa na szwank narażaną; i jak w tym kierunku wszyscy stale i zgodnie do jednego i tegoż samego celu dążyć powinni. Chodzi tu o najwyższe i największe dobro, o zbawienie dusz ludzkich; chodzi tu niemniej o zabezpieczenie i obronę warunków niezbędnych do zachowania spo-

koju i prawdziwego szczęścia społeczeństwa. Tak myśleli przodkowie wasi, kiedy piersiami swemi zasłaniali równie Węgry, jak całą zachodnią Europę, jak katolicką wiarę przed tatarskiemi i tureckiemi hordami.

Tymczasem z niemałym smutkiem dowiadujemy się, że oprócz tego, co — jak dawniej już ubolewaliśmy — „w węgierskich ustawach stoi w sprzeczności z prawami Kościoła, ogranicza swobodną jego działalność i religii katolickiej szkodzi“ [1]; władza państwowa dokonała nadto jeszcze lub rozporządziła w ostatnich latach niejedno, co niemniej jest zgubnem dla Kościoła i katolicyzmu. W szczególności co się odnosi do pewnych punktów, żywiej i goręcej w ostatnich czasach u was roztrząsanych, obowiązkiem waszym jest dołożyć wspólnie wszelkich starań, aby wszyscy, tak kapłani jak i świeccy, jasno poznali i wiedzieli, dokąd im iść wolno, a przed czem koniecznie cofnąć się muszą, jeśli nie chcą wykroczyć przeciw przepisom prawa przyrodzonego i bożego. Napominajcie kapłanów, że rzeczą to jest sumienia, nie odstępować ani na włos od poleceń i nakazów Stolicy Apostolskiej; rzecz zaś oczywista, że co w tej mierze kapłanów obowiązuje, to niemniej obowiązuje i świeckich. Niechaj duszpasterze nie przestają, dla powstrzymania niezliczonych nieszczęść, upominać wiernych, aby, o ile tylko możliwa, nie wchodzili w związki małżeńskie z innowiercami. Niechaj wszyscy, powagą biskupów umocnieni, przykładem ich zachęceni, staną mężnie i wiernie w obronie swej wiary; niech nie dają się prowadzić złudnym pozorom czysto ziemskiej roztropności, która wtedy zwłaszcza największym niebezpieczeństwom bramę na oścież otwiera, kiedy kierują się nią osoby, wywierające z mocy swego stanowiska lub urzędu szeroki wpływ na tłumy. Dla wrogów Kościoła, nie może być, rzecz prosta, nic milszego nad gnuśność lub niezgodę szerzącą się między katolikami; korzystają oni z niej w wszelki sposób i posuwają się coraz dalej i dalej w niecnych swych przedsięwzięciach.

Do utrwalenia zgody i podniesienia żarliwości między ka-

[1] Encyklika do biskupów węgierskich z 22 sierpnia 1886 r.

tolikami, przyczyniają się niemało doroczne katolickie wiece; dlatego cieszymy się, że zaczynają one i w Węgrzech wchodzić w zwyczaj i żywimy niepłonną nadzieję, że przyczynią się skutecznie do poparcia i rozwinięcia katolickiej akcyi. O to również powinniście się starać, aby do sejmów wybierano mężów o wypróbowanej religijności i cnocie; gotowych do obrony praw katolickiego Kościoła. A skoro nieprzyjaciele wiary tak bardzo nadużywają książek i dzienników i za ich pomocą rozsiewają między ludem fałszywe opinie i najrozmaitsze błędy, psują dobre obyczaje i odprowadzają od praktyk chrześcijańskiego życia; to bez wątpienia zadaniem obozu waszego jest, złym pismom dobre przeciwstawiać, na chorobę tę odpowiednie a skuteczne lekarstwo obmyślać. Niemniej ważne miejsce zajmuje troska o chrześcijańskie wychowanie dzieci i dorastającej młodzieży. Proboszczowie i inni kapłani niechaj sami czuwają i dopilnowują chrześcijańskiego wykształcenia dzieci w szkołach ludowych, nie zdając tej pracy, ważniejszej nad wszystkie inne, na nikogo innego. Nigdy również nie traćcie z oka szkół średnich i uniwersytetów, i to tem bardziej tam, gdzie szkoły te zawdzięczają swe istnienie fundacyom kościelnym; wszak sam wzgląd na dobro państwa tego domaga się, aby pobożne i rozumne postanowienia przodków nie zwracały się na szkodę katolickiej wiary i Kościoła, ale służyły mu ku pożytkowi i obronie. A jeśli wszystkie szkoły otaczać macie szczególną swą pieczą, cóż mówić o duchownych seminaryach; jeśli dla wszystkich dyecezyanów powinniście żywić ojcowskie uczucia, jakże powinniście się troszczyć o duchowne i doczesne dobro zależnych od was kapłanów. Przypominajcie im i napominajcie, aby jeśli kiedy z konieczności oddawać się muszą ziemskim sprawom, jeśli zniewoleni są polityką się zajmować, nie przekraczali nigdy granic, nakreślonych roztropnością i samemże ich powołaniem. Zachęcajcie ich do podtrzymywania i ożywiania świeckich związków i bractw pobożnych, które jeśli kiedy, to dziś bardzo ważną i piękną rolę mają do spełnienia. Sami nakoniec zjeżdżajcie się od czasu do czasu dla wspólnych narad nad wszystkiem, co odnosić się

może do obrony wiary, rozwoju katolickich instytucyj, karności duchowieństwa tak świeckiego jak i zakonnego.

Śmiałe to i jasne pismo, prawdziwie programowe i w ogólnych zarysach i w drobnych nawet szczegółach; śmiałe i wyraźne potępienie kulturkampfowych zakusów peszteńskiego rządu, a jeśli niektóre wiedeńskie i rzymskie dzienniki wytłumaczyć usiłują swym czytelnikom, że Papież kapituluje przed Wekerlem, to powiedzieć chyba trzeba, że albo encykliki nie czytały, albo dobrowolnie zrozumieć jej nie chcą. W samym Peszcie czytano ją i dobrze zrozumiano. Dowodem tego, ogłoszony w dziennikach półurzędowy, cierpki komunikat:

Rada ministeryalna nie zastanawiała się dzisiaj (7 września) nad encykliką papieską, ponieważ nie otrzymała jej jeszcze w autentycznym, urzędowym tekscie. Wszakże telegraficzne streszczenie encykliki spowodowało już poprzednio miarodajne koło do zastanowienia się nad pytaniem, czy nie należałoby zakazać ogłoszenia z ambon papieskiego manifestu. Podobnie jednak, jak poprzednio, nie uznano za stosowne uciec się do *jus placeti* odnośnie do słynnego listu pasterskiego, ogłoszonego przez biskupa Schoppera, ponieważ ogłaszanie w dziennikach tego rodzaju aktów, odejmuje całemu prawu *placeti* wszelkie znaczenie; tak i teraz postanowiono powstrzymać się z wydaniem jakiegobądź zakazu, jako nie prowadzącego do celu... Treść i ton całego papieskiego pisma wykazują, jak znaczne są przeciwieństwa pomiędzy interesami Kuryi a interesami państwa węgierskiego, że nie pozostawiają rządowi najmniejszej możności wnijścia w tok myśli Kuryi papieskiej i zadośćuczynienia w jakibądź sposób niektórym jej żądaniom...

To także jasne, niestety! aż zanadto jasne. Rząd węgierski ustąpić nie chce z zajętego przez siebie stanowiska; niedwuznacznie grozi Papieżowi, jak grozi — i to nie od dzisiaj — biskupom i całej, zbyt konserwatywnej i zbyt katolickiej Izbie magnatów; jak nie dozwala rozszerzyć się na szerszą skalę katolickiej akcyi, przeszkadzając, zakazując zwoływania katolickich wieców, dziś z powodu widma cholery, jutro z innego powodu, którego — jak stwierdzić to mogą na sobie Słowacy i Rumuni — przy dobrej a silnej woli nigdy z pewnością nie zabraknie. Inne pytanie, dokąd takie postępowanie prowadzi; czy, jak ostrzega

Papież w swej encyklice, kto podkopuje religię, ten nie podkopuje tem samem całego państwowego i społecznego ustroju?

PRAWA I BURDY WŁOSKIE.

W takt Wekerlemu odpowiedział we Włoszech Giolitti; antykościelnym projektom węgierskim przywtórzyło we Włoszech: w ministeryum, w prasie, na ulicy, głośne echo bratnich, z jednego bodaj źródła natchnienie czerpiących aktów, projektów i demonstracyj. Giolitti odmawia systematycznie królewskiego *exequatur* całemu szeregowi zamianowanych przez Papieża biskupów. Rzymscy ulicznicy, ze wszystkich stron Włoch zgromadzeni włóczędzy, wyprawiali przez trzy dni z rzędu dzikie orgie po ulicach Wiecznego Miasta, wznosząc okrzyki przeciw Watykanowi, miotając bezkarnie najsromotniejsze obelgi na Ojca św., ponieważ tenże uchodzi za przyjaciela Francyi, a francuscy robotnicy poturbowali konkurujących ze sobą w kopalniach w Aigues-Mortes robotników włoskich. Nie dość na tem! jakby dotychczas już obowiązujące drakońskie prawa nie wystarczały na pognębienie Kościoła, rewolucyjne organa, na ich czele *Diritto,* domagają się nowych, sroższych praw, zarzucają rządowi słabość w podjętej walce i zachęcają go do rozwinięcia większej energii. „Gdyby rząd ~~—~~ zżyma się i denuncyuje oryginalny ten ‚organ włoskiej demokracyi' — nie znał i nie rachował się z żadnemi niepotrzebnemi względami, natenczas szkoły katolickie nie mogłyby się mnożyć, jak wciąż się mnożą w ostatnich czasach. Obok szkół mnożą się i rozwijają w przerażający sposób zakony; różne one przybierają formy, różnemi, kłamliwemi posługują się pozorami, ale bezustannie posuwają naprzód czarną chorągiew. Niebezpieczna to napaść; trzeba się nam przeciw niej bronić!"

Skąd ten nowy wybuch antyreligijnego fanatyzmu, przypominający najsmutniejsze dnie rządów Crispiego? Różne bez wątpienia złożyły się nań powody: słabość i obawa Giolitti'ego, aby nie uchodzić przypadkiem za ukrytego klerykała; podrażniona narodowa duma wypadkami w Aigues-Mortes; przedewszystkiem dawna, drzemiąca chwilami, ale tylko drzemiąca wolnomularska nienawiść Kościoła i wszystkiego, co do Kościoła się odnosi. Ale obok tych przyczyn jest i inna, na którą właśnie,

choć niedość jasno i wyczerpująco, wskazuje *Diritto*. Jakże zimną krew zachować, jak pospólstwa, jak rządu do gwałtów nie podburzać, kiedy Kościół, pomimo wszelkich prześladowań rozwija się i rośnie, blask papiestwa zwiększa się? Ostatni, jubileuszowy rok najlepszym tego dowodem: liczba pielgrzymów, którzy przybyli z całego świata złożyć swe hołdy Leonowi XIII., wynosi dotąd 47.250; liczba nadzwyczajnych posłów, przybyłych z życzeniami od królów i rzeczpospolitych, doszła do 20; deputacyj i adresów od miast, uniwersytetów, chrześcijańskich związków, zakonów, szkół, wprost zliczyć niepodobna. Na innem znów polu okazują niemniej świetnie rozwój i zwycięstwo katolickiej idei, i to specyalnie we Włoszech, ostatnie municypalne wybory. Wspomnieliśmy już o nich w jednem z poprzednich naszych sprawozdań; dziś, gdy mamy przed sobą kompletną, długą listę nowo wybranych, szczerych katolików, powiedzieć można śmiało: Tak dobrych wyborów Włochy dotąd nie miały; przywtórzyć można nadziejom, wyrażanym jednomyślnie przez katolicką prasę całego świata: „To pierwszy, daj Boże, stanowczy krok na drodze do chrześcijańskiego odrodzenia Włoch!“

FRANCUSKIE WYBORY.

A cóż sądzić o wyborach francuskich? Czy mają racyę ultramonarchistyczne i ultraradykalne dzienniki francuskie, które z udanym żalem lub z jawną radością wołają na wszystkie tony: „Papieska kampania zrobiła najformalniejsze *fiasco;* papieskie plany i instrukcye utonęły w głębinach agitacyi wyborczej i śladu po nich nie zostało“? Obie skrajne partye są niezadowolone, to rzecz arcyzrozumiała, bo obie przy wyborach poniosły klęskę, z której z trudnością zdołają się podźwignąć. Dawna, legitymistyczna prawica, liczy obecnie zaledwie 68 członków; skrajna lewica postradała najznakomitszych swych przywódców, między innymi osławionego Clemenceau, Pichon'a, Floquet'a, tak jak znów prawica pożegnała się z de Cassagnac'em. „Pojednani“ doszli, co prawda, tylko do skromnej cyfry 25. Co gorsza, najznakomitsi ich przywódcy: de Mun i Piou, którzy wystąpili do walki z szeroko rozpostartym sztandarem papieskich instrukcyj, padli na wyłomie; co jeszcze smutniejsza, to że klęskę

tę zawdzięczają w pierwszej linii nieprzejednanym monarchistom, którzy w ten sposób chcieli dobitnie okazać swą niechęć dla „zdrajców legitymistycznej sprawy“. Niemiłe to motywa, niemiłe zapewne porażki, ale jak zauważają ogólnie francuskie, najpoważniejsze dzienniki różnych odcieni, dziwić się temu w danych warunkach zbytecznie nie można, a tem mniej z chaotycznego wyniku ostatnich wyborów przesądzać nie można o ważnej roli, jaka czeka „pojednanych“ w najbliższej już może przyszłości. Niepodejrzany pewnie o zbytnią cześć dla Papieża, o przesadną miłość dla katolicyzmu, wpływowy dziennikarz Spuller, taki w tej mierze stawia horoskop:

Polityka t. zw. „pojednanych“ doprowadzi do rezultatów pożądanych, pozytywnych i zupełnych nie w r. 1893, ale dopiero w r. 1898. Obecnie stoimy w przedsionku: *in limine litis*. Od dziś za pięć lat stanie do urny pięć świeżych pokoleń wyborców, na których Papież rachuje; wszak jeśli do kogo, to do Kościoła zastosować można słowa, odnoszące się właściwie do samegoż Boga: *Patiens quia aeternus*.

ZJAZD KATOLIKÓW NIEMIECKICH W WÜRZBURGU.

W przeciągu kilku tygodni, powiedziećby niemal można: jednocześnie, zebrały się w Niemczech trzy kongresy o tle religijnem: katolicki w Würzburgu, i dwa protestanckie w Bremie i Spirze; dobrze, że zebrały się razem, bo w ten sposób każdy nieuprzedzony mógł łatwo rozróżnić i osądzić, gdzie świeci prawda; gdzie prawdziwie Chrystusowa miłość serca ożywia; gdzie, kto i jak drogą dąży na seryo i wedle zasad przez boskiego Zbawiciela wygłoszonych do rozszerzenia Jego królestwa na ziemi. Na czterdziestem walnem zebraniu katolików niemieckich w Würzburgu, nie było już niestety! Windthorsta; nie było ani hr. Ballestrema, ani br. Schorlemer-Alsta, ani br. Huenego, którzy, z powodu znanych zajść w parlamencie, nie uznali za stosowne osobiście się zjawić i telegraficznie wytłumaczyli swą nieobecność. Jedyny to był zresztą ślad owych zajść i chwilowych rozterek, z których wrogowie katolickiego *Centrum* tak różowe dla siebie snuli nadzieje; jeśli kto z nich zachował dotąd jakie illuzye, jeśli sądził naiwnie, — jak mu wierzyć kazało parę liberalnych berlińskich

organów — że katolicy w puch rozbici, wszelką łączność między sobą stracili, tego obrady würzburskie mogły i musiały przekonać, jak bardzo się łudził i jak go łudzono.

Nie! — wołał dr. Lieber wśród tysięcznych entuzyastycznych oklasków — niezgoda do nas się nie przedostanie! Kilku niemieckich katolików odłączyło się od reszty w zapatrywaniach swych na pewne polityczne kwestye; chcieć stąd wnioskować, że i w katolickich, kościelnych kwestyach się odłączą, byłoby zaprawdę pożałowania godnym, komicznym błędem. *Frankfurter Zeitung* napisała: Lieber nie będzie miał wielkiej ochoty podać rękę w Würzburgu do wspólnej pracy tym, którzy w parlamencie wystąpili z przeciwnemi mu zapatrywaniami. Czemuż Bóg nie pozwolił, abym mógł teraz przed wami stanąć w pośrodku tak bardzo zasłużonych, tak wszelkiej czci godnych przyjaciół moich: hr. Ballestrema i br. Huenego, i złożyć w ten sposób żywe świadectwo, że w katolickich sprawach jesteśmy i zawsze pozostaniemy jednej myśli, bo musimy to samo myśleć i chcieć, jeżeli chcemy pozostać katolikami. Wrogowie nasi nie doczekają się tego widowiska, przyjaciele nasi nie dożyją bolesnego tego dnia, w którym na katolickich naszych zebraniach miałby się jaki rozdział między nami uwidocznić. Wszak dzisiejsze społeczeństwo ma przed sobą do spełnienia bynajmniej nie wyłącznie, nawet nie w pierwszej linii polityczne zadania. Postawienie dokładnej różnicy między polityczną działalnością katolika, a zadaniami przypadającemi mu w udziale we wszystkich innych kierunkach publicznego życia, uważam za bardzo szczęśliwy krok naprzód na drodze naszego rozwoju. Zwłaszcza kwestya socyalna wysuwa się dziś coraz widoczniej na pierwszy plan; polityczne kwestye, rade nierade, muszą jej miejsca ustępować.

Ważna to mowa, bo jasno określa stanowisko dwóch grup, na które *Centrum* w ostatnich miesiącach się podzieliło; nakreśla ogólny program przyszłej, wspólnej katolickiej akcyi, w której udział wziąć mają wszyscy bez wyjątku katolicy niemieccy. Obok tej mowy, obok bardzo dobrej mowy hr. Sylva-Tarouca o socyalizmie i zwykłych na wiecach katolickich uchwał o kwestyi rzymskiej, prasie katolickiej, powrocie Jezuitów do państwa niemieckiego; zwrócić na siebie muszą szczególną naszą uwagę, uchwalona w sekcyi szkolnej i naukowej rezolucya o uczeniu dzieci katechizmu w języku ojczystym, tudzież rozprawy i uchwały

Stowarzyszenia św. Rafała, które bardzo praktycznie i rozumnie połączyło walne swe zgromadzenie z katolickim kongresem. Referent w sekcyi szkolnej dr. Stephan postawił w wybornej swej przemowie jako fundamentalną zasadę, że wiece katolickie, tem samem iż są katolickiemi, powinny brać w obronę i zajmować się interesami nietylko samych Niemców, nietylko tych, którzy niemieckim językiem się posługują. Przyrodzone prawo domaga się, aby dzieci pobierały naukę w ojczystym swym języku. Szczególnie nauka katechizmu nie powinna pod żadnym warunkiem służyć celom germanizacyjnym, lecz udzielaną być w języku, którym dziecko w domu rozmawia. Po tem, w krótkich tu słowach streszczonem uzasadnieniu, odczytał dr. Stephan następną, jednomyślnie przyjętą rezolucyę:

Choć rzeczą jest nader pożądaną, aby wszyscy poddani cesarstwa niemieckiego przyswoili sobie dokładnie język niemiecki; to jednakowoż nie należy w szkole zdążać do tego celu przez zgnębienie języka ojczystego dzieci nie mówiących po niemiecku; przeciwnie język ich ojczysty ma wszelkie prawo do opieki. Wykład katechizmu odbywać się może jedynie w języku ojczystym dzieci. W miejscowościach, w których cała ludność lub znaczna jej część używa innego języka niż niemieckiego, tacy tylko nauczyciele winni się znajdować, którzy obydwoma językami doskonale władają.

Generalny sekretarz Stowarzyszenia św. Rafała, głośny na obu półkulach Cahensly, podał ważne i ciekawe szczegóły o zaatlantyckiej emigracyi w ostatnich latach; o duchownych potrzebach i biedach wszystkich, w szczególności polskich wychodźców. Ogólna liczba emigrantów europejskich w paru ostatnich latach dosięgła pół miliona; lwia część z tej cyfry przypada na Włochów i Słowian. Pewna partya usiłowała utrudnić emigrantom wstęp na ziemię amerykańską, ale wysiłki te pozostały w ostatecznym rezultacie bezowocne; począwszy od marca b. r. może każdy, kto chce, byle nie nosił na sobie cech wyraźnego kalectwa, w Ameryce się osiedlać. Najważniejszem stanowiskiem, zajętem przez Stowarzyszenie św. Rafała, jest Brema, gdzie niedawno temu zmarły „mąż zaufania“, przez Stowarzyszenie tam wysłany, pracował z wielkim pożytkiem. Od r. 1873 do 1891 miał

on pod swą opieką 270.000 emigrantów; z tych 40.000 zaopatrzyło się na drogę przyjęciem śś. Sakramentów. W Antwerpii odprawia niezmordowany O. Lorleberg T. J. dwa razy tygodniowo Mszę św. dla wychodźców i zaopatrzył w bieżącym tylko roku przeszło 1200 śś. Sakramentami. W Roterdamie nie można było dotąd, z braku materyalnych środków, utrzymać osobnego księdza. Do Hamburga napłynęły w pierwszym kwartale b. r. wielkie masy rosyjskich i polskich wychodźców, w wielkiej części katolików. Musieli oni przed odpłynięciem z portu przebywać pięciodniową kwarantannę w osobno na ten cel przez miasto wystawionych barakach; tutaj nawiedzał ich niedawno temu przybyły do Hamburga polski kapłan i pouczał z takim skutkiem, że w przeciągu paru miesięcy przystąpiło 5000 do spowiedzi.

Pracujący w Bremie „mąż zaufania", ks. Prachar, zajmował się długi czas głównie słowiańskimi, na pierwszem miejscu polskimi wychodźcami; obecnie zapobiegać musi również duchownym i doczesnym potrzebom emigrantów niemieckich. Polacy — opowiadał prawdziwy ten, czynny przyjaciel naszego narodu — którzy w ostatnich latach wywędrowali tak licznie do Brazylii, opuścić musieli Rosyę częścią z powodów politycznych, częścią z religijnych. Byli oni mocno przekonani, że nigdzie im tak źle być nie może, jak w Rosyi; nie myśleli też dawać wiary upomnieniom i przekonywaniom naszych mężów zaufania; nieszczęściem, późniejsze wiadomości z Brazylii nie pozostawiły najmniejszej wątpliwości o losie ich bardzo gorzkim, tem smutniejszym, że nie mieli żadnego księdza, któryby do nich ojczystym językiem mógł przemówić. Nie mówiąc już o Niemcach, udaje się do północnych Stanów Zjednoczonych wielu Słowaków z północnych Węgier i Polaków z Galicyi; z wielką radością i weselem serca szli oni wszyscy do kościoła i cisnęli się do Sakramentów... W ostatnim czasie, tj. od r. 1891 do lipca r. b., Stowarzyszenie św. Rafała zaopiekowało się w samej tylko Bremie 88.920 wychodźcami; z tych 11.441 przystąpiło do Sakramentów śś. Bremeński „mąż zaufania" odpowiedział w tym czasie na 5187 listów, a przez ręce jego przeszło 941.114 marek.

PROTESTY DUCHOWIEŃSTWA POZNAŃSKIEGO I GALICYJSKIEGO PRZECIW WICHRZYCIELOM.

W dwóch polskich dzielnicach: Poznańskiem i Galicyi, wyszły w ostatnim czasie na jaw nadzwyczaj niezdrowe prądy, mające na celu szerzyć niesnaski w szeregach całego społeczeństwa, podjudzać jedne klasy społeczne przeciw drugim, podjudzać w szczególności niższe duchowieństwo przeciw wyższemu. W Poznańskiem smutnej tej, destrukcyjnej roboty podjęły się głównie dwa pisma: *Orędownik* i *Postęp*, redagowane przez d-ra Szymańskiego i Stanisława Knapowskiego; w Galicyi, pokrewne im dążeniami, tem zgubniejsze, że redagowane niestety! przez kapłana, pisma ks. Stojałowskiego. Dążenia te, przypominające najsmutniejsze daty i w dziejach Kościoła i w dziejach naszej ojczyzny, spotkały się już z energicznym protestem wrzekomo branego w obronę, w istocie spotwarzonego w najświętszych swych uczuciach i przekonaniach duchowieństwa.

Wielkopolscy kapłani w długim szeregu publicznych przemów i piśmiennych, własnoręcznemi podpisami opatrzonych oświadczeń, napiętnowali to „rozdzieranie społeczeństwa“, „podkopywanie w niem przywiązania do wiary i Kościoła“, wyrazili głęboką boleść, że znajdują się „pisma, które choć polskim językiem pisane, nie są pismami polskiemi..., które jadem własnej pychy, zatruwać chcą społeczeństwo nasze“; a jednocześnie dali wyraz silnemu przekonaniu, że „gdyby znalazł się — czemu wierzyć trudno — jaki kapłan niepomny na swe powołanie i przysięgę kapłańską, któryby solidaryzował się z napaściami owych pism na swego pasterza i biskupa, natenczas duchowieństwo odetnie go od siebie jako narośl zgniłą i zatrutą“. Tą samą myślą przewodnią natchnione są oświadczenia kilku dekanatów z dyecezyi tarnowskiej, w których ks. Stojałowski rozwijać najsilniej próbował zgubną swą akcyę. „Zuchwałe propozycye ks. Stojałowskiego — czytamy w proteście dekanatu bocheńskiego — jako błędne, przewrotne, samozwańcze, ze wzgardą od siebie odpychamy i potępiamy; niecną robotę ks. Stojałowskiego uważamy za szkodliwą i zgubną tak dla Kościoła, jakoteż i dla naszego społeczeństwa“. „Z księdzem z taką przeszłością i teraźniejszością — oświadczają księża z dekanatu tarnowskiego, a za nimi z deka-

natu mieleckiego i radomyskiego — nie mamy i mieć nie chcemy nic wspólnego...; jedynie ubolewać możemy, iż swoich niezaprzeczonych talentów używa na złe i na zgubę naszego społeczeństwa, na agitacye, które w jedno i to samo koryto zlewają się z prądami socyalizmu i anarchizmu".

Gorzkie to słowa; jakaż odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi ciąży na tych, którzy postępowaniem swem zmusili poznańskie i galicyjskie duchowieństwo do głośnego ich wypowiedzenia?!

Ks. Jan Badeni.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Z fizyologii i psychologii wzroku: barwy i teorya Younga-Helmholtza; wyobrażenia przestrzenne a empiryzm i natywizm. — Czaszka Cannstattska i Neanderthalska a człowiek współczesny mamutowi.

Oczy są jednym z najważniejszych zmysłów naszych, bo przyczyniają się najwięcej do wzbogacenia wiedzy i poznania ludzkiego. Bardzo wiele zagadnień naukowych i w fizyologii i psychologii i teoryi poznania łączy się najściślej z tym zmysłem. O niektóre z tych kwestyj zawadzimy dzisiaj.

Czyste wrażenia wzrokowe są wrażenia światła z wszelkiemi odcieniami, więc wrażenia kolorów. Wiadomą jest dzisiaj rzeczą powszechnie, co są kolory. Zdaje się, że mały jest poczet ludzi takich, którzyby wierzyli, że barwy są jakiemiś ukrytemi własnościami ciał, i to takiemi jak je nam wzrok do świadomości podaje. Według dzisiejszych zapatrywań, bardzo uzasadnionych, wszelkie barwy polegają na drganiu eteru czyli na ruchu świetlnym, a jeno różna łamliwość promieni przedstawia się naszej świadomości dla większej wygody w poznaniu jako znane wrażenia kolorów. Rozróżniamy barwy proste, jak np. barwy widma jakiegokolwiek, i barwy złożone czyli mieszane, np. po największej części kolory zwykłych przedmiotów. Aby otrzymać wrażenie barwy prostej, musi siatkówkę oka podrażnić ściśle określona ilość oscylacyj eterycznych o pewnej długości fali. Światło o falach najdłuższych wywołuje wrażenie barwy czerwonej, o falach najkrótszych — barwy fiołkowej; światło pośrednie powoduje wrażenie środkowych barw widma. Dla wywołania wrażenia barwy mieszanej trzeba podrażnienia prawie albo zupełnie jednoczesnego dwu lub kilku barw prostych. Najbardziej

złożoną barwą jest kolor biały, składają się nań bowiem wszystkie proste barwy widma. Wreszcie dwie barwy takie, co razem zmieszane dają kolor biały, nazywamy dopełniającemi.

Zachodzi pytanie, jakim sposobem pobudzone elementy oczne przesyłają nam wrażenie barw?

Wytłumaczenie wrażenia barw nie jest wcale rzeczą łatwą. Sam zmysł wzroku jest aparatem optycznym wysoce skomplikowanym, część zaś tego narządu percepcyjna, tj. siatkówka, posiada bardzo zawikłaną budowę mikroskopiczną. Z pomiędzy wielu teoryj usiłujących rozwiązać to zagadnienie, jedna jest, co prostotą swoją i dostatecznem tłumaczeniem wszystkich zjawisk, ponad inne góruje. Jest to t. zw. teorya Younga-Helmholtza, teorya dość stara, atoli mimo powstające odmienne tłumaczenia, znajdująca coraz to nowe fakty i doświadczenia na swe potwierdzenie.

Teorya ta przyjmuje trzy różne końcowe elementy w siatkówce, odpowiadające trzem barwom zasadniczym. Podrażnienie elementów pierwszego rodzaju sprawia wrażenie barwy czerwonej, drugiego — barwy zielonej, trzeciego — fiołkowej. Elementy odczuwające kolor czerwony są najbardziej wrażliwe na światło o najdłuższej fali, odczuwające kolor zielony — na światło o średniej długości fali, zaś elementy trzeciego rodzaju — na światło o fali najkrótszej. Najprawdopodobniej bowiem każda barwa widmowa pobudza wszystkie rodzaje włókienek, atoli jedne pobudza energicznie, inne bardzo słabo. Tak np. prosta barwa czerwona pobudza mocno elementy pierwszego rodzaju, słabo inne rodzaje, wywołuje więc wrażenie czerwoności; barwa żółta pobudza dość silnie elementy czerwone i zielone, słabiej fiołkowe, wrażenie zatem koloru żółtego i t. d. Pobudzenie dwu elementów różnego rodzaju powoduje wrażenie barw mieszanych, podrażnienie zaś elementów wszystkich rodzajów z tą samą mniej więcej siłą sprawia wrażenie koloru białego. Tak więc według tej teoryi otrzymujemy wrażenia barw tym sposobem, że ruch eteru, wychodzący od najrozmaitszych ciał materyalnych, pobudza z różną siłą różne elementy siatkówki. W nowszych czasach uzupełniono tę teoryę w ten sposób, że za owe różne elementy przyjmuje się czopki siatkówki, zaś laseczki, które razem z czopkami mieszczą się w ostatniej warstwie siatkówki, mają zadanie przeprowadzać wrażenia ilości czyli natężenia światła, więc mniejszej lub większej jasności.

Za teoryą Younga-Helmholtza przemawia wiele faktów i spostrzeżeń, jak daltonizm, najrozmaitsze wrażenia wzroku normalnego w szczególnych okolicznościach, które to rzeczy znajdziemy w każdej fizyologii,

psychologii, a nawet fizyce. Doświadczalne jednak stwierdzenie tej teoryi zawdzięczamy niezmordowanemu w tej mierze pracownikowi Frithjof Holmgren'owi, który bardzo wielkie zasługi położył około badań nad ślepotą barw. Jemu to udało się niedawno wywołać na siatkówce tak małe obrazy, aby tylko jeden czopek był trafiony. Taki jeden czopek podług naszej teoryi może odczuwać tylko czerwoną barwę, albo zieloną, albo fiołkową. Otóż jeśli na taki czopek pada światło o prostej barwie zasadniczej, to otrzymamy wrażenie jednej z tych barw, jeśli barwa będzie odpowiadała czopkowi, przy użyciu zaś barw złożonych otrzymujemy wrażenia nie kolorów złożonych, ale wrażenia barw prostych zasadniczych, odpowiednich czopkom przewodzącym wrażenia. Doświadczenie to zgadza się najzupełniej z teoryą, a tem samem jest pięknem potwierdzeniem i dowodem dla niej [1].

Z wrażeniami wzroku łączą się ściśle nasze wyobrażenia przestrzenne. W jaki sposób rozwijają się te wyobrażenia? Wiadomą jest rzeczą, że Kant uważa przestrzeń i czas za aprioryczne formy zmysłowe, inni zaś filozofowie współcześni nie są w zgodzie co do tej rzeczy. Do rozwiązania tej kwestyi zabrali się w naszych czasach fizyolodzy. Ale i ci dzielą się na dwa obozy. Empiryści z Helmholtzem na czele przyjmują, że nasze wyobrażenia przestrzenne są wynikiem doświadczenia; Natywiści, których głównym przywódcą jest Hering, twierdzą, że zdolność oceniania odległości, posiadania wyobrażeń przestrzennych i t. p. jest nam wrodzoną.

Główny materyał do rozstrzygnięcia pytania, jakim jest początek i geneza naszych wyobrażeń przestrzeni, stanowią obserwacye dzieci w pierwszych dniach życia. Przy tych wszystkich jednak uważaniach i spostrzeżeniach może niepoślednią rolę odgrywać podmiotowe zapatrywanie obserwatora. Dlatego też tem cenniejsze są doświadczenia na ślepych od urodzenia, którzy następnie po szczęśliwej operacyi nauczyli się patrzeć i widzieć. Podobne przypadki znamy i z czasów dawniejszych, mamy też niektóre bardzo ciekawe spostrzeżenia i uwagi, obserwacye jednak nowszych fizyologów odznaczają się niesłychaną dawniej dokładnością, skrupulatnością i precyzyą.

W ostatnim czasie mieliśmy kilka takich szczęśliwych przypadków — o dwu tylko pokrótce wspomnimy.

E. Raehlmann sam opisuje dwa ciekawe przypadki ślepych od urodzenia. Pierwszy dotyczy 19-letniego, rozumnego młodzieńca,

[1] *Naturwiss. Rundschau*, VII, str. 168.

J. Ruben'a, który nigdy nie widział konturów ciał ani odległości między niemi.

Zaraz po operacyi, poruszenia oczu Rubena przy pierwszych próbach fiksacyjnych były bez ładu i składu, niespokojne — oczy nie mogły znaleść położenia właściwego, by przedmiot jaki utrwalić, ani też dłużej w jednem położeniu pozostać; po raz pierwszy uspokoiły się oczy, kiedy Ruben popatrzył na swoją szklankę do picia, a jednocześnie omacał ją. Poznany przedmiot został natychmiast oczyma uchwycony, jednak wkrótce nastąpiły nieregularne, przerywane drgawki, jakie to ślepym są właściwe. Niepewne te drgawki ustały wtedy dopiero, kiedy pacyent nauczył się używać swych oczu. Podobnie jak dziecko w 5-tym tygodniu życia, tak i Ruben tracił raz uchwycony przedmiot z oczu, skoro się przedmiot z miejsca ruszyło. Poruszenia oczu nieodzowne dla uchwycenia przedmiotu musiał dopiero pomału i z trudnością sobie przyswajać. Przy szybkiem zbliżeniu ręki do oczu pacyenta w kierunku właściwego widzenia, nie można było wcale wywołać, jak i u dziecka, odruchowego zamknięcia powiek.

Z wielką trudnością nauczył się Ruben zwracać oczy na jednę i drugą stronę; w pierwszej fazie posługiwał się zawsze ruchem głowy miasto oczu. Choć już dobrze umiał chwytać za przedmioty leżące wprost przed sobą, trzeba było jeszcze wiele czasu nim z boku leżące rzeczy potrafił z tą samą pewnością brać do ręki.

Przedmioty znajdujące się poza obrębem rąk swoich umieszczał jak najfałszywiej w przestrzeni i do rzeczy oddalonych wyciągał ręce jak dziecko. Dopiero ruchy własnege ciała pozwoliły mu wymierzyć przestrzeń, co się między nim a odległemi przedmiotami znajdowała. W swoich poruszeniach z miejsca na miejsce uderzał z początku na najrozmaitsze przeszkody, których dopiero z czasem nauczył się unikać.

Pacyent nasz nie posiadał z pewnością wrodzonych wyobrażeń przestrzennych w tem znaczeniu jak je odbieramy za pośrednictwem wzroku. Choć bez wątpienia musiał mieć jakieś wyobrażenie o świecie zewnętrznym i jego przestrzennej dymensyi, to jednak nie mógł świeżo nabytego wyobrażenia przestrzeni za pomocą wzroku zastosowywać bez wszystkiego do tego co już miał, lecz wymagało to wprawy i doświadczenia.

Tak np. Ruben nie mógł za pomocą wzroku samego odróżnić kuli od krążka, sześcianu od deski kwadratowej. Pojęcia kulistości i graniatości *a priori* w uczuciu wzrokowem pacyent nie posiadał. Dopiero po omacaniu mógł powiedzieć, że kula jest okrągłą. Kulę i sze-

ścian mógł od razu rozpoznać jako dwie rzeczy różne, ale nie mógł powiedzieć, która z tych rzeczy jest okrągła a która graniasta.

Ruben poznał natychmiast zapałkę trzymaną przed nim w odległości pół metra, nie mógł zaś poznać dwu zapałek skrzyżowanych, był to dla niego obraz zupełnie nowy. Ale skoro tylko dotknął się jednej zapałki po drugiej, poznał je i ich położenie względem siebie. Jeśli się przed nim trzymało dwie lub trzy zapałki, oddalone jedna od drugiej o jakie 3 cm, to poznał zaraz, że jest ich więcej, ale nie potrafił ich policzyć. Musiał dopiero dotknąć się każdej z osobna i tak rachować obrazy optyczne. Po kilkakrotnem jednak powtórzeniu doświadczenia mógł liczyć na pewno zapałki bez dotykania się.

Rezultat zatem obserwacyi Rubena naprowadza na wniosek, że cały kompleks spostrzeżeń wzrokowych nabywamy empirycznie i zbieramy go sobie przez sumowanie prostych czynności zmysłowych, w czem dopomagają wzrokowi pod wielu względami inne zmysły [1].

Podobny i wielce ciekawy przypadek opisuje z własnej praktyki W. Uhthoff. Chłopiec siedmioletni, zupełnie ślepy od urodzenia, tak że tylko przy bardzo silnem oświetleniu mógł nieco odróżniać ciemność i jasność. Operacya obydwu oczu udała się dobrze, a chłopiec zostawał jeszcze kilka miesięcy pod nadzorem, tak że można było na nim przeprowadzić wiele ciekawych doświadczeń.

Przedewszystkiem łatwo można było skonstatować, że chłopczyna nie poznawał żadnego przedmiotu, którego nie nauczył się poznawać jednocześnie z patrzeniem przez dotykanie lub też inne zmysły. Musiał się zawsze oryentować naprzód przez dotykanie, niekiedy za pomocą słuchu, albo też nawet za pomocą węchu i smaku, tak otrzymane wrażenie zestawiać z wrażeniem, jakiego doznawał w oczach, i tym sposobem zapoznawać się z każdym przedmiotem z osobna. Po jednorazowem zobaczeniu przedmiotu i jednoczesnem omacaniu nie mógł jeszcze tego samego przedmiotu rozpoznać po dłuższej pauzie; normalnie potrzeba było 3—6 razy obejrzeć przedmiot i omacać, by go następnie samym wzrokiem rozpoznać.

Pacyent nauczył się prędko rozpoznawać i nazywać kolory, najprędzej żółty. Z trudnością nauczył się rachować przedmioty za pomocą samego wzroku, jeszcze trudniej oceniać odległość dwu rzeczy i oryentować się w przestrzeni. Opanowania poruszeń oczu, a nawet dłuższego sfiksowania przedmiotu, nauczył się dopiero później.

---

[1] *Natur u. Offenb.* 1893, str. 415.

Wszystkie te i wiele innych spostrzeżeń Uhthoff opisuje bardzo dokładnie i obszernie, niektóre zestawia z doświadczeniami na dziecku półtorarocznem. I naprawdę, po tem wszystkiem trzeba być wielkim skeptykiem, aby nie przyznać słuszności teoryi empirycznej, że wszystkie nasze wyobrażenia wzrokowe musimy nabywać długą pracą i doświadczeniem, a nie przynosimy ich gotowych na świat z sobą [1].

A teraz cofnijmy się na chwilkę wstecz nieco, do ludzi, co pierwsi mieli zamieszkiwać lasy i pieczary Europy.

Kto nie słyszał o czaszce Cannstattskiej i Neanderthalskiej? W każdej broszurze i rozprawie o dawności rodu ludzkiego, o pochodzeniu człowieka, w każdej antropologii już od wielu lat spotykamy się z niemi. Dwie te czaszki miałyby dowodzić, że człowiek kiedyś dawno równocześnie w Europie z mamutami przemieszkiwał, że prócz tego więcej był podówczas do zwierząt podobny, a nawet taki poważny przyrodnik jak de Quatrefages na podstawie czaszki Cannstattskiej utworzył znaną *la première race humaine ou la race de Cannstatt.* Wprawdzie w kołach ściśle naukowych nie wszystko co o tych czaszkach mówiono i co na nich budowano uważano za zupełną prawdę, w pismach jednak popularnych uchodziło to za wynik ostateczny nieomylnej nauki. Nie można się tedy dziwić, że o tych kilku czerepach kostnych mówiono na każdem naukowem zebraniu i zgromadzeniu, że więc dyskutowano tę sprawę i na ostatnim kongresie niemieckiego antropologicznego towarzystwa w Ulmie [2]. Powiedziano tam kilka rzeczy tak ciekawych, że potrafią one zająć nawet zwykłego śmiertelnika.

Zacznijmy od czaszki Cannstattskiej. Historya wyjaśni nam najlepiej jej znaczenie naukowe.

Kto i kiedy znalazł tę czaszkę? Zazwyczaj podawano, że r. 1700 znaleziono ją głęboko w glinie obok Cannstatt wraz z innemi wykopaliskami. Czy naprawdę rzecz się tak miała? Oto, co mówią fakty dokładnie znane.

W r. 1700 znaleziono o jakie tysiąc kroków od Cannstatt ząb mamuta. Zwrócił na to uwagę ówczesny książę württembergski Eberhard Ludwig i kazał zbadać dokładniej miejsce, w którem ząb znaleziono. Wynik poszukiwań podaje nam ówczesny lekarz przyboczny księcia, dr. S. Reissel. Według tego znaleziono: kawałki czaszek, zęby,

[1] *Naturwiss. Rundschau,* VII, str. 426.

[2] *Die XXIII. allgemeine Versammlung der deutschen anthropologischen Gesellschaft in Ulm a. D.* Von F. Birkner. *Natur u. Off.* 1893, str. 349 sqq.

szczęki i inne części szkieletowe, przypominające wielkością swoją i wyglądem części kostne słonia; dalej rozmaite kości średniej wielkości, takież kości ale mniejsze, a wreszcie bardzo małe, nie różniące się od kości myszy i szczurów. Dr. Reissel kończy świadectwo swoje, że między temi szczątkami nie było żadnej kości, którąby można poczytać za ludzką, chybaby ktoś chciał niektóre (zapewne kości mamuta) uważać za kości olbrzymów.

Wszystkie te kawałki szkieletowe znaleziono w warstwie gliny, na której spoczywała skała tufowa. Na skale samej sterczały jeszcze resztki rzymskiego *castellum*, które nawet Quatrefages podniósł do godności *oppidum romain*. W gruzach tego castellum znaleziono trochę glinianych naczyń widocznie rzymskich, których położenie i wejrzenie opisuje obszernie Reissel w swojem sprawozdaniu.

Dalsze wiadomości o tym przedmiocie zawdzięczamy innemu przybocznemu lekarzowi i radcy książęcemu d-rowi J. A. Gessnerowi, którego posiadamy dwa sprawozdania w tej mierze, z r. 1749 i 1753. W obu razach wylicza znowu rozmaite kości zwierzęce podług wielkości i różnych gatunków, a każdym razem dodaje wyraźnie: „najdziwniejszą rzeczą jest to, iż nie znaleziono wcale kości podobnych do ludzkich".

Tak więc aż do r. 1753 ani Reissel ani Gessner, fachowi lekarze, nie mogli między wykopaliskami Cannstattskiemi odkryć żadnej kości ludzkiej; czaszkę zaś t. zw. Cannstattską każdy laik nawet od razu uzna za ludzką.

Tymczasem z r. 1835 otrzymujemy inną wiadomość, mianowicie, że 1700 znaleziono w Cannstatt także czaszkę ludzką. Zagadkowa ta czaszka leżała podówczas obok naczyń rzymskich, pochodzących z castellum. Etykietka z pożółkłego papieru, która jednak obecnie zaginęła, pouczała wtedy, że naczynia owe znaleziono w r. 1700, o czaszce jednak nie wspominała wcale. W jaki sposób czaszka dostała się do tego zbioru, nie wiadomo.

Że czaszka ta, a raczej fragment czaszki, znajduje się razem z naczyniami z 1700, doniósł najpierw prof. Jäger i przez tego dowiedział się Quatrefages o jej istnieniu. Krótko przed 1870 posłano ją Quatrefages'owi do Paryża, skąd po wojnie wróciła jeszcze bardziej niż przedtem zniszczona, bo trafiła ją, jak zaręcza Quatrefages, bomba pruska w *Jardin des plantes*.

Z czaszki tej żadna prawie kość nie jest zachowana w całości, przytem zaś, jak w dalszym ciągu Hölder pokazał, nosi na sobie wiele cech nie fizyologicznych, ale patologicznych. To też Quatrefages'a rasa

Canstattska jest bardzo nieokreślona i zawiera cechy nie bardzo charakterystyczne, a nawet nie zupełnie zgodne.

Tak więc Hölder pokazał, że Cannstattski ułamek czaszki nie leżał w glinie razem z kośćmi mamuta, przez to zaś samo pewną jest rzeczą, że dotychczas istnienie człowieka wespół z mamutem jest tylko wytworem wyobraźni. Zresztą chociażby tę czaszkę znaleziono w pokładzie gliny razem z szczątkami mamuta, to jeszczeby to nie było dowodem, że *homo sapiens* kiedyś polował na tego zwierza przedpotopowego, bo tak samo w onej warstwie gliny mógł być w którymkolwiek czasie jaki człowiek pochowany.

Podczas gdy współczesność człowieka z mamutem nie jest dotychczas żadnym faktem dowiedzioną, siwy duński badacz Japetus Steenstrup, na podstawie swych poszukiwań w Morawii, nie waha się twierdzić, że nawet fizyczna możliwość istnienia człowieka z mamutem nie jest wcale uzasadnioną. Według niego stosunki klimatyczne na kuli ziemskiej uniemożliwiały współczesny pobyt człowieka z mamutem. Dlatego też słusznie uważa Virchow, że najstarsze wykopaliska, z któremi można wykazać współczesność człowieka, są znajdywane szczątki renа.

Z jakiegoż więc czasu pochodzi czaszka Cannstattska, kiedy nie jest współczesną mamutowi? Czy da kto na to pytanie odpowiedź stanowczą? Najprawdopodobniej nie. Nadto po odsłonięciu historyi tego fragmentu, nie można już doń żadnej przywiązywać wagi, żadnych wyciągać dedukcyj, a nawet trzeba się pożegnać z rasą Cannstattską Quatrefages'a.

Razem z czaszką Cannstattską omawiano też sławetną i tak okrzyczaną czaszkę Neanderthalską. Quatrefages przydzielał ten ułamek do rasy pokrewnej z rasą Cannstattską.

Co o tej czaszce sądzić należy, jasno wyłożył R. Virchow.

Czaszka Neanderthalska nie była przedewszystkiem nigdy w dobrym stanie zachowana; był to zawsze fragment tylko, który prócz Virchowa mało tylko ludzi w ręku miało. Virchowowi szczęśliwym trafem udało się wszystkie szczątki Neanderthalskie dokładnie zbadać, to też od niego można zaczerpnąć najpewniejszych wiadomości.

Skąd pochodzą te kostne kawałki? Nie pochodzą z żadnej jaskini, ale znaleziono je w szczelinie, która się wytworzyła na urwisku pewnej góry; szczeliną tą spływały wody, zmywały i wypłókiwały najrozmaitsze rzeczy. Gdzie zaś właściwie resztki czaszki leżały, nikt nie mógł powiedzieć. Przyjmowano zawsze i stanowczo twierdzono, że czaszka Neanderthalska tkwiła w glinie dyluwialnej, tymczasem nikt

tego według Virchowa nie wiedział; zapewniano, że to czaszka człowieka z mamutem żyjącego, a nie zwrócono nawet na to uwagi, że w materyale wymytym z owej szczeliny nie znaleziono wcale szczątek mamuta lub podobnych zwierząt. Wszystkie twierdzenia o czaszce Neanderthalskiej były zupełnie bezpodstawne, to też tem śmielej je głoszono, a z tym większym zapałem dawano im wiarę.

Co się tyczy samej czaszki, to znać na niej ślady wyraźne różnych przejść chorobliwych, które nawiedzały to indywiduum już prawdopodobnie we wczesnej młodości. Dlatego też czaszka ta nie nadaje się wcale, aby z niej wytworzyć sobie typ ówczesnej europejskiej ludności, trudną nawet jest wogóle rzeczą rozstrzygnąć, co w tej czaszce jest typowego i fizyologicznego a co czysto indywidualnego i patologicznego.

Niektórzy z uczonych porównywali czaszkę Neanderthalską z czaszkami australskiemi i znajdowali między niemi bardzo wielkie podobieństwo. Zestawienie to Virchow uważa ze bardzo śmiałe, ponieważ czaszka nie jest kompletną. Wedle tego, jak kto czaszkę ustawi i jak sobie w myśli te części, których niema, dopasuje, może czaszka wyidealizowana przybierać najrozmaitsze wejrzenia. Tym sposobem można też bardzo łatwo z czaszki Neanderthalskiej skonstruować czaszkę australską.

Tak więc oba fragmenty, i Cannstattski i Neanderthalski, nie mogą się wylegitymować ze swej starości, oba nadto są patologiczne, a tem samem nie nadają się do żadnych teoryj.

J. Nuckowski.

Listy australskie polskiego emigranta [1].

Marsylia, 16 października 1885.

Od dziś za dni pięć, tj. 21-go t. m. o 12-tej w południe, ruszam w świat, do Australii (Sydney). Jak się to stało? sam nie wiem, prócz, że są jeszcze dobrzy ludzie na świecie i że dzięki modłom Waszym, łaska Boża tuż nade mną. Pieniądze na drogę dał mi człowiek, który mię dwa razy w życiu widział, temu tydzień, i z którym szczerze a otwarcie godzinę pogawędziłem. Pieniądze mi nietylko dla mnie pożyczył, lecz dał tyle, że jestem w stanie M. ze sobą zabrać. Przyje-

[1] Listy te pisane przez jednego z polskich emigrantów w Australii, do najbliższej rodziny, ogłaszamy tu bez żadnych zmian, opuszczając tylko niektóre ustępy odnoszące się do spraw i kwestyj czysto prywatnych.

chawszy do Sydney, złamanego szeląga mieć nie będziemy, ale *se nam ne perwszyna, daść Boh, jakoś to bude*[1]. W Nim nadzieja!

No, i nie jadę ja tam tak całkiem „na rozdobędę"; mam w zanadrzu interesik złoty, który może się udać przy pracy. Zrobiłem, na nieograniczoną liczbę lat, kontrakt z fabryką wyrobów heliograficznych Squadrilli et C^ie^ w Marsylii, mocą którego mnie tylko jednemu przysługa prawo sprzedaży ich wyrobów w całej Australii i Nowej Zelandyi, i nikt bez mego zezwolenia, nawet fabryka, wyrobów tych sprzedawać tamże nie może; przytem, ja się do niczego nie zobowiązuję. Nie wiem, czy Matula pojmuje, jaki to może być interes świetny, jeśli się wyroby przyjmą i klientela będzie. Przysługa mi także prawo sprzedania lub ustąpienia całego kontraktu, lub dania pozwolenia na pojedyńcze prowincye. Jednem słowem, interes może być taki, że jeśli się wyrobów rocznie rozejdzie za 20.000 lub więcej, to ja mogę tyleż zarobić, gdyż jako jedyny *concessionnaire*, ja będę cenę naznaczał. Uda się lub nie — próba nic mię kosztować nie będzie. Pieniądze pożyczone mam zwrócić za nieograniczoną liczbę lat, tj. wtedy gdy będę w stanie.

...Czas krótki, a ja tyle mam roboty, że doprawdy nie wiem *wo mir der Kopf steht*, i dlatego proszę Matuli Ignacemu napisać, by się zabrał do języka angielskiego, bo to więcej niż prawdopodobne, że mu pewnego pięknego poranku, może za rok, za dwa, pieniądze na drogę przyszlę, by mógł do Sydney przyjechać. Niech seryo o tem pomyśli i szczerze do nauki się zabierze; w każdym razie na nauczeniu się czegoś nie straci.

A teraz proszę mię przeżegnać krzyżem na drogę i do widzenia, a przedewszystkiem nie kłopotać się o mnie; taki „długi i wyrośnięty" jestem, że chyba nie zaginę. Proszę sobie pomyśleć to, com ja sobie powiedział: „Albo coś wart, to wypłynie, albo nic nie wart, to niech zginie", bo darmozjadów i nicponi dość na świecie...

Port-Saïd, „Océanien", 26 października 1885.

Z Marsylii pisałem już, że jestem na wyjezdnem z Europy; otóż wyjechałem dni temu już pięć. Pisałem, żem znalazł poczciwego człowieka co pieniądze na podróż mi dał, właściwie pożyczył za poręką d-ra Piotrowskiego, który razem z nami jedzie, by, jak sam mówi: nas tam umieścić i spokojnym być o los nasz...

---

[1] Wyrażenie ukraińskie, skąd autor listów tych rodem.

Jedziemy trzecią klasą; bardzo nam tu dobrze dzięki jeszcze doktorowi, który robi co może, by nam podróż wygodną i przyjemną uczynić. Prócz doktora i nas Polaków jedzie jeszcze pani C.....ska z boną Niemką i trojgiem dzieci do męża do Sydney; miła kobieta, Belgijka z domu, lecz się już po polsku mówić nauczyła. Zapominam jeszcze o jednym. Neumark, Polak z Warszawy, młody człowiek, jest na statku aptekarzem przy d-rze Piotrowskim; tak, że nas tu Polaków kolonia prawie i to w skrajnych klasach: pani C., dr. Piotrowski i pan Neumark w pierwszej, my w trzeciej.

Będę dalej w kształcie dziennika pisał dzień po dniu.

21 października. Wyjechaliśmy o $4^1/_2$, zamiast, jak się to zwykle dzieje i tym razem stać miało, o 12-tej, z powodu iż kotwica statku za mocno na dnie uwięzła i że jej wyrwać nie można było. Czas bardzo burzliwy, wiatr „Mistral" dmie silnie, fala bardzo duża statkiem mocno kołysze. Dużo ludzi chorych, na obiad o szóstej nie przyszło; ja zdrów, jem ze smakiem, choć głowa się trochę kręci. Noc przebyłem bardzo złą, z powodu, że kajuta maleńka zapełniona dziewięciu łóżkami wązkiemi, po trzy jedno na drugiem. Jest nas w niej osób siedm. Ja śpię w jednem ze środkowych łóżek. Z powodu wzburzonego morza okienka *(les sabords)* pozamykane, przez to upał i duszący brak powietrza, który mię ze snu zbudził. Wstałem, włożyłem płaszcz i buty i wyszedłem na pokład. Noc jasna, wszystko uśpione, prócz statku raźno się posuwającego po spienionem i burzącem się morzu, wysyłającem od czasu do czasu wysłańców swoich w kształcie białych, spienionych bałwanów, które przód pokładu okrętu zalewały i majtków chodzących na straży. Chodziłem po pokładzie mocno poruszony, zdawało mi się słyszeć ciągle głos jakiś szepczący mi do ucha: „nie powrócisz". Tak mię to rozegzaltowało, żem począł głośno do siebie mówić i odpowiadać tajemniczemu głosowi. Przepędziłem tak godzin ze dwie, wreszcie uspokojony zeszedłem, i położywszy się na ławce w sali jadalnej, usnąłem.

22 października. Wstałem o 6-tej z rana; dano mi kawy — bardzo licha, gdyż trzecioklasowcom nie dają świeżego mleka, od krów będących na statku, tylko mleko kondensowane, i konserwowane w puszkach blaszanych. — Opływamy Korsykę; wiatr przycicha, fala jeszcze duża, płyniemy bezustannie. O 10-tej śniadanie całkiem dobre, o 6-tej obiad, o 9-tej szklanka herbaty.

23 października. Jedziemy cały dzień wzdłuż Włoch ku cieśninie Messyńskiej. O 5-tej wjeżdżamy w nią. Nic ładniejszego wyobrazić

sobie nie można, jak widok, który się nam przedstawia. Jedziemy środkiem, po lewej stronie Włochy, po prawej Sycylia. Cieśnina tak wązka, że w Messynie ludzi na ulicy widać. Przejeżdżamy między Scyllą i Charybdą. Syren śpiewających już niema i nikt ze statku w morze nie skoczył. Zapominam powiedzieć, żeśmy przedtem minęli wyspy Liparyjskie, i bardzo blizko koło parą buchającego przejechaliśmy Stromboli. Włochy nikną w oddali — żegnaj nam lądzie europejski!

24 października z rana. Wczoraj pożegnaliśmy stały ląd europejski, — może na zawsze!? Dziś wieczór ujrzymy jeszcze z daleka Kretę z górą i jeziorem Ida, pełnem podań o boginiach; ostatnia to dla nas wyspa europejska.

Wczoraj po obiedzie wyszedłem był na przód statku i patrzyłem na niknący w dali ląd. Byłem sam jeden z mojemi myślami i mimowoli zaśpiewałem sobie pieśń pożegnania z „Emigracyi chłopskiej“ Anczyca:

Płynie Wisła, płynie, polami szczeremi,
Już my nie ujrzymy tej rodzinnej ziemi,
Ani wioski naszej, ni kościołka z wieżą,
Ni tego cmentarza, kędy nasi leżą!

Po południu słońce nam porządnie dopiekać poczęło; porozpinano nad statkiem namioty.

25 października. Przepływamy koło Krety, zrywam się, lecę na pokład. Pośpiech ten kosztuje mię 11 franków, gdyż wiatr porywa mi kask jedwabny, na podzwrotnikowe słońce w Marsylii kupiony. Wszystko koło mnie wesołe, śmieje się z mojego wypadku, ja zły do kajut wracam, wpisuję to w list, i do angielskiego się zabieram.

26 października. Dziś kołó 2-giej będziemy w Port-Saïd, gdzie list ten oddam na pocztę. Zatrzymamy się kilka godzin, lecz ze statku schodzić podobno nie będziemy, z powodu, że jedziemy z zapowietrzonej Marsylii.

Port-Saïd, 26 października 1885.

Piszę, pomimo żem dopiero co list na pocztę oddał, dalszy ciąg; by, jeśli można będzie, ze Suez wysłać.

26-go o godzinie $1^1/_2$ po południu ujrzeliśmy, po dwudniowej jeździe bez innego widoku jak niebo i wodę, płaski, piaszczysty brzeg afrykański z leżącym na nim Port-Saïd. Przypomniał mi budową i po-

łożeniem swoim Skwirę [1] od strony zjazdu ku grobli z Jerczyk [2], z tą tylko różnicą, że domy trochę większe i mniej zieloności.

Morze z daleka nam już ląd afrykański zwiastowało, stając się z ciemno-sinego coraz bardziej brudno-żółtem. Stada mew, skowronków i małych rybek latających. O godzinie 2-giej wjechaliśmy w początek kanału, który się już daleko w morzu, tutaj płytkiem, zaczyna. Kanał szeroki na sążni mniej więcej 50.

Zarzucają kotwicę, stajemy o jakie dziesięć kroków od brzegu. Nikomu nie wolno zejść na ziemię przed wizytą miejscowego lekarza i bez tegoż pozwolenia. Wszyscy z niecierpliwością przybycia jego czekają, tłok na okręcie wielki, wszyscy z kajut na pomost wyszli, a jest nas 400 przeszło osób z załogą. Jedni twierdzą że będzie można zejść, inni że nie, tworzą się zakłady. „Ah!“ okrzyk zadowolenia ze wszystkich ust. Łódka odbija od blizkiego brzegu, żółta na niej flaga; siedzi tam czterech wioślarzy, jakiś jegomość młody jeszcze, w fezie, z wachlarzem w ręku, nad nim Murzyn czy Arab parasol rozpięty trzyma. To jest ów długo oczekiwany lekarz. Już są przy statku. Dr. Piotrowski przyjmuje ich i raport zdaje, jakoteż wręcza *patente de santé*, biorą ją, ale nie ręką, lecz szczypcami — czytają: „W Marsylii od czasu do czasu są jeszcze wypadki cholery“ — zwracają patent również szczypcami i oddalają się.

Schodzić nie wolno, statek na kwarantannie! Wyciągnięto na środkowy maszt żółtą flagę; z jednej i z drugiej strony pilnują nas łodzie egipskie. Nabieramy węgla; jutro rano ruszymy dalej w kanał ku morzu Czerwonemu, ku Oceanowi, ku Australii!..

27 października. O $7^1/_2$ z rana ruszyliśmy dalej; płyniemy tak wolno, że jeśli się nie patrzy na niknące brzegi, to zdaje się że okręt stoi. Kanał zbudowany w puszczy piasczystej, konicznie, głębokość środkowa 10 m. Okręt nasz (dwukominowy) płynie 7 m. w głąb wody. Co 7—8 km. są stacye, miejsca trochę szersze i głębsze, gdzie okręty przystają, by się wyminąć z płynącemi w przeciwnym kierunku. W pierwszej zaraz stacyi zatrzymano okręt nasz, przyciągnięto go do brzegu, robiąc przez to drogę pięciu innym ku Europie płynącym. Po obu stronach kanału puszcza, prawdziwy „obraz nędzy i rozpaczy“, ani trawki, ani drzewka — nic. Wiatr chłodny nam od strony Europy

---

[1] Skwira, powiatowe miasteczko w gub. kijowskiej.

[2] Jerczyki, dawniej własność ks. Wilhelma Radziwiłła, syna ks. Aleksandra Radziwiłła, skonfiskowane w 1864 r. przez rząd rosyjski.

wieje i z pustyni piasek drobny niesie. Co chwila widać rozmaite *fata morgany*, i tak, raz góry, drugi raz jezioro z oazą lub znowu miasto jakie.

28 października. Nocowaliśmy w kanale, gdyż z powodu jego wązkości, płynąć można tylko we dnie. Zatrzymaliśmy się byli koło jednej ze stacyj; całą noc pilnowało dwóch Arabów z dubeltówkami, by nikt na ziemię nie zszedł. Kilka arabskich dzieci po brzegu biega, prosząc by im jałmużnę rzucono, *bakczysz*. Ruszyliśmy późno, bo dopiero o 8-mej z rana. Musieliśmy wyminąć znowu pięć statków. O $9^1/_2$ wjechaliśmy na duże jezioro; tu zaczęto dawniej roboty kanałowe. U wejścia do jeziora, nad kanałem, jeszcze stoi dom Lesseps'a, zwany *le chalet de Lesseps*, rodzaj domku szwajcarskiego. Nad jeziorem cudna oaza powstała lat temu 20, gdy sprowadzono z Nilu wodociągami słodką wodę dla robotników, pracujących przy budowie kanału; w niej pałac zwany „Cesarzowej", i miasto Izmailia. Pałac ten wybudowany i darowany cesarzowej Eugenii przez wice-króla Izmaila, przez nią darowany jednemu z panujących książąt niemieckich, wreszcie odkupiony przez Lesseps'a, dziś do niego należy. Przed jeziorem, teraz już i za niem, jest trochę wegetacyi, po większej części rodzaj „bodiaków", blado zielonych, prawie zeschłych; nad brzegami kanału gdzieniegdzie trochę sitowia.

O 10-tej wjechaliśmy z jeziora do kanału. Poszedłem do kajut na śniadanie; gdym o 11-tej wyszedł, znalazłem, że jesteśmy znowu na ogromnem jeziorze, po którem płyniemy z wielką szybkością. W dali widać sine grzbiety gór; są to brzegi morza Czerwonego, przez które, jak niegdyś Mojżesz Żydów, tak nas dziś dr. Piotrowski prowadzi.

Zatrzymamy się parę godzin w Suez; schodzić oczywiście dla kwarantanny nie będziemy, ale list oddać na pocztę z pomocą doktora będzie można. Będę się starał dostać kask jaki, bo do morza Czerwonego a potem pod Równik jest niezbędnym. Jest na statku kos ładnie śpiewający, uczę go śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła"; dobrze nam idzie, gdyż uczeń pojętny.

Aden, 1 listopada 1885. Na statku „Océanien".

28 października wysłałem list ze Suez, gdzieśmy także z powodu kwarantanny statku nie opuszczali. Nocujemy w zatoce, jutro ruszamy dalej. Nazajutrz o 7-mej z rana statek ruszył, płyniemy po trochę wzburzonem morzu. Po obu stronach widać brzegi górzyste i skaliste bez najmniejszego znaku roślinności.

Przejechaliśmy przed chwilą miejsce, w którem Żydkowie przez morze przechodzili bez zamoczenia nóg, co widząc Egipcyanie i król ich Faraon myśleli, że i im się to uda! Jak się skończyła próba — wiemy. Po prawej stronie w Azyi, nad morzem, puszcza, po której błąkali się Izraelici wyszedłszy z niewoli egipskiej, na jej krańcach łańcuch gór, z górą Synai i skałą, która za uderzeniem laski natchnionego Mojżesza, wodę wydała.

30 października. Noc całą prawie bezsennie spędziłem. Wieziemy majtków do Madagaskaru; kilku z nich pod działaniem trunku długo w noc krzyczało i biło się między sobą. Panika powstała wielka, wszyscy z kajut do sali wspólnej wybiegli; niektórzy, zwłaszcza kobiety, myśląc, że się topimy, krzyczeć i hałasować pomagały.

Jesteśmy na pełnem morzu, brzegów nie widać; wiatr ustał, morze jak zwierciadło gładkie; upał okropny dokucza, rozpływamy się wszyscy. W kabinach 32° ciepła.

31 października. Upał dziś jeszcze większy, nietylko pisać, ale myśleć nie daje. Zawsześmy jeszcze na pełnem morzu.

Maurice, 13 listopada 1885. Na statku „Océanien".

Odebraliście już pewno list mój z Aden pisany, w którym obiecałem w dalszym ciągu podróż opisywać; niestety, nie mogłem, bom dostał był jakiejś febry, która mię dni kilka męczyła. Zażywałem chinę i dziś mi już dobrze, lecz to przerwało mój dziennik. Po wyjeździe z Maurice, postaram się go uzupełnić i resztę podróży już ze Sydney opowiem. Tu dodam tylko, żeśmy w Adenie i Bourbon kwarantanny już nie mieli, schodziłem zatem ze statku i okolice te oglądałem. Jutro zejdę także w Maurice. („Paul et Virginie" tu mieszkali).

Zrobiliśmy do dziś przeszło 1600 mil, zatem pół drogi; zeszła dobrze, — spodziewamy się, że i druga połowa bez wypadku się skończy . . .

Druk ukończony 28 września 1893 r.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

I. WŚRÓD RODZINY.

Między liczną drużyną Ormian, którzy w Polsce znaleźli przytułek i drugą ojczyznę, występuje na jaw pod koniec siedmnastego wieku ród Antoniewiczów. W pierwszych zaraz latach po założeniu Stanisławowa przez Jędrzeja Potockiego, odnajdujemy tu — niewiedzieć bliżej skąd przybyłego — Antoniego Antoniewicza z żoną Małgorzatą. Młodszy ich syn, Dominik, został księdzem i umarł (1795 r.) jako kanonik lwowski obrządku ormiańskiego; starszy, Jakub, pozostawił dzieciom: ośmiu synom i dwom córkom, piękny majątek; nadany, a dokładniej mówiąc, potwierdzony przez cesarza Józefa II., herb Bołoz; i co najważniejsza, dobre, czci powszechnej zażywające imię. Trzeci z rzędu, między synami Jakuba, Józef Antoniewicz, doktor obojga praw i krajowy adwokat we Lwowie — *advocatus universalis*, jak go tytułowano wedle przyjętej podówczas terminologii — wszedł w związki małżeńskie z Józefą Nikorowiczówną, pochodzącą również z ormiańskiej, z dawna z Antoniewiczami zaprzyjaźnionej rodziny. Młoda para mieszkała we Lwowie, gdzie Józefa zatrzymywały obowiązki obranego przez siebie zawodu, i tu kolejno przychodziły na świat: córeczka Albina, Karol, któremu następne kartki poświęcone być mają; i wreszcie druga córka, najmłodsza Katarzyna.

Karol urodził się 6 listopada 1807 r. we Lwowie, w domu na ulicy Ormiańskiej, zwanej dawniej Wyższą Ormiańską. W trzy dni później, 9 listopada, otrzymał sakrament Chrztu św., a zarazem, stosownie do zwyczaju przyjętego w obrządku ormiańskim, i sakrament Bierzmowania. Obydwóch tych sakramentów udzielił mu ówczesny prałat i proboszcz katedralny, późniejszy, głośny z świątobliwości i rozumu arcybiskup ormiański Samuel Cyryl Stefanowicz. Na chrzcie dano dziecku imię Karol; na bierzmowaniu Leonard, dlatego bez wątpienia, że Kościół uroczystość tego świętego 6 listopada obchodzi.

O dziecinnych latach Karola, nic ściślej określonego powiedzieć nie możemy. Czy był grzecznem, uprzejmem chłopięciem, małym „cherubinkiem“, zasługującym na same pochwały i pieszczoty; czy figlarzem i psotnikiem, dającym się dotkliwie we znaki domownikom i rodzinie? Sam nasz bohater w listach swych i pismach nie odpowiada nigdzie wyraźniej na te pytania; nie odpowiadają i inni, tem bardziej że w tym czasie bardzo tylko niewielu pamiętać i znać go mogło, ponieważ przezorny Józef Antoniewicz, lękając się dla rodziny zmiennych kolei ciągłych wojen, których cała Polska była długie lata widownią, wyprawił żonę z dziećmi na stałe mieszkanie do Wiednia. Jeżeli już we Lwowie niemiecki język był w domu „generalnego adwokata“ poniekąd domowym, to w Wiedniu miał mały Karolek sposobność, bardziej się jeszcze w nim wprawić i wyćwiczyć; owszem wyćwiczył się tak bardzo, że późniejszy mistrz i najgorętszy miłośnik i obrońca polskiego języka, pisał i mówił lat niemało, z pewną predylekcyą a bodaj i z większą łatwością, po niemiecku, niż po polsku. Kiedy dużo później wracał myślą do dziecięcych tych wspomnień, do wiedeńskich czasów, opiewał je w rzewnym i pięknym, ale po niemiecku napisanym wierszu:

Dunaju, Dunaju!
Tam, na twym cudownym brzegu,
Daleko — w niemieckim kraju,
Spłynęły mi młode lata;

Bez troski płynęło życie,
Gdy w ramionach matki dziecię
Spoczywało słodko, cicho[1].

Dopiero po zupełnem ustaleniu się stosunków, prawdopodobnie już po wiedeńskim kongresie, wróciła matka z dziećmi do Lwowa. Potrzeba teraz było pomyśleć o systematycznem wykształceniu dzieci. Po namysłach i naradach zdecydowali się rodzice przyjąć na domowego nauczyciela niejakiego Krogulskiego, który też istotnie, mimo bardzo jeszcze młodego wieku, zupełnie dobrze z zadania swego się wywiązał. Pod jego opieką przeszedł nasz Karol kolejno niższe klasy i ukończył — ówczesnym zwyczajem — kursa retoryczne i filozoficzne. Rokrocznie zdawane publiczne egzamina świadczyły wymownie, że jak mentor, tak uczeń nie tracili czasu i że domowa ta nauka przynosiła co najmniej te same owoce, które mogłoby było przynieść uczęszczanie do szkół publicznych. Razem z bratem słuchała wykładów Krogulskiego i pilnie z nich korzystała młodziutka Kasia. Zdolna to była, bardzo pojętna dziewczynka, i Karol musiał nieraz porządnie fałdów przysiedzieć, żeby nie dać się jej prześcignąć w greckich deklinacych i konjugacyach, w szybszem recytowaniu — mniejsza o to, czy i z jakiem zrozumieniem rzeczy — dyalektycznych formułek. Później dopiero, kiedy brat uczęszczać zaczął na wydział prawniczy, nie mogła już Kasia przenieść walki i na to pole, i zrzec się musiała dotychczasowych turniejów, a bywało, że i trofeów.

Do r. 1818 przebywała cała rodzina stale we Lwowie. W tym roku ojciec Karola, od dawna nie zupełnie zdrów, tak na siłach podupadł, że zrzekł się stanowczo adwokatury i przeniósł się na mieszkanie do wniesionego sobie przez żonę ma-

[1] Donau, Donau!
Ach! an deinem schönen Strande
Floss die Kindheit schnell dahin,
Dort — im deutschen Vaterlande,
Schwärmte unbesorgt mein Sinn,
Als ich ohne Schmerz und Harm,
Ruht' ein Kind im Mutterarm!...

jątku: Skwarzawy. Wieś ta leży tylko o cztery mile od Lwowa; nietylko więc w lecie, w wakacyjnej porze, ale i w zimie, łączyła się raz po raz ze sobą skwarzawska ze lwowską kolonią; w zimie ojciec częściej zaglądał do Lwowa, w lecie matka z dziećmi używała świeżego powietrza i wytchnienia w Skwarzawie. Wzajemne te, miłe, głęboko w sercu Karola zapisane odwiedziny, przerwał ciężki cios: śmierć ojca, która nastąpiła 23 marca 1823 r.

Śmierć ta, smutne chwile pogrzebu w Skwarzawie, gdzie złożone ojcowskie zwłoki koło miejscowej cerkwi, wywarły na głęboko czującem sercu szesnastoletniego Karola wielkie wrażenie; zrozumiał, że nowa epoka w życiu przed nim się otwiera.

W wiele lat później tak sam malował ten przełom w swem życiu, nurtujące naówczas w głębi duszy myśli i plany, rodzące się w sercu uczucia [1]:

„Wesoło jak ptak w powietrzu, swobodnie jak ryba w wodzie żyłem do szesnastego roku życia mego, bez myśli, bez troski, bez obawy i nadziei, uczuciem szczęśliwego dziecka.

„Jeden dzień odmienił mnie zupełnie: był to dzień śmierci ojca mego; od dnia tego przestałem się śmiać, spoważniałem, osmutniałem bardzo i począłem myśleć: a kiedym trzy dni później pojrzał w grób, do którego zwłoki ojca mego spuszczano, wyczytałem w nim wszystko, zrozumiałem wszystko, życie i śmierć, i to co życie dać może, i to co śmierć bierze. Płakać nie mogłem, ale przestałem sypiać po nocach, a we dnie szukałem samotności. Zdrowie moje poczęło cierpieć; matka moja przeniosła się w tym czasie na wieś i zabrała mnie z sobą, tu rozpoczęło się nowe życie dla mnie.

„Ojciec mój był bardzo surowy, nadzór, pod którym zostawałem, był bardzo ścisły, to wszystko się zmieniło i ustało nagle; osiadłszy z matką na wsi, byłem prawie sam sobie zostawiony, a ta wolność, w której się nagle uczułem, przerażała mnie jakąś

[1] *Dzwonek* t. IV, str. 28 np. Lwów 1851. „Wyjątek z pamiętników. Rok 1823".

obawą. Mieszkałem w osobnej oficynie, miałem kozaczka do usługi i pięknego konika, wolno mi było i chodzić po ogrodzie i po wsi jeździć na koniu; lecz to wszystko czyniłem z obawą i ciągle myślałem o tem, coby ojciec na to powiedział?

„Wychowany religijnie, stałem się nabożnym i wtenczas tylko uczułem jakieś uspokojenie, kiedym mógł być samotnym, kiedym się mógł oddać smutkowi memu, lub kiedym się mógł pomodlić o niezwykłych godzinach i nie przeznaczonych do modlitwy, ale w kościele modlić się nie mogłem.

„Od dzieciństwa lubiłem ogród i kwiatki, bo zamiłowanie to wziąłem od matki mojej. Znałem kwiatów wiele i umiałem je pielęgnować, lecz czyniłem to jak dziecko, nie pojmowałem związku rośliny z naturą, bo wychowawszy się w mieście, znałem tylko ogródek i nie byłem nigdy przez rok cały na wsi i nigdy nie zajęła natura uwagi mojej.

„W ogródku zdało mi się zawsze, że jest tak wiele do robienia. Teraz po raz pierwszy nie czułem potrzeby zajęcia się ogrodem, ale wpatrywałem się z najwyższem zamiłowaniem w te wdzięki pierwszej wiosny, wszystko było dla mnie nowe; pierwszy raz uczułem to, iż bez ręki człowieka wszystko się dzieje w naturze. Nie kwiaty, nie rabaty zajmowały mnie, lecz już drzewa wielkie, lipy i dęby, gaj poblizki i cała rzesza żywych istot, która razem z wiosną budziła się do życia.

„Pierwsza wiosna, pierwsze myśli, pierwsze uczucia, pierwsze smutki, pierwsze przeczucia prawdy.

„Drzewa pękały, sady okryły się kwiatem, nad mojem oknem lepiły jaskółki dwa gniazdka, bocian usiadł na blizkiej stodole, o świcie zawsze tańczyły około węgła oficyny piękne, szybkie łasiczki.

„Wszystko to było dla mnie nowe; chwytałem te pierwsze głosy natury, pierwszem uczuciem serca, wszystkie stworzenia wydały mi się bogobojne. Przed kilkoma jeszcze niedzielami byłem ospały, nagle stałem się czujny i począłem najraniej wstawać w całym domu. Kiedy się wieczór robił, żal mi wyraźnie dnia było, a w nocy budziłem się po kilka razy, patrząc w okno czy nie świta, bom się nie mógł nasycić widokiem zieloności

i tym świeżym oddechem rosy porannej. Drzewa wydawały mi się tak strojne, tak świąteczne, załom każdy konaru tak kształtny, tak dziwnie swobodny. Wychodziłem w pole; pieśń skowronka wydała mi się tak piękną, i nieraz po godzinie przypatrywałem się jak mrówki znaną mi ścieżką szły na robotę w pole, a kiedy się dzwonek wiejski ozwał po rosie, wracałem już zwykle przez wieś do domu.

„Tu znowu inne widoki, dym poranny wznoszący się z chaty, tu i owdzie śpiew porannej modlitwy, skrzętność w podwórku pracowitych ludzi, a czasem zaleciał mnie z chaty zapach rannego pieczywa. Krótkie pozdrowienie, krótkie przywitanie, krótka rozmowa z ludźmi pracy i pokoju, jakieś dziecię co nagle wybiegło z chaty rozśmiało się mile, jakiś piesek znajomy, co się przyłasił, wszystko to napawało serce pociechą i dziwnym pokojem, wszystko to dawało dobrą wolę na dzień cały i w tych dobrych dziejach poranka było tyle nauki, tyle miłości i tyle prawdy, iż dzień cały było już czem zapełnić.

„Matka moja widziała we mnie tę zmianę; smuciła się mym smutkiem, ja byłem bez rzeczywistego zajęcia, a przecież w całem życiu mojem nie byłem nigdy więcej umysłowo zajęty: bo z dobrą wolą przyjmowałem wszystko i brałem w siebie wrażenie świata cierpliwie i pokornie, nie stawiąc niczemu oporu, nie walcząc z niczem.

„Ach! wielkie to szczęście, kiedy człowiek może wiele przyjmować z widoków natury, z prostych wrażeń życia! jest to skarb, który się w dalszem życiu drobną wydaje monetą, jest to zapas na czas posuchy serca, na czas nieurodzaju ducha.

„Nic nie zajmowało mnie tyle, co zjawiska napowietrzne, deszcze wiosenne i tęcze; burze z grzmotami majowe; w chwilach takich byłem zawsze pod gołem niebem, z każdem uderzeniem gromu lżej mi było na sercu, a coś czarownego leżało dla mnie w tej burzy, która się srożyła w wielkiem oddaleniu ponad górami lub nikła w coraz cichszych grzmotach na równinach kraju.

„Najbliższym sąsiadem naszym był pan Łowczy, który ledwo o kilkanaście kroków od naszego domu miał dwór swój na baszcie,

otoczony fosami; zabudowania obudwu dworów leżały na wyniosłej spłazinie, która ku wszystkim prawie stronom przechodziła w łąki. Poza łąkami dopiero leżała wioska pod pięknym grabowym i dębowym lasem, i grobla prowadziła do niej od dworu w jednę stronę, a w drugą przepływała droga wyższym poziomem i łączyła się w niejakiem oddaleniu z gościńcem. Widocznie była ta spłazina niegdyś od natury obronną; zwłaszcza kiedy jeszcze łąki ją otaczające były zalane stawami, które już od dawna spuszczano. Czaple i bociany brodziły po tych łąkach, w trzcinach hukał bąk wodny wieczorem, o zmroku ciągnęły stada dzikich kaczek na żer, a nocą wabiły się po łąkach chrześciele i tutaj przysłuchiwałem się po raz pierwszy owemu wiosennemu skrzeczeniu żab, które odtąd z każdą wiosną na nowo przypomina tę samotną wioskę pod laskiem i pierwsze obudzenie moje do myśli i uczucia"...

Myśl i uczucie budziło się, a jednocześnie zdrowe, wiejskie powietrze krzepiło i wzmacniało nadwątlone zdrowie używającego całą piersią wiejskich przyjemności i wiejskiej poezyi młodzieńca. Matka, widząc upodobanie syna w kwiatach, drzewach, roślinach, uczyła go praktycznie, jak z którą obchodzić się należy; wespół z nim przyprowadzała do porządku nieco zaniedbany ogród; z myślą o nim, jako przyszłym dziedzicu Skwarzawy, sadziła własną ręką wspaniałą modrzewiową aleję, po dziś dzień najpiękniejszą, z daleka widną ozdobę skwarzawskiego dworu. Jednocześnie, zawsze z pomocą wiernego Krogulskiego, nie zaniedbywał Karol i nauki, tak, że gdy pod jesień r. 1824 powrócił z matką i siostrami do Lwowa, mógł już od razu, starej rodzinnej tradycyi się trzymając, uczęszczać na wykłady prawa. Inna rzecz, czy wykłady te bardzo go zajmowały? Niejedną podobno godzinę, zamiast grzebać w starych kodeksach, poświęcić wolał nauce języków, do których miał szczególną chęć i łatwość; niejedna godzina przeleciała mu, sam nie wiedział jak i kiedy, przy ulubionym fortepianie, lub na samotnych przechadzkach po lesistej okolicy Lwowa; po niewygodnych wówczas, spadzistych ścieżynkach „Wysokiego Zamku". W czasie

jednego z samotnych tych spacerów, podjętych w mroźny dzień zimowy, posłyszał nagle jakiś jęk i płacz, dobywający się jakby z pod ziemi. Idąc za tym głosem, odnalazł w pewnego rodzaju z gałęzi i kamieni uformowanej pieczarze maleńkiego chłopczyka, paru ledwie łachmanami pokrytego, zsiniałego, drżącego od zimna i głodu. Karol nie pytał, kto i dlaczego biedne dziecko tutaj zostawił, skazując je na śmierć nielitościwą, ale chwili się nie namyślając pochwycił je w swe ramiona, okrył własnym płaszczem, odniósł do domu i oddał matce swej w opiekę. Poczciwa matka ucieszyła się szczerze z tego postępku syna; uratowany od śmierci sierota pozostał już stale w domu Antoniewiczów, a sam Karol, jako pierwszy jego naturalny opiekun, zajął się udzielaniem mu niezbędnej nauki: czytania, pisania, katechizmu.

Miłosierne uczynki nie przeszkadzały rozwijać się poetycznej wenie i składać hołdy muzom — aby wyrazić się stylem współczesnej epoki; hołdy te znowu godziły się, i co istotnie dość dziwne, wcale dobrze godziły się z pilnem wertowaniem starych i nowych, łacińskich i niemieckich prawnych kodeksów. W zimowych, może w wiosennych dopiero miesiącach 1827 r.[1] zakończył nasz poeta-prawnik uniwersyteckie studya, *cum eminentia et eximia laude,* jak lakonicznie donosi o wiele późniejsza notatka.

Po natężającej pracy należało się trochę rozerwać; należało dla dopełnienia teoretycznych nauk, światu się trochę przypatrzyć, ludzi poznać. W tym celu, po paru zaledwie tygodniach spędzonych na miłym odpoczynku w Skwarzawie, wyprawiła matka drogiego swego Karola do Wiednia. Niewiele wiemy o tej wycieczce, która prawdopodobnie parę miesięcy zajęła. Między innymi młody Antoniewicz poznał w Wiedniu głośną wówczas powieściopisarkę, Karolinę Pichler, a jaką cześć powziął dla jej osoby i talentu, to pokazuje się z niemieckiego wiersza, w którym w parę miesięcy później dedykował jej pierwszy swój zbiorek — tym razem już polskich — sonetów. „Choć w obcej ci mowie,

[1] Dokładniejszej daty i jakkolwiek dokładniejszych szczegółów w tym kierunku podać niepodobna, z powodu zaginięcia odnośnych aktów uniwersyteckich, w czasie zamieszek i bombardowania Lwowa w r. 1846.

tłumaczy się, pieśni te wyśpiewałem, nie wzgardzisz przecież tym słabym znakiem wdzięczności za kilka tych godzin, zbyt krótkich, niestety! które mi u ciebie tak mile spłynęły!“ [1] Innego rodzaju, niemniej zapewne miłe, ale zarazem potężne wrażenie wywarła na umyśle młodego poety, wspaniała postać młodego jeszcze wiekiem, ale pochylonego już ku grobowi nieszczęściami, ranami i więzieniem, bohatera greckich walk o niepodległość, potomka greckich cesarzów, Aleksandra Ypsylantego. Kiedy Antoniewicz poznał go w Wiedniu, nie domyślał się, że za kilka miesięcy otrzyma smutną wieść o zgonie greckiego księcia i w żałobnej elegii opiewać będzie jego miłość ojczyzny, męstwo, bolesne wygnanie:

Zgasła twa gwiazda, ach, zgasła na wieki!
Zginął od brzegów ojczyzny daleki
Ten co na czele mieszkańców Mołdawy
Wskazał Helenom pierwszy drogę sławy...
Padł Ypsylanty nie na polu chwały!..
Laur nie okwiecił bohatera skroni,
W łzach i rozpaczy spędzał dnie w żałobie;
Cudzy go naród w zimnym złoży grobie,
Helas strętwiałej nie ściśnie mu dłoni.
Przywdziej żałobę, przywdziej Grecyo cała,
Burza szczyt lauru twojego złamała [2].

W przejeździe z Wiednia, czy do Wiednia, zatrzymał się Karol pewien czas w Krakowie, i dobrze bawić się tu musiał, kiedy jeszcze w 20 przeszło lat później przypomina w liście do jednej z kuzynek „wesoły pobyt w wesołym Krakowie“. Obowiązkowa, jak dzisiaj tak wówczas, wycieczka na Bielany, nasunęła poważniejsze myśli, natchnęła znowu poetycznie nastrojonego młodzieńca do pochwycenia za wieszcze, wciąż jeszcze —

[1] In einer fremden Sprache hab' ich jetzt gesungen.
Doch Lieder sind mit Tönen zu vergleichen,
Die aus dem Schosse der Natur erklungen.
Verschmähen wirst du nicht dies schwache Zeichen
Der Dankbarkeit für jene wen'gen Stunden,
Die mir so schön bei Dir dahingeschwunden.
(An Caroline Pichler, geborene Greiner).

[2] „Z elegii na skon Ypsylantego“.

co prawda — swemu panu nie zawsze i niezupełnie posłuszne pióro :

Burzą zdradliwą po morzu miotany
Chcesz port pewny znaleść, uchodź na Bielany!...
Echo o jednej trącone godzinie,
Przerywa ciszę i po skałach ginie.
Tęczą nadziei niebieskie sklepienie.
Tam nieraz serca wznosi się westchnienie;
Oko na jasnym spoczywa błękicie,
Gdzie wiara lepsze zapowiada życie.

Tymczasem nie spieszno jeszcze było młodemu żeglarzowi uchodzić na Bielany; ledwie wrócił z Wiednia, ze Krakowa, a już zasmakowawszy w podróżach, układać zaczął z stryjecznym bratem swym Mikołajem plan wspólnej wycieczki na Multany. Mieszkała tutaj rodzina wcześnie zgasłej matki Mikołaja, z domu baronównej Mereczaj de Capri. Podjęta wycieczka miała mieć zatem na pierwszym celu odwiedzenie nieznanej, lub prawie że nieznanej familii, a przy tej sposobności i zapoznanie się z krajem, tak dla Polaka, znającego historyę swej ojczyzny, w szczególności jeszcze dla Ormianina, ciekawym [1]. Sam wędrowiec w barwnych, rzekłbyś ze Wschodu zapożyczonych, kolorach podróż swą maluje [2]:

„Był to dzień dżdżysty i pochmurny, dzień jesienny z szaremi chmurami, z żółkłym liściem po lasach, z smutnym szmerem brudnych potoków, z tęsknym i żałosnym szumem wiatrów, kołyszących wyschłą paproć i wywiędłe kwiatów badylki; był to dzień listopadowy, gdy stojąc na ganku schludnego mieszkalnego domu Bosańczy, witałem wschodzące słońce w smutnem milczeniu, któremu jednotonne, ostre gwizdanie ptaków jesiennych wtórowało: bo słaby i blady promień, życiem i ogniem martwej

[1] Nie chodziło tu jednak bynajmniej, jak sądzą niektórzy, a między nimi i Speil w niemieckim życiorysie O. Antoniewicza, o źródłowe jakieś studya nad historyą ormiańską. Na to bawił Karol w Multanach o wiele za krótko; nadto nie znał języka ormiańskiego, bez którego o spisaniu takiej historyi ani myśleć nie mógł; a co najważniejsza, nigdzie, czy w listach, czy w pismach Antoniewicza nie odnajdujemy śladu tego rodzaju projektu.

[2] „Jeden dzień życia mego". *Słowianin,* tom II, str. 52. Lwów, druk P. Pillera. 1839.

nie rozgrzewał natury. Po pierwszy raz wędrowałem w cudzą, nieznaną krainę, a dzień wyjazdu mego był tak mglisty i smutny, iż pomimowolnie w duszę moją wkradło się jakieś przeczucie, że i wędrówka moja taką będzie; a myśl ta wypłoszyła z niej radość, wierną i nieodstępną dotąd towarzyszkę we wszystkich podróżach moich. Oko, w ciemną oddal wytężone, napróżno za pomocą wyobraźni wyszukiwało obrazów, nowości i powabu, za któremi dusza w młodocianym wieku, tak niespokojnie, tak gorąco goni. Jako w mgłach jesiennych cały otaczający mnie krajowid, tak w łzach cała, ciemna kryła się przyszłość. Chciałem czem prędzej wyjechać, rzeczy już były popakowane, konie już założone, lecz nie mogłem się oprzeć prośbom pani domu, która przed śniadaniem wypuścić mnie nie chciała. W pięknej, jadalnej sali, przy okrągłym stoliku, w gronie kilku przyjaciół i domowników, smutek wesołości ustąpić musiał, a pełna melodyi i żalu pieśń ulubiona pięknych Mołdawianek: *Kyt mi di użyt*, pięknym odśpiewana głosem, była dla mnie śpiewem wabiącym w nieznaną, pełną poezyi i wspomnień krainę!

„Historya księstwa Multańskiego, jest to morze spokojne, z którego łona poeta, jako śmiały nurek, drogie perły wyłowić może!

„Z oddźwiękiem tej pieśni w duszy wyjechałem z Bosańczy. O pół mili leży piękna pograniczna wioska Tyskouz na prostopadłem wzgórzu. Żołnierze pod bronią strzegli granicy, a u stóp pagórka szumiała rzeka Suczawa, Bukowinę od Multan dzieląca. Tu mnie wstrzymano dla przejrzenia paszportów. Z zahamowanem kołem zjechaliśmy prosto w rzekę, w której środku stanąć kazałem; jeszcze raz rzuciłem okiem na żyzne niwy Bukowiny, które przez mgły się przedzierając, promień słońca z wypogodzonego błogosławił błękitu. Przede mną czarne chmur toczyły się kłęby. W przeszłość życia rzuciwszy okiem, obraz młodości naszej, oświetlony jasnym promieniem niewinnego serca, pomimo łez i mgły, jasno się nam uśmiecha; ale przyszłość, groźnemi zaciemniona chmurami, w których niejeden grom ukryty w serca nasze uderzyć może. Wystrzałem z pistoletu, którym ojczyste pożegnałem fale, spłoszone konie wyskoczyły na drugi brzeg

rzeki, brzeg obcy, nieznany, który echem smutnego nie podzielił westchnienia. Jechałem pomiędzy okiem niezmierzone pola i pastwiska; świerszcz polny w wysokich ścierniach żałośnie się odzywał, a gdzieniegdzie spłoszona ptaszyna z krzaku dzikiej róży wylatywała. W oddali widać było pasące się stada i trzody bydła i owiec, a smutny śpiew pastuchów rozlegał się w powietrzu. Czasem samotny jeździec, w czerwonym wełnianym płaszczu, z podziwieniem przypatrując się nam, wstrzymał konia, bystrem zaświecił okiem i dalej pogonił. Pojedyńcze, rzadko gdzie w oddaleniu widoczne chatki, nosiły na sobie piętno nędzy i spustoszenia. W pośrodku tak bogatej natury, widok nędzy ludzkiej boleśnie duszę przeraża. Ujechawszy długą, smutną przestrzeń, widok pięknej wioski, na małym wzgórku malowniczo rozłożonej, rozjaśnił myśl zasępioną. Pięknemi drzewami wysadzoną ulicą wjechaliśmy do niej przez most murowany, na bystrym przejrzystym potoku, który po lewej stronie drogi z hukiem koła młyńskie obracał; po prawej stronie, w pośrodku pięknie założonego ogrodu, stał pałac i liczne, w pięknym guście postawione, budynki gospodarskie i inne. Rozweselony tym widokiem zajechałem do karczmy na popas. W wielkiej szynkowej izbie wesoły płomień igrał na ognisku, przez wytłuczone szyby wiatrem kołysany. Usiadłszy koło grzejącego ogniska, przypatrywałem się licznie zgromadzonemu towarzystwu, które z uwagą przysłuchiwało się głośno po wołosku rozprawiającemu księdzu, z dzikiem wejrzeniem i długą, czarną brodą. Ujrzawszy mnie, podał dzban z winem siedzącemu obok niego, aby mnie poczęstował i sam po rusku powitał. Od niego dowiedziałem się, iż to wieś nazwiskiem Dombroweni...

„Jednostajną i smutną drogą jechaliśmy dalej.

„Burza silna, deszczem i mokrym śniegiem na nas miotała; gęstwiną lasu przejechaliśmy obok dwóch karczem, znanych za siedzibę rozbójników, a krótki dzień jesienny już się miał ku schyłkowi i zmierzch wieczorny osiadł na całej okolicy. Ciemne mgły w ciemniejsze zmieniły się cienia, a wiatr przeraźliwy i zimny szumiał po gołych błoniach. Tęskno oczekiwałem chwili, którąby mnie w pośrodek ludzi przywiodła, gdziebym przy przy-

jacielskim ogniu kominka, mógł wypocząć ciału i duszy znużonej pomysłową podróżą w krainie wyobraźni, w której tylko o tęskne trącała widma. Drżące światełka ukazały się w oddali, wkrótce i szczekanie psów słyszeć się dało i z radością ujrzałem białe mury Botuszan, jakby posągi grobowe na ciemnym cmentarzu rozłożone. Deszcz w grubych kroplach rzęsisto padać zaczynał, pojazd brnął głucho po niebrukowanych pustych ulicach, które przerzynały drżące wstęgi światła, od lamp palących się w otwartych, na sposób turecki urządzonych sklepach i oświecających ciemne masy domów, podczas gdy wieże kościelne, jako widma nocne ostro w mglistem odcieniały się przestworzu. Stróż nocny w przeciągłych tonach dziesiątą godzinę podług czasomiaru tureckiego wytrębywał. Usłyszawszy gwizdanie przechodzącego, zapytałem o gospodę.

— Gospoda? — powtórzył zdziwiony.

— Han — odrzekłem.

— Han, han, jest ich tu kilka: turecki, grecki, wołoski i żydowski.

— Zaprowadź mię do greckiego; mogęż tam mieć jaką wygodę?

— Han Manueli jest najlepszym w mieście.

— Czy daleko?

— O kilka kroków.

„I prowadził nas brudną boczną uliczką, i wkrótce stanęliśmy przed długim, nizkim budynkiem, z którego okien liczne wyzierały światełka. Szeroka brama wjazdowa z trzaskiem się rozwarła, a długa, blada postać gospodarza z latarnią w ręku, której światło w głębokiej odbijało się kałuży, prowadziła mnie długim, ciemnym kurytarzem do izby na nocleg mi przeznaczonej. Lecz z smutnem podziwieniem ujrzałem się między czterema gołemi, wilgotnemi ścianami, dziura w murze pęcherzem obciągnięta, służyła za okno, a przy ścianie była deska do muru przybita, pokryta matą słomianą, którą gospodarz dywanem nazywał, i na trzech nogach chwiejący się stolik.

— Nie masz lepszego pokoju? — zapytałem gospodarza.

„Podziwienie malowało się na twarzy jego na to zapytanie.

i z ironicznym uśmiechem odezwał się, iż lepszego w całych Botuszanach dostać nie można. Chociaż mi to niepodobnem być się zdawało, nie miałem nadziei lepszego dostać przytułku, i kazawszy rzeczy poznosić, do gościnnej udałem się izby. W pośrodku tejże, z założonemi na krzyż nogami, wokoło dużego, dębowego stołu, siedziało przy wieczerzy kilku przejeżdżających kupców, w malowniczych Wschodu ubiorach. Lampa u sufitu zawieszona, oświetlała bladym promieniem poważne, pełne szlachetnego wyrazu twarze, a w rogu izby stara cyganka, z głową w pąsową chustkę na sposób zawoju obwiniętą, rozdmuchiwała płomień na ognisku. Przybliżyłem się do siedzących; gościnność, cnota wrodzona mieszkańcom tego kraju, nie dozwoliła mi być milczącym dostrzegaczem ich uczty, musiałem usiąść i z uprzejmą grzecznością podano mi pillau z baraniną, mamałygę i szklankę wina wołoskiego. Jeden z siedzących przywitał mnie w języku francuskim. Był to staruszek z długą, siwą brodą, a w oczach jego przygasłych, smutek, spokojność i dobroć się malowały. Doradził mi, abym dla bardzo złej i nieznanej mi drogi, konie moje tu zostawił i dalszą podróż do Jass pocztą odbył. Był to Francuz, stary żołnierz Rzeczypospolitej, który pod Piramidami walczył, od dawna w Bukareszcie osiadły i trudniący się handlem. Lecz po długich latach pracy, tęsknota opanowała duszę jego, która po śmierci żony Greczynki, w stałe przeszła przedsięwzięcie opuścić obcą krainę i na ojczystej ziemi życie zakończyć.

— Teodoro — zawołał pieszczotliwym głosem, a młoda, jak anioł piękna, piętnastoletnia dziewczyna, której w ciemnym zakątku izby siedzącej nie spostrzegłem, przyskoczyła do niego. Bladą jej twarz przeleciał rumieniec, gdy mi ją za córkę przedstawił, a jako kropla rosy na skromnym fijołku, tak łza zabłysła pod gęstemi rzęsami, które jasno-niebieskie ocieniały oko, co w ojca wlepione zdawało się chcieć wyssać smutek z serca jego. Starzec pomarszczoną dłoń w znak błogosławieństwa wsparł na jej głowie, którą złote włosów sploty wieńczyły.

— Oto — rzekł — skarb mój najdroższy, który z tej dzikiej krainy na ojczystą przenoszę ziemię; oby ten pączek miłości

mej w ciepłym promieniu ojczystego słońca w pełny kwiat mógł się rozwinąć. Ona jest żyjącą pamiątką burzliwego życia mego, ona, i tych kilka kwiatów (tu wyjął z zanadrza bukiet zwiędłych trawek), któremi po raz pierwszy wiosna grób towarzyszki życia mego uwieńczyła, są to dwa talizmany, pod których wpływem łódka moja szczęśliwie do brzegów ojczystych przybije.

„Pożegnawszy ich poszedłem do gospodarza, chcąc się rozmówić względem koni pocztowych. On mnie odesłał do aptekarza, sprawującego interesa ajencyi cesarsko-austryackiej w Jassach. Pomimo szkaradnego czasu odważyłem się sam pójść do niego; tem bardziej, żem już był przedsięwziął odwiedzić piękną i miłą baronowę C., w tem mieście zamieszkałą, z którą z zagranicy powracającą, w Suczawie się zapoznałem. Szedłem za milczącym przewodnikiem, który z turbanem na głowie, z krótką fajką w ustach, w zielonym płaszczu na barczystych ramionach zawieszonym, kij w jednej, a latarnię w drugiej trzymając ręce, bardzo malowniczo wyglądał. Ulicami, uliczkami i rozmaitemi zakątkami, dostałem się nakoniec do pomieszkania aptekarza. Pokój, do którego mnie wprowadzono, przedstawiał *tableau de genre*, w smaku Walter-Scotta. Mężczyzna w średnich latach, nizkiego wzrostu, związłej budowy ciała, z szpakowatym włosem krągło obciętym, w zielonych okularach, przez które bystrem strzelał okiem, siedział na sofie, przed okrągłym, dużym stołem, na którym książki, papiery i stosy recept leżały porozrzucane; dwie świece rzucały jasny blask na rumianą twarz, pełną wyrazu wesołości, prostoduszności i dobroci. Przywitał mnie jak najgrzeczniej, a gdym usiadł obok niego, zapytał, czemby mi mógł być pomocnym? Przedłożywszy mu swoje żądanie i podawszy paszport do przeglądnięcia, miałem czas rozpatrzyć się w urządzeniu pomieszkania, w którem bez porządku po sofach, szafach i dywanach stały alembiki, retorty, leżały książki i tym podobne rzeczy, a po ścianach wisiały obrazy przystrojone pawiemi piórami, sztucznie w kity splątanemi, jatagany damasceńskie, kosztownie wysadzone strzelby tureckie, cybuchy z wiśni tureckiej, drogiemi przyozdobione bursztynami.

— Co się tyczy koni pocztowych — rzekł — w tych dniach

przyrzec ich nie mogę, gdyż wszystkie pod transport dla hospodara zabrano, ale o dobre konie furmańskie postaram się panu.

„Po mile spędzonej godzinie, pożegnałem pana Oehlschlagera, który mnie na drugi dzień na obiad zaprosił, i zapytałem mego przewodnika, czy nie wie, gdzie mieszka baronowa C. Kiwnął głową i prowadził mnie długą, ciemną ulicą, a stanąwszy przed dużą, żelazem okutą bramą, drewnianym młotem trzy razy w nią uderzył tak silnie, iż echo jęcząc całą przeleciało ulicę.

— Kto tam tak późno w nocy? — odezwał się niebawem głucho chrapliwy głos.

— Goście.

„Mrucząc zadzwonił odźwierny kluczami i otworzył bramę, która żałośnie na zardzewiałych skrzypnęła wrzeciądzach i olbrzymią porwawszy mnie ręką, przeprowadził przez głęboką kałużę aż pod przyboczną furtkę lewego skrzydła pięknie zbudowanego domu w smaku oryentalnym. Na końcu długiej sieni, blask lampy przez napół przymknięte drzwiczki się wykradał. Stary mężczyzna siedział przy kominku na pięknym bogatym dywanie z założonemi na krzyż nogami i rękami, i w głębokiem zamyśleniu patrzał w kłęby dymu, z długiego rozwijające się cybucha. Przywitał mię poważnie i grzecznie, ale gdym mu oświadczył cel mego przyjścia, zmarszczył czoło i odrzekł zimno: iż baronowa wyjechała do dóbr swoich. Rzęsisto oświetlone okna pierwszego piętra nie dozwalały mi dać temu wiary! Nieznajoma osoba w tak późnej dobie, podejrzenie w nim wzbudzić musiała, które w sercu jego uczucie gościnności stłumiło. Byłem szczęśliwszy dnia następnego. Wracając do hanu, wstąpiłem do kilku otwartych jeszcze sklepów. Szale, dywany, materye tureckie, tytuń, bakalie, cybuchy, fajki, pachnidła różnego rodzaju i t. p. stanowią ważną gałęź handlu tego bogatego kraju i miasta Botuszan. Lecz już i sklepy zaczęto zamykać, pojedyńcze światła gasły po domach, tylko z jednego małego domku, koło którego śmy przechodzili, jasny promień światła szybami się przebijał.

— Co to za domek? — zapytałem przewodnika.

— Jest to grecka *kaffenia* (kawiarnia).

„Było to dla mnie przedziwne odkrycie, gdyż o śnie w mojej

izdebce ani pomyśleć mogłem i nie wiedziałem, co z tak długą począć nocą. Nie zastałem już nikogo w dużej malowanej sali, którą naokoło sofy dywanami pokryte zdobiły, a w jednym rogu był piecyk, na którym kawa w małych blaszanych imbryczkach gotowała się z aromatycznym zapachem, ale gęsta i mętna, dla nieprzywykłego nieprzyjemna do picia. Koło ognia stał mały chłopczyna, który drzemiąc, gasnący rozdmuchiwał płomień, a z fajką w ręku leżał gospodarz *kaffenii* na dywanie rozciągnięty. Milcząc pozdrowił mnie i wskazał na dywan. Kazawszy sobie podać fajkę i kawę, znużony, rozkosznie na miękkie rzuciłem się poduszki. Zamyślona, posępna, milcząca postać gospodarza, który od czasu do czasu przerywał ciszę głębokiem westchnieniem, trzeszczący płomyk, który jak lampa grobowa, w ciemnym migał się pokoju, żałosny szum wiatru, bijącego grubemi kroplami deszczu w dzwoniące szyby, noc ciemna, która jakby kirem grobowym całe miasto powlekła: to wszystko ciemne myśli i marzenia w duszy rozwijało. Po więcej niż godzinnem milczeniu, milczeniu zachwytu i boleści (gdyż i jasne uczucia przebijały się przez ciemne niebo duszy mojej), zapytałem gospodarza o kraj jego rodzinny. Lecz on, jakby ze snu ocknięty, wytężył na mnie oko strwożone, zerwał się z dywanu, przystąpił do kominka, jakby coś z popiołów chciał wygrzebać i bladą twarz chmurami dymu zasłoniwszy, odrzekł:

— Jestem z Grecyi rodem; w pięknem mieście Jassach, do którego pewnie Europejczyku jedziesz, a które niech Bóg na przyszłość od nieszczęść zachowa, miałem domy i sklepy; konie i wozy moje, drogim towarem Wschodu wyładowane, pasmo gór Sylistryi często przeciągały. Byłem bogaty, byłem szczęśliwy, miałem żonę i troje dzieci. — Tu zamilkł na chwilkę.— Turcy domy moje z ziemią zrównali, towar w ogniu spłonął, tylko nędzne wyratowałem życie, które jako ciężar w ubóstwie i smutku dźwigać muszę.

— A dzieci, żona? — zapytałem nieśmiałym głosem.

— Zamordowane.

„To słowo głucho z głębi piersi się wydobywało, a ściśnione

usta wymówiły stłumionem westchnieniem kilka niezrozumiałych dla mnie wyrazów; nie wiem czy przekleństwo, czyli też... modlitwę"...

Tu nagle, jakby wstrzymane strasznym obrazem tych żyjących świeżo w pamięci okrucieństw, urywa się opowiadanie. W Teodoreszty przyjął baron Capri serdecznie miłych gości; w Jassach fetował ich u siebie sam hospodar, książę Ghika. Nowe, dzień po dzień nasuwające się przed oczy obrazy; nie nowe, ale z nową siłą przy patrzeniu na te obrazy odzywające się uczucia, stały się znowu źródłem trzech wierszyków i tym jeszcze razem po niemiecku spisanych. Gdyby sądzić z tych wierszyków, z tych *Reiselieder*, jak je poeta nazwał, to znajdował się nasz podróżnik w czasie pobytu swego w Multanach, w dziwnie melancholicznym nastroju umysłu; to mielibyśmy w tym czasie przed sobą młodego jakiegoś Byrona, na szczęście — choć nie bardzo to jedno do drugiego pasuje — Byrona żarliwego chrześcijanina, gorącego Polaka. Pierwsza piosneczka, pisana na multańskiej granicy, opatrzona jest nawet w *motto* wyjęte z Byrona: *My native land fare well* — „Bywaj mi zdrowy kraju rodzinny"; w drugiej szuka poeta jasnej jakiej ścieżki, któraby go wyprowadziła z ciemnej, ponurej pustyni dotychczasowego życia; w trzeciej wieszczem okiem spogląda w dal, rozdziera zasłonę, ukrywającą tajemnice przyszłości; pyta, a w znacznej części istotnie odgaduje, co mu następne lata gotują. Pełen życia i sił młodzieniec załamuje ręce i woła, jak wołają smętni bohaterowie wszystkich ówczesnych naśladowców angielskiego poety:

Grom uderzył...
Darmom rwał się z ciężkich prób,
Płocho szczęściu jam uwierzył,
Wszystko wpadło, wszystko w grób!

Ale oddawszy ten niezbędny hołd „poetycznej rozpaczy", poeta dźwiga się, pojmuje, że rozpacz do niczego nie prowadzi:

Lecz nadzieja jeszcze błyska,
Ufność krzepi tu człowieka,
A zbolałej duszy srodze

Błyska jasny promyk zorzy,
I na ciemnej życia drodze
Czasem niebo się otworzy!

Nietylko z multańskich *Reiselieder* przebija ta ciągła walka niezdrowego jakiegoś zniechęcenia, zaraźliwego romantycznego *Weltschmerz*'u, z chrześcijańskim, prostym, a tak prawdziwie szczytnym obowiązkiem i powołaniem, streszczającem się w słowach: „Módl się i pracuj!" Toczyła się ta walka jeszcze w czasie uniwersyteckich studów, i wtedy już w pierwszym ogłoszonym drukiem wierszu pocieszał młody poeta sam siebie i dawał sobie roztropną „Radę w smutku" [1]:

Szczęście i smutek idą na przemiany:
Wszak słońce zawżdy wiosenne nie grzeje,
I wiatr wiosenny też ciągle nie wieje,
Lecz Ten trwa zawsze, który goi rany.
Jeśli więc smutek twe serce przyciśnie,
Gdy oko twoje zaleje się łzami,
Wznieś wzrok ku Temu, co rządzi nad nami,
A wnet ci promyk nadziei zabłyśnie.

Czasami — w pieśniach, jeśli nie w życiu, w nastrojonych na modną nutę śpiewach, jeśli nie w sercu — zwyciężały byronowsko-wertherowskie wpływy. Dziewiętnastoletni poeta, błąkając się po lasach, może tylko po skwarzawskim ogrodzie, przemawia do motyla [2]:

Dokąd lecisz, już nie pytam,
Dokąd dążę, nie wiem sam:
Ty się kwiatów, ja skał chwytam,
Lecz do grobu drogę znam.

Mniej nieco tego rodzaju oddźwięków w niemieckim zbiorku piosnek i piosneczek, opiewających karpackie góry, doliny i wodospady: Nadworną, Bystrzycę, Delatyn, Dorę, które Antoniewicz zwiedzał w letnich miesiącach 1829 r. [3]. Hojnie rozsiane dłonią Bożą cuda karpackiej przyrody tak olśniewają wyobraźnię, że na zbyt częste i głęboko sięgające refleksye i zanu-

[1] *Rozmaitości lwowskie* z r. 1825. „Rada w smutku", str. 404.

[2] Tamże z r. 1826. „Motyl", str. 370.

[3] *Der Ausflug in die Karpathen.* Liederkranz von Antoniewicz (Carl Bołoz). Gedruckt in Wien bei den PP. Mechitaristen. 1829.

rzania się w własnej swej „jaźni“ nie ma czasu, nie ma ochoty. W zimie za to znowu, gdy gdzie okiem sięgniesz z okien skwarzawskiego dworu, roztaczają się białe płachty śniegu; w okolicę, w sąsiedztwo wybrać się niełatwo, wracają i o gościnność proszą dawne poetyczno-melancholijne dumania; tęskne, żałobne refleksye. Owocem tych zimowych dumań i refleksyj, smętne: *Stanzen eines nordischen Aschenmannes* [1]. Myśl do tego tytułu poddała poecie bardzo popularna wówczas opera: *Das Mädchen aus der Feenwelt;* przewodnią myśl samychże *stanzy* określa ostatnia zwrotka prologu:

Czemże to, co życie daje,
To co kocham, nienawidzę,
Co tu ścieżki me oświeca?
Czem jest człowiek, czem jest ziemia?
— To garstka popiołu!

Gdybyśmy skądinąd nie wiedzieli, że śpiewak nucący te pieśni dopiero co uniwersytet ukończył, sądzićby można, że to jakiś siwowłosy starzec, który, stojąc nad grobem, spisuje dla młodych pokoleń doświadczenia i zawody lat minionych. Czy to tylko maniera, naśladowanie pilnie czytanych i ulubionych wieszczów? Jest bez wątpienia i trochę maniery, zwłaszcza w pierwszych najbardziej młodzieńczych utworach; ale jest też dużo szczerego uczucia; ale czytając te wiersze — zwłaszcza niemieckie, które w tym czasie płyną poecie z pod pióra i łatwiej i piękniej niż polskie — trudno nie przyjść do przekonania, że w gruncie rzeczy Karol teraz patrzał już istotnie z wyższego stanowiska na ziemię, na ludzi i ich zabiegi, i że nie dla utoczenia tylko zgrabnej zwrotki, ale z głębi serca i przekonania wołał:

Jeżeli szczęścia zażyć chcesz,
Na straży serca stój,
Szczęścia ziemskiego zrzeknij się,
A w górę podnieś wzrok!

Głuche z początku, później głośne, entuzyastyczne wieści o listopadowych wypadkach w Warszawie, znagliły poetę do

[1] *Stanzen eines nordischen Aschenmannes*, von Carl Bołoz Antoniewicz. Wien. Gedruckt bei den PP. Mechitaristen. 1831.

zamienienia liry i lemiesza na oręż; wśród szczęku broni, muzy naturalnym porządkiem rzeczy, na dalszy plan usunąć się musiały. Znany już nam kuzyn i towarzysz Karola w podróży po Multanach, Mikołaj Antoniewicz, ledwie zasłyszał pierwsze, dalekie echo trąbki wojennej, pomknął do Warszawy; sam Karol uważał sobie również za święty obowiązek zaciągnąć się co prędzej w szeregi narodowe; pytał tylko z niepokojem, czy matka udzieli mu na tę wyprawę pozwolenia i błogosławieństwa, czy opuszczając ją nie zrani zbyt krwawo jej serca? Wśród pytań tych i namysłów, dostaje z Warszawy wydany tam dopiero co przez kuzyna Mikołaja, który również czasami za lirę poetyczną chwytał, tomik patryotycznych wierszów p. t. „Rymy zbrojne“ [1], a przerzucając kartkę po kartce, trafia na następną zwrotkę:

Hańba tej matce, tej siostrze, tej żonie,
Co męża, brata, co synów
Wstrzymują stawać w ojczyzny obronie;
Co w trwodze o nich, na polskim zagonie
Bronią im żniwa wawrzynów.

Zwrotka ta miała decydujący wpływ na wrażliwy umysł gorącego młodzieńca; z otwartą książką pobiegł do matki, odczytał jej odnośny ustęp i rzucając się na kolana, poprosił o błogosławieństwo na drogę do obozu. W kilka dni później, w towarzystwie wyratowanego niegdyś przez siebie na lwowskim „Wysokim Zamku“ pachołka i nieodstępnego kozaka Michała Wiatrowicza, przekradał się ciemną nocą przez granicę do posuwającego się ku Wołyniowi Dwernickiemu. Po drodze spotkali kilku innych ochotników, i razem podążali naprzód. Okolicy nikt nie znał; nie było innej rady, jak zapukać do pierwszej napotkanej chaty i zażądać przewodnika. Przewodnik znalazł się bez trudności, ofiarował się z całą gotowością na usługi, ale z góry snać obrobiony, niewiedzieć większemi obietnicami czy groźbami, skierował się zdradziecko nie w stronę polskiego, lecz rosyjskiego obozu. Niedawno złączeni z Karolem powstańcy wpadli w zasadzkę i zostali natychmiast uwięzieni; nad nim Opatrzność Boża w szczególny sposób czuwała. Kilku bezsen-

[1] „Rymy zbrojne“ przez Mikołaja z Pokucia. Warszawa 1831.

nemi nocami znużony usnął na koniu, który nie czując pańskiej ręki, zwolna, krok za krokiem, jakby dla zabawki postępował naprzód; za nim, nie śmiejąc ani pana wyprzedzać, ani go budzić, jechali również stępo dwaj skwarzawscy towarzysze. Niezadługo stracili zupełnie z oczu resztę jeźdźców, a gdy dojechali do rozstajnych drożyn, same konie obrały szczęśliwie ścieżkę wiodącą do polskiego obozu.

— To Anioł mój stróż — zwykł był później Antoniewicz dodawać opowiadając to zdarzenie — wyprowadził mię tak dziwnym sposobem z tej przygody, i od więzienia i niewoli ocalił.

Niedługo trwała wojenna kampania naszego bohatera i niewiele przechowało się nam o niej szczegółów. Wyprawa Dwernickiego na Wołyń i Podole nie przyniosła spodziewanych wawrzynów i owoców. Po kilku szczęśliwie stoczonych potyczkach, w których i Antoniewicz brał udział, musiało ostatecznie wojsko polskie, parte przez o wiele silniejszy korpus Rydygiera, przejść pod Lulińcami granicę galicyjską. Huzarzy austryaccy odprowadzili oddział polski do poblizkiej Chlebanówki, gdzie, 27 kwietnia, żołnierzy rozbrojono a zabraną broń oddano Rosyi; Dwernicki ze sztabem został odesłany w głąb niemieckich prowincyj austryackich, innym zostawiono do woli, dokąd udać się i zamieszkać zechcą. Nasz Karol wpadł najprzód na chwilę do ojczystej zagrody; ale czy lękał się, a bardziej jeszcze prawdopodobnie lękała się matka, możliwych szykan, śledztw, nieprzyjemności; czy znużony wojennemi trudami chciał po nich gruntownie odpocząć, a jednocześnie szerszy kęs świata poznać; dość, że na kilka miesięcy ginie nam z oczu, przebywając to w Wiedniu, to w rozlicznych innych niemieckich miastach i miasteczkach, to znowu na krótki czas w Wenecyi.

Z tego peryodu życia nie pozostało nam żadnych zapisków, żadnego listu określającego choć w najogólniejszych rysach ówczesne zajęcia, myśli, plany młodego turysty-wygnańca. Mętne i bardzo niedokładne tradycye wspominają półgębkiem o zapoznaniu się naszego podróżnika z Getem, Schilling'em, obydwoma Schlegel'ami: Fryderykiem i Augustem Wilhelmem; łatwo to być może, ale i pewności żadnej niema, i Bogiem a prawdą,

z ogólnikowej takiej wieści mała pociecha. Z paru pisanych w tym czasie niemieckich sonetów, tyle tylko na pewne dowiadujemy się, że w St. Poelten rozkoszował się widokiem wschodzącego słońca; w Enzersdorf płakał nad grobem dobrze i u nas w Polsce znanego kaznodziei i poety, do pewnego stopnia przez życie całe ekscentryka, księdza Zacharyasza Wernera[1]; że wreszcie w Wiedniu lubił zwracać swe kroki w stronę Zofijskiego mostu *(Sophienbrücke)*, i oparłszy się o poręcz przypatrywać się szybko przewalającym się falom dunajowym, przyrównywać do nich minione lata, pogrzebane w falach życia marzenia i nadzieje[2]. Za mało to bez wątpienia wskazówek do odgadnięcia losów, odcyfrowania dziejów serca i duszy młodego poety w czasie długiej tej wędrówki.

W ostatnich tygodniach 1831 r. odnajdujemy Karola przy boku matki w miłej obojgu Skwarzawie; miło im tu zwłaszcza po tylomiesięcznej rozłące, po tylu szczęśliwie już przebytych troskach, obawach, niebezpieczeństwach. Wszystkie marzenia i pragnienia poczciwej matki biegną odtąd w jednym kierunku, założenia dla syna rodzinnego gniazda. Niedługo czekać, a pragnienia te i usiłowania dobiegną do pożądanego kresu.

(C. d. n.).

Ks. Jan Badeni.

[1] Obszerniejszy rys jego życia, przygód, a zwłaszcza stosunku do Polski i do Polaków, naszkicowaliśmy w książce: „Ks. Stanisław Chołoniewski". Kraków 1889, str. 31 np.

[2] *Mnemosine, galizisches Abendblatt.* 1831: *Morgengruss in St. Poelten, Werners Grab in Enzersdorf, die Sophienbrücke in Wien.*

BUDDHYZM.

(Dokończenie).

Znaczenie symboliczne, jakie buddhyści nadali przedmiotom czci ludów z Sanczi i Amrawati, nie zgadza się zupełnie z myślą przewodnią, jaka zdaje się przebijać z obrazów, nawiązanie widocznie jest sztuczne; dokładniejsze badania wykazują rzeczywiście, że religia ludów z Sanczi i Amrawati nie była całkiem buddhyzmem. Przedewszystkiem należy się bliżej przypatrzyć tym ludom, wśród których osiadł był Gautama i wśród których pozyskał wrzekomych zwolenników.

Gautama miał osiągnąć swą „mądrość“ w Buddha-Gaya, w tych krajach głosił swą doktrynę, w tych też krajach panował słynny Asoka i inni zwolennicy buddhyjscy; otóż te kraje należą dziś do prowincyi Bengalskiej, a ludy rdzenne, które tam przemieszkują, a które prawdopodobnie są potomkami w prostej linii ludów z czasów Gautamy, należą do szczepu turajskiego.

Jak już wspomnieliśmy poprzednio, rzeczą jest ze wszech miar podobną, na którą godzą się etnografowie, iż pierwszy lud, który wkroczył do Indyj, był pochodzenia malajsko-murzyńskiego. W jakiś czas potem dwa inne ludy wtargnęły na półwysep: z północnego zachodu ludy kuszyckie, z północnego wschodu ludy scytyjskie. Nasi przybysze połączyli się częściowo z dawnymi pramieszkańcami, lecz przeważnie wyrugowali ich z półwyspu; ludy malajskie szukały schronienia na wyspach Oceanu Indyjskiego, a oparły się w Australii. Nie obyło się zapewne bez walk

między Kuszytami i Scytami, choć nie obyło się również bez pomieszania ich krwi nawzajem, jednakże koniec końców Kuszyci zostali panami w zachodnim, środkowym i południowym półwyspie, Scytowie utrzymali się w prowincyach wschodnich. Wtargnięcie Aryów nie zmieniło tego stanu rzeczy. Aryowie wprawdzie rozpostarli się po całych Indyach, w niektórych krajach wyniszczyli dawną ludność i osiedlili je sami, jednakże w największej części krajów pozostali dawni mieszkańcy, i dzisiejsza prowincya Bengalska składa się przeważnie z ludów, należących do szczepu fińsko-mongolskiego, znanych pod ogólną nazwą *Kohlów* albo *Kolarów* [1].

Do niedawna jeszcze etnografowie zaliczali Kohlów wraz z Drawidami do jednego i tego samego szczepu; badania późniejsze dostarczyły danych, które wykazały zupełną ich odrębność.

Lingwiści: Cust, Brandreth, dr. Hunter i inni dzielą języki nie-fleksyjne w Indyach na dwa działy: drawidyjski i kohloski; tym ostatnim językiem mówią liczne pokolenia, zamieszkujące wschodnie prowincye Indyj, między któremi najznaczniejsze są: Bhil, Kohl, Munda, Naga, Sonthal, Oraon [2]. Jakkolwiek gwary tych plemion różnią się między sobą, jednak lingwiści zaliczają je do działu p o ł u d n i o w y c h języków turyjskich, spokrewnionych z p ó ł n o c n e m i czyli uralsko-ałtajskiemi.

Zewnętrzne znamiona tych ludów, budowa ich ciała i kształt organów wskazują, że należą do szczepu fińsko-mongolskiego: wystające kości policzkowe, nos zaklęśnięty, spłaszczone nozdrza,

[1] „The Kol are physically Ultra-Indien more than Dravidian, and the occupation of the Eastern Vindhya and hills on the opposite side of the Gangetic valley by Ultra-Indians implies that the valley itself was at one time possessed by the same race; the simplest conclusion is that the Kol were an extension of the ancient Ultra-Indo Dravidian population of the Lower Ganges and of the highlands on its eastern margin. The Kol and Larka Kol and Sura, in Singbhum, north of the Gond, are regarded by all writers as of the prior Scythic stock". Balfour, *Op. cit.*, vol. II, p. 591.

[2] Liczba znanych plemion Kohlów jest daleko większa, niektóre z nich są małoznaczące, inne jednak są ludne, i tak statystyczne wiadomości z r. 1881 obliczają Kohlów na 1,140.489, Sonthalów na 1,128.190, Naga 104.650.

oczy małe, często skośno osadzone, słaby zarost twarzy, są u nich typowe [1].

Urządzenia ich społeczne, zwyczaje, obyczaje i religia dowodzą również pokrewieństwa z ludami fińsko-mongolskimi. Ludy kolarskie dzielą się na klany, nazywane zwykle od ptaka lub zwierzęcia, które jest herbem albo *totem*'em plemienia; takim totemem wśród Mundów i Oraonów jest węgórz, jastrząb, kruk, czapla [2]. Członkowie klanu uważają się za jednę rodzinę, nie wolno im brać żon z tego samego totemu, nadto nie wolno im jeść ani zabijać zwierzęcia lub ptaka, który jest ich herbem rodowym, co więcej zwierzę takie jest dla nich święte i często oddają mu cześć.

Wszystkie plemiona kolarskie mają wielkie zamiłowanie w tańcach i zabawach publicznych. W każdej niemal wiosce przeznaczony jest na ten cel plac, na którym odbywają się w pewne dni roku uroczyste zabawy, uczty, tańce, które jednak mają zawsze związek z uroczystościami religijnemi [3].

Kolarowie zwyczajnie grzebią swych umarłych w ziemi; nad ich grobami wznoszą mogiły, czasem nawet bardzo wysokie, składają tam ofiary i urządzają stypy pogrzebowe.

Wszystkie plemiona Kohlów wierzą w duchy przemieszkujące w górach, drzewach, zwierzętach, i oddają cześć słońcu, księżycowi, skałom, drzewom i zwierzętom. Każde plemię ma swoje bóstwo przedstawione przez fetysza, a ten fetysz bywa często

---

[1] „Mundah features are flat and broad. The extreme features of this race are high cheekbones, small eye orbits, often with an oblique setting, flat faces, without much beard or whisker, and in colour from brown to tawny-yellow". Balfour, *Op. cit.*, vol. II, p. 1009.

[2] „Many of the Oraon, and some of the Mundah clans or khel, are called after animals, the eel, hawk, crow, heron, etc.; and the clans do not eat the animal whose name they bear". Balfour, *Op. cit.*, p. 1009.

[3] „Every Mundah village has its own dancingplace... The Mundah and the Ho keep the Magh Parah or Desauli Bonga festival, a period of licentious debauchery... The Mundah dance the Jadura dance — it is like the Hoja of Chutia Nagpur — round a branch of the Karam tree planted in the Akhra or dancingplace... The great propitiatory sacrifes to the local deities are carousals, at which they eat, drink, sing, dance, and make love". Balfour, *Op. cit.*, vol. II, p. 591.

totemem klanu. Wśród tych fetyszów, „Drzewo“ zajmuje poczesne miejsce.

Kult „Drzewa“ spotykamy już w starem piśmiennictwie hinduskiem; w Ramajana czytamy: „Sita przeprawiwszy się przez rzekę przybyła do świętego drzewa figowego i złożywszy ręce (do modlitwy) odezwała się w te słowa: ‚Pozdrowienie tobie, wielkie drzewo! Oby mój małżonek mógł spełnić swój ślub! Obyśmy mogli znowu ujrzeć Kausalya i sławną Sumitrę‘“ [1]. Kult „Drzewa“ praktykuje się dotąd w prowincyi zwłaszcza Bengalskiej.

W każdej osadzie Sonthalów znajduje się „święty gaj“, zwany *Dżartan;* Lorkowie nazywają swoje „święte drzewo“ *Bhonga,* i za żadną cenę nie dozwolą go ścinać ani nawet obłamywać jego gałęzi. „W Birbhum, pisze Hunter [2], wszyscy mieszkańcy miasta udają się w bagniste zarośla, pokryte oczeretem, i tam składają ofiary duchowi przebywającemu w drzewie *Bela.* W tej miejscowości znajdują się właściwie trzy drzewa, lecz w jednem z nich tylko, skrapianem krwią ofiar, ma przebywać duch. Drzewa te, według znawców, mogą liczyć jakie lat 70, mieszkańcy jednak utrzymują, że są stare jak świat, że ani rosną, ani się też nie starzeją“. Według mniemań Kohlów, duchy przemieszkujące w drzewach bywają czasami męskie, czasami żeńskie, i stąd mogą wchodzić w związki małżeńskie. Bogaci Hindowie łożą często znaczne koszta na sprawienie wesela duchom drzew, i tak żenią Śliwę mangową z Tamaryntem, Pipalę z Jaśminem, krzew Tulasi z Salagrama. Obchód taki bywa nader uroczysty; Sleeman naliczył w jednym takim pochodzie 8 słoni, 200 wielbłądów, 400 koni i ludu bez liczby; koszta tego obrzędu wynosiły kilkadziesiąt tysięcy rupij. Williams opowiada [3]: „W wielu miejscowościach na głównym rynku widziałem drzewo Pipali lub krzak Tulasi, rosnące na miejscu podwyższonem, spostrzegałem często jak niewiasty hinduskie procesyonalnie obchodziły to drzewo. Ażeby

[1] Talboys Wheeler, *The History of India,* vol. II, p. 147.
[2] *Annals of Rural Bengal.* London 1868, p. 131.
[3] *Brahm. and Hind.,* p. 334.

dostąpić spełnienia swych życzeń, należy obejść 108 razy to drzewo".

We wschodnich prowincyach Indyj istnieje dotąd kult Węża. Ludy, które oddają mu cześć, żyją jeszcze napół-dziko i nie są zhindusowane. Kapłani w świątyni Wężów nie są to nigdy Brahmani, lecz należą do najniższych kast. Pułkownik Meadows Taylor pisze[1]: „Wśród niższych kast, które przechowały kult Węża, mogę wymienić następujące: Bejdarów, Dhungarów czyli pasterzy, Ahirów czyli mleczarzy, Waddiwarów czyli kamieniarzy, Khunginów czyli powrożników, Brindżarów i różne koczujące plemiona Mangów, Dherów, Czumarów, Ramusiów, Bhilów, Gondów, Kohlów i inne, które się jeszcze niedostatecznie zhindusowały". Niektóre z tych ludów czczą węża w wizerunkach tylko, rzeźbionych w kamieniu, inne oddają cześć żywym wężom.

Rzeźby przedstawiają czasami jednego tylko węża, zwyczajnie *Kobrę*, czasem trzy, pięć lub dziewięć wężów; spotyka się również w Indyach wyobrażenie Nagi w kształcie Eskulapowym. „W Benares, pisze Sherring[2], Naga jest czczony w miejscowości zwanej Nag-Kuan, tj. krynica Nagi. Postać trójgłowego Węża umieszczona jest w górnej części niszy, w dolnej zaś znajduje się symbol Mahadewy, a nad nim wijący się wąż. Raz do roku, 24 i 25 dnia miesiąca Sawan, studnia tłumnie jest zwiedzana w celach religijnych przez pątników. Pierwszego dnia przychodzą niewiasty, drugiego mężczyźni i składają ofiary Nagaswarowi, tj. bogu-wężowi". Czasami prosty słup kamienny lub drewniany, wysmarowany jaskrawemi barwami, przedstawia tego bożka; czciciele składają mu ofiary, biją pokłony, obchodzą bałwana w uroczystym pochodzie, trzymając się za ręce lub też pełzając po ziemi.

W niektórych miejscowościach lud czci żywe węże[3]. Obok

[1] *Tree and Serpent Worship*, Fergusson, p. 237.

[2] *The sacred City of the Hindus*, 1868, p. 89.

[3] Tavernier, słynny jubiler i podróżnik flamandzki (w. XVII.), był świadkiem, u Indyan południowych, czci oddawanej wężowi przez Manarów. Wąż zwinięty w kłębek, umieszczony na tyce, mającej 6 do 7 stóp długości, wystawiony był przez kapłanów ku czci ludu.

wioski znajduje się zwyczajnie kupa kamieni, gdzie gnieżdżą się węże; tam, w pewne dni roku odbywają się uroczyste ofiary. Miejscowość przybrana jest zielenią i kwiatami, kamienie pomalowane na czerwono, przy norach stawiają miseczki z mlekiem, lud przystrojony świątecznie, tj. mający posmarowane czoło na czerwono, gromadzi się dokoła w postawie modlącej i śpiewa odpowiednie hymny. Najsłynniejsza świątynia Wężów znajduje się w Su-brahmanya, w południowych górach Kanary; Walhouse opisał tę miejscowość. W miesiącu grudniu tłumy ludu zbierają się u podnóża góry, na której wierzchołku stoi świątynia. Gorliwi czciciele całą drogę do świątyni, a wynosi jednę milę angielską, odbywają pełzając na wzór wężów; pełzając również obchodzą świątynię, w której norach gnieżdżą się węże [1]. Wracając do do domu, zabierają jako „świętość" garstkę ziemi z nory, a to ma służyć za lekarstwo na różne dolegliwości. Węże czczone w Indyach bywają nieraz olbrzymiej wielkości [2]. Podróżnik angielski Motte, zwiedzający Indye w r. 1766, opisał zdarzenie, którego był świadkiem, a które przypomina opis Daniela o smoku w Babilonie. Takiego smoka widział Motte na własne oczy. Motte wraz ze swym towarzyszem ujrzeli węża wyłażącego z jamy; najprzód pożarł kozę, przyprowadzoną tam przez jego czcicieli, potem wykąpał się w przyległej sadzawce i powrócił do nory. Grubość jego, według śladów zostawionych na rozmokłej glinie, wynosiła w średnicy dwie stopy, długości nie można było dokładnie ocenić, lecz miała być ogromną. Tego samego węża widział major Kittoe w r. 1836 [3].

[1] „There great numbers of the ‚coiling folk' reside in holes and crevices made for them. To propitiate these creatures, persons who have made vows roll and wriggle round the temple serpent-fashion, and some will even roll their bodies up to it from the foot of the hill, a mile distant". *Brahm. and Hind.*, p. 324.

[2] Spotykają się węże w Indyach mające $8^1/_2$ metrów długości.

[3] Opis ten zamieszczony został w *Asiatic Researches*, xv, 257. Fergusson tak go streszcza: „Mr. Motte and another went to visit a great snake that hod been worshipped there since the world began! They saw him emerge from his cave, which he does every seventh day, and accept the offering of a goat which his worshippers had provided. After devouring

Kult Węża w Indyach jest bardzo dawny i ślady jego pozostały we wszystkich religiach hinduskich.

Posłowie króla kaszmirskiego Gopaditya, opowiadali Aleksandrowi W., iż w ich kraju oddają cześć wężom żywym; w pałacu królewskim miały się znajdować dwa ogromne węże, których długość wynosiła 80 do 100 stóp [1]. Kaszmirskie kroniki opowiadają o prastarym kulcie Węża. Abu-Fazl, słynny minister Akbara, pisze, iż według kronik, w IV. w. przed Chr. znajdowało się w Kaszmirze 700 świątyń Węża. Według tychże samych kronik, za czasów Aleksandra panowała w Kaszmirze dynastya *Nagów*; otóż ta nazwa jest charakterystyczna i rzuca wiele światła na cały kult.

Naga albo *nag* zowie się z sanskrycka „Okularnik", *Naja tripudians*. Wiele pokoleń we wschodnio-północnych prowincyach Indyj nosi nazwy, w których skład wchodzą te wyrazy, nadto jeszcze więcej jest takich, które choć nie mają tego wyrazu w swej nazwie, jednak wywodzą swój ród od „Nagów". W Manipur rodzina panująca zalicza, między swymi bogami, węża *Pa-kung-ba,* od którego ród swój wywodzi [2]. Herb Radżów z Czutia-Nagpur jest łeb węża z nadętym gardłem, podobny herb mają Nagbansi z Ramgarh Sirgudża. Wiele też miejscowości w Indyach nosi nazwę złożoną z wyrazów „naga", „nag". Widoczną jest rzeczą, że te dzisiejsze rodziny i drobne pokolenia są tylko szczątkami jednego, potężnego niegdyś szczepu, który panował w Kaszmirze i Maghadzie. To pokolenie, według tego co wiemy o ludach scytyjskich, miało zapewne w swym „herbie", albo *totemie,* Węża, Nagę, Nadze cześć oddawało [3] i od niego

it, he took a bath in a canal that surrounded his dwelling place; and from the mark he left in the mud at the edge, Mr. Motte estimated his diameter to have been about two feet. He does not even guess his length, but it must have been considerable". *Tree and Serpent Worship*, p. 61.

[1] Strabon, XV, p. 698.

[2] *Account of the Valley of Manipur*, by Major Maculloch w *Records of Govern. of India*, nr. XXVII, 1859.

[3] „In India the term Nag or Naga is applied to the cobra serpent, and the race who were so designated are believed to have paid their devotions to that reptile, or took it as their emblem". Balfour, *Op. cit.,* vol. II, p. 1042.

nazwę swą zbiorową przybrało. W czasach kiedy pokolenie Nagów było w całej pełni swej potęgi, kult Nagi musiał być rozpowszechniony w całych Indyach; ślady tego kultu pozostały w siwaizmie i wisznuizmie. Pięciogłowy Kobra zwiesza się często w kształcie baldachinu nad posągami Siwy, Wisznu i Kryszny; około Lingi okręcony bywa zwyczajnie wąż. W wielkiej pagodzie Madury znajduje się znacznych rozmiarów obraz przedstawiający siedmiogłowego Nagę; obraz przybrany jest drogiemi kamieniami i umieszczony pod wspaniałym baldachinem. W Seringham główną ozdobę świątyni stanowią dwa posągi złote siedmiogłowego Nagi, obsypane perłami i dyamentami. Takie są tylko wspomnienia dawnego kultu Węża w sektach hinduskich; wraz z upadkiem potęgi Nagów upadł też i kult Węża w Indyach, i dziś przechował się jedynie wśród ludów kolarskich, napół-dziko jeszcze żyjących.

Jeżeli teraz zbierzemy razem cośmy powiedzieli o religii, obyczajach i zwyczajach ludów kolarskich, widzimy, że te ludy wierzą w duchy, oddają cześć duchom zmarłych, na ich grobach wznoszą mogiły i składają ofiary, szczególną cześć oddają Drzewom, Wężowi, w uroczystych obrzędach wyprawiają igrzyska i tańce — otóż, ponieważ obrazy z Sanczi i Amrawati przedstawiają nam wszystkie te szczegóły tak wybitnie i dokładnie, jakby dziś zdjęte były fotograficznie z natury, to przychodzimy do wniosku, że ten wrzekomy, pierwotny buddhyzm był tylko religią ówczesnych ludów tam zamieszkałych. Co więcej, ten wniosek otrzymuje potwierdzenie i stąd jeszcze, że te religie, zwyczaje i obyczaje były moralnem znamieniem charakterystycznem wszystkich ludów fińsko-mongolskich: główne przedmioty czci religijnej z Sanczi i Amrawati znajdujemy u tych ludów.

Dagoba, jest to mogiła sypana na zwłokach królów i wodzów i stąd też jej nazwa; ten zwyczaj sypania wysokich mogił był wspólny ludom fińskim i mongolskim.

W Europie wschodnio-południowej i północno-zachodniej mogiły te, kurhany i kopce są bardzo liczne. Dawniejsi pisarze

wspominają o kurhanach w Grecyi; wzmianka Herodota [1], że Scytowie wznosili mogiły na grobach swych wodzów, znajduje zupełne potwierdzenie. Stepy Wołynia, Podola, Ukrainy, szczególnie stepy nowo-rosyjskie i besarabskie, gdzie właściwie Scytowie przemieszkiwali, od Kremeńczuga do brzegów Dunaju, do Czarnego i Azowskiego morza, pokryte są kurhanami. Według danych zebranych przez M. Grabowskiego, na samej Ukrainie znajduje się 6169 kurhanów, a między niemi słynne Perepiaty i Perepiatychy, z którymi związane jest podanie o Wernyhorze.

Liczne kurhany znajdują się w Brandenburgii, Szwecyi, Danii, we Francyi i Anglii; kurhany te były umiejętnie badane i archeologowie przyszli do przekonania, że one są rzeczywistemi mogiłami, wzniesionemi przez ludy przedhistoryczne; a ponieważ dziś rzeczą jest pewną, że ludy fińskie poprzedziły Aryów w Europie, stąd kurhany te są dziełem ludów fińskich.

Azya jest ojczyzną kurhanów. Kurhany napotykają się w Syryi i Małej Azyi, lecz przedewszystkiem w środkowej i północno-zachodniej Azyi. Turkestan usiany jest kurhanami. Nad Irtyszem, Jenisejem i w zachodnim Ałtaju kurhany są tak liczne i czasami tak gęste, iż przedstawiają się zdala jakby ogromne koczowisko pokryte namiotami. Kurhany sybirskie są zupełnie podobne do tych, jakie się znajdują nad Dnieprem [2]; miały one być budowane przez Czudów, którzy w czasach przedhistorycznych wyparci byli z tych siedzib i podążyli na Zachód. Czudowie mieli pochodzić ze szczepu fińskiego, lecz i ludy tatarsko-mongolskie budowały niegdyś kurhany, a po dziś dzień przechował się u nich zwyczaj bardzo charakterystyczny. Kirgizi, według Kosteńki i Lewszyna, oddają cześć duchom zmarłych, na ich grobach wznoszą wysokie mogiły i od czasu do czasu zbierają się tam, zanoszą modlitwy i składają ofiary. O składaniu ofiar na kurhanach przez Scytów mamy również świadectwo Herodota.

Nadzwyczaj liczne kurhany spotykają się w Ameryce, szczególnie w Stanach Zjednoczonych; w samem Ohio naliczono ich

[1] IV, 71.

[2] Ob. Записки Сибирскаго отдѣла, t. VII, 1864, p. Kostrowa.

dziesięć tysięcy [1]; miasto Saint-Louis ma przydomek „Mound City", z powodu mnóstwa kurhanów. Amerykanie nazywają kurhany *Mound*, a lud, który je wznosił, „Mound builders". Archeologowie rozkopywali te „Mounds" i znajdowali w nich popioły i kości ludzkie, a przytem szczątki różnych narzędzi i naczyń. Według autorów amerykańskich, niektóre pokolenia dzisiejszych Indyan, mianowicie Creek, Seminol, Cherokee, Natchez są potomkami dawnych „Mound builderów". Kurhany amerykańskie tak są podobne do Dagob buddhyjskich, iż misyonarz anglikański z Cejlonu pisze [2]: „Te *Chichen* (kurhany w środkowej Ameryce) tak są podobne do Topów buddhyjskich, jakie widziałem w Anuradhapura (Cejlon), iż rzuciwszy wzrokiem na rysunki je przedstawiające, byłem przekonany, że one przedstawiają Dagoby". Otóż, jeżeli weźmiemy teraz na uwagę, że większa część antropologów dzisiejszych przypisuje zaludnienie Ameryki ludom fińskim i mongolskim, wówczas geneza fińsko-mongolska kurhanów amerykańskich jest całkiem widoczna.

Podobieństwo urządzeń społecznych między Indyanami amerykańskimi i ludami mongolskimi w Azyi wskazuje niezawodnie jedność pochodzenia. Indyanie dzielą się na plemiona czyli klany i rozróżniają się totemem, którym jest zwyczajnie zwierzę, ptak, ryba, płaz. Członkowie klanu nie zabijają nigdy przedstawiciela swego totemu, nie używają go na pokarm, co więcej, uważają totem za swego opiekuna, od niego wywodzą swój ród i noszą jego nazwę, a rzeczą jest prawdopodobną, że w dawniejszych czasach cześć mu boską oddawali. Otóż to samo dzieje się wśród Kałmuków z okolic Ałtaju i wśród różnych plemion mongolskich: dzielą się oni na klany, które noszą zwyczajnie nazwy Pies, Wilk, Kruk, Sęp, a przedstawicielom swego totemu okazują niezwykłą cześć. Co więcej, jakkolwiek kurhany bywają zazwyczaj stożkowe, spotykają się jednak inne tak w Ameryce jak i nad Irtyszem, które mają kształt zwierzęcia. Widoczną jest rzeczą, że kształt kurhanu odpowiadał totemowi

[1] Marsch, *Anc. sepul. Mound near Newark.*
[2] Hardy, *Indian Monachism*, p. 122.

zmarłego wojownika. Totemizm tłumaczy nam niewytłumaczone dotąd znaczenie legend, które krążą w Indyach, a które przedostały się do Ramajany, mianowicie owe hufce zbrojne, złożone z „Małp“ i „Niedźwiedzi“, które pod wodzą Ramy i „Sępa“ zdobywały Lankę. Rzeczą jest również prawdopodobną, że i sama kastowość w Indyach w totemizmie miała swój początek.

Drzewo. Wszystkie niemal dawne ludy przywiązywały do „drzewa“ znaczenie symboliczne i religijne, a niektóre z nich oddawały mu cześć.

Przyczyny tej zgodności powszechnej ludów należy upatrywać w rzeczywistem zdarzeniu, które musiało być wielkiej doniosłości, skoro wieki nie zdołały zatrzeć go w ich pamięci; to zdarzenie odnosić się mogło jedynie do Raju, o czem Pismo św. acz wierne lecz tak skąpe przekazało nam szczegóły. Podania innych ludów o Raju, jakkolwiek przyćmione, znajdują się w ich najdawniejszych księgach i pomnikach. Podanie o „drzewie wiadomości złego i dobrego“ przechowało się w Babilonie [1]. W Egipcie znajdujemy ślady podania o „drzewie żywota“. Na płaskorzeźbie przedstawiona jest bogini Nut wśród rozłożystego drzewa, trzyma w ręku naczynie, z którego wytryska źródło wody, u stóp drzewa dusza wyobrażona symbolicznie w kształcie ptaka z głową ludzką wyciąga ręce po napój ożywczy [2]. Aryowie Wschodni w swych starych księgach nie omieszkali zamieścić tych podań: *Gaokerena* i *Pipala*, *Homa* i *Soma*, w Aweście i Wedach są wspomnieniami o „drzewie żywota“ [3].

Kult „Drzewa“ znany jest wśród dawnych ludów Europy. Pobieżne wiadomości, jakie posiadamy o mitologii Celtów, Germanów i Słowian, przekonywają, że kult ten nie był im obcy, choć drugorzędną odgrywał u nich rolę; rzeczą jest prawdopodobną, że to były tylko ślady kultu innych ludów, które je poprzedziły w tych krajach. Na Litwie jednakże, Żmudzi i w Prusach czczono „święte gaje“, „święte dęby“; ostatni z nich, słynny *Baublis*, unieśmiertelniony w „Panu Tadeuszu“, miał 1000 lat gdy padł pod

[1] *Źródła historyczne Wschodu*, str. 207 i nast.

[2] Ancessi, *Atlas géogr. et archéol.*, 1876, tabl. I, *Index archéol.*, p. 2.

[3] Pisaliśmy o tem w *Aweście*.

toporem. Lud nasz przechował dotąd jeszcze dawniejsze zabobony, na Mazurach i na Rusi obwiązują dotąd niektóre drzewa powrósłem lub skrawkiem szmaty. Sądzimy jednak, że na Litwie nawet nie było kultu „Drzewa“, we właściwem tego słowa znaczeniu: „dąb“ był poświęcony Perkunowi, jak w Grecyi i Rzymie Jowiszowi, lecz ani tu ani tam nie było rzeczywistego kultu.

Kult „Drzewa“ znajdujemy dopiero u ludów fińsko-mongolskich: ludy wschodniej Azyi oddają po dziś dzień cześć „Drzewu“. Pokolenia napół-dziko jeszcze żyjące w prowincyi Bengalskiej, w Birmie, Anamie, Syamie, Kambodży, Kochinchinie wierzą w duchy zamieszkujące w drzewach, składają im ofiary i cześć im oddają. Wszyscy podróżnicy, którzy mieli odwagę dostać się do tych ludów i wydobyć się stamtąd bez szwanku, zgodni są pod tym względem. Otóż te ludy spokrewnione są z rasą żółtą. Co więcej, w Ameryce wśród ludów tejże rasy przechował się widocznie stary ten kult. Tylor[1] opowiada, że Indyanie w Ameryce północnej, Far-West, składają ofiary „drzewom“, prosząc duchów tamże zamieszkałych o powodzenie w myśliwstwie.

Naga. Rzeczą jest pewną, że „Wąż“ był niegdyś czczony przez niektóre ludy. Pismo św. mówi jasno[2]: *Niektórzy zwiedzeni węże nieme i inne bestye nikczemne chwalili.* Ślady kultu „Węża“ spostrzegają się szczególnie w Szwecyi i na Litwie, a mnóstwo legend krążyło dawniej o tym kulcie w całej Europie. Czy rzeczywiście Krak zabił smoka na Wawelu, czy święty biskup Klemens ubezwładnił takiegoż smoka wyprowadzając go na stule z jamy w Metz, można powątpiewać[3]; jednakże, ponieważ podobnych podań jest bardzo wiele, nie da się zaprzeczyć, że, jeżeli niektóre z nich uważać można jako symboliczne wspomnienie zaprowadzenia chrześcijaństwa, to inne zdają się wskazywać, że ludy aryjskie zastały w Europie pramieszkańców oddających cześć wężowi. Zresztą w Grecyi i Rzymie istniał rzeczywiście kult Węża. Esmun fenicki, przebrany za Eskulapa, długi czas miał wielkie powodzenie w Grecyi; sami Rzy-

[1] *Primitive Culture*, II, p. 223.
[2] *Ks. Mądr.*, XI, 16.
[3] Skórę tego smoka pokazują dotąd w Metz.

mianie pozazdrościli im tego bożka i w r. 291 przed Chr. sprowadzili sobie węża z Epidauru (Stara Raguza, Dubrownik), i senat wraz z ludem przyjęli uroczyście przybywającego bożka do przystani i umieścili go w świątyni na Tybrze. W Grecyi kult Węża nie był jeszcze zaniechanym w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, a w późniejszym czasie sekty Ofitów, Nikolaitanów, Gnostyków przesiąknięte były nawskróś tym kultem.

Badania pomników przedhistorycznych w Ameryce wykazały, że ówczesne ludy prawdopodobnie oddawały cześć wężowi, tak utrzymują bardzo poważni badacze [1], co więcej znajdują się tam szczątki tych pokoleń, które po dziś dzień kult ten przechowały [2]; lecz Azya jest przedewszystkiem kolebką i krainą tego kultu.

---

[1] „Le serpent joue un grand rôle dans la mythologie des anciens Américains. Nous voyons représenté sur leurs poteries. Sur dix-huit coquilles de Pyrula conservées au Peabody Museum, et qui ont servi d'ornements à ces hommes inconnus, treize portent gravé le corps d'un serpent. Le musée de Washington possède une pipe qui représente une figure humaine portant un serpent roulé autour du cou, et celui de Mexico un vase remarquable par l'élégance de ses formes, dont l'anse est formé par un serpent.

„Nous avons des exemples plus curieux encore. On rencontre sur plusieurs points, sans que nous puissions l'intérpréter, la représentation d'un serpent avalant la tête d'une tortue. Les Dominicains de Mexico ont conservé, au-dessus de leur porte d'entrée, un antique bas-relief, où l'on peut voir un serpent broyant dans ses replis une victime humaine. A Chichen-Itza, des serpents colossaux sont peints et gravés sur les murs des palais. Auprès de Jalapa, dans la province de Vera-Cruz, on distingue un serpent de 15 pieds de longueur sculpté sur un rocher, et ces mêmes serpents se trouvaient sur les bas-reliefs du temple de Huitzilopochtli, qui remonte au temps de la grandeur des Aztecs, comme sur les murs des édifices de Cuzco, temoins de la splendeur péruvienne". *L'Amérique préhistorique*, p. Marquis de Nadaillac, pp. 131, 132.

„Le nom même des peuples rappele le culte du serpent. Les *Nahuas*, qui partagent avec les Mayas l'honneur des premières civilisations connues de l'Amérique, sont souvent appelés les *Culhuas* ou *les hommes de la race du serpent,* et chez les Mayas, l'Empire de Xibalba était connu sous le nom de l'empire des *Chanes* ou des serpents". De Nadaillac., *Op. cit.,* p. 132.

[2] „Certaines tribus Indiennes du Nouveau Mexique professent encore aujourd'hui la vénération pour un serpent à sonnettes très redoutable, la *Vivora Grande.* Ile le conservent dans certaines grottes de leurs montagnes,

Kult Węża rozpowszechniony był w Babilonii, Chaldei, Persyi, Kaszmirze, w wielu prowincyach Indyj, w Kambodży i Tybecie. Ludy, które zamieszkiwały wówczas te kraje, należały do różnych szczepów, byli tam: Aryowie, Semici, Kuszyci i ludy fińsko-mongolskie; otóż, jakkolwiek kult Węża wcisnął się był z czasem do religii wszystkich tych ras, pierwotnie jednak i pierwszorzędnie był kultem ludów fińsko-mongolskich.

A najprzód nie ulega wątpliwości, że kult Węża nie był aryjskim. Wspomnieliśmy już dawniej [1], że Aryowie mieli węża w nienawiści. Według tekstów z Rigwedy, nie ulega wątpliwości, że ta nienawiść musiała mieć źródło w podaniu o upadku „pierwszych rodziców“ [2]; lecz mieli Aryowie inny jeszcze powód nienawiści ku wężowi. Wkraczając do Indyj, Aryowie musieli staczać zacięte walki z tubylcami, którzy byli czcicielami węża. Rigweda głosi zwycięstwo Indry nad Writri, zachęca swych wojowników i zapowiada im zwycięstwo. „Indra zwycięzcą jest Writri... kiedy to Writra, kiedy Ahi doznali skutków twej (o Indro) potęgi“ [3]. *Garuda,* mityczny ptak Hindów, był tępicielem węży [4]. W Mahabharata znajdują się ustępy, świadczące o walkach Aryów z ludem Nagów: wódz Aryów, Pariksziti, umiera wskutek ukąszenia Nagi; wielki ustęp [5] poświęcony jest tam opisowi żertwy, zwanej *Dżanamedżaja,* która ma na celu

dont ils cachent l'accès avec un soin jaloux, et où ils vont, dit-on, l'adorer en secret“. Ob. Bandelier, *Ruins of the Pueblo of Pecos.* De Nadaillac, *Op. cit.,* p. 132.

[1] Ob. zeszłoroczny *Przegląd Powszechny.*

[2] Oprócz tekstów przytoczonych powyżej, znajduje się wiele innych i to nader wyraźnych: „Ten, który stworzył wszystko na swe podobieństwo, który daje ruch istotom nieżywotnym... przed którym korzy się niebo i ziemia... który uśmiercił Ahi“. *Rigweda,* II, 9, 11, 13. „Tyś wyrzucił Ahi z nieba“. *Rigweda,* VII, 107, 20.

[3] *Rigweda,* II, 12.

[4] Indologowie utrzymują, że Garuda pożerający węże, jest symbolem przypominającym wytępienie mieszkańców, którzy mieli za godło „węża“, przez zwycięskich Aryów. „The accepted explanation of the tradition of the Garuda is the type of the religion of Vishnu, and the snakes alluded to are the naga or snake race who followed the Buddhist faith of Sakia Muni“. Balfour, *Op. cit.,* vol. III, p. 576.

[5] I, 1547—2197.

wytępienie całej rasy Nagów. Eranowie również, jak wiemy, nienawidzieli wężów: na pomnikach Sasanidów, Mithra walczy z Angromajniusem, przedstawionym w kształcie smoka. Kult tedy Węża nie mógł być kultem aryjskim, lecz nie był też ani semickim ani kuszyckim.

Żaden z poważnych historyków nie zarzuca Semitom kultu Węża: „wąż bronzowy", wzniesiony na pustyni przez Mojżesza, miał całkiem odrębne znaczenie symboliczne, a zachcianki Żydów co do kultu Węża, dzięki mężom bożym, nigdy się nie urzeczywistniły; z Kuszytami rzecz jest nieco trudniejsza.

W Egipcie, jakkolwiek wąż nie miał specyalnego kultu, jednakże wizerunek jego był niezawodnie symbolem jakiejś boskości, skoro głowy wielu bogów i bogiń, jak widzimy na płaskorzeźbach, przyozdobione są tym symbolem. Zasadniczo jednakże i w Egipcie wąż uważany był jako symbol wrogi; na płaskorzeźbach świątyni w Edfu widzieć można Horusa, przebijającego włócznią łeb węża Apap'a. Nie był obcy kult Węża potomkom Chama w Fenicyi i Kartaginie, lecz odgrywał tam drugorzędną rolę; to samo można powiedzieć o Babilonii. Jakkolwiek racyonaliści biblijni odrzucają świadectwo Daniela i uważają całą opowieść za bajkę, jednakże pisarze bardzo poważni, a przytem nie mogący być posądzeni o sprzyjanie sprawie katolickiej, nie widzą żadnej sprzeczności w tem zdarzeniu historycznem [1]. Rzeczą jest pewną, że Turyowie albo Scytowie od dawnych czasów wcisnęli się byli do Babilonii i przyczynili się niemało do skażenia pojęć religijnych tamtejszych mieszkańców.

Kult Węża był kultem ludów fińsko-mongolskich; Pismo św. zdaje się stwierdzać ten fakt; Jeremiasz mówi [2]: *Od Dana słyszano rżenie koni jego, od głosu rżenia walecznych jego poruszyła się wszystka ziemia, i przyszli i pożarli ziemię i napełnienie jej, miasto i mieszkające w nim. Bo oto ja puszczę na was węże bazyliszki (regulos), na które niemasz zaklinania, i pokąsają was, mówi Pan.* W tych

[1] Schrader pisze; „Es ist ganz grundlos, wenn neuerdings Schlangencult als bei Babyloniern im Schwange gewesen geleugnet wird". Riehm, *Handwörterb. des Bibl. Alterth.*, S. 288.

[2] VIII, 16, 17.

wierszach Prorok zapowiada nową zagładę Jerozolimy [1], przestrzega Żydów, żeby nie liczyli na względność wrogów, bo oni będą nieubłagani. „Rżenie koni“ oznacza niezawodnie Scytów, z których składała się przeważnie jazda chaldejska, a którzy już znani byli dawniej (625 r.) Żydom ze swych okrucieństw. Porównanie z „wężami bazyliszkami“ zdaje się właśnie odnosić do kultu tychże Scytów i mogło służyć jako wyraźniejsze jeszcze oznaczenie znamienia najeźdźców. Zresztą dane historyczne i etnograficzne, jakie posiadamy o Scytach, potwierdzają ten domysł.

Według Herodota, Scytowie europejscy uważali się za potomków węża [2], zupełnie tak samo jak dzisiejsi Radżputowie hinduscy. W Kaszmirze kult Węża był powszechnym, panowała tamże dynastya Nagów; pokolenie Nagów, a więc czciciele węża i rasa scytyjska, rozprzestrzeniło się szeroko po Indyach i dzisiaj szczątki jego pozostały w licznych rodach prowincyi Bengalskiej; pokolenia te etnologicznie spokrewnione są z rasą turyjsko-mongolską i przechowały kult Węża. Jeżeli teraz przypomnimy sobie, że ślady kultu Węża w Europie i w Ameryce śmiało zaliczyć można do starego kultu ludów fińskich, wówczas ostatecznie zawnioskować możemy, że kult Węża był pierwotnie i pierwszorzędnie kultem ludów fińsko-mongolskich.

Wreszcie, o ostatnim symbolu z Sanczi, mianowicie o *Ćakra*, kilka słów dodać tu należy. „Ćakra“, tj. „koło“ albo „tarcza słoneczna“, jest niezawodnie symbolem babilońskim, mianowicie symbolem bożka słońca Samas. Na płaskorzeźbie znalezionej w Abu-Abba (Sippara, 16 kilom. na połud.-zachod. od Bagdadu), przedstawiona jest tarcza słoneczna wraz z bożkiem Samas, jak świadczy napis: „Obraz Samas'a, wielkiego Pana, który przebywa w świątyni Bit-parra, położonej w Sippara“. Ten pomnik pochodzi

[1] Spustoszenie nastąpiło w r. 588.

[2] „The whole of the Scythian race are mythically descended from a being half-snake and half-woman, who bore three sons to Heracles (Herodot, IV, 9, 10), the meaning of which probably is that the ancestral pair were of two races, and the offspring took the snake as their emblem, similary to the Numri or Lumbri Baluch of the present day, who are foxes, and the Cuch'hwaha Rajputs, who are tortoises“. Balfour, *Op. cit.*, vol. II, p. 1042.

prawdopodobnie z r. 900 przed Chr. Podobne tarcze słoneczne znajdują się również na „głazie Michaux“ i na starych pieczęciach chaldejskich z XIV. w. przed Chr.[1]. Stąd wnosić można, że Ćakra była symbolem jakiegoś odłamu ludu, który z Babilonii przedostał się do Indyj i tam się osiedlił; buddhyzm nadał mu w późniejszych czasach inne znaczenie, a wisznuizm przejął go prawdopodobnie z buddhyzmu.

Tak tedy cztery główne symbole z Sanczi i Amrawati były po prostu przedmiotami czci religijnej ludów turyjskich, które zajmowały dzisiejszą prowincyę Bengalską; sceny religijne, plastycznie przedstawione na tych obrazach, były obrzędami religijnemi tych ludów — słowem, „pierwotny buddhyzm“ nie był czem innem, tylko religią ludów fińsko-mongolskich. Jaką rolę odgrywał Gautama w buddhyzmie, o tem nic pewnego dowiedzieć się nie możemy, a najmniej zaś z jego wrzekomego żywota, który jest zbiorem najniedorzeczniejszych baśni. Jest rzeczą możebną, a nawet prawdopodobną, że jakiś Gautama, albo Sakia Muni, ze szczepu aryjskiego, osiadłszy w okolicach Magadhy, pozyskał niezwykły wpływ wśród tamtejszych mieszkańców, a pozyskawszy przedewszystkiem względy rodziny panującej, mógł skutecznie wpłynąć na podniesienie poziomu umysłowego tych barbarzyńskich ludów, mógł głosić podniosłe zasady moralne, zaczerpnięte z „Praw Manu“, lecz chwiejna jego religia wedyjska nie zdobyła się na reformę religijną, pozostawił ludowi jego fetyszyzm, kult Dagoby, Drzewa, Węża i Ćakry. Z czasem dopiero tacy jak Asoka, Kaniszka i inni możnowładcy, przy pomocy aryjskich Brahmanów utworzyli właściwy buddhyzm: nie tknęli dawnych przedmiotów czci, lecz nadali im inne symboliczne znaczenie, przyswoili sobie różne obrzędy i oznaki zewnętrzne innych religij, a nie pominęli i chrześcijanizmu, z którego pełnemi rękami czerpali nietylko obrzędy ale i zdarzenia historyczne, przesadzając je na swą niwę. Rdzeń główny fetyszyzmu fińsko-mongolskiego, przybrany skrawkami zapożyczonemi

[1] Pieczęć króla Kurigalzu z r. 1360 przed Chr., znajduje się w British Museum.

z hinduizmu i chrześcijanizmu, stanowi całość i osnowę dzisiejszego buddhyzmu. Dopóki dynastye buddhystyczne były potężne w Indyach, buddhyzm, jako religia panująca, w pełnym zostawał rozkwicie; wraz z ich upadkiem cały sztuczny gmach buddhyzmu rozchwiał się bezpowrotnie: wykształceńsi Hindowie zostali wisznuitami, ludy mongolskie powróciły do swych fetyszów.

Ażeby uzupełnić studyum buddhystyczne, wypada nam pomówić tu, choć w niewielu słowach, o jednej ze słynniejszych sekt buddhyzmu, mianowicie o „dżynizmie“, albo „dżajnizmie“.

Dżynizm pierwotny albo spekulatywny był również bezbożnym, jak i buddhyzm. Nie przyjmował stworzenia i Stworzyciela, świat miał istnieć sam przez się od wieków; przeczył byt Najwyższej Istoty; odrzucał Wedy i ofiary składane przez kapłanów. Przed wiekami pojawił się mąż, znany pod nazwą *Dżina*[1], który doszedł do wielkiej świątobliwości i zaprowadził nowe „Prawo“. Prawo zasadza się na trzech aforyzmach, zwanych „Triratna“ (potrójny klejnot): doskonała wiara, doskonała wiedza i doskonała obyczajność. Wiara polega na wyznawaniu Dżiny; wiedzę należy nabywać w księgach „Anga“; obyczajność spisana jest w pięciu punktach, które odpowiadają naszym Przykazaniom, poczynając od piątego. Najgłówniejszy nacisk położony jest na przykazanie „nie zabijaj“, które dżyniści rozciągają do wszelkiej istoty obdarzonej czuciem; zabicie jakiegokolwiek zwierzęcia, choćby najdrobniejszego, poczytują za grzech; wodę do picia cedzą przez gęste sita, by nie połknąć jakiegoś zwierzątka; nos i usta pokrywają muślinem, żeby przez oddychanie nie wciągnąć w siebie i nie uśmiercić przypadkiem jakiego organizmu żyjącego. Takie niezwykłe przestrzeganie tego przykazania było następstwem wiary ich w przechodzenie dusz.

---

[1] *Dżina, Dżin*, znaczy „zwycięzca“, nie jest właściwem imieniem lecz przydomkiem; znany on jest również pod innym przydomkiem, mianowicie *Mahavira*, „wielki mąż“. G. Bühler z Bombaju i H. Jakobi, na mocy dokumentów odszukanych w ostatnich czasach, przyszli do przekonania, iż w V. w. przed Chr. żył rzeczywiście niejaki *Nirgrantha Dżnatiputra*, „pustelnik Dżnatiputrów“, do którego należy stosować przydomek Dżnati. Ob. *Kulpasutra*, str. 6.

Zachowanie „Triratny“ zapewniało dżynistom szczęście w życiu przyszłem.

W Indyach istnieje dotąd dżynistów około pół miliona; zachowali oni dawniejszą nazwę, zewnętrzne obrzędy, lecz podobnie jak i buddhyści, przeistoczyli się w sekty zbożne. Dżinowi stawiają posągi i świątynie, innych Dżinów (a było ich dwudziestu czterech) ubóstwiają również; oddają cześć ich małżonkom, a nawet zaliczają do swego Panteonu Bramę, Wisznu, Śiwę i Ganesę.

Między doktryną dżynistów a buddhystów takie jest podobieństwo, iż wszyscy niemal historycy uważali dżynizm jako sektę buddhystyczną; w ostatnich dopiero czasach prof. Jakobi starał się dowieść, iż dżynizm jest doktryną samoistną, albowiem wyrósł z brahmanizmu. Otóż ten dowód nie jest przekonywającym, buddhyzm bowiem powstał również na gruncie brahmanizmu; zresztą ponieważ rozstrzygnięcie tego pytania ma dla nas wartość zupełnie podrzędną, poprzestajemy na tej krótkiej wzmiance, zaznaczymy tylko, iż dzisiejszy dżynizm jest jedną z sekt hinduizmu.

Dzisiejsi dżyniści rozpadają się na dwie główne odrośle: *Śwet-ambara* i *Dig-ambara,* „biało-szatnych“ i „obłoko-szatnych“, tj. bezszatnych; ci ostatni, pomimo swej nazwy, noszą jednak ubranie, a swe przepisy sekciarskie zachowują jedynie podczas wspólnych biesiad.

Był czas, w którym dżynizm był potężnym w Indyach, pozostawił po sobie bogate piśmiennictwo, w części tylko zbadane dotąd przez uczonych Europejczyków, a nadto wytworzył osobny styl architektoniczny, którego odrębność zaznaczają znawcy, i jego piękność podziwiają.

Na tem kończymy przegląd religij, jakie Aryowie, zamieszkujący Indye, wyznawali lub dziś wyznają; o religiach plemion nie-aryjskich mówiliśmy tylko o tyle, o ile Aryowie je przyswoili. O hinduizmie i buddhyzmie nie daliśmy wyczerpujących, monograficznych wiadomości; zadaniem bowiem naszem było za-

poznać się z istotą i genezą religij Aryów hinduskich i ku temu kierowaliśmy nasze badania. Pod tym względem piśmiennictwo hinduskie nadawało się doskonale, stanowi ono bowiem nieprzerwany łańcuch, którego pierwsze ogniwa sięgają zamierzchłej przeszłości. Piśmiennictwo każdego wieku przedstawia pojęcia religijne swego czasu; zestawienie chronologiczne tych pojęć uwydatnia nam wybitnie obraz całego ruchu religijnego, obejmujący z góry trzydzieści wieków. Pierwotne pojęcia Aryów były podniosłe i jednobożne, powoli i z czasem uległy zmianom. Wedyzm był pierwszym krokiem wstecz i obniżył pierwotny nastrój religijny. Zetknięcie Aryów z Kuszytami i Turyami doprowadziło ich pojęcia religijne do zupełnego rozstroju: wielobożność, fetyszyzm, a nawet zupełna bezbożność, wyrugowały dawniejsze wzniosłe pojęcie o Najwyższej Istocie; pojęcia etyczne, jeszcze tak czyste i wzniosłe z czasu „Praw Manu", zostały obniżone do najskrajniejszych granic [1]. Hymny Rigwedy, w których mnogie ustępy nie ustępują, pod względem podniosłych pojęć i uczuć, natchnionym słowom Króla Proroka, zastąpione zostały ostatecznie Tantrami, w których najniedorzeczniejsze pojęcia idą w parze z pornograficznemi opisami i przepisami, wydającemi duszę i ciało człowieka na łup najohydniejszych namiętności.

Te wyniki oddają hołd prawdzie, badania historyczne potwierdzają mianowicie fakt znany skądinąd: ponieważ najdawniejsze pojęcia religijne Aryów hinduskich stały w samem zaraniu społeczeństwa na takim wysokim stopniu, a z czasem dopiero i po upływie wieków uległy skażeniu — przeto religia musiała być pierwszym ludziom objawioną.

Ks. W. Zaborski.

[1] „Temples are nevertheless commonly to be seen, on which are represented, in statues even of life size, figures which only the mind of man in all its corruptness and wickedness could conceive... Books then came to be written about heroes whom they deified, some of whose lives, as painted, are a continuous outrage of decency". Balfour, *The Cyclopaedia of India*, vol. II, p. 75.

Z DZIEJÓW MOŻNEJ RODZINY[1].

Kartka historyczno-obyczajowa.

Ludzki swar, cudzy pożytek.
(Al. Maks. Fredro, „Przysłowia").

Trudno o smutniejszą ale zarazem i o ciekawszą epokę w historyi naszej, jak pierwsze lat kilkanaście panowania Augusta II.

Co za różność i sprzeczność charakterów i typów niezwyczajnie wybitnych a niepospolitych!

Król August, car Piotr, Leszczyński i Karol XII., a w ich otoczeniu i współdziałający, Sapiehowie, Poniatowski, Mazepa, Menszyków, Patkul, wodzowie, ministrowie i przywódcy stronnictw; wszystko to ludzie o charakterach silnych i wybitnych, lubo, niestety, w największej części wcale nie dodatnich. Jak gwiazda świeci wśród nich mąż prawdziwie cnotliwy — Leszczyński; u reszty, skrupułów i sumienia, z małemi wyjątkami, dopatrzyć się trudno. Dziwną też i prawie niezrozumiałą widzimy w owej epoce mieszaninę pojęć i wyobrażeń. Taki naprzykład

[1] *Źródła.* Rękopisy: „Papiery po-Sapieżyńskie" w archiwum autora w Romanowie. — Druki: „Teka Podoskiego". „Pamiętniki Otwinowskiego". „Pamiętniki Zawiszy". „Pamiętniki Dołhorukiego". „Pamiętniki Matuszewicza". Niesiecki, „Herbarz". Kossakowski, „Monografia". Święcki, „Historyczne pamiątki". „Życie Leszczyńskiego" (Niezabitowski). Wolter, „Karol XII". Rogalski, „Piotr Wielki". Szujski, „Dzieje Polski". Kantecki, „Stan. Poniatowski kaszt. krak.". Rigascher, „Almanach 1887".

wojewoda miński JMPan Krzysztof Zawisza, nadzwyczaj pobożny, modli się, funduje kościoły, odbywa nawet w r. 1700 pielgrzymkę do Rzymu, a natychmiast po powrocie z owej bogobojnej podróży, wszczyna haniebną sprawę ze szwagrem swej żony, Kaczanowskim, prześladuje go, łapie w kościele, który profanuje tym czynem, a pojmanego wreszcie, sam w swej własnej sprawie sądzi i dopilnowywa wydanego na ścięcie wyroku! Pociesza się potem pobożnem za duszę nieboszczyka westchnieniem, i dalej z lekkiem sercem bawi się, pije, hula i poluje.

Wypadek taki jednak nie wydawał się widać w owych czasach rzeczą nadzwyczajną, skoro nie wspomina o nim nawet tak drobiazgowy kronikarz, jak współczesny mu Otwinowski; nie wiedzielibyśmy też zapewne nic o tej sprawie, gdyby jej nie opisał z dziwnym spokojem nieświadomości w pamiętnikach swoich sam pan Wojewoda.

Ludzi takich pojęć i wyobrażeń, jak Zawisza, spotykamy w owej epoce na każdym kroku. Wśród klęsk, ruin, pożogi i niesłychanego spustoszenia w całym kraju, wśród całej grozy wojny domowej ze wszystkiemi jej następstwami, ludzie ci, nie odpasując broni, piją, bawią się i ucztują przy każdej nadarzającej się sposobności.

W ostatnich latach panowania Jana III., kiedy ten bohaterski obrońca chrześcijaństwa na siłach już i na duchu upadał, na Litwie wzrósł właśnie do najwyższej potęgi, pełen chwały niegdyś i z lat dawnych zasłużony dom Sapiehów. Niestety jednak, cała ta świetność i potęga dostała się w ręce dwóch przedstawicieli rodziny najmniej tego stanowiska godnych: Kazimierza hetmana, i brata jego Benedykta podskarbiego W. Ks. L. Niepomni ani na tradycyę zasług przodków swoich, która ich na to stanowisko wyniosła, ani na obowiązki względem kraju, upojeni bogactwami i władzą, wzbijają się w niesłychaną dumę; jeden dzierżąc w swych ręku siłę wojskową, a drugi, cały skarb i dochody Wielkiego Księstwa, z których nikomu rachunku nie zdaje, osądzili się samowładnymi panami kraju nie dla dobra ojczyzny, ale raczej dla siebie i dla dogodzenia własnym sprawom, i niczem, nawet królewskim majestatem nie ukróconym fantazyom.

Wyzysk i ucisk tych możnowładców gnębiły i ugniatały kraj cały, ale i sprawiedliwości nikt znaleść nie mógł, gdyż trybunały i sądy drżały przed ich despotyzmem i nie liczącą się z niczem przemocą. W tym stanie rzeczy wystąpili naprzód do walki Brzostowski, Wileński i Kryszpin Żmujdzki, biskupi, w obronie dóbr kościelnych bezprawnie najeżdżanych i łupionych do tego stopnia, że w wielu miejscach świątynie nawet przez rozpasane żołdactwo zrabowane, stały pustkami.

Za duchowieństwem stanęli i inni możniejsi panowie, a za nimi, z wyjątkiem adherentów i popleczników co się przy tych możnowładcach żywili, cała uciśniona i wyzyskiwana szlachta. Działo się to w samym początku panowania Augusta II. Na wojnę inflancką zwołano pospolite ruszenie, na które zebrała się cała szlachta pod wodzą Wiśniowieckiego, ściągnął też i chorągwie swoje hetman Sapieha; dwa wojska, mające w obronie kraju wystąpić, znalazły się naprzeciw siebie — pycha i zaciętość z jednej strony, rozpaczliwa nienawiść z drugiej dostatecznemi były iskrami do wzniecenia pożaru. Nastąpiła znana bitwa Olkiennicka, w której Sapiehowie mimo swych wyćwiczonych a dobrze okrytych i uzbrojonych chorągwi pobici zostali na głowę; wziętego do niewoli hetmańskiego syna, Michała Sapiehę, łowczego W. Ks. L., zacnego i rozsądnego zresztą człowieka, który właśnie starcia owego wszelkiemi siłami odradzał, rozwścieczona szlachta rozsiekała na sztuki, wszelkie dobra Sapieżyńskie, gdzie się tylko dosięgnąć dało, zrabowano i zniszczono do szczętu. Była to straszliwa chwila zasłużonej zresztą kary; możny dom Sapieżyński ze szczytu potęgi runął od jednego zamachu i rozsypał się prawie w gruzy.

Z dumą i wyniosłością odrzucający przedtem wszelkie próby zgody i przedstawienia ludzi rozsądnych, przyciśnięci teraz i upokorzeni udali się do króla z prośbą o pomoc i pojednanie. Ale upadek Sapiehów, którzy lekceważyli sobie przedtem i władzę królewską, a w marzeniach swoich dążyli może nawet do oderwania Księstwa od Korony i ufundowania własnej dynastyi, nadto był pożądanym i szczęśliwym wypadkiem dla Augusta II., aby im miał szczerze dopomódz do odzyskania utraconej już

władzy i stanowiska. Król, wyćwiczony w obłudzie, nie żałował pięknych słów ani obietnic, czynnie i jawnie wziął się niby do pogodzenia zwaśnionych, ale jeszcze zręczniej i gorliwiej pracował nad tem, aby do zgody nie doprowadzić, ani Sapiehów do dawnej nie dopuścić potęgi.

Tymczasem zwycięski Karol XII., król szwedzki, znajdował się już na granicach Rzpltej; z drugiej strony stanął do walki król August II., wspierany przez potężnego sprzymierzeńca cara Piotra I. Cały kraj podzielił się na dwa wrogie stronnictwa — a Sapiehowie, spostrzegłszy się na obłudzie króla Augusta i chwytając się ostatniej deski ratunku, zawiązali stosunki z królem szwedzkim, wzywając go najpierwsi za pośrednictwem Stanisława Poniatowskiego, późniejszego kasztelana krakowskiego, do wkroczenia do Polski.

Ten pobieżny rys znanych zresztą wypadków, musieliśmy tu przedstawić dla rzucenia ogólnego poglądu na losy domu Sapiehów, który z prawdziwych zasług wzniósłszy się do najwyższego w kraju stanowiska, z własnej też winy upadł w chwili najnieszczęśliwszej. Gdy bowiem po stu latach prawie, znaleźli się tacy członkowie rodziny jak zacny książę Kazimierz Nestor, marszałek sejmu 4-letniego, książę Aleksander lub Eustachy, gotowi do pracy i poświęcenia dla kraju — natenczas było już za późno.

Niemniej jednak niezapomniane stanowisko, które zajmowali w ojczyźnie, kazało im od chwili upadku niezmordowanie walczyć dla odzyskania, jeśli nie przemożnej władzy, to utraconych dostatków i świetności rodziny.

Ta walka tłumaczy nam właśnie przebieg sprawy, którą mamy poniżej przedstawić.

Byłoby rzeczą zgoła niesprawiedliwą obwiniać wszystkich żyjących naówczas członków zasłużonej rodziny o nadużycia, jakie się działy na Litwie i wywołały tak smutne dla kraju i dla nich samych następstwa. Głową tej partyi był jak się zdaje podskarbi Benedykt, silnie wspomagany przez hetmana Kazimierza, a w części może i przez drugiego brata Franciszka, koniuszego W. Ks. L. i jenerała artyleryi, ile że i ze swego stanowiska za-

leżnym on był od najwyższego wodza. Między krewnymi z drugiej linii, Kodeńskiej, oraz młodszem pokoleniem, było bez wątpienia wielu nie mających czynnego współudziału w machinacyach podskarbiego, trzymających się na uboczu i nie we wszystkiem podzielających wyobrażenia przywódców. Do takich, jak się zdaje, należał nawet własny syn hetmana, Michał, koniuszy W. Ks. L., który jako najmniej winna ofiara, krwią własną jednak zapieczętował tę nieszczęsną sprawę. Cały dom wszelako, obyczajem ówczesnym, podlegając pewnej patryarchalnej karności, trzymał się dość solidarnie, i jak wspólnie z otrzymanej w kraju przewagi korzystał, tak też i przy upadku prawie w równej mierze wszelkie szkody ponosił. Z tych też powodów nie pojedyńczo, ale całym domem, przerzucili się następnie Sapiehowie do stronnictwa Karola XII. i Leszczyńskiego, mając nadzieję odzyskania na tej drodze wpływów, znaczenia, oraz pokonfiskowanych dóbr i odebranych starostw i godności.

Jakoż, jak wiadomo, sprawy szły zrazu bardzo pomyślnie, a choć się wlokły niesłychanie wolno, zwycięski oręż wojowniczego Karola rokował dla stronników jego najświetniejsze nadzieje. Przy tych jednak pomyślnościach, była jedna strona prawdziwie opłakana, niesłychanie trudna i uciążliwa — sam rodzaj tej wojny domowej, trwanie jej zbyt długie i brak środków pieniężnych do jej popierania. Cała taktyka Sasów ze sprzymierzeńcami z jednej strony, a wojsk Karola XII. i jego stronników z drugiej, polegała nie tyle na walnych bitwach i spotkaniach w polu, ile raczej na wałęsaniu się w partyzanckich oddziałach po wszystkich dzielnicach kraju, w jedynym celu rabowania i niszczenia z gruntu majętności, dóbr, wsi i folwarków swoich przeciwników.

Dla trzech wojsk obcych, to wykarmianie się na polskim chlebie, zdzierstwa i rabunki były najpożądańszem żniwem, ale trudnem jest do pojęcia, żeby nawet chęć zemsty i odwetu oraz zawiści stronnicze, mogły o tyle zaślepić synów własnej ziemi, żeby do podobnego spustoszenia dokładali ręki.

Musiało też być wygodnie wojskom obcym u nas, kiedy dopiero w lat dziewięć po upadku Karola zdołano ich ledwie

nieledwie za granicę wyprosić. Bądź co bądź, kraj w wielu miejscach zmienił się w prawdziwą pustynię; po dziś dzień pozostałe po lasach ślady zagonów, świadczące o niegdyś w tych miejscach uprawnej roli, odnoszą się do owej opłakanej epoki, co wiekiem drzew bez trudności sprawdzić się daje. Najmożniejszym panom urywały się dochody, trzeba było żyć z dawniejszych zapasów, które się wyczerpywały; za bezcen oddawano drobniejszej szlachcie folwarki w długoletnie zastawy; ci zaś, nie posiadając licznych i bogatych sprzętów, w razie niebezpieczeństwa rabunku bez trudności mogli się przed nieprzyjacielem ukrywać, tymczasem z folwarków ciągnęli co można, rachując na to, że gdy się wojna zakończy, będą mogli w czas spokojniejszy przez długie lata pobierać znaczne dochody. Największe ofiary ponosili stronnicy Karola XII. i Leszczyńskiego, zwłaszcza ci, którzy sztyftowali chorągwie po większej części swoim sumptem, czyli z własnej szkatuły. W ten sposób i dom Sapiehów, prócz strat po Olkiennickiej klęsce poniesionych, przez lat dziewięć czyli do bitwy pod Połtawą, do dna niemal wyczerpawszy nagromadzone z lepszych czasów zasoby, pozadłużał się tak, że większość dóbr poszła pod zastawy, a ciężary wartość ich prawie wyrównywały. Dwom tylko członkom domu Sapieżyńskiego dobra po Olkiennickiej bitwie nie były pokonfiskowane: Janowi, staroście bobrujskiemu, i Jerzemu, staroście wilkowskiemu, z racyi pokrewieństwa z domem Radziwiłłów; ale i ci w następstwie wojny domowej wielkie majątkowe straty ponieśli.

Główni przywódcy i przedstawiciele domu Sapiehów przeszedłszy, jak się wyżej wspomniało, na stronę króla szwedzkiego, nie dotrzymali jednak do końca; podskarbi Benedykt umarł w roku 1707 w Berlinie, hetman złamany wiekiem i przeciwnościami oglądał się, komuby ze swoich najbliższych mógł wręczyć buławę; zdaje się, że król Stanisław miał już w myśli jakiegoś do niej upatrzonego pierwej kandydata, ale Sapieha chciał ją złożyć jedynie w ręce któregoś z członków własnej rodziny; za wdaniem się więc Karola XII., konferował ją wreszcie Leszczyński synowcowi hetmana, synowi Franciszka koniuszego W. Ks. L., staroście bobrujskiemu, Janowi Sapieże. Nowy hetman w pełni

sił, był, jak współcześni świadczą, dobrym żołnierzem i wodzem, wiele potyczek przeprowadził zręcznie i szczęśliwie, ale nadewszystko umiał on swoje chorągwie trzymać w posłuszeństwie i wielkiej karności; przyzwyczajone do swawoli, nadużyć i wszelkiego we własnym kraju łupiestwa, za starego hetmana, musiały się ugiąć pod silną ręką nowego wodza i wyrzec się dawnych wybryków. Nie we wszystkiem też, jak się zdaje, podzielał starosta bobrujski wyobrażenia swych stryjów i ubolewał głośno nad wojną domową. Jakoż, niedługo piastował wielką buławę, złożył ją bowiem natychmiast po bitwie Połtawskiej w 1709 roku, a August II. oddał hetmaństwo ulubieńcowi swemu Ludwikowi Pociejowi z Rożanki. Pauli w Żywotach hetmanów mylnie podaje śmierć starego hetmana Kazimierza Sapiehy w roku 1703; umarł on bowiem dopiero w siedmnaście lat później; sprostował to w Monografiach hr. Kossakowski, niewłaściwie tam jednak wzmiankuje w tymże 1703 roku o złożeniu przez niego buławy; niewątpliwą wiadomość o tem znajdujemy w Pamiętnikach Zawiszy, który zapisuje oddanie buławy przez hetmana w ręce synowca w roku 1708. Tym sposobem starosta bobrujski przez rok tylko cieszył się dostojeństwem hetmana, ale i ten czas wystarczył, żeby się na tem stanowisku znacznie podrujnował. Sprawa Leszczyńskiego upadła, należało się pogodzić z losem i myśleć o podźwignięciu fortuny; submittował się więc królowi Augustowi oraz carowi i przyjęty był przez nich dość łaskawie; zwrócił też na siebie szczególną uwagę cara Piotra, powagą i wspaniałością postawy. Tu się zawiązały bliższe stosunki przyjaźni Sapiehy ze sławnym ministrem dyplomatą, feldmarszałkiem, ulubieńcem i prawą ręką cara Piotra, kniaziem Menszykowem [1].

Car Piotr cywilizując i z gruntu reformując państwo, dobrze to pojął, że nowy system i nowy porządek tylko posługując się nowymi ludźmi wprowadzić można; z własnych poddanych miał takich niewielu, wyjątek prawie pod tym względem stanowił Menszyków, który z prostego piekarczyka wzniósł się

[1] Podpisywał się po rosyjsku: Меншиковъ. *(P. A.)*

do najwyższych dostojeństw. I musiał to być umysł rzeczywiście niepospolity, skoro zaledwie nauczywszy się czytać i pisać, był jednak i dobrym wodzem i marynarzem i jednym z najwytrawniejszych dyplomatów swojego czasu. Zdaje się, że mu nie tyle chodziło o bogactwa, lubo monarcha uposażał go bardzo hojnie, ile raczej o znaczenie, honory i tytuły, co też psychologicznie łatwo tłumaczyć się daje.

Tytuły, których Menszyków używał w dokumentach oryginalnych, dla charakterystyki niżej wykażemy.

W sprawach dyplomatycznych i reformatorskich car Piotr posługiwał się wielu cudzoziemcami, jako pionierami cywilizowanego świata; rozpatrując się jednak w naszych współczesnych listach, papierach i dokumentach, ze zdziwieniem spostrzegamy ogromną liczbę Polaków, którzy, zwłaszcza po ukończeniu wojny szwedzkiej, zostawali w najrozmaitszych funkcyach i posługach cara i roili się w Moskwie, Petersburgu i wszędzie, gdzie się pod ręką reformatora nowy jakiś zaprowadzał porządek.

Rzecz to była jednak naturalna; car Piotr przez lat kilkanaście nieustannych prawie z Polską stosunków, najłatwiej i najbliżej znajdował tu ludzi jakich mu było potrzeba, okrzesanych i ukształconych po europejsku, w dodatku, więcej niż każdy inny cudzoziemiec obznajomionych z pobratymczym językiem i obyczajem; długa wojna domowa zrujnowała przytem wielu, którzy spieszyli do sąsiedniego kraju dla krescytywy. Głównym nawet, osobistym, ulubionym cara Piotra sekretarzem przybocznym był przez długie lata Polak Nartowski, który, ożeniwszy się później z Rosyanką, przezwał się Nartowem.

Wojska cara Piotra, jak wspomnieliśmy wyżej, długi czas jeszcze pod różnemi pozorami konsystowały w Polsce, najdłużej zaś na Litwie, rozstawiając się i zajmując kwatery bez pytania, gdzie im wypadało, wybierając furaże, plondrując i dopuszczając się nieskończonych bezprawi. Na sejmikach i sejmach była to główna kwestya, o której najwięcej rozprawiano i hałasowano; cały kraj się oburzał, sypały się tysiączne manifestacye i protestacye po grodach o tak zwane eksorbitancye, czyli nadużycia; domagano się u dworu najenergiczniejszych środków,

aby się pozbyć uciążliwych gości. Wysłano do cara w sprawie Inflant i wycofania wojsk zarazem, w wielkiem poselstwie gładkiego i dość wytrawnego, ale niezbyt energicznego, Chomętowskiego, wojewodę mazowieckiego, który nic jednak nie wskórał.

Tymczasem masy wojska pod jenerałem Wejde i Repninem nie ruszały się z kraju, a brygadyer Roop zabierając zboże gdzie go tylko znalazł bez pytania zsypywał nawet magazyny w Grodnie, Kownie i w Wilnie. Była to kwestya tak ważna, że panowie senatorowie nie dawali o nią ani chwili spokoju Dołhorukiemu, rezydentowi cara przy dworze króla Augusta. Podążył wreszcie do Petersburga w 1718 roku, twardy i nieugięty Poniński, starosta kopanicki; po długich kołataniach, wyszły rozkazy ewakuacyi, ale wojska pomimo tego nie ruszyły się jeszcze z miejsca.

Największe uciążliwości z tego pobytu wojsk obcych spadały na włościan i drobniejszych właścicieli ziemskich, lubo i większe posiadłości a nawet magnackie dobra nie były niekiedy wolne od ucisku i wielu nadużyć. Pomimo tego jednak w ukształceńszej warstwie społeczeństwa dobrze rozumiano, że o ile oficerowie i starszyzna wojskowa nie czynią osobiście żadnych wybryków, nie są też winni ani odpowiedzialni za ten pobyt swój w sąsiedzkim kraju, spełniając w tem jedynie rozkazy wyższej władzy. Stąd też jeśli między wojskowymi rosyjskimi znajdowali się ludzie więcej wykształceni, ze znakomitych pochodzący rodzin i mający ogładę światową, zawiązywały się z miejscową szlachtą i panami nietylko uprzejme, ale niekiedy i bardzo przyjacielskie, utrwalone długiem obcowaniem stosunki. Należy bowiem pamiętać, że naówczas zawiści plemienne, w pewnych celach w ostatnich dopiero czasach poddmuchiwane, nie istniały i były zupełnie rzeczą nieznaną.

Jan Sapieha eks-hetman, starosta bobrujski, zaprzyjaźnił się, jak powiedzieliśmy wyżej, z feldmarszałkiem Menszykowem, następnie zaś, przebywając w rezydencyi swej w Kossowie, w bardzo dobrych i przyjacielskich zostawał stosunkach z konsystującymi w tamtych stronach wyższymi oficerami, jakoto z hr. Paninem, który stał niedaleko Kossowa w Słonimie, z jenerałem

Żukowem, mającym kwaterę w okolicach Bobrujska, i z wielu innymi, których nazwiska spotykamy w pozostałych listach i papierach.

Eks-hetman posiadał w Wielkopolsce dobra Koźmin, Wieluń i Radlin, na Litwie zaś Kossów, główną rezydencyę, oraz starostwa zdzitowskie i sokołowskie w nowogródzkiem, i bobrujskie w mińskiem województwie, wszystkie trzy nie grodowe; żonaty był z Ludwiką Opalińską, z której córka była za Michałem Sapiehą wojewodą podlaskim, i synów trzech: Franciszek w stanie duchownym opat koprzywnicki, Paweł starosta sokołowski, i Piotr naprzód stolnik W. Ks. L., później wojewoda smoleński. Niesiecki pisze, iż Piotr żonaty był z Maryą Menszykowówną, córką sławnego feldmarszałka, ulubieńca Piotra Wielkiego. Hr. Kossakowski w Monografiach prostuje tę wiadomość, podając że żoną jego była Marya Skowrońska. I w istocie Piotr Sapieha żonaty był ze Skowrońską, ale imię Maryi zapożyczone tu jest od córki Menszykowa — zamiast Zofii, które nosiła Skowrońska. Gmatwanina ta wynikła właśnie z powodu bardzo niezwykłych i ciekawych okoliczności, które towarzyszyły małżeństwu Sapiehy, i byłyby zapewne zostały całkiem nieznane, gdyby, szczęśliwym trafem, nie przechował się w części po-Sapieżyńskich papierów, rozproszonych po świecie, fascykuł, który się do rąk naszych dostał. Zawiera on najważniejsze dokumenta odnoszące się do tej sprawy, wychodzącej, zdaniem naszem, poza ramy heraldyki samej albo interesu rodziny, a zasługującej z wielu szczegółów na bliższe poznanie, choćby w tym pobieżnym zarysie, który tu wedle autentycznych dokumentów podajemy.

Starosta bobrujski, złożywszy krótko piastowaną buławę w ręce Augusta II., usunął się, pozornie przynajmniej, od spraw publicznych i zamieszkał w Kossowie, mając po Olkiennickiej klęsce szczęśliwie ocalone od zaboru i dobra własne i starostwa jakie posiadał, dzięki koligacyi z Radziwiłłami. Matka bowiem starosty bobrujskiego, również jak i braci jego: Jerzego starosty wilkowskiego i Józefa podskarbiego nadwornego litewskiego, Anna, była w powtórnem małżeństwie za Dominikiem

Radziwiłłem, kanclerzem W. Ks. L. Wpływ Radziwiłłów w stronnictwie przeciwnem Sapiehom, dobra ich ochronił przynajmniej od konfiskaty, niemniej jednak z racyi długoletniej a niesłychanie niszczącej wojny domowej uległy tak starostwa jakoteż i dziedzictwa wielkim spustoszeniom, nadto zaś, w dobrach dziedzicznych, większa część folwarków poszła pod zastawy, a i na pozostałych piętrzyły się liczne i uciążliwe długi.

Przez lat jedenaście prawie, bo aż po rok 1720, mało odszukać się daje wiadomości o staroście bobrujskim; wspomina o nim kilka razy, wkrótce po złożeniu buławy, w Pamiętniku swoim Krzysztof Zawisza, w mniej ważnych sprawach; oddany on był bez wątpienia pracy nad podźwignięciem obarczonych ciężarami majątków. Łacniej wszelako i nierównie prędzej przychodzi upadek aniżeli podniesienie fortuny i postawienie jej w równowadze. W jakim stanie był kraj cały w owej epoce, dobrze nam maluje Otwinowski: „Podczas owej 15-letniej wojny w Polsce — mówi kronikarz — tysiącami takich wsiów mógł rachować a osobliwie królewszczyzn, że tylko niebo a ziemia została“. Tak też i Stanisław Ledochowski, marszałek konfederacyi tarnogrodzkiej, przy otwarciu sejmu Niemym zwanego w 1717 roku, przemawia do króla: „szczególnie całość dostojeństwa W. K. M. i w popiół za panowania Twego obróconą dźwigamy ojczyznę, którą trzymając, domów i fortun naszych pozbyliśmy“. Dalej też, mówiąc o tym sejmie, Otwinowski dodaje: „a o saskich swywolach i excesach ani wzmianki uczyniono... o niezliczone spustoszenia i rabunki dworów szlacheckich żadnej satysfakcyi nie uczyniono“. A niżej dodaje: „grasowało w Polsce i powietrze okrutne od roku Pańskiego 1704 aż do 1712, zdychanie także bydeł podczas tejże samej wojny trwało kilka lat, które było przywiezione z Wołoch przez kupców woły tameczne do Szląska i Gdańska przeganiających, a to się długi czas co rok odnawiało“. Tylko lata 1721 i 1723 jako urodzajne kronikarz podaje. W takich warunkach wyludnienia i opustoszenia niemało trzeba było pracy i zabiegów, aby w polach i folwarkach zaprowadzić jaki taki ład i porządek i osiągać dochody; stokrotnie zaś zadanie to utrudniały ciążące na mająt-

kach długi, które dopiero przez wiele lat spokojnej pracy mogły być częściowo spłacane. Nie dziw więc, że jeszcze w roku 1720 widzimy dobra starosty bobrujskiego, po większej części folwarkami pooddawane, w zastawach dłużników, ze wszech stron naciskających, i interesa wielce powikłane.

Tu, dla objaśnienia wypadków następnych, nadmienić musimy, że, jak się z będących w posiadaniu naszem dokumentów okazuje, feldmarszałek i minister Piotra W., Menszyków, posiadał natenczas w województwie witebskiem, starostwo grodowe orszańskie, jak się domyślać można, nadane mu przez Augusta II. zapewne w epoce dobrych stosunków króla z carem, dla pozyskania życzliwości wszechwładnego ministra. Czy to konferowanie starostwa obcemu ministrowi zgadzało się z prawami Rzpltej, rzeczą jest wątpliwą, ile że i na sejmie w późniejszym czasie, jak widać z korespondencyi Menszykowa z Janem Sapiehą, sprawa ta była poruszoną; tem bardziej, że nowy starosta orszański nie ustanowił nawet substytuta czyli podstarosty w sądzie grodzkim orszańskim, przez co cała tamtejsza szlachta pozbawioną była najpierwszej i najważniejszej juryzdykcyi miejscowej. Bądź co bądź, z racyi owego starostwa, Menszyków miał w tamtych stronach stosunki z ludźmi, których też spotykał i Jan Sapieha, kiedy bywał w swem starostwie bobrujskiem, nieopodal od Orszy leżącem.

Naonczas, w r. 1720, syn starosty bobrujskiego, Piotr, noszący już tytuł starosty zdzitowskiego, a późniejszy (1754) wojewoda smoleński, musiał mieć, jak miarkować można, około lat ośmnastu, i właśnie go miał ojciec, wedle przyjętego obyczaju, wyprawić w podróż za granicę, kiedy zaszły ważne okoliczności, które ten zamiar zmieniły.

Konsystujący w tamtych stronach jenerał-major Żuków, oraz JMĆPan Larski, pułkownik i sędzia ziemski orszański, rzucili staroście bobrujskiemu myśl, że syn jego Piotr mógłby ożenić się z córką Menszykowa, Maryą, której bardzo znaczne wiano posłużyłoby do spłaty wielu dłużników i podźwignięcia ciężarami obarczonej fortuny. Projekt ten nawet, jak z dokumentu widać, powziął niewątpliwie najpierwej sam Menszyków, jedynie dla

wysokiej koligacyi z Sapiehami i stan ich interesów znając, co też jest doskonałym i wybitnym szczegółem malującym charakter człowieka. Jak mogli się zapatrywać dumni z odwiecznych dostojeństw, z parenteli i krwi swojej Sapiehowie, na małżeństwo jednego z członków swej rodziny z córką moskiewskiego piekarczyka, lubo nosił on już i tytułów niemało i był ulubionym ministrem jednego z najpotężniejszych naówczas monarchów — pojąć nietrudno; przeważyły jednak względy polityczne i finansowe. Dla wywiedzenia się więc i zbadania tej sprawy daje naprzód starosta bobrujski notatkę, z dołączeniem jak się zdaje i portretu syna, jadącemu właśnie czy też umyślnie może wysłanemu do Petersburga JMCiPanu Janowi Grudzińskiemu, staroście rawskiemu, który wszelako niewiadomo w jakiej funkcyi zostawał w służbie cara Piotra, lub być może iż tę służbę przyjął nieco później, gdyż spotykamy w papierach pod r. 1728 plenipotencyę wydaną w Moskwie przez niego Piotrowi Sapieże staroście zdzitowskiemu, „do odbioru zaległej Grudzińskiemu od dwóch lat przeszło pensyi ze skarbu carskiego“, której nie pobierał będąc wysłany, jak pisze, do boku starosty bobrujskiego.

W punktach notatki danej Grudzińskiemu przez starostę bobrujskiego, d. 4 listop. 1720 roku w Warszawie, zaleca on mu, aby naprzód oświadczył komplementa feldmarszałkowi JMCiKsięciu Menszykowowi, oznajmił, że radby aby syn jego Piotr starał się o córkę księcia, „w tym zaś“ (punkt 2-gi) „IMCPan starosta wyzna, że ta śmiałość konkurenciey pochodzi z pochopu IMCPana Generała Żukowa i IMCPana Larskiego sędziego Orszańskiego, dlatego opowiedzieć to nie omieszka i wyrozumie Xięcia Jegomości Menszykowa“; dalej oznajmia starosta bobrujski, że właśnie miał syna wysyłać za granicę, ale wyjazd jego wstrzymał, „i jeśli“ (punkt 5-ty) „IMCPan starosta zrozumie rezolucyą Xięcia IMCi faworyzującą, tedy nie portret ale samego wyprawi do skłonienia się Xciu IMCi y podziękowania jako najuniżeńszego z weneracyą powinną Xciu IMCi Dobrodziejowi“. Kończy wreszcie polecając prosić o prędką odpowiedź, aby syna nie wstrzymywać, i każe: „wziąwszy replikę“ (punkt 7) „jako najprędzej

ją ordynować (odesłać) aby mój syn na zapusty stanąć mógł u Xięcia Jegomości".

Dodać tu musimy, że Piotr Sapieha mógł mieć lat natenczas, jakeśmy wyżej powiedzieli, około ośmnastu, a księżniczka Menszykowówna zaledwie dziesięć lub jedenaście. Jakoż, nie chodziło tu bynajmniej o natychmiastowe małżeństwo; przyczyna skwapliwości w układach i zapewnienia się, że małżeństwo zawarte zostanie, występuje jasno w dalszym przebiegu tej sprawy.

JMĆPan Starosta rawski sprawił się jak należy, punkta Sapiehy przetłumaczone na język rosyjski i przepisane na arkuszu, *fracta pagina*, podał Menszykowowi, a ten natychmiast na drugiej stronie, punkt w punkt, udzielił „rezolucyę". Naprzód więc grzeczność za grzeczność, dalej powiada, że zamierzony związek małżeński syna starosty bobrujskiego ze swoją córką uważa za „przyjaźny", w rozmowie zaś z jenerałem Żukowem i sędzią ziemskim Larskim „było o tem wspominano"; pisze, że gdy młodzi dojdą do lat powinni się poznać, i wzajemnie się sobie podobać, że starościc mógłby edukacyę odbywać i we własnym kraju, ale to zostawia do woli i uznania ojca, i kończy, że portret starościca będzie mu bardzo miły, ale najprzyjemniejsza jego własna osoba, którą bardzo rad będzie przyjąć w swoim domu.

W tym czasie car Piotr I. prowadził właśnie zaciętą i wytępiającą wojnę na wybrzeżach Szwecyi, chcąc zmusić Fryderyka, męża królowej szwedzkiej Eleonory, do ustępstw i zawarcia traktatu, który też i podpisany został w początkach września 1721 roku w Nysztacie. Dlatego też i dalsze układy Sapiehów z Menszykowem wstrzymane widzimy aż do połowy następnego 1721 roku; znoszenia się bowiem w owym czasie w tak znacznem oddaleniu były niełatwe, a wiadomości obiegały, że i Menszyków towarzyszył carowi w tej wyprawie wojennej; lubo, jak się okazało, głównym działaczem w układach nysztackich był minister Osterman, bardzo wytrawny i przebiegły dyplomata, zostający w służbie rosyjskiej. Menszyków jednak i car Piotr bawili latem 1721 w nowej stolicy. Otrzymawszy też o tem wiadomość, starosta bobrujski w lipcu wyprawia tam syna wraz ze

starostą rawskim J. Grudzińskim i surrogatorem województwa wileńskiego Benedyktem Janem Molskim starostą strubiskim, dając im stosowną instrukcyę i pełnomocnictwo datowane ze Słonima d. 6 lipca 1721. W punkcie 1-szym owej instrukcyi powiada naprzód, że stosując się do żądania księcia Menszykowa wysyła syna, że przyczyną opóźnienia jego wyjazdu były pogłoski o udaniu się księcia z flotą na morze; dalej powiada, że jeśli przyzwolenie na małżeństwo nastąpi, prosi żeby ta akceptacya mogła być zakończona „z ceremonią cerkiewną, ponieważ ustawiczna korrespondencya już by być musiała o której różne by supozycye formować mogli złą interpelacyą domu mego y partykularnie osoby mojej gdyby dalsza prolongacya znajdować się miała albo tylko deklaracyą była teraz zakończona". W punkcie 4-tym powiada, że „jeśli do ślubem warowanego skutku przyjdzie, a potem i do kontraktu, P. P. Komisarze mają objaśnić jakie są w takich razach zwyczaje i prawa Polskie"; co do warunków zaś, powiada, że nie przesądzając jaki będzie posag księżniczki, należy starać się, aby takowy lokowany był na jakich dobrach w Polsce, to jest albo „na majętność Czerkowską, albo na Krotowską", które są blizko dóbr starosty bobrujskiego, a nie na dobra syna jego, gdyż korzystniej jest mieć fundusze na kilku dobrach niżeli na jednych oparte, a jeżeli na dobrach syna, to lokować można posag księżniczki na Wieluniu i Koźminie.

Oprócz powyższej instrukcyi i plenipotencyi daje Sapieha swym pełnomocnikom własnoręcznie napisane, z sygnetową małą pieczątką i podpisem:

„Punkta do Najjaśniejszego Cara IMCi",

które w całości brzmią jak następuje:

„1) Najniższe podziękowanie JE. Carskiej Mci uczynią Ichmć, że przez konsens swój JE. C. Mć w pierwszej swojej rezolucyi na suplikę IMCP. Starosty Rawskiego dał swój Pański konsens do konkurencyi o JO. Xiężniczkę JMC. Menżykównę synowi memu, za co do podziękowania i upadnienia do nóg JE. Car. Mci stawa sam syn mój.

„2) U tegoż Najj. Monarchy suplikować będą ciż sami IMC

niosąc prośbę o dalszy Cara IMCi konsens do zakończenia konkurencyi syna mego przy dozwoleniu Jaśnie Ośw. Xięcia IMCi Menżyka.

„3) Dadzą Ichmość tę explikacyą suplikowania u JE. Car. MC Majestatu aby tą razą jeżeli Boska i Naj. Car. IMCi jest dyspozycya, aby syn mój mógł być godnym postanowienia tego aby się tą razą mogło wszystko zakończyć dla supozycyi explikacyi przeciwnej że dom mój ma jakie praktyki, a osobliwie ja adresując się często do Majestatu JE. Carskiej Mci.

„4) Wywiodą Ichmość Naj. Carowi IMCi statum domu naszego w jakich nieszczęśliwościach zamachu kontinującego się znajduje, a przez kolligacyą postanowienia tego dając jako w zastaw wdzięczność z wiernością złączonej, spodziewamy się z całym domem naszym w łaskawej zostawać pamięci JE. Carskiej Mci.

„5) Upewnią Ichmość JE. C. Mć o prawdziwej wierności mojej partykularnej przy submissyi i całego domu życzliwości, do których punktów podpisuję się".

Pod tą samą datą 6 lipca w Słonimie i syn, starosta zdzitowski, wydaje pełnomocnikom blankiet zapewniający przyszłej żonie „zapis intercyzyjny", obiecując takowy przyznać w Trybunale głównym W. Ks. L. w Wilnie, sądzącym się na kadencyi wileńskiej podczas terminu sądzenia spraw powiatu słonimskiego w roku następnym 1722. Na blankiecie podpisani jako pieczętarze ciż sami pełnomocnicy: Grudziński i Molski, oraz Stanisław Mirowski.

Oprócz tego starosta bobrujski dał jeszcze pełnomocnikom najważniejsze dodatkowe punkta w przewidywaniu, gdyby układy doszły już zupełnie do skutku, polecając naprzód, aby w takim razie porozumieli się z księciem, czyby córka jego nie mogła przybyć do Polski dla „obeznania z kolligowanemi d a m a m i", „oraz expostulować będą Ichmość exponując że tak p r z e z n i e ł a s k ę J e g o K r ó l e w s k i e j M o ś c i jako też przez wojnę p r z y j ś ć m u s i a ł a f o r t u n a w r u i n ę, więc jeżelibym (czybym) nie mógł mieć to z łaski Xięcia, aby na zniesienie pewnych na dobrach długów mógł mieć jeszcze przed św. Michałem *in eim* p o s a g u sumę pięciukroć stotysięcy, którą sumę na do-

brach oprócz syna mego zapisanych, assekurowałbym znosząc nią długi z tychże samych dóbr, a te pieniądze byłyby po dwóch leciech na dobra inne dla Xiężniczki wniesione“, i w takim razie żeby książę z pieniędzmi przysłał kogoś od siebie.

Układy pełnomocników o tyle na razie doszły do skutku, że w tym czasie, jak się zdaje, musiały się odbyć solenne i oficyalne zaręczyny narzeczonych, o czem w dalszym ciągu sprawy jest wspomnienie; przyczem, zeznany i spisany został akt przez obojga małżonków książąt Menszykowych, przyrzekający córkę Maryę oddać w zamęście Piotrowi Sapieże staroście zdzitowskiemu, w czasie mającym się w przyszłości oznaczyć; na który czas, za półrocznem wpierw zawiadomieniem, ma się stawić do ślubu starosta zdzitowski, pod utratą zapisów równocześnie na rzecz przyszłej swej małżonki uczynionych.

Akt ten spisany jest w języku ruskim, kirylicą, z własnoręcznym podpisem Menszykowa. W tym samym czasie zapewne narzeczony księżniczki zaliczony został do lejbgwardyi carskiej i musiał otrzymać jakiś urząd dworski, o czem niżej.

(Dok. nast.).

Kajetan Kraszewski.

ZASŁUGA KOPERNIKA W FILOZOFII.

Cztery wieki temu królowa wiedzy, filozofia, przebywała dobę zastoju. Wybitniejsi myśliciele narzekali, że zjałowiało już pole, na którem szkoła perypatetyczna szukała prawdy; samodzielniejsze umysły torowały nowe drogi dla myśli filozoficznej, ale nie wszyscy w jednym zastępie ruszyli do walki o postęp: różne hasła w ich ustach brzmiały. Z jednej strony dolatywały głosy, które przyznawały, że budowa, wzniesiona na podwalinach nauki Arystotelesa, potrzebuje w wielu miejscach naprawy, ale nie żądały zupełnego rozbratu z ówczesną filozofią szkolną; z tem hasłem wystąpili: Mikołaj Kuzańczyk (1401—1464), Piotr Pomponatius (1462—1524), Juliusz Cezar Skaliger (1484—1558), Andrzej Caesalpinus (1519—1603) i ich uczniowie. Z drugiej strony stali obozem wrogowie Arystotelesa: obaj hrabiowie (Jan 1463—1494, Franciszek 1469—1533) Pico de Mirandola, Wawrzyniec Valla (1415—1465), Ludwik Vives (1492—1540), a po nich sławni: Gassendi, Giordano Bruno, Dekart i jego zwolennicy, którzy wymagali filozofii zbudowanej na zupełnie nowych podwalinach.

Tych głównie przywódców dziejopisowie stawiają na czele każdego zastępu, który poszedł nowemi drogami na zdobycz prawdy. Ale czy w tym spisie nie brakuje jednego z najzasłużeńszych pracowników w dziedzinie filozofii? Czy pomiędzy jej odnowicielami nie powinno słynąć także imię Kopernika?

Kiedy siejba jego astronomicznej nauki zaczęła przynosić swój plon w dziedzinie pojęć kosmogonicznych, wtenczas przed

okiem filozofów stawały nieznane przedtem widnokręgi myśli: przez to twórca nowej astronomii wywarł wpływ, przynajmniej pośredni, na postęp filozofii. Takiej zasługi względem królowej nauk nie odmawiają Kopernikowi dziejoznawcy, choć ledwo wspominają o niej mimochodem, i niewiele ważniejsze stanowisko jemu przypisują w rzędzie odnowicieli oświaty, aniżeli np. Guttenbergowi za wynalazek druku.

Niektórzy cudzoziemcy prawie zupełnie milczą o Koperniku, kiedy stawiają pomniki dla właściwych założycieli odrodzonej filozofii. Czyżby można tych pisarzy podejrzywać, że, zapoznani wyłącznie z chlubą własnej ojczyzny, niedość oceniają zasługi postronnych myślicieli? Nie można zaprzeczyć, że narody czasem aż do przesady podziwiają swoich ziomków. Łatwo spotkasz np. Włocha, który spojrzy na ciebie, jak na nieuka, jeżeli nie Brunona albo Galileusza nazwiesz naczelnym wodzem krzewicieli nowożytnej oświaty. Jeżeli dowództwa w pochodzie nowszych filozofów nie przyznasz Dekartowi, czy każdy Francuz da tobie przyjść do słowa? Anglik pozwoli wygadać się każdemu, ale sam złoży hołd Bakonowi. Niemiec szczegółowo rozbierze zasługi Galileusza, Dekarta i Bakona, ale w nich wszystkich uczci przesłanników nowego Sokratesa: Emanuela Kanta.

Jednak nie możnaby na pewno twierdzić, że to z patryotyzmu cudzoziemcy usuwają kanonika warmińskiego z widowni filozoficznej, i tylko ogólnikowo wspominają o jego pośrednim wpływie na postęp oświaty. I Polska dla jego zasług ściśle filozoficznych prawie nie ma słowa pochwały. Ledwo jakby szeptem wspomina o nim ten i ów, np. Józef Aleksander ks. Jabłonowski, wojewoda wileński, który w toruńskim kościele św. Anny wystawił pomnik Kopernikowi, jako „filozofowi polskiemu“. Taka nazwa należy do wawrzynów, rzadko tylko wkładanych na czoło Kopernika: zwykle i głośno słyną tylko jego zasługi w astronomii.

Dlaczegóż Kopernik tak mało zbiera wieńców jako filozof?

W jego dziele „o obrotach ciał niebieskich“, pierwsza księga tak głęboko wchodzi w tajniki filozofii ówcześnie uprawianej, że z poglądów, przez niego wprowadzonych wbrew nauce perypatetycznej, niełatwo zda sobie sprawę, kto niedokładnie zbadał

zakres pojęć szkoły Arystotelesa; a choć wielu pisarzy polskich i obcych dawało światu poznać zasługi nieśmiertelnego Toruńczyka, ale żaden z nich nie znał zawodowo filozofii średniowiecznej: może ta przeszkoda utrudniła im rzetelną ocenę zasługi Kopernika w filozofii. Filozoficzna nauka Kopernika, dla ludzi przywykłych do nowoczesnych pojęć niedość zrozumiała, mogła w swoim czasie wywrzeć potężny wpływ na szkołę perypatetyczną i przeobrazić jej pojęcia, ale dziś nie zwraca na siebie należytej uwagi [1].

Możnaby także przypuścić, że dla innej jeszcze przyczyny głucha cisza prawie bez przerwy panuje nad filozoficznym wpływem Kopernika. Tę przyczynę możnaby odgadnąć uważając, o czyim wpływie na przełom filozoficznych pojęć donoszą dziejopisowie najobszerniej. W ich opisach nie słyną głośno orędownicy naprawy średniowiecznej filozofii chrześcijańskiej; ci obrońcy szkoły perypatetycznej, choć w jej starożytnej budowie wytykali miejsca oparte na piasku, choć pokazywali, na których szańcach tej twierdzy trzeba sypać nowe wały, jednak jej burzyć nie myśleli, a pracowali nad tem, żeby zabezpieczyć rzeczywiste zdobycze poprzedników i na odświeżonych podwalinach prowadzić dalej ich dzieło. Kiedy ich sława nie zdobywa wielkiego rozgłosu, szerokie miejsce w księdze dziejów zostaje na opis dzieła filozofów, którzy zniecierpliwieni żółwim krokiem naprawy, woleli obalić całą szkołę perypatetyczną, żeby na jej zwaliskach budować nowożytną świątynię wiedzy, niezależnej od zatęchłych poglądów średniowiecznych.

Jeżeli nie z takim hasłem na ustach stanął do walki Kopernik, jeżeli jego wpływ, choćby pierwszorzędny i ściśle filozoficzny, nie sprzyjał dziełu burzycieli, a tchnął duchem naprawy:

[1] Z tego samego powodu nie wszędzie odpowiada myśli Kopernika polski przekład jego dzieł, dokonany przez Jana Baranowskiego w warszawskiem wydaniu z 1854 r. Choć filologicznie można wiernym nazwać ten przekład, jednak wyrazy w nim użyte osłabiają nieraz siłę filozoficznych dowodów Kopernika i mglistemi zwrotami nie dorównywają jego przejrzystej myśli. Dlatego nie może korzystać z pracy p. Baranowskiego, kto chce należycie zbadać filozoficzne stanowisko Kopernika.

w takim razie nie dziw, że mało słychać o jego zasłudze w filozofii.

Czy w rzeczy samej Kopernik zdobył sobie ścisłe prawo do nazwy odnowiciela filozofii, jako krzewiciel spokojnej naprawy, a nie zwolennik burzliwego przewrotu?

Do odpowiedzi na to pytanie trzeba znać związek między astronomią Kopernika a filozofią, i najprzód zdać sprawę ze zjawisk astronomicznych, które wywołały spór między Kopernikiem a Ptolomeuszem, potem wyłuszczyć starożytne poglądy które perypatetyków wciągnęły do walki przeciw Kopernikowi w obronie Ptolomeusza, a z drugiej strony zestawić nowsze poglądy, wniesione do filozofii przez Kopernika; nakoniec, przynajmniej krótko rzucić okiem na wynik walki, która szkołę perypatetyczną uwolniła z więzów starożytnej fizyki, żeby ją odnowić w duchu nowoczesnej nauki.

Jakie zjawiska astronomiczne wywołały spór między Kopernikiem a Ptolomeuszem?

Gdziekolwiek okiem powiedziesz po stropie niebieskim, wszędzie wspaniały orszak gwiazd na nim zapalanych w pogodny wieczór, przemówi do ciebie tajemniczym głosem, który od wieków zajął człowieka. Na tę kartę wielkiej księgi świata podniosła astronomia oczy, żeby wyczytać myśl, którą kreślą na niej obroty i ruchy słońca i gwiazd po niezbadanych przestworach.

Najsilniej zaciekawiły człowieka dwa zjawiska ruchu, odbywanego przez tarczę słoneczną. Przez pierwszy ruch, słońce przynosi nam światło, kiedy co rana wypływa na widnokrąg od strony wschodu, coraz wyżej zatacza drogę do południa, schodzi od południka na niższe szlaki i ginie wieczorem na zachodzie. Ten ruch codzienny ze wschodu na zachód, dał powód do niejednej waśni, ale drugi, roczny ruch tarczy słonecznej z zachodu na wschód, wywołał jeszcze sroższą burzę i więcej naruszył powagę szkolnej filozofii.

Jeżeli chcesz spostrzedz to drugie zjawisko, roczny ruch z zachodu na wschód, uważaj o której godzinie w różnych porach roku przechodzi przez południk którakolwiek z gwiazd sta-

łych, jaką wybierzesz do woli. Może twój wybór padnie na dwie jasne gwiazdy, nazwane bliźniętami albo Kastorem i Polluksem, i zechcesz śledzić ich bieg w drugiej połowie września. Powiedź w tej porze roku okiem o rannym świcie po sklepieniu niebieskiem, a znajdziesz obie te gwiazdy blizko południka. Kiedy stoisz z twarzą obróconą do nich, po lewej ręce masz wschodni strop nieba, zarumieniony zorzą na znak, że za chwilę tam zejdzie słońce; od wschodu słońca aż do południa upływa pod koniec września około sześciu godzin: więc sześciu godzin drogi będzie z początkiem jesieni potrzebowało słońce, żeby przebyć przestrzeń, jaka je dzieli od bliźniąt.

Ta przestrzeń rośnie z dniem każdym: codzień wcześniej przed wschodem słońca przejdą bliźnięta przez południk. Żeby je tam zobaczyć pod koniec jesieni, musisz już czuwać o północy. Kiedy spoglądasz na bliźnięta o tej porze, pod twojemi stopami mieszkańcy drugiej półkuli ziemskiej widzą słońce w południowym blasku: więc dwanaście godzin upłynie, nim zobaczysz nad sobą w południe słońce tam, gdzie teraz widzisz gwiazdy; to znaczy, że dwa razy dłuższą drogę słońce musi z końcem jesieni odbyć, aniżeli z początku jesieni potrzebowało, żeby przebyć przestrzeń, jaka je dzieli od gwiazd bliźniąt.

Żeby dalej śledzić, jak słońce codzień dalej zostaje w tyle za gwiazdami, o zmierzchu wieczornym pod koniec zimy spoglądnij na południk: zobaczysz tam bliźnięta. Na zachodzie może jeszcze zorza wieczorna rumienić będzie niebo: tam słońce zaszło przed chwilą, więc dopiero na drugi dzień, za ośmnaście godzin, słońce stanie w południku, przez który w tej chwili przechodzą bliźnięta. Już trzy razy dłuższa droga dzieli słońce od gwiazd, aniżeli dzieliła we wrześniu.

Jeżeli chcesz w maju widzieć bliźnięta w południku, to musisz pożyczyć szkieł astronomicznych, bo gołem okiem w południku ich już nie zobaczysz. W miesiącach wiosennych słońce codzień mniej wyprzedza bliźnięta, nakoniec w maju razem z niemi stanie w południku i zaćmi je blaskiem swoich promieni.

Tym sposobem roczny ruch tarczy słonecznej z zachodu na wschód opóźnia jej ruch dzienny ze wschodu na zachód:

dlatego słońce zdąży w przeciągu roku zwykłego tylko trzysta sześćdziesiąt pięć razy przejść przez południk, chociaż gwiazdy w tym samym czasie odbywają tę drogę trzysta sześćdziesiąt sześć razy.

Od najdawniejszych czasów zastanawiała człowieka zagadka obrotu ciał niebieskich, a szczególnie roczny ruch tarczy słonecznej. Rozwiązał tę zagadkę Ptolomeusz na swój sposób, ale póki jego nauka o biegu i układzie ciał niebieskich panowała na świecie, póty astronomia, jakby ciężka budowla, podtrzymywana ciągle nowemi podpórkami, więziła myśl ludzką i dawała przytułek zabobonnemu wieszczbiarstwu astrologów. Odkąd ta karta księgi przyrody znalazła na polskiej ziemi czytelnika, który umiał okiem geniusza spojrzyć na jej tajemnicze głoski, odtąd ruchy słońca, biegi i układ ciał niebieskich zajaśniały taką pięknością dziwnej prostoty w niezmiernym ogromie, że astrologia wróżbiarska ze wstydem ustąpiła z pola przed wspaniałą astronomią nowożytną: pod wpływem nowych myśli Kepler poświęca życie, żeby z gwiazd „odmyśleć myśl Stwórcy“, Galileusz czyta „chwałę i wielkość Boga Wszechmocnego w otwartej księdze niebios“, Newton woła: „nie jestże to dowodem, że zbliżamy się do Boga, w miarę, jak dochodzimy do praw coraz prostszych i ogólniejszych?“ — samego Woltera nawet natchnął nowy układ astronomiczny podniosłemi słowami wiary w liście do Emila o fizyce Newtona.

Jakie poglądy Arystotelesa wciągnęły szkołę perypatetyczną do walki przeciw Kopernikowi w obronie Ptolomeusza?

Astronomowie z podziwem słuchali Kopernika, a jednak szkolni filozofowie w uczelniach polskich i zagranicznych, katolickich i protestanckich, z gniewem i pogardą przyjęli jego naukę: potępili ją, jako zuchwałą napaść na prawdy odwiecznie uznane, jako mrzonkę, niegodną nawet miana hipotezy.

Czy istotnie Kopernik na wątłych podstawach oparł swoją naukę, a nauka Ptolomeusza spoczywała na pewniejszych dowodach? Czy przynajmniej w ówczesnym stanie oświaty mógł Ptolomeusz silniej, niż Kopernik, przekonywać umysły?

Namacalnych dowodów, które działają na zmysły, nie mógł na swoją obronę przywodzić ani aleksandryjski teoretyk, ani mędrzec toruński. Zmysły donoszą o zjawisku, a milczą o jego prawach, nie zdają sprawy z jego przyczyny. Śledzić te prawa i dociekać przyczyny: to zakres pracy rozumu. Oko spostrzega błękit, zasiany złotemi światłami, które z kolei jedne po drugich gasną, kiedy tarcza słoneczna spotyka je po drodze swojej z zachodu na wschód. To zjawisko rocznego ruchu tarczy słonecznej na pierwszy rzut oka tak wygląda, jak gdyby rzeczywiście słońce zmieniało miejsce na przestrzeni. Ale czy nigdy nie łudzi nas świadectwo zmysłów, nie zbadane bliżej? Czy nie byłeś kiedy w łodzi na środku jeziora? Naokoło wtenczas widziałeś może brzegi ziemi z daleka, a między niemi a twoją łodzią statek parowy, który zakrywał przed twojem okiem widok któregoś miasta, wioski albo wzgórz, rozrzuconych nad brzegiem jeziora. Jeżeli z poza parostatku z prawej strony, zaczęły występować domy miasta pierwej zakrytego, co chwila widziałeś ich więcej, parostatek powoli ustąpił zupełnie na lewo i zobaczyłeś całe miasto: niełatwo na pierwszy rzut oka rozpoznać, co z miejsca ruszyło: czy odpłynął na lewo parostatek a twoja łódź nie zmieniła miejsca, czy też łódź z tobą popłynęła na prawo a statek pozostał bez ruchu; zdałeś sobie z tego sprawę dopiero po rozwadze, jeżeli np. spostrzegłeś, że w twojej łodzi pracują wioślarze, albo że bliżej teraz jesteś prawego brzegu, niż przedtem. Ale w przestworach świata okiem nieobjętych, nieprzebytych rozumem, nie spostrzeżemy brzegów bliższych ani dalszych, nie dostrzeżemy namacalnych znaków, czy zjawisko ruchu tarczy słonecznej powstaje przy obiegu rzeczywistym słońca koło ziemi, jak wystawiał sobie Ptolomeusz, czy przy obrocie ziemi naokoło słońca, jak uczył Kopernik. Więc ani jeden ani drugi nie mógł swojego poglądu oprzeć na podstawie bezpośrednio spostrzeżonej: więc obaj musieli zejść z drogi czysto doświadczalnej a szukać dowodów oderwanych, ściśle rozumowych, musieli osnuć je na rozbiorze pojęć ogólnych i przeprowadzać w świetle zasad, branych w ówczesnej fizyce za prawa mechaniki kosmicznej.

Po wszelkie dowody ściśle rozumowe, nawet po ogólne za-

sady mechaniki, nie tam musieli chodzić dawni uczeni, gdzie dziś ich trzeba szukać. Dzisiejszy rozbrat między fizyką a metafizyką sprawia, że nie w uczelni filozoficznej, tylko na wykładzie fizyki poznajemy prawa mechaniki. Od filozofii świat starożytny i średniowieczny żądał ostatniego słowa w dziedzinie wszelakich nauk przyrodniczych. O czem filozofia wydała wyrok i co przyjęła z fizyki za podstawę swoich sądów: to dopiero uchodziło za rzetelną zdobycz nauki. Dlatego, jak kiedyś Ptolomeusz, tak potem Kopernik, praw mechaniki, uznanych za pewne i należycie stwierdzone, musiał szukać w przybytkach filozofii, wykładanej na ówczesnych wszechnicach: więc perypatetycznej.

Cztery księgi Arystotelesa „O niebie i świecie“ [1], służyły za prawidło, do którego perypatetycy stosowali swoje poglądy na mechanikę kosmiczną. W tych księgach Arystoteles odgaduje prawa i bada przyczyny tych zjawisk, które przedtem opisał w swojem dziele meteorologicznem. Więc zachował ten sam porządek, w jakim dziś postępują badacze przyrody: najprzód spostrzegają uchwytne zjawisko, potem śledzą jego oderwane prawo, nakoniec dociekają przyczyny.

Żeby poznać prawa obrotu ciał niebieskich, Arystoteles śledził najprzód prawa ruchu wogóle, a potem stosował je do ruchu materyi ważkiej i nieważkiej.

Praw ruchu szukał na drodze doświadczalnej. Choć obrał drogę stosowną, ale niewprawnem okiem szukał na niej prawdy... znalazł ledwo jej okruchy i z nich sklecił ciasne więzienie dla mechaniki kosmicznej, która w niem zasnęła na dwadzieścia wieków z górą.

Na wstępie w tę drogę ku prawdzie, odróżnił Arystoteles ruch, którego praw szukał, od innych zjawisk, którym służyło w ówczesnem słownictwie filozoficznem to samo miano ogólne: „ruch“ (κίνησις), i oznaczało także wzrost roślin, wzruszenia moralne i inne zmiany przeróżne. W przeciwieństwie do takich „ruchów“ nazwał ruch w przestrzeni, o jakim mówi mechanika, ruchem „przenośnym“ [2], i zauważył dwojakie objawy tego ruchu przenośnego.

[1] ΠΕΡΙ ΟΥΡΑΝΟΥ ΚΑΙ ΚΟΣΜΟΥ.

[2] ΠΕΡΙ ΟΥΡΑΝΟΥ, Ks. I, r. 2: κίνησις ἔστη κατὰ τόπον, ἣν καλοῦμεν φοράν.

Spostrzegł z jednej strony takie ruchy, w jakie strzałę wprawia cięciwa, kiedy ją wyrzuca z łuku, palant piłkę, którą podbija, ręka kamień, który puszcza z procy: jednem słowem, ruchy bez żadnych praw stałych odbywane, bez związku z biegiem zjawisk odwiecznie powtarzanych w przyrodzie, ruchy przypadkowe, których ruchomemu ciału udziela widocznie zewnętrzna przyczyna. Z drugiej strony widział ruchy takie, jak bieg wody w rzekach, wolny spad kamienia oderwanego od skały, pęd dymu do góry i inne tego rodzaju ruchy, według stałych praw odbywane w biegu zjawisk przyrody, kiedy nie działa na ruchome ciało żadna przypadkowa i widocznie zewnętrzna przyczyna, a występują tylko trwałe i odwieczne siły przyrody.

W ruchach pierwszego rodzaju nie upatrzył żadnego piętna stałego, ani nawet koniecznej ich potrzeby. Strzała nie potrzebuje pruć powietrza: może odpoczywać w kołczanie; ani sama przez się nie wyleci z łuku: musi ją wyrzucić cięciwa. W stan ruchu tego rodzaju ruchome widocznie nie przechodzi samowładnie i przez się; poza niem jest widoczne źródło jego ruchu, siła, której wpływowi ruchome przymusowo ulega. Temu ruchowi dał nazwę „przymusowego“ (βίᾳ), ani nie śledził jego praw, bo uważał ten ruch za nieprawidłowy skutek przypadku.

W ruchach drugiego rodzaju dopatrzył znamiona trwałego porządku i konieczne następstwo właściwych przymiotów i wnętrznego ustroju ciał ruchomych. Nikt nie potrzebuje przemocą popychać do morza wody w rzece, popędzać kamienia do ziemi przy wolnym spadzie, podnosić dymu do góry. W stan ruchu tego rodzaju ruchome przechodzi z porządku rzeczy, bez zewnętrznego bodźca widocznego, tak, jakby samo władało sobą, i z przyrody swojej jedno, jak kamień, ulegało wnętrznemu pędowi na dół, drugie, jak dym, szło do swego miejsca w górze. Ruch tego rodzaju powtarzany niezmiennie i prawidłowo w biegu praw przyrody dostał u Arystotelesa nazwę „przyrodzonego“ (κατὰ φύσιν).

Nastąpiło teraz ważne pytanie, czy ruch przyrodzony pochodzi przynajmniej z ukrytego źródła, także umieszczonego poza ciałem ruchomem, podobnie jak zewnątrz ciała ruchomego

tkwi widoczne źródło ruchu przymusowego? Czy przeciwnie, ruchome samo w sobie mieści źródło ruchu przyrodzonego, bez żadnego obcego wpływu, bez żadnej przyczyny zewnętrznej, ani widocznej, ani ukrytej?

Na to pytanie Arystoteles odpowiedzi szukał w trzech spostrzeżeniach.

Najprzód porównywał ruchy ciał jednorodnych ale różnej wielkości, np. bryły piaskowca i ziarnka piasku. Uważał, że oba te ciała, dźwignięte wysoko a nie dość silnie podtrzymane, muszą spaść na dół, ale z tą różnicą, że prędzej bryła straci równowagę, aniżeli ziarnko, jeżeli równa siła niedostatecznie utrzymuje oba ciała w górze. Arystoteles widział w tem skutek siły, która prędzej porusza wielkie ruchome, aniżeli małe. Gdzieindziej widział, że także duży płomień żywiej w górę bucha, aniżeli mały płomyk: nową znalazł wskazówkę, że wielkie ruchome chyżej odbywa ruch przyrodzony, aniżeli małe. A z drugiej strony mniemał, że źródło ruchu, które tkwi poza ciałem ruchomem, prędzej porusza ciało mniejsze, niż większe, bo łatwiej ruszyć ziarnko aniżeli bryłę, świecę zapaloną aniżeli stos ognia: więc przypuścił, że źródło ruchu przyrodzonego nie tkwi gdzieś poza ciałami ruchomemi, tylko leży w nich samych; że ruch przyrodzony nie ma nic wspólnego z przymusowym: ale wynika z samowładnego popędu ciał [1].

Potem spostrzegł, że ciało ciężkie, przy wolnym spadzie na dół, z większą szybkością kończy drogę, aniżeli zaczęło, i dopatrzył przeciwnie, że lekkie ciało, np. dym, tem prostszym słupem, więc tem silniej idzie w górę, im dalej odleci od ogniska: słowem uważał każdy ruch przyrodzony za przyspieszony. Tego nie widział przy ruchu przymusowym: ruch piłki, podbitej palantem, słabnie tem widoczniej, im wyżej piłka leci. Nic Arystoteles nie wiedział o przeszkodach ruchu, tarciu, oporze środka i t. d.: więc wyobraził sobie, że ruch spowodowany z zewnątrz

[1] Tamże, Ks. I, rozdz. 8 w środku: Ἀλλὰ μὴν οὐδ' ὑπ' ἄλλου φέρεται αὐτῶν τὸ μὲν ἄνω, τὸ δὲ κάτω, οὔδε βίᾳ, ὥσπερ τινές φασι τῇ ἐκθλίψει. Βραδύτερον γὰρ ἂν ἐκινεῖτο τὸ πλεῖον πῦρ ἄνω καὶ ἡ πλείων γῆ κάτω, νῦν δὲ τοὐναντίον ἀεὶ τὸ πλεῖον πῦρ θᾶττον φέρεται καὶ ἡ πλείων γῆ εἰς τὸν αὐτῆς τόπον.

ruchomego słabnie z biegiem drogi: stąd nową miał wskazówkę, że ruch przyrodzony powstaje z wnętrznego popędu ciał ruchomych [1].

Nakoniec bez trudu doświadczył, że trzeba użyć siły, żeby dźwignąć kamień w górę, albo przytrzymać w wodzie zanurzony pęcherz z powietrzem; a przeciwnie: na dół sam spada kamień i samo powietrze do góry ucieka z wody. Nie wiedział, dlaczego miałby kamień stawiać opór przy ruchu w górę, powietrze przy ruchu na dół, a w przeciwną stronę dążyć bez „przymusu", jeżeli do ruchu w obie strony potrzebuje każde ciało zewnętrznego powodu: tem silniej to przemawiało za samowładnością ciał przy ruchu przyrodzonym [2]. Słowem, pojęcie ruchu przyrodzonego zawierało u Arystotelesa dwa znamiona: miał być prawidłowym i samowładnym.

Trzeba zaraz przyznać Arystotelesowi tyle rozsądku, że takich wyników ze swoich spostrzeżeń nie brał za prawdę oczywistą: uważał je za domysły, oparte na dostatecznej podstawie [3]. Pozbawiony trwalszych podstaw, Arystoteles oparł na tych chwiejnych dalszą budowę wniosków o prawach ruchu przyrodzonego i wywodził ich przyczynę, a przytem snuł poglądy o istocie ciał ruchomych.

Treść tych pomysłów, dzisiaj ośmieszonych, tych pierwotnych praw młodocianej mechaniki, nietylko jako archeologiczny zabytek myśli ludzkiej zasługuje na uwagę; trzeba je tutaj poznać, bo z nich właśnie Arystoteles usypał osławiony szaniec umiejętności średniowiecznej, w który ugodził Kopernik, i na tym właśnie wyłomie zatknął sztandar nowych pojęć, z hasłem naprawy filozofii w duchu nowożytnym.

Arystoteles miał już pojęcie o podziale ruchów na pojedyńcze i złożone, i szukał dalszego ich poddziału. Dziś pojęcie bezwładności każe nam wszystkie ruchy krzywodrożne uważać za

[1] Tamże dalej: Οὐδὲ θᾶττον ἂν πρὸς τῷ τέλει ἐφέρετο, εἰ τῇ βίᾳ καὶ ἐκθλίψει. πάντα γὰρ τοῦ βιασαμένου πορρωτέρω γιγνόμενα βραδύτερον φέρεται.

[2] Tamże dalej: καὶ ὅθεν βίᾳ, ἐκεῖ φέρεται οὐ βίᾳ.

[3] Tamże dalej: Ὥστ' ἐκ τούτων θεωροῦσιν ἔστι λαβεῖν τὴν πίστιν περὶ ὧν λέγομεν ἱκανῶς.

złożone, a każdy ruch pojedyńczy za prostodrożny. Pojęcie ruchu samowładnego pozwalało Arystotelesowi uważać za pojedyńczy także ruch nieprostodrożny. Wyobrażał sobie, że ruchowi pojedyńczemu odpowiada każda droga, w której nie można wytknąć składowych części; za taką uważał okręg koła: więc do składników ruchu złożonego zaliczył także linię kołową, jako pojedyńczą: stąd powstały u niego dwa ruchy pojedyńcze, jako składowe części złożonego: ruch „po dłużni“ (po linii prostej), i ruch „po kole“, i znowu rozróżnił dwa ruchy „po dłużni“: „w górę“ i „na dół“. Może ruch „po kole“ wplątał w ten podział pojęcie środka, którego Arystoteles użył, żeby ruch po kole nazwać ruchem „o środku“, ruch po dłużni w górę nazwał ruchem „od środka“, nakoniec po dłużni na dół nazwał ruchem „do środka“ [1].

Ten podział ruchów musiał runąć, kiedy fizyka odmówiła ciałom samowładzy. Bezwładne ciało nie zdoła odbywać pojedyńczego ruchu po drodze krzywej, a musi odbywać ruch prostodrożny w jakąkolwiek stronę przestrzeni, dokąd je tylko pchnie siła zewnętrzna. Słowem, cały ten podział ruchów przedstawia podział objawów samowładzy.

Arystoteles dalej szukał praw ruchu pojedyńczego i, oparty na wywodach, przeprowadzonych w dziele: „ΠΕΡΙ ΦΥΣΙΚΗΣ ΑΚΡΟΑΣΕΩΣ“ [2], twierdzi, że jak bywają ciała albo złożone albo pojedyńcze, a pojedyńcze w sobie mieszczą źródło ruchu (jak ogień, ziemia i inne żywioły), tak ruchy pojedyńcze zachodzą w ciałach pojedyńczych, w złożonych ruchy złożone, zależne głównie od ruchu żywiołu, który przeważa w ciele złożonem [3].

---

[1] Tamże Ks. I, r. 2: Πᾶσα δὲ κίνησις, ὅση κατὰ τόπον, ἣν καλοῦμεν φοράν, ἢ εὐθεῖα, ἢ κύκλῳ, ἢ ἐκ τούτων μικτή. ἁπλαῖ γὰρ αὗται δύο μόναι. αἴτιον δὲ ὅτι καὶ τὰ μεγέθη ταῦτα ἁπλᾶ μόνον, ἡ τ'εὐθεῖα καὶ ἡ περιφερής. Κύκλῳ μὲν οὖν ἐστὶν ἡ περὶ τὸ μέσον, εὐθεῖα δ'ἡ ἄνω καὶ κάτω. Λέγω δ'ἄνω μὲν τὴν ἀπὸ τοῦ μέσου, κάτω δὲ τὴν ἐπὶ τὸ μέσον. Ὥστ' ἀνάγκη πᾶσαν εἶναι τὴν ἁπλῆν φορὰν τὴν μὲν ἀπὸ τοῦ μέσου, τὴν δ' ἐπὶ τὸ μέσον, τὴν δὲ περὶ τὸ μέσον.

[2] W wielu miejscach, szczególniej w pierwszych rozdziałach ks. III.

[3] ΠΕΡΙ ΟΥΡΑΝΟΥ, Ks. I, r. 2: Ἐπεὶ δὲ τῶν σωμάτων τὰ μέν ἐστιν ἁπλᾶ, τὰ δὲ σύνθετα ἐκ τούτων, — λέγω δ'ἁπλᾶ, ὅσα τῆς κινήσεως ἀρχὴν ἔχει κατὰ φύσιν, οἷον πῦρ καὶ γῆν καὶ τὰ τούτων εἴδη καὶ τὰ συγγενῆ τούτοις, — ἀνάγκη καὶ τὰς κινήσεις εἶναι τὰς μὲν ἁπλᾶς, τὰς δὲ μικτάς πως, καὶ τῶν μὲν ἁπλῶν ἁπλᾶς, μικτὰς δὲ τῶν συνθέτων, κινεῖσθαι δὲ κατὰ τὸ ἐπικρατοῦν.

Na tej zasadzie stawia prawo, że ruchem prostodrożnym zmieniają miejsce w przestrzeni cztery żywioły świata: ciężkie żywioły dążą na dół ruchem dośrodkowym, lekkie w górę ruchem odśrodkowym. Jakiemuż prawu podlega ruch kołowy? Widzimy ten ruch w obrotach ciał niebieskich, ale nie widzimy nigdzie na ziemi. Każdy z czterech żywiołów ma jakiś prostodrożny ruch przyrodzony: więc ruch kołowy przypada na inne jestestwo, i to na jakieś ciało także pojedyńcze, bo tylko takie odbywa przyrodzony ruch pojedyńczy kołowy [1].

Tu znowu przyznaje Arystoteles swoim wywodom siłę ledwo hipotetyczną: dodaje, że „ἐξ ἁπάντων ἄν τις τούτων σύλλογιζόμενος πιστεύσειεν", mógłby mniemać, że istnieje ta piąta istota, *quintessentia*, doskonalsza od czterech żywiołów ziemskich.

Teraz dochodzi do ostatecznego prawa, że ruch kołowy zachodzi w materyi nieważkiej, bo piąty żywioł nie ma ani ciężaru, ani lekkości. Gdyby był ciężki, spadałby na dół, jak woda z chmur; gdyby był lekki, uleciałby ze szlaków, któremi krąży, i znikł, jak dym przed naszem okiem [2].

I jak cała kwintesencya, tak każde ciało niebieskie, z niej powstałe, musi krążyć w przestworzu jako materya nieważka, niezdolna do innego ruchu, prócz kołowego, ani nie może ustać w tym ruchu [3].

Według tych praw działała, podług Arystotelesa, samowładza ciał: strącała ciężkie na dół, unosiła lekkie w górę, utrzymywała nieważkie na drodze, zawsze jednakowo oddalonej od środka. Nakoniec Arystoteles szukał przyczyny tych ruchów i wynalazł podstawę filozoficzną tej mechaniki: dzieli wszystkie pięć żywio-

[1] Tamże dalej: Εἴπερ οὖν ἐστὶν ἁπλῆ κίνησις, ἁπλῆ δὲ κύκλῳ κίνησις, καὶ τοῦ τε ἁπλοῦ σώματος ἁπλῆ ἡ κίνησις, καὶ ἡ ἁπλῆ κίνησις ἁπλοῦ σώματος, — καὶ γὰρ ἂν συνθέτου ᾖ, κατὰ τὸ ἐπικρατοῦν ἔσται, — ἀναγκαῖον εἶναί τι σῶμα ἁπλοῦν, ᾧ πέφυκε φέρεσθαι τὴν κύκλῳ κίνησιν κατὰ τὴν ἑαυτοῦ φύσιν.

[2] Tamże dalej: Τὸ δὲ κύκλῳ σῶμα φερόμενον ἀδύνατον ἔχειν βάρος ἢ κουφότητα. οὔτε γὰρ κατὰ φύσιν οὔτε παρὰ φύσιν ἐνδέχεται αὐτῷ κινηθῆναι ἐπὶ τὸ μέσον ἢ ἀπὸ τοῦ μέσου.

[3] Dalej tamże: οὔτε γὰρ κατὰ φύσιν ἐνδέχεται κινηθῆναι τὴν κατὰ τόπον κίνησιν αὐτῷ ἄλλην, οὔτε παρὰ φύσιν, οὔτε αὐτῷ, οὔτε τῶν μορίων οὐθενί, ὁ γὰρ αὐτὸς λόγος περὶ ὅλου καὶ μέρους.

łów, ziemskie i niebieskie, na trzy gromady: ciężka, lekka i nieważka; (do ciężkich zaliczył: najcięższą ziemię i — względnie do powietrza — ciężką wodę; do lekkich należy: — względem wody — lekkie powietrze i najlżejszy ogień); dla każdej gromady wyznaczył przyrodzone miejsce w przestworzu świata: środkowe jądro świata dla ziemi oblanej wodą, krańce świata dla ciał niebieskich, pomiędzy środkiem a krańcami przestrzeni umieścił powietrznię, otoczoną ogniem [1]. Stąd każdy z czterech żywiołów ziemskich przemocą wyruszony z miejsca własnego, wraca do niego przyrodzonym ruchem, tak np. woda przyrodzonym ruchem w górę tryska z ziemi w źródłach, a przyrodzonym ruchem na dół spada z powietrza podczas deszczu; i tak każdy żywioł ma swoje własne i jedyne miejsce, w którem spoczywa [2]. — Co do żywiołu niebieskiego, Arystoteles także do tego wniosku dochodzi, że jego miejsce przyrodzone wymaga ruchu kołowego. Tutaj jeszcze raz z niezwykłym naciskiem przywołuje na świadectwo starożytnych astronomów, którzy przez wieki, od najdawniejszych czasów, nie spostrzegali żadnej zmiany w prawidłowym ruchu ciał niebieskich po kole matematycznie dokładnem: stąd wyobraża sobie, że tych ciał miejsce właściwe wymaga ruchu około środka i nawet z tego ruchu wywodzi nazwę żywiołu niebieskiego: „eter", od słów *aejn* — wiecznie, i *thejn* — krążyć [3]. Nakoniec podaje przyczynę, dla której eter musi wiecznie krążyć około środka, przyczynę

[1] Tamże koniec rozdziału 8: Τρίων γὰρ ὄντων τῶν σωματικῶν στοιχείων, τρεῖς ἔσονται καὶ οἱ τόποι τῶν στοιχείων, εἷς μὲν ὁ τοῦ ἐφεστηκότος σώματος, ὁ περὶ τὸ μέσον, ἄλλος δὲ ὁ τοῦ κύκλῳ φερομένου, ὅσπερ ἔστιν ἔσχατος, τρίτος ὁ μεταξὺ τούτων, ὁ τοῦ μέσου σώματος.

[2] Tamże rozdz. 8 w środku: Εἰ τοίνυν ἐστί τις κίνησις αὐτῶν κατὰ φύσιν, ἀνάγκη τῶν ὁμοιοειδῶν καὶ τῶν καθ' ἕκαστον πρὸς ἕνα ἀριθμῷ τόπον ὑπάρχειν τὴν κίνησιν, οἷον πρὸς τόδε τι μέσον καὶ πρὸς τόδε τι ἔσχατον.

[3] Tamże rozdz. 3 pod koniec: Συμβαίνει δὲ τοῦτο καὶ διὰ τῆς αἰσθήσεως ἱκανῶς, ὥς γε πρὸς ἀνθρωπίνην εἰπεῖν πίστιν. ἐν ἁπάντι γὰρ τῷ παρεληλυθότι χρόνῳ κατὰ τὴν παραδεδομένην ἀλλήλοις μνήμην οὐθὲν φαίνεται μεταβεβληκὸς οὔτε καθ' ὅλον τὸν ἔσχατον οὐρανὸν οὔτε κατὰ μόριον αὐτοῦ τῶν οἰκείων οὐθέν. Ἔοικε δὲ καὶ τοὔνομα παρὰ τῶν ἀρχαίων διαδεδόσθαι μέχρι τοῦ νῦν χρόνου, τοῦτον τὸν τρόπον ὑπολαμβανόντων ὅνπερ καὶ ἡμεῖς λέγομεν. οὐ γὰρ ἅπαξ οὐδὲ δὶς ἀλλ' ἀπειράκις δεῖ νομίζειν τὰς αὐτὰς ἀφικνεῖσθαι δόξας εἰς ἡμᾶς. Διόπερ ὡς ἑτέρου τινὸς ὄντος τοῦ πρώτου σώματος παρὰ γῆν καὶ πῦρ καὶ ἀέρα καὶ ὕδωρ, αἰθέρα προσονόμασαν τὸν ἀνωτάτω τόπον, ἀπὸ τοῦ θεῖν ἀεὶ τὸν ἄϊδιον χρόνον θέμενοι τὴν ἐπωνυμίαν αὐτῷ.

godną archeologicznej mechaniki: eter „nie bez przyczyny odbywa ruch nieustanny, bo wszelkie ruchome spoczywa, kiedy skończy drogę do własnego miejsca, a w ciele ruchomem po kole początek ruchu jest wszędzie, gdzie koniec“ [1].

Powyższe podziały objawów samowładzy i ich prawa należały do pewników, których zarówno bronili przyrodnicy jak filozofowie. Wyłącznie do tych ostatnich należała odpowiedź, że samowładza dlatego występuje w tych objawach i tym prawom ulega, że szuka dla ruchomych ciał ich właściwego miejsca w przestrzeni. Do tej odpowiedzi musieli dojść, skoro uważali ruch przyrodzony za objaw samowładzy ciał, w której widzieli ich popęd do przyrodzonego miejsca.

Z takim przyborem pojęć zasiadła filozofia perypatetyczna do rozprawy nad zjawiskiem ruchu ciał niebieskich. Stanął przed jej sądem Ptolomeusz i zażądał wyroku, że słońce odbywa roczny ruch z zachodu na wschód, a codzienny ze wschodu na zachód naokoło nieruchomej ziemi. Za Ptolomeuszem przemówił Arystoteles z całą wymową mechaniki trzech ruchów, trzech miejsc i t. d.: i wygrał sprawę. Zgodę uzyskał Ptolomeusz na wszystko. Dla słońca, eterycznego jestestwa, zażądał przyrodzonego ruchu obrotowego: zgoda na ruch słońca! Dla ziemi, najcięższego żywiołu, do którego dąży wszelki ruch dośrodkowy, zażądał spoczynku w środku świata: zgoda na spoczynek nieruchomej ziemi w środku świata!

I wyrok zapadł i wieniec ozdobił skronie Ptolomeusza... ale w tym wieńcu tkwił cierń.

Nie bez przyczyny, owszem dla nader ważnej przyczyny, Arystoteles z niezwykłym naciskiem szukał w powadze „wiekowych podań“ dowodu, że spostrzeżenia astronomiczne nie doniosły o żadnej zmianie w prawidłowym ruchu ciał niebieskich po kole matematycznie dokładnem. Chociaż znowu w tym dowodzie chce widzieć tylko prawdopodobieństwo, „dostatecznie poparte spostrzeżeniami, o ile potrzebuje ludzkie mniemanie“,

[1] Tamże rozdz. 9, koniec: Καὶ ἄπαυστον δὴ κίνησιν κινεῖται εὐλόγως. πάντα γὰρ παύεται κινούμενα, ὅταν ἔλθῃ εἰς τὸν οἰκεῖον τόπον. τοῦ δὲ κύκλῳ σώματος ὁ αὐτὸς τόπος ὅθεν ἤρξατο καὶ εἰς ὃν τελευτᾷ.

przecież można wątpić, czy w dobrej wierze sam uznawał ten dowód za prawdopodobny, kiedy już Platon znał zjawisko, które podkopywało powagę „wiekowego podania“, o ruchu zupełnie prawidłowym ciał niebieskich.

Zjawisko takie mogliśmy widzieć od jesieni przeszłorocznej aż do środka tegorocznej zimy. Od października 1892 r. Saturn błyszczał coraz większem światłem: widocznie malała jego odległość od ziemi. Przytem odbywał swój ruch prawidłowo z zachodu na wschód. Dwudziestego pierwszego stycznia b. r. o piątej godzinie rano stanął nieruchomie, jak gwiazda stała. Po trzydniowym spoczynku, znowu 24 stycznia ruszył w drogę, ale ze wschodu na zachód i zatoczył po niebie linię podobną do pętelki, zawrócił na wschód i dalej już dążył w tę stronę.

Te przestanki i zawroty z drogi, raz większa, raz mniejsza odległość od ziemi, zachodzą także w innych planetach. Wenus czasem tak blizko podchodzi do ziemi, że jego tarcza wyrasta do wielkości siódmej części tarczy księżycowej. Więc już w starożytności gołem okiem można było widzieć, że ruch ciał niebieskich ulega jakimś zmianom, których nie możnaby pojąć, gdyby te ciała prawidłowo krążyły po matematycznem kole, w którego środku spoczywałaby ziemia. Ale darmo Platona kusiła nadzieja, że filozoficznie zda sprawę z tego zjawiska. Usilnie potem pracował nad tem Eudoksus; także bez skutku.

Przyszła kolej na Hipparcha i Ptolomeusza. Obaj natężali wyobraźnię, żeby zrozumieć zjawisko i usprawiedliwić planety w ich ruchu nieprawidłowym. Wpadli na domysł, że środek kół, po których odbywają drogę ciała niebieskie, przypada gdzieś poza ziemią, a nie w niej, jako w fizycznym środku ciężkości świata. Ta hipoteza zachowywała postać kołową dróg planetarnych i wyjaśniała, czemu planety widzimy raz bliżej ziemi, raz dalej, ale była w niezgodzie z filozofią, która uważała za metafizyczne prawo starożytny pewnik fizyczny, że środek ruchu kołowego musi przypadać na fizyczny środek ciężkości świata. Trudniej było ocalić samą postać kołową drogi, kiedy oko donosiło, że planety zbaczają z toru, żeby pobłądzić po świecie, spocząć i znowu wracać na dawną kolej. Czyżby miał runąć stary po-

dział ruchu pojedyńczego na prostodrożny i kołowy? Ptolomeusz nie przypuszczał, żeby można było wątpić o tym podziale: więc myślał, jak pogodzić ruch kołowy z błędnemi drogami planety; nie myślał darmo, bo wymyślił „epicykle", tj. drogę punktu na okręgu koła, toczonego po drugiem kole. Już nie po jednem kole teraz miała każda planeta krążyć koło środka świata, bo do tego koła Ptolomeusz dodał inne, i po nich epicyklicznie potoczył planety.

Astronomowie przystali na wszystko, bo przy epicyklach i ekscentrykach można było jakoś zrozumieć zjawiska. Ale filozofia nie mogła wyznaczyć już żadnej przyczyny, dla której ciała niebieskie obiegają ekscentryczne drogi po krętych epicyklach. Opuszczona przez astronomów, musiała przeciw ekscentrykom i epicyklom wojować na własną rękę, ale walkę prowadziła nierówną: za dziwacznemi kołami przemawiała potrzeba: bez nich, zjawisk w ówczesnej nauce nikt nie umiał wyłożyć; przeciw kołom mówiło prawo, przyjęte do układu kosmicznych poglądów perypatetycznych, że żywioł nieważki musi krążyć po drodze, zawsze jednakowo odległej od środka świata, a droga wymyślona przez Ptolomeusza, raz je zbliżała do ziemi, raz oddalała od niej. Długo nie ustawał niepokój, z jakim wybitniejsi filozofowie spoglądali na powagę Arystotelesa, nie dość uszanowaną przez Ptolomeusza. Kiedy tylko, przy wykładach filozofii perypatetycznej, przychodziła kolej na rodzaje ruchów i podział miejsc między żywioły, zaraz stawało w uczelni niczem nie odżegnane widmo: Ptolomeusz z epicyklami. Wódz perypatetycznej szkoły średniowiecznej, Tomasz z Akwinu, musiał także przejść przez tę trudność i widział, że ma do wyboru z dwojga złego jedno: albo przypuścić z Ptolomeuszem dziwaczne ruchy, odbywane z niepojętych przyczyn po kołach ekscentrycznych i epicyklicznych, a odstąpić w mechanice od Arystotelesa; albo przy nim zostać, a zjawisko nieprawidłowych ruchów planetarnych uważać za nierozwiązaną zagadkę, którą może bystrzejszy badacz w przyszłości wyjaśni drogą pojedyńczą, ściśle kołową, a przynajmniej bez epicyklów. Tomasz z Akwinu obrał drugą drogę: wiernie wytrwał przy Arystotelesie, choć jego poglądów

na mechanikę nie uważał za nienaruszalną prawdę; a ptolomejskie ruchy, po kołach, wcale nieodpowiednich do pojedyńczego ruchu ciał nieważkich około środka ciężkości, uważał za domysły, do czasu używane w astronomii, nim kto nie poda wykładu prostszego zjawisk, i zgodniejszego z poglądami perypatetyki [1].

W istocie miał przyjść badacz bystrzejszy od Ptolomeusza, żeby wyłożyć nieprawidłowe zjawiska przez najprostszy układ ciał niebieskich, ale przytem potężniej niż Ptolomeusz, miał ten przyszły mędrzec wstrząsnąć posadami mechaniki Arystotelesa. Czy byłby Tomasz z Akwinu stanął wtenczas przeciw Kopernikowi w obronie Ptolomeusza, na którego naukę nie spoglądał okiem wielbiciela?... Retyk sądzi, że sam Arystoteles odstąpiłby od swoich domysłów i przerobiłby mechanikę, gdyby przeczytał dzieło Kopernika... ale uczniowie Arystotelesa nie byli skorzy do wiary, że ich mistrz na źle zrozumianych spostrzeżeniach oparł jeden z głównych działów filozofii.

Tomasz z Akwinu, to ostatni myśliciel średniowieczny, nie przekonany jeszcze o powadze Ptolomeusza; po nim milkły głosy zarzutów i niedowiarstwa; przez parę wieków następnych ślepa

[1] *In Aristot.* libr. I. de coelo lect. 3: „Hypparchus et Ptolomaeus adinvenerunt motus excentricorum et epicyclorum ad salvandum ea, quae apparent sensibus in corporibus coelestibus, unde hoc non est demonstratum, sed suppositio quaedam". *In Arist.* libr. XII. metaph. lect. 10: „Et Pythagorici quidem ad reducendum in debitum ordinem irregularitatem, quae apparet in motibus planetarum e statione et retrogradatione, velocitate et tarditate, et diversa apparentia quantitatis, posuerunt motus planetarum esse in sphoeris excentricis et in circulis parvis, qui dicuntur epicycli, quam etiam opinionem Ptolomaeus sequitur. Videtur autem ex hujus suppositione sequi aliquid contrarium his, quae demonstrantur in scientia naturali, nam aliquis motus esset nec ad medium, nec a medio, nec circa medium mundi". *Summa* p. I. q. 32 a. 1 ad 2: „Ad aliquam rem dupliciter inducitur ratio. Uno modo ad probandum sufficienter aliquam radicem: sicut in scientia naturali inducitur ratio sufficiens ad probandum, quod motus coeli sit uniformis velocitatis. Alio modo inducitur ratio, non quae sufficienter probet radicem, sed quae radici jam positae ostendat congruere consequentes effectus, sicut in astrologia ponitur ratio excentricorum et epicyclorum ex hoc, quod hac positione facta possunt salvari apparentia sensibilia circa motus coelestes, non tamen ratio haec est sufficienter probans, quia etiam forte alia positione facta salvari possent".

wiara w Ptolomeusza podbijała umysły, a jeżeli jaka myśl samodzielnie chciała zrozumieć mechanikę kosmiczną w nowem świetle, nie mogła wywrzeć wpływu na uczonych, u których za dowód nieuctwa uchodziłby poryw na naukę Ptolomeusza. Ogólna zgoda filozofów wzmacniała jego powagę w tym samym stopniu, w jakim rosła powaga teoryj filozoficznych zgodnych z tym systemem. Powiedzieć można za Naville'm („O fizyce nowożytnej", rozdz. I, 3): „Teorye te były niejasne i zawiłe. Zawiłość ich wzrastała coraz więcej w miarę, jak trzeba było tłumaczyć fakta nowe, tak samo, jak koła urojone w teoryi astronomicznej Ptolomeusza pomnażały się bez końca. Wiele umysłów czuło wady nauki tak zbudowanej. Oczekiwano przywódców, którzyby śmiało powiedli do zaatakowania nauki szkolnej. Zjawiło się ich kilku"; tu dodaje Naville, że „Kartezyusz był z nich najprzedniejszym".

Czy Kartezyusz zasłużył na nazwę, którą odbiera od wielu swoich rodaków: najprzedniejszego wodza w pochodzie nowoczesnych poglądów? Czy też tylko wszedł do wnętrza twierdzy wyłomem wybitym przez mędrca z nad Wisły?

Jeżeli Kopernik odgadł prawa nowożytnej mechaniki, jeżeli rzucił na pole filozofii posiew myśli, któremi przejęci następni myśliciele zdali sprawę z tajemnic przyrody, pokrytych mgłą niezbadanej zagadki dla oka mędrców starożytnych, jeżeli na sto lat przed Kartezyuszem, Kopernik tak przyparł do muru starych perypatetyków, że ci niebo i ziemię poruszali, żeby mu zamknąć usta, tak, iż katolicy wezwali na pomoc Rzym, protestanci z Melanchtonem wołali, że świeckie rządy powinny ścigać krzewicieli tych zgubnych dla oświaty pojęć: — w takim razie Kopernik wpłynął wprost na przełom pojęć filozoficznych, nietylko ciała niebieskie ruszył nowemi drogami.

Jakim pojęciom Kopernik otworzył wstęp do przybytków filozofii?

Kopernik z całym rozmysłem wymierzył cios, który z niepohamowanym pędem ugodził najprzód w Arystotelesa, a potem w Ptolomeusza. Chociaż przy wykładzie nieprawidłowych kół w obiegu planet, Ptolomeusz nie zasługiwał na oklaski perypatetyków, ale były to dalsze kroki w pochodzie jego pojęć,

które nie naruszały zasadniczej zgody między nim a Arystotelesem. Podwaliny aleksandryjskiej astronomii spoczywały na nieruchomej ziemi w środku świata; rozkład miejsc przyrodzonych pomiędzy trzy gromady żywiołów, ich przyrodzone ruchy i wieczne obroty materyi nieważkiej, służyły za cement dla ptolomejskiej budowy: dlatego perypatetycy widzieli na straży tej budowy niezwyciężonego Arystotelesa z tarczą jego mechaniki kosmicznej. Widział to sam Kopernik. Wiedział, że musi najprzód ze stanowiska spędzić Arystotelesa, żeby uwolnić mechanikę z pęt jego powagi, podebrać perypatetyczny nasyp, na którym Ptolomeusz wzniósł własną budowlę, i dopiero na oczyszczonem z rumowiska polu, budować nową astronomię.

Dlatego w sześciu księgach *de revolutionibus orbium coelestium*, roztrząsa naukę obu przeciwników: w pierwszej księdze filozoficzną bronią walczy z Arystotelesem i dopiero po rozprawie z perypatetykami wchodzi na pole ściśle astronomiczne pod koniec pierwszej księgi i w następnych.

(Dok. nast.).

Ks. K. Czaykowski.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

I. Więzienie.

...Wyjechałem do Pińska, gdzie jako dawnemu piątoklasiście dano mi zaraz dobrą korepetycyę i do szóstej klasy przyjęto bez egzaminu.

Niedługo po wstąpieniu mojem do gimnazyum, owiała nas jakaś wesoła, dziwna, pełna rozkosznych złudzeń i nadziei atmosfera; pojawiły się orzełki, pogonie, żałobne wstążeczki, kotwice, kajdankowe dewizki, żupaniki, następnie sekretne piosenki, modlitwy i t. p. rzeczy.

Wszystko to zajmowało i cieszyło nas do najwyższego stopnia. Już się nie myślało wtedy o zadanych lekcyach, szczególnie dla profesorów Moskali, nie przestrzegało się nakazu, aby guziki u surduta były wszystkie zapięte, ale owszem, roztwierało się klapy, aby każdy widział, że pod czerwonym kołnierzem mundurka jest i orzełek u krawatki i żupanik z drobnemi guziczkami, a na nim pasek z klamrą herbową Korony i Litwy, i nareszcie zegarek na żałobnej wstążeczce lub kajdankowej dewizce... W godzinach popołudniowych jedynem naszem zwycięstwem było zebrać się gdzieś, pogwarzyć, nareszcie zaśpiewać, ułożyć program zebrania się na jutro, obmyśleć stosowny odpór w razie napadu dyrektora, inspektora lub bedela. A następnie, kiedy z całkiem niewiadomych nam przyczyn, zabrakło nam to

jednego, to drugiego z naszych ulubionych profesorów, entuzyazm w malcach doszedł do tego stopnia, że już otwarcie szliśmy gromadą do dyrektora, żądając wyjaśnienia powodu oddalenia profesora; w gimnazyum śpiewaliśmy patryotyczne pieśni, gromadą szliśmy śpiewać je do kościoła, urządzaliśmy procesye z krzyżem i chorągwiami, na zwierzchność szkolną wcale nie zważając, ale jednak, w godzinach rannych do klas chodziliśmy regularnie.

Pan Szulgin, nie wiedząc jak sobie dać z nami radę, sprowadził inspektora okręgu naukowego z Wilna, niejakiego p. Trautfetera, i ten, właściwym sobie sposobem, zaczął wprowadzać między nami porządek — ale po dwóch już dniach swojej pedagogiczno-policyjno, niemiecko-moskiewskiej praktyki, gdy się dowiedział, że u nas zapadł już wyrok obicia go rózgami na środku ulicy przed hotelem, w którym mieszkał, tejże nocy zemknął napowrót do Wilna.

W kilka dni później dyrektor Szulgin otrzymał z Wilna dyspozycyę zamknięcia 6-tej i 7-mej klasy gimnazyum, z wydaniem nam „wilczych biletów“, jeżeli na ostateczną jego propozycyę nie złożymy solennej obietnicy zaniechania wszelkich demonstracyj na przyszłość, a również nie przeprosimy władzy za dotychczasowe przekroczenia. Dwóch tylko na dwie klasy znalazło się takich, którzy pragnęli wyłączyć się od nas, ale dla nich klas otwartemi zostawić nie chciano, dali więc im świadectwa chlubne, a nam tak zwane „wilcze bilety“ z napisem: *wpred' nikudá nie prinimát'* (na przyszłość nigdzie nie przyjmować). Z takiemi biletami rozjechaliśmy się z Pińska z końcem r. 1861.

W Grodnie przyjąć mię do gimnazyum dla dokończenia kursu 7-mej klasy nie chcieli, jakkolwiek mieli prawo przyjąć, bo zakaz przyjęcia zniesionym został; w Kownie i Wilnie powiedzieli toż samo, a że chciałem koniecznie kontynuować nauki, więc przystąpiłem w Grodnie do egzaminu, z całego kursu gimnazyalnego bez uczęszczania do klas, i po otrzymaniu atestatu, wedle przepisów dającego prawo zaliczenia się do uniwersytetu lub innego jakiego wyższego zakładu, wstąpiłem do szkoły eksternów przy korpusie wileńskim, na wydział inżynieryi wojskowej.

Nauki szły mi tam bardzo łatwo i były bardzo w porę, bo oprócz przedmiotów umysłowych, nauczyli mię całej sztuki żołnierskiej, z karabinem, bagnetem i pałaszem...

W czasie mego krótkiego pobytu w korpusie wileńskim, przyjeżdżał w. ks. Michał, brat cara Aleksandra II., z pokłonem od cara i z wyrażeniem nadziei, że w tych smutnych czasach żaden z wychowańców tego zakładu *licòm w griaź nie udáryt* (twarzą w błoto nie padnie)...

W pierwszych dniach 1863 r. odebrałem wiadomość od brata, że Grodno ma wysłać partyę powstańczą, w której i on wyruszy; nie czekając więc ani chwili, udałem się do dyrektora korpusu z prośbą o uwolnienie mię z zakładu pod pozorem pilnych bardzo familijnych interesów, i jakkolwiek ściągnąłem na siebie silne podejrzenie o nieprawdziwości powodu, jakkolwiek dyrektor przyrzekał mi rządowe stypendyum, bylebym nie opuszczał zakładu, wziąłem jednak dymisyę i na drugi dzień, mianowicie 11 stycznia byłem już w Grodnie. Wymarsz partyi, z powodu jakichś przeszkód, odłożonym został, a że wówczas w Grodnie nie wolno było mieszkać bez widomego celu ani dni paru, więc musiałem zaraz wystarać się o jakąś posadę, co mi nietrudno przyszło, bo przez stosunki brata, który służył przy budowie kolei żelaznej petersbursko-warszawskiej, od dnia przyjazdu do Grodna mianowany zostałem magazynierem tej drogi. Mieszkaliśmy razem z bratem w domku służbowym przy linii kolei żelaznej, niedaleko mostu Brygidskiego, w odległości paruset sążni od stacyi. Wspólnie więc z bratem zajęliśmy się przygotowaniem partyi do wyjścia, bo postanowionem było, że partya wyruszy z Grodna pociągiem gospodarczym, który mieliśmy w swojej dyspozycyi.

Brat, jako znacznie starszy ode mnie (ja miałem wówczas 17 lat skończonych), dyrygował całą tą wyprawą, ciągle gdzieś chodził, kogoś u siebie przyjmował, przynosił rozmaite wiadomości, raz smutne, to znowu bardzo wesołe, rekomendował mnie każdemu z przybyłych, ale przede mną nikogo nie nazwał, opowiadał tylko, który z tych panów, co miał przynieść, aby to odeń odebrać. To też co godzina, co chwila prawie, zjawiał się

ktoś z takich i coś przynosił; jeden butelkę prochu, drugi garstkę kul, trzeci lufę od strzelby, bo całej nieść nie mógł pod płaszczem z obawy zwrócenia na siebie uwagi, inny znów kolbę od poprzednio przyniesionej lufy i t. p., ja zaś obowiązany byłem wszystko to zaraz odnosić do swego magazynu, i jako magazynier, przechować pod kluczem zarządu budowy kolei. Dzięki ciągłemu ruchowi u nas, z powodów jedynie naszej służby kolejowej wynikającemu, ten ruch dodatkowy nie ściągnął podejrzenia, — udawało się więc wszystko wyśmienicie, jakkolwiek nawet na moście Brygidskim, o kilkadziesiąt kroków od naszego mieszkania stał patrol kordonu, którym Grodno otoczone było. Raz już nie lufę pod płaszczem, albo butelkę prochu z kieszeni, ale przyszło mi odebrać całą furę sztucerów. Skąd to przyszło, do dziś dnia nie wiem, ale były to dwie ogromne paki, dostarczone wśród białego dnia na furze, która w oczach patrolu zajechała pod nasz ganek, ludzie wnieśli paki do pokoju, i rzecz pomyślnie skończona: ja zaś tegoż dnia wieczorem przeniosłem sztucery pojedyńczo do magazynu. Takim sposobem cały kąt jeden w magazynie zawalony był rozmaitą bronią i innemi przyborami do wojny, ale wszystko to było w takim nieładzie, w jakim mnie przynoszono, bo dobierać, składać, porządkować nie było ani kiedy, ani komu. Miałem instrukcyę, że po wyruszeniu partyi z Grodna i zagospodarowaniu się gdzieś w lesie, każdy odbierze swoje i wtedy doprowadzi do należytego porządku.

Nareszcie pewnego dnia, brat oznajmił mi, że 2 marca o godz. 9-tej wieczorem wyjedziemy. Już o godz. 3-ciej tego dnia zaczęła się ściągać wiara, przeważnie studenterya, młodzież, i wszyscy stawali koło naszego mieszkania, czekając na czyjąś dalszą dyspozycyę, bo sami widać nie wiedzieli, co mają z sobą począć. Zostawić ich tam nie było można, boby się ta sztuka i na pół godziny nie udała, i zresztą nie tu był punkt wyjścia, naznaczony dla pociągu, lecz sama stacya kolei. Zaraz więc, spostrzegłszy nadchodzących, wołałem znakami, aby się udawali za mną, i sam szedłem pomiędzy wagony towarowe, których w pobliżu w kierunku ku stacyi było dość dużo; tam rozmieszczałem wszystkich, jednego pakowałem do wagonu, drugiego

pod wagon między koła, to znów kogoś innego w jakąś gdzieś dziurę przy budynku magazynowym, nareszcie do samego magazynu, i tym sposobem ukryłem całą partyę, przeszło 300 osób. Kiedy już dobrze ściemniało, kazałem wynieść broń z magazynu na wagon, pozabierać przytem kolejowe siekiery, łomy, kosy i t. p. rzeczy, które potrzebne nam były na wstępie do zrujnowania za sobą kolei i telegrafu, i o godzinie pół do dziewiątej już byliśmy całkiem gotowi. Wróciłem do domu dla zabrania własnego tłomoczka oraz map topograficznych całej Litwy, które brat wziąć mi kazał, i udałem się na stacyę. Pociąg był gotów, z kilkunastu żwirówek złożony, podsunął się pod stacyę tak, że lokomotywa stała *vis-à-vis* środka stacyi, a przyszli wojacy na zawiadomienie moje o nadejściu chwili wyjazdu, zbliżali się niepostrzeżenie do pociągu, aby na dany znak wskoczyć na wagony.

Już wszyscy byli w żwirówkach, godzina 9-ta wybiła, a pociąg stoi. Słychać tylko szmer jakiś i widzę brata mego na peronie rozmawiającego z naczelnikiem stacyi, eks-kapitanem wojsk rosyjskich Kulczyckim, który miał być naczelnikiem naszej partyi, a tuż przy nich żandarmi i kilku żołnierzy z karabinami; ale to rzecz zwyczajna, to zwykła służba stacyjna, która w tych czasach od rządu moskiewskiego ustanowioną była na kolejach. Sekundy zdawały się dla nas godzinami wówczas — tak nam pilno było wyjechać. Pilno było może dlatego, że uznawaliśmy się w duchu za bezsilnych wobec rozebranej lub powiązanej sznurkami własnej broni, a broni nabitej wojska, którego wysłańcy już byli na peronie. Nareszcie po długich męczarniach oczekiwania, widzę, jak brat i Kulczycki jednocześnie z peronu udają się, pierwszy ku wagonom, a drugi ku lokomotywie, i w ślad za tem słyszę głos brata wołający: „jazda“. Odetchnęliśmy swobodniej, już każdy usadawiał się, a raczej gnieździł się na zajętem miejscu, ten odwracał głowę, tamten przewracał czapkę, inny stroił minę prostaczą, aby tem mniej zwrócić podejrzenia, przemykając się przed stacyą, a wszyscy, jakby własnym ruchem chcieli popchnąć pociąg, nachylili się naprzód ku lokomotywie i czekali pierwszego jej ruchu. Niestety! lokomotywa wprawdzie zagwizdała, posłyszeliśmy nawet z za towa-

rowych wagonów, które przedzielały lokomotywę od żwirówek, jej turkot, ale sami z wagonami zostaliśmy na miejscu! Głos zeskakującego brata, wołający półszeptem: „uciekać do domów“, w mgnieniu oka zmiótł nas wszystkich z wagonów, i rozsypaliśmy się, kogo gdzie instynkt popychał, aby co prędzej skryć się od kul, które w ślad za sygnałem brata sypać się na nas zaczęły. Dzięki wagonom i panującej ciemni, pierwszy rzut kul z peronu nie położył z nas nikogo; i to wlało w nas większą otuchę do obmyślanej ucieczki. Mnie Pan Bóg natchnął dziwną jakąś obojętnością dla strzałów, tak, że zeskoczywszy z wagonu, ani kroku nie zboczyłem z szyn, na których stał nieszczęśliwy pociąg, lecz prosto, wolnym krokiem, podążyłem do domu i, idąc w ten sposób, mogłem uciekającym tak samo wskazywać więcej bezpieczne drogi ucieczki, jak przedtem wskazywałem miejsca schronienia. Ile zaś kul gwizdnęło koło mnie, tego zliczyćbym nie potrafił; w każdej tylko, gdy się przesunęła koło uszu i zadźwięczał drut sygnałowy, tuż obok szyn idący, lub gdy się rozpłaszczyła na kole wagonu sąsiedniego, upatrywałem istny cud boski, i dusza dziękczynnie westchnęła po każdej.

Gdy tak szedłem w nabożnym nastroju, a co chwila wołałem na kogoś z omijających mię, aby, to w prawo, to w lewo uciekał, stosownie do punktu w jakim mię wyprzedzał, nagle równa się ze mną pędzący cwałem brat mój i tuż obok mnie pada. Byłem pewny, że kula go przeszyła, bo właśnie w tej chwili jakaś niezwykle gęsta chmura ich świsnęła w powietrzu i łoskot uderzających w rozmaite miejsca rozległ się niezwyczajny. Pytam więc brata:

— Julianie, trafiło cię?

— Nie, jak mamę kocham, nie — odpowiedział — zaczepiłem się tylko o zwrotnicę.

— Idźże teraz chyłkiem na lewo i wskocz do rowu, tamtędy dojdziesz do domu i nic ci nie będzie.

Brat mię posłuchał i rozstaliśmy się znowu.

Niedługo potem strzelanie umilkło, a słyszeć się dało: „urra!“ i pogoń żołnierzy; ale wtedy byłem już blizko domu, nie obawiałem się więc, że mię dogonią. W domu zastałem już brata,

obmywającego skaleczoną przy upadnięciu brodę, i jednego z kolegów brata, któremu daleko było szukać swego mieszkania. Pytam się, co zaszło? dlaczego tak długo pociąg nie ruszał, a nareszcie maszyna poszła bez wagonów? Objaśnił mię brat, że czekano na maszynistę Jastrzębskiego, któremu naznaczoną była godzina przybycia, a który się nie stawił wcale, więc Kulczycki siadł na maszynę, wagony zaś chyba w ostatniej chwili odczepił jakiś zdrajca. Nie było rady, potrzeba było pogodzić się z fatalnością.

Uprzątnęliśmy więc w domu co było potrzeba, a natomiast porozstawialiśmy otwarte stoliki do kart, rzuciliśmy na nie karty i daliśmy inne pozory wieczornej zabawy, a po 10-tej udaliśmy się na spoczynek, przeczuwając jednak, że niedługo zostaniemy obudzeni.

Rzeczywiście, o północy zjawili się poszukiwacze rannych i dostrzegłszy u brata na rękawie krew, która ze skaleczonej brody tam się znalazła, nie słuchali żadnych zapewnień, że to tylko ze zwyczajnego upadnięcia, zabrali go z sobą, a mnie i kolegę zostawili w domu.

Bodaj to być młodym! W młodej wyobraźni naszej zdawało się nam, że, skorośmy byli w domu i śpiący do tego w chwili najścia, skoro rzeczywiście brat skaleczył się od upadnięcia, które mogło przecie nastąpić niekoniecznie przy ucieczce ze stacyi, ale nawet na wieczorku u gubernatora, że, skoro znaleźli u nas widoczne ślady świeżej zabawy w karty, która nie ma przecie w sobie nic politycznego—to aresztowanie Juliana skończy się na niczem, i on zaraz powróci, a to tem więcej, że, gdyby mieli na nas jakie podejrzenia, to przecież zabraliby jednocześnie i mnie i naszego gościa. Mnie wówczas i na myśl nie przyszło, że gdybym nie wiem jak zręcznie udawał baranka, to samo znalezienie na wagonach przedmiotów kolejowych, nareszcie tłomoczków z bielizną i t. p., już nas zdradzało, już mogliśmy być na pewno aresztowani jako uczestnicy. Gdzie tam, — to wszystko, jakkolwiek rzeczywiście było i mogło coś przeciwko nam świadczyć, młodych umysłów wszakże nie niepokoiło: zaraz więc, po uprowadzeniu brata, obaj z kolegą zasnęliśmy powtórnie. Długim

atoli sen nasz nie był. Już o godz. 5-tej rano przyszli posłańce od gubernatora, aby przetrząść nasze mieszkanie i zabrać mnie, oraz naszego gościa. I wtedy nie zastanawiałem się głęboko nad skutkami wyprawy dnia poprzedniego. Zdawało mi się, że gubernator przesłuchawszy nas, zaraz uwolni, że powrócimy do domu niebawem; to też nie przyszło mi nawet na myśl, wziąć z pod poduszki kieskę, którą mi brat wychodząc oddał, a był w niej cały nasz zasób pieniężny, składający się ze stu rubli papierkami, i paru złotych, oraz srebrnych monet. Humor nasz jednak skwaśniał nieco, gdy konwój przeszedłszy mimo rezydencyi gubernatora, objawił nam, że idziemy nie do niego, lecz do ostrogu. Wtedy nie smutni, ale źli byliśmy, że tym sposobem przesłuchanie nas może się przeciągnąć, ale jednak w każdym razie, nie mogliśmy pogodzić się z myślą, abyśmy tegoż dnia jeszcze nie mieli być wolni. Śmiało patrzaliśmy w oczy przechodniom i gapiom, wyglądającym przez okna, nareszcie stanęliśmy u bramy więzienia! Otworzono wrota — i weszliśmy do pokoju oficerskiego. Niestety! oczekiwania nasze nie ziściły się i nikt nas o nic nie zapytał, nikt nie podał nadziei natychmiastowego wypuszczenia na wolność, w milczeniu tylko rozebrali nas do naga, kazali się napowrót ubrać, i zostawiając u siebie nasze zegarki, pieniądze (kto miał), krawatki i szelki, z resztą wyprawili nas do wnętrza więzienia.

Dozorca otworzył nam wielką kamerę, w której już znaleźliśmy kilku świeżo przybyłych, ale brata mego tam nie było. Co chwila później drzwi się otwierały i wpuszczano do nas po kilku i kilkunastu bohaterów wczorajszej katastrofy, tak, że ku wieczorowi już kamera się wypełniła, było w niej osób do 80, żaden jednak nie potrafił mię objaśnić, gdzie się podział mój brat i co się z nim stało. Dzięki położeniu naszej kamery, mogliśmy zawczasu widzieć, kto do więzienia przybywa, drzwi bowiem wchodowe z ulicy, były *vis-à-vis* okien. Pilnie więc śledziłem czy nie wprowadzą brata, ale oczekiwania były daremne. Co chwila wprowadzali kogoś, znajomych i nieznanych, a wszyscy najprzód musieli wejść jak i my, do oficerskiego pokoju, tam ich obrali z kosztowności i innych zakazanych rzeczy i wtedy

wprowadzali do właściwego więzienia. Jeden tylko biedak, Antoni Siemaszko, odmiennym nieco sposobem odbył podróż do sal więziennych. Później już dowiedziałem się o nim, że uchodząc ze stacyi, nie mógł się dostać do domu, więc pozostał przez noc pod mostem, niedaleko placu biur gubernatorskich; z rana zaś, rozesłani wszędzie żołnierze dla szukania i łapania zbiegłych lub podejrzanych, trafili i pod ten most, a tam znaleźli śpiącego Antosia. Biedaczysko, próbował się nie dać, ale miał tylko przy sobie stary jakiś jednorurkowy pistolet, strzelił więc z niego, ale tem sobie tylko źle zrobił; żołnierze rozjuszeni napadli nań z całą wściekłością, zbili kolbami, rozbili głowę, obdarli, a raczej rozszarpali na nim wszystko, i w takim stanie, popychając i tłukąc przed sobą, dognali aż do ostrogu. Tu, cały w łachmanach, o jednym bucie, z głową zwieszoną na piersi, ze zlepionemi krwią włosami, po których taż lała się jeszcze strumieniami, stał biedaczysko oparty o ścianę i czekał aż go gdzieś dalej powiodą. Niedługo zaciągnęli go na górę nad bramą, bo tam urządzony był szpital dla chorych i rannych. Długo nie mogliśmy przyjść do siebie z powodu ciężkiego wrażenia, jakie widok ten na nas sprawił.

Późno, już w nocy, wszedł do kamery kapitan Mostowskij, przeznaczony do nadzoru nad politycznymi więźniami, i podług listy imiennej, wywoławszy kilkunastu z nas, poprowadził za sobą. Przeszliśmy dziedziniec więzienny, dużo rozmaitych korytarzy, schodów, nareszcie otworzono nam jakieś drzwi i wepchnięto do innej kamery, w której i bez nas już było pełno. Przynieśli nam z restauracyi jadło, o które dopominaliśmy się od rana, a były to tłuste jakieś zrazy, które fatalnie dać się nam miały we znaki. O śnie żaden z nas nie myślał: ciągleśmy sobie gwarzyli, coś projektowali na przyszłość, czasem ktoś śpiewkę zanucił, i tak czekaliśmy co dalej będzie.

Nie wiem już o której godzinie, ale była to noc głęboka, gdy brzęk żandarmskich pałaszy na korytarzach zapowiedział nam nową jakąś wizytę. Po odryglowaniu drzwi wszedł znów pan Mostowskij z kilku żołnierzami, otworzył jakiś papier i głosem schyzmatyckiego dyakona zawołał:

— Jest tu Kraskowski?

— Jestem — odpowiedziałem.

— *Stupáj za mnoj!* — zaryczał i wyszedł, a służalcy jego czekali, aż między nimi i kapitanem znajdzie się wywołany.

Pożegnawszy się z kolegą i innymi towarzyszami biedy, poszedłem za Mostowskim.

Znów przeszliśmy korytarze, schody i dziedziniec więzienny, weszliśmy znów do jakichś korytarzy, ale już na parterze, i po kilku załomach w całkiem nieznanym mi labiryncie, śród ciemności, oświetlonej jedną tylko latarką przewodnika, który szedł przed Mostowskim, stanęliśmy przed jakiemiś drzwiczkami, które dozorca odryglowywać zaczął. Otworzono nareszcie drzwi i wepchnięto mię (literalnie wepchnięto) do malutkiej celki, przygotowanej już widać dla więźnia, w której czarny nagi tapczan i świeczka łojowa, przylepiona na parapecie zakratowanego okna, stanowiły całą dekoracyę.

Drzwi zaryglowano napowrót, i zostałem sam jeden. Sam jeden, między czterema ścianami, zamknięty, nie wiedząc gdzie jestem, głodny, w lekkiej tylko okrywce, zziębnięty, smutny, że nie wiem, gdzie jest i co się dzieje z bratem. Wpadłem w niemiłą zadumę. Przekonałem się, że jestem więźniem stanu, że mię zamknięto w sekretnej celi, abym się nie mógł z nikim porozumiewać, że więc niezawodnie będą jakieś indagacye, śledztwa, sądy, wyroki, kary; że od sprytnego tłumaczenia się zależeć będzie moja przyszłość, a więc potrzeba nie tracić ducha, a śmiało, odważnie i stanowczo opierać się wszelkim podejściom, że na to wszystko potrzeba hartu, przewyższającego może siły 18-letniej duszy. Potrzeba tego hartu nabrać, a skąd? Ani tu ojca, ani matki, i brat starszy nie wiadomo, gdzie się podział, żadnej kompletnie istoty mocniejszej — sam tylko, i sam jeden!

Mówią, że „jak trwoga, to do Boga“. Ja trwogi nie doznawałem żadnej, to sobie dobrze przypominam, ale ta potrzeba wynurzenia się przed kimś, chęć opowiedzenia komuś o swoich postanowieniach, świadomość potrzeby nabrania hartu duszy, w braku żywej blizkiej sercu istoty, zwróciła mój umysł do Boga,

i wtedy od razu poczułem, że nie jestem przecie tu sam jeden, mam z kim mówić, radzić się kogo, nabrać potrzebnej otuchy i mocy.

Nie pod ciężarem nieszczęścia, bo nad tem nie zastanawiałem się jeszcze, nie w napadzie rozpaczy, bo od tej byłem daleki, ale tylko z potrzeby ucieczki do istoty silniejszej, a blizkiej sercu, dusza moja zwróciła się do Pana Boga, i tam znalazła to, czego szukała. Oparłszy się o ścianę pieca, którą plecami memi rozgrzać usiłowałem, aby później z niej ciepło czerpać, zmówiłem pacierz, powtórzyłem wszystkie modlitewki, jakich kiedy matka mię nauczyła, a gdym w konkluzyi zmówił „Pod twoją obronę", już byłem zupełnie spokojny, odważny, wesół; a tak, pokrzepiony, uczuwszy przewagę zmęczenia fizycznego, rzuciłem się na tapczan i sen młodzieńczy niedługo powieki mi zamknął.

Sądzono widać jednak było, abym tę noc całą poświęcił wrażeniom: nie wiem, czym parę taktów z Chrapickiego prześpiewał, gdy znowuż obudziły mię brzęk szabli i dobijanie się do mojej celi. Drzwi się otwarły i zobaczyłem wchodzący duży siennik, a za nim wtłaczającego się podoficera żandarmów. Zrazu zdało mi się, że to dla mnie przynoszą pościel, i rad już byłem nawet tej myśli, bo mię kości od twardego tapczana bolały; ale niestety! była to tylko bujna wyobraźnia: — żandarm zamknął drzwi za sobą ze środka, położył siennik tuż obok tapczana na ziemi i, nie mówiąc ani słowa, wyciągnął się na nim jak długi, a za chwilę i chrapać zaczął.

Nie podobało mi się to bardzo. Już rad byłem mojej samotności, bom nie był sam jeden, lecz z Bogiem i Jego opieką, już mi było tu lepiej, aniżeli w gwarnej kamerze poprzednio, aż tu, nie wiem dlaczego, nowego i tak wstrętnego dostałem towarzysza. Przyszło mi na myśl, że muszę uchodzić za jakiegoś ważnego przestępcę, skoro nawet w sekretnej celi nie chcą mię zostawić bez dozoru żandarma; wzmocniony jednak poprzednio serdeczną modlitwą, niewielem co sobie i z tego robił, a usłyszawszy chrapanie żandarma, i sam na nowo wdałem się w drzemkę.

Gdym się obudził, już żandarma nie było, i znów byłem sam jeden.

Przez cały dzień raz tylko przyniesiono jedzenie jakieś, które mi bardzo nie smakowało, jakkolwiek bardzo głodny byłem; zajrzał parę razy Mostowskij i dozorca więzienia, lecz obaj, ani słowem nie poinformowawszy mię o przyszłym losie, odeszli, i znów nastał wieczór podobny do wczorajszego, tylko już żandarm na noc nie przychodził. Dowiedziałem się później, że to nie dlatego, jakoby poczytywano mię za nader wielkiego przestępcę, lecz dlatego tylko, że celka moja poprzednio służyła za zwyczajny przytułek dla tego żandarma.

Upłynęło dni kilka, zupełnie podobnych do pierwszego, a żadna zmiana w położeniu mojem nie zaszła. Zaczęło mi się zdawać, żem już zginął dla świata i swoich, że pozostało mi mieć do czynienia tylko z żandarmami, dozorcami, Mostowskim i t. p. siepaczami, bo z za murów więzienia żaden głos nie dochodził.

Jakież było rozkoszne zdziwienie, gdy przyzwyczaiwszy się już do tej myśli, ujrzałem żandarma, niosącego do mojej celki dość sporej wielkości zawiniątko i poznałem w niem moją własną pościel, bieliznę, trochę ubrania, fajeczkę i tytoń, a w dodatku koszyczek z rozmaitemi łakociami. Nie przedsmak wygody, albo tych łakoci był mi przyjemny, lecz ta pamięć, to zajęcie się mną, o którem już przestałem był marzyć, rozrzewniająco podziałały na mnie. A gdym się dowiedział, że panna Zofia Wojno, która mi to przysyła obecnie, będzie co dzień przynosić nam jedzenie dla wszystkich więźniów, i że, po pierwszych indagacyach, znajomym pozwolą się z nią widywać, uważałem to za prawdziwą łaskę nieba, bo panna Wojno rzeczywiście była mi dobrze znaną i wielką przyjaciółką nas obu.

Pozostało więc z upragnieniem oczekiwać wezwania do komisyi, aby potem módz widzieć kogoś ze świata, a tem więcej swoją dobrą znajomą. Do tego jednak jakoś nieprędko przyszło, tylko już weselej było mieszkać w swojej celce, sypiać na własnej pościeli; palić fajeczkę i dumać przytem już było raźniej.

Pewnego dnia, gdym, uczepiwszy się krat w oknach, rozglądał się poza ścianami muru, a widziałem tylko kawałek nieba i przeciwległy do mojej ściany mur, pełen takichże okra-

towanych okien jak moje, nagle spostrzegłem w jednem z nich migającą jakby twarz brata. Zeskakuję na podłogę, chwytam jakąś chustkę, czy coś podobnego, przecieram okno, widzę że tam robi się toż samo, a za chwilę obie twarze wcisnęły się jak mogły w kraty, aby być bliżej szkła, i poznajemy siebie! Radość była nie do opisania! W ten moment udało mi się palcem na szybie napisać jakieś zapytanie, brat dał mi takąż odpowiedź, i już wiedzieliśmy o sobie wszystko. Dowiedziałem się, że gubernator Galler nazwał nas *zaczynszczykami*, zagroził, że rozprawi się z nami wedle naszych zasług, i dla przeprowadzenia śledztwa kazał brata tu odprowadzić ze związanemi w tył rękami. Do komisyi jednak nie wzywano go jeszcze ani razu.

Postanowiliśmy nie przyznawać się do niczego, a główniejsze kwestye, w których mogłaby nastąpić plątanina tłumaczeń, omówiliśmy dokładnie, i takim sposobem cały plan był gotów. Chodziło nam tylko o kolegę, którego zabrali od nas, aby tak samo się tłumaczył, ale i tego wkrótce dopięliśmy za *grywienniki* (20 groszy), na które jeden z żandarmów był bardzo łakomy.

Przyszło nareszcie do indagacyi. Z początku nie wzywano nas inaczej jak tylko w nocy, spodziewano się bowiem, że tym sposobem łatwiej z nas coś wydobędą; lecz gdy zauważyli, że trzymamy się ostro, że nie wrażliwi jesteśmy ani na pogróżki indagatorów, ani na porę nocną, ani na słodkie obietnice natychmiastowej swobody, że przytem, rozmieszczeni w zupełnie innych, dalekich od siebie skrzydłach więzienia, wszyscy trzej tłumaczymy się jakby jeden, dali pokój nocnym posiedzeniom, a indagowali we dnie. Ciągnęło się to pięć tygodni, w biegu których rozmaite co do losu naszego otrzymywaliśmy wieści; to mówiono nam, że będziemy wolni, to znów spłakani znajomi i ojciec, który też przyjechał do Grodna dla pilnowania sprawy, dowiadywali się o wyroku śmierci, i komunikowali nam to ze łzami; innym razem sami sędziowie śledczy, po niefortunnych obietnicach łaski, używali fortelu pogróżek, okazując nam przytem na dowód słuszności wyroku, sztylety i inną broń, mającą wrzekomo należeć do nas, a którą znaleść mieli na placu pod stacyą; ale to wszystko, jakkolwiek niemiłe na nas robiło wra-

żenie, nie zmieniło jednak postanowienia, aby do niczego się nie przyznawać.

Okazywana broń rzeczywiście własnością naszą nie była, jakkolwiek dobrze znajoma; tłomoczka z bielizną na szczęście jakoś nie okazywano, widać któryś z żołnierzy znalazłszy, uznał za właściwsze, przez wielki patryotyzm, zachować dla siebie jako łup, zdobyty na nieprzyjacielu; że magazyn był otwarty, i na wagonach były kolejowe przedmioty, to widać ktoś klucz mi od magazynu ukradł i wziął co mu było potrzeba; a że nareszcie ktoś tam z uwięzionych dowodził, jakoby mię widział idącego około godziny 9-tej między wagony, stojące niedaleko magazynu i stacyi; to było bardzo naturalnem, bo będąc dnia tego cierpiącym na żołądek, musiałem nieraz nawet chodzić między wagony, potrzebnego miejsca bowiem przy domu naszym nie było; na co, wysadzona umyślnie w tym celu komisya, po sprawdzeniu na gruncie tak samego zabudowania jak i stanu roli pomiędzy wagonami, musiała dać świadectwo twierdzące. Stanąłem więc jak mur przy raz powziętej decyzyi, a zgodność tłumaczenia się trzech nas, pomagała mi w tem znakomicie. Świadczyli wprawdzie przeciwko mnie — to jakiś idjota Homulicki, to własny nasz kucharz i jego żona, ale nic to nie pomogło. Przeciw zeznaniom kucharzostwa broniłem się tem, że obwinienie mnie leżało w ich interesie, uwolniony bowiem rozpocząłbym poszukiwanie owej kieski z pieniędzmi, którą zostawiłem pod poduszką, a którą nie kto inny, jak oni sprzątnęli. Ten zarzut zdetonował trochę szanowne małżeństwo, zaczęli się jąkać, a tego mi już dość było, aby silniej obstawać przy fałszywości ich zeznań. Jakiekolwiek więc grono sędziów mogło mieć moralne przekonanie o mojej niewinności lub winie, jurydycznych dowodów nie było żadnych. Z taką opinią musieli rezultaty śledztwa przedstawić gubernatorowi, a nas tymczasem przeprowadzili do ogólnych kamer, a nawet — skutkiem starań panny Wojno, która przez cały czas dostarczała nam ogromnych kotłów jedzenia dla całej partyi, zajmowała się bielizną i wyprawą osądzonych, a za pośredników z uwięzionymi, jako starostów więziennych nas dwóch obrała — pozwolili nam w jednej z bratem kamerze pozostać. Mieszkanie

dali nam wówczas w murach pojezuickich, które zajęto na więzienia, mieliśmy więc z drugiego piętra widok na miasto, a najbliżej była apteka p. Szmidta, który też razem z nami siedział. Nie spodziewała się zapewne władza więzienna, jak niebacznie postąpiła w tym razie: dom, zajęty pod aptekę p. Szmidta, miał tylko parter urządzony do mieszkania, górna zaś część niewykończona stała pustką i formowała jakby strych domu z dziurami dla okien na zewnątrz i drzwi do balkonów, i te to właśnie otwory były naprzeciw okien naszego więzienia. Jakkolwiek więc przestrzeń znaczna nas przedzielała, ale jednak za pomocą lornetek teatralnych mogliśmy doskonale rozpoznawać nietylko twarze, ale i poruszenia ust licznego grona znajomych, przyjaciół i krewnych, którzy, dowiedziawszy się o przeprowadzeniu nas do murów pojezuickich, a będąc dobrze znajomi z panią Szmidt, zbierali się co dzień na strych jej domu i stamtąd rozmaitemi znakami w powietrzu robionemi, informowali nas o wszystkiem, co się nas i nie nas tyczyło. Przeszkadzało nam wprawdzie jedno okno komisyi śledczej, które było też naprzeciw naszej kamery, o jedno piętro niżej, ale że pawilon, w którym się mieściła komisya, usunięty był nieco w bok, potrzeba więc było tylko nie w samem stać oknie, lecz także nieco usunąć się w głąb kamery i trzymać się prawej strony, aby tym sposobem zasłonić się przed oknem komisyi, a być widzialnym i widzieć samemu, co się dzieje na strychu apteki.

Tak przesiedzieliśmy dwa miesiące, czekając na powrót wniosków komisyi, które posłane były do wileńskiego jenerał-gubernatora. Decyzya tego ostatniego brzmiała, aby całe śledztwo przeprowadzić na nowo. Znów więc rozsadzili nas do sekretnych cel, na nowo zaczęły się badania, ale owoców z tego komisya śledcza nie dopytała się żadnych: te same, lub w tym samym duchu, tłumaczenia sformowały nowe akta, i ta sama opinia komisyi musiała powtórnie przejść pod rozpatrzenie wyższej instancyi. Po dwóch tygodniach na nowo połączyli nas w ogólnych kamerach, a co do losu, jakiego mamy się spodziewać, zbywali każdego innemi objaśnieniami. Nam obiecywali ciągle, że zostaniemy uwolnieni — a szczególnie ta nadzieja nabrała barwy prawdopodobieństwa,

kiedy zmieniony został gubernator Galler, a na jego miejsce przybył hrabia Bobryńskij, człowiek nadzwyczaj elegancki, i jak mówili, bardzo dobry. Nadzieja wzrosła jeszcze, kiedy kolega nasz, wzięty z naszego mieszkania, został uznany za niewinnego i uwolniony z więzienia.

Hrabia Bobryńskij niewiele jednak mógł zrobić, i dlatego popasał w Grodnie króciutko, a zastąpiony został przez jakiegoś eks-żandarmskiego pułkownika, którego nazwiska nie pamiętam. Pomimo to, cieszyliśmy się ciągle nadzieją uwolnienia. Naznaczano już nietylko dnie, ale godziny, kiedy miano od gubernatora przynieść rozporządzenie wypuszczenia nas; sam gubernator nieraz upewniał ojca naszego i innych starających się, że już, już, tylko w biurze jakaś jeszcze formalność załatwioną zostanie, i natychmiast wyśle papier do zawiadowcy ostrogu, aby nas uwolnić z więzienia; kazał nawet nieraz iść tam wprost od siebie, aby być świadkiem naszej radości. Niestety! próbki te były daremne! Przychodził ojciec, zwiastował nam pomyślną wiadomość, czekaliśmy u wrót posłańca, każdy podjazd kozaka i każde skrzypnięcie klamki elektryzowało nas do ostatniego nerwu, chwytaliśmy za papier, aby go prędzej doręczyć zawiadowcy, już i dorożka nieraz czekała pod bramą na rzeczy — z nastaniem jednak wieczora rozchodziliśmy się po kamerach spuściwszy nosy na kwintę, ale już z tem pewniejszą nadzieją, że jutro niezawodnie z rana już będziemy w domu, już kazaliśmy nawet przyrządzić tam herbatę, a znajomym zapowiedzieliśmy godzinę naszych odwiedzin. Tak było nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy! a zawsze napróżno!... Innych, prawie wszystkich, pouwalniali, a my dwaj, i jeszcze dwudziestu kilku innych z wyprawy 2-go marca, musieliśmy czekać i czekać. Tylko dyrekcya kolei warszawsko-petersburskiej, która ciągle u gubernatora dopominała się uwolnienia naszego, podtrzymywała nasze dobre nadzieje, bo pierwszej daty każdego miesiąca na ręce naszego ojca wypłacała pensyę „dwom swoim dzielnym urzędnikom“, którzy „lada dzień będą wolni i do czynności swoich powrócą!“ Dzięki tej szlachetnej wspaniałomyślności zarządu kolei (a była to francuska kompania), mieliśmy czem opędzać główniejsze nasze potrzeby (przeważnie

pokątne usługi żandarmów, bo wszelkie inne potrzeby zaspakajane były kosztem miasta) i jeszcze coś się nam zostało na podróż do Syberyi.

Przeszło trzy miesiące tak nas ciągle zwodzili, z dnia na dzień odkładając uwolnienie, że już cierpliwości zabrakło. Wolelibyśmy byli już jakibądź wyrok, chociażby wyrok śmierci, który i tak już parę razy obił się był o nasze uszy, niż to ciągłe oczekiwanie i łudzenie się nadzieją. Może to i fortel był moskiewski — kto wie? Może umyślnie chcieli tem obiecywaniem zmordować i wyczerpać cierpliwość naszą do ostatka, abyśmy sami zapragnęli choćby najgorszego wyroku, byleby już raz wiedzieć, jaka przyszłość nas czeka. Wiedzieli dobrze, że całe Grodno interesuje się losem naszym, że wielu mamy starających się o jakieś łaski u rządu, że więc rozdrażnienie nasze z wysłuchania wyroku wynikłe, mogło pobudzić mieszkańców Grodna do jakiej interwencyi, tem więcej, że, oprócz nas dwóch, pozostało jeszcze nieuwolnionych z katastrofy 2-go marca przeszło 20 osób czekających wyroku, z których też każdy miał w Grodnie kogoś ze swoich. Jakoż rzeczywiście, pod koniec, naprawdę, przynajmniej co do mnie, wolałbym wyrok szubienicy, jak te ich obietnice wyzwolenia, które z dnia na dzień przez kilka miesięcy kończyły się na niczem.

Nareszcie, 2-go października, akuratnie w siedm miesięcy po zaaresztowaniu, kozak, zamiast dyspozycyi o uwolnieniu, przywiózł do odczytania w komisyi wyroki sądu wojennego dla partyi więźniów z 2-go marca.

Drgnęliśmy wszyscy, jakby prądem elektrycznym przeszyci, ale i odetchnęliśmy wolniej — już miał być koniec męczarni oczekiwania.

Wyroki były ze wszech miar nadspodziewane, a o ile słuszne, ufundowane na jakiejkolwiek jurydycznej podstawie, na to niech posłuży za wyjaśnienie wyrok na nas trzech zapadły: Ja, brat mój i wzięty z domu naszego kolega, jakkolwiek rozmaite mieliśmy role przed i w dniu 2-go marca, to jednak, ponieważ nam nic nie dowiedli, a robione zarzuty, jednoznaczne dla wszystkich trzech, odparliśmy dowodami także jednej siły — przeto logicznie,

jeżeli jeden z nas miał być winnym, to i dwaj inni powinni być w tymże stopniu obwinieni, a jeżeli uniewinnić, to należało także wszystkich. Pomimo to wyrok był następujący:

Bolka Izbickiego uznali za niewinnego i już dawno przedtem uwolnili z więzienia.

Bratu memu policzyli czas więzienia za karę, dodali do tego trzy miesiące więzienia w fortecy dynaburskiej, a następnie przeznaczyli na mieszkanie do gubernii permskiej.

Mnie zaś, *raba Bożawo*, osądzili na Amur w sołdaty bez wysługi.

Nie zazdrościłem nikomu, ani też lękałem się dalekiej podróży, ale mię gniewała niekonsekwencya sędziów; koniec końcem rad byłem, że się już wyrwę z więzienia, które mi obrzydło i zmordowało do szczętu.

Termin wyjazdu wszystkim osądzonym z 2-go marca naznaczono na 6-go października.

Ojciec, krewni i znajomi, którzy tyle czasu żyli pewnością, że lada dzień ujrzą nas między sobą, jak piorunem rażeni zostali wyrokiem zsyłki; oni woleliby jeszcze nie wiem jak długo czekać, byleby nareszcie doczekać się naszej swobody; ja zaś cieszyłem się niezmiernie, że już zniknę z ich zapłakanych oczu, że pożegnam mury więzienne, że wyruszę w świat, nieznany mi wprawdzie, ale szeroki, na którym zapewne nie będzie mi tak ciasno i duszno, jak w grodzieńskim ostrogu; że może kiedyś, po latach wielu, powrócę przecież znów w strony rodzinne, nacieszę się wtedy życiem, od którego mię dziś odrywają. Nie przyszło mi jakoś na myśl, że te lat wiele, na przebycie których w krajach zsyłki zgadzałem się już w pokorze mojego ducha, może zmienić nietylko warunki dzisiejszej egzystencyi mojej, ale i serca drogich mi osób, że mogę wrócić kiedyś, ale już zupełnie inny i pomiędzy innych, że drogiemi mi zostaną chyba te kąty ziemi rodzinnej, gdzie się spędziło młodość, gdzie silniejszych doznało się wrażeń.

(C. d. n.).

Jerzy Kraskowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. w. Przez *W. Bogusławskiego.* Tom II. [1].

III.

Dział III. ogromnego drugiego tomu obejmuje wykład rozwoju cywilizacyi Słowiańszczyzny północno-zachodniej. Bardzo dobrze łączy się on z dwoma poprzedniemi i jest ich tylko uzupełnieniem.

Poznawszy z jakich ludów i plemion poszczególnych składała się ta część Słowiańszczyzny od VI. do XIII. w., i jaki był ich ustrój społeczeński i polityczny, wypadało jeszcze poznać nieco bliżej, czem się oni zajmowali, w co wierzyli, jakie było ich wykształcenie estetyczne; a jako wstęp do dziejów zewnętrznych, których wykład będzie w tomie następnym, daje autor jeszcze rzecz o wojskowości, z której i o cywilizacyi słusznie wnioskować można.

Według przekonania niektórych uczonych (tak obcych jak swoich) starzy Słowianie byli narodem dzikim i grubych obyczajów, a tymczasem w oświeceniu nie ułudnych barw wyobraźni, ale zdarzeń i zapisków najdawniejszych, i to obcą, czasem nieprzychylną ręką skreślonych, które autor skrzętnie pozbierał, ukazuje się nam społeczeństwo rządne, pracowite, skromne, którego potrzeby wprawdzie nie wielkie, ale którym ono umie samo zaradzać; jednak zarazem nie o tyle zamknięte w sobie, żeby nie utrzymywało stosunków zwłaszcza kupieckich

[1] Patrz *Przegl. Pow.* t. XXXIX, str. 105.

z obcymi, a choć nie pożądające cudzego, jednak i umiejące swego bronić i to bardzo zmyślnie. Nietylko pomiędzy poszczególnemi warstwami ludności i ich zajęciami był wzorowy porządek, nie narzucony z góry ale z samej natury rzeczy wytworzony, ale i kraj cały był urządzony przyzwoicie. Miał wystarczające do swych potrzeb połączenia z sąsiadami i dla targowli, wytknięte szlaki i ścieżki i całą sieć dróg wodnych. Autor podaje, jakie według świadectw historycznych były te środki komunikacyjne z najdawniejszych czasów.

Z obrobionej w tym dziale materyi historycznej wypływają samochcąc dwie ważne prawdy, na które chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelnika. Tak ten dział jak i poprzedni jest nieocenionej wartości dla lepszego wyrozumienia dziejów wewnętrznych narodu polskiego. Jest to niejako wykład starożytności polskich rozszerzony; przez takie zaś ich rozszerzenie rzecz bardzo zyskała, coby nowym było dowodem, że dzieje polskie tylko na tle ogólno-słowiańskiem z korzyścią opracowywane być mogą.

Lecz daleko ważniejszy jest wynik drugi, który się czytelnikowi uważnemu a nieuprzedzonemu sam zaraz narzuca. Oto w świetle tych wiadomości o najdawniejszej cywilizacyi u Słowian przedstawia się hipoteza o przyjściu Słowian do Europy w VI. w. jako bardzo niedorzeczna i, że się tak wyrazimy, dziecinna. Aby coś podobnego i teraz jeszcze utrzymywać, potrzeba nie mieć wyobrażenia o rozwoju powolnym jakiegoś narodu, czyli potrzeba nie być historykiem — co na nieszczęście przydarza się nieraz i uczonym piszącym o historyi. Tak się zagospodarować i tak się urządzić na swojej ziemi, może tylko naród nie hordami wielkiemi naciągający, ale powoli osadami stałemi coraz się dalej posuwający, niosący z sobą wszędzie te same zwyczaje i urządzenia i od wielu wieków już ciągle u siebie w domu zostający. Przedewszystkiem z paragrafu o wojskowości (str. 646 i d.) jak najjaśniej się pokazuje, że Słowianie w krajach, w których mieszkali, byli zupełnymi panami, sposób zaś obrony ich od nieprzyjaciół jest dowodem i bardzo starożytnego społeczeństwa i wykształconego. Tylko kto dobrze poznał naturę kraju, w którym mieszka, i rozmaitych doświadczał przygód i nieszczęść, mógł się w podobny sposób ubezpieczać przed najezdnikami. Sztuka fortyfikacyjna starała się głównie wyzyskiwać korzyści położenia samej miejscowości.

Wprawdzie źródła autora, poświadczające istnienie u Słowian różnych porządków, zwyczajów i wynalazków, nie są bardzo stare; ale właśnie ta okoliczność, że nigdzie niema wzmianki, jakoby one od

niedawna zaczęły istnieć, że tylko najczęściej przypadkowo o nich się wspomina jako o rzeczach ogólnie znanych i wszędzie istniejących, jest dowodem ich starożytności i że ich początek gubi się w czasach przedhistorycznych. Tem bardziej przekonywamy się o tem, jeśli zwrócimy uwagę na jednakowość nazw tych rzemiosł u wszystkich prawie Słowian, co dowodzi, że wszystkie wynalazki potrzebne do przyzwoitego istnienia jakiegoś społeczeństwa, były u Słowian znane już w czasach najdawniejszych, kiedy jeszcze jeden wspólny język nie rozpadł się był na różne narzecza jak jest obecnie.

W całym tym tomie, a zwłaszcza w dziale jego III., tyle poruszonych przez autora zostało materyj, jeszcze dotychczas nie obrobionych zupełnie dokładnie; w których zatem możnaby się sprzeczać, komu na tem zależy, i nie bez pożytku dla rzeczy. Ale taka krytyka wymagałaby napisania prawie sporej książki, co czytelnikom *Przeglądu* zapewne miłemby nie było. Głównie nam o to chodziło, aby zwrócić uwagę szerszych kół czytelników na dzieło godne ze wszech miar czytania i dokładnego obeznania się z niem, i które zawsze będzie wielkim nabytkiem dla nauki o rzeczach słowiańskich.

Na niektóre jeszcze niezupełnie jasne sprawy, dotyczące wewnętrznego ustroju społeczeństwa, dorzucił autor w tym tomie wiele nowego światła, przez zebranie wielu szczegółów z różnych źródeł pochodzących. Gdzie zaś rzecz sama jest pochodzenia bardzo dawnego i która rozmaite przechodziła przemiany i przeobrażenia, jak np. początek i rozwój stanu szlacheckiego, tam i źródła autora nieliczne i nie bardzo stare nie wystarczyły do wyjaśnienia zupełnego sprawy zawiłej.

Czasem jednak nie tyle brak źródeł, ile niedość przedmiotowy sposób postępowania autora jest przyczyną błędnego rzeczy przedstawienia. Już wspomnieliśmy nieco o tem w poprzednich działach, lecz i dział trzeci nie jest wolnym od podobnych usterek.

Z pewnym naciskiem i po wiele razy nazywa autor Słowian społeczeństwem pastersko-rolniczem. Żeśmy zawsze byli narodem rolniczym, to rzecz każdemu wiadoma, i zajęcie to nasze główne wycisnęło głębokie piętno na charakterze narodowym; ale żebyśmy byli zarazem narodem pasterskim, o tem się pierwszy raz od autora dowiadujemy. Na str. 699 pisze on, że po skończonej wojnie „wracali Słowianie do swych zwyczajnych zajęć pasterstwa i rolnictwa". Pasterstwo nigdy nie było zwyczajnem zajęciem Słowianina; bydło na tłokach wspólnych pasło się pod nadzorem kilku pastuchów, a wcale nie zajmowało gospodarzy, których zwyczajnem zajęciem było rolnictwo

i co z niem w związku stoi. Czy nie jest to wszystko tylko ustępstwem dla owej niemieckiej teoryi, o której już poprzednio wspomnieliśmy, o ustawicznym postępie ludzkości według pewnych kategoryj, zwłaszcza że na str. 528 autor tak się wyraża: „około Chrystusowych czasów otoczenie domowe Słowianina było jeszcze bardzo proste ale nie pierwotne". Niejasne te słowa tylko w duchu owej teoryi nabierają znaczenia. Stan zatem pastersko-rolniczy byłby właśnie takim stanem przejściowym w rozwoju cywilizacyjnym społeczeństwa, i z niegoby to wynikała owa wielka prostota w całem otoczeniu i pożyciu domowem Słowian w wiekach średnich. Zdaje się nam, że żadnej takiej teoryi nie powinien się trzymać historyk, której prawdziwości nie zbadał na podstawie zasad swojej umiejętności.

Już zaś teorya owa nie jest wcale potwierdzona doświadczeniem z życia narodów, przytem jako obywająca się bez Opatrzności Bożej i wolnej woli człowieka, znosi w samej swojej podstawie nawet możliwość historyi, która bez dwóch powyższych czynników nawet pomyśleć się nie da, a tak samo nie może być umiejętnie obrabianą bez ich uwzględnienia.

Jeszcze bardziej czuć się daje wpływ owej teoryi w rozdziale o pogaństwie. Autor na jej podstawie podziela przekonanie, że człowiek w stanie pierwotnym uwielbiał najprzód niebo i zjawiska przyrody. Dopiero „z rozwojem kultury poczynała się dążność do uosobienia bóstw niewidzialnych w postacie ludzkie" (str. 713). Gdyby autor zamiast szukać światła w niemieckiej filozofii, udał się do źródeł historycznych, znalazłby w Mojżeszowej Księdze Rodzaju, że człowiek od początku czcił jednego Boga, a dopiero powoli (z rozwojem kultury?) wpadał w bałwochwalstwo, które zatem nie jest wcale religią człowieka pierwotną, a nawet i owe stopnie rozwoju czy raczej upadku w świetle świadectw historycznych inaczejby się przedstawiły. Słowianie zwłaszcza nigdy nie myśleli się stosować do niemieckich kategoryj postępu, gdyż pomimo że się skazili także bałwochwalstwem, jednak nie stracili nigdy pojęcia Boga osobowego, jedynego źródła wszystkiego, tak innych bogów jak i całego stworzenia, jak to wyraźnie twierdzi o nich Prokop: *Sclaveni et Antae unum deum, fulguris effectorem, dominum hujus universitatis solum agnoscunt* (u autora str. 766 n. 235). Na podstawie tej ważnej wiadomości wypadało całą mitologię zupełnie inaczej obrobić.

Pisząc o sztuce u Słowian, uwzględnia nietylko zachodnich ale i wschodnich, a nawet i Rosyan. Nie wchodząc w to, że według innych

historyków cywilizacya Rosyi dawniejsza więcej ma podobieństwa z Azyą jak z Europą, zdaje nam się, że mówienie o Rosyanach owoczesnych, czyli o Moskalach (nie w pogardliwem znaczeniu słowa), jako o Słowianach, jest nieuzasadnione; sam bowiem Karamzyn tego nie czyni i tylko twierdzi, że różne plemiona czudzkie, jak Wes, Mera, Muroma, Mordwa, Czeremis... obróciły się w Słowian przyjąwszy ich mowę i zwyczaje. Autor zaś przeciwnie tak zdaje się być pewny, że wszystko od początku u Rosyan jest słowiańskie, że nawet jeśli coś znajduje się u nich niesłowiańskiego, to musiało przyjść później od sąsiadów; jak np. pisze na str. 896 u. 106: „pewniej jednak domra dotąd istniejąca u Kirgizów-Kajsaków, zaniesioną została do Rosyi podczas napadu Tatarów od XIII. w.“. Pisząc zaś o drumli (str. 898) dodaje, że instrument ten „rozszerzył się po Rusi, gdzie go od przykładania do warg, słusznie warganem nazywano“. Otóż możemy autora zapewnić, że na Rusi lud ów instrument *drymbą* nazywa, *warganem* zaś nazywają go nie Rusini ale Rosyanie. Autor, jak się domyślamy, jest Wielkopolaninem, więc łatwiej można wytłumaczyć te jego etnologiczne pomyłki, zwłaszcza że są one poza zakresem jego badań obecnych.

Rusin z Pokucia.

Wśród Polonii w Ameryce. Skreślił *dr. Emil Habdank Dunikowski*, profesor uniwersytetu lwowskiego. We Lwowie 1893.

Któż zajmujący się choćby najpowierzchowniej losem wychodźców naszych, po całej kuli ziemskiej rozsypanych; któż roszczący sobie do tego pretensyę, że nic co polskie nie powinno mu być obcem i nieznanem, nie pytał niejednokrotnie z żalem głębokim: czemu my tak mało wiemy o losach Polaków w Ameryce, czemu tak luźne utrzymujemy z nimi stosunki?

Polonia amerykańska, to przecież nie drobna jakaś kolonia; to — jak słusznie zauważono — nowa, oceanem oddzielona, ale niemniej polska dzielnica, najpotężniejsza ze wszystkich, jeżeli na szali ważyłaby wyłącznie możność swobodnego rozwoju i materyalny dobrobyt; bardzo w każdym razie potężna, jeżeli liczbę głów weźmiemy na uwagę, bo skąpo rachując dochodzi do półtora miliona. A co o niej wiemy? Czasem znajdzie się w której z gazet krótka, kronikarska wzmianka o jakiejś uroczystości przez Polaków w Ameryce obchodzonej, o jakimś niemiłym zatargu między nimi wybuchłym; czy ta uroczystość jest sporadycznym wypadkiem, czy jednem z ogniw długiego łańcucha

ciągnącego się od Nowego Jorku do San Francisco; skąd ten zatarg się wziął, jakie głębsze jego racye, czy i jak ostatecznie się zakończył, próżno badasz, próżno roczniki dziennikarskie wertujesz. A i ten szczęśliwy, co ma czasem w ręku jaką polsko-amerykańską gazetę, dajmy na to *Zgodę, Wiarę i Ojczyznę, Gazetę Polską, Gazetę Katolicką* i t. d. i t. d., niewiele zazwyczaj mędrszy. Jeden dziennik mówi: biało; drugi z czysto amerykańskiem zacięciem i pewnością siebie zaręcza: czarno; — a ty przyjacielu oryentuj się jak możesz i umiesz!

Nie dziw też, że z niezmiernem zaciekawieniem chwyciliśmy do ręki książkę, mającą nas nakoniec dokładniej a bezstronnie zapoznać z amerykańskiem wychodźtwem. Prawda, że pan Dunikowski bawił stosunkowo zbyt krótko w Ameryce, aby mógł sam się przypatrzyć wszystkiemu, czemu przypatrzyć się było warto; prawda, że obwożony tryumfalnie po miastach i miasteczkach, otoczony regularnie licznym sztabem gościnnych, z otwartemi rękami i hojnie zastawionym stołem przyjmujących go polskich braci, nie mógł właśnie dlatego przekonać się naocznie, jak właściwie amerykańska Polonia wygląda w dzień powszedni, kiedy nie ucztuje, ale pracuje; prawda i to wreszcie, że nie mamy przed sobą obecnie — jak sam autor w przedmowie ostrzega — większego, naukowego dzieła, ale tylko szereg dorywczych notatek pisanych dla gazet pomiędzy jednym a drugim toastem, jedną a drugą biesiadą. Wszystko to prawda, a jednak tak spragnieni jesteśmy pozytywnych i bijącą w oczy stronniczością nie zabarwionych wiadomości o zaatlantyckiej naszej braci, że i te notatki na kolanie pisane, te trochę na amerykański sposób przyrządzone i amerykańskim dowcipem opieprzone fejletony, wzbudzają istotne, nawet bardzo żywe zajęcie. Czyż możliwa, aby go nie wzbudzały, kiedy — jak ktoś dowcipnie, a nie bez pewnej dozy prawdy się wyraził — p. Dunikowski może sobie nie bez słuszności rościć prawo do imienia Kolumba amerykańskiej Polonii; kiedy wiedziano coś wprawdzie i przebąkiwano niewyraźnie przed nim, że Polacy za ocean emigrują, że tam się nawet niektórym nieźle powodzi, ale dopiero wyprawy lwowskiego profesora mgliste te wieści, niepochwytne pogłoski ujęły w jakkolwiek konkretne kształty.

W jakiem świetle przedstawiają się w tym szkicu nasi wychodźcy; jakie ich położenie materyalne, moralne, duchowe? Pierwsze stosunkowo najlepsze; o moralnem i duchowem nie zawsze spotykamy wesołe szczegóły, a choć podróżnik, wdzięczny za gościnne przyjęcie, starał się, o ile można, oględnie się wyrażać, choć wydaje nam się,

że niejedno z umysłu dyskretnem milczeniem pominął, to i tak niewielu podobno zadowolnił, niejednego jawną nawet niełaskę na siebie ściągnął. Inaczej być nie mogło; gdzie tak różne stronnictwa naprzeciw siebie stoją, tak różne interesa w grę wchodzą, tam niepodobna wszystkim dogodzić, do wszystkich zarówno ze słodkim komplementem się zwracać. Inne pytanie, czy komplementa i nagany rozdzielono w sprawiedliwej mierze i wadze. Słyszeliśmy bardzo poważnych i wpływowych „Amerykanów", którzy poważnie nad tem głową kiwali i mówili wręcz: „P. Dunikowski dlatego tę np. szkołę gani, a tamtę chwali, za tym obstaje a przeciw tamtemu powstaje, bo przypadkiem dostał się do domu i w towarzystwo pana X., a nie pana Y.; niechże się przy ponownej swej wycieczce z panem Y. rozmówi, niech zwłaszcza sam stara się poznać nasze stosunki, ale nietylko przy *cocq-tail*'ach, nietylko na urzędowych mityngach i bankietach, a zobaczymy, czy zdania nie zmieni?" Nie możemy oczywiście rozsądzać, czy i o ile w pojedyńczych wypadkach sceptyczne te uwagi są lub nie są pozbawione racyi; pokazują one w każdym razie, co zresztą sam podróżnik najlepiej wie i z góry przyznaje, że wcale nie łatwo w paru tygodniach lub miesiącach w stosunkach amerykańskich się zoryentować i przedmiotowy obraz ich nakreślić.

Pomimo nieuchronnych tych zastrzeżeń i usterek w tak trudnem „kolumbowem" przedsięwzięciu; szczerze — powtarzamy raz jeszcze — wdzięczni jesteśmy p. Dunikowskiemu, że do dzieła tego pierwszy dał początek. Niechże tylko koniecznemi w tak wielkiej sprawie trudnościami się nie zraża, niech idzie dalej na rozpoczętej drodze: zaznajamia rodaków w „starym kraju" z zaatlantyckimi ich ziomkami i nawołuje jednych i drugich, aby lepiej się znając, goręcej, energiczniej wzajemnie dopomagali sobie, czem i jak mogą!

X.

Dawne dzieje. Wspomnienia z lat ubiegłych. Przez *Aleksandra Wybranowskiego*. W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893.

Szereg drobnych, domowych faktów i z istotnie dawnych i z nowszych czasów; rodzinnych zdarzeń, humorystycznych opowiadań, kursujących w swym czasie po okolicy Kossowa, rodzinnej wioski autora, czasami i po Polsce całej — złożyły się na tę książkę, „na mozaikę — jak sam p. Wybranowski skromnie w przedmowie się wyraża — z kamyczków drobnych, prostych, bez blasku kolorów i harmonijnej całości

ułożoną". To prawda, ale z drugiej strony notatki te, zapiski, przeróżne szczegóły i szczególiki wyjęte to z teki, to z korespondencyi pana chorążego krakowskiego, Andrzeja Żydowskiego, to znowu ze starych wspomnień, ze starych aktów, zachowanych w archiwum kossowskiem, mają swą wartość i interesować mogą, nietylko kiedyś w odległej przyszłości „wnuków pragnących poznać przeszłość swoją", ale i dla nas już dziś bynajmniej nie są obojętne.

Na końcu książki znajdujemy osobiste, zbyt niestety lakoniczne wspomnienia o smutnej pamięci roku 1846 p. t.: „Lat temu czterdzieści sześć". Nad wszelki wyraz bolesne to wspomnienia, ale rzecz daremna, kto miał sposobność tak z blizka i wprost przypatrzyć się tym wypadkom, jak nasz autor, ten istotnie zasługuje się historyi, spisując wiernie co sam widział, czego sam doświadczył. Z takich dopiero wspomnień — aby raz jeszcze posłużyć się słowami samegoż pamiętnikarza — wprawna ręka umiejętnego artysty złoży mozaikę wysokiej wartości — bo historya nad zdarzeniami 1846 roku nie przejdzie do porządku; ona wyczekuje pory dojrzałości.

Przewieleb. ks. Leonarda Goffinego **Książka do oświecenia i zbudowania duszy chrześcijańsko-katolickiej,** czyli krótki wykład Lekcyj i Ewangelij na wszystkie niedziele i święta, wraz z wynikającą stąd nauką wiary i obyczajów i gruntownem wyjaśnieniem roku kościelnego, najgłówniejszych obrzędów kościelnych, Mszy świętej, nabożeństwa domowego i dla chorych, drogi krzyżowej, jako też życiorysami Świętych Pańskich, czczonych mianowicie przez lud polsko-katolicki.

Tak brzmi tytuł nowego dzieła, wydanego przed paru tygodniami drukiem i nakładem Karola Miarki w Mikołowie na Górnym Szląsku (Nicolai, O.-S.), spolszczonego podług 54-go wydania niemieckiego ks. Otta, a pomnożonego i poprawionego przez ks. Franciszka Hattlera, Tow. Jezusowego.

Wziąwszy do ręki to poważne dzieło, o 928 stronicach wielkiego formatu, zdumieliśmy się — wyznajemy szczerze — niemało z tego, że polska nakładowa firma, i to na Górnym Szląsku, miała odwagę wystąpić z tem trudnem i na wielkie rozmiary podjętem wydawnictwem. Zdumienie to nasze wzrosło o tyle jeszcze więcej, gdyśmy uprzytomnili sobie te wszystkie trudności, z jakiemi polski wydawca na Górnym Szląsku walczyć musi, ażeby jako tako zadośćuczynić wymaganiom, jakie stawiane bywają w innych polskich dzielnicach ze strony ludzi kompetentnych, gruntownych znawców kościelnej literatury pol-

skiej. Toć to Szląsk Górny, od tylu wieków oderwany od pnia ojczystego, zasypywany i zamulany obcemi żywiołami, uchodzi za prowincyę, w której, zdaniem wielu nawet Polaków, nie znajdziesz już poczucia czystości języka polskiego, w której tenże język, nie mając pola do dalszego rozwoju, stanął w miejscu, psuł się i niszczył w rodzinie, a wyparty ze szkoły i sądu, chromał, upadał, wyradzając się w dyalekt o nazwie wcale niezaszczytnej. Jakżeż więc w tak niekorzystnych warunkach może mieć odwagę polski wydawca na Górnym Szląsku, podjąć rzecz tak arcytrudną, jaką jest spolszczenie dzieła religijnej treści z obcego języka; przy takiej bowiem treści, obok gruntownej znajomości języka obcego i swego, potrzeba jeszcze odczuć i zrozumieć w duchu rodzinnym te wszystkie subtelności pojęć religijnych, i nietylko to tłumaczenie w polską, dla prostego ludu zrozumiałą, ale i ponętną i ozdobną przyodziać szatę?

Nazwisko atoli wydawcy, syna ś. p. Karola Miarki, tego wskrzesiciela języka polskiego na Górnym Szląsku, pisarza nawskróś ludowego, zmniejszało te wszystkie powyżej wyrażone wątpliwości, bo rzecz to naturalna, iż mąż wychowany przy czystem źródle, zdoła zrozumieć ważność swego przedsiębiorstwa wydawniczego i dobrać sobie do wykonania trudnego dzieła pisarzy, stojących na stanowisku dzisiejszej nauki języka polskiego. I nie omyliliśmy się. Początkowe czytanie książki Goffinego budziło w nas ciekawość i przyjemność, która zwiększając się coraz bardziej, zamieniła się wkońcu w prawdziwe zadowolenie i rozkosz, bo przyznajemy szczerze, że nie zawsze czytamy książki polskie treści religijnej, napisane tak czystym, ujmującym językiem, jak w mowie będące spolszczone dzieło Goffinego. Cały układ, tok języka, pojedyńcze wyrażenia jego brzmią tak, jakbyśmy słyszeli mowę złotego wieku literatury naszej.

Obok tej najważniejszej zalety, jaką się każdy język odznaczać powinien, widzimy w nowem tem polskiem dziele postęp nowoczesny, tem więcej pochwały godzien, że dalekim jest od tej zawiłości, jaka cechuje dzieła, których autorowie, znający wprawdzie gruntownie język obcy, ale zbyt niewolniczo trzymając się tekstu jego, zaciemniają myśl i pojęcia polskie, nadając im kształt nieswojski, koszlawy i chromiejący. Naturalność zaś, prostota, jasność i wyrazistość najnowszego dzieła Karola Miarki sprawiają to, że czytać je może nietylko Polak wykształcony, ale i ten, co nie odebrawszy w szkole rozwinięcia umysłowego, używa zwykłej swej mowy.

Dzieło to, jak się przekonywamy już z przedmowy wydawcy, przeznaczone jest głównie dla ludu zajętego pracą. O ile tłumacz odpowiedział zamiarowi wydawcy, pokazuje to aprobata dzieła przez Prześwietny książęco-biskupi Konsystorz dyecezyi krakowskiej. A ta wyżej wspomniana tendencya, w jakiej Karol Miarka zrobił swe wydawnictwo, podnosi rzeczywiście zasługę jego położoną około podniesienia religijnego i moralnego swych ziomków. Wydawca czuł głęboko potrzebę takiego iście ludowego dzieła, jak to dobitnie i trafnie wypowiada w końcu swej przedmowy:

„W dzisiejszym czasie, pod koniec XIX-go stulecia rozbrzmiewa coraz głośniej bardzo znaczące hasło: ateizm albo chrześcijaństwo, tj. albo zupełna niewiara w Boga, zupełne zerwanie z światem pozagrobowym, albo też gorąca wiara w Objawienie Boże i oparcie na niem stosunków społecznych a nawet politycznych. Po której z stron, wydających powyższe hasło, stanąć należy nam katolikom, wątpliwem być nie może. Naród polsko-katolicki, słynący od wieków z głębokiej wiary i pobożności, stanie w szeregu tych, co z Krzyżem świętym Chrystusa Pana w ręku, gotowi są w każdej chwili do największych ofiar i poświęceń za najwyższe dobra ludzkości i wiary swych ojców.

„Sztandar niewiary w Boga i uwielbienia ciała, rozwinięty jest dziś w całej pełni. Stawają pod nim ci, co odrzucają Objawienie św., stawają mężowie wielkiej nauki a większej jeszcze pychy, stawają przywódcy stronnictw politycznych, ciągnąc za sobą swych zwolenników, którzy nie mając gruntownego wykształcenia naukowego, idą naoślep za swymi mistrzami i wpadają w otchłań niedorzecznych a zgubnych dla siebie i społeczeństwa nauk. Około tego sztandaru niewiary kupią się wszelkie żywioły, zmierzające wprost i jawnie do obalenia Kościoła św. i opartego na nim porządku społecznego. Niebezpieczeństwo jest wielkie i groźne. Widzą je prawowierni chrześcijanie i stąd niezwykły pomiędzy nimi zapanował ruch, mający na celu obronę przed tą nawałą nowożytnego pogaństwa. Dzięki Bogu, stawają też wszędzie do szeregu ludzie wysokiej nauki chrześcijańskiej, do walki z tym światem niewiary i apostołami przewrotu.

„Jeżeli ta walka ma być ze skutkiem prowadzona, jeżeli Krzyż Chrystusa ma ocalić państwa chrześcijańskie i odnieść ostateczne zwycięstwo nad tym odwiecznym wrogiem Boga i Jego Kościoła, trzeba do tej walki cały lud powołać, skupić i zszeregować, a potem wspólnemi siłami bronić miasta Bożego i cywilizacyi na chrześcijaństwie opartej. Sztandar ten w kilku, choćby najdzielniejszych rękach powie-

wający nie wystarcza; ten sztandar i hasło rozumieć i bronić go muszą wszystkie klasy społeczeństwa: stan uczony, mężowie wysokich stanowisk, uczeni i prostaczkowie, bogaci i biedni, bronić go musi lud od pługa, lud z fabryk, warsztatów, kopalń i innych centr pracy i zarobku. Nauka Wiary św. i wszelkiej wiedzy ziemskiej zejść musi z tej wysokości, na której przez jeden tylko stan uprawianą była, zejść ku dołowi, do tych licznych rzesz, które należycie oświecone i wychowane w Wierze św. i wszelkiej wiedzy ziemskiej, zapewnić jedynie mogą zwycięstwo Kościoła Chrystusowego nad oświeconem pogaństwem nowoczesnem, które kulturnicy bez wiary chcą koniecznie wprowadzić w stosunki rodzinne, społeczne i polityczne.

„Wydawca pragnie gorąco choć na tem polu ochronić naród swój przed tą moralną zarazą, która ciągnie od Zachodu, poczyna tu i owdzie w krajach polskich owiewać swem trującem powietrzem niebaczne ofiary, i w tym celu występuje z nowem opracowaniem książki Goffinego. Będąc zaś głęboko przekonany o potrzebie powołania wszystkich klas społeczeństwa polskiego do wspólnej obrony największych świętości narodu, do jakich należy skarb Wiary św.; dzieło swoje tak sporządził, żeby ono było przystępnem i zrozumiałem nietylko dla rodaków wykształconych, ale i dla tych, co głównie ręczną zajęci pracą, mało mają czasu do badania i rozważania prawd odwiecznych".

Tę tendencyę, wyrażoną w przytoczonych ustępach przedmowy wydawcy, jedynie pochwalić możemy i przyklasnąć jej szczerze. Jasno, dobitnie i z namaszczeniem wypowiedział ją wydawca. Z książki owej chce mieć silną, skuteczną broń przeciw nowoczesnym burzycielom porządku społecznego i państwowego. To też i my życzymy książce jego jak największego rozpowszechnienia, i wraz z wydawcą prosimy urodzonych narodu naszego stróżów i nauczycieli o polecenie i rozszerzanie dzieła tego pomiędzy wszystkiemi klasami społecznemi.

O wewnętrznej wartości i zewnętrznym a znakomitym układzie dzieła Goffinego zbytecznem byłoby rozwodzić się tutaj, bo autor znany jest w całym świecie katolickim, a praca jego cieszy się dotąd niezmiennem uznaniem nawet teologów. Pozwoliliśmy sobie tylko zwrócić uwagę na piękne zalety jego spolszczenia, to jeszcze dodając, że dołączone do niego liczne ilustracye podnoszą jego zrozumienie, a nęcąc oko czytelnika, zachęcają go do czytania. Druk wielki polskiego tłumaczenia, wolny od błędów, papier dobry, więcej miłą czynią książkę tę, która w mocnej i trwałej oprawie kosztuje 3 złr. 50 ct.

K. R.

Żywot Leona Dupont. Przez *ks. Janvier*. Z franc. przerobiony przez *. Poznań 1893. (Str. V, 204).

Społeczeństwo wypiastowane i wyrosłe na gruncie katolickim, w cywilizacyi Kościoła, owiane życiem Chrystusowem, ma to do siebie szczególnego, iż chociaż wielka jego część wyrodzi się czasem i wykolei z drogi prawdy, resztka zdrowa od czasu do czasu wydaje postacie wspaniałe, ludzi o sercu i duszy wielkiej, których życie, ofiary i cierpienia, przykład wzniosły i częstokroć heroiczny nie pozostają bez znaczenia i wpływu dla ojczystej ziemi, a nawet dla całego chrześcijaństwa. Historya ubiegłych wieków do takich postaci zalicza setki Świętych z pośród wszystkich warstw społeczeństwa, wielkich zakonodawców, zjawiających się zwykle w chwili największej potrzeby. Ale i obecna pora, której cechą znamienną chłód i obojętność dla wszystkiego, co święte i wzniosłe, nie jest przecież ubogą w takie pomnikowe postacie. Możnaby wcale pokaźną kolekcyę zrobić z tych życiorysów, które nam odtwarzają wspomnienia osobistości niezwykłych i szlachetnych naszego wieku.

Do bogatego już zbioru przybywa dziś życiorys nowy, perła cenna, żywot pana Leona Dupont. Życie to nadzwyczaj ciekawe i godne czytania nietylko dlatego, iż obejmuje czasy obfite w doniosłe wypadki i zdarzenia (lata od r. 1797 do 1876), ale że przedstawia człowieka w stanie świeckim, mogącego za wzór służyć wszystkim, wzniosłością charakteru, cnotą, zapałem dla sprawy Bożej. Nie można zaiste bez wzruszenia czytać tych kart, gdzie autor wspomina o wielkiej miłości ku Bogu i bliźnim w Leonie, która go do tak heroicznych wiodła ofiar, zapalała myślą zadośćczynienia za grzeszny świat. Ileż tam spotykamy nauk, jak z każdej korzystać należy sposobności, by nieść pomoc potrzebującym i upadłym. Dodajmy, iż te karty przynoszą wiele nowych, a sądzę, nie wszystkim znanych szczegółów o nabożeństwie wynagradzającem do przenajśw. Oblicza naszego Zbawcy, tak ściśle złączonem z życiem i działaniem p. Dupont. On to właśnie z siostrą Maryą Karmelitanką dał początek a raczej nowe siły i życie temu nabożeństwu, które w świecie tyle wydało już dobrego.

Spotykamy się tu (str. 164) z opowiadaniem o wielu cudownych łaskach, uzdrowieniach uzyskanych za pośrednictwem p. Dupont przez toż nabożeństwo. Że życie takie nie przeminęło bez wpływu i znaczenia, że Kościół umiał tę pożyteczną działalność poznać i ocenić, świadczy najlepiej to, że zaraz po jego skonie (18 marca 1876 r.) ustanowiono

osobną komisyę w Tours, celem zbierania dowodów do beatyfikacyi wiernego sługi Bożego.

Prawdziwa zatem wdzięczność należy się tłumaczowi za przyswojenie naszej literaturze tego pięknego życiorysu. Przekład, który nie jest dosłownem tłumaczeniem, ale tylko skróconem przerobieniem francuskiego dzieła, jest gładki, styl nietylko dobry, ale miejscami nawet wykwintny; portret, umieszczony na początku, jest prawdziwą ozdobą tej książki, która, miejmy tę nadzieję, nie pozostanie, podobnie jak czynny żywot p. Dupont, bez błogich skutków i owoców.

Ks. A. Boc.

Nabożeństwo wynagradzające i Cześć przenajśw. Oblicza Pańskiego. Streszczone według „Nowego Daru Jezusa“ przez O. Honorata Kapucyna. Przez *. Poznań 1893. (Str. IV, 96).

Im czasy cięższe, tem bliższe i hojniejsze miłosierdzie Boże, zsyłające ludziom nowe środki zaskarbienia łask i przebłagania. Wiek nasz tak wyraźną z jednej strony noszący cechę bezreligijności, z drugiej strony widzi dokoła powstające coraz to nowe nabożeństwa z celem głównym zadośćuczynienia obrażonemu Stwórcy, coraz to świeże zgromadzenia i stowarzyszenia pobożne, ratujące świat od upadku. Z takiemi to właśnie nabożeństwami, jakich w bieżącem stuleciu wiele powstało we Francyi szczególnie, zaznajamia nas omawiane tu dziełko w swej pierwszej części. Część druga i trzecia wprowadza nas w dzieje czci przenajśw. Oblicza Boga-Zbawiciela, opowiada szczegółowo rozwój tejże czci w naszych czasach, zwłaszcza po roku 1848, około którego to czasu świątobliwa Karmelitanka Marya od św. Piotra osobne w tej mierze odebrała objawienia. Części tych wartość wysoce podnosi i to jeszcze, że oprócz bogatych szczegółów historycznych zawiera (str. 45—63) piękne a wzniosłe myśli, przydatne do rozważań i nauk o Męce Pańskiej.

Wogóle całe dziełko, będące, jak jego tytuł mówi, streszczeniem obszerniejszej pracy[1], przedstawia niemałą wartość, jako skarbnica dobrej i pobożnej lektury, jako wskazówka, ucząca wynagradzać Bogu i przebłagiwać Go za własne i cudze winy. Pod względem zewnętrznej formy i opracowania nie można temu dziełku żadnych zrobić zarzutów.

Ks. A. Boc.

[1] *Przegląd* mówił o niej w tomie XXXVI, str. 270.

O powołaniu zakonnem podług nauki świętych Kościoła Doktorów Tomasza i Alfonsa z dodatkiem szeregu modlitw dla osób mających powołanie do życia zakonnego. Tłumaczył z oryginału angielskiego za zezwoleniem OO. Redemptorystów *Roger hr. Łubieński*. W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893. (W 16-ce, str. IV, 68).

Dziełko to, zbyt treściwie napisane w angielskim języku, wymagało bardzo umiejętnego przekładu, jeżeli nie miało zatrzeć niektórych odcieni myśli autora. Nie dość na to uważał polski tłumacz, i dlatego niektóre ustępy jego pracy, może nie dość jasne w oryginale, brzmią tak dziwnie, jak gdyby wyrażały naukę nie zupełnie prawdziwą. Cóż może znaczyć np. ustęp na str. 2: „Powołanie pociąga za sobą usprawiedliwienie, po usprawiedliwieniu następuje chwała; ktokolwiek zrywa jedno ogniwo tego łańcucha, psuje porządek łaski nadprzyrodzonej i nigdy zbawionym nie będzie. Cokolwiek innego dokona albo wycierpi, na nic mu się nie przyda, bo do niego stosują się słowa św. Augustyna: *bene curris, sed extra viam*“. Czyż tego ustępu nie można, i bardzo łatwo, rozumieć jako groźbę, że traci łaskę boską i stanowczo „nigdy zbawionym nie będzie“, kto powołany do zakonu, nie idzie za tą radą ewangeliczną, tylko zachowuje dziesięcioro przykazań? Czytelnik światły odgadnie, że autor chciał zapewne przestrzedz przed niebezpieczeństwem, na jakie naraża pogarda łaski; ale myśl wyrażona tak przesadnie może wprowadzić w błąd.

Gdzieindziej (na str. 16) autor roztrząsa pytanie: czy to chwalebną rzeczą jest wstąpić do klasztoru, bez zasięgania porady wielu osób i bez dłuższego namysłu? Tłumacz uważa to za chwalebne i na dowód przywodzi kilka odpowiedzi ze św. Tomasza; jedną z nich tak wyraża: „wstąpienie do zgromadzenia zakonnego może być także osądzone ze względu na osobiste każdego siły. I pod tym względem niema powodu do jakichkolwiek obaw, bo w nadprzyrodzonem życiu duszy, nasza nadzieja nie polega na nas samych, ale na Panu Bogu“. I w tych słowach można wyczytać prawdę, ale nietrudno z nich pojąć mylnie myśl autora. Kogo wyraźnie Bóg powołuje do zakonu, ten nie potrzebuje namysłu nad pytaniem, czy wytrwa; obawa ta nie może nikogo wstrzymywać od życia zakonnego, bo co do sprawy wytrwania musimy pokładać nadzieję w miłosierdziu Boskiem, a żadnej rękojmi wytrwania nie znajdziemy badając własne siły. „I pod tym względem“ prawd wyraził autor, że „niema powodu do jakichkolwiek obaw“. Ale kto nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, skąd czuje pociąg do życia za-

konnego, albo sam siebie nie rozumie, czy doznaje istotnie jakiegoś pociągu, czy może tylko ulega chwilowej zachciance, ten powinien dobrze i z namysłem rozważyć, dla jakich pobudek myśli o zakonie. Bardzo stanowczo żąda tego np. Juliusz III. w konstytucyi z dnia 21 lipca 1550, w której potwierdza ustawy Towarzystwa Jezusowego, i między innemi mówi: *qui ad nos accessuri sunt, antequam huic oneri humeros supponant, diu multumque meditentur, an tantum pecuniae spiritualis in bonis habeant, ut turrim hanc juxta consilium Dominicum possint consummare: hoc est, an Spiritus sanctus, qui illos impellit, tantum illis gratiae polliceatur, ut hujus vocationis pondus, illo adjuvante, se laturos sperent.*

Trudno rozbierać szczegółowo wszystkie błędy, jakie mógłby kto wyczytać w tej książeczce, oczywiście z winy zbyt zwięzłego języka. Dość nadmienić takie zwroty dziwaczne, jak np. że nie można uniewinnić od grzechu śmiertelnego rodziców, którzy niesłusznie zabraniają dzieciom wstąpić do zakonu, chociaż to czynią przez nieświadomość. Tłumacz miał na myśli nieświadomość zwaną *ignorantia juris*, ale jego słowa brzmią, jakby ciężko grzeszył czytelnik jego pracy, jeżeli dlatego dziecka nie puszcza do zakonu, że zupełnie wątpi o jego powołaniu. Wiele podobnych zwrotów ciemnych sprawia, że dziełko wygląda jakby wpadało w przesadę, jakby żądało, żeby każdy natychmiast wstąpił do zakonu, kiedy tylko zaświta w jego umyśle pierwsza myśl jeszcze nieokreślona, choćby powstała z podszeptu złego ducha; jakkolwiek ten ostatni dodatek wyglądać musi śmiesznie, autor twierdzi (na str. 21), że powtarza tę myśl za św. Tomaszem; ale św. Tomasz tylko tego uczy w odnośnem miejscu, że źle jeszcze nie postępuje, kto wstępuje do zakonu powołany głosem Bożym, choć przytem czart jakąś podsunie pobudkę, skądinąd uczciwą.

Prócz tego zarzutu głównego, wytknąć trzeba autorowi język nie zupełnie poprawny, np. (str. 9): „św. Alfons zupełnie podobne używa wyrażenia“, albo (str. 15): oznaką powołania jest „uzdolnienie do albo przyjęcie przez odnośne zgromadzenie“, także (str. 34): „jakiż stan ma być uważany za ciężkiej lub ostatecznej nędzy, lub zwykłego, względnego tylko ubóstwa?“ *Ks. K. C.*

Nowy Testament Jezusa Chrystusa. Tom. I. zawierający cztery Ewangelie. Poznań. Nakładem Biblioteki Kurnickiej. 1892.

Przecież kiedyś nareszcie znalazł się ktoś, co odpowiedział potrzebie i życzeniom naszego społeczeństwa: zabrał się do wydawania

Pisma św. Nowego Testamentu w małym formacie i przystępnej cenie dla publiczności katolickiej!

Wyszedł dotąd jeden tomik, zawierający 4 Ewangelie, w cenie 2 marek, tudzież Dzieje Apostolskie i podobno także Listy Apostolskie. Jest aprobata biskupia. Tekst Wujka wierny, z modernizowaną tylko pisownią. Przypiski Wujka skrócone i po części przerobione przez ks. lic. Jaskólskiego.

Nie są to jeszcze przypiski takie, jakichby się chciało: tj. tak wyzyskujące nowożytną archeologię i skrypturystykę, jak Wujek wyzyskał ówczesną, i tak uwzględniające nowożytne błędy, jak Wujek uwzględnił ówczesne — a z tem wszystkiem do *minimum* objętości i *maximum* treściwości sprowadzone; ale są to przecież przypiski, które niemałą przysługę czytelnikom oddać mogą. — Forma też niejedno zostawia do życzenia. Nie można zapewnie wymagać, żeby katolickie wydanie Pisma św. dorównywało, pod względem piękności i taniości zarazem, wydaniom protestanckim; bo te ostatnie czerpią z bogatych zasobów towarzystw biblijnych. Jednakowoż można było, sądzę, wymódz od drukarni druk czystszy, bez tylu zalanych liter, format zgrabniejszy, nie tak kwadratowy, a przytem cenę dużo niższą. W końcu trzebaby to wydawnictwo więcej i wszędzie ogłaszać. Już rok jak I. tomik wyszedł, a jeszcze prawie nikt o tem nie wie; redakcye, o ile wiem, nie otrzymały egzemplarzy do ocenienia.

Przy tych wszystkich brakach trzeba dziękować Panu Bogu i Dyrekcyi Biblioteki Kurnickiej, że ten Nowy Testament wychodzi; i trzeba go kupować i szerzyć i czytać i rozmyślać — bo to są przecież słowa żywota; a opłakaną jest rzeczą, jak wielu katolików kończy swą znajomość Pisma św. na tych kilku urywkach, które są w Ewangeliach niedzielnych.

Ks. M. Morawski.

Wspomnienia o 3-cim pułku ułanów Wojska polskiego. *L. Szumski.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1892. (W 8-ce, str. 167).

Kogo tylko zajmują wypadki najważniejsze z dziejów naszych, ten wdzięcznie oceni przysługę, jaką nam wyświadczyła Spółka Wydawnicza powtórnie wydanym pamiętnikiem p. Szumskiego, b. oficera wojsk polskich. Do książek, którym życzyć można najliczniejszych czytelników, należy ten opis wojennych czynów, dokonanych przez 3-ci pułk ułanów w powstaniu listopadowem. Główną jego zaletę stanowią wielkie cechy wiarogodnego świadectwa. Autor widocznie nie pragnie

zjednać sobie sławy bohatera: występuje w swoim pamiętniku jako młody ułan, który milej wspomina „owo słodkie ułańskie życie“ poza koszarami, aniżeli niewygody i uciążliwą służbę, w jakiej w. ks. Konstanty surowo ćwiczył wojsko; ale niczego tak mile nie przypomina sobie, jak chwilę, kiedy jego pułku doszła wiadomość o wybuchu powstania; „bo, dodaje, chwili tej zapomnieć byłoby niepodobna, gdyby życie trwało nawet wieki“. Ten niezbyt spragniony niewczasów i niebezpieczeństw ułan, spłacił jednak święcie swój dług ojczyznie. Dobroduszne narzeka w ciągu pochodów na wszystko, co przecierpiał niepotrzebnie z winy nieporadnego rządu; liczy, ile razy bez dostatecznego powodu musiał narazić życie: przecież ranny pod Mińskiem nie opuścił towarzyszów broni; ranny drugi raz pod Ostrołęką, odleżał swoje i wrócił znowu do pułku, żeby widzieć nakoniec upadek powstania. Jako naoczny świadek, dostarczył cennego źródła dla dziejopisa; zwykłego czytelnika zajmie opisem szczegółowym, ale nie drobiazgowym.

Wspomnienia z pobytu w Galicyi w r. 1863. Przez *Stan. Jarmunda*. Lwów 1893.

Skromny cel tej książeczki, po prostu i skromnie przez autora na pierwszych jej stronicach określony: uzupełnić pewne braki, poprawić niektóre niedokładności, które wkradły się mimowoli do pracy pułkownika Strusia: „Udział Galicyi w powstaniu 1863—1864“, umieszczonej w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania 1863—1864“. Autor urzędował przez półtora miesiąca jako komisarz pełnomocny Rządu Narodowego dla Galicyi wschodniej, brał i później niejednokrotnie udział w rozmaitych obradach i naradach; wiedziećby zatem istotnie mógł niejedno, co dla ogółu pokryte było tajemnicą, lub z ust do ust przechodząc, tylu różnorodnemi zafarbowało się barwnikami, że — choć tak niedawne to czasy — trudno rozpoznać, co i gdzie prawda, gdzie błąd i fałsz już wkradać się zaczyna. Nieszczęściem, p. Jarmund odszukać nie mógł robionych przez siebie skrzętnie, w czasie samego powstania, notatek, a stąd zdać się musiał niemal wyłącznie na samą pamięć, co oczywiście niemało obniża wartość jego pracy, jako historycznego dokumentu. Myliłby się zresztą, ktoby w niej szukał nieznanych jakichś faktów, nadzwyczajnych rewelacyj, rzucających nowe jakieś światło na bolesnej pamięci powstanie. O czem dobrze i zbyt dobrze wiemy, to i tu w jaskrawych występuje kolorach. Niesłychana niezaradność, bezmyślność, ciągłe niesnaski i niezgody, marnowanie bez

racyi i potrzeby grosza, dobrych chęci i sił, oto szare tło „Wspomnień“, oto ciemna nić, ciągnąca się przez nie od pierwszej do ostatniej stronicy. *L.*

Kronika żałobna utraconej w granicach W. Ks. Poznańskiego ziemi polskiej. Powiat żniński. Opracował *E. Callier*. Odbitka z *Dziennika Poznańskiego*. Poznań. Drukiem i nakładem *Dziennika Poznańskiego*. 1893. (W 16-ce, str. 256).

„Tyle ojczyzny — ile ziemi“: temi słowami zdał autor sprawę z pobudek, które natchnęły napisaną przezeń książkę. Trudno krótkiemi słowami wyrazić podziw dla niezmordowanej pracy, której owoc widzimy w opisie powiatu żnińskiego. Niemniej zasłużył autor na wielką pochwałę za to, że umiał z wielkim spokojem mówić o sprzedaży ziemi ojczystej w ręce cudzoziemskie. Daje uczuć żal swój na widok może niepowetowanej straty; ale nie dla próżnych skarg albo płonnych wyrzutów wziął pióro do ręki: dał obraz wypadków poważny i suchy, uniknął wszędzie osobistych uwag i dostarczył nam źródła, z którego może czerpać późniejszy dziejopis albo geograf kraju rodzinnego.

K. C.

Krynica. W stuletnią rocznicę oddania tutejszych zdrojów na użytek publiczny. Skreślił *Władysław Bełza*. Lwów. Nakładem c. k. Zarządu zdrojowego w Krynicy. 1893. (W 16-ce, str. 32).

Komu z nas nie miło spoglądać na rozwój naszych zdrojowisk krajowych? Sam wzgląd ekonomiczny każe nam przychylnie spoglądać na zakłady lecznicze, które nam ułatwiają powrót do zdrowia bez strat połączonych z podróżami po obcych krajach. A nadto uznają wszyscy, że nasze zdrojowiska tworzą spójnię, która co roku zbliża do siebie rodaków rozsypanych od morza do morza i nagradza niejedną szkodę, jaką nam przynoszą w życiu umysłowem słupy graniczne. Pod tym względem Krynica trzyma pierwsze miejsce między wszystkiemi zakładami kąpielowemi. Każdy więc pewnie, kto spotka tych kilkanaście kartek o Krynicy, odczyta je z przyjemnością i pożytkiem, tem bardziej, że prócz opisu szczegółów nie każdemu znanych, mieszczą bardzo staranne ryciny, przedstawiające stopniowy rozwój najstarszego zdrojowiska polskiego.

K. C.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Le Comte Joseph de Maistre et sa famille. Par *M. de Lescure*. Paris. Chapelier et Co. 1893.

Pod skromnym tytułem „Studyów i portretów literackich“, sympatyczny autor uwieńczonej przez Akademię francuską księgi o filozofkach XVIII. wieku, postanowił złożyć hołd należny wielkiemu myślicielowi, który, nierzadkiem przeznaczeniem wybitnych pisarzy, więcej dziś bywa przytaczanym aniżeli czytanym. Ogół publiczności na ślepo go sądzi, uwielbia lub potępia, nie starając się bliżej poznać niezwykłego człowieka, który absolutny i niezłomny w zasadach, w życiu powszedniem i rodzinnem był najmilszym, najserdeczniejszym, najlepszym z ludzi. Lescure nie kusi się o wypowiedzenie ostatniego słowa, o napisanie całkowitej i wyczerpującej biografii autora „Petersburskich wieczorów“, o wystawienie trwałego pomnika temu, który jasnowidzeniem geniuszu przejrzał przyszłość i rzucił niejednę spełnioną odtąd wyrocznię. Raczej przygotował ku temu materyał, czerpiąc obficie z olbrzymiego zasobu korespondencyi, przed kilkoma laty ogłoszonej w Lugdunie przez wydawców Pism hr. de Maistre, księgarzy Vitte et Pérussel. Skarbnica to niewyczerpana, pozwalająca zbadać dokładnie i przeniknąć życie i człowieka. Niech nam będzie wolno za p. Lescure pochwycić niektóre rysy charakteru, zasługującego ze wszech miar na bliższe poznanie, w tej mianowicie epoce, gdy podobnie, jak przed stu laty, „psi ten schyłek wieku zarówno skąpym jest w wielkich ludzi, jak w silniejsze uczucia“, zaczem warto wskrzesić postać znakomitego męża, który był i najzacniejszym i najuczciwszym z ludzi, który do końca dochował wszystkich wierności serca, i wszystkiej ducha odwagi. Jeśli pisma jego uchodzą za wzory niedorównane stylu i treści, życie jego za przykład może być stawianem. Wobec ogólnego zwycięstwa siły, on bronił prawa i sprawiedliwości, a obok cnót potrzebnych w walce, posiadał rzadsze i wyższe jeszcze przymioty zwycięstwa.

Do tylu zaś wysokich darów, łączył jeszcze najrzadszą zaletę, owoc Ducha Św., zamieszkałego w jego sumieniu i sercu. Żył on w tak smutnych czasach, kiedy nad tylu rzeczami płakać należało, iż raz po raz z innych śmiać się potrzebował. Swoboda ducha, będąca miarą onego siły, równowagi i wewnętrznej harmonii, cechowała hr. de Maistre'a. Posiadał w najwyższym stopniu dar wesela, prostą a głęboką po-

godę i wesołość dziecka, zarazem i filozofa, a świeżość tę ducha do późnej przeniósł sędziwości, zachowując w całej pełni zdrowie duszne i czystość serca młodzieńczą, niewyczerpaną ani próbami, ani pokusami życia.

Strona polityczna zawodu i pism Józefa de Maistre więcej jest znana od prywatnych jego stosunków, które biograf przedewszystkiem uwydatnić próbuje, osobny kładąc nacisk na pedagogiczne jasnowidzenie wielkiego myśliciela w zakresie wychowania. Prześliczne jego listy do dzieci mogą być uważane za wzór rodzaju, zaćmiewający sławę samejże pani de Sévigné. Lescure nazywa go owszem panią de Sévigné miłości ojcowskiej, jego bowiem korespondencya z córkami nie ustępuje bynajmniej pod względem wdzięku listom tkliwej markizy do ukochanej pani de Grignau, o całe niebo je przewyższając powagą i polotem rad i wskazówek rodzicielskich.

W dobrej bo szkole nauczył się de Maistre arkanów chrześcijańskiego wychowania. Najstarszy z dziesięciorga rodzeństwa, zawdzięczał pobożnej matce podniosły kierunek lat dziecięcych i młodych. Światła ta pani muzyką arcydzieł poezyi zwykła była usypiać pierworodnego, a taką zachowywała powagę wobec dorastającego syna, iż jeszcze jako student prawa na uniwersytecie w Turynie, żadnej książki nie śmiał wziąć do ręki, nie otrzymawszy uprzednio rodzicielskiego upoważnienia. Pierwsze nauki odebrał w szkołach jezuickich, które do końca życia wysoko cenił, wspominając ból i przerażenie, doznane niegdyś na wieść o zniesieniu zakonu, która żałobą okryła chrześcijańskie rodziny.

Okrom wysokich zdolności, de Maistre posiadał pamięć olbrzymią, ową najpierwszą nie z przewodnich lecz z posiłkujących zdolności tęższych umysłów. Szalona praca szła w parze z łatwością przyswajania sobie naukowych wiadomości. Do końca życia de Maistre nigdy nic nie czytał inaczej jak z piórem w ręku, staranne robiąc z każdej książki wypisy lub streszczenia, które oprawiał i regestrował, gotując sobie tym sposobem istny arsenał ciętych argumentów i dowodów.

W trzydziestym trzecim roku życia zaślubił Józef de Maistre Franciszkę de Morand, dzielną i roztropną towarzyszkę, która w wyjątkowych okolicznościach umiała zawsze się znaleść na wysokości położenia. Nie zdaje się, aby świetnemi darami umysłu dorównywała znakomitemu mężowi. Ale niedarmo Bonald powiada, iż rozumnemu człowiekowi potrzeba tylko roztropnej żony, bo dwóch rozumów na jeden

dom zanadto. Pani de Maistre rządną była, oszczędną, praktyczną, zaradną, i tem zapewniała szczęście swego otoczenia. Poważnie zabrał się Józef de Maistre do tak wielkiego postanowienia: „Małżeństwo podobnie jak zbawienie, bojaźnią i drżeniem napełnia rozważniejsze serca. Odtąd zadaniem całego życia będzie mi ciągłe usiłowanie, aby stać się przyjemnym i potrzebnym żonie, a przez to mieć ciągle przed oczyma istotę przeze mnie szczęśliwą". Nie miał atoli zażywać pogody rodzinnego życia. Przez kilkanaście lat, obowiązkami służby wywiedziony na obczyznę, „mężem był żony wdowy, żyjącym ojcem sierót", tej mianowicie ukochanej córki Konstancyi, późniejszej księżnej de Montmorency, którą, urodzoną w przededniu wygnańczych losów rodzica, poznał dopiero dwudziestoletnią dziewicą, wychowaną z dala listami, które słusznie Lescure nazywa brewiarzem i najlepszym podręcznikiem i poradnikiem rodzicielskiego zadania.

Rewolucya francuska wcześniej bowiem dosięgła ościenną Sabaudyę, majątek de Maistrów uległ konfiskacie, im samym z niebezpieczeństwem życia chronić się przyszło w Szwajcaryi, kosztując tamże biedy niemałej. Matka gotowała w kuchni, córka zamiatała, ojciec nosił węgle, w zacieśnionem położeniu kreśląc głębokie poglądy, które rozsławiały jego nazwisko i niebawem na szerszą widownię wywołały. W pierwszym rzędzie powstały wtedy owe Konsyderacye nad Francyą, które zwróciły uwagę samegoż nawet, młodego wówczas, Napoleona. Józef de Maistre od razu ocenił doniosłość współczesnych przełomów i mówiąc o rewolucyi francuskiej, orzekł iż to nie prosty dziejów wypadek, lecz epoka. A jednak przepowiadając kruchość budowy na zniszczeniu opartej, zasądzając ludzi, którzy krwią i zbrodnią sobie torowali drogę, w chwili gdy cała Europa ze wstrętem się odwracała od królobójczego narodu, sam miał tę odwagę i niezależność ducha, że, acz dotknięty osobiście rewolucyjnym powiewem, który go pozbawił majątku i swobody, brał jednak w obronę Francyę przeciw jej wrogom, przypominał jej wysokie w świecie posłannictwo, oświadczał się przeciw jej rozbiorowi, i przyznawał wyższość jej geniuszu, uniwersalność mowy, dawną sławę i chwałę. Francya nie okazała się niewdzięczną, i zaliczyła odważnego Sabaudczyka w poczet wielkich pisarzy francuskich.

Niepodobna nam przytaczać celniejszych ustępów tego znakomitego pisma, traktującego o najróżniejszych kwestyach prawa międzynarodowego i ustroju społecznego. Po nowej wygnańczej wędrówce i ciężkim pobycie w Wenecyi, de Maistre został mianowany szefem

kancelaryi królewskiej w Sardynii, nie tyle nagrodą talentu, ile skutkiem chęci ministrów, aby usunąć jak najdalej niebezpiecznego współzawodnika. W kilka lat później powierzono mu dalsze jeszcze zlecenia, wysyłając go do Petersburga w charakterze posła króla sardyńskiego. Czekało go tam kilkanaście lat ciężkiego osamotnienia, brak środków nie pozwalał rodzinę sprowadzić, rząd, którego tak mądrym i godnym był przedstawicielem, napawał go niewdzięcznością, goryczą i podejrzliwością, szczupłe mu wydzielając zasoby, szczuplejsze jeszcze zachęty. Zobowiązania wierności wobec nieszczęść własnego króla jedynie mogły mu dać siłę wytrwania na tak trudnym i niewynagrodzonym posterunku. Zmierzył od razu krwawem słowem położenie, które go w Petersburgu czekało, i wobec chłodnej uprzejmości księcia Adama Czartoryskiego, wołał z rozpaczą: „Nie obchodzimy już nikogo! *Nous n'intéressons plus personne!*“ Ów okrzyk przedstawiciela upadłej monarchii sardyńskiej, słuszniej się dziś odzywa w sercach polskich! Od de Maistre'a się uczyć, jak zdobywać sobie napowrót mir i uznanie, jak wśród obcych lub nieprzyjaciół umiłowaną przedstawiać sprawę. „Wnet wyrobił on sobie niebywałe stanowisko, uprzejmością wykwintną, która rozświecała zwykłą myśli jego powagę, a następnie i praktyką francuskiej zasady, iż wesołość więcej może zdziałać od smutku, że dowcip jest ulubioną bronią mądrości, i że prędzej się wygra sprawę za pomocą swobodnego uśmiechu, aniżeli wywołanych łez współczucia“. Niebawem zjednał sobie powszechną cześć i przyjaźń wśród wyższych sfer towarzyskich stolicy rosyjskiej, cesarz Aleksander wyróżnił go osobną łaską i zaufaniem. I tak poseł sardyński wymową swoją, charakterem i talentem podnosił znaczenie sprawy, którą uosabniał i której bronił, w czem był równie niezastąpiony, jak miał być niewynagrodzonym.

Szczegóły biedy, jakiej doświadczał, raz po raz przebiegają jego korespondencyę. Przyznaje np., że dzieli obiad swego lokaja, dalej, że drugą już zimę spędza w Petersburgu bez futra, co równa się niedostatkowi koszuli w Cagliari, ubolewa nad niepodobieństwem sprowadzenia żony i rodziny, pociesza się jedynie nauką i pracą, używa tych kordyałów skutecznych wśród najdotkliwszych przykrości. Między innemi skreślił wówczas pięć listów o wychowaniu publicznem w Rosyi, dla hr. Razumowskiego, ministra oświecenia w r. 1810. De Maistre próbował wpływem swoim udzielić skutecznego poparcia Jezuitom, których szanował i kochał jako nauczycieli własnej młodości, a w których upatrywał mistrzów w dziedzinie edukacyi i dzierżycieli najlepszych

w tym względzie tradycyj i metody. Do Józefa de Maistre odnieść wypada rozwój połockiego kolegium, za jego to namową zamienionego w niepodległą wszechnicę. On też przyczynił się do rozszerzenia zakładów i misyj jezuickich w dalekim Sybirze, w Tomsku, Tobolsku i Irkucku, jak to niedawno wspominaliśmy, czerpiąc z zapisków sybirskiego proboszcza. Ta to wierna przyjaźń dla zakonu jezuickiego miała niebawem zachwiać okazywane dotąd wysłańcowi sardyńskiego państwa zaufanie Rosyi. Pomawiano go, iż wespół z synami św. Ignacego wywoływał wśród arystokracyi rosyjskiej ów zwrot ku Rzymowi, który w owych latach istotnie mnogiemi zaznaczył się nawróceniami. Nie ulega wątpliwości, iż rozmowy ustalone w pamiętnych „Wieczorach Petersburskich", wiodły umysły ku poważniejszym rzeczom i zagadnieniom, że de Maistre niejednej zachwianej duszy podał rękę i wiódł ku drodze prawdy, że wskazywał błądzącym swych przyjaciół zakonnych, jako najlepszych przewodników sumienia. Ale inny był jeszcze powód tego tajemniczego prądu i powiewu, który wonczas przebiegł Rosyę. Gdy wielkie wypadki wstrząsają światem, gdy po Austerlitz następuje pożar Moskwy, po zwycięstwach Napoleona niebywałe klęski, niepodobna, aby wyższe umysły nie zastanowiły się nad jawnem działaniem Opatrzności, aby dreszcz wiary nie poruszył serc żądzą lepszego zrozumienia wyroków Bożych i palca Bożego. Z dnia na dzień padł rozkaz wydalenia Jezuitów z granic Rosyi, jako winnych zbrodni prozelityzmu. To niby batalion na większe męstwo skazany, mawiał de Maistre; on zaś sam oskarżon został o wspólnictwo w niebezpiecznem dla prawosławia działaniu, co więcej, o zasłanianie intryg jezuickiej propagandy nietykalnością osoby dyplomatycznej.

Oczywiście, mąż tej powagi i tej potęgi słowa co de Maistre, bezpośrednio zdobywać musiał serca dla prawdy, która mu tyle przysparzała światła. Listy jego, traktujące o najwyższych zagadnieniach, przekonywająco działać musiały na rozlicznych korespondentów, tworzących poniekąd, jak mówi Lescure, „parafię" wielkiego myśliciela. Niepodobna tu ich przytaczać, odsyłamy raczej czytelnika do tej korespondencyi, która powinna być podręcznikiem filozofów i polityków, równie jak kopalnią rodzin i rodziców chrześcijańskich. Uszczknijmy z listu do pani Świeczyn, skłaniającej się już wtedy do rzymskiego Kościoła, owo stanowcze określenie prawosławia: „Nie wątpię, iż wkońcu dojdziesz do tej rozstrzygającej pewności, iż poza katolicyzmem niema chrystyanizmu. Czemże jest kościół prawosławny, jeśli nie przedmiotem godnym litości? odejmijmy mu katolicyzujących, protestantyzujących,

iluminatów którzy są razkolnikami salonów, razkolników którzy są iluminatami ludu, cóż wtedy pozostanie?“

Ostatecznie polityczna i filozoficzna spuścizna de Maistre'a dość ogólnie jest znaną i ocenioną: księga o „Papieżu“, dwutomowa refutacya systematu Bakona, „Rozprawa o zasadzie żywotnej konstytucyj politycznych i instytucyj ludzkich“, nareszcie owe „Wieczory Petersburskie“, arcydzieło autora i ulubione dziecię jego myśli. Atoli pierwszy Lescure wysnuł z jego obszernej korespondencyi znaczną część pedagogicznych poglądów na palącą kwestyę wychowania, w czem pójdziemy za nim, przywodząc niektóre ustępy, dające miarę całości. Gdy raz, w 1803 r., rozmowa toczyła się nad skrajnością i zboczeniami rewolucyi francuskiej, de Maistre ozwał się do sekretarza poselstwa francuskiego: „Na cóż narzekacie panowie? Alboż nie powiedzieliście otwarcie Bogu, aby się wyniósł z waszych praw, z waszych instytucyj, z wychowania? usłuchał was Bóg i ustąpił, zaczem oglądaliście skutki błogie takiego pozbycia się Boga, zastąpionego Robespierrem. Wasza rewolucya jest jednem strasznem a doniosłem kazaniem, wygłoszonem przez Opatrzność, a rozłożonem na dwa punkta. Pierwszy opiewa, iż nadużycia wyradzają rewolucye, i zwraca się do monarchów, drugi dowodzi, że jednak lepsze jeszcze nadużycia aniżeli rewolucye, i tem do ludów przemawia“.

Niosąc słowa pociechy strapionym po zgonie syna rodzicom, odzywał się de Maistre: „Nie mówcie, że jego przymioty przyrodzonemi były tylko dary. Waszą zasługą było, że umieliście takowe odgadnąć i ułatwić ich rozwój... Kto wie zresztą, azali wychowanie nie na tem się wyłącznie zasadza. Niepodobna bowiem przypuścić, aby natura utrudniać miała najkonieczniejsze życia zadanie. Roztropność oświecona cnotą, wystarcza aby dobre zapewnić wychowanie. Co nas w tym kierunku omylić gotowo, oto że nie rozróżniamy dwóch rzeczy całkiem odrębnych: wychowania moralnego od wychowania naukowego. Pierwsze jedynie jest koniecznem i stąd łatwem być winno. Zapewne, niepodobna zaprzeczyć korzyści drugiego, atoli gdy dekorator wchodzi do mieszkania, już budowniczy się zeń wycofał. Moralna istota człowieka wcześniej się kształci aniżeli przypuszczamy. A czegóż do tego potrzeba? Odsuwać dziecko od złych przykładów, to jest od świata, naginać łagodnie jego wolę, gdy się od dobrego bieguna oddala, przedewszystkiem zaś osobiście dobrych mu dostarczać przykładów“. Tu de Maistre dotyka kwestyi, która nic nie zatraciła z swej piekącej aktualności: „Wszystko złe, co fałszywi nauczyciele wyrządzili poko-

leniom współczesnym, idzie z prób opacznego przełożenia dotychczasowego rzeczy porządku. Zamiast dać dojrzeć dziecku pod dachem rodzicielskim, zamiast je w samotności zahartować, wyprowadzili dziecięctwo na zewnątrz, uczonych, nie zaś ludzi wytworzyć usiłują, wszystko czynią dla próżności, nie dla cnoty, przedstawiają moralność jako tezę, nie zaś jako zakon i prawo, podają we wzgardę dawną prostotę i wychowanie religijne. Jakież tego wszystkiego skutki? widzimy dosadnie".

To też de Maistre zaklina, aby nie wyrzucać przedwcześnie dziecka z przybytku życia rodzinnego na arenę wychowania publicznego. „Nie spieszmy się wyrywać dzieci z domu rodzicielskiego, z kolebki cnoty i przystani szczęścia. Nie bądźmyż mordercami niewinności, wystawiając ją wcześnie na niebezpieczeństwa nieodłączne od licznych zbiorowisk. Oko mędrca zatrzymuje się ze smutkiem na tych zgromadzeniach młodzieży, gdzie cnota pojedyńczym wyjątkiem, a złe nałogi w społeczność bywają zebrane".

Wdzięk listów do dzieci nie da się opisać ani pochwycić. Poleca synowi, małemu jeszcze chłopczykowi, aby był opiekunem matki, aby nieobecnego zastępował ojca, a wraz Skargowskie powtarza słowa: „Dusza twa białą dotąd kartą, na której nie daliśmy szatanowi gryzmolić, aby aniołowie mogli na niej wypisać co im się spodoba, byleś im sam nie przeszkodził". Nie rzuca atoli cieniów zbytniej surowości na dziecinne lata syna i jego wiosnę. „Jestem zdania, iż trzeba młodych bawić, ażeby później sami nie hulali". Śliczne są listy jego do syna, śliczniejsze do córek: te ostatnie rwały się do nauki, do zastosowania w szerszych rozmiarach odziedziczonych po znakomitym ojcu zdolności. De Maistre wciąż miarkuje ich zapały, zawraca ich na tory niewieścich zajęć, prostuje ich zdania, ogranicza ich naukowe zachcianki; nie żeby odsądzał kobiety od przystępnych dla nich dziedzin wiedzy, ale że pragnął igłą i wrzecionem hamować pychę rozumu lub zbyt śmiałe onego zdobycze, a z innej strony w talentach, w muzyce i malarstwie upatrywał właściwą dla umysłu niewieściego rozrywkę, co więcej, klapę bezpieczeństwa dla nadmiaru wyobraźni.

Obawa, aby jego córki nie wyszły na sawantki i pedantki, stale nęka troskliwego ojca: „Wiesz dobrze, iż nie jestem zwolennikiem ciemnoty, atoli w każdej sprawie należy właściwą uchwycić miarę: wykwintny smak i wykształcenie, oto zakres kobiety. Nie powinna się ona wzbijać na wyżyny wiedzy, ani się z tą pretensyą zdradzać, a nawet są pewne granice do zachowania w ich wykształceniu, z którem się nigdy popisywać jej nie wypada. Wystarczy iż inni spostrzegą, że

takowe posiada". Zaczem ślicznie rozwija znaczenie wrzeciona w życiu kobiety i wciąż jednę powtarza zwrotkę, iż kobiecość największym wdziękiem kobiety, która traci wszelki urok gdy próbuje naśladować mężczyzn i z nimi współzawodniczyć. Pod tym względem najlepiej wypadła odpowiedź do córki Konstancyi, młodą upojonej wyobraźnią, która wspominała zdanie Woltera, iż kobiety zdolne są zrównać się we wszystkiem z mężczyznami: „Jest to komplement złożony u stóp jakiej piękności, lub jedno z krociowych głupstw, któremi szafował w życiu. Tymczasem rzeczy mają się wręcz przeciwnie. Żadna kobieta nigdy arcydzieła nie spłodziła. Nie napisały one ani Iliady, ani Eneidy, ani Jerozolimy wyzwolonej, nie zbudowały Panteonu lub kościoła św. Piotra, nie wyrzeźbiły Apollina Belwederskiego, nie wymyśliły algebry ani teleskopów, ani szkieł kolorowych, ani warsztatów mechanicznych. Zostało im większe dzieło do wykończenia. Na ich to kolanach rośnie i kształci się rzecz najdoskonalsza na świecie: uczciwy człowiek i uczciwa niewiasta".

W tym tonie cała snuje się korespondencya, która nabiera zdwojonego znaczenia wobec świeżych zakusów równouprawnienia, rozpierających mózgi niewieście. Gdy jedna z córek trochę lekceważąco się wyraża o poziomej zasłudze wydawania na świat dzieci, gromi ją ojciec pełnemi dowcipnej werwy słowy: „Zapewne, rodzić dzieci nie jest tak wielką osobistą zasługą, ale wychować je na ludzi, zaszczytem wielkim, a matki w tem zadaniu od nas bieglejsze. Alboż sądzisz, iż wielką czułbym wdzięczność dla twojej matki, gdyby zamiast obdarzyć mnie twoim bratem, napisała była powieść? A dar ten nie ograniczył się na wydaniu go na świat i złożeniu w kolebce, lecz i wykierowaniu go na dzielnego młodzieńca, który wierzy w Boga a kul się nie boi. Zasługą i zakresem kobiety, to rząd domowy, szczęście męża, któremu niesie pociechę i dodaje odwagi, to wychowanie dziatek i kierowanie ich na ludzi. Drugie to rodzenie, nie dotknięte przekleństwem nad pierwszem zawisłem. Zresztą w niczem przesadzać nie należy. Jestem zdania, iż kobiety nie powinny wkraczać w dziedziny przeciwne ich powinnościom, ale bynajmniej im nie bronię pewnego wykształcenia. Za nicbym nie chciał aby myślały, że Peking znajduje się we Francyi, lub że Aleksander Wielki oświadczył się o rękę córki Ludwika XIV. Kiedy się oburzasz na wychowanie kobiet gaszące wszelki geniusz, zapominasz, iż słabość ich nie wynika z dotychczasowego wychowania, lecz raczej takowe się stosuje do ich słabości. Gdyby się gdzie znalazła kraina amazonek, któreby sprowadziły sobie kolonię chłopczyków,

aby im niewieściego udzielić wychowania, po niemałym czasie wdarliby się oni na pierwsze stanowisko, grożąc batem swym dotychczasowym mistrzyniom. Jednem słowem, kobieta tylko jako kobieta pewną wyższość zadzierżyć zdoła. Ilekroć zaś próbuje współzawodniczyć z mężczyzną, stawa się małpą. Ściskam cię, drogie małpiątko".

Jak tkliwem uczuciem ten mądry ojciec kochał swoje dziatki, dowodzą rozpierzchłe tu rysy i słowa: „Pamięć tej córeczki mi nieznanej, krzyżuje mnie prawdziwie!" „Nie wie czem wojna, kto w niej nie miał syna". Gdy jedynak wstępuje do wojska i od krwawej rosyjskiej kampanii żołnierski rozpoczyna zawód, piękne i genialne śle mu ojciec rady. Przedewszystkiem zaleca mu biegłe topograficzne znajomości, na czem, zdaniem jego, cała się sztuka wojenna opiera. Rzekłbyś, de Maistre Moltkego przesłańcem: „Samym smutnym przyglądać się będziesz rzeczom. Kiedy się wśród nich znajdziesz, staraj się z nich korzystać. Naucz się przedewszystkiem znać okolicę i w głowie ją sobie jak szachownicę wyrysuj, ażebyś wiedział zawsze gdzie jesteś i dokąd zmierzasz. Każdy potrafi wystrzelić, ale tak się postawić, aby strzał padł celnie, toć wcale niezwykła nauka. Cóż ci jeszcze powiem? Bądź zawsze dość podobnym do drugich, aby ich nie odstręczać od siebie, dość zaś odmiennym od nich, aby ani siebie ani mnie nie zrazić. Bij się dobrze, ale tylko nieprzyjacielowi chciej dokuczyć. Bądź uczciwym człowiekiem i dobrem dzieckiem. Nie zaniedbuj książeczki łacińskiej. Niech cię Bóg zachowuje, moje drogie dziecko. Wyróbże sobie oko geograficzne, z tego urastają wodzowie".

Ostatnie lata pobytu w Petersburgu złagodzone zostały upragnionem z rodziną połączeniem, a następnie wrócił de Maistre do ojczyzny, aby tamże zapóźnionych doczekać się zaszczytów, nie dorastających wszakże miary usług i zasług. Śliczny jego wizerunek nakreślił w owych latach Lamartine, uwieczniając poważną postać starca. rozpoczynającego dzień od Mszy św., modlitw i rozmyślania, a czarującego wieczorem swych gości wdziękiem niedorównanej, iskrzącej rozmowy. Smutne atoli nękały go przewidywania. — Umieram razem z Europą, a więc w dobrem towarzystwie, pisał do przyjaciela; a chyba nie omyliły go przeczucia, gdy się rozważy stan przejściowy, w jakim odtąd się znajdujemy. Już o znaczeniu rewolucyi francuskiej się nie pomylił, mówiąc, że to nie prosty zbieg okoliczności, nie wypadek historyi, lecz raczej epoka, a biada pokoleniom, którym przypadnie żyć w takich okresach, stanowiących dziejowe przełomy!

Józef de Maistre umarł w tym samym roku 1821 co Napoleon,

syn tej rewolucyi, z którą sabaudzki dyplomata i myśliciel walczyć nie przestawał do ostatniego tchnienia. Widział w niej wybuch zgotowanej wiekami miny i kwasów od dawna nagromadzonych, ekspiacyę za winy mnogich pokoleń monarszych czy ludowych. A co go najwięcej uderzało w rewolucyi, to jej charakter bezbożny, jej nienawiść do religii: bunt to człowieka przeciw Bogu stokroć bardziej aniżeli poddanego przeciw królowi. Nosi też piętno szatańskie, a słowo to w ustach de Maistre'a określa wymownie i maluje rzecz całą, tak jak ją widział własnemi oczyma. „Inne wszelako jeszcze rysy okrom szatańskiej cechy, przystają do owego przewrotu. Ma on nadto gwałtowność sił przyrody w nawałność rozkiełznanych. Nic nie zdoła wstrzymać tego potoku wezbranego, tej zarazy ducha. Stawione zapory dodawać się zdają mocy tym falom porywającym zarazem i ludzi i rzeczy. Z ślepą przeznaczenia siłą, rewolucya wiedzie ku ołtarzom koniecznego zadośćuczynienia winnych i niewinnych, prześladowców i ich ofiary. Ale z krwi i ognia wyjść muszą odrodzone pokolenia. To też przelotne tryumfy rewolucyi nigdy nie zamącają dalekich wyroczni filozofa. Rewolucya musi odnieść zwycięstwo; zanim zostanie pobitą, musi dopełnić przeznaczenia, musi wypalić pewne sromotne ślady, które ani monarchia ani Kościół w ten bezwzględny sposób zacieraćby nie zechciały. Gdy się to jej zadanie skończy, i rewolucya zniknie. Zatopią się w śmieszności instytucye jej oparte na ślepem prawie liczby, władze obieralne o wiekuistej niestałości, konstytucye naprędce sklecone, mające los liści wiatrem jesiennym miotanych: *ludibria ventis*. Wtedy zasady zdeptane z nową odżyją mocą, i nowe dla ludzkości zaświtają zorze".

P. de Lescure bardzo powabnie kreśli i opowiada warunki, w których z kolei powstawały pojedyńcze wielkiego myśliciela dzieła. Między innemi daje nam genezę najabsolutniejszej z ksiąg de Maistre'a, książki o „Papieżu". Na wieść, że Pius VII. dał się zniewolić do pomazania Napoleona krzyżmem prawowitych z łaski Bożej monarchów, wzdrygnęła się dusza niezłomnego szermierza legitymizmu, posunął się aż do oskarżenia Namiestnika Chrystusowego o sromotne ustępstwa i słabość niegodną, do wspólnictwa z gwałtami rewolucyi. Gdy Pius VII. późniejszym heroizmem cierpliwego wyznawstwa dał miarę swej wielkoduszności, Józef de Maistre nie mógł sobie darować chwili nieufności i zwątpienia, jakiegobądź słowa z przynależnem Papieżowi uszanowaniem niezgodnego. Żądza naprawy i pokuty za przelotną pomyłkę co do charakteru i pobudek Piusa VII. wcisnęła mu do ręki pióro płomieniste, walczące z rycerskim animuszem za papiestwem i rozstrzygającem sta-

nowiskiem papieży w społeczności chrześcijańskiej. Stąd to dzieło jest przedewszystkiem tworem sumienia, hołdem zadośćuczynienia, odgłosem spotęgowanej chwilowem zapomnieniem wierności, owocem długich doświadczeń i głębokich rozmyślań, kwiatem skruchy i wiary.

Pełen wdzięku rozdział poświęcony Ksaweremu de Maistre, miłemu pisarzowi, który w cieniu wielkiego swego brata żył i przeszedł do potomności, dopełnia biografię autora „Wieczorów Petersburskich". Nie wyczerpuje ona przedmiotu, ale właśnie, niedomówionemi szczegółami budzi w czytelniku żywszą ochotę bliższego poznania spuścizny Józefa de Maistre, zachęca do wertowania jego pism, przedewszystkiem zaś owej korespondencyi, której przytoczenia urywkowe stanowią ozdobę książki p. de Lescure. *M.*

Gedichte von *Albert Zipper*. Zweite durchgesehene u. vermehrte Auflage. Leipzig. (Gustav Körner). 1893.

Romanse, nowele, dramaty, eposy i inne poetyczne utwory zalały dzisiaj formalnie półki księgarskie, tak iż nic w tem szczególnego, jeśli się pojawią nowe poezye choćby w drugiem wydaniu. Wszystko dzisiaj chce czytać i obeznać się z literaturą nadobną, bo też i moda taka i ton dobry tego wymaga. Z drugiej strony atoli nie trzeba dodawać, że przy ogromnej produkcyjności t. zw. literatów ukazują się rzeczy, co nie zawsze przeszły próbę ogniową, rzeczy co nie zawsze mają na względzie wykształcenie i uszlachetnienie ludzkości, ale raczej naiwne usposobienie i szał czytania średniego ogółu.

I powyższe dziełko, zdaje się nam, napisane jest raczej na to, aby je wielu czytało, niż żeby zeń estetyczne zadowolenie odniosło. Poezye te bowiem, mimo swego drugiego wydania, nie zdradzają żyłki poetycznej, nie odpowiadają nadto najszczuplejszym nawet wymaganiom sztuki i estetyki. Od prawdziwego poety wymaga się więcej nieco niż kilka poetycznych frazesów i kwiatków lub kilka szczęśliwie skleconych rymów. Przedewszystkiem winien poeta, zwłaszcza jeśli jego poezye powtórnie na świat wychodzą, starać się o to, aby dobrze myślał i dobrze się wyrażał. Każdy język, a więc i niemiecki, stawia każdemu pisarzowi, przedewszystkiem zaś poecie, słuszne i bardzo uzasadnione żądanie, aby wyrażał się jasno; w szczególności język niemiecki żąda, aby poeta niemiecki rzeczywiście p o n i e m i e c k u przemawiał. Nasz poeta, zdaje się, nie bardzo się liczy ze sprawiedliwemi wymaganiami niemieckiej mowy, ponieważ raz po raz używa takich zwrotów i tak dziwnie poprzekręcanych słów i zdań, tak nienaturalnych

przenośni i obrazów, że trudno nie uważać je za niemożliwe. Dla ilustracyi kilka przykładów:

Der Osmanen Flucht *keucht* (str. 77); der Mond hebt sich aus des Aethers *Perlendust* (str. 77); Sonnenstrahlen *lohen* (str. 49); der *Wirbel* (ma być: Wirbelwind) heult um Lenzes Grab (str. 79); das Herz ist *entsteint* (str. 116); das sehnsuchtskranke Auge *entfeuchtet* (str. 70); der Künstler muss sich Kunst und Ruhm *erholen*, die Seele trinkt den *Duft von Ahnung* (str. 24); der gefräsige Geier *pfeift* durch die Luft (str. 191) i t. d. Albo:

Und des Abends, wenn zum Meere
Ihr (der Sonne) purpurner Schein verglühte
Grüsst sie ihn, *der wie des Morgens*
An der Staffelei sich mühte. (Str. 129).

Bardzo niejasnym jest utwór *Von Anbeginn* (str. 83), w którym zachodzi bardzo śmiały, zupełnie nieudany obraz. Pragnienie wiedzy jest tu w ręku człowieka mieczem obosiecznym, który jednem cięciem zespala *(koppelt)* naukę i nierozum. W jaki jednak sposób cięcie miecza może dwie rzeczy połączyć, tego chyba nie pojmie umysł ludzki.

Wymagamy powtóre od każdego poety, aby w jego utworach znajdowało się rzeczywiście nieco poezyi, aby poeta nie zadawalniał się odwarzanemi codziennie, przestarzałemi myślami i suchą nudną prozą. Czemu nam autor nie podał przynajmniej treści prawdziwie poetycznej, a bylibyśmy mu chętniej darowali nieudaną formę. Kto np. znajdzie odrobinę poezyi w następujących zwrotkach, któreby można wielokrotnie pomnożyć?

Ein schriller, durchdringender Pfiff. Wohl wahr! (!)
Und mancher hielt in der reisenden Schar
Das Ohr und verzog ein Essiggesicht,
Die Säure (!), der Schauer ergriffen mich nicht. (Str. 27).

Wogóle na tych 162 stronach samodzielnych utworów, znajduje się rzadko jakaś okruszyna prawdziwie ożywczej poezyi (jak np. str. 45, 54, 55, 102, 108, 140), przeważa wszędzie nudna, przeżyta proza. Szczególnie zaś część p. t. „*Ge*lebtes (!) und *Er*schautes“ (!) jest w wysokim stopniu monotonną i nużącą. Na każdym kroku słyszymy tylko o jedynej, o jedynej na wieki, o pocałunkach ustawicznych aż do przesytu. Głębszych myśli, wyższych ideałów znajdujemy tam tyle co nic.

Wkońcu podaje autor kilka tłumaczeń z Mickiewicza, Ujejskiego i innych. Kawałki te udały się autorowi lepiej, choć tłumaczeniami

mistrzowskiemi nie są. Przy porównywaniu z oryginałem dostrzedz można, że niektóre prawdziwie piękne miejsca oryginału przedstawiają się w tłumaczeniu bardzo słabo i blado, że forma nie zawsze gładka i że wyrażenia nie zawsze są niemieckie. Tak np.:

Bald wieder beim bleichen Skelett der Kameele
Anstarrt uns ein Schädel aus modernder Höhle. (Str. 191).

Albo:

Und eine Handvoll Menschen steht den Persern
Die *mühsam trauen* ihrer Augen Schein. (Str. 200).

Żeby jednak nie być jednostronnym a względem autora niesprawiedliwym, dodać wypada, że niektóre tłumaczenia wcale się autorowi udały, i że autor na tem polu, jeśli tylko będzie surowym sędzią swoich utworów i pilnie będzie używał lineacyi, może niejednej rzeczy dobrej i pięknej dokonać.

Jeszcze jedna uwaga, odnosząca się do własnych utworów poety. Czytamy między innemi także następującą, wiersze te najlepiej charakteryzującą zwrotkę:

Drum schliess' ich meinen Dichterkram
Und rufe vor dem Scheiden:
Hoch holde Braut! hoch Bräutigam!
Und nochmals hoch! euch beiden. (Str. 87).

Pocieszamy się na przyszłość nadzieją, że to nie był frazes retoryczny albo obraz poetyczny, ale że autor w tym zwrocie na seryo rzecz bierze. *R. K.*

Der Monismus als Band zwischen Religion und Wissenschaft. Glaubensbekenntniss eines Naturforschers, vorgetragen am 9. October 1892 in Altenburg von *Ernst Haeckel.* Bonn. E. Strauss. 1893r

Należałoby właściwie broszurę tę milczeniem pominąć. Ponieważ jednak rzuca ona dużo światła, jeżeli nie na same nauki przyrodnicze, to przynajmniej na wielu dzisiejszych przyrodników, nie będzie bez korzyści zaznajomić czytelników z główną jej treścią.

Głośny „Darwin jenejski", Ernest Haeckel, od dłuższego już czasu nie udzielał się szerszej publiczności. Co najwięcej poprawiał starsze wydania swojej *Natürliche Schöpfungsgeschichte, Anthropogenie,* zresztą pracował cicho, pogrążony po uszy w meduzach. Ubiegłej dopiero jesieni odezwał się znowu. Sposobność ku temu nadarzyła się na prowincyonalnym zjeździe przyrodników w Altenburgu (Turyngia). Odezwa ta jest bardzo ciekawa i bardzo charakterystyczna, bo, jak się sam Haeckel wyraża, stanowi jego „wyznanie wiary".

Jakież są główne artykuły *credo* haecklowskiego? Podstawą a zasadą tego wierzenia jest monizm absolutny. Niema zatem żadnej zasadniczej różnicy między światem organicznym a nieorganicznym, między królestwem zwierzęcem a roślinnem, między człowiekiem a zwierzęciem. Materya i duch, świat i Bóg, wszystko to jedno i to samo. Dusza nie jest niczem innem, jak sumą wrażeń, wyobrażeń i innych czynności, albo raczej „jest to suma ruchów plazmy w komórkach zwojowych“ (p. 44), najwłaściwiej zaś każda komórka w ustroju człowieka ma taką własną sumę, a więc własną duszę. Nieśmiertelność osobowa to pojęcie, które naukowo nie może się ostać. Jednostka może się pocieszyć jedynie tem, że cały kosmos jest nieśmiertelny. Odpowiedź naukowa na kwestyę pochodzenia człowieka jest tylko jedna: człowiek pochodzi od szeregu małpiastych zwierząt ssących. I Haeckel zwyczajem swoim maluje te przejścia tak dokładnie, tak wyraziście, jak gdyby się teraz w rzeczywistości przed jego oczyma odbywały. Wreszcie najważniejszy artykuł tego *credo* dotyczy religii. Religią przyszłego stulecia, według Haeckela, jest nieskalana cześć monistyczna bóstwa. Prawda, dobro i piękno, są trzy bóstwa, przed któremi Haeckel kornie zgina kolana; i temu trójjednemu ideałowi boskiemu, tej przyrodzonej trójcy monizmu, wiek XX. budować będzie ołtarze (p. 35 sq.).

Oto i cała treść, cała suma w krótkości słowy autora zebrana, tego wyznania wiary; prawda, że suma to nie ilości absolutnych, ale ujemnych a raczej urojonych. Bo naprawdę, któż nie widzi, jakie to wszystko stare, błahe, czcze, jak płytkie, chore, ułomne, co za okropne we wszystkiem pomieszanie pojęć, a jak niepowszednia jałowość i niedorzeczność myśli i sądów?

Dodać trzeba, że Haeckel nie potrafi nigdy traktować rzeczy swojej tetycznie i spokojnie, na każdym kroku występuje z ostrzem polemicznem. Przedewszystkiem zaś i wszędzie Haeckel występuje do walki z całym chrystyanizmem, a zwłaszcza z Kościołem katolickim. I dziwnie i śmiesznie Haeckel w tej kampanii wygląda. Oto najdzielniejsze pociski jego. W chrześcijańskiem pojęciu Boga przebija się zawsze antropomorfizm, chrystyanizm ze swoim „homoteizmem“ wyobraża sobie Pana Boga jako „zwierzę kręgowe w stanie gazowym“ (p. 33)! Podobnie Haeckel przedstawia niepojętą i straszną tajemnicę Trójcy przenajświętszej, podobnie, tj. jak najfałszywiej, wpływ chrystyanizmu na umysłowy i moralny rozwój rodzaju ludzkiego. Cóż na to wszystko powiedzieć? Jedno z dwojga: albo kłamcą jest Haeckel, albo skończonym ignorantem! Postawmy tego koryfeusza dzisiejszego

prądu przyrodniczego, tego proroka i samosłańca nowej religii, obok małego dziecka, co już nieco umie katechizmu. Co za okropny a smutny kontrast! Jak ogromnym karłem staje się Haeckel wobec tego prostego dziecka!

Ostatecznie jednak darowalibyśmy chętnie Haeckelowi i tę czczość a chorobliwość rzeczy samej i tę nawet niesłychaną ignorancyę w rzeczach dotyczących chrystyanizmu — lecz niech ta czczość nie występuje jako byt, który jedynie zaspakaja wszelkie pragnienia umysłu i serca, niech ta chorobliwość nie występuje jako normalny stan duszy szczęśliwej, owa zaś ignorancya niech nie staje na jakiejś katedrze wyłącznej mądrości i nieomylności. Cały wogóle sposób pisania Haeckela jest bardzo nietaktowny, niesmaczny, nawskróś przesiąknięty egoizmem, czasami wprost niemożliwy; bo że naukowym nie jest, na to chyba i największa część przyjaciół jego bez trudności się zgodzi. Wszędzie przebija się nietylko nienasycona pycha, buta, zarozumiałość, ale z tem się najściślej kojarzy fanatyzm ateuszowski a dzika złość na chrystyanizm, na Kościół katolicki, na papieża. Zdaje się nieraz, że jest coś w Haeckelu demonicznego. Dowodów na to nie podajemy, choć mamy ich sporo w tej nawet tak krótkiej broszurce, bo takich niedorzeczności, szkalowań i brudów i powtarzać się nie godzi. Jest to śpiew łabędzi umierającego materyalizmu.

J. Nuckowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika o Różańcu. — Mowa Zanardellego. — Kongresy w Belgii, Anglii, Ameryce. — Zmniejszanie się liczby katolików w Niemczech. — Niesnaski między katolikami na Górnym Szląsku.

ENCYKLIKA O RÓŻAŃCU.

Jak regularnie od lat kilku, tak i obecnie wydał Papież przed uroczystością Matki Boskiej Różańcowej encyklikę zachęcającą do nabożeństwa Różańca św., tak miłego N. Pannie, tak w skutkach swych cudownego. Odrębny to cykl, ściśle ascetycznych, z polityką i bieżącemi sprawami nie mających na pozór przynajmniej żadnego związku encyklik, i dlatego prasa, a za prasą opinia publiczna mniej niemi się interesuje; natomiast zajmują one już dziś wspaniałe a trwałe miejsce w dziejach katolickiej ascezy, opromieniają nowem a pięknem światłem postać Leona XIII., wielkiego polityka, mędrca, głębokiego znawcę dzisiejszych stosunków społecznych, niemniej i przedewszystkiem męża prawdziwie Bożego, wielkiego czciciela Maryi.

Trzy są główne źródła, pisze Papież w encyklice *Laetitiae Sanctae*, z których wypływa upadek społeczeństwa i odwrócenie ludów i narodów od uczciwości i dobrych obyczajów; a źródłami temi są: niechęć do życia pokornego i pracowitego, bojaźń cierpień, zapomnienie o przyszłem wiecznem szczęściu, przedmiocie

naszej nadziei. Niechęć do życia pokornego i pracowitego rodzi w człowieku na pracę skazanym owo głębokie niezadowolenie ze swego losu, dążenie do coraz wyższego stanu, nierozsądne pragnienie równego podziału dóbr, ogólny niepokój pchający do opuszczania rodzinnej ziemi i pogrążania się w wirze, w uciechach wielkich miast; — lekarstwem przeciw tej chorobie jest rozpamiętywanie radosnych tajemnic Różańca, wprowadzających nas do Nazaretu, malujących przecudny obraz pracy, skromności, spokoju. Bojaźń cierpienia i idące z nią w parze niezdrowe pragnienie rozkoszy, tak osłabiają duszę, że kiedy stawić trzeba czoło jakiejkolwiek dolegliwości życia, radzić sobie nie umie, otuchę natychmiast traci i nędznie upada; tu znowu środkiem zaradczym bolesne tajemnice Różańca, które przypominają nam co i jak cierpiał „twórca i dawca naszej wiary", Jezus Chrystus, jak Matka Najświętsza towarzyszyła w tych cierpieniach Boskiemu swemu Synowi. Trzecie wreszcie źródło złego, zapomnienie o przyszłem, czekającem nas szczęściu, szczególnie właściwe jest naszym czasom. Dziś wielu, bardzo wielu, nawet w chrześcijańskich zasadach wychowanych, mniema nad wszelki wyraz mylnie, że zajmowanie myśli ojczyzną niebieską, zabija miłość dla ojczyzny ziemskiej, lub ujmę przynosi dobrobytowi państwa, jak gdyby Bóg nie był dawcą i sprawcą równie natury, jak i łaski, jak gdyby wedle myśli i ustanowienia Bożego, nie miały one razem, spójnią braterską połączone, prowadzić nas do tego wiecznego szczęścia, dla którego tu na ziemię przyszliśmy i żyjemy. Fałszywym tym zasadom nie ulegnie, na tego rodzaju niebezpieczeństwa nie będzie narażony, kto pobożnie, z różańcem w ręku często przed okiem duszy przesuwać sobie będzie tajemnice chwalebne. Z tych tajemnic tryska światło, okazujące nam niebieskie skarby i piękności; uczą nas one, że śmierć jest tylko przejściem z jednego życia do drugiego; przypominają, że przyjdzie czas, w którym Bóg osuszy wszelkie łzy z oczu naszych. Dusza karmiona takiemi myślami uzacnia się i szlachetnieje; gdzie wiele takich dusz się znajdzie, tam społeczeństwo nie potrzebuje się lękać żadnych niebezpieczeństw, tam zakwitnie wszystko, co dobre, prawe i piękne na podobieństwo Tego, który

jest początkiem i niewyczerpanem źródłem wszelkiej prawdy, dobra i piękna.

W przemowie do deputacyi „Apostolstwa modlitwy“ zwrócił znowu Ojciec św. z naciskiem uwagę na konieczność ciągłej i żarliwej modlitwy, jeżeli zawsze, to zwłaszcza w obecnych, tak trudnych dla Kościoła czasach. Istotnie, walka z Kościołem, z papiestwem, trwająca bezustannie i na całej linii od zbyt już długich lat, ale raz słabniejąca, to znowu zyskująca na siłach, znowu w ostatnich tygodniach i miesiącach niemało się zaostrzyła. We Włoszech odzywają się nawoływania zapalonych wrogów religii, że wrócić trzeba do nieprzebierającej w środkach, gwałtownej taktyki Crispiego; prezes parlamentu, Zanardelli, prawdopodobny następca Giolittiego, a obecnie pierwszy jego pomocnik, do tych wspomnień w publicznej mowie się powołał i zażądał ich wskrzeszenia.

MOWA ZANARDELLEGO. „Księża — wołał z oburzeniem, cytując, mniejsza o to, prawdziwe czy wrzekome agitacye kleru przeciw wyborowi oddanego sobie stronnika Donadoniego — księża zaczynają mieszać się u nas do wyborów, gwałcąc w ten sposób wszystkie dawne, włoskie tradycye. Nigdy jeszcze tak jak w tej chwili nie wystąpiło stronnictwo klerykalne jawnie, czynnie, groźnie; wyrzekło się ono dawnego *non expedit* i postanowiło przeprzeć w imię religii swego kandydata. Potrzeba na to całej dobroduszności państwa włoskiego, aby dozwolić na tak jawne przekraczanie granic zakreślonych urzędem kapłańskim. Ale i ta dobroduszność musi raz wreszcie mieć koniec. Państwo wykroczyłoby przeciw najelementarniejszemu swemu obowiązkowi, gdyby dozwalało w imię religii, jej obietnic i gróźb, zakłócać całe polityczne życie Włoch i brudzić je nienawiścią jedności ojczyzny“.

Cóż więc państwo ma zrobić, jakich środków się chwycić? Tłumaczą to na wyścigi, przesadzając się wzajemnie w dosadnem formułowaniu przedkładanych przez siebie postulatów, liczne dzienniki, stojące na usługach równie Zanardellego jak Giolittiego. „Słowa Zanardellego — pisze *Tribuna* — padły w właści-

wym czasie, aby przypomnieć Włochom, iż mają i prawo i obowiązek bronić ściśle świeckiego charakteru państwa;... aby obudzić z pewnego wkradającego się zwolna uśpienia i tych nawet, którzy będąc dziedzicami myśli i planów Garibaldiego i Mazziniego, nie powinniby znać żadnych względów w walce przeciw Watykanowi i jego akolitom"... Zarzut ten wziął do siebie półurzędowy *Folchetto* i z całych sił przeciw niemu się broni. „Nie! ministeryum Giolittiego nie poczuwa się do ospałej słabości w stosunkach z Kościołem. Dość przecież przypomnieć sobie historyę weneckiego patryarchy, który dotąd czeka i długo jeszcze czekać będzie na królewskie *exequatur;* podobnie jak wespół z nim oczekują go inni biskupi zamianowani przez Papieża na tym samym konsystorzu, na którym Leon XIII. poszedł za nieszczęśliwą myślą przeznaczenia, wedle swej woli, pasterza dla owieczek z weneckiej dyecezyi!" Nie wiedzieć prawdziwie, co charakterystyczniejsze i w smutniejszych kolorach maluje stan Kościoła we Włoszech i stosunek do państwa: zarzut uczyniony przez, jutro już może ministeryalną, *Tribunę,* czy obrona dziś ministeryalnego *Folchetta?*

KONGRESY KATOLICKIE

Cały szereg nieraz arcyoryginalnych, w imię najrozmaitszych haseł na obu półkulach zwołanych kongresów, obradował żywo w ostatnich tygodniach nad wieloma bardzo ważnemi, w najściślejszym stosunku do religii i Kościoła zostającemi kwestyami. „Demokratyczna liga" belgijska, do której przystąpiło już obecnie 125 różnych stowarzyszeń, zgromadziła się w tym roku na walny wiec w Brukseli. Prezes wiecu, Helleputte, odpowiedział już we wstępnem zagajeniu na liczne zaczepki i zarzuty, z któremi „Liga" wciąż się spotyka. „Krytykowano ostro samąż nazwę naszej Ligi. Tak! my jesteśmy demokratami, pragniemy zapewnić pracy należne jej prawa; ale jednocześnie jesteśmy demokratami katolickimi, bo dążymy do spełnienia tych idei pod sztandarem Chrystusowym... Na tej tylko drodze możemy wystąpić do skutecznej walki z prawdziwym wrogiem naszym, z socyalizmem, który dziś zresztą traci już u nas na potędze. Naczelny jego przywódca wyznać musiał,

że nie ma na przyszłość programu, nie ma jasnego, pozytywnego ideału. My mamy program, a programem tym organizacya korporacyjna społeczeństwa, oparta na szacunku dla pracy, na czci dla religii katolickiej... Dziś już socyalistyczni wodzowie, ze względu na otwierającą się kampanię wyborczą, zaczynają z zasadami swemi się taić, grę swą maskować; nie śmią popisywać się z materyalistycznemi i ateistycznemi uczuciami i doradzają swym zwolennikom, aby nie atakowali religii, ale tylko jej kapłanów, jak gdyby rozróżnienie to było w praktyce możliwem... Do walki pójdziemy z całą lojalnością, nikomu nie schlebiając. Lud złączy się z nami, bo lud umie oceniać prawdziwych swych przyjaciół, a dla ateizmu pozyskać się nie da... Mam głębokie i silne przekonanie, że my jeszcze doczekamy się dnia, w którym religia zajmie na nowo miejsce, które z prawa się jej przynależy; dnia, w którym krzyż zajaśnieje niebywałemi dotąd blaskami!"

Szóste zebranie zwołane w tym roku do Portsmouth przez katolickie „Towarzystwo Prawdy" *(Truth Society)*, otwarte zostało również mową o kwestyi socyalnej, wygłoszoną przez kardynała Vaughana. „Ważna to, najważniejsza dziś kwestya, ostrzegał kardynał. Propaganda ateistyczna i komunistyczna między warstwami robotniczemi rośnie z dnia na dzień wszędzie, a na pierwszem miejscu w Londynie. Demagogicznym teoryom, prowadzącym lud na fałszywe tory, przeciwstawić trzeba szczerą, katolicką miłość. Prawdziwie to apostolskie dzieło, a jeśli dawniej może biskupi, księża, zakonnicy byli w stanie mu sami podołać, to dziś gdy się zmniejszyła liczba ich, gdy stopniały materyalne ich zasoby — wszyscy bez wyjątku katolicy roztropni i wpływowi mają obowiązek brać udział w tej krucyacie, mającej na celu ocalenie społeczeństwa... A gdzie szukać ocalenia, lekarstwa? W tych samych zasadach, które Kościół postawił w chwili walącej się w gruzy rzymskiej cywilizacyi, na których założył fundamenta cywilizacyi chrześcijańskiej. Pięć mamy takich fundamentalnych zasad. Pierwsza zależy na nierozerwalności małżeńskiego węzła i uświęceniu domowego ogniska. Drugą jest uznanie istnienia dwojakiej, odrębnego rodzaju władzy, religijnej i świec-

kiej, z których jak jedna tak druga od Boga płynie i od Niego bierze swą moc i siłę. Trzecią zasadą, to godność pracy. Robotnicy mają pewne prawa, a zarazem mają pewne obowiązki. Czwartą zasadą, chrześcijański patronat, którego zadaniem uczynić wszystkich ludzi wolnymi i równymi wobec Boga. Następstwem tej zasady jest obowiązek, jaki mają mocni i bogaci, dopomagać słabym i biednym; indywidualizm ujętym być musi w pewne granice, a w stosunkach między pracą a kapitałem zapanować musi niezbędna harmonia. Piąta nakoniec zasada odpowiada ideałowi wymarzonemu przez Platona, kiedy rozprawiając o cnotach wyrażał pragnienie, aby na świecie zjawiła się jakaś istota doskonała, przedstawiająca w życiu swem i czynach wzór tych właśnie cnót. Cicero odczuwał podobne pragnienie. Otóż Kościół chrześcijański urzeczywistnił te marzenia, te pragnienia pogańskich filozofów; Bóg dał ludzkości w Panu Jezusie wzór, wedle którego wszyscy ludzie ubodzy czy bogaci życie swe winni urządzić... Słowem, jeżeli społeczeństwo ma być ocalone, jedynie chrześcijanizm może je ocalić; a jeżeli chrześcijanizm ma ocalić lud angielski, to jedynie znowu Kościołowi katolickiemu przypada dopełnić tej misyi".

Uchwały katolickiego kongresu w Chicago odnoszą się, podobnie jak uchwały powzięte w Portsmouth i Brukseli, w pierwszej linii do kwestyi socyalnej. Nadto polecają z szczególnym naciskiem szerzenie towarzystw wstrzemięźliwości, walkę z niemoralną literaturą i prasą, usilną pracę nad chrześcijańskiem wychowaniem Indyan i Murzynów, zakładanie katolickich kółek, czytelń i szkół. Nie zabrakło oczywiście, jak wogóle nie brakuje na wszystkich zebraniach amerykańskich, gorących, pełnych czci i miłości oświadczeń dla republikańskiej formy rządu, która w Stanach Zjednoczonych zapewnia Kościołowi prawdziwą wolność. Cechą wszakże charakterystyczną kongresu — jak zaznaczył kardynał Gibbons w mowie zamykającej obrady — było złożenie nowego niezbitego dowodu, że Kościół katolicki był i jest zawsze opiekunem słabych; zawsze czcił, zachęcał i podnosił tych, którzy, jak niegdyś Chrystus w warsztacie nazaretańskiego cieśli, oddają się pracy ręcznej.

ZMNIEJSZANIE SIĘ LICZBY KATOLIKÓW W NIEMCZECH.

Znakomite katolickie pismo: *Historisch-politische Blätter*, przyniosło w październikowym zeszycie gruntowny artykuł, zatytułowany: „Zmniejszanie się liczby katolików w Niemczech“, który głośnem, nadzwyczaj bolesnem echem rozszedł się po całym katolickim świecie. Pomimo niezaprzeczonych tryumfów katolików niemieckich na polu polityki; pomimo wybornej organizacyi, z której zwłaszcza za czasów Windthorsta Centrum słynęło; słowem, pomimo całej, tak świetnie na zewnątrz rozwijającej się historyi z ostatnich lat dwudziestu, Kościół poniósł w tym czasie ważne i ciężkie straty. W r. 1867 Niemcy liczyły 24,291.000 protestantów, a 14,027.000 katolików; w r. 1890 pierwsza z tych cyfr podniosła się do 31,027.000, druga tylko do 17,672.000. Zatem kiedy w r. 1867 na 1000 mieszkańców — niechrześcijańskie religie odliczając — było 621 protestantów i 363 katolików, to w r. 1891 protestantów było 628, a katolików 357. W ten sposób w przeciągu ostatniego ćwierćwieku katolicy stracili 287.000 dusz; w przypuszczeniu, że ten sam stosunek miał miejsce i dawniej, stracili w przeciągu ostatniego stulecia około miliona dusz.

Skąd te straty pochodzą, jakie ich przyczyny, gdzie występują najogólniej i najsilniej? Odpowiedź na te pytania ułatwi rzut oka na Alzacyę i Lotaryngię, gdzie katolicy, przeszedłszy pod panowanie niemieckie, stracili po dziś dzień 77.000 dusz, a protestanci zyskali 92.000; pierwsi z 1,304.000 spadli do 1,227.000, drudzy z 245.000 postąpili do 337.000. Do tego rezultatu przyczyniła się z jednej strony dość tłumna emigracya katolików do Francyi, z drugiej strony licznie nadciągający protestanccy urzędnicy, żołnierze, których protestancki rząd bądź co bądź faworyzuje, podczas gdy katolicy sami sobie radzić i wystarczać muszą. Nawet w Bawaryi i W. Ks. Badeńskiem oficerowie i urzędnicy protestanci o wiele stosunkowo przeważają; w Prusach powinnaby właściwie przynajmniej trzecia część oficerów być katolicką, w rzeczywistości nawet dziesiąta część do Kościoła katolickiego nie należy. Z pomiędzy ministrów berlińskich ani jeden nie jest katolikiem, ani jeden z 11 nadprezydentów, jeden z 36 prezydentów okręgowych, ani jeden z prezydentów, wice-

prezydentów, generalnych prokuratorów w wyższych sądach. W liczbie 600—700 radców znajduje się zaledwie 50 katolików; między 3000-ami sędziów wszelkich stopni, około 150 katolików; między 350 landratami, 20 lub 25 katolików. Podobnież na uniwersytetach katoliccy profesorowie należą do wyjątków. Naturalnie wszyscy ci profesorowie, wojskowi i świeccy dygnitarze samem znaczeniem swem i urokiem, o czynnej propagandzie już nie wspominając, potężnie ciągną do protestantyzmu.

Niezmierną szkodę przynoszą następnie Kościołowi istniejące w różnych państwach, stanowiących cesarstwo niemieckie, prawa o wychowaniu dzieci z małżeństw mieszanych, które w dodatku protestanccy urzędnicy starają się wszelkiemi siłami, prośbą i groźbą, bywa że i podstępem dla swego wyznania wyzyskać. Tymczasem małżeństwa mieszane mnożą się wskutek istniejących dziś stosunków coraz bardziej; zwłaszcza od r. 1871 wzrost ten jest widoczny. Kiedy przed tą datą małżeństwa mieszane w Prusach wynosiły 5%, dziś dochodzą do 12% procent. Wedle nie zupełnie, co prawda, dokładnie przeprowadzonych statystycznych wyników, Kościół katolicki traci około 57 na 100 dzieci z małżeństw mieszanych. W Bawaryi na 2248 tego rodzaju małżeństw, które miały miejsce w r. 1892, zawartych zostało tylko 1046 przed katolickim proboszczem, a 1202 przed pastorem protestanckim. Od r. 1880 do 1891 przejść miało w Niemczech — jak donoszą konserwatywne organa — 24.000 katolików na protestantyzm, a 4700 protestantów na katolicyzm; wedle jednomyślnego zdania ludzi kompetentnych, tę tak znaczną różnicę na korzyść protestantyzmu zawdzięczać należy na pierwszym planie małżeństwom mieszanym. W Berlinie zaledwie trzecia część dzieci z małżeństw mieszanych otrzymuje chrzest z rąk katolickiego księdza; w Brunszwiku i Meklenburgii istnieją jeszcze i egzekwowane są dawne prawa, nie dozwalające katolickiemu księdzu dać ślubu katolickiej parze, ochrzcić dziecka katolickich rodziców, bez wyraźnego, pisemnego pozwolenia pastora, za które, co najmniej, porządnie trzeba się opłacić, a w dodatku nasłuchać przeróżnych kazań, nauk, napomnień. Łatwo zrozumieć, że wielu niezbyt o wiarę swą dbałych rodziców, woli dla uniknięcia tych

nudnych ceregieli, zanieść wprost dziecko do pastora i zapisać je do protestanckiej metryki.

Ale nie dość dziecko ochrzcić w katolickim kościele, trzeba je jeszcze po katolicku wychować, jeśli później przy lada sposobności, lada pokusie nie ma z wiarą swą zerwać. Tymczasem w samych wyłącznie Prusach uczęszczać musi około 200.000 katolickich dzieci do szkół protestanckich, lub z nazwy symultannych, czasem nawet katolickich, ale w których uczą protestanccy nauczyciele, rządzą protestanccy pastorzy i inspektorzy. Katolicy berlińscy nie mają dla swych synów ani jednego gimnazyum, ani jednej szkoły realnej; stąd 600—700 katolickich uczniów, przebywających w Berlinie, odpada w bardzo znacznej części do protestantyzmu; nie było podobno dotąd przykładu, aby który z tych uczniów poczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego.

Wogóle cierpią Niemcy na wielki brak księży. W licznych fabrycznych i górniczych miastach, brak ten jest wprost przerażający; paru księży, zajętych dniem i nocą ściśle parafialnemi sprawami, i myśleć nie może o zajęciu się robotnikami, o skutecznej walce z krzewiącym się gwałtownie socyalizmem. Jeszcze w r. 1870 wykazywał biskup paderbornski z dokumentami w ręku, że chcąc umożebnić katolikom z samych tylko północnych Niemiec wypełnianie religijnych obowiązków, założyćby tu trzeba około 600 nowych probostw; dziś, po walce kulturnej, w czasie której żadnych nowych probostw nie zakładano, podczas gdy liczba katolików bądź co bądź się zwiększała i docierała do niedostępnych sobie dawniej terytoryów — cyfrę tę co najmniej podwoićby trzeba. Na 150.000 katolików berlińskich może przy najlepszej woli znaleść miejsce w kościołach około 38.000; niezbędną jest wprost potrzebą zbudować 8—10 nowych kościołów.

NIESNASKI NA GÓRNYM SZLĄSKU.

Smutny to, nad wyraz smutny obraz, który, o innych racyach już nie mówiąc, sam jeden powinienby pobudzić wszystkich katolików osiadłych w granicach cesarstwa niemieckiego, do wspólnej, żadnemi wewnętrznemi sporami nie zamąconej akcyi, do prawdziwie braterskiego, ścisłego złączenia w obronie tak bardzo zagrożonej wiary i Kościoła.

Pojąć trudno, jak stać się mogło, aby mężowie bardzo nawet zasłużeni i z pewnością szczerze do wiary przywiązani, mogli o tem choć na chwilę zapomnieć; aby nie starali się wszelkiemi siłami usunąć z drogi to, co wzajemnej tej zgodzie stać może na przeszkodzie. Walki, jakie wybuchły na Górnym Szląsku przy ostatnich wyborach, między polskim ludem a duchowieństwem i niemieckimi przedstawicielami Centrum; walki, które i dziś wciąż dalej się toczą na zebraniach, w dziennikach, które znowu niezadługo przy urnach wyborczych toczyć się będą, są z pewnością — i tego chyba nikt nie zaprzeczy — najwyższego pożałowania godne. Czyja wina, raczej czyja większa wina, tego my tutaj, zmuszeni opierać się tylko na dziennikarskich sprawozdaniach, na niedość wyraźnych, płynących z obu obozów, relacyach i pogłoskach, rozstrząsać, tem mniej decydować, ani nie chcemy, ani nie możemy. Dwa najpoważniejsze katolickie organa niemieckie: *Germania* i *Kölnische Volks-Zeitung*, wyznają otwarcie, a niema powodu im nie wierzyć, że błędy nie leżą tylko — jak niepotrzebnie i nietaktycznie dowodzić usiłowała jedna z niemieckich gazet szląskich — że bynajmniej nie leżą wyłącznie po stronie polskiego ludu.

„Polska ludność górnoszląska zaczęła — zdaniem *Germanii* — dlatego odłączać się od Centrum, od duchowieństwa, ponieważ zdawało jej się, że pewna część duchowieństwa nie odpiera dostatecznie, nawet w dziedzinie czysto kościelnej nauki przygotowawczej do spowiedzi i komunii św., germanizatorskich tendencyj rządu... Jeżeli zaś pewna część duchowieństwa tak sobie postępowała nawet odnośnie do czysto kościelnej nauki religii, natenczas oczywiście mniej jeszcze na to liczyć było można, że stanie do obrony polskiego języka w szkolnej nauce religii i wogóle w szkole; chociaż Centrum, niemieckie kongresy generalne i katolickie wiece szląskie zawsze za tem z całą stanowczością się oświadczały".

Podobnie wyraża się *Kölnische Volks-Zeitung*: „Jeśli w łonie tak dotychczas zgodnego i zwartego stronnictwa, jak było niem Centrum na Górnym Szląsku, wytworzą się takie przeciwieństwa, jakie obecnie się wytworzyły, natenczas z góry po-

wiedzieć można, że nie jedna tylko strona, ale obie zawiniły. Niezawodnie jak jedna tak druga strona dopuściła się niejednej niezręczności, występowała nieraz podobno za ostro i za szorstko, a zabrakło niestety wprawnej dłoni, któraby wyrównała te niechęci i pokierowała sprawami w duchu zgody i pojednania... Przewódcy górnoszląscy, mniejsza o to czy mówiący po polsku, czy po niemiecku, muszą się teraz starać ze wszystkich sił, aby jeszcze przed prawyborami przyszło koniecznie do porozumienia. Nie potrzeba na to być geniuszem, aby zrozumieć, dokąd zajdziemy bez tego porozumienia; niechże więc po obydwóch stronach nie zabraknie dobrej woli, aby w ostatniej przynajmniej chwili przywrócić dawną jedność i zgodę".

Złote uwagi, dyktowane prawdziwą miłością Kościoła i katolików, nie Polaków, nie Niemców tylko, lecz jak jednych, tak drugich. Zdaje nam się, że teren, na którym podać sobie można dłonie do zgody, nie jest trudny do znalezienia. Jest to wyłącznie teren interesów katolików, za któremi i Centrum zawsze walczyło i którym lud szląski jest i dotąd wierny. Trzeba tylko tym interesom poświęcić to coby było poza niemi. Dobrej woli do tej zgody nie zabrakło majorowi Szmuli, który w liście nadesłanym do *Gazety Opolskiej* ogłosił, że „dla spokoju nie przyjmuje kandydatury ofiarowanej przez uchwałę wiecu opolskiego"; spodziewajmy się, że i drugiej stronie dobrej woli nie zabraknie, i że nie cofnie się również przed pewnemi, koniecznemi ofiarami na ołtarzu tak absolutnie niezbędnej zgody między wszystkimi katolikami. Zawsze ona i wszędzie niezbędna; kto dziś w Niemczech ją łamie wobec groźnego widma socyalizmu, wobec zaborczej polityki zwycięsko kroczącego naprzód protestantyzmu, ten dopuszcza się podwójnej i potrójnej, w skutkach nieobrachowanej winy.

Ks. Jan Badeni.

Z wystawy w Chicago.

I.

Jedyny prawdziwy zarzut, który Europejczycy robią Amerykanom, jest to brak smaku — brak artystycznej twórczości dojrzy każdy, kto choć pobieżnie przepatrzył ich galerye sztuki. To się potwierdziło w stosunku do urządzenia tegorocznej wystawy. Chicago rozciąga się na zachodnim brzegu jeziora Michigan, które, mówiąc nawiasowo, jest trochę mniejsze od połowy morza Adryatyckiego, jest bardzo ładne, bowiem zawsze jest w ruchu a często nawet groźnie burzliwe. Dla środkowego miasta jezioro to jest stracone, tuzin co najmniej linij kolejowych ciągnie się po samym brzegu jeziora i miasto dostaje świeże, jesienne powietrze tylko górą, bo dołem właśnie od tego jeziora snują się całe chmury węgielnych dymów przebiegających lokomotyw i płynących po jeziorze statków... Za płynącym parowcem ciągnie się nad falami, jak ogon za kometą, długa chmura dymu. Za pięćdziesiątą ulicą od centrum miasta linie kolei żelaznej odsuwają się od jeziora, tak, że cały Jackson-Park leży już bezpośrednio nad jego brzegiem, ma piękny taras zaledwo kilkanaście kroków od fal tego słodkiego morza, a co najważniejsza, to jest że ma wyjątkową w Chicago dogodność: spokój; bo linie kolejowe odbiegły od jeziora kierując się w głąb kraju, nie słychać więc gwizdu maszyny, nie jęczą przeraźliwie dzwony umieszczone na każdej lokomotywie, ostrzegające przechodniów po drogach, na których nie masz strażników; przepyszny powiew z jeziora bez najmniejszej domieszki węglanego pyłu rozlewa się nad tym parkiem olbrzymim z wielu staremi drzewami. Słowem, prześliczne miejsce zawsze i wszędzie, a cóż dopiero w Chicago, w tej atmosferze dymów i kurzu, albo wyziewów ulicznego błota i leżących po kątach odpadków z tysiąca kuchen i tak zwanych salonów a po naszemu szynków, mniej lub więcej porządnych.

Cóżby to za pyszny był widok, gdyby na owym tarasie i w najbliższem sąsiedztwie postawiono wszystkie główne budowle, a poza tem pozostał stary park takim jakim był, bez wycięcia pięknych drzew, a tylko mieszczący pod ich cieniem drobniejsze budowy; ot naprzykład jakby to prześlicznie wyglądał otoczony cienistym ogródkiem domek dzieci, dziś zduszony między domami: pań i ogrodownictwa.

Tymczasem stało się inaczej: na owym tarasie pusto, lub stoją pomniejsze budowy, a główne są cofnięte w głąb parku zrabowanego — niestety! — z wielu a wielu pięknych drzew. Są miejsca,

w których człowiek zapytuje, dlaczego to się nazywa parkiem, kiedy tu ani jednego drzewa nie widać. Sztucznie stworzone baseny wodne, aczkolwiek nawet bardzo wielkie i piękne, nie mogą zastąpić fal olbrzymiego jeziora. Laguny owe rozcięły park na tyle a tyle nierównej wielkości części, a przez to rozkład budynków musiał być zastosowany do rozkładu owych kawałków ziemi, bez względu na to, co te budynki zawierają. Gdy w r. 1889 w Paryżu minąłeś Trocadero, czyli muzeum naukowe z czasów przeszłych, i ulicą wśród ogrodów danych na wystawę przeszedłeś za most, to widziałeś przed sobą wprost pałac rękodzielnictwa, na prawo miałeś naukę, na lewo sztukę. Oto były główne punkta w tym planie, a zaprawdę prosty a logiczny plan wystawy nie jest wcale podrzędną rzeczą. Każdy przyjeżdża na wystawę z pewnym planem studyów, często bardzo potrzebuje porównywać, to więc co jest pokrewne treścią, powinno być również w niedalekiej od siebie odległości. Tego tutaj nie masz, z którejbyśkolwiek strony wchodził na wystawę.

Jeżeli przyjeżdżasz okrętem, widzisz przed sobą wielką kolumnadę, sądzisz że to jest jedna z głównych budowli; okazuje się, że pod temi kolumnami pustka. Gdy przejdziesz te propylee, widzisz przed sobą ogromny basen wody, nad którym stoi olbrzymia statua złocona Respubliki, na lewo gmach rolnictwa a na prawo olbrzymia budowa rękodzielnictwa i nauk wyzwolonych. Ten ostatni tytuł dany najnieprawniej, bo ledwo cząstka przynależnych rzeczy znajduje się w tym gmachu, a reszty trzeba szukać w dwudziestu innych. Studyujesz sztukę w stosunku do rzemioła, chciałbyś ze świeżem wrażeniem od rzemiosł artystycznych przejść do właściwych dzieł sztuki, a nie chcesz w dwójnasób nakładać drogi, to musisz przejść przez budowę państwową, potem przez dobrze cuchnący pawilon rybactwa, potem wśród całego szeregu rozmaitych kawiarń i restauracyj, okrążyć jeziorko i dopiero dostajesz się do pałacu sztuk pięknych, rozdłużonego dwoma pawilonami niepomiernie, lecz w jakiej myśli, tego trudno dociec. Studyujesz rzemiosło w zastosowaniu do nauki, do etnografii i t. p., to znowu musisz tak długą a krętą drogę przebyć, nim się dostaniesz do zbiorów antropologicznych.

Przyjeżdżasz od strony miasta, to musisz najpierw przejść cały szereg domów każdego ze stanów i dopiero dochodzisz do pałacu sztuk pięknych. Zdaje się, że leśnictwo i ogrodownictwo są sobie bardzo pokrewne, a jednak ich wystawy są na dwóch przeciwnych krańcach parku. Słowem, Amerykanie budując tę wystawę wcale nie

potwierdzili czynem zasady powtarzanej ciągle, że czas to pieniądz Najpierw krążenie po krętych uliczkach, wchodzenie i schodzenie po wzniesionych wysoko mostach, powtóre zatrzymywanie się pomimo chęci przy rzeczach, które widzisz w przechodzie, do których umyślnie nie poszedłbyś, które przecież są ciekawe, a że już stoisz przy nich, więc trzeba zrobić notatkę, i tak w drugiem i trzeciem miejscu, i to godzina stracona nie wiadomo kiedy i na co. Raz, gdy jeszcze w tej sprawie byłem niepraktyczny, szedłem blizko dwie godziny drogę, którąbym wolnym krokiem przeszedł co najwięcej w kwadrans. Trudno żeby to było inaczej, kiedy w całem Chicago strata czasu jest rzeczą zwykłą.

Od którego budynku zacząć opis wystawy?

Oczywiście od pałacyku pań. Dlaczego? Czy przez banalną kurtuazyę? Nie. Nigdy jeszcze być może w sprawie publicznej, nie dającej wielkiego rozgłosu a potrzebującej wytrwałej a mozolnej często pracy, kobieta nie wzięła tak wielkiego i tak dodatniego udziału, jak właśnie w przygotowaniu, urządzeniu i utrzymywaniu tej wystawy i będącego z nią w związku olbrzymiego, sześć miesięcy trwającego kongresu, zwanego jednem słowem *Auxiliary*. Więc idźmy najpierw pokłonić się mrówkom. Jeżeli szan. czytelniku czytałeś dużo o emancypowaniu się kobiet amerykańskich i wierzysz tym baśniom drukowanym, to zamknij książkę i nie czytaj dalej, bo musisz mię posądzić o kłamstwo.

Najpierw trzeba to powiedzieć, że jest to wystawa na wystawie, cały bowiem zarząd owego dość wielkiego domu (198 × 398 stóp) nie należy wcale do dyrekcyi wystawy — pani Poter Palmer, prezes biura gospodyń wystawy a zarazem prezes kobiecego działu kongresu Auxiliary, jest tu najwyższą instancyą i nic bez niej nie może być przyjętem lub wystawionem w tem jej królestwie.

Powtóre budynek ten stanął wedle planów podanych przez kobiety, a premium zyskała panna Zofia Hayden, i ona też prowadziła budowę. Ostatecznie w całym budynku niema ani jednego przedmiotu z ręki mężczyzny, z wyjątkiem tylko tablicy archeologicznej waszego korespondenta, który osobistym stosunkom z rodziną pp. Basset zawdzięcza to, że spóźniwszy się, tam znalazł przytułek. Pod jakiem hasłem stoją te panie i do czego dążą? Wchodząc do przedsionka od strony jeziora, widzimy po prawej stronie wielki obraz malowany na ścianie, przedstawiający staruszka rektora uniwersytetu otoczonego młodemi pannami, ubranemi w togi i birety... Ach! to zapowiedź!... cóż dalej?... obraz następny przedstawia kobiety zajęte pracą przy krosnach;

dalej widzimy nauczycielki w otoczeniu małych dziewczątek, to ogródek freblowski; na przeciwległej ścianie kobiety pracują w ogrodzie pełnym kwiatów; piąty obraz przedstawia Florentynę Niethigal, czuwającą w nocy w sali rannych w Skutari w czasie wojny krymskiej; ostatni obraz to matka piastująca małą dziecinę. Oto hasła tego domu i to, co w nim ujrzymy, jest z niemi w zupełnej zgodzie. Chcą nauki i umysłowego rozwoju na równi z mężczyznami, lecz na to tylko, by na swojem stanowisku żony, matki, nauczycielki, siostry miłosierdzia, stać rozumniej i silniej niż dotąd.

Piękna dwupiętrowa sala otoczona gustownym krużgankiem arkad na pierwszem piętrze stanowi wnętrze budynku i charakterem przypomina bazylikę lub *patio*, tak zwykłe w pałacach Hiszpanii. Wokoło tej sali mieszczą się na dole cztery mniejsze i dwie niemal tejże wielkości sale, podzielone szeregami szaf na rozmaitej wielkości przestrzenie. W jednej z mniejszych sal widzimy w miniaturze szpitale dzieci w Nowym Jorku i Broklinie. Lalki z obandażowanemi rączkami lub nóżkami leżą w łóżeczkach otoczonych całym przyborem lekarskich i chirurgicznych narzędzi, a na ścianach rozwieszone fotografie, przedstawiające tameczną dwuklasową szkołę służebnic szpitalnych w rozmaitych chwilach ich życia i działania — lekcyj, rozrywek, wspólnej modlitwy, warty nocnej i t. d. Ciekawy jest bardzo pomysł kołderki dla dzieci w gorączce. Przypięta silnie wokoło łóżeczka, ma trójkątne wycięcie na główkę. Dziecko nią okryte ma poddostatkiem świeżego powietrza, a jednak ani zrzucić jej ani też wysunąć się z pod niej nie może. Na zewnętrznych ścianach wystawy tego szpitalu zawieszone są fotografie 24 kobiet, stanowiące gremium profesorskie medycznego kolegium dla kobiet w Pensylwanii. Gdybym te fotografie spotkał gdzieś w salonie, nie domyśliłbym się wcale czem są te panie, szczególnie nie posądziłbym o to młodej, ładnej, uśmiechniętej kobietki, prosektorki tego kolegium. W gronie profesorek są także dwie murzynki. Pozostająca przestrzeń tej sali zajęta jest wystawą rysunków szkoły rzemieślniczo-artystycznej w Nowym Jorku. Ogromne arkusze z przepysznie wykończonemi wzorami, szczególnie stylu maurytańskiego, musiały być zrobione w szkole pod okiem nauczycielki, a czasu na to dano tylko sześć miesięcy. Tuż obok siedzą dwie robotnice, jedna koronek, druga witrażów. Druga sala zajęta jest wystawą patentowanych wynalazków kobiecych, a więc... przyrząd do prasowania bielizny, maszynka do robienia masła, dzieża do prasowania masła, wałki do czyszczenia dywanów, kuchenne naczynia, kołyski, maszyna do szycia, ban-

daże i chirurgiczne narzędzia dla cierpień kobiecych... ani jednego ulepszenia broni palnej lub siecznej, a choćby nowego pomysłu szpicruty, którą możnaby dobrze sprażyć człowieka lub zwierzę... tego rodzaju wynalazki pozostawiły te zacofane emancypantki mężczyznom. Nie zwiększać bóle ziemskiego życia, lecz koić je, to ich zadanie. Trzecia sala zajęta jest bazarem rozmaitych robótek, a zysk ze sprzedaży ma utworzyć fundusz na budowę stałego domu pracy kobiet. W czwartej sali są zbiory etnograficzne. Na pierwszem miejscu stoi zbiór pani Franciszki Sheldon. W ciężkim smutku po stracie męża wielce kochanego, puściła się w podróż. Na czele karawany stu kilkudziesięciu osób, zwiedziła około 30 rezydencyj sułtanów wschodnio-południowej Afryki. Jako kobieta miała wstęp do haremów i zapewne nikt lepiej nie zna afrykańskich kobiet; z całą więc słusznością na jednym z kongresów przemawiała w ich imieniu. Opisała swą podróż w pięknie wydanej książce, poświęconej pamięci nieodżałowanego męża. Obok jest ciekawy choć niewielki zbiór rozmaitych strojów i narzędzi Indyan i ich portretów, dany przez pannę Franciszkę Ten-Eyck, która przez dłuższy czas mieszkała w ich sąsiedztwie. Następnie zbiorek pani Heleny Basset, wiceprezesa kongresu Folklorzystów. Tuż obok tablica archeologiczna autora tego opisu... jakiem prawem? — chyba wzajemnej życzliwości jego i tych pań. Dalej widzimy historyę wyrobu koronek w kilkuset okazach, poczynając od grubych plecionek szpagatu aż do sprzedawanych na wagę złota, zestawioną przez Coh. Thom. Wilsona.

Cała sala środkowa wzdłuż budynku i dwie na jej krańcowych stronach sale dolne, oddzielone od niej podwójnym szeregiem arkad, zajęte są międzynarodową wystawą pracy kobiet. W środkowej sali stoją w długich szeregach nizkie oszklone gablotki, na ścianach rozwieszone obrazy, a w kilku miejscach stoją rzeźby pendzla i dłuta artystek rozmaitych narodowości. Można powiedzieć, iż żadna z sal w budynkach tutejszej wystawy nie robi tak miłego wrażenia w całości. Wysoka, jasna, stylowo piękna, jest ona rzeczywiście wystawą pracy kobiety w dziedzinie malarstwa, rzeźby i architektury. Mówiliśmy już o jej architekturze, przepatrzmy malarstwo i rzeźbę. Nie można zamilczeć o sześciu wielkich obrazach *al fresco*, aczkolwiek niewielkiej artystycznej wartości, należą bowiem do upiększeń architektonicznych przez barwne okrycie nagich przestrzeni muru, które się poformowały w przerwach szeregów arkad i w przecięciu sklepień ze ścianami. Są one pendzla artystek również jak i te, które widzieliśmy u wejścia, a przedstawiają historyę kobiety od czasów gdy z mężem zamieszki-

wała jaskinię aż do dni dzisiejszych, gdy nad głowami ich na jednym z obrazów widnieją napisy: *Musica, literae, Ars acu pingendi, sculptura, pictura*, a na drugim geniusz Stanów Zjednoczonych woła ku nim: *Avete filiae Reipublicae*. Obrazy po ścianach wiszą grupami. W grupie Stanów Zjednoczonych widzimy p. Maryi Brock: nocleg w polu wędrownych biedaków, zapewne pierwsze chwile tych, którzy niebacznie, bez należnego przygotowania, wyruszyli do Ameryki. To dzieło piękne formą, szlachetne myślą, byłoby w pierwszym rzędzie w pałacu sztuki. Jest i rzeźbiarka niezwykłych zdolności, p. Hoxie. Jej Miriam tańcząca z bębenkiem w ręku, wykuta w marmurze, jest niezaprzeczonej artystycznej wartości. Z Anglii Lady Butler przysłała piękny obraz: Ze starożytnej miejskiej bramy wyrusza na wojnę oddział kawaleryi; naczelnik woła „do szeregu", lud patrzy ze smutkiem na tych, z których tylu a tylu jest już *morituri*, a ich zaś oczy szukają w tłumie krewnych, przyjaciół... jeden skinieniem ręki żegna staruszkę matkę pochyloną, błogosławiącą. Nie można również zamilczeć o Eurydyce, padającej w otchłań Hadesu, pendzla pani Koe. Z Francyi Sarah Bernard przysłała wypukłą rzeźbę, popiersie Ofelii, piękne, aczkolwiek nie nowe już dzieło; malarka zaś Delphina de Cool, głowę starca. Hiszpanię reprezentuje pożyczony przez królowę Krystynę obraz p. Baimeles, przedstawiający rozkoszną, nagą dziecinę, tarzającą się na miękkim, pąsowym aksamicie. Nadto wachlarz pani Caria, przedstawiający Izabellę żegnającą Kolumba, bardzo delikatnie wykończony obrazek. Na ostatek postać kobieca w wypukłorzeźbie, dzieło — że tak powiem — *par excellence* kobiecego artyzmu, bo dokonane *arte acu pingendi*, białym jedwabnym haftem na szarawem tle atłasu, igłą p. Henryki Menchash. Pełne są wdzięku obrazki rodzajowe artystek niemieckich: pani Stamer'owej staruszka poprawiająca lampę z wielką ostrożnością, a naprzeciw niej siedzi wnuczek wpatrzony w twarz babci. P. Ludwig'owej staruszka obierająca ziemniaki, co znowu ogromnie zadziwia młode kocię, siedzące na jej ramieniu. Wcale piękną jest Ahasverus pani Böhm; pejzaż p. Schrader; trup młodej dziewczyny leżący w łodzi osypanej kwiatami, p. Herminy Preuschen. Pani Lea Alborn, Szwedka, dała całą seryę medalów czysto i pracowicie wykończonych. — Oto jest krótki przegląd dzieł sztuki na wystawie kobiet! Sceny życia rodzinnego poczciwie pojęte, portrety, widoki, kwiaty — oto świat, który odtwarza pendzel, dłuto i igła artystek. Nie widzisz w utwórach tych emancypantek żadnej zdrożnej myśli, nie spotkasz krwi, ni błota, ani szpitalnej lub karczemnej sceny... Widocznie są tego przekonania, że sztuka piękna powinna być

wierną naturze, lecz przedewszystkiem wierną swej nazwie — piękną. Na zakończenie nie mogę zaprawdę oszczędzić wymówki tym kobietom, które nie tu, lecz w pałacu sztuki, wśród mężczyzn, umieściły swe utwory. Po co ten separatyzm i to w tej chwili, gdy kobieta wyłącznie po raz pierwszy stawi na sąd całego świata obraz swojej działalności we wszystkich czasach i na każdem polu.

W gablotach głównej sali i w jednej z krańcowych są ugrupowane wystawy różnych narodów, druga zaś krańcowa sala zajęta jest wyłącznie przez Stany Zjednoczone. Tutaj po raz pierwszy musi zwrócić uwagę wędrowca ta ogromna w tym kraju liczba towarzystw żeńskich, zawiązanych jedynie w celach rozwoju artyzmu igły. Niemal w każdem państwie jest takie towarzystwo, a w bardziej osiedlonych po kilka. W samym Nowym Jorku naliczyłem ich trzy. Zaznaczam to, że Amerykanki żądają równouprawnienia igły z pendzlem i dłutem. Towarzystwo Filadelfii najotwarciej to wypowiedziało w swej nazwie: *The school of Art needle Work*. Może mniej trochę jest upowszechnione, lecz pod względem artystycznym wyżej stoi malarstwo na glinie. Ceramika jest tu niemal wyłącznie w ręku kobiet, do tego stopnia, że wśród seryi kongresów z dziedziny sztuki, kongres ceramiki był najzupełniej żeńskim, prezydyum było wyłącznie z pań, a na dwadzieścia przeszło odczytów, kilka tylko podali mężczyźni. Z Nowego Jorku mamy bardzo piękny obrazek Matki Bożej z dziecięciem na ręku; z Oregon, utopioną męczennicę Delarocha; z Ohio, kopie kilku obrazów Murilla.

O wystawie haftów złotem i srebrem musiałbym tom napisać. Są i oryginalne kompozycye, jak również naśladowania z wszystkich wieków i krajów. W gablotkach środkowej, i w labiryncie szaf i witryn drugiej krańcowej sali, każda narodowość na wydzielonych sobie kilku metrach kwadratowych ułożyła jak mogła prace swoich kobiet, przeważnie z dziedziny artyzmu igły. Oto zakątek towarzystwa Norweżek w Chicago, obwieszony ich haftami, a na stoliku stoją trzy manekiny dziewcząt w ich ślubnym stroju. Dalej grupa wyrobów z Syamu olśniewa złotem i barwnemi kamieniami, bogate lecz prostacze. Tu znowu Dunki postawiły cztery manekiny wieśniaczek, a obok widzimy ich roboty. Włochy dały prześliczną wystawę koronek ich dworu i liczne okazy z dworu Napoleona I. Widzimy także szereg fotografij dokonanych przy sztucznem oświetleniu, to wynalazek pani Loredana de Porto. Obok fotografie zakładu głuchoniemych w Sardynii, robiących koronki. Hiszpania również poszczyciła się koronkami dworu, a nadto szeregiem fotografij, przedstawiających zakład głuchoniemych dziewcząt w Walencyi. Nadto wi-

dzimy szpadę królowej Izabelli i kilka innych po niej pamiątek. — Wchodzę do zakątka jaśniejącego złotem i srebrem na silnem oświetleniu elektrycznej lampy. Napis: Roboty mahometańskich kobiet z Indyj. „Proszę pani! — zapytuję strażniczkę tego zakątka — jak mam rozumieć ten napis?“... „To prace z misyjnej osady amerykańskiego kościoła w Guntura. Kobiety tameczne pozostając w domu w nieobecności męża musiałyby próżnować, bo nie mają co robić, więc zapraszamy je do naszego domu, zachęcamy do pracy i dajemy trochę zarobku; powoli, powoli poczynamy mówić o religii i dużo się nawraca a co najmniej przysyła dzieci swe do naszej szkoły. Mamy w niej blizko 300 chłopaków i dziewcząt. Przeważna liczba tych kobiet należy do kasty paryasów; nasze postępowanie dziwi je z początku, potem pociąga, w końcu nawraca. Igłą i sercem prowadzimy naszą misyę“. Oto prawdziwie żeńska misya, pomyślałem sobie odchodząc. — Francya prócz koronek, wachlarzów, ceramiki, wystawiła co?... historyę mody... około 30 lalek ubranych w stroje różnych epok, poczynając od kobiety Gallów aż do dzisiejszej elegantki z bulwarów Paryża. Nadto salon paryski, w którym trzy panie piją herbatę. Lecz obok jest i wystawa Czerwonego krzyża. — Rosya w dość charakterystycznym, rzeźbionym kiosku umieściła wcale ładny zbiór kobiecych robót z wieśniaczej chaty i dworów... Co takiego?... widzę napis: „Jan III. król polski“, obraz na porcelanie p. Maryi Fiorentini z Warszawy... jedyny głos polski, jaki spotkałem na tej wystawie kobiet... Czyż nic więcej z pracy naszych Polek nie mogło tu znaleść miejsca?... A nasi pobratymcy Czesi dali ogromy zbiór, Hercegowina również, a Bułgarowie postawili nawet osobny domek. Austrya niepoślednie miejsce zajęła w tej wystawie, a to jest zasługą Towarzystwa kobiet w Wiedniu; arcyksiężna Marya Teresa przysłała parawan malowany bardzo ładnie w rozmaite kwiaty, własnoręcznej pracy. Niemki dały kilka kopij z obrazów starych mistrzów, dokonanych igłą ale bardzo twardo, nie mogących się porównać z takiemiż robotami artystek Francyi. — Przechodzę obok kiosku oświetlonego wewnątrz, a nad drzwiami widzę portret kobiety... typ twarzy europejski z jakimś odcieniem rysów innej rasy... napis: Przylądek Dobrej Nadziei... I tam ręka kobiety nie próżnuje, i tam jedna z nich, do dziś w ukryciu, gromadziła koło siebie pracownice, i oto świadectwo pracy jej i jej uczennic. W końcu sali wielki stosunkowo obszar zajęły Angielki. Obok wielkiego zbioru robót ręcznych, wśród których są własnoręczne roboty księżniczek królewskiej rodziny, widzimy szeregi fotografij, przedstawiających wnętrza rozmaitych zakładów dobro-

czynnych i naukowych, powierzonych opiece kobiet. Oto w miniaturze szpital trędowatych w Syberyi pani Marsden, pod protektoratem królowej Wiktoryi. Oto całe gremium lekarskie żeńskie szpitalu kobiet i dzieci w Londynie. Oto cały szereg tych kobiet, które otrzymały stopień naukowy... A cóż tu robi cały szereg dziecięcych główek?... to dzieci matek, które skończyły studya uniwersyteckie... rumiane, piękne, rozumne... postawione tu jako dowód, że studya uniwersyteckie kobiet nie uwłaczają macierzyństwu.

Wejdźmy na pierwsze piętro... Ach! niemiły zapach spalenizny... to kuchnia!... Amerykanie kochają się w słodkich ciastach, a więc widzimy kucharkę, która *coram publico* przyrządza ciasto, wlewa w formę, piecze na rozpalonej gazem blasze i podaje widzom po kawałeczku, dodając małą książeczkę z rozmaitemi przepisami. Wokoło stoją szafy pełne słoików z kompotami, a na ścianach rozwieszone sieci rybackie, bo i to przeważnie robota kobiet. Obok ogromna sala, gdzie się odbywają rozmaite uroczystości, a ściany wokoło okryte portretami tych kobiet, na których głowach spoczywały zasłużenie czy korony monarsze, czy wieńce laurowe, czy biret doktorski, czy też korona z ostu szyderstwa lub zapoznania za życia... W samym środku grupy artystek, na honorowem miejscu, widzimy p. Modrzejewską.—Na galeryach wokoło sali środkowej widzimy rozmaite gablotki: to wystawa fotografij i rytownictwa. Widzimy cały szereg Hiszpanek w ich malowniczych strojach różnych prowincyj i epok. Na stronie przeciwnej szereg pokojów zajmuje piękna już biblioteka z ładnym wcale zbiorem autografów znakomitych kobiet. W jednej z sal rozwieszone przysłane z Paryża tablice, przedstawiające na mapie Francyi metodę graficzną, stosunek kobiet do ludności, ich śmiertelność, wpływ na wędrówkę w obce kraje, wpływ na rozwój oszczędności i t. p.

Przechodzimy do wielkiej, widnej sali, lecz nizkiemi baryerkami przeciętej na kilkadziesiąt rozmaitych zakątków: to biura przeszło 30 towarzystw i instytucyj rozmaitych celów, wyznań i narodów. A więc: Stowarzyszenie katolickich pań, Narodowa rada kobiet, Międzynarodowe zgromadzenie chrześcijańskich młodych kobiet, Towarzystwo wstrzemięźliwości chrześcijańskich kobiet, Towarzystwo amerykańskich autorek, Towarzystwo gospodyń i t. p. W każdym zakątku stoi biurko, przy nim na służbie ktoś z towarzystwa rozdaje broszury, udziela wyjaśnień. Obok w ogromnej sali trybuny i szereg prezydyalnych foteli otacza półkolem kilkaset krzeseł. To sala radna gospodyń wystawy, na których czele stoi pani Poter Palmer. Tu szanowne panie pokłóciły

się parę razy tak, że innej rady nie było, tylko zamknąć sesyę. Cóż to był za alarm po rozmaitych dziennikach, ileż drwinek i naśmiewań się w mieście z tego parlamentu kobiet... Zapewne, że kłótnia jest rzeczą szpetną... jednakże bądźmy bezstronni... My mężczyźni mamy praktykę parlamentarną od tylu wieków, a przecież w naszych izbach od czasu do czasu trzepiemy się na dobre w policzki. Otóż ja sądzę, że pokąd panie są jeszcze tak zacofane, że nic podobnego nie zdarza się na ich naradach, potąd my mężczyźni nie mamy prawa z nich się naśmiewać.

Chcąc ostatecznie odpocząć po tym przeglądzie, wyjeżdżam elewatorem na płaski dach tego budynku; tam Towarzystwo indyjskiej herbaty przedaje ją na korzyść funduszu budowy domu kobiecej pracy. Taras z pięknym widokiem na laguny pokryty jest płóciennym dachem w czerwone i białe pasy, a na czterech rogach stoją postacie aniołów. Spytałem jednę z moich znajomych, czy wzory do tych rzeźb były wzięte z aniołów przed czy po ich upadku; otrzymałem odpowiedź: *que je ne mis pas sage.*

Jeszcze raz myślą przebiegam to całe żeńskie królestwo... A gdzież są artystki tak uwielbiane przez mężczyzn, nietylko za ich talent? Gdzież te znakomite szermierki bronią sieczną i palną, amazonki sławne, których portrety publikują na wyścigi ilustracye naszych stolic w Europie?... Gdzież są kobiety z armii zbawienia?... Gdzież są pożarne strażniczki, tak sławne w Nowym Jorku?... To przecież także praca kobiet, często z wielkim wysiłkiem i narażeniem życia własnego?... Tak!... Lecz nieodpowiednia charakterowi kobiety i jej stanowisku w społeczeństwie... więc nie znalazły miejsca w gmachu postawionym przez Amerykanki, osławione w Europie za dążności wykobiecania się. Niech świadczy o tem ta żeńska wystawa.

M. Żmigrodzki.

Druk ukończony 30 października 1893 r.

WIECZÓR NAD LEMANEM.

Wracałem z południowej Francyi do kraju, w towarzystwie p. Bielskiego, literata z Warszawy, którego u wód poznałem — kiedy przyszła nam myśl zatrzymać się kilka dni nad Lemanem, dla wypoczynku po tem uciążliwem próżnowaniu, jakiem jest kuracya wodna. Bielski, który lubi miasta, obstawał za pobytem w Genewie; jednak na moje prośby dał się zawieźć do Ouchy, maleńkiej miejscowości u podnóża Lozanny, przy samem jeziorze, gdzie znałem wygodny i cudnie umieszczony hotel *Beau Rivage.*

Po krótkiej chwili, siedzieliśmy przy stole obiadowym, na tarasie, pod cieniem dwóch rozłożystych akacyj, tuż nad niebieską falą jeziora, migocącą złotemi połyskami pod skośnemi promieniami zachodzącego słońca. Naprzeciwko nas, na drugim brzegu, piętrzyły się sine a w głębi białe góry, fantastycznie powykrawywane na lazurze nieba, opalową smugą oparów od ziemi odcięte. Na prawo widać było na widnokręgu Genewę, płonącą w łunie zachodu. Na lewo jezioro ciągnęło się bez końca i stapiało się nie wiedzieć gdzie z niebem, w jednej świetlano-perłowej barwie.

Towarzystwo przy stole, nieliczne ale doborowe, od razu uderzało ogólną dystynkcyą, przy rozmaitości typów narodowych. Obok mnie siedział p. Siemionow, o pięknych, niebieskich oczach, trochę zamglonych, i trochę tajemniczych, zdających się gdzieś

patrzyć w niewidomą dal; z brodą blond, nieco za długą, ale ślicznie utrzymaną. Naprzeciwko siedziała poważna postać, z rozumnem i uprzejmem wejrzeniem; włos już siwy, twarz dość pełna, ogolona, usta o wargach wązkich, trochę zaciśniętych. Był to p. Deville, pastor z Lozanny. Obok niego zajmował miejsce p. Leroy, smagły brunet, ale o delikatnych rysach i żywych oczach, znamionujących intellektualizm. Giest i trochę akcent przypominały południową Francyę. Był on autorem kilku cenionych dramatów i powieści, i dalej w tym kierunku pracował. Dalej jeszcze siedział p. von Hainberg, także inteligentna fizyognomia, w okularach; były docent prawa w Lipsku, obecnie ojciec rodziny i właściciel ziemski w Hessyi. Wreszcie prezydowała u stołu miss Wilson, o dużych, błyszczących oczach pod ciemnemi brwiami, i dużych, białych zębach w klasycznie wykrojonych ustach; wiek trudny do określenia, ale już była autorką powieści filozoficznej p. t. *Excelsior,* która zaintrygowała opinię i krytykę.

Poznaliśmy się wszyscy od razu; bo znając trochę pana Deville, przedstawiłem mu Bielskiego; zaczem prezentowania się obiegły wkoło, ruchem nabytym. Rozmawiano w chwili naszego przybycia o prześladowaniu religijnem we Francyi; i wszyscy zdawali się, choć z rozmaitych punktów widzenia, nad tym stanem rzeczy ubolewać. Bielski od razu wpadł w rozmowę.

— My Polacy — powiedział — najlepiej wiemy, jak dokuczliwym jest ucisk religijny dla ludności wierzącej. Ale, nawet w interesie kultury, jestem takim weksacyom przeciwny. Wiadomem jest przecież, że one tylko przyczyniają się do rozbudzenia religijnego fanatyzmu; a jemu trzeba dać spokojnie umrzeć. Już i tak dni jego są policzone. Szerzyć oświatę — to jest według mego przekonania najlepszy środek, aby wierzenia i przesądy do reszty wyprzeć.

DEVILLE.

Pan bardzo lekko widać traktuje rzecz przecież poważną. Ażeby nauka, czy — jak pan mówi — oświata wyprzeć mogła reli-

gię, to musiałaby, zdaje mi się, sama odpowiedzieć na zagadnienia, które stawia religia, a które serce ludzkie najwięcej obchodzą. Tymczasem nauka żadnych takich zagadnień nie rozwiązuje. Owszem, po chwilowych illuzyach, sama przyszła do przekonania, że one leżą zupełnie poza jej sferą.

HAINBERG.

Bardzo słusznie. Dodałbym jeszcze, że to nie pora mówić o policzonych dniach religii, kiedy właśnie ruch religijny wyraźnie się po świecie wzmaga. U nas w Niemczech od czasów Lutra nie było chwili, w którejby kwestya religijna tak zapełniała umysły, literaturę, nawet życie państwowe, jak w drugiej połowie tego wieku. Kościół ewangelicki ponosi, co prawda, rany w dogmatach i w ludziach, ale się rusza, reorganizuje, walczy, rozsiewa po całych Niemczech mnóstwo dobroczynnych instytucyj, religią natchnionych. Nawet rzymski katolicyzm — przyznać mu to trzeba — wzmaga się w siłach. Krępuje się coraz bardziej, ale za to się skupia i szereguje jak pruski regiment. A przytem bierze udział we wszystkich gałęziach życia publicznego, nauki, dobroczynności, walki ze socyalizmem. Na każdym punkcie musimy się z nim rachować. A że to nie jest symptom właściwy niemieckim krajom, lecz ogólno-światowy, tego dowodem jest to dziwne wyrośnięcie papiestwa za dni naszych na stanowisko tak wysokie, że mu się wszyscy, i rządy i ludy, kłaniamy. Wierzaj mi, panie Bielski, w czasach zanikania religii w świecie, żadna religijna potęga nie będzie rosła.

BIELSKI.

W tem wszystkiem, mój panie, gra rolę polityka; a gdziekolwiek polityka wchodzi w grę, tam trzeba się liczyć z niższemi warstwami — a więc też do czasu uwzględniać religię. Ale życie umysłowe, naukowe, artystyczne, właściwe najwyższej warstwie ludzkości, zupełnie już z religii jest wypróżnione. Tak je zastałem we Francyi, skąd wracam, i przypuszczam, że nie inaczej też będzie w Niemczech i indziej.

LEROY.

Nie śmiem zapytać jak długo pan badałeś Francyę, ale ze swego punktu widzenia powiem, że i we Francyi, w tej nawet sferze umysłowej, naukowej i artystycznej, przejawia się obecnie pewien zwrot ku religijności. Już blizko dziesięć lat temu, de Vogüé w swem słynnem dziele o powieści rosyjskiej konstatował, że młode pokolenie francuskie zapowiada się lepiej niż starsze: czuje że mu ciasno w tej łupinie materyalizmu, w której przeszłe pokolenie próbowało w imieniu nauki cały świat zamknąć; rwie się do idealizmu, zwłaszcza do idei obowiązku, i łaknie zasad, któreby mu ten obowiązek wyświetliły. Otóż pokazuje się, że de Vogüé miał dobre oko. Młode to pokolenie wydaje ciągle płody myśli głębsze, pełne moralnych i religijnych zagadnień; nawet w stronę starej, gotyckiej wieży katolicyzmu zwraca, już nie szydercze ale uprzejme, nieomal tęskne wejrzenie. Piszą takie dzieła, jak *La crise chrétienne* Piotra Lasserre, *Le sens de la vie* Edwarda Rod, uwieńczone przez Akademię, *Les idées morales du temps présent* także Rod'a, *La montée* Gabriela Sarasin, *Les idées modernes et M. de Vogüé* Henryka Bérenger i t. d. i t. d.

Jeden z nich nawet, Paweł Desjardins, wydał p. t. „Obowiązek teraźniejszy", rodzaj manifestu w imieniu całego obozu tych młodych myślicieli, wypowiadając ich przekonania i wzywając ogół do podania im ręki. Dzieli on ludzi na dwie partye: ujemnych (względem etyki) i dodatnich. Pierwsi żyją tylko dla wrażeń przyjemnych, szukają sensacyi jako celu. Wrażenia te mogą być najrozmaitsze: u dołu opilstwo i gruba rozpusta, u góry wyrafinowany epikureizm myśli, igrającej z wszystkiem; ale zawsze sensacya, wrażenie rozkoszne samo dla siebie, jako cel. — Drudzy, dodatni, jakimkolwiek sposobem, bądź religią, bądź filozofią, bądź życiem swojem zatwierdzają istnienie moralnego obowiązku, pełnią go albo przynajmniej wyznają, że pełnić go należy. — Ujemni, przyznaje autor, są może dziś większością we Francyi, ale od pewnego czasu ruch umysłowości jest taki, że ich liczba maleje, a liczba dodatnich cią-

gle się powiększa. — To uzasadniwszy ciekawemi spostrzeżeniami, wzywa Desjardins ludzi dobrej woli do wspólnictwa w tych przekonaniach. Jeżeli go zapytacie co to są za przekonania: — Wierzę, odpowie wam, że istnieje obowiązek, że ludzkość ma jakieś przeznaczenie, do którego powinniśmy dążyć i drugim pomagać. Czem jest ta ludzkość, co za przeznaczenie, tego jeszcze dobrze nie wiem; ale idźmy prosto drogą obowiązku, choćbyśmy tylko dziesięć kroków przed sobą widzieli; a w miarę jak będziemy postępować, powoli nam się rozjaśni.

Nie jest to jeszcze religia oczywiście, ale jest oryentowanie się ku niej. De Vogüé im mówi, że to jest aspiracya ku czemuś, szukanie czegoś, co istotnie znajduje się w religii. Zresztą sama nadzwyczajna popularność i wpływ Vogüé'go — choć on aż zanadto do katolicyzmu się zbliża — jest znaczącą prognozą o stanie umysłów. Odgrywa on dziś rolę trochę podobną do roli Chateaubriand'a w pierwszej ćwierci naszego stulecia.

SIEMIONOW.

Ja z literatury francuskiej najwięcej znam powieści; otóż od kilku lat uderzony jestem znaczną zmianą tych powieści w kierunku, o którym mówi pan Leroy. Ta powieść francuska, która do niedawna opiewała niemal wyłącznie wiarołomstwa i wiarołomstwa, od kilku lat zajmuje się ciągle kwestyami moralnemi, nie pomijając nawet religijnych. Proszę np. wziąć do ręki ostatnich kilka roczników *Revue des deux Mondes*. Nie wiem, czy się w nich jedna znajdzie powieść, nie zajęta jakąś kwestyą moralną. Autor nie zawsze szczęśliwie tę kwestyę rozwiązuje, ale widać zawsze, że się stara rozwiązać ją jak umie najlepiej, i niezmierną ważność pierwiastku moralnego w życiu zawsze ma przed oczyma.

LEROY.

Tak jest w istocie. A proszę wierzyć, że nasza *Revue des deux Mondes* nie kieruje się żadną inną zasadą, tylko smakiem oświeceńszej warstwy społeczeństwa; może więc służyć za pro-

bierz dość powszechnego nastroju umysłów we Francyi. Mówiłem o młodych — a wieluż to nieco starszych powieściopisarzy, którzy przedtem zupełnie innemi szli drogami, od kilku lat odbywa tę samą ewolucyę. Taki Bourget np., ten prawodawca dekadentyzmu, autor tylu płochych utworów, wieleż on drogi uszedł w tych kilku latach ku etyce i ku chrystyanizmowi! Jak on kreśli np. w drugim zbiorze Szkiców prawdziwie *con amore* „świętego“ mnicha? W swych „Sensacyach“ z podróży po Włoszech, staje najwięcej przed obrazami mistrzów przedrafaelowskich, przykuty myślą religijną, którą w nich wypatruje; zaglądając do jakichś grobów starochrześcijańskich, czci te prochy jak relikwie, i czuje, że ich mężnej wierze zawdzięcza dzisiejszy świat co ma najlepszego w swej duszy. W *Disciple* maluje on straszną ruinę, do jakiej logicznie doprowadza zwątpienie o podstawach moralności, i kończy modlitwą „Ojcze nasz“ na ustach skruszonego materyalisty. W *Cosmopolis* podobną myśl na jeszcze wyższą skalę przeprowadza, i znów kończy u stóp Watykanu, z rzewnem westchnieniem do wiary. — Bourget nie jest jeszcze chrześcijaninem i (o ile z tego co pisze wnosić można) nigdy nim nie będzie; ale jest on po prostu, jak inni, pod wpływem tej nowej, duchowej atmosfery, która wszystko owiewa.—Nietylko powieść ale i poezya, jak wiadomo, i co dziwniejsza, nawet teatr odczuwa ten wpływ. Jabym wolał, żeby ani księdza ani wogóle rzeczy religijnych wcale nie wprowadzano na deski teatralne; ale uważam, że kiedy do niedawna działo się to tylko na wydrwienie religii, to dziś księdzu dają się role szlachetne, a wpływ religii i modlitwy przedstawia się dodatnio i z wdziękiem. Sztuki poważne, na tle mysteryów średniowiecznych, znalazły poklask na scenie paryskiej; a kiedy rząd zakazał grać „Ojcze nasz“ Coppée'go, o mało że nie przyszło do zaburzeń publicznych — co temu lat dziesięć pewnie nie miałoby miejsca.

BIELSKI.

Ale Francya, proszę pana, to jeszcze nie Europa.

LEROY.

To prawda, jak i to, że Europa to jeszcze nie świat. Jednakowoż panowie przyznacie, że często powszechne ruchy umysłowe zaczynają się od Francyi.

DEVILLE.

Ten ruch zresztą daje się czuć i w innych krajach. Ów Edward Rod, na któregoś pan zwrócił uwagę, jest Szwajcarem i tu w Genewie profesorem uniwersytetu; a ma około siebie całą plejadę zwolenników. We Włoszech, gdzie niefortunny zatarg między państwem a Kościołem dziwną jakąś zawziętość wywołał przeciwko religii, i z bluźnierstwa zrobił hasło patryotyzmu, już dziś przecież reakcya się objawia. Między powieściopisarzami, jednym z najpopularniejszych jest Fogazzaro, którego, tak samo jak naszych, wiecznie zajmuje kwestya moralna, a w dali ideał religijny nęci. O Anglii się nie mówi, bo etyczna dążność jej literatury, szczególnie w drugiej połowie tego wieku, jest notoryczną.

MISS WILSON.

Z przemówienia pana Bielskiego wnoszę, że ruchy umysłowe, budzące się na Zachodzie, nie prędko na Wschód się przedostają. Zapewnie tam jeszcze myślą, że materyalizm króluje do dziś dnia bez podziału w umysłowym świecie.

SIEMIONOW.

Za pozwoleniem pani, założę protest. Przynajmniej ten ruch etyczno-religijny, o którym p. Leroy opowiada, nietylko nie spóźnił się na Wschód, ale od Wschodu, tj. od Rosyi się zaczął. Tlił się on już od dawna w pismach rosyjskich autorów, mniej lub więcej do mistycyzmu skłonnych; wystąpił jako religia litości u Dostojewskiego; wkońcu znalazł najpełniejszy i najpotężniejszy swój wyraz w Lwie Tołstoju. Chwila, kiedy de Vogüé w swem *Roman Russe* dał poznać Francyi rosyjskiego mistrza, była istotnym początkiem tej nowej oryentacyi umysłów, o której mówimy. Najprzód uwielbiano Tołstoja, a potem zaczęto pisać w tym

samym duchu. Był to właśnie moment przełomu mistrza między powieścią, którą doprowadziwszy do zenitu duchowej siły w „Annie Karyninie“, porzucał, a mistycyzmem religijno-moralnym, ku któremu się zwracał. De Vogüé zaklinał go jeszcze wtedy, żeby nie porzucał pierwotnej drogi, bo inaczej wszelki wpływ na szerszy świat straci. Tołstoj robił swoje, pisał i jeszcze pisze religijne i moralne traktaty, predykuje zaparcie się własnej osobistości a życie dla drugich, nawołuje do cnót surowych aż do przesady. A Francya, Anglia i inne kraje jeszcze więcej te traktaty czytają i roztrząsają niż jego powieści. I sam de Vogüé przed rokiem w swych *Cigognes* wyznał, że się pomylił; sądził — powiada sam — jak literat, a świat dziś więcej łaknie podniosłości moralnej niż literackich piękności.

DEVILLE.

Rzecz pewna, że Tołstoj, za pośrednictwem Vogüé'go wiele się przyczynił do obecnego zwrotu ku ideom moralnym; ale w żadnym razie nie przyznałbym, że był jego inicyatorem. Jeżeli idzie o początek, to ten wyszedł niewątpliwie z filozofii. Nasz sędziwy Secrétan, profesor wszechnicy w Lozannie, którego mam zaszczyt być przyjacielem, pisał już dawno w tym kierunku; a w r. 1885 wydał swe pomnikowe dzieło *Civilisation et Croyance,* w którem klucz obecnych zagadnień politycznych i socyalnych ukazuje w kwestyi moralnej, a klucz tej ostatniej w uznaniu wolnej woli i Boga osobowego. We Francyi istnieje nie od wczoraj dość silny prąd neokantyzmu, który obowiązek moralny bierze za kamień węgielny całej filozofii, nietylko praktycznej lecz (wbrew Kantowi) i spekulatywnej. W Niemczech wielka szkoła Wundta bardzo się o to troszczy, żeby wśród lasu fizyologicznych i psychologicznych czynników salwować pewną samodzielność ducha ludzkiego, która jest warunkiem moralnej odpowiedzialności.

MISS WILSON.

I angielska filozofia nie jest obcą temu ruchowi. Może nawet sam Herbert Spencer, który skończył i opieczętował pozyty-

wizm, dał zarazem nowemu zwrotowi początek, kiedy śmiało zatwierdził, że pod zjawiskami, które są przedmiotem nauki, istnieje Niepoznawalny, który jest przedmiotem wiar i religij. Od tej chwili wiele filozoficznych umysłów w Anglii zwróciło się do poznawania Tego, który się poznać nie daje.

DEVILLE.

W rezultacie więc ten ruch umysłowy obiega zwykłą orbitę takich ruchów w ludzkości. Tak się rzecz przedstawia w historyi. Idee objęte nazwą „praw człowieka", poczęły się jak wiadomo w łonie filozofii; stamtąd przeszły do literatury; a potem, zrobiwszy szereg rewolucyj, opanowały społeczeństwa. Materyalizm, z którego się dopiero z biedą wydobywamy, podobną szedł drogą. I obecny prąd spirytualizmu zaczął się, jak mówiłem, w filozofii, teraz przejawia się w literaturze górnej warstwy, a z czasem zapewne i szerszym warstwom się udzieli.

HAINBERG.

Jeżeli te szersze warstwy nie będą już miały skądinąd religijno-moralnych uczuć w wyższem napięciu.

DEVILLE.

Ma się rozumieć.

BIELSKI.

Mnie się przecież zdaje, żeście panowie cały ten ruch trochę jednostronnie przedstawili. Do zjawisk, któreście wyliczali, dodajcie jeszcze ten cudaczny spirytyzm, który grasuje teraz w najlepsze po obu półkulach; dodajcie buddyzm z niewiedzieć jakiemi tajemnicami, zaszczepiony w Londynie i Paryżu; czasopisma, całą literaturę okkultyzmu, stowarzyszenia *Rose-Croix*, obrzędy, kapłanów, magów, szarlatanów w długich sukniach i z rozpuszczoną czupryną — jak ten Sar Péladan — którzy sprzedają światu stare tajemnice Egiptu i Assyryi; a zobaczycie, że to wszystko razem z waszym neochrystyanizmem, z tołstoizmem i t. d. jest jednym chorobliwym zawrotem głów, manią nadzwyczajnych wrażeń, stosunków z zaświatem, jakąś epidemią umysłową,

w rodzaju średniowiecznej epidemii biczowników, która chwilowo po Europie przechodzi i słabszych organizmów mózgowych się czepia. Ale takie epidemie z natury rzeczy prędko przechodzą.

LEROY.

Mniejsza o teoryę duchowych epidemij, która nie wiem czy się tłumaczy i czy cokolwiek innego tłumaczy; ale na taki amalgam różnorodnych rzeczy nigdy się nie zgodzę. Co za związek między nawoływaniem do wyższej moralności Tołstoja i Rod'a, a pokątnemi praktykami spirytystów i bredniami okkultyzmu? Jedynie chyba ich spółczesność wytknąćby można; ale w obecnej dobie, kiedy na niwie duchowej takie mnóstwo roi się płodów, sama spółczesność dwóch zjawisk nie dowodzi wcale ich związku wewnętrznego.

DEVILLE.

Jabym przyznał ten jeden związek, że wszystkie te objawy razem są reakcyą duszy ludzkiej przeciwko materyalizmowi. Materyalizm, który jeszcze przed dwudziestu laty zawracał głowy hasłami nauki, zamykał wszechświat w bezdusznym determinizmie atomów, i pod grzechem śmiertelnym przeciwko naukowości zakazywał dalej myślą sięgać — nareszcie się sprzykrzył, zawiódł; dusza ludzka uczuła, że ją niesłusznie głodzono i więziono — i zbuntowała się. Jedni, zdając sobie mniej więcej sprawę z tego co im brakuje, szukają ideału moralnego, doktryny czy wiary czy filozofii, któraby im ten ideał uzasadniła. Drudzy, słabsze głowy czy chore serca, przeholowują, przeskakują aż do cudacznego mistycyzmu, i wpadają w ręce szarlatanów. Jest to w tym prądzie ta skrajna fala, która niesie pianę i wyrzuca ją na piasek brzeżny.

BIELSKI.

Dajmy na to, że tak jest, że tak zwany materyalizm wpadł w ekscesa, porwał się do tłumaczenia rzeczy, które w obecnym stanie nauki tłumaczyć się nie dają, i wywołał przez to falę reakcyi; to według ogólnych praw świata spodziewać się należy, że ta fala doszedłszy do swego kresu cofnie się; a duch naukowy

skorzysta tylko z tego doświadczenia, i będzie dalej, tem pewniejszym krokiem, cały świat opanowywał.

LEROY.

Ha! co będzie kiedyś, to zupełnie inna kwestya. Ja tylko skonstatowałem, że dziś zanosi się na pewien zwrot ku religii; więc że nie można dzisiejszej religii lekceważyć. A co do dalekiej przyszłości, to bardzo być może, że pan masz racyę. Ostatecznie, któż może wiedzieć? Formułka świata, o której marzył Laplace, pozwalająca z teraźniejszości matematycznie dedukować przyszłość, nie jest jeszcze wynaleziona.

MISS WILSON.

Mnie się przecież zdaje, że być nie może, aby religia kiedykolwiek całkiem zanikła: bo być nie może, żeby człowiek miał tylko rozum, a nie miał serca.

HAINBERG.

Dobrze i pięknie rzecz powiedziana. Rozum roztrząsa, określa, krytykuje, więc przeczy wszystko czego określić i krytycznie zbadać nie może. Ale serce tęskni nieprzezwyciężenie do czegoś wyższego, co się ani określić ani wyrozumować nie da; a więc też wierzy w to, do czego tęskni. Pod tym wpływem serca, wyobraźnia wytwarza w różnych rasach i epokach rozmaite formy religii, ale religijność w gruncie zostaje zawsze ta sama. Człowiek jest tem wyjątkowem zwierzęciem — *animal religiosum* — które obok zaspokojenia swych potrzeb fizycznych i towarzyskich, szuka wiecznie czegoś poza światem. I nie jest to dla niego czemś dodatkowem, jak literatura — luksusem, o którymby myślał dopiero po zaspokojeniu innych potrzeb — gdyż i w najpierwotniejszym stanie plemion, przy braku pokarmu i odzienia, ten sam popęd religijny się objawia. Jest to właściwe prawo natury człowieka, które już starożytni spostrzegli, a które nowożytna nauka, obejrzawszy kulę ziemską dokoła, najzupełniej stwierdziła. Stąd też powstała osobna umiejętność, obdarzona już

własnemi katedrami po wielu uniwersytetach, która traktuje historyę naturalną religii jako człon nauk antropologicznych.

Dużo się mówi o potrzebie religii dla rodziny, dla państwa; jest w tem wszystkiem wiele prawdy — i, nawiasowo mówiąc, to co się dziś dzieje we Francyi, pokazuje czem być musi społeczeństwo, w którem się religię, choćby tylko przez jedno pokolenie, systematycznie wykorzenia. Ale to wszystko jest tylko dalszem następstwem zasadniczego prawa natury ludzkiej: *animal religiosum*. Kiedy się to prawo narusza, to i w ustroju społecznym, z ludzi zbudowanym, odzywać się muszą symptomy chorobowe.

MISS WILSON.

Bardzo mi to trafia do przekonania. I to mi też tłumaczy ten tajemniczy smutek i niepokój, który spostrzegam na dnie waszych Bourgetów, Renanów i mnóstwa innych znakomitości nowożytnej literatury, którym rozum wytrącił wiarę. Smutek i niepokój, który tem więcej uderza, im bardziej usiłują go pokryć przed sobą wymuszoną pogodą. Ból jest znakiem, że coś w naturalnym ustroju się popsuło.

BIELSKI.

O ile religijność do natury człowieka należy, to jeszcze wielka kwestya. Jeżeli tak jest, moi państwo, to czemuż wszystkie religie powołują się, nie na rozum, nie na serce nawet, ale zawsze na jakieś interwencye, objawienia istot nadprzyrodzonych. Zawsze występują jakieś księgi święte — Weda czy Zend-Awesta, księgi King czy Pentateuch, Ewangelia czy Koran, czy wkońcu cudowna księga Mormona — którym wierzyć trzeba zawsze dla tej racyi, że z nieba spadły. Czy to wszystko nie przemawia raczej za sztucznem powstawaniem religii? czy nie dowodzi, że w pomroce starożytności ludzie przebiegli udawali stosunki z niewidzialnemi potęgami, aby łatwiej nad umysłami ziomków panować? Wieczna historya Numy i Hegeryi.

HAINBERG.

Panie Bielski, co pan mówisz! Przecież idea objawienia, pomysł udawania stosunków z bóstwem suponuje religię. Nie

można więc pochodzenia religii wogóle z udanych objawień wywodzić; ale co najwięcej przypuścić można, że na podstawie istniejącej już religii w ludzkości, posługiwano się objawieniami dla poparcia bądź jakiejś szczególnej formy religijnej, bądź politycznej władzy. Zresztą nie mamy żadnego powodu sądzić, że wszystkie doktryny o objawieniach z oszukaństwa wzięły początek. Takie pieśni Wedy np. mogły być pierwotnie ułożone dla kultu, bez żadnej pretensyi do cudowności, a po paru wiekach i po zatarciu pamięci o tem jak powstały, mogły uderzyć ludzi swą podniosłością i wydać się im na prawdę boskiemi.

MISS WILSON.

Jeżeli idea objawienia jest tak powszechna, to znaczy, że serce ludzkie tęskni do tego, żeby bóstwo mu się objawiało, do niego mówiło.

DEVILLE.

A może też przypomina sobie mglisto, że kiedyś bóstwo istotnie z niem obcowało i coś mu o sobie objawiło.

BIELSKI.

Koniec końcem, że religia znajduje sprzymierzeńca w sercu, a w rozumie wroga, na tobym do pewnego stopnia przystał; ale zostaje jeszcze pytanie, czy z postępem ludzkości nie może przyjść do tego, żeby serce, przekonane przez rozum o bezprzedmiotowości swych marzeń i aspiracyj, do czegoś innego, konkretnego te aspiracye zwróciło: do sztuki naprzykład, albo do ludzkości?

SIEMIONOW.

Zdaje mi się, mój panie, że to co się powiedziało o prawie natury ludzkiej, z góry wyklucza taką metamorfozę. Lecz co to ma właściwie znaczyć, co pan proponuje: żeby serce zwróciło swe aspiracye do przedmiotów konkretnych, sztuki i ludzkości? Przecież serce już dziś to czyni i czynić powinno; ale w tem rzecz, że te aspiracye sięgają jeszcze poza te przedmioty, ku czemuś, co nazywamy religią. Taka jest tych aspiracyj natura. Nazwaliśmy je nieokreślonemi, one są właściwie nieskończonemi;

i dlatego, jak wiadomo, przedmioty empiryczne nie zaspakajają ich, i — co warto zauważyć — im są doskonalsze, im piękniejsze, wykwintniejsze, tem więcej podniecają te aspiracye i uświadamiają poniekąd ich nieskończoność. Więc perspektywa dalszego doskonalenia się ludzkości nie pozwala się spodziewać skończenia tych żądz nieskończonych, ale przeciwnie. Nie będę państwa częstował, przy dobrym obiedzie, komunałem o niemożności nasycenia serca ludzkiego stworzeniami, — choć po cichu myślę, że jest w tym komunale niemało filozofii, mianowicie psychologii — ale pozwolę sobie roztrząsnąć te dwa surrogaty religii, które p. Bielski proponuje.

Kiedy pan patrzysz na mierny obraz, krytykujesz go pewnie, myśląc o lepszym. A kiedy patrzysz na najlepszy, na arcydzieło pendzla — albo kiedy słuchasz muzyki mistrzowskiej — co się wtedy dzieje? Uprzytomnij sobie pan może własne wspomnienia, albo wpatrz się w człowieka, który wobec takiego arcydzieła daje się owładnąć estetycznemu zachwytowi. Jak on nagle spoważniał, skupiony jest w sobie, patrzy lub słucha z rozwartemi trochę ustami i stłumionym oddechem. Widać po nim, że nie pamięta o świecie, że jest w tej chwili szczęśliwy. Ale jego wzrok czy słuch zdaje się gdzieś dalej sięgać, poza płótno, poza orkiestrę. On marzy o piękności absolutnej; piękność sama, harmonia sama objawia się jego duszy. — Wszyscy estetycy czy powieściopisarze, którzy próbowali określić ten zachwyt estetyczny, konstatowali to podniesienie, niejako przerzucenie duszy przez dzieło sztuki ku wyższemu ideałowi, o którym myśl marzy mglisto, bo go określić nie może, ale do którego serce tęskni wyraźnie.

A więc ostatecznie sztuka, nawet w utworach najwyższych i w samych chwilach zachwytu — owszem w tych najwięcej — daje nam czuć, że ideał, do którego aspirujemy, jest poza nią, wyżej.

Mówiłeś pan jeszcze o zwróceniu serca do ludzkości. Przypuszczam, że rozumiałeś nietylko ten instynkt sympatyi, który rzuca ludziom, podobnie jak zwierzętom, zbędne okruszyny politowania, ale tę moralną cnotę, przez którą człowiek poświęca się

dla ludzi. Czy taki moralny nastrój da się pomyśleć bez żadnego związku z absolutem? Pewna rzecz, że cnota taka nie traci czasu na reflektowaniu nad motywami, kiedy trzeba działać; owszem tem jest piękniejsza, im naturalniej i poniekąd bezwiedniej działa i poświęca się; ale w głębi takiej duszy musi być motyw idealny i absolutny, jak druga natura z nią zrośnięty — co stanowi jej piękność. Wystawmy sobie taki czyn, wykonany czysto machinalnie: już niema w nim ani cnoty, ani piękności. Wystawmy sobie motywa tylko względne, jakie np. proponują utylitaryści aby moralność wytłumaczyć, wówczas czyn taki nietylko piękny nie będzie, ale ani możliwy. Ażeby się człowiek wzniósł do sprawiedliwości, do kochania ludzi, do poświęcenia się dla obowiązku, ponad wszelki wzgląd na możliwe trudności, zyski i straty, musi go przeć od środka coś bezwzględnego, co mu stawia ideał moralny nadewszystko. A to c o ś mieszka w duszy, nie w tej komorze co nauka, co interesa, zabawy, ale w tej najgłębszej komorze, gdzie dusza jest w styczności z absolutem.

Możem się trochę od przedmiotu oddalił, ale chciałem tylko wykazać, że tak moralność jak i sztuka nie idą ku wykluczeniu religii, ale idą w tym samym co ona kierunku, prowadzą dusze ku ideałom, które są różnemi stronami tej samej nieskończoności; a religia, nawet najmniej wyrobiona, zawsze im przoduje w tym względzie, bo najbliżej z nieskończonością obcuje. Sztuka mieszka jeszcze w sferze zjawisk, i tylko z pośród nich daje przeczuć absolut; odgadywać każe w pięknie, jak mówią platonicy, cień nieskończoności. Moralność już wprost podnosi człowieka ponad prawa materyi, do wyższych praw ducha i bezwzględnego porządku, i daje mu czuć, że się zbliżył do absolutu, upodobnił się do niego, i że ta prawość, którą zdobył, szlachetniejsza jest niż wszystko, coby mógł wymarzyć w niższej sferze zjawisk. Stąd, jeżeli sztuka daje inicyowanym chwile pokoju i odrobiny szczęścia, to czyny moralne dają je w jeszcze wyższej mierze. Religia zaś bezpośrednio, choć zawsze omackiem, styka duszę z absolutem, każąc się modlić i wierzyć, że się Bóstwo nami opiekuje. Uważmy biednego Araba, który rozścielił wśród pustyni swój święty dywanik i stoi na modlitwie zapatrzony w nie-

skończoność — a z drugiej strony delikatnego estetyka, który stoi zachwycony przed Wniebowzięciem Tycyana. Obaj z absolutem obcują: ale ów Arab bezpośredniej, bliżej. I stąd też wnoszę, że religia musi być zdolną jeszcze wyższe zachwyty dawać ludziom, niż sztuka i cnota.

DEVILLE.

Wcale tego nie znajdujemy, mój panie, żeby ten interesujący pogląd zbaczał od osnowy naszej dyskusyi. *(Do mnie)* Ale czemu też Ksiądz w tej dyskusyi nie bierze udziału?

KSIĄDZ.

Ja słucham toku rozmowy z wielkiem zajęciem. Wiele w niej rzeczy bardzo mi się podobało. Religijność okazała się nam wrodzoną człowiekowi; określiła się dobrze jako aspiracya do czegoś za światem; co znowu przy bliższem obejrzeniu przedstawiło się jako dążność duszy do nieskończoności. Z tem wszystkiem jednak, konkluzya, do jakiej nas ta rozmowa doprowadziła, zdaje mi się zupełnie chybiona.

MISS WILSON.

Jaka konkluzya?

KSIĄDZ.

Stanęliśmy, jeżeli się nie mylę, na tem, że serce wymaga religii a rozum jej zaprzecza. Takiej sprzeczności w naturze człowieka zrozumieć nie mogę.

SIEMIONOW.

Człowiek jest, niestety, szanowny Księże, zbiorem samych sprzeczności, i trzeba go brać takim, jakim jest.

KSIĄDZ.

Jabym był skłonny sądzić, że sprzeczności, jakie są w człowieku — a jest ich istotnie wiele — są tylko urobione, przejściowe: jak sprzeczności między zasadami a postępowaniem, między gustami, zdolnościami, a obowiązkiem jaki narzucają

nam okoliczności, czasem nawet kontradykcye wśród samych przekonań naszych. Są to wszystko sprzeczności, które człowiek sam sobie wytwarza, albo przez ludzi wytworzone znajduje, i z których — jak każdy przyzna — wydobywać się winien, dążąc do logicznej i etycznej harmonii ze sobą. Ale żeby w samym gruncie istoty człowieka była taka radykalna, wrodzona kontradykcya: iżby serce żądało religii a rozum jej zaprzeczał — tego pojąć nie mogę, i taka natura ludzka zdaje mi się absurdem. Wiele rozumów zaprzecza dziś religii, prawda — ale czy to sam rozum jako taki zaprzecza? W każdym razie wcale od niedawna począł rozum tak powszechnie zaprzeczać. Może i ta sprzeczność jest tylko urobiona i zmienna, a zadaniem człowieka jest takową usunąć.

Mówiliście panowie, że serce aspiruje do nieskończoności; ślady tej dążności wykazaliście nietylko w religii, lecz i w moralności i w sztuce; ale czy i rozum nie dąży także swoim sposobem do absolutu? A co znaczą te pewniki, które rozum w sobie znajduje, czy tworzy (mniejsza o to na razie): jak pewnik przyczynowości, prowadzący do ostatniej przyczyny — pewnik, że wszystko co względne suponuje coś bezwzględnego? A co to jest ten popęd do badania dalszych i dalszych przyczyn i celów, który przebija się w umyśle ludzkim prawie od dzieciństwa? Trzeba było dopiero pozytywistów, ażeby spróbować zahamować ten popęd — ale samiście panowie zauważyli przed chwilą, jak ta próba okazała się daremną. Mógłbym powiedzieć, że cała historya filozofii, która jest historyą rozumu, jest dowodem nieprzepartej dążności rozumu do absolutu; bo cała filozofia, krom bardzo nielicznych skrajnych oscylacyj, była wiecznem absolutu szukaniem.

Przychodzę więc do wniosku, że ta wrodzona człowiekowi religijność, którąście, panowie, dobrze upatrzyli w aspiracyi do nieskończoności, jest nietylko w sercu ale i w rozumie — w całym człowieku.

MISS WILSON.

Psujesz sprawę, księże dobrodzieju. Rozterka między sercem a rozumem jest rzeczą smutną ale fatalną. Serce tęskni do

nieskończoności, nie potrzebując jej określać; ale rozum nie może inaczej myśleć jak określając sobie przedmiot, więc ograniczając go, szpecąc. I na jakież to, mój Boże, określenia zdobył się ten rozum w różnych religiach i filozofiach! Nie sąż one wszystkie zanegowaniem absolutu? Roiły się z niego bóstwa jak dziwaczne i nieczyste gady, napełniając ziemię trwogą i brudem, czasem zlewały się w jakąś głuchą mgławicę panteistyczną, która przygniatała i wysiłki i nadzieje serc. A kiedy wreszcie rozum wyfilozofował sobie wrzekomo najwyższe o Bóstwie pojęcie i zdjął z niego te szaty fantazyi, wtedy uczuł najlepiej braki i kontradykcye swego sztucznego dzieła, i wtedy sam w najlepsze począł je burzyć. Doprawdy, gdyby nie było serca, jużby dawno był rozum uprzątnął Boga, ideał i wszelką religię.

DEVILLE.

Trzymam z panią o tyle, że sercu przyznaję pierwszeństwo w sprawie bytu religii. Ale z księdzem zgadzam się w tem, że radykalnej opozycyi między sercem a rozumem w tej rzeczy nie widzę. Prawda, co pani mówisz, że starożytne formy religijne były bardzo nędzne. Ale najprzód, były one wytworem nie samego rozumu, lecz i wyobraźni i serca i nawet namiętności, słowem, całego człowieka; inaczej być nie mogło. Dalej zawierały one wiele niedorzeczności, ale przytem zawierały choć jakieś okruchy do pojęcia Bóstwa należące: przynajmniej ślady wieczności bytu, opatrzności, sprawiedliwości. A pod niemi serce ludzkie czuło i rozum się domyśliwał, że to formy jeszcze za ciasne, że nie definitywne. Stąd rozsadzanie jednych form religijnych przez drugie. Stąd poza religiami mysterya, nauki ezoteryczne, wysiłki biednej filozofii, która się wspinała jak mogła ponad ówczesne religie, żeby dojrzeć jak wygląda absolut — i wkońcu bezsilna opadała wyznając, że „niema innej rady, chyba kto z nieba przyjdzie, aby nas pouczyć“.

Co z tego wszystkiego praktycznie wnioskować można? Pani sama powiedziałaś, że serce ludzkie tęskni do tego, żeby Bóg do niego mówił. Gdybyś pani była w radzie Boga i widziała z góry ten ród ludzki ciągle szukający Boga omackiem, a ciągle bezsilny,

radziłabyś zapewnie Bogu, aby się zmiłował i pouczył ludzi o sobie. — Kiedy Paweł przyszedł do areopagu opowiedzieć Grekom Bóstwo, „którego nie znając chwalili“, rzekł im prawie słowo w słowo cośmy teraz mówili: „że rodzaj ludzki szukał Boga, owaby go snać namacał albo znalazł — chociaż niedaleko on jest od każdego z nas... Aż Bóg, czasy tej niewiadomości z góry oglądając, teraz oznajmuje się ludziom“.

LEROY.

Sporu między sercem a rozumem, zdaje się, nie wyczerpnęliśmy. Ale już noc nadchodzi, moi panowie; a kto nie chce opuścić codziennego spaceru przy gwiazdach, jak ja, ten musi powiedzieć „dobra noc“ miłemu towarzystwu.

Na te słowa wstaliśmy i rzuciliśmy okiem dokoła. Gwiazdy jeszcze blade, zaczynały tu i ówdzie przezierać. Księżyc, prawie w pełni, już stał wysoko. Po stalowej szybie jeziora wlokły się tam i sam mgiełki srebrzysto oświetlone i czepiały się niedbale brzegów. Cisza panowała urocza, skupiająca myśli. Na cyplu wysuniętym w jezioro, niedaleko od nas, jakiś człowiek szedł pod górę i zanurzał się w pasie mgły wiszącej nad brzegiem. Deville wskazał ręką w tę stronę i powiedział poważnie:

— Niech tylko idzie wytrwale pod górę, a wyjdzie z mgły, i znajdzie się w świetle.

Ks. Maryan Morawski.

Z DZIEJÓW MOŻNEJ RODZINY.

Kartka historyczno-obyczajowa.

(Dokończenie).

Ten obrót rzeczy jednak wydał się któremuś z przyjaciół, a najpewniej bawiącemu wówczas w Petersburgu Jerzemu Sapieże, staroście wilkowskiemu, niedostatecznym, zważywszy na dość jasne starosty bobrujskiego instrukcye; znajduje się bowiem w papierach ciekawa notatka, wykazująca potrzebę jaśniejszego określenia tak całości wiana księżniczki jakoteż i innych warunków zamęścia, treści następującej: „1) Że to nie jest kontrakt tylko intercyza, i to *sine vadiis*, trzebaby się serio starać, aby za widzeniem się kontrakt formalny uczynić według prawa lub Polskiego lub Litewskiego. 2) Ponieważ w tej intercyzie nie jest specyfikacya ustnie deklarowanego posagu, dla wiadomych racyi (?) zaczym w kontrakcie *ante omnia* o to starać się aby była dołączona *quantitas*, tak wyprawy klejnotów jako i gotowych pieniędzy, gdyż te rzeczy czasem z trudnością albo nigdy nie odzyskują się które słownie obiecane. 3) Reformacya zaś *in duplo* pretendowana zwyczajnie, ale to *non obligat* aby *in casu fati dupliciter* wracać się miało, tylko *per modum evictionis* ten zakład kładzie się. 4) O to najbardziej starać się należy aby asekuracya Starosty Zdzitowskiego *non validetur* kontraktem, *ratione* potomstwa, aby *uterque sexus* w wierze Matki był *elevatus*,

co że *contra jura Regni* działoby się, trzeba to wyperswadować Xięciu; ponieważ *masculi* ojcowską wiarę mieć powinni, *femelae* macierzyńską. *Erectia* kaplic nie jest w dispositiej bo jest *contra legem*, ale osobliwe miejsce *pro devotione*, trzeba żeby było naznaczone. 5) *Ultimum:* starać się o jaknajprędsze naznaczenie wesela i o kontrakt formalny *cum omni cautione*, bo to jest fundament. 6) A ponieważ Xiąże JMĆ ma szczerą i nieodmienną aplikacyą postanowienia swej córki za Starostę Zdzitowskiego, zaczym trzeba w klar z nim iść, cokolwiek może bydź i czego bydź nie może opowiedzieć, aby nie było u tak przenikającego narodu *suspicione* zawodu *in casu*, że kto łacnie na wszystko zezwala, mało co dotrzymać myśli. 7) *Residuitas* summy dwakroć kilkaset tysięcy (?) mogłaby się obrócić na wykupno majętności Litewskich zastawnym prawem, lepiej żeby syn to trzymał niżeli kto inszy *cum cautione* każdego czasu, za oddaniem pieniędzy, ustąpienia. I dobrze by aby na ten Ś-ty Jerzy mogły być dane".

Wskutek tych uwag zapewne spisany został wkrótce drugi, dokładniejszy już dokument, również po rusku, z podpisem własnoręcznym feldmarszałka, którego wstęp jako charakterystyczny podajemy, treść samą zbyt rozwlekłą wypisując w skróceniu. Początek brzmi jak następuje:

„My Aleksander Menszyków swietlejszyj Rimskoho i Rosijskoho hosudarstw Kniaź i Hercog Iżerskij. Naslednyj hospodin Aranibarcha, Poczepa i Alexandropola i inych, Jeho Carskoho Wieliczestwa wsierosijskoho wierchownyj tajnyj diejstwitielnyj sowietnik nad wojskami komendujuszczyj henerał feldmarszał ot flota rosijskoho kontr admirał i hosudarstwiennoj wojennoj kollegii prezident i henerał hubernator hubernii sanktpiterburchskoj i mnohich prowincyi eho Imperatorskoho Wieliczestwa, kawaler Swiatoho Apostoła Andreja i Słona, biełaho i czernaho orłów i podpołkownik ot preobrażenskoj lejb hwardii i połkownik nad tremia połkami, kapitan kompanii bobondirskoj, Graf Dubrowinskij i Horeckij, Starosta Orszańskij. Ja Darja Mienszikowa swietlejszaja Rimskoho i Rosijskoho hosudarstw Kniahinia i Hercohina Iżerskaja, Grafinia Dubrowińskaja i Ho-

reckaja Starostina Orszanskaja; czrez sie czynim izwiestno komu o tom wiedat' należyt etc. etc.“

W treści dokumentu obowiązują się: wydać córkę za starostę zdzitowskiego, dać w posagu 700.000 złp. czyli 70.000 rubl ów rosyjskich, z tej zaś sumy, jeszcze przed dojściem do skutku małżeństwa, okupić dobra wieluńskie i koźmińskie za sumę 445.000 złp., wypłacając należność wierzycielom i biorąc od nich transfuzye, zastrzegając przytem, że wedle zapewnień pp. pełnomocników, dobra Wieluń i Koźmin powinny poza temi jeszcze długami czynić rocznego dochodu „Panu Grafowi Sapieże“ dwakroć ośm tysięcy złotych; przy zawieraniu zaś małżeństwa obowiązują się kwity czyli owe transfuzye wierzycieli na sumę 445.000 złp. oddać staroście zdzitowskiemu i dodać gotówkę dopełniającą kwotę 225.000 złp., co będzie stanowić cały posag księżniczki, który w dwójnasób na imię jej zapisać ma starosta wiecznem i dziedzicznem prawem na tychże dobrach Wieluniu i Koźminie; *a my* — kończy dokument — *wyszepomianutoie wsio sodierżym i sodierżat' imiejem pod naszym kniażeskim i kawalerskim parolem.*

W Sanktpeterburchu 1721 hodu. Alexandr Menszykow.

Sprawa więc pokierowaną została pomyślnie wedle życzeń stron obu, ale z przyczyny wielkich odległości i środków podróży ówczesnych, rozwijała się powoli, tem bardziej, że i samo małżeństwo, z racyi zbyt młodego wieku przyszłych małżonków, na lat kilka odłożone zostało.

Tymczasem czynny a niestrudzony car Piotr, uporawszy się ze Szwecyą, dążąc do rozwoju dalszych swych wielkich państwowych planów, przerzuca się z północy na południe; i już w początkach 1722 roku jedzie do Moskwy, stamtąd do Astrachania i z nowo-zorganizowaną flotą puszcza się morzem Kaspijskiem do Derbentu i Kaukazu, kładąc i tu pierwsze podwaliny do zawojowania tego kraju i rozszerzenia granic swego mocarstwa. Przez ten rok prawie cały Menszyków niemal samowładnie kieruje nietylko wewnętrznemi sprawami państwa, ale jak widać, i polityką zewnętrzną, zwłaszcza też w stosunkach z Polską. w czem związani z nim Sapiehowie służyć mu już są zmuszeni.

Z tego czasu pochodzi nota i punkta przesłane przez starostę bobrujskiego do Menszykowa wskutek widać informacyi do działania w czasie sejmu 1722, którą Menszyków udzielił Sapieże za pośrednictwem wysłannika swego, Bandimira. Po sejmie już, przesyła starosta bobrujski feldmarszałkowi niektóre wiadomości i uwagi, które tu w skróceniu podajemy:

„Kiedy teraz JO. Xiąże Menszyków zostawiony od Najj. Monarchy swego aby z Senatem tejże Monarchii wszystkich *ad statum* Państwa interesów upatrował potrzeby, jako w tem Xiąże JMĆ przez JMĆ Pana Bandimira wyraził, komunikuję tak do Rzpltej należące interesa jakoteż i Państwu Ruskiemu potrzebne konsideracye, aby przez złamanie praw Rzpltej i Ruskie państwo nie było wciągnione w jakowe intrygi; więc zrozumiawszy te interesa przez JMĆ Pana Bandimira wyrażane starałem się wszelką aplikacyą moją w tem wszystkiem służyć skutecznie, czego potrzeba wyciągała, w czem sam Xiąże JMĆ Dołhoruki może mi dać *testimonium*".

Dalej powiada starosta bobrujski, że lubo sam nie był na sejmie, wszelako gdy inni, „co się jawnie ofiarowali" popierać powierzone im interesa, przy konkluzyi odstąpili, on jednak za pośrednictwem swoich przyjaciół utrzymał to wszystko, „co miał sobie przez P. Bandimira komunikowanego", „w czem zaświadczy JMPan Sekretarz Gołembiowski". Że zaś „mogą wyniknąć nowe konjunktury przeciwne interesom Państwa Ruskiego, o czem Xiąże Dołhoruki, zważywszy praktyki dworu i Ministrów Saskich, musiał już donieść", pospiesza przeto zawczasu odnieść się z tem do Księcia Menszykowa, aby otrzymać dalszą „komunikacyą intencyi, w czem usługa moja i całego Domu mego do rozkazu Najjaśniejszego Imperatora szczerze aplikująca się będzie potrzebną". I dodaje: „Choć ta nasza aplikacya jest już u Dworu w cenzurze i w nienawiści, jak już tego tak wiele doznawaliśmy dowodów, co i teraz świeżo mimo stopień w Dom nasz należący i przeciwko prawom nowej kreaturze [1] i nieprzy-

[1] Po zgonie Mich. Kocielła 1721 r. podskarbstwo W. Ks. L. objął Stanisław Poniatowski, ojciec Stan. Augusta. *(P. A.)*.

jaśnej interesów N. Imperatora Podskarbstwo Wielkie W. X. Lit. jest konferowane, jednak my pragniemy statecznie sakryfikować usługi nasze i następujące podajemy reflexye"...

Tu objaśnia starosta, że zbyt wielu osobom powierzać interesów nie należy, gdyż wielu się łakomi na datki, a nie robią nic, jak to i na ostatnim sejmie się okazało, i jeżeliby wypadło użyć kogo, to powinien książę Dołhoruki zasięgnąć rady starosty, a on wskaże na kogo rachować można, tem bardziej, że sekret między wielu osobami utrzymać się nie może; nakoniec zaś prosi o rezolucyę co do przyszłych działań, „aby cały Dom nasz wcześnie mógł wziąć praktykę".

Tymczasem sprawa małżeństwa, a właściwie raczej obiecanych przez księcia Menszykowa wypłat na wieluńskie i koźmińskie dobra, przeciągała się jeszcze; wyprawia przeto Sapieha umyślnie do księcia zaufanego posła, JMPana rotmistrza Pruszyńskiego, któremu w „Notacyi" swej po zwykłych grzecznościach i zapewnieniach submisyi, oraz niejakich luźnych wiadomościach o burzliwem fundowaniu trybunału wileńskiego, na który przybył przez króla przysłany biskup kujawski [1], a hetman [2] wojska sprowadził; poleca głównie, aby starał się Menszykowa uprosić o przysłanie, stosownie do poczynionych układów, pieniędzy, jeśli nie 400.000 złp., jak było przyrzeczono, to choć 300.000 tymczasem, gdyż, jak dodaje w swojej „Notacyi", „ten interes pieniężny, ustawicznie będąc w deklaracyi wszystkich innych dyspozycyi czyni trudności".

Jakoż w następnym 1723 roku zjechał do Rawicza, wchodzącego w skład dóbr wielkopolskich Sapieżyńskich, JMP Franciszek Wüst, pełnomocnik księcia Menszykowa, przywożąc z sobą 400.000 złp. z najobszerniejszą plenipotencyą do wszelkich układów. Ale Sapieże nie podobał się kontrakt, w którym zastrzeżone było oddanie staroście zdzitowskiemu dóbr Koźmina i Wielunia; chciał dać tylko sam Koźmin, a Wieluń dopiero przy zawarciu małżeństwa. Wüst musiał się odnosić do pryncypała, na co książę

[1] Feliks Konstanty Szaniawski.
[2] Ludwik Pociej.

Menszyków odpowiedział, że pozwala na zmiany w kontrakcie, ale gdyby dobra kożmińskie nie przynosiły najmniej choć 10.000 talarów, w takim razie poleca zerwać układy i powracać z pieniędzmi do Petersburga. Starosta bobrujski zapewniał, że Kożmin da tę sumę dochodu, a w razie niedoboru obowiązywał się ile wypadnie dopłacić. Stanął więc kontrakt nowy, przyczem Sapieha, przyciśniony interesami, wziął dla siebie od JMPana Wüsta 147.678 złp., które użył na spłatę niektórych wierzycieli dóbr Rawicza. Wüst przy pospiesznie następujących terminach spłacał wierzycieli kożmińskich, aż dopiero wszystkie pieniądze wydawszy, obejrzał się, że na sumę daną staroście bobrujskiemu niema żadnej na rzecz starosty zdzitowskiego i jego narzeczonej ewikcyi, a co gorzej, całe dobra kożmińskie tak były doszczętnie zrujnowane, że nietylko nie zapewniały dochodów, ale jeszcze niemałych wymagały nakładów. Nastąpiły więc długie rozprawy, ciągnące się niemal przez dwa lata.

Aż w początku 1725 roku zaszła nadspodziewana katastrofa, pociągająca za sobą najdziwniejsze zmiany i wypadki, które z gruntu obaliły i przeinaczyły wszelkie między układającemi się stronami zamiary, plany i rachuby.

Przy końcu stycznia 1725 roku umarł niespodziewanie car Piotr I.

Tu musimy się wstecz cofnąć, dla objaśnienia zaszłych następnie dziwnych zmian i wypadków.

Car Piotr I., jak wiadomo, z pierwszej żony Eudoksyi Łopuchinówny miał syna Aleksego, który ożeniony z Karoliną Zofią księżniczką brunszwicką, miał syna Piotra. Carewicz Aleksy, wychowany pod wpływem matki, przeciwny był wszelkim zmianom i reformom wprowadzanym przez ojca; matka i syn nie pojmując szerokich planów ani doniosłości cywilizacyjnych prac imperatora i nie dając się żadnemi sposobami przekonać, popadli w niełaskę cara, który żonę oddalił do klasztoru; a gdy z drugiej żony Katarzyny I. urodził mu się, czasu podróży do Holandyi w 1717 roku, drugi syn, również Piotrem nazwany, i gdy w r. 1718 nastąpiła śmierć Aleksego, chcąc usunąć od następstwa tronu wnuka swego po Aleksym, Piotra, urodzonego z księżniczki brun-

szwickiej — wydał ukaz objawiający, że każdy panujący rosyjski, nie zważając na żadne starszeństwo linii, może naznaczyć po sobie następcą na tron kogo mu się podoba. W lat kilka, ledwie z niemowlęctwa wychodzący, umarł i ten drugi syn cara Piotra I. i Katarzyny, urodzony w Holandyi, ale ukaz pozostał w swej mocy, i gdy imperatora zaskoczyła śmierć prawie nagła, nie miał już czasu naznaczyć po sobie następcy, a tron objęła po nim żona, Katarzyna I.

Wieść o tym ważnym wypadku rozbiegła się szybko, otrzymał ją najpierwszy może starosta bobrujski; nie zdawało się to jednak zapowiadać ani przeszkód ani zmian jakichkolwiek w zawartych z księciem Menszykowem względem małżeństwa starosty zdzitowskiego układach. Starosta bobrujski pospieszył tylko natychmiast z przesłaniem submisyi swej do carowej, co widać z odpowiedzi nowej monarchini. Dokument ten znajdujemy w posapieżyńskich papierach w kopii polskiej współczesnej, którą, jako zasługującą na uwagę, podajemy w całości:

„Na pierwszy (punkt, odpowiedź). Za życzliwą Waszą addykcyą i doznaną wierność dziękujemy i prosimy aby uprzejmość Wasza w zaczętej swojej ku Rosyjskiemu Państwu życzliwości (jak kochającemu honor i roztropnemu Mężowi należy), *perseverare* raczył, o co też i nie wątpiąc do Waszej osoby i do całej familii jego nieomylną mamy nadzieję.

„Na wtóry. Interesa królewica Frydrycha przeszkadzać i wszelkiemi siłami do Thronu Polskiego nie dopuszczać trzeba, w czem i My z swojej strony staranie przykładać nie omieszkamy. A *in quantum* by Król JMĆ August Abdykacyą uczynił (?) to życzymy, aby kto godny z Polskich magnatów, jeno *unanimi voce* z consensem spólną i zdrową radą całej Rzpltej był obrany; a najlepiej wszystkiego jeżeliby elekcya *in favorem* samego WMPana zasłużonego być mogła (?!) w czem z naszej strony dopomódz deklarujemy.

„Na trzeci. Elekcya jeżeliby miała bydź na Króla Stanisława, jako na koronowanego raz, tylko *legitimo ordine*, jak się wyżej namieniło, wolnemi i zgodnemi głosami Rzpltej, wiele by nam nie była przeciwną; jednakże najbardziej affektujemy aby

uprzejmość Wasza tego dostąpić mógł, *in quem finem* my nietylko ustnie przez posłów naszych i listownie promować interes Jego, ale też i pieniędzmi assistować będziemy.

„Na czwarty. Wierność uprzejmości Waszej ku nieboszczykowi Imperatorowi JMCi Panu i najmilszemu małżonkowi Naszemu, jak podczas szczęśliwego panowania tak po śmierci Jego u Nas *in recenti* jest *memoria*, którą My approbowali i spodziewamy się, że uprzejmość Wasza nieodmiennie, tak jako poczciwemu i statecznemu Kawalerowi należy, postępować i od czasu do czasu życzliwość swoję ku Rosyjskiemu Państwu i Rzpltej we wszelkich occurencyach pokazywać będziecie; a My *reciproce* na dokument łaski Naszej ku Wam rozkazaliśmy na oświadczoną obligacyą Waszą i po affektacyi Jego uczynić, tej będąc nadziei, że według obligacyi Swojej Nam przez Generała Feldmarszałka Xięcia Menszyka poddanej, w wierności ku Nam nieodmiennie zawsze continuować będziecie.

„Punkt osobliwy o Cesarskim Dworze. Jeżeli ten Dwór z nami będzie w Alliancyi to trzeba się starać żeby i Rzplta do tej ligi z Nami i z Cesarzem przeciwko nieprzyjaciołom Naszym, a osobliwie przeciw Turka, przystąpiła. Jeżeli zaś od Cesarza jakie krzywdy w granicach i pogranicznej szlachcie pokazane i uczynione są, to chciejcie o tem poddać Nam osobliwy Memoryał, a My za przyjazdem Posła o słuszną starać się satysfakcyą deklarujemy".

Księżniczka Menszykowówna miała natenczas lat zaledwie czternaście, jeszcze się więc ze ślubem wstrzymywano, a tymczasem starosta bobrujski, wziąwszy już naprzód znaczną część posagu i związawszy się stosunkami z Menszykowem i z dworem rosyjskim, widział się zmuszonym do popierania wszelkich interesów, tak księcia feldmarszałka jako i gabinetu petersburskiego. Ciągną się przeto korespondencye bądź dyplomatyczne, bądź w sprawach samego Menszykowa, nie mające wprawdzie bezpośredniego związku z małżeństwem syna starosty bobrujskiego, niemniej jednak dość ciekawe i ważne, aby z nich niektórych przytoczyć nie było warto.

Menszyków, jak widać z korespondencyi, miał dobra na

Litwie, a nadto posiadał, jak nadmieniliśmy wyżej, i konferowane mu przez króla starostwo orszańskie, położone w województwie witebskiem, grodowe, obejmujące miasto Orszę, z zamkiem, i wsie: Chodnie, Pluszczów, Babino, Zakierc, Suchary, Dewino i Kobylaki. Jak widzimy, królewszczyzna to była pokaźna, z grodową juryzdykcyą i niemałemi, o ile wnosić można, dochodami. Prócz tytułu polskiego starosty, którym ambitny feldmarszałek wcale nie pogardzał, chodziło mu bez wątpienia i o dochody; pobierał je też spokojnie Menszyków i władał starostwem póki król August w dobrych był stosunkach z dworem rosyjskim, aż naraz, gdy się owe stosunki w ostatnich latach zachwiewać zaczęły, podniesiono też na sejmie i sprawy starostwa orszańskiego, jako posiadanego przez Menszykowa wbrew prawu, a to tem bardziej, że obdarowany nie uczynił nawet zadość wszelkim, ustawami krajowemi zastrzeżonym warunkom i obowiązkom, jakie na nim ciążyły. Zaniepokojony feldmarszałek szuka pomocy u starosty bobrujskiego, który, jak widać z kopii przesłanego listu, uspokaja go, że robi wszelkie starania, aby tę burzę uśmierzyć, ale zarazem zwraca uwagę, iż to nie jest rzeczą łatwą do przeprowadzenia, jeśli dwór będzie przeciwny; zwłaszcza, że sam feldmarszałek do tej pory nie dopełnił najważniejszych swych w tej mierze obowiązków; to jest, nie uskutecznił tak zwanego oficyalnie „wjazdu na starostwo“ i nie ustanowił sądów grodowych, w których, jeśliby sam zasiadać nie mógł, winien był ustanowić swego substytuta, czyli podstarostę. Szlachta więc okoliczna, nie mając w miejscu nieodzownej a prawnie należnej tam juryzdykcyi, narzeka słusznie, i niema żadnej zasady, na którejby w takich warunkach uspokoić ją można.

Po objęciu władzy przez carową Katarzynę, gdy ukaz cara Piotra I., dozwalający panującemu wedle swej woli naznaczać następcę, trwał w całej mocy, rzeczą było niewątpliwą, że carowa przeznaczy tron po sobie jednej z córek własnych, Annie lub Elżbiecie, z pominięciem małoletniego naówczas jeszcze Piotra, wnuka mężowskiego po pierwszej żonie Łopuchinównie, urodzonego z syna Aleksego i księżniczki brunszwickiej. Karol VI., cesarz niemiecki, spowinowacony przez żonę z tymże domem

brunszwickim, przewidując ten obrót rzeczy, a chcąc utrzymać na tronie rosyjskim małoletniego Piotra, jako krewnego, wysłał w tym celu natychmiast w początku jeszcze 1725 roku do Petersburga, jako posła, bardzo zręcznego dyplomatę, także nieco z książęcym brunszwickim domem spokrewnionego, Amadeusza hrabiego de Rabutin. Miał on od cesarza obszerne pełnomocnictwo, a wiedząc, że carowa Katarzyna jest pod zupełnym wpływem Menszykowa, który wszystkiem rządził, przystąpił wnet do układów. Za skłonienie przeto carowej do naznaczenia Piotra następcą tronu po sobie, zapewnił feldmarszałkowi w imieniu cesarza, że do posiadanego tytułu księcia państwa rzymskiego otrzyma pewne dobra w Niemczech, i prawo zasiadania i głosu w sejmie Rzeszy niemieckiej, nadto zaś zaprojektował, żeby Menszyków starał się ożenić przyszłego cara Piotra II. z córką swoją Maryą, czemu cesarz nietylko się nie sprzeciwi, ale całą powagą swoją zamiar ten popierać przyrzeka. Tak świetne plany nie mogły się niepodobać Menszykowowi; dla poparcia ich pozyskano jeszcze sporą sumą pieniężną ulubienicę carowej, pannę Kramer; ale cóż było przedsięwziąć z Sapiehami, którzy już na rzecz posagu księżniczki wybrali znaczne sumy, a starosta zdzitowski, Piotr Sapieha, solennie i publicznie wobec całego świata z córką feldmarszałka był zaręczony?

Bystry dowcip Menszykowa potrafił i temu zaradzić.

Nie będziemy tu powtarzali bardzo licznych nieoficyalnych i oficyalnych genealogij carowej Katarzyny I-szej; rzeczą jest niewątpliwą, że pochodziła z prostego ludu i posiadała dość liczną rodzinę, o której długo nic nie wiedziano. Przypadkiem podobno odnaleziono siostry jej i braci. Gdy jednego z nich najpierwej stawiono przed carem Piotrem, a żona niezmiernie tem była zmieszana i zawstydzona, imperator, jako człowiek niezaprzeczenie wyższego umysłu, oświadczył carowej, że choć ten brat jest w sukmanie, nic to ani jej ani jemu ubliżać nie może; kazał się w obecności swojej rodzeństwu uściskać i zapewnił, że jeśli ten brat jest rozumnym i uczciwym, potrafi z niego zrobić człowieka. Odnaleziono wreszcie całą rodzinę, którą car Piotr uposażył hojnie, i zajęto się ich ogładzeniem;

ze starszem pokoleniem nie dało się wiele zrobić, ale Karol, brat carowej, miał trzy córki, które otrzymały wychowanie staranne, z tych w czasach późniejszych Katarzyna wyszła za Korffa, Anna za Woroncowa; najstarszą zaś Zofię, która była najpiękniejsza, a posiadała przytem i bystry umysł i zdolności, zaraz z początku carowa Katarzyna szczególnie sobie upodobawszy, wzięła na swój dwór, otoczyła macierzyńską opieką, odpowiedniemi jako dla synowicy swej honorami i zajęła się najstaranniejszem jej wychowaniem [1].

W chwili, gdy zrodził się zamiar zapewnienia małoletniemu naówczas Piotrowi tronu po Katarzynie i ożenienia go z Maryą Menszykowówną, Zofia, synowica Katarzyny, była młodziuchną, również jak i córka feldmarszałka, dziewczyną, i edukacya jej dopiero się rozpoczynała, ale carowa Katarzyna zawczasu już przemyśliwała o jak najświetniejszem wydaniu jej zamąż.

Skorzystał z tego zręczny feldmarszałek i przedstawił carowej, że gdy córka jego ma być przeznaczoną dla Piotra, zaręczonemu z nią Sapieże możnaby dać za żonę Zofię, synowicę carowej, że Sapiehowie za powiększeniem jeszcze pewnemi dobrami posagu, oraz z uwagi połączenia się z domem cesarskim, zapewne na ten układ się zgodzą, dla carowej zaś, koligacya jej rodziny z tak znakomitym i starożytnym domem książąt Sapiehów niemały splendor przyniesie.

Carowej projekt ten podobał się bardzo; starania i dyplomatyczne rokowania hrabiego de Rabutin najświetniejszym uwieńczone zostały skutkiem; Katarzyna podpisała manifest, ogłaszający Piotra II. następcą, przyczem przeznaczyła mu za dojściem do lat na żonę Maryę, córkę feldmarszałka Menszykowa. Pozostawały jedynie do załatwienia układy z Sapiehami o zamianę narzeczonej.

Na szczęście, bawił właśnie naówczas w Petersburgu Jerzy Sapieha, starosta wilkowski, rodzony brat starosty bobrujskiego;

---

[1] Po śmierci Piotra I. carowa Katarzyna wydała ukaz, zabraniający cokolwiekbądź mówić o pochodzeniu jej rodziny, pod karą śmierci. (Rigascher, „Almanach“ 1887).

rozstawioną też umyślną pocztą między Kossowem (w Słonimskiem), rezydencyą Sapiehy, a Petersburgiem, przebiegały gęste listy i depesze. Z tego czasu znajdujemy w papierach pismo starosty wilkowskiego do brata, jak się zdaje sekretne, a nawet po niemiecku skreślone, niewyraźnie, haniebnym językiem i pisownią, którego treść, o ile dało się odczytać, podajemy.

Jerzy Sapieha donosi więc naprzód, że alians z cesarzem niemieckim zdaje się, iż nie przyjdzie do skutku, utrzyma się jednak wszystko to, co się z hrabią Rabutin'em ułożyło.

Dobre stosunki z dworem francuskim będą odnowione, względem czego posłany będzie rozkaz do księcia Kurakina [1], aby się starał, żeby przysłany był „t e n ż e s a m“ Campredon [2] lub zresztą kto inny, o czem w swoim czasie JW. Hetmanowi (starosty bobrujskiego dawny tytuł) doniesie JW. Tarło albo JW. Molski [3]. Następnie zamieszcza starosta wilkowski bardzo ciekawe niektóre szczegóły z konferencyi sekretnej, jaką miał książę Maurycy Saski z księciem Menszykowem.

Pytał więc naprzód książę Saski, czyby nie mógł Menszyków wyrobić u Jej Ces. Mości, aby on (Maurycy) nie miał z jej strony przeszkody w objęciu w swoje posiadanie Kurlandyi i Żmudzi, za co w rekompensę Menszyków dostałby Budziszyn i Białoruś. Na to spytał feldmarszałek, co kto więcej ma dostać? Książę Maurycy odpowiedział, że Pociej dostałby Litwę, a resztę król (August II.) zatrzymałby dla siebie.

Tu zrobił uwagę Menszyków, co na to powie cesarz niemiecki, Turcya i król pruski? Książę Maurycy odrzekł, że cesarz niemiecki całkiem jest im oddany, Turcya zajęta wojną z Persyą i protekcya jej niewiele warta, co zaś się tyczy króla pruskiego, ten poprzestanie na Prusach i Warmii. Wysłuchawszy tego, książę Menszyków odparł, że wszystko to do skutku przyjść nie może, ponieważ sprzeciwiałoby się planom i ustawom nieboszczyka cara

[1] Ambasadora w Paryżu.

[2] Campredon, poseł francuski przy dworze szwedzkim a potem rosyjskim, pośredniczył w układach ze Szwecyą przy traktacie alandzkim. *(P. A.)*.

[3] Benedykt Jan Molski, surrogator wojew. wileńskiego. *(P. A.)*.

Piotra, a Rosya w żadnym razie Polski opuścić nie może; nadto zaś, pewnem jest, iż Maurycy księciem kurlandzkim nigdy zostać nie może. Na tem się konferencya skończyła, ale Maurycy prosił, aby ją Menszyków zachował w największym sekrecie.

Wreszcie, kończy starosta wilkowski, zdaje się, że carowa wkrótce wyda manifest, w którym wszystkie te projekta przywiedzione zostaną; tymczasem zaś ze zbliżającym się sejmem trzeba się starać o takich przyjaciół, którzyby całą siłą popierali sprawy ojczyzny i na którychby bezwarunkowo rachować można.

Wiadome są następstwa tej sprawy; książę Maurycy, nie zrażony niepowodzeniem u dworu petersburskiego, podążył do Kurlandyi w asystencyi wojsk saskich oraz Lud. Pocieja, hetm. W. Ks. L., z jego chorągwiami; Kurlandczycy obrali go księciem, ale następnego roku 1726, na sejmie grodzieńskim w jesieni, taką burzę podniosła szlachta, że sam król August II., który syna popierał, zmuszony był kazać mu z Kurlandyi ustąpić. Wybór istotnie był nieprawny, lubo Maurycy obiecywał się ożenić z księżną Anną, wdową po księciu kurlandzkim, która rezydowała w Mitawie; rzeczywiście jednak prawym księciem kurlandzkim, po bracie, był stary i bezdzietny książę Ferdynand, mieszkający w Gdańsku, na którego po bracie księstwo spadało, po jego zaś śmierci, jako ostatniego z domu Ketlerów, wedle paktów zygmuntowskich z 1561 roku, Kurlandya winna była wejść w ogólny skład Rzeczypospolitej.

Niemniej ten list starosty wilkowskiego ciekawy jest i ważny, naprzód dlatego, że w zupełności utwierdza przypisywane Augustowi II. dążności do rozczłonkowania i podziału Polski; powtóre, że wykazuje jasno nieznane do tej pory pobudki, które skłaniały hetmana Pocieja do najsilniejszego, na swoją rękę, popierania księcia Maurycego Saskiego.

Niemniej ciekawe jest tu i zachowanie się Menszykowa, który później jeszcze w 1727 roku, wichrzącemu w Kurlandyi Maurycemu, gdyby nie ustąpił, zagroził „d a l e k ą p o d r ó ż ą“ i na poparcie tej obietnicy wysłał do Kurlandyi jenerała Lascy w 1200 ludzi; później zaś, gdy zjechała tam komisya polska

z biskupem Szembekiem na czele dla unieważnienia wyboru księcia Maurycego i dla oficyalnego objęcia Kurlandyi w posiadanie Rzeczypospolitej — Menszyków wojskom swoim najspokojniej ustąpić kazał [1].

Tymczasem układy o małżeństwo synowicy carowej ze starostą zdzitowskim szły dość opornie i powoli; dwór rosyjski w tym razie trudniejsze miał zadanie niż Sapiehowie, którzy wziąwszy już i znaczne pieniądze i piśmienne przyrzeczenia, korzystając z tego składu rzeczy, stawili większe wymagania. Układy wreszcie dochodziły do skutku, carowa ozdobiła przyszłego małżonka swej synowicy orderami, mianowała go kapitanem gwardyi i kamerherem; spodziewano się, że ślub nastąpi w jesieni 1727 r.— gdy niespodziewanie w maju carowa Katarzyna zakończyła życie.

Nowe więc wyniknęły opóźnienia i trudności.

Na tron wstąpił Piotr II., małoletni, mając lat dwanaście; zwierzchniczą tajną radę [2] przyboczną z Menszykowem na czele, składało przy nim sześciu członków: książę Holstejn (wuj młodego cara), Apraxin, Gołowkin, Ostermann, znakomity dyplomata, Tołstoj i Golicyn.

Sapiehowie przy tej nowej zmianie chcieli już sprawę jak najprędzej doprowadzić do skutku, mieli w tem, jak następstwa okazały, bardzo szczęśliwe przeczucie.

Natychmiast przeto starosta bobrujski podaje petycyę do cara Piotra II., której egzemplarz oryginalny, napisany po rusku, znajdujemy w papierach wraz ze współczesnem tłumaczeniem polskiem jak następuje:

„Najjaśniejszy Dzierżawniejszy Imperator Najmiłosciwiejszyj Hosudar.

„Waszemu Wieliczestwu wiadomo, że JO. X. Marya Alexandrówna Menszykówna zaręczona była w małżeństwo synowi mojemu a potem za wolą Św. Pam. Imperatorowej JMCi ten kontrakt kazano odmienić a w małżeństwo wstąpić z synowicą Im-

[1] Szujski, „Dzieje". T. IV., f. 282.

[2] *Tajnyj wierchownyj sowiet. (P. A.).*

peratorowej JMCi, Grafówną Zofją Karłówną[1] *cum declaratione* tegoż samego posagu w gotowej summie i przytem niektórych majętności jak w Rosyi tak i w Liwonii leżących. Lecz za krótkiem panowaniem Imperatorowej JMCi wyż pomienionych kontraktów do skutku nie przyprowadzono, a między tem Wasze Imperatorskie Wieliczestwo wyż pomienioną JO. Księżniczkę Jejmość w małżeństwo sobie obrać i zaręczyć raczył, i dlatego najuniżeniej Waszej Imperatorskiej Mości proszę:

„1) Postanowione kontrakty między JOświeconymi Księstwem JMCiami i mną odmienić na imię tej Grafówny Zofii Karłówny z rodzicielami Jej.

„2) A przy tem Najj. Waszego Imp. Wieliczestwa najuniżeniej upraszam, aby *secundum virtutem* woli Św. Pam. Imperatorowej IMCi, wyż pomieniony posag w gotowej summie był oddany, do której 400,000 od JO. Xiążęcia JMCi Menszyka przedtem odebranych reszta onej jeszcze 300,000 synowi mojemu należy.

„3) Deklarowane mnie majętności, mianowicie włość Korostyńska z przynależącemi do onej sioły i wsiami w tąż i majętność po nieboszczyku Generale Ałardzie[2] w Liwonii leżąca niedaleko od miasta Wyborcha (Wyborg), która jak się nazywa nie jestem świadom, ale Generał Major Pan Szuwałow da o tem informacyą, najpokorniej proszę, aby najmiłościwiejszym Waszego Imp. Wieliczestwa ukazem synowi mojemu oddane były; a kiedy syn mój zechce do Polski wrócić się, żeby jemu wolno było z Rosyi wyjechać przedawszy te swoje majętności.

„4) Pomieniony posag po Grafównie Zofii Karłównie dany, jeśliby umarła bezpotomnie aby nazad nie wracał, lecz zostawał przy moim synie.

„5) Nowy marjażu kontrakt najuniżeniej proszę (aby) własną ręką Wasze Imperatorskie Wieliczestwo utwierdzić raczył w tąż z podpisem wszystkiego werchownego tajnego sowietu.

„Najmiłościwiejszy Hosudaru, proszę Waszego Najjaśniej-

---

[1] Zwraca się uwagę, że Sapieha nazwiska synowicy carowej nie wymienia w tym dokumencie, z racyi, którą niżej wykażemy. *(P. A.)*.

[2] Jen. Hallart odznaczył się w wojnie ze Szwecyą za Piotra I. *(P. A.)*.

szego Imperatorskiego Wieliczestwa o tem najmiłościwiejszą uczynić rezolucyą.

„Czerwiec 1727".

Na oryginale rosyjskim wypisano też po rusku tytuł: Generał Feldmarszał (dawne dostojeństwo hetmana), niżej własną ręką podpis starosty bobrujskiego po polsku.

Zdawałoby się, że przy wszechwładzy, jaką piastował natenczas Menszyków, doprowadzenie do końca sprawy Sapiehów, która obchodziła i jego, powinnoby było nastąpić niezwłocznie; okazało się jednak, że znalazła się przeszkoda, narażająca na nową zwłokę. Trudność, jak wnosić można, pochodziła z żądania przez Sapiehów postawionego, otrzymania owych, w petycyi wyrażonych dóbr koło Wyborga leżących, po jenerale Hallarcie, których zapewne pożądał ktoś inny, ostatecznie bowiem Sapiehowie ich nie dostali, coby bez wątpienia nastąpiło, gdyby to zależało od samego tylko Menszykowa.

Sprawa więc cała przeciągnęła się dalej, aż nadeszła wreszcie fatalna i nieprzewidziana zgoła nowa jeszcze katastrofa.

W tajnej zwierzchnej radzie przybocznej młodego cara, jak wspomnieliśmy wyżej, przewodniczył Menszyków; *de facto* był on więc najwyższą władzą w państwie; on rządził wszystkiem, i gdyby sprawy szły dalej wedle ułożonych projektów a car Piotr II. córkę jego poślubił, feldmarszałek i do końca życia najwyższą władzę piastowałby był w swoim ręku. Nie mogło się to podobać współtowarzyszom jego, zasiadającym w najwyższej radzie. Ostermann, wielki polityk i dyplomata, zawsze niby stękający i chory, skromny i uniżony, ułożył całą intrygę z największą zręcznością; za pośrednictwem ulubionego towarzysza Piotra II., młodego Iwana Dołhorukowa, namówiono małoletniego monarchę do pozbycia się przewodzącego nad nim opiekuna; car Piotr II. podpisał dekret, skazujący Menszykowa na usunięcie się od zarządu, odebranie wszelkich dóbr i dostojeństw i banicyę do Saratowa. Nastąpiło to we wrześniu; wywieziono feldmarszałka na miejsce przeznaczone, na wygnanie, dokąd też i córka towarzyszyć ojcu musiała.

W sprawie Sapiehów nastąpił zwrot stanowczy, musieli oni

jednak posiadać w stolicy przyjaciół, zresztą odstępowali już nawet od wielu wymagań, byle się pożądanego końca doczekać. Ostateczne układy i kontrakt ślubny stanęły wreszcie w grudniu tegoż 1727 roku; nim treść ich jednak w skróceniu podamy, musimy tu pierwej objaśnić wielce ciekawą sprawę nazwiska nowej starosty zdzitowskiego narzeczonej.

Herbarze i genealogie sapieżyńskie stale ją nazywają Skowrońską, gdyż urzędownie takie ostatecznie przyjęła nazwisko; rozliczne jednak podania o rodzinie carowej Katarzyny I. rozmaite w istocie przytaczają nazwiska, mianowicie: Skoworotski, Skoworodowski i wreszcie Skowroński [1]. Rzecz trudna byłaby do wyjaśnienia, gdyby niejakiego światła nie rzucały tu nasze dokumenta do sprawy tej należące; rozpatrzywszy się bowiem w nich uważnie, same z siebie nasuwają się wnioski, które te zmiany nazwisk tłumaczą.

W pierwszem podaniu do carowej Katarzyny, Jan Sapieha, starosta bobrujski, nazywa przyszłą narzeczoną swego syna Piotra po prostu tylko Zofią Karłówną — jak na to zwróciliśmy wyżej uwagę — bez żadnego nazwiska.

Gdy przyszło do spisania kontraktu ślubnego za Piotra II. już po upadku Menszykowa, znajdujemy w archiwach naszych tych kontraktów dwa; oba pisane kirylicą po rusku na pięknym papierze i starannie kaligrafowane, oba wzmiankują, że się piszą w dzień ślubu. Na pierwszym wszelako jest tylko postawiona data roku, dnia niema i — podpisów żadnych; oczywiście kontrakt ten był odrzucony — w nim też narzeczona Sapiehy wszędzie nazywaną jest Zofia Karłówna Skoworodowska. Drugi kontrakt, również starannie napisany, nosi już i datę dnia i roku (30 grudnia 1727 st. st.) oraz oryginalne podpisy głównych osób z tajnej zwierzchnej rady carskiej, mianowicie podpisali się: generał admirał Apraxin, książę Dimitri Golicyn i Andrej Ostermann; w dokumencie tym przyszła żona starosty nazywa się już wszędzie Zofia Karłówna Skowrońska.

[1] *Die Geschwister der Kaiserin Katarina I.* Rigascher, „Almanach“ 1887. *(P. A.).*

Kontrakt ten został ostatecznie przez obie strony uznany za dobry, przyjęty i podpisany.

Widoczną jest stąd rzeczą, że przy urzędowem spisywaniu kontraktu ślubnego zaszła dopiero nagle prawie, ostateczna zmiana nazwiska, które się zapewne Sapiehom niezbyt podobało; wyszukano więc inne, czysto szlacheckie, nieco podobne, aby odmiana nie była zbyt rażącą.

Dodamy tu jeszcze, że na Litwie i Rusi do dziś dnia bardzo często spotykać się daje u ludu nazwisko Skowrotko, stąd bez wątpienia ukuto naprędce Skoworotski, przekształcono później na nieco niby lepiej brzmiące Skoworodowski, aż nareszcie stanęło na nazwisku Skowroński.

Tak doszedł nareszcie do skutku ślub Piotra Sapiehy, starosty zdzitowskiego, a późniejszego wojewody smoleńskiego, syna Jana, eks-hetmana, starosty bobrujskiego. Starosta zdzitowski wziął w posagu gotówką złp. 700.000, oraz tak zwaną włość Korostyńską z folwarkami i wsiami, położoną w nowogrodzkim powiecie, między Pskowem a Petersburgiem, z warunkiem jednak, że gdyby żona zeszła ze świata bezdzietnie, dobra te powrócić mają do korony. Piotr Sapieha zostawił ze Skowrońskiej jedynego syna Jana, starostę sokołowskiego, o którym pisaliśmy w innem miejscu [1]. Po śmierci Zofii Skowrońskiej pojął Piotr Sapieha w powtórne małżeństwo Joannę Sułkowską, łowczankę koronną, ale z nią potomstwa nie miał; umarł w styczniu 1771 r., jako gorliwy stronnik Konfederacyi Barskiej, wybrawszy się z Koźmina do generalności, na Węgry.

Wspomnimy na zakończenie, że córka Menszykowa, Marya, narzeczona Sapiehy a następnie cara Piotra II., która towarzyszyła ojcu na wygnanie, zmarła w Saratowie następnego, 1728 roku, mając zaledwie rok ośmnasty.

Kajetan Kraszewski.

[1] „Kościuszkowie". *Kłosy*, 1881 r., nr. 810—811, styczeń.

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ.

II.

Małżeńskie pożycie i powołanie zakonne.

Ledwie parę tygodni upłynęło od powrotu Karola do domu, a już i matka i krewni swatać go poczęli z młodziutką kuzynką, panną J... Karolowi panna, bardzo podobno i miła i dobra, podobała się, oświadczył się i został przyjęty. W dniu wyznaczonym na uroczyste zaręczyny, siedzieli przyszli narzeczeni obok siebie przy obiedzie i wesoło rozmawiali, kiedy nagle panna J... zwraca się do sąsiada i mówi do niego pół-żartem, pół-seryo: „Ja twojej mamy nigdy tak nie potrafię kochać, jak mojej". Czy słowa te bardzo w tej chwili były na miejscu, czy nie zbytnia to była i niekoniecznie racyonalna szczerość? Niejedno dałoby się może o tem powiedzieć; w każdym razie biedaczce przez myśl nawet pewnie nie przeszło, aby żartobliwe jej wyznanie doprowadzić miało nie już do zerwania upragnionego przez obie rodziny związku, ale choćby tylko do jakiej chwilowej, mniej miłej sceny. Tymczasem Karol, fanatycznie niemal do matki przywiązany, i jak mu się w chwilowej egzaltacyi wydawało, zadraśnięty w najgłębszych i najdroższych swych uczuciach, wstał od stołu i rzuciwszy pannie zdziwionej, nie rozumiejącej co się stało i w czem zawiniła, lakoniczne pożegnanie: „Kiedy tak, to między nami wszystko skończone!" — wsiadł na bryczkę, odjechał i więcej nie wrócił.

Pierwsze swaty stanowczo się nie udały. „Nie ta widać żona, pocieszała się strapiona matka, synowi memu od Boga przeznaczona“ — i znów otuchy nie tracąc, rozglądać się poczęła za przyszłą synową po sąsiedzkich, po pokrewnych domach. Niedługo rozglądać i troszczyć się potrzebowała, wobec nowego, i tym razem zbyt bodaj nagłego postanowienia Karola. Piękne, ale niedość spokojne i rozumem umiarkowane uczucie, które młodego poetę odprowadziło dopiero co od samych prawie stóp ołtarza, teraz go do nich doprowadzić miało. Bawiąc w domu rodzonego swego wuja Ignacego Nikorowicza, spostrzegł, że córka jego najstarsza Zosia bardzo smutna; baczniej ją śledząc, nietrudno mu było dostrzedz bardzo jeszcze widoczne ślady świeżo przelanych łez. Czułemu Karolowi serce się ścisnęło; rozumiał on dobrze przyczynę tych łez, wiedział, że wujeczna jego siostra matkę w dzieciństwie straciła, a do macochy przyzwyczaić się nie może; nietrudno mu się było dowiedzieć, że ojciec idąc za namowami żony, znagla ją do oddania ręki człowiekowi, dla którego nie miała ani szacunku, ani przywiązania. Chodziło tu widocznie nie o co innego, jak o najszybsze pozbycie się dorosłej już panny, której sama obecność stała na zawadzie do spełnienia matrymonialnych planów, odnoszących się do również podrastającej już córki pani domu z pierwszego jej małżeństwa. Jak pokrzyżować te plany dla Zosi tak wstrętne? „Spuść się na mnie“, woła Karol, któremu nagle oryginalna jakaś myśl zabłysła; idzie wprost do wuja, wręcz prosi go dla siebie samego o rękę Zofii, i bez trudności ją otrzymuje. W gruncie rzeczy nie myślał w tej chwili bynajmniej o związaniu się z kuzynką węzłem małżeńskim; do tego tylko wyłącznie dążył, aby na czasie zyskać, niemiłego konkurenta z drogi usunąć, a jeśli i skoro się da, innego odpowiedniejszego i milszego na miejsce jego podsunąć. Z tryumfem też opowiedział matce o użytym przez siebie fortelu; zapytał o radę, z kim najwłaściwiej możnaby Zosię wyswatać?

— Z nikim innym, jak tylko z sobą samym — odparła poważnie matka, której uczucia i zasady niemile dotknął trochę, co prawda, studencki figiél syna; — coś zaczął, skończyć powinieneś, za święta to sprawa, aby z niej żartować sobie można.

W ten sposób, sam nie zdając sobie dokładnie sprawy, kiedy i jak, został Karol narzeczonym swej kuzynki, a następnie, otrzymawszy z Rzymu dyspensę, niezbędną w tak bliskim stopniu pokrewieństwa, stanął z nią na kobiercu ślubnym. Uroczysty akt ślubu odbył się w dworskiej kaplicy w Zboiskach, wsi należącej do ojca panny młodej, w ostatnich dniach karnawału 1832 r. Uczucia, które w chwili tej, na życie całe w następstwa brzemiennej, odzywały się i przejmowały serce Karola, skreślił w paru rysach sam, gdy w 18 lat później przyszło mu pobłogosławić po pierwszy raz w kapłańskim swym zawodzie młodej parze nowożeńców:

„Pierwszy raz w życiu błogosławiłem małżeństwo. I tak mi żywo stanęła przed oczyma duszy ta chwila, gdym w całej sile młodości — bom miał wtedy lat 25, niedawno z polskiej wróciwszy wyprawy — z sercem pełnem nadziei, miłości i upojenia, klęczał obok Zosi u stóp ołtarza. Ośmnaście lat odtąd minęło i przeszedłem przez wszystkie koleje życia zewnętrznego, wewnętrznego; przez wszystkie radości i boleści, jakie świat dać może... Wszystkie widoki, plany, zamiary na przyszłość Bóg pomieszał, starł, zniweczył. A za to i za wszystko Jemu niech będą dzięki, cześć i chwała!“

Tymczasem, nie mogąc na szczęście w zasianą tylu różnorodnemi boleściami przyszłość zaglądać, spędziło młode małżeństwo w milszej teraz i weselszej niż kiedykolwiek Skwarzawie spokojne, prawdziwie miodowe miesiące. Pierwsze to lato mieszkała z dziećmi matka Karola i wtajemniczała synowę w obowiązki pani domu, w jawne i ukryte sprężyny wiejskiego gospodarstwa; pod jesień pożegnała Skwarzawę i przeniosła się na stały pobyt do klasztoru ormiańskich Benedyktynek we Lwowie. Tu w skromnej klasztornej celce, żadnemi ślubami ani szczególnemi obowiązkami nie związana, ale zresztą nie różniąc się niemal w niczem od innych zakonnic, przepędziła lat kilka, które Bóg jej jeszcze na tej ziemi zostawił. Karol z żoną zaglądali raz po raz do tej celki, pytali o radę, prosili o modlitwę, o słowo pociechy w ciężkich przejściach, któremi Bóg ich próbował. Zresztą harmonijnie ze sobą łączące się: modlitwa i ręczna praca

wypełniały czas czcigodnej matrony; czas Bogiem zajęty, Bogu poświęcony.

Czasem znowu, „w znak wdzięczności i przywiązania dla najlepszej matki", szły ze Skwarzawy do Lwowa rzewne wiersze, w których Karol otwierał naoścież swe serce, wtajemniczał matkę w najgłębsze, najskrytsze uczucia. Wiersze te zebrane pod ogólnym tytułem: „Listki palmowe" [1], są jednym płomieniejącym hymnem miłości Boga, a w Bogu i dla Boga, ludzi; nie bez słusznej racyi opatrzył je poeta wspólnem *motto*, wyjętem z pism św. Teresy: „Biedne moje serce bez miłości żyć nie może". W pierwszym wierszu stawia jakby program całego cyklu, jakby streszczenie wszystkich następnych próśb:

Boże litości,
Promień miłości
Wlej w serce skrycie!
Tyś mi dał duszę,
Nią kochać muszę,
Kochać nad życie.

Rozumiejąc dobrze, czem jest świat, czem życie; stęskniony do Boga, do nieba, pyta:

Czegóż się smuci dusza znękana,
Czegóż przyszłości się boi?
Żyjesz, a życie to wielka rana,
Którą śmierć tylko zagoi!

Następny wiersz, widocznie wynik długich dumań i rozmyślań, odzwierciedla głęboko a prawdziwie poetycznie pytania, które stawały w tym czasie przed okiem filozofa-poety, odpowiedzi, jakie im dawał; maluje cały stosunek stworzenia do Stwórcy:

Stałem na wzgórzu, noc była w dolinie,
Ostatni promyk słońca w chmurach ginął,

[1] Krakowski wydawca poezyj ks. Antoniewicza (z 1861 r.) skarży się, że mimo usilnych starań nie mógł wydanych podobno w 1834 roku „Listków palmowych" odszukać. Tem bardziej dzisiaj są one mitem, który nawet dla bibliografów nie przestaje być przynajmniej pół-mitem; a szkoda to prawdziwa, bo równie treścią, jak formą zasługują ze wszech miar na rozpowszechnienie.

A jak po modrych falach łódka płynie,
Księżyc bladawy po błękicie płynął.
Ale w mej duszy poranek zawitał,
Gdym w czysty nieba błękit rzucił oko,
Kiedym się duszą jasnych gwiazd zapytał,
I kiedym myślą w księżyc wmknął głęboko.
Któż was zapalił jaskrawe pochodnie?
Któż was na czysty błękit nieba rzucił?
Któż kazał wiekom przyświecać swobodnie?
I któż was światy do bytu ocucił?
Milczały gwiazdy, milczał księżyc blady,
A anioł wiary w mą duszę zadzwonił,
Anioł miłości wskazał Boga ślady,
Anioł nadziei przyszłość mi odsłonił.
Fala jęknęła i wiater zaszumiał,
A księżyc z bladej chmury mię przywitał:
Jam ten jęk fali, szum wiatru zrozumiał,
I w przyrodzeniam wielkiej księdze czytał...

Ciężko, straszno, smutno nieraz, ale wierz tylko, ufaj, miłuj:

Szybko, żwawo rób wiosłami!
Choć grzmi niebo, szumi morze,
Niech łódź groźne fale porze,
Ty się nie bój, bo Bóg z nami!...
Oko, serce zwróć do nieba,
Trzymaj wiosło w silnej dłoni,
Bóg od zguby cię ochroni,
Ale w Bogu ufać trzeba!

Ufać, patrzeć w krzyż, gdzie „wiecznej prawdy światło błyska“, i kochać, przedewszystkiem kochać:

Miłosc twoje łzy osuszy,
Miłość rany twe zagoi,
Miłość wróci pokój duszy,
Miłość świata złość rozbroi,
Miłość w bliźnim wskaże brata,
Miłość w sercu litość wzbudzi,
Miłość wskaże nicość świata,
Miłość wskaże godność ludzi...
Kiedy niebo się zachmurzy,
Gdy cię cały świat porzuci,
Miłość w pośród grzmotów, burzy
Pieśń nadziei ci zanuci!

Wielkie te chrześcijańskie zasady, opiewane przez poetę w życiu praktycznem spotykały jeszcze niejedną zaporę, i zwolna

tylko, stopniowo z pączka marzeń w kwiaty uczuć, w owoce czynów, rozwijały się. Młode małżeństwo, „mój anioł i ja“, jak kochający małżonek zwykł był się nieraz pieszczotliwie wyrażać, odmienne dość miało usposobienie, różne charaktery. Karol gorący, żywy, patrzał na świat przez pryzmat poezyi. Kiedy trzeba było spokojnie z kredką w ręku obliczać możliwe zyski i niedobory; zadysponować po prostu i stanowczo, kiedy i wielu ludzi wysłać w pole, czy i które budynki gospodarskie potrzebują naprawy; było mu jakoś nieswojsko, nie czuł się zupełnie pewnym na tym gruncie; nie wiedział jak przystosować praktyczne te pytania do wielkich zagadnień, wspaniałych obrazów, które do umysłu, wyobraźni natarczywie się cisnęły. Podobnież w kościele, lub przy rannej i wieczornej modlitwie stawał na drodze poetyczny chochlik i wziąwszy się pod ręce z nieco zabawną, nieco czasami burszowsko-wiedeńskim smakiem zaprawną, w każdym razie bardzo młodzieńczą fanfaronadą, odciągał od dłuższej, a zwłaszcza od głębszej i zupełnie szczerej rozmowy i z Bogiem i z własną duszą. Żyzna to była rola, ale jeszcze nie obrobiona; każde nasienie, które padło, bujnie rozrastało się: przeważały piękne, zdrowem ziarnem obciążone kłosy, ale gnieździło się wśród nich i trochę chwastu i dużo miłych może oku przechodnia, mniej miłych oku gospodarza, całe łany zaścielających kwiatów, kwiateczków.

Inną była Zofia, i to nie wtedy dopiero, gdy Bóg boleścią i cierpieniami wszelkie chwasty z duszy wyplenił, uszlachetnił i ku sobie podniósł, jak w ciężkiej szkole krzyża uszlachetnił i podniósł duszę Karola; ale od pierwszej chwili wspólnego pożycia była praktyczna, spokojna, po prostu i po dziecinnemu pobożna. Sam Karol tak później w poufnym pamiętniku portret jej szkicował; tak ze wzruszeniem opowiadał o świątobliwem jej życiu, wspólnie spędzonych latach, o zbawiennym wpływie, jaki nań wywierała[1]:

[1] Pamiętnik spisany na usilne prośby i dla księżnej Leonowej Sapieżyny. Nosi datę: Freywaldau 26 września 1848. (Por. „Pokłosie“. Poznań. Rok VI. 1862).

„Życie Zofii jak mały strumyczek przepłynęło i znikło, ale w tym strumyku były na dnie złote ziarnka, o których Bóg tylko wiedział; ale ten strumyk po ostrych płynął cierniach i kamykach i dlatego fale jego były tak czyste i odbijały pogodny błękit nieba... Powiem o niej, co powiedzieć wydołam, mało i oschle... Mało jest takich, którzy pojąwszy znaczenie i istotę przykazania miłości, zastosowali je praktycznie i jakoby wcielili w cały żywot swój. Do tej małej liczby, zdaje mi się, że śmiało Zofię policzyć mogę. Kochała Boga, nie tą, według marzeń serca urojoną, ale tą według woli Boga objawioną miłością, — miłością, jaką On chce, abyśmy Go kochali. Życie jej było tak ciche, łagodne, ukryte! Od kolebki do grobu krótką, ale bolesną przebiegła drogę; miłość Boga nigdy od niej nie odstąpiła, bo nie przy niej, ale w niej była. Jako kwiateczek polny u stóp krzyża zakwitła, zwiędniała, opadła; jak ta lampka przed Przenajświętszym Sakramentem zabłysła i zgasła!... O jak to łatwo opisywać życie czynu, jak ciężko życie czucia!...

„Milę od miasta obwodowego Żółkwi, które tyle świętych, rzewnych błogosławionej naszej przeszłości przechowuje pamiątek... leży wieś Skwarzawa... O wiosko, tak droga sercu memu, twój obraz wyciśnięty na duszy nigdy w pamięci mojej nie zaginie. Tyś była pierwszym świadkiem szczęścia mego; tyś była świadkiem łez moich... Szeroka i długa z cienistych modrzewiów ulica, ręką własną dobrej mej matki zasadzona, prowadzi do obszernego, w pięknym smaku zbudowanego dworu. W tym to dworze żyła, kochała, pracowała i cierpiała Zofia przez lat siedm! Przez lat siedm były te mury świadkami wszystkich cnót jej i tego dobroczynnego, katolickiego wpływu, który wywierała wokoło; ale Bóg jeden był świadkiem, z jak czystej, Jego tylko szukającej duszy, wypływały te cnoty. Poznała ona powołanie i obowiązek kobiety... Łącząc pokorę, posłuszeństwo i uległość z tęgością, wytrwałością i hartem duszy — cierpiała wiele, ale nikomu do cierpienia nie dała przyczyny... I to, co wedle sądu wielu osób, zdawało się nieczułością i obojętnością, było nagrodą niemałej pracy nad sobą i długiej walki; a mając tak w mocy serce własne, Bogu je w ofierze oddała,

zdobiąc je codziennie w nowe cnoty i poświęcenia... Lubiła żyć ukrytą, nie stroniąc jednak nigdy od ludzi; chciała być zapoznaną, zapomnianą, nie wymawiając się jednak od żadnego dobrego uczynku, od żadnej miłosiernej wysługi... Czyniła wszystko bez tej skwapliwości, gwałtowności, która nieraz psuje najlepsze dzieła i zamiary; pokój serca i rozwaga rozumu nigdy jej nie odstępowały, a świat to, co było skutkiem zwycięstwa długą walką i modlitwą wywalczonego — o jak często zupełnie opacznie sądził i potępiał!...

„Skrzętna Marta w zarządzie domowym, pospieszała w każdej wolnej chwileczce do stóp Zbawiciela, aby stać się Maryą. Z równą gotowością i uprzejmością porzucała to miejsce u podnóżka Pana i Boga swego, gdy ją obowiązek, albo jaki miłosierny uczynek powoływał gdzieindziej... Niczego innego nie żądała i o to jedynie prosiła Boga, aby ją nauczył niczego nie żądać, jak tylko spełnienia woli Jego we wszystkiem i we wszystkich. Obumierała codziennie sobie; codziennie więcej rozwijało się życie jej duszy. Ale w tych przejściach nie było nic rażącego, dziwacznego, odstręczającego; przeciwnie, im bardziej obumierała światu, tem łagodniejszą, rzewniejszą, usłużniejszą ku ludziom się okazywała..."

Tak w idealnem świetle wspomnień przedstawiała się Karolowi droga towarzyszka życia. Czy kreśląc ten portret, nie dobierał tem piękniejszych barw, że sam za życia Zofii należał choć w drobnej mierze do tych wielu, którzy oskarżali ją o nieczułość, obojętność, o zbytnie zajmowanie się prozą życia, o trochę nudną przezorność i rozwagę? Trudno od tego podejrzenia się obronić, zważywszy zwłaszcza, jak różnemi były charaktery i temperamenta skwarzawskich dziedziców. W każdym razie chmurka ta jeśli występowała czasem na pogodne niebo małżeńskiego pożycia, nie zdołała nigdy go zaciemnić; przypływała i odpływała znowu, wzajemnem, szczerem przywiązaniem, wspólną ranną i wieczorną modlitwą przed krucyfiksem odegnana.

Na wspólnej pracy, wspólną modlitwą uszlachetnionej i umilonej, szybko dnie płynęły. Prócz koniecznego zajęcia się majątkiem, uważał Karol słusznie za pierwszy swój obowiązek, objęcie

moralnej i materyalnej opieki nad swymi poddanymi, staranie się o podniesienie ich, o zapobieżenie najważniejszym przynajmniej potrzebom duszy i ciała tych młodszych dzieci, którzy wedle pięknego, starochrześcijańskiego pojęcia, tworzyć mieli z dworem jedną rodzinę.

Jedna z sal skwarzawskiego domu zmienioną została na szkółkę, do której napływali kolejno całemi gromadami wiejscy chłopcy i dziewczęta; pan uczył chłopców, pani regularnie od 9-tej do 11-tej rano tłumaczyła dziewczynom katechizm, uczyła je czytać, pisać, szyć, prasować. Inna znów sala przekształciła się w mały, ale miły i schludny szpitalik. Tu Karol mniej często się pokazywał, nie bardzo wiedząc jak z chorymi sobie radzić; natomiast Zofia spędzała przy cierpiących długie godziny; nieraz, gdy przywieziono ze wsi kogoś ciężej chorego, czuwała przy nim po całych nocach. Czasami i sam Karol, wracając z Żółkwi lub ze Lwowa, brał na bryczkę jakiegoś biedaka, którego napotkał po drodze opadającego z sił, ledwie włóczącego nogami, i oddawał go pod opiekę żony, pewny, że milszej niespodzianki zrobićby jej nie mógł. Czasami, chcąc rozweselić chorych, siadał w przyległym pokoju do fortepianu i przez długie godziny grał i śpiewał na przemiany, to pobożne pieśni, to wesołe piosneczki. Słowem, jak zwierzał się w poufnym liście, pisanym na tydzień przed śmiercią[1]: „I pókim żył na świecie, czułem, iż niemasz większego szczęścia, jak módz kogo uszczęśliwić".

Nie od razu to uczucie zakwitnęło tak uroczym kwiatem i tak piękne wydało owoce; nasieniem jego być miały cierpienia; wzrastać miało — jak wzrastało jednocześnie tyle innych, najpiękniejszych cnót chrześcijańskich — obfitym zdrojem łez użyźnione. Bóg doświadczeń mu nie szczędził, a w tej ogniowej próbie hartowała się dusza, uczyła się współczuć z cierpiącymi, zapalała się coraz gorętszym płomieniem miłości dla cierpiącego za nas i dla nas Ukrzyżowanego. Pierwsze, ukochane dziecko, którem Bóg obdarzył młodych rodziców, zdrowe i hoże, nagle zaczęło po paru miesiącach chorować i wkrótce umarło. Ten

[1] 6 listopada 1852 r.

sam los spotkał następnego roku drugie z kolei dziecię: Marynię. Znowu ledwie rok upłynął, ziemia roztwarła się dla przyjęcia trumienki ze zwłokami trzeciego dziecka, również córeczki, również Maryni. I czwarty: Józio, podążył po kilku miesiącach życia za rodzeństwem do nieba. Biedni rodzice, przedewszystkiem głęboko czujący Karol, który do tego syna tyle przywiązywał najświetniejszych nadziei, i cieszył się i marzył, że jego przynajmniej wychowa na dzielnego obrońcę wiary i ojczyzny, nie mógł teraz w bólu się ukoić. Nadzieją szczęścia się łudził; tymczasem:

Kto w życia wiośnie nadzieją się łudzi,
I w szczęście wierzy — cieszy się zawcześnie!
Prędzej, czy później ze snu się przebudzi,
I życia prawdę zrozumie boleśnie.

Piąte dziecko przyszło na świat we Lwowie, i tutaj po paru miesiącach rodzice do mogiłki je układli. Tragiczny to był los, przypominający mimowoli dzieje i boleści „Ojca zadżumionych". „Czy pamiętasz, — wspominał Karol te chwile w liście, pisanym kilkanaście lat później [1], do ciotecznej siostry swej, Jędrzejowiczowej — czy pamiętasz jak ostatnie dziecię umarło mi we Lwowie? Byliśmy podówczas tak sami!... Zosi Bóg wystarczał, ona żadnej pociechy ludzkiej nie potrzebowała, bo wiesz, jak najlepiej sama wtenczas pocieszać umiała, gdy ją najwięcej bolało! Ale ja byłem tak słaby, tak biedny, tak nędzny!"... W innym liście, również do ciotecznej swej siostry, tak do bolesnych tych dni powraca, taką czerpie z nich dla siebie i dla innych naukę [2]:

„Bogu chwała i dzięki za wszystkich, którzy nie znalazłszy tego, czego serce piękne żądało i szukało, zwrócili się całą serdecznością duszy do Tego, który jeden godzien naszej miłości, napełnić serce może, obmywszy je wprzód w łzach własnych, nadawszy mu hartu boleścią... Od tego czasu widzenia się naszego po raz pierwszy aż do dzisiaj, przez ileż to boleści i doświadczeń gorzkich przeszło i serce nasze i myśl nasza i całe

[1] „Listy w duchu Bożym do przyjaciół". Kraków 1857. List XXXVIII.
[2] „Poselstwo duchowe ku ludziom". Poznań 1850. List LXII.

życie nasze! Cieszyliśmy się przy kolebce, płakaliśmy przy grobie dzieci naszych; wierzyliśmy w możliwość znalezienia szczęścia krom Boga i Bóg się litował nad nami, a gdyśmy tak mało nad sobą czuwali, On tem troskliwiej nad nami czuwał. Pobłogosławił cię dziećmi żyjącemi, a mnie umarłemi. Ty Mu dziękujesz, a ja się nie skarżę. Bo czegóżbym się mógł skarżyć? Że Bóg je ukochał, że je wziął do siebie, że je trzyma przy sobie? Wiem, że jeśli dobry będę, tom je nie stracił na wieki. Pamiętasz, przy ostatniem konającem dziecku mojem, tyś jedna i jedna była pociechą moją i Zosi".

Balsamu na ciężką, piekącą ranę serca szukali oboje małżonkowie, jak na prawdziwych chrześcijan przystało, w modlitwie i uczynkach miłosierdzia. Bóg zabrał im dzieci; oni wszystkich biednych i cierpiących za dzieci sobie przybrali. Jak dawniej w Skwarzawie wespół z żoną pielęgnowali chorych, tak teraz we Lwowie razem znowu szli do szpitala Sióstr Miłosierdzia. Tu, usługując chorym i modląc się naprzemian w zacisznej kapliczce szpitalnej, szukali ukojenia, pociechy; tu, pod wpływem cierpień własnych i tych na które patrzyli, pod wpływem budzącego podziw poświęcenia pokornych zakonnic i pokoju rozlanego w ich sercach i na obliczu, jeśli nie powstała to wzrosła i nabrała praktycznych kształtów myśl zupełnego pożegnania świata, a poświęcenia się Bożej służbie. Jak nasienie to kiełkowało, jak rozwijało się i rosło, to sam Antoniewicz opisuje[1]:

„O, pamiętam te odwiedziny klasztoru Sióstr Miłosierdzia, gdy zmęczony, znudzony tym gwarem miasta i tą czczością rozmów i zabaw ludzkich, spieszyłem cienistemi ścieżkami szkarpów na tę górę, na której wierzchołku ten piękny wznosi się klasztorek. O! za każdą razą, gdym wchodził w dom ten, pokój wracał do serca, myśl się uspokajała, całowałem z gorącością nogi Zbawiciela na tym długim korytarzu, klękałem przed Przen. Sakramentem w kaplicy domowej i szukałem schronienia przed sobą i światem w tych salach szpitalnych, gdzie nędza ludzka i miłosierdzie w osobie chorych i siostry miłosierdzia przedsta-

[1] *Dzwonek*. Pismo zbiorowe. T. VI, str. 82 np.

wiało się duszy! Tu widziałem, tu pojmowałem moc i siłę Boga w słabem objawione stworzeniu; tu zazdrościłem tego szczęścia swobodnego, jakie miłość boska tylko dać może. Sala siostry Józefy była pierwszą szkołą życia mego duchowego: te okna starannie zielonemi gałązkami umajone, ten ołtarz w pośrodku z obrazem św. Wincentego à Paulo, przystrojonym wazonami i wieńcami kwiatów wonnych; te łóżka po obu stronach tak czysto, starannie urządzone — wszystko razem tworzyło ten piękny obraz, co nic nie zatrze w duszy...

„Cicho było w sali, tylko westchnienia chorych i modlitwę różańca słyszeć można było i kroki siostry Józefy, z taką miłością i troskliwością od łóżka do łóżka przechodzącej. Bolesna piersiowa choroba wycieńczała siły ciała jej, ale miłość chorobę zwyciężała; praca jej była pracą ludzką, ale wyraz twarzy jej był jasnością nadludzką. Czoło jej wypogodzone objawiało pokój duszy jej; oko jasne błyszczało tą jasnością, którą Bóg rozlewa strumieniem w sercu; a dźwięk słów jej był oddźwiękiem głosu Bożego, co dzwonił we wnętrzu jej... Ona dała mi poznać to szczęście życia zakonnego, w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie; ona z taką radością dowiedziała się o moich zamiarach, przepowiadała mi szczęście moje, a słowa jej spełniły się na mnie... W tej sali przebywała, gdyśmy we Lwowie bawili, Zosia, usługując chorym, opatrując ich rany; — o! ile ta sala słodkich dla mnie zawiera pamiątek!“

W szpitalu, przy łożu cierpiących; w szpitalnej kapliczce; w skromnej jezuickiej celce pobożnego i rozumnego spowiednika i Zosi i swojego, O. Fryderyka Rinna, wyrabiała się powoli — jak dalej sam znowu Antoniewicz w tajniki serca swego nas wprowadza — myśl poświęcenia się zupełnego Bogu na służbę. „Świat z dnia na dzień stawał mi się obojętniejszym, samotność coraz więcej miała powabu, szukałem pociechy w modlitwie i Bóg mi jej użyczył. Zrozumiałem to życie wśród świata, ale nie wedle świata; kochałem ludzi, ale ta miłość inny zwrot wzięła; kochałem ludzi nie dla siebie, ale dla nich; szukałem ich w cierpieniu, unikałem w zabawie, Bóg mi wystarczał! Jedno i toż samo uczucie i w sercu Zosi rozwijało się, tylko daleko mocniej

i święciej i dopiero od tej chwili we wszystkiem i zupełnie mogliśmy się zrozumieć; wtedy dopiero poznałem, jako dwa serca jednem sercem, dwie myśli jedną myślą stać się mogą"...

Pragnąc Bogu jak najdoskonalej służyć, niczego już od świata ani nie żądając, ani nie spodziewając się, postanowili oboje małżonkowie żyć w świętej czystości, i zasięgnąwszy porady spowiednika, ślubem Bogu w ofierze złożonym to postanowienie swoje zatwierdzili. Dzień ten pamiętny, to znów jeden jaśniejszy promyk w jednostajnie smętnem, z samych, zdawałoby się, zawodów i cierpień utkanem życiu małżeńskiem Karola; niezadługo nowa boleść go czekała. Zofia, od paru już lat uginająca się pod ciężkiemi ciosami, spadającemi raz po raz na macierzyńskie jej serce, bardzo podupadła na siłach. Paromiesięczna kuracya w Graeffenbergu, pod opieką sławnego Prysznica, przywróciła na chwilę dawną czerstwość i zdrowe rumieńce; ale pocieszające te symptomata równie szybko zniknęły za powrotem do domu, jak poprzednio w Graeffenbergu się pojawiły. Pod koniec 1838 roku choroba piersiowa, od pewnego już czasu organizm nieznacznie podkopująca, wystąpiła na jaw w całej swej srogości, groźna, nieubłagana. Biedny Karol spędzał dnie i noce przy łóżku żony; gdy czasem zbyt głośno, dłużej hamować się już nie mogąc, z serdeczną boleścią się zdradzał, chora uspokajała go i męstwa dodawała słowami, które przez częste używanie zamieniły się w jej ustach w rodzaj przysłowia: „Głośno trzeba dziękować, a cicho cierpieć!"

Pomimo wszelkich użytych środków, pomimo najczulszych starań, słabość z dniem każdym rosła; ostatecznie sami doktorzy oświadczyli, że chyba tylko cud mógłby dogorywającą suchotnicę uratować. „Jeśli Bóg zechce — powiedzieli sobie pobożni małżonkowie z wielką ufnością i z zupełnem poddaniem się wyrokom najmędrszej Opatrzności Bożej — jeżeli taka będzie Jego wola święta, to czemuż cud ten nie mógłby mieć miejsca?" Silni tą wiarą i zachęceni przez O. Rinna, przyrzekli Bogu, nowym ślubem się zobowiązując, a zarazem spełniając dawne, najskrytsze życzenia własnego serca, iż w razie wyzdrowienia chorej, wstąpią oboje do klasztoru: Zofia do Szarytek, Karol do

Jezuitów. Piękna to była, prawdziwie chrześcijańska myśl, inne wszakże były myśli Pańskie; Zofia dojrzałym już była kwiatem dla nieba, — za dziećmi matkę Bóg do siebie wołał. W ostatnich dniach czerwca 1839 r. stan chorej tak się pogorszył, że zgodnem zdaniem lekarzy, każdy dzień mógł być ostatnim; choroba zmieniła się w powolne konanie, które trwać miało blizko miesiąc cały. Na niewiele godzin przed rozłączeniem się duszy z ciałem, umierająca wyprosiła sobie u męża, u spowiednika i u podziwiających jej cnotę zakonnic, iż dozwolono jej złożyć zwykłe w zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Rzewna to była chwila; wszyscy otaczający łoże umierającej łez powstrzymać nie mogli. W parę dni później, 27 lipca, Zofia cicho, spokojnie ziemię opuściła i poszła złączyć się na wieki z jedynym już teraz swym Oblubieńcem — z Bogiem swym i Panem.

Przed śmiercią, gdy powieki zamykały się już do snu śmiertelnego, Zofia zdołała jeszcze wyszepnąć do klęczącego obok łóżka męża: „Teraz, mój Karolu, wolnym jesteś od ślubu wstąpienia do zakonu. Nie podobało się Bogu spełnić naszej prośby; ja umieram, ty czynić możesz spokojnie, co za najlepsze uznasz". Bez wątpienia, od spełnienia złożonego ślubu zupełnie był wolny: wiedział o tem dobrze sam, zaręczył mu to i spowiednik. Ale nie o wywiązanie się ze ślubu tylko, nie o samo tylko dopełnienie uczynionego Bogu przyrzeczenia chodziło obecnie biednemu wdowcowi. Co do ziemi wiązać go mogło, co nadawało wartość i cel dotychczasowemu życiu, podejmowanym zabiegom i staraniom, to mu Bóg z kolei wszystko odebrał. Więc, czy żyć nie warto, czy zobojętniawszy na wszystko, pogrążyć się w niemej boleści i czekać, kiedy śmierć koniec jej położy? Nie! — odpowiedziało serce i sumienie, a głosowi serca i sumienia przywtórzyli prawdziwi i doświadczeni przyjaciele: Ojciec Rinn, arcybiskup Stefanowicz. W niechrześcijańskiej rozpaczy pogrążać się nie wolno, żyć warto, — ale warto żyć wyłącznie dla Boga i w służbie Bożej: wszystko zawodzi, ale Bóg jeden nie zawodzi, wszystko przemija, ale Bóg jeden nie przemija! Te same nauki czerpał na grobie ukochanej małżonki, gdzie klęcząc u stóp

skromnego krzyża, długie spędzał godziny. Tak jest! — powiedział sobie wreszcie jasno i stanowczo — Bóg widocznie woła mię do wyłącznej swej służby: do niej prowadził mię wszystkiemi temi bólami i cierpieniami, któremi tak gęsto życie me zaścielił. Niechże za wszystko błogosławiony będzie!

Stan ten duszy odbija się w pięknym „Psalmie upamiętania", skreślonym w parę miesięcy później, gdy już stanowczo świat pożegnał i stanął pod chorągwią Chrystusową:

Prawda zabłysła — nikną urojenia,
I uśmiech w żalu zmienił się westchnienia...
Człowiek jak ze snów ciężkich obudzony,
Przed słońcem prawdy schyla korne oczy,
Widzi świat cały — ale bez zasłony,
Jak brudnych uciech przed nim nurty toczy:
Przed którym zginął, niebaczny, kolana,
Już świata tego nie chce znać za pana.
Gdzież szczęście, pyta, które świat przyrzekał?
Laury, któremi wieńczyć miał me skronie?
Za niemi goniąc, od prawdym uciekał,
I mary, widma, ściskałem w swe dłonie...
Świecie! twe szczęście — marne urojenia,
A laury twoje, jak prędko więdnieją!
Odgłosy chwały — mienią się w westchnienia —
I gwiazdy twoje jak prędko blednieją!
A drogi twoje tak ciemne i kręte,
Od „Drogi, Życia i Prawdy" odcięte...
Jeślim za długo świata szczęście gonił,
Jeżeli jego jęczał niewolnikiem;
Dziś — gdyś mi Boże! tę przepaść odsłonił,
Gdyś mię Twej łaski oświecił promykiem:
Dusza wdzięcznością i żalem ujęta,
Zrywa ze łzami swej niewoli pęta.

W jakim zakonie należałoby mu się Bogu na służbę poświęcić, o tem nie miał Karol ani na chwilę wątpliwości. O ile przed poznaniem Jezuitów żywił do nich niechęć i uprzedzenie, o tyle, gdy żona raz wymogła, aby do nich się zbliżył, pokochał ich serdecznie; a w miarę jak lepiej poznawał zakonne ich cele i ideały, sposób życia i prace, rozpalało się w nim pragnienie wstąpienia w szeregi tych wojowników, tych „towarzyszów Jezusowych", jak ich nazwał św. Ignacy, walczących o dusze pod sztandarem Chrystusa, rozszerzających, wedle sił i możności,

większą chwałę Bożą. Rozliczne potwarze miotane na Jezuitów, niechęć z jaką podówczas, zwłaszcza i w polskiem społeczeństwie, się spotykali, bardziej jeszcze to pragnienie podniecała. Kiedy wstępować w ślady Zbawiciela, mówił sobie, to wstępować w nie jak najbliżej!

Matka śledziła od dawna już z uwagą, co w sercu syna się dzieje, wiedziała o jego postanowieniu i godziła się na nie całem sercem. Mniej chętnem okiem patrzyli na to inni bliżsi i dalsi krewni. Nie domyślając się, co łaska Boża w ostatnich miesiącach w sercu Karola zdziałała; jak ciągłe cierpienia serce jego podniosły i uszlachetniły; jakie pragnienia i z jaką siłą w niem się odezwały; mniemali, że chwilowe tylko zniechęcenie popycha go do tak rozpaczliwego, tak nierozsądnego kroku. Animuszu nie trać, rozerwij się, wybij sobie z głowy te smętne myśli — powtarzali na wszystkie tony; — młody jesteś, ożeń się, a powoli zapomnisz o przebytych boleściach. Zwłaszcza „ożeń się!“ wracało w tych codziennych perswazyach ustnych i listowych jak zwrotka w pieśni i to nietylko w ogólnej i nieokreślonej formie, ale i w ściśle określonej, z wymienieniem imion i nazwisk panien, które mogłyby dlań stanowić odpowiednią partyę. Nieznośna to była tortura dla Karola; namowy te, z dobrego zapewne pochodzące serca, ale wobec świeżej mogiły Zofii niekoniecznie delikatne, brzmiały mu w duszy jak gorzkie szyderstwo, przejmowały ją tem większą niechęcią do świata i w rezultacie nie opóźniły, ale raczej przyspieszyły wykonanie powziętych zamiarów.

Z uregulowaniem interesów majątkowych załatwił się Antoniewicz nadzwyczaj szybko. Z początku najbliżsi krewni, sądząc że w ten sposób potrafią przeszkodzić wstąpieniu Karola do zakonu, związali się między sobą słowem, że żaden z nich Skwarzawy nie nabędzie. Niebawem wszakże doszli do przekonania, że drobny ten fortel do żadnych praktycznych skutków nie doprowadzi; zmusi może Karola do oddania majątku w inne ręce, ale z pewnością nie nakłoni go do cofnięcia się z raz już obranej drogi. Wincenty Antoniewicz, syn Krzysztofa, a brat stryjeczny naszego Karola, ustąpił ostatecznie praktycznym tym względom,

i dnia 2 września 1839 r. podpisał we Lwowie umowę, mocą której obejmował dobra skwarzawskie na swą własność, za mniej więcej trzecią część właściwej ich ceny, bo tylko za 3559 dukatów. Nadto Wincenty zobowiązywał się spłacić pewne legata dawnym wiernym sługom dworskim; przyszły los matki zabezpieczył Karol, składając na ten cel osobny kapitał w banku ormiańskim.

Przedtem już, zaledwie w tydzień po pogrzebaniu żony, pożegnał się Karol z ukochaną matką, otrzymał jej błogosławieństwo na dalsze, od Boga sobie wyznaczone koleje życia. Rzewne te i uroczyste chwile, historyę duszy swej w tych chwilach i dniach, tak sam opisuje[1]:

„Był to wieczór mroczny, szary wieczór z 6 sierpnia 1839 roku, gdym po raz ostatni pożegnał matkę moją, — matkę, którą kochałem całą potęgą serca, skrwawionego wprawdzie niejedną boleścią, ale nie zlodowaciałego żadną podłością. Kochałem ją nad życie, bom jej więcej był winien, jak życie to chwilowe; ona mi dała to życie, co zasięga w zaświaty, życie wiary, nadziei, miłości; ona do Boga mię zbliżyła, bez którego życie nasze na ziemi jest tylko ciągłym bezrządem, walką zaciętą, wysileniem próżnem; jest pracą bez pożytku, utarczką bez zwycięstwa, boleścią bez zasługi...

„Chwilą bolesną i radosną była ta ostatnia chwila rozłączenia; chwila świętej, wielkiej ofiary serca matki i syna u stóp krzyża złożonej; chwila, którą Bóg z nieba pobłogosławił... Siedziałem w ubogiej celce, sam na sam obok matki mojej; łzami i radością promieniło się jej oko, a w sercu mojem dziwne jakieś, niepojęte wzbierały uczucia! Przejście z życia w nowe życie! — przeszłość i przyszłość! — rozłączenie się z matką nad życie ukochaną, rozpoczęcie w późniejszym już wieku nowego życia zawodu, do którego któż wie, czy fizyczne, czy moralne podołają siły; wspomnienia tak rzewne, związki tak serdeczne, z których pierwsze w niepamięć puścić, drugie zerwać wypadało, — wszystko to gwałtownie w tej chwili na serce i myśl działało. Ale Bóg

[1] *Dzwonek.* „Wspomnienia życia zakonnego". Tom I., str. 42 np. Lwów 1850.

w tej tak ważnej, rozstrzygającej chwili czuwał nade mną i poruszony aż w głębi duszy czułem, o! dobrze o tem pamiętam, pokój, jakiegom nigdy nie doznawał! O! Boże, jakżeś Ty zawsze był dobry i miłosierny dla mnie; czyniłem com mógł, aby Cię zmusić, żebyś mię odepchnął od siebie, a Tyś czynił coś mógł, abyś mię do siebie przyciągnął. W miarę złości moich rosło i miłosierdzie Twoje! I ta walka między złością moją, a miłosierdziem Twojem, o jakże długo trwała! Wyrywałem się z rąk Twoich i wołałem nieraz do Ciebie: puść mnie, puść mnie Panie! — niechaj idę, gdzie świat mi szczęście obiecuje, gdzie namiętność rozkoszą mię wabi! I Tyś mnie nieraz puścił, ale nie opuścił; a gdym leciał w przepaść, Tyś mnie pochwycił, abym w bezdennych nie zaginął grzechu otchłaniach. Tyś mnie podźwignął po każdym upadku moim! Ty byłeś więcej dla mnie jak ojcem, matką, bratem i siostrą. Ty byłeś Bogiem moim! Tyś na mnie zsyłał krzyże i strapienia wszelkiego rodzaju; rzucałem się, dąsał, mruczał jak dziecko nierozumne, ale Tyś na to nie zważał i nie pofolgowałeś mi, pokąd miłosierdzie Twoje nie zwyciężyło uporu i złości mojej! O dziś dziękuję, błogosławię Cię za te wszystkie krzyże i strapienia; dziękuję Ci za te wszystkie łzy, coś wycisnął sercu memu, bom wśród tych łez siebie zgubił, a Ciebie znalazł.

„Celka, w której mieszkała przez lat siedm matka moja, była jak przysionkiem raju. Ach! bo tam raj, gdzie święte bije serce, bo tam Bóg! Obecność jej zdawała się wszystko poświęcać, co ją tylko otaczało... Obraz Zbawiciela i Matki Bolesnej, obrazki z żywota seraficznej Teresy i innych Świętych, krucyfiks, koronka, kropielnica i kilka książek duchownych; przy łóżku sofka, parę krzesełek, szafa z książkami, były jedynemi tej ubogiej celi sprzętami; — tej celki, która była świadkiem tylu całonocnych modlitw i biczowań i włosiennic, które narzędzia umartwień jej były tajemnicą, którą śmierć dopiero wykryła... Przy oknie, na którem stały wazoniki z kwiatami... był stoliczek, przy którym haftowała dla kościoła i listy do dzieci pisała. W koszyczku były listy nasze, które ona od chwili do chwili z rzewnością do ust i serca przyciskała! Jej serce tak tkliwe i czułe, z przyczyny

nabożeństwa żadnej najmniejszej nie nabrało cierpkości, ale wszystkiemu, co mówiła i czyniła, nadzwyczajny umiała dać wdzięk i powab...

„I tak w błogiej, słodkiej rozmowie, chwilka po chwilce tego aż do śmierci pamiętnego mi wieczora mijała. O, ile razy odczytuję opisanie tego wieczora św. Moniki i Augustyna na brzegach morskich, przy ostatniem tej matki z synem rozłączeniu, obraz matki mojej staje mi przed oczyma. Ona stała się dla mnie Moniką; czemuż ja dla niej nie mądrością, ale pokutą za grzechy, Augustynem zostać nie mogę?

„I coraz bardziej ciemniało i szarzało w ubogiej celce; słońca promienie przez gałęzie lipy starej, która połowę okna ocieniała, wprost padały na obraz Bolesnej Matki Boskiej, a biedna jakaś ptaszyna, szczęśliwa, że wśród tego lasu murów zieloną gałęź znalazła, szczebiotała piosenkę wieczorną. O! i to słońce, i ta lipa i ten śpiew ptaszyny, jak żywo stoi przed oczyma duszy mojej! I dzwonek klasztorny na wieczerzę znak dając, głuchym dźwiękiem po długich, wązkich rozlegał się kurytarzach, — a brzęcząc pękiem kluczów stara zakonnica, skrzypiące drzwi celki odchyliła, oznajmując, że już czas do wyjścia. Ścisnąłem rękę tej drogiej matki, przytuliłem ją do serca, do ust moich, po raz ostatni pożegnałem ją w tej świeckiej sukni; ale to przywiązanie, ta miłość ku niej nigdy się nie zmieniły, a odkąd zakonny przyodziałem habit, o ileż zbawienniej, święciej, czulej ją kochałem!...

„Prowadziła mię matka milcząc długim korytarzem, słabo jedną lampą oświeconym; z chóru dochodziły nas głosy wieczornych modlitw. Uklęknęliśmy przed dużym, drewnianym krucyfiksem z wizerunkiem Zbawiciela, którego nogi, jak druga Magdalena, matka codziennie łzami oblewała i ustami rozgrzewała, i po krótkiej modlitwie zeszliśmy do furty. Na wązkim przedklasztornym cmentarzyku stanąłem oparty o drewniane sztachety, z tęsknotą w otwarte spoglądając okno! W parę sekund i ona w oknie stanęła i przez dobrą chwilę rozmawialiśmy jeszcze z sobą. Lecz już księżyc zeszedł był, trzeba było się rozstać. Wolnym, leniwym oddalałem się krokiem, jeszczem raz znakiem

ręki ją pożegnał i okno zabrzękło i ujrzałem się wśród tłumów wesołych, i ze łzami zalanem sercem pospieszyłem do pomieszkania mego. I to był ostatni, błogi, bolesny wieczór życia mego światowego, i to była ostatnia chwila najboleśniejszej walki, ostatnia ofiara serca Bogu uczyniona! Przyjąłeś ją o Boże! w miłosierdziu i dobroci Twojej, i za to serce tak liche i nędzne dałeś mi w zamian skarby Serca Twego!"...

W kilka dni po pożegnaniu matki, żegnał Karol Skwarzawę, i grób ojcowski i mogiłki dziatek:

„Był to wieczór sierpniowy, ostatni com spędził w domu moim[1]. Przechadzałem się po ulicach i ścieżkach ogrodu, z każdem drzewkiem, z każdym żegnając się krzakiem, bo tu każde drzewko, każdy krzaczek ręką był matki sadzony, razem ze mną rosły; ona nad niemi i nade mną czuwała... Tu pod tym starym bukiem siadywał w pięknych porankach ojciec mój, tu nieraz, bawiąc się u nóg jego, słuchałem dobrych rad i napomnień! Słowa jego zostały w sercu, a on gdzież jest?... W tej długiej, tak samotnej ulicy z ligustru i berberysu, o ileż to wieczorów przechodziliśmy z Zosią, żyjąc jeszcze złudzeniem i nadzieją szczęśliwej, swobodnej przyszłości! W tym lasku jodłowym, tak ulubionym matce, ileż to chwil ona samotnie spędziła! My się wesoło bawili, a ona w tym czasie za nas na tem odludnem modliła się miejscu, a każda jej modlitwa ze łzami była złączoną, bo ona bez łez modlić się — bo ona bez łez kochać nie umiała! I przechodziłem koło tej starej jodły, z wierzchołkiem od piorunu roztrzaskanym i ukląkłem na omszałym schodzie kamiennym przed obrazem Bogarodzicy, na którym tyle razy o tej wieczornej porze klęczała Zosia, a blask latarni przez gęste drzew konary przebijając się, rozświecał tę twarz tylu boleściami zoraną...

„O! ileż to razy tym długim przechadzałem się grabowym szpalerem, marząc o przyszłości, która mi takiem wróżyła szczęściem; bo wśród tych marzeń posłyszałem z tej z bluszczów

[1] *Dzwonek*. „Wspomnienia życia zakonnego". Tom II., str. 56 np. Lwów 1850.

i powojów uwitej altanki nieraz głos dziecka, posłyszałem sercem i zapomniałem o sobie, byłem ojcem — ach! to słowo, to było jedno słowo, którem posłyszał z ust dzieci moich! Jakby tylko na to przyszły na świat, aby mnie w imieniu Boga tem słowem powitać, tem słowem pożegnać. Boże! Ty wiesz, żeśmy te dzieci tylko dla Ciebie chować chcieli, żeśmy je zawsze jak Twoją własność uważali; dziękowaliśmy Ci, gdyś je nam powierzył, nie skarżyliśmy się, gdyś je nam odebrał!

„I coraz bardziej ciemnieć poczęło; światło w domu błyszczało przez szyby, wróciłem już późno, i w tym domu, przechodząc przez długi rząd pokojów, widziałem jakby rozwiniętą uroczemi obrazami, całą przeszłość, całą młodość moją. Pomodliłem się przed obrazem ukrzyżowanego Jezusa w domowej kapliczce i lżej mi się zrobiło na duszy — i jeszcze długo w noc siedziałem samotnie w pokoiku matki. Tak wszystko pusto i głucho było wokoło, wszystkie głosy radości i żalu ucichły; wszystkie drogie osoby, których posłyszane już kroki radość sercu przynosiły, znikły; sam zostawałem ze wspomnieniem mojem, z boleścią moją, z przeszłością moją.

„U nóg moich leżał brytan ukochany Zosi, nie przeczuwając, że jak stracił panią, tak wkrótce straci pana swego. On w późnych wieczorach, gdym z sąsiedztwa powracał, radośnem wyciem oznajmiał Zosi, siedzącej przy robocie w późną noc, przybycie moje. Biedny brytan nie miał już komu oznajmiać przybycia mego, wkrótce nie będzie już miał i witać kogo.

„I mignął się w oczach przez szyby okna blask latarni. Poznałem to światełko wiernej, poczciwej klucznicy, wracającej z krowiarni, jak niegdyś za czasów Zosi, i weszła do pokoju i rzuciła się do nóg moich i łzami zalana nie mogła nic przemówić; ścisnąłem jej rękę na ostatnie dobranoc...

„Przesiedziałem tę noc, chciałem usnąć, ale nie mogłem... I ranek zaświtał, i nie mając dość siły, aby się żegnać ze wszystkimi domowymi ludźmi, wsiadłem na wózek; jeszcze raz zwróciłem oczy na ten dom, pożegnałem tę wioskę, i wszystko znikło z ócz moich, ale nic nie zginęło w sercu mojem!... Boże! dziękuję Ci, żeś mi dał poznać szczęście świata, abym poznał Ciebie

w szczęściu, bo to szczęście tylko dlatego było szczęściem, żeś Ty w niem był; i dlatego nie żałuję, żem szczęście utracił, bom Ciebie nie stracił, bo tem szczęściem Ty byłeś! — Boże! dziękuję Ci, żeś mi dał poznać cierpienie świata, abym w cierpieniu poznał Ciebie, bo to cierpienie było wtedy tylko prawdziwem cierpieniem, gdyś Ty w niem nie był!"...

Bolesne było rozłączenie się z matką, bolesne pożegnanie ze Skwarzawą; serce jakby w kawały się rwało, a pokusa, a zniechęcenie w głąb duszy nieśmiało zaglądając, pytało i napominało: „Jeszcze czas, jeszcze cofnąć się możesz! Czyż koniecznie masz się w murach klasztoru pogrzebać? Czyż zostając na świecie nie mógłbyś wiele więcej dla Boga zrobić? Czy miłość synowska pozwala ci matkę opuszczać, a samemu za spokojem, za uciszeniem myśli i serca gonić?" Ostatnia to była, ale bardzo twarda próba i pokusa.

„Świat — odsłania nam znowu sam Antoniewicz ten ostatni już przełom w ówczesnych dziejach swego serca[1] — przemawiał do mnie, alem już słów jego nie rozumiał; nie mówił mi o przyszłości, bo nie śmiał tknąć tej strony, bo zanadto bolesnem odzywała się echem; ale stawiał mi przed oczy obraz matki — i zachwiało się serce moje, i między Bogiem a matką walka była ciężka, ale matka mi rzekła: ‚Ja cię Bogu odstępuję!', a Jezus z krzyża przemówił: ‚Kto matkę więcej kocha jak mnie, nie jest mnie godzien!' I pokazał mi świat wszystkie piękności i pociechy swoje, a spojrzałem w niebo i znikło to złudne widzenie. I widząc, że mnie nie wstrzyma złudzeniem swojem, zaczął rzucać na mnie, jak zaostrzone strzały, szyderstwa swoje — i to bolało, bardzo bolało, i schroniłem się pod krzyż i zawołałem: „Jezu ratuj!" — a On jednem spojrzeniem uczynił serce moje jak skałę i świat odstąpił ode mnie i wyparł się mnie i byłem szczęśliwy! — O mój Jezu! jak bolesne jest to przejście od świata do Ciebie, od chwały do pogardy, od wygód do niedostatków, od wolności do posłuszeństwa; ale bolesne było

[1] *Dzwonek*. „Wspomnienia życia zakonnego". III. Str. 55.

i Twoje przejście od ziemi do nieba, a tem przejściem był — krzyż! Ale w tej najboleśniejszej chwili, ileż pomocy od Ciebie doznałem! O nie! To przejście Tyś sam uskutecznił, bo moja siła starta, moja myśl ciemna była... Tyś mnie wyrwał z rąk świata, Tyś mnie pociągnął do siebie! O jakże Ci za to odwdzięczyć się wydołam?“

Burza sprzecznych uczuć, miotających sercem, uciszyła się; chmury, choć z widnokręgu zupełnie nie znikły, ustąpiły na bok; wielka sprawa służby Bożej tak zajęła całą duszę, że goszczące w niej bóle i smutki musiały przycichnąć, na drugi plan się usunąć. Po wyjeździe ze Skwarzawy, zabawił Karol, jak się zdaje, dni kilka w Uhersku u siostry Albiny, zaślubionej baronowi Romaszkanowi; wpadł jeszcze na chwilę do Lwowa, i stąd, dłużej nie zwłócząc, wyjechał — dnia 9 września 1839 — w towarzystwie znanego już nam, dawnego swego przyjaciela i spowiednika, O. Fryderyka Rinna, do nowicyatu Jezuitów w Starejwsi.

Ks. Jan Badeni.

ZASŁUGA KOPERNIKA W FILOZOFII.

(Dokończenie).

Przed walką filozoficzną Kopernik krótko streszcza poglądy przeciwników w VII. rozdziale księgi I.

„Starożytni filozofowie — mówi — usiłowali na jakichś dowodach oprzeć zasadę, że ziemia spoczywa w środku świata. Jako główny dowód przytaczają zjawiska ciężkości i lekkości, bo żywioł ziemi jest najcięższy i na nią spadają wszystkie ciężary dążąc do jej środka...

„A co spada do środka, podobno potrzebuje w nim spoczywać. Tem bardziej spocznie w środku cała ziemia: więc bez ruchu pozostawać musi wskutek własnego ciężaru, żywioł, który na siebie przyjmuje, cokolwiek spada.

„Na to samo szukają dowodu z pojęcia ruchu i jego istoty, bo, jak mówi Arystoteles, pojedyńczym jest ruch ciała jednego i pojedyńczego, a pomiędzy ruchami pojedyńczemi, jeden jest prostotorowy, drugi kołowy, z prostotorowych znów jeden w górę, drugi na dół. Dlatego każdy ruch pojedyńczy jest albo do środka (ten sam co na dół), albo od środka (ten sam co w górę), albo o środku, i ten kołowy.

„Dalej wypada ziemi i wodzie, żywiołom uważanym za ciężkie, na dół spadać, to znaczy, dążyć do środka, a powietrzu i ogniowi, jako lekkim, odbywać ruch w górę i od środka. Tym czterem żywiołom wypada przyznać ruch prosty, a ciałom niebieskim dążyć po kole naokoło środka.

„Tak Arystoteles. Stąd wnosi Ptolomeusz aleksandryjski, że ruch ziemi obaliłby powyższe poglądy, choćby ziemia odbywała tylko dzienny ruch obrotowy koło osi.

„Bo ziemia musiałaby odbywać ten ruch nad wszelki wyraz szybko, z szybkością z niczem nieporównaną, jeżeliby miała w dwudziestu czterech godzinach przebyć drogę całego okręgu swojego. A gdyby taki wir porwał ciała, zdaje się, że zupełnie nie mógłby ich razem skupić, przeciwnie, ciała skupione ze sobą tracą w takim wirze spójnię, jeżeli ich nie skupia razem odpowiednia siła. Więc dalej wnosi Ptolomeusz, że ziemia przez ruch już dawno poszłaby w rozsypkę, runęłoby niebo: co już zanadto śmieszne".

Z ostatnich słów widać, że już za Ptolomeusza fizycy upatrywali jeszcze jednę różnicę między ruchem przyrodzonym a przymusowym, o której Arystoteles nie wspominał. Musieli z biegiem czasu spostrzedz zjawisko tego rodzaju, jakie łatwo zauważyć np. przy kole u wozu, w biegu po błotnistej drodze. Kiedy wóz stoi, trochę błota przylgnie do chropowatej powierzchni koła, ale przy szybkim obrocie kół w drodze, odskakuje od nich błoto w kierunku prostopadłym do szprych. Podobnie także przy innych ruchach obrotowych, części ciała ruchomego, dalsze od środka ruchu, zrywają swoją spójnię z częściami bliższemi środka i odlatują po stycznej do koła obrotu. Dziś widzimy w tem objaw siły, zwanej stycznopędną, która przy ruchu krzywodrożnym przeszkadza ruchomemu zmieniać swój kierunek, i po takim oporze przeciw zmianie kierunku drogi, poznajemy bezwładność ciała ruchomego: ale bez pojęcia o bezwładności ciał nie mogła ptolomejska fizyka zdać sprawy z objawów siły stycznopędnej: więc spoglądała na nie, jako na skutek jakiegoś wpływu rozkładowego, który rozrywa wewnętrzną spójnię cząstek ciała ruchomego. Cóż miało wywierać ten wpływ rozkładowy? Wewnętrzny pęd do samowładnego ruchu, jak każdy popęd wrodzony, musiał według starożytnych przyrodników odpowiadać samozachowawczym potrzebom ruchomego: więc ruch przyrodzony nie mógł naruszać spójni cząstek; ale zewnętrzna podnieta do przymusowego ruchu, niby zamach na spokój i równowagę ciała,

przemocą wprowadzała ruchome w stan nieodpowiedni jego potrzebom wrodzonym: więc, jak każdy wpływ, opacznie wywarty, miewa szkodliwe następstwa, tak ruch przymusowy mógł narażać na niebezpieczeństwo wewnętrzny ustrój i spójnię cząstek ciała ruchomego: dlatego ruchowi przymusowemu miały w starożytnej fizyce towarzyszyć objawy siły, nazywanej teraz stycznopędną; ruch przyrodzony miał przeciwnie zachowywać spójnię cząstek. Na tej różnicy między obu ruchami oparty Ptolomeusz, mógł przeciw ruchowi ziemi wystawić taki dowód: albo to byłby ruch przyrodzony, albo przymusowy; jeżeli przyrodzony, jakżeż ruchoma ziemia mogłaby tworzyć przyrodzone miejsce spoczynku dla ciał, które na nią spadają? Jeżeli to ruch przymusowy, jakżeżby ziemia nie poszła jeszcze w rozsypkę, po tylu wiekach obrotowego ruchu?

Na to odpowiada Kopernik (w ks. I., rozdz. 8):

„Z tych i podobnych powodów mówią, że ziemia w środku świata spoczywa, i że nie można o tem wątpić.

„Ale kto przypuściłby ruch ziemi, nazwie przecie ten ruch przyrodzonym, nie przymusowym“ [1].

Cóż znaczy u Kopernika ruch „przyrodzony“ ziemi? O którymże rodzaju „przyrodzonego“ ruchu myślał Kopernik, kiedy kazał ziemi zmieniać miejsce w przestrzeni, zamiast spoczywać w swojem właściwem miejscu, do którego dążą wszystkie ciężkie żywioły? Do żadnego objawu samowładzy perypatetycy nie umieliby zaliczyć ruchu obrotowego, odbywanego przez żywioł najcięższy: jakżeż Kopernik mógł zaliczyć ten ruch do przyrodzonych?

Czy może Kopernik tylko wyraz „perypatetyczny“ zatrzymał i choć dla ruchu ziemi wybrał nazwę „przyrodzonego“, mimo to nieperypatetyczną myśl oblekł szatą ich starego wyrazu? Czy jednak także samą rzecz zachował i po dawnemu wyobrażał sobie, że ziemia odbywa ruch przyrodzony nietylko prawidłowo i bez

[1] „His sane et similibus causis ajunt terram in medio mundi quiescere et procul dubio sic se habere.

„Verum, si quispiam volvi terram opinetur, dicet utique motum esse naturalem, non violentum“.

niebezpieczeństwa dla spójni cząstek, ale także samowładnie w tym ruchu dąży do swojego miejsca przyrodzonego?

Jeżeli Kopernik pojął zgodnie z perypatetykami ruch przyrodzony jako skutek popędu do właściwego miejsca, w takim razie o tem znanem pojęciu nie potrzebował tutaj rozprawiać, tylko powinien był zaraz odpowiedzieć na zarzut, jak może najcięższy żywioł odbywać przyrodzony ruch poza środkiem świata, a zarazem służyć za miejsce spoczynku dla wszystkich ciał, które dążą do środka? Ale Kopernik na razie pominął ten zarzut; zwrócił tylko uwagę na zasady, przyjęte w szkolnej filozofii, ale niestosowane dawniej do ruchu przyrodzonego: w świetle tych zasad przedstawił ruch przyrodzony i wyłożył jego skutki następnemi słowami:

„A co odpowiada przyrodzie, to sprawia skutki przeciwne temu, co następuje pod naciskiem przemocy; bo co doznaje przymusu albo ulega sile, to długo trwać nie może; przeciwnie, co płynie z przyrody rzeczy, to trwa w dobrym stanie i zostaje w najlepszym porządku. Więc nie potrzebuje bać się Ptolomeusz o to, żeby ziemi i wszystkiego na niej nie rozproszył obrót, odbywany siłą przyrody, daleko potężniejszej od przemysłu, i wszystkiego, czego dopiąć zdoła rozum ludzki“ [1].

W powyższym ustępie Kopernik używa słowa „przyrodzony ruch“, żeby wyrazić tylko tę myśl, która już nawet przy nowożytnych poglądach na mechanikę nie raziłaby nas.

I dziś możnaby, gdyby o to szło, odróżnić w przyrodzie ruchy dwojakie: w jednych widzimy spokojne następstwo stałych praw przyrody; te ruchy prawidłowym biegiem swoim nie wywołują żadnego przewrotu na świecie, na tle wieków wracają w pewnych okresach, i wyciskają piętno porządku na wszelkich tworach, nie niszczą ich ani nie trawią. Inne ruchy, wywołane

[1] „Quae vero secundum naturam sunt, contrarios operantur effectus his, quae secundum violentiam. Quibus enim vis vel impetus infertur, dissolvi necesse est et diu subsistere nequeunt. Quae vero a natura fiunt, recte se habent et conservantur in optima sua compositione. Frustra ergo timet Ptolomaeus, ne terra dissipetur et terrestria omnia, in revolutione facta per efficaciam naturae, quae longe alia est, quam artis vel quae assequi possit humano ingenio“.

albo walką człowieka z siłami przyrody, albo nagłym wybuchem czy wyjątkowym zamętem wzburzonych żywiołów, przerywają bieg praw przyrody, naruszają jej ład, trawią i niszczą wszystko, co spotykają na drodze. Tym nagłym a nieobliczalnym w nauce ruchom możnaby dać nazwę „przymusowych“, a w przeciwieństwie do nich pojąć jako „przyrodzone“ ruchy odbywane prawidłowo pod wpływem sił utajonych w przyrodzie. Kopernik miał dla ruchu ziemi wybrać jeden z dwóch ruchów, wówczas wymienianych, i przyznać jej obrotowi nazwę albo przymusowego ruchu albo przyrodzonego. Użył ostatniej nazwy, chociaż zwrócił uwagę w pojęciu ruchu „przyrodzonego“ tylko na pierwsze z tych dwóch znamion, któremi Arystoteles określił to pojęcie. Starożytna fizyka uważała ruch przyrodzony najprzód za prawidłowy, powtóre za samowładny. Nowożytna fizyka odrzuca to drugie znamię i Kopernik o niem już nie wspomniał. Pierwsze wystarczyło wielkiemu myślicielowi, żeby zdać sprawę z tego, dlaczego „ziemia przez ruch obrotowy nie poszła w rozsypkę“. Bez wzmianki o samowładzy Kopernik wymaga, żeby ziemia odbywała ruch skutkiem wpływu stałych sił przyrody, które działają prawidłowo, nie narażają na rozsypkę ziemi, nie rozpraszają nieba.

Czy Kopernik tylko przemilczał o piętnie samowładzy, nałożonem przez Arystotelesa na ruch przyrodzony, czy wcale za co innego uważał ten ruch, a nie za objaw samowładzy, i inną przyczynę dla niego odkrył, a nie pokładał jej z perypatetykami na popędzie do miejsca przyrodzonego?

Skoro Kopernik raz ruszył ziemię, żywioł niezaprzeczenie ważki, tem samem nie pozwolił pytać się, do którego rodzaju ruchów wypada zaliczyć jej obrót. Nie mógł przypisywać jej samowładnego ruchu „do środka“ albo „od środka“, bo w obu ruchome odbywa drogę po dłużni. Nie mógł mówić o samowładnym ruchu ziemi około środka, bo przy takim ruchu samowładza sprawiała, że ruchome n i e w a ż k i e nie mogło ani spaść do środka ani odlecieć od niego. Wyraźnie Kopernik pojął jakiś ruch przyrodzony, który toczył po kole żywioł ciężki, a nie należał do żadnego objawu samowładzy. Słowem, zatrzymał

z Arystotelesem jądro jego pojęcia, opartego na spostrzeżeniach rzetelnie zrozumianych, które kazały odróżnić ruchy przypadkowe od stałych i niezmiennych. Arystoteles chciał bliżej poznać i określić ruch przyrodzony, ale zbity z tropu zjawiskami powierzchownie badanemi, wyczytał w nich wskazówkę, że ciała odbywają ten ruch samowładnie, a w dalszym ciągu wnosił, że żywioły ważkie nie mogą odbywać ruchu przyrodzonego „około środka". Tego wniosku nie mógł Kopernik odrzucić, jeżeliby przyznał, że ruch przyrodzony powstaje z samowładzy ruchomego, które dąży do swojego miejsca. Musiał odmówić żywiołom popędu do przyrodzonego miejsca, zatkać to źródło samowładzy i poprzestać na pojęciu ruchu prawidłowo wykonywanego pod wpływem sił przyrody. Tak pojęty ruch przyrodzony nie pociągał za sobą następstw, które płynęły z pojęcia perypatetycznego: dlatego Kopernik nie potrzebował odróżniać żywiołu ważkiego od nieważkiego przy ruchu „około środka", pierwszemu przypisywać ruch przymusowy, drugiemu przyrodzony, szukać w samowładzy powodu, dlaczego w ruchu obrotowym ruchome ani nie spada do środka ani nie odbiega od niego; słowem mógł pojąć przyrodzony ruch obrotowy, jako stan zarówno właściwy ciału niebieskiemu jak ziemi. I tego pojęcia nowego używa zaraz w dalszym ciągu odpowiedzi na zarzut Ptolomeusza: na niego obraca jego własną broń i z jego własnej zasady dowodzi, że obrotowy ruch przyrodzony nie potrzebuje rozpraszać ruchomego w przestworzu. Temi słowami odpowiada Ptolomeuszowi:

„Ale czemuż o to samo jeszcze słuszniej nie podejrzywa świata, którego ruch musi być tem szybszy, im większe niebo od ziemi? Czy dlatego niebo wyrosło do rozmiarów nieskończonych, że niewymowna siła ruchu rozpiera je od środka, a zapadłoby inaczej, gdyby stało? Pewno, jeżeliby znalazł miejsce ten dowód, wielkość nieba także wyrośnie bez końca. Bo im dalej sam ruch wskutek pędu zaleci na wyżyny, tem będzie szybszy przy okręgu, który ciągle róść będzie, a przebyć ten okrąg trzeba w 24 godzinach: i naodwrót, ze wzrostem ruchu wyrośnie bezmiar nieba. Tak szybkość bez końca przyczyniać będzie wielkości, a wielkość szybkości. Ale, według owego prawa

fizyki [1], co nieskończone, tego przebyć nie można ani wprawić w ruch: więc stać musi niebo“ [2].

Tutaj zauważyć trzeba, że taka odpowiedź Kopernika nie znaczyłaby nic dla filozofii szkolnej. Filozoficzne zasady perypatetyczne nie pozwalały pytać się, czemu ruch obrotowy nie rozpiera nieba: Arystoteles, wbrew dość już znanym zjawiskom, utrzymywał, że żywioł eteryczny krąży po matematycznem kole, bo jako nieważki, nie może odlecieć od środka. Dobra to była przyczyna w ustach Arystotelesa, który chciał nie widzieć, jak ciała niebieskie zbaczają z prawidłowej drogi kołowej. Ale Ptolomeusz na to nie zamykał oczu, że ruch obrotowy raz zbliża te ciała do ziemi, raz je oddala. Dlatego ptolomejczykom mógł Kopernik odpowiedzieć pytaniem: jeżeli ruch obrotowy miałby rozproszyć ziemię, czemu nie rozsypał nieba całego?

Na to pytanie dostał odpowiedź, którą tak streszcza:

„Ale powiadają, że poza niebem niema ciała, ani miejsca, ani próżni, ani nic wcale niema i dlatego niebo nie ma dokąd ujść“ [3].

Na to Kopernik:

„To właśnie dziwne, żeby nic zdołało przeszkodzić rozsypce czegoś.

„Ale, jeżeliby niebo zajmowało przestrzeń nieskończoną a tylko wewnątrz wklęsła powierzchnia wyznaczałaby jego koniec, to może prędzej prawdą zostanie, że poza niebem niema nic, bo

---

[1] U Aryst. ΠΕΡΙ ΦΥΣ. ΑΚΡΟΑΣ. Ks. III, rozdz. 5 (6).

[2] „Sed cur non illud etiam magis de mundo suspicatur, cujus tanto velociorem esse motum opportet, quanto majus est coelum terra? An ideo immensum factum est coelum, quod ineffabili motus vehementia dirimatur a medio, collapsurum alioqui, si staret? Certe, si locum haberet haec ratio, magnitudo quoque coeli abibit in infinitum. Nam quanto magis ipse motus impetu rapietur in sublime, tanto velocior erit motus, ob crescentem semper circumferentiam, quam necesse sit in 24 horarum spatio pertransire: ac vicissim, crescente motu cresceret immensitus coeli. Ita velocitas magnitudinem et magnitudo velocitatem in infinitum (sese?) promoverent. At, juxta illud axioma physicum, quod infinitum est, pertransiri nequit nec ulla ratione moveri: stabit necessario coelum“.

[3] „Sed dicunt, extra coelum non esse corpus, non locum, non vacuum ac prorsus nihil et idcirco non esse, quo evadat coelum“.

wszystko w niem znajduje miejsce, jakichkolwiek byłoby rozmiarów; ale w takim razie pozostanie niebo nieruchomem“ [1].

Teraz już trzeba było odpowiedzieć wprost na zarzut, czemu ziemia stanowi miejsce spoczynku dla żywiołów ciężkich, a sama nie zostaje w spoczynku? Jak mogą ciała po drodze pionowej spadać na ziemię ruchem do środka, jeżeli sama ziemia zmienia miejsce w przestrzeni? Nim doleciałoby ciało ciężkie do końca drogi, już ziemia porwana pędem poszłaby naprzód, ze szczytu wieży wolno puszczony kamień nie spadłby u jej stóp, tylko trochę na zachód, bo ziemia już uszłaby część drogi na wschód. Na ten zarzut tak odpowiada Kopernik:

„A kiedy co spada albo uchodzi w górę, trzeba przyznać, że odbywa podwójny ruch i istotnie złożony z prostodrożnego i kołowego, o ile uważamy na cały świat. Rzeczywiście, co spada skutkiem ciężaru swego, to, jako zupełnie ziemskie, niezawodnie posiada tę samą przyrodę w swoich cząstkach, jaką ma cała ziemia. Ani nic innego nie zachodzi w ciałach porwanych na wyżyny siłą ognia. Bo i ziemski głównie żywioł podsyca ziemski ogień, i uczą, że płomień niczem innem nie jest, jak tylko dymem rozżarzonym. Ma zaś tę własność ogień, że rozciąga to, co trawi, a sprawia to z taką siłą, że żadnym sposobem, żadną machiną nie można uwięzić ognia, żeby z więzienia wyrwany nie dokonał swojego dzieła. A ruch rozciągliwy zmierza od środku ku powierzchni i dlatego część ziemskiego ciała zapalona uchodzi na wyżyny. . . . . .

. . . „Więc kiedy ciała powszechnie odbywają ruch obrotowy, niektóre przytem ruch prostodrożny, możemy powiedzieć, że razem zostaje ruch obrotowy z prostodrożnym, jak z koniem jeździec. Mianowicie i to, że Arystoteles dzieli ruch pojedyńczy na trzy odmiany: od środka, do środka i o środku, to zejdzie tylko na różnicę myślną, nie rzeczową, tak samo jak wprawdzie

[1] „Tunc sane mirum est, si a nihilo potest cohiberi aliquid.

„At, si coelum fuerit infinitum et interiori tantummodo finitum concavitate, magis forsan verificabitur extra coelum esse nihil, quum unumquodque fuerit in ipso, quamcumque occupaverit magnitudinem; sed permanebit coelum immobile“.

rozróżniamy linię, punkt i powierzchnię, a przecie nie może istnieć jedno bez drugiego ani nic z tego bez ciała . . . . . .

. . . „A nakoniec oczywiście błędne gwiazdy bywają albo bliżej do ziemi albo dalej od niej, więc także tu będzie w jednem ciele ruch i około środka, za który uważają środek ziemi, i od środka i do środka. Więc trzeba ogólniej pojąć ruch o środku i wystarczy, żeby każdy ruch należał do swojego środka“ [1].

Więc Kopernik zburzył prawo, które kazało ruchomemu inaczej odbywać drogę na ziemi, inaczej krążyć w przestworach niebieskich. Ale jeżeli Kopernik oczyścił pojęcie ruchu przyrodzonego z pierwiastku samowładzy, jakąż jego przyczynę wyznaczył, zamiast popędu do właściwego miejsca? Jeżeli pojął ten ruch jako następstwo i wynik pracy sił przyrody, jakąż poznał siłę, na której karb mógłby policzyć ruch obrotowy, któremu kazał panować nad wszechświatem?

---

[1] „Cadentium vero et ascendentium duplicem esse motum fateamur oportet mundi comparatione et omnino compositum e recto et circulari [1]. Quandoquidem, quae pondere suo deprimuntur, quum sint maxime terrea, non dubium, quin eandem servent partes naturam, quam suum totum. Nec alia ratione contingit in iis, quae ignea vi rapiuntur in sublimia. Nam et terrestris hic ignis terrena potissimum materia alitur et flammam non aliud esse definiunt, quam fumum ardentem. Est autem ignis proprietas, extendere, quae invaserit, quod efficit tanta vi, ut nulla ratione, nullis machinis possit cohiberi, quin rupto carcere suum expleat opus. Motus autem extensivus est a centro ad circumferentiam ac perinde (proinde?), si quid e terrenis partibus accensum fuerit, fertur a medio in sublime . . . . . .

. . . „Quum ergo motus circularis sit universorum, partium vero etiam rectus, dicere possumus, manere cum recto circularem, sicut cum equo animal. Nempe et hoc, quod Aristoteles in tria genera distribuit motum simplicem, a medio, ad medium et circa medium, rationis solummodo actus putabitur, quemadmodum lineam, punctum et superficiem secernimus quidem, quum tamen unum sine alio subsistere nequeat, et nullum eorum sine corpore . . . . . .

. . . „Quum denique manifestum sit, errantia sidera propinquiora fieri terrae ac remotiora, erit tum etiam, qui circa medium, quod volunt esse centrum terrae, a medio quoque et ad ipsum unius corporis motus. Oportet igitur motum, qui circa medium est, generalius accippere ac satis esse, dum unusquisque motus sui ipsius medio incumbat“.

[1] Rzecz uwagi godna, jak Kopernik trafił w sedno także tej wielkiej trudności.

Nową przyczynę tego ruchu odkrył, kiedy w rozdz. 8, ks. I., mówi:

„Więc kiedy nic nie przeszkadza ruchowi ziemi, uważam, że teraz trzeba zbadać, czy może kilka ruchów na nią wypada, żeby mogła uchodzić za jednę z gwiazd błędnych. Bo że nie jest środkiem wszystkich obrotów, to widać z niejednostajnego ruchu gwiazd błędnych i zmiennej ich odległości od ziemi, czego nie możnaby zrozumieć bez mimośrodkowego obrotu. Więc kiedy mamy kilka środków, także o środku świata możnaby słusznie wątpić, czy przypada na środek ciężkości ziemskiej, czy gdzieindziej. Co do mnie, sądzę, że ciężkość niczem innem nie jest, jak jakimś wrodzonym popędem, nadanym cząstkom przez Boską Opatrzność Stwórcy świata, żeby do jedności i całości zbierały się, schodząc się razem w postać kulistą [1]. Podobno tę własność ma także słońce, księżyc i inne światła błędne, żeby pod jej wpływem pozostawały w tej kulistej postaci, w jakiej je widzimy, a przytem odbywały swoje obroty, każde swoją drogą. Więc jeżeli i ziemia odbywa swoje obroty, mianowicie około środka, musi podobnie je odbywać, jak wiele innych ciał, w których widzimy roczny obrót“ [2].

Więc zamiast samowładzy i popędu do właściwego miejsca,

[1] Nie jest to zaród nowożytnego pojęcia grawitacyi?

[2] „Quum igitur nihil prohibeat mobilitatem terrae, videndum nunc arbitror, an etiam plures illi motus conveniant, ut possit una errantium siderum existimari. Quod enim omnium revolutionum centrum non sit, motus errantium inaequalis apparens et variabiles eorum a terra distantiae declarant, quae in homocentro terrae circulo non possunt intelligi. Pluribus ergo existentibus centris, de centro quoque mundi non temere quis dubitabit, an videlicet fuerit illud gravitatis terrenae, an aliud. Equidem existimo, gravitatem non aliud esse, quam appetentiam quandam naturalem partibus inditam a Divina Providentia Opificis universorum ut in unitatem integritatemque sese conferant in formam globi cöeuntes. Quam affectionem credibile est, etiam soli, lunae, ceterisque errantium fulgoribus inesse, ut ejus efficacia in ea, qua se repraesentant, rotunditate permaneant, quae nihilominus multis modis suos efficiunt circuitus. Si igitur et terra faciat alios, ut puta secundum centrum, necesse erit eos esse, qui similiter extrinsecus in multis apparent, in quibus invenimus annuum circuitum“.

odgadł Kopernik przyczynę obrotu ciał niebieskich w sile powszechnego ciążenia: grawitacyi. Tem pojęciem odbił broń z ręku perypatetyków, którzy z Arystotelesem mogliby zarzucić, że jednorodne ruchy ciał niebieskich i ziemi istniałyby bez żadnej przyczyny, jeżeli nie pochodzą z samowładzy. Ale pojęcie powszechnego ciążenia u Kopernika zostało tylko domysłem, jak z domysłu mówił o samowładzy Arystoteles. Czyj domysł odpowiadał prawdzie rzeczywistej? Kopernik mógł tylko to odpowiedzieć, że ta hipoteza ma prawo bytu, która zdaje sprawę ze wszystkich zjawisk; a jego hipoteza wyjaśnia wszystko, o czem świadczy astronomia, kiedy Ptolomeusz musiał ciągle nowemi podpórkami opatrywać układ swoich pojęć, a Arystoteles nie wyjaśniał niczem: więc musi filozofia wyrzucić ze swoich zasad domysł o samowładzy. Następne księgi Kopernika dają dowód, że jego hipoteza zdaje sprawę ze wszystkiego, czego Ptolomeusz prawie nie wyjaśnia.

Jednak perypatetycy wcale nie myśleli zaraz odstąpić od utartych pojęć ruchu, jego praw i przyczyny. Nie odstąpili, choć astronomia i przyrodnicy ciałom, odartym ze samowładzy przez Kopernika, przyznali nazwę bezwładnych a w następstwie doszli do prawa, że ciało w ruchu pojedyńczym nie może odbywać drogi kołowej, musi zawsze zostawać na torze prostodrożnym, bo, jak to potem wyraził Laplace [1]: „nie ma żadnego powodu, żeby zbaczało albo na lewo albo na prawo z raz nadanej drogi“. Dlatego fizyka rozłożyła wszelki ruch krzywodrożny na dwa jego prostodrożne składniki: jeden unosi ciało naprzód, drugi ściąga je z dłużni i przez to ruchome zbacza po krzywiźnie ku środkowi ciężkości.

Nietrudno sprawdzić tę zasadę: siła pary w lokomotywie wprawia w ruch pociąg na torze kolei żelaznej. Czy ta sama siła pary sprawia, że pociąg zmienia kierunek drogi na zakrętach toru? Nie; sile czynnej przy pierwszem powstaniu ruchu bezwładność ciała ruchomego odbiera dalszy wpływ na zmianę

[1] *Mécanique céleste*, l. 1, ch. 2.

drogi. Siłą pary rozpędzony pociąg nie ma żadnego powodu zbaczać na żadną stronę, przeciwnie dąży w prostej linii naprzód, i na zawrocie wyskoczyłby z szyn, gdyby tor kolejowy był tak samo zniwelowany na skrętach, jak gdzieindziej. W podróży koleją może kto podejrzywa drogę, że źle zniwelowana, kiedy spostrzega, że wagony przechylają się na bok. Niech nie gani budowy drogi, bo w tem miejscu pociąg jedzie przez zakręt, dlatego z tej strony toru, w którą pociąg skręca, leżą szyny niżej aniżeli z drugiej strony; przez to drugi bok toru pociągowi stawia tamę w jego pędzie po prostej linii; pociąg w ten sposób doznaje oporu w kierunku, do którego dążył, i tą przeszkodą wstrzymany od prostej drogi, musi zwrócić bieg w stronę, na którą chylą się wagony. Bez takiej budowy toru na skrętach, rozpęd na drogę prostą mógłby wykoleić pociąg z szyn zwróconych na bok. Więc siła pary nie sprawi zmiany przy kierunku drogi w pociągu na zakrętach toru; tę zmianę sprawia siła, z jaką stosowna budowa toru stawia pociągowi opór w jego pędzie naprzód i zwraca jego bieg na inną stronę. Inna siła porusza pociąg, inna skrzywia jego drogę. Jak w tym wypadku, tak w każdym podobnym, bezwładność występuje w tem zjawisku, że ciało ruchome jednostajnie zatrzymuje wpływ tej siły, od której dostało ruch po pierwotnej drodze, ani ta siła sama jedna nie zdoła więcej zmienić drogi, na którą raz zwróciła ruchome ciało: więc zmianę drogi sprawić musi siła inna od tej, pod której wpływem wprawione w ruch ciało szło po pierwotnej drodze.

Sile czynnej przy powstaniu ruchu na pierwotnej drodze zabezpiecza bezwładność pod innym także względem jednostajny wpływ na ciała ruchome: jak tą siłą poruszone ciało musi jednostajnie naprzód pod jej wpływem pędzić a nigdzie nie zbaczać. tak musi jednostajnie od jej wpływu zależeć co do szybkości, za jaką odbywa ruch, póki nie dozna oporu.

Jak siła pary wprawia pociąg w ruch o jednostajnym zawsze kierunku, tak raz rozpędzony pociąg z jednostajną szybkością musiałby trwać w ruchu, jeżeliby nie doznawał oporu

w drodze. Dalsza praca lokomotywy w biegu pociągu nagradza straty szybkości, ponoszone przez opór ze strony powietrza, tarcia o szyny i t. d., i dlatego pociąg zachowuje ruch jednostajny.

Przy tem zachodzi wypadek podwójny: siła czynna przy powstaniu ruchu działa albo przez jednę chwilę, albo ciągle. Chwilowa siła nadaje chyżość jednostajną, bo na żaden samodzielny wzrost albo ubytek ilości ruchu nie pozwoli ciału ruchomemu jego bezwładność. Siła ciągła sprawia chyżość jednostajnie przyspieszoną, bo ustawicznie dodaje chyżości, której nabytek, coraz nowy a równy w każdej sekundzie, dostał nazwę jednostajnego przyspieszenia, a bezwładne ciało ruchome, jak nie może uronić nic z ilości ruchu już nabytej, tak również ulegać musi ustawicznie wpływowi siły ciągłej.

Więc prawo bezwładności rządzi chyżością właściwą wpływowi każdej siły, tak samo jak panuje nad jednostajnym kierunkiem ruchu.

Więc bezwładność daje podstawę do nowego podziału ruchu, zamiast dawnego na ruchy do środka, od środka albo naokoło środka świata. Można dzielić ruch albo pod względem postaci drogi, albo pod względem chyżości. Postać bywa albo prostodrożna, do której wystarczy jedna siła, albo krzywodrożna, do której potrzeba najmniej dwóch sił. Chyżość bywa albo jednostajna, która pochodzi od siły chwilowej, albo jednostajnie przyspieszona, którą sprawia siła ciągła. Inne podziały ruchów na razie nie potrzebują wzmianki.

Z tego wynika, że ruch ciała niebieskiego nie może powstać pod wpływem jednej siły, bo ruch obrotowy należy do krzywodrożnych.

Więc także ruch przy rocznym obrocie albo ziemi koło słońca albo słońca koło ziemi wypada z działania dwóch sił. Jeżeli np. słońce okrąża ziemię, jedna siła wprawiła je w ruch, druga ściąga je ciągle z prostej drogi. Pierwsza dała tak zwaną żywą siłę ruchu, druga utrzymuje słońce i ziemię na odległości przeciętnie 20-tu milionów mil.

Takie dał wyniki rozwój pojęcia bezwładności.

Żeby z tych wyników wyprowadzić dalszy wniosek, trzeba pożyczyć z mechaniki wskazówek bliższych o prawach ruchu krzywodrożnego.

Siły, które razem sprawiają ruch krzywodrożny, nazywamy składowemi. Siłę czynną przy pierwszem powstaniu ruchu, pod której wpływem wyłącznym ciało zachowałoby prosty kierunek pierwotny, nazywamy stycznopędną. Siłę, pod której wpływem ciało zbacza od pierwotnego kierunku, nazywamy dośrodkową.

Obie składowe działają każda odrębnie w właściwym sobie kierunku i z właściwą chyżością. Chociaż ich wypadkowa krzywodrożna ma znów odrębne własności, ale nie niweczy własności składowej żadnej, tak, że każdą z nich można określić ze znanych własności drugiej składowej i wypadkowej. Z tych ścisłych stosunków między niemi mogła obliczyć matematyka, że przy ruchu kołowym

siła dośrodkowa jest ciągłą,

siła stycznopędna jest chwilową,

działa z tą samą chyżością, co wypadkowa,

stanowi średnią proporcyonalną między przyspieszeniem dośrodkowej a promieniem koła obrotu.

Ruch roczny, czy to słońca koło ziemi, czy ziemi naokoło słońca, stanowi drogę zamkniętą, w której odległość obu ciał małej zmianie ulega w przeciągu roku. Więc ten ruch opisuje elipsę o małem oddaleniu ognisk, dlatego można do niej zastosować w tem miejscu prawa ruchu kołowego. Mały mimośród tej elipsy nie sprawi znacznej różnicy w tych rezultatach.

Z takiem zastrzeżeniem można uważać drogę rocznego obrotu za iloczyn z odległości ziemi do słońca pomnożonej przez 2π ($2 \times 3{\cdot}14159$). Ten iloczyn wyniesie 125,663.600 mil geograficznych.

Ta droga trwa przez 365 dni, 6 godzin, 9 minut, 11 prawie sekund, co daje prawie 30,000.000 sekund.

Iloraz z długości drogi przez ilość sekund daje średnią chyżość wypadkowej: 126,000.000 mil podzielone przez 30,000.000 wyniesie koło czterech mil, to jest prawie 30.000 metrów.

Więc wypadkowa w ruchu rocznym ma szybkość prawie 30.000 metrów na sekundę.

A stycznopędna ma z wypadkową w obrocie kołowym równą chyżość: więc szybkość stycznopędnej, czynnej przy obrocie rocznym, wynosi około 30.000 metrów.

Te wiadomości wystarczą, żeby obliczyć siłę dośrodkową. Żeby ją oznaczyć, dość poznać jej przyspieszenie, a nic łatwiejszego, jak je obliczyć, bo chyżość stycznopędnej przedstawia średnią proporcyonalną między przyspieszeniem dośrodkowej, a odległością słońca od ziemi. Po zmianie tej odległości na metry wypada na przyspieszenie stosunek 900,000.000 : 15,000.000.000 tj. 0·006 metra: więc siła dośrodkowa ma sześciomilimetrowe przyspieszenie. Innemi słowami: ciało środkowe, czy to ziemia, czy słońce, około którego drugie z tych ciał odbywa obrót roczny, sprowadza to ostatnie z drogi prostej z siłą przyspieszenia sześciu milimetrów na sekundę.

Więc, jak pierwej prawo bezwładności odkryło, że roczny obrót, czy to ziemi koło słońca, czy odwrotnie, powstaje pod wpływem dwóch sił, tak teraz prawa mechaniki oznaczają kierunek i chyżość, z któremi te siły działają.

A teraz zostaje pytanie, czy ziemia z odległości dwudziestu milionów mil zdoła z drogi prostej ściągać słońce z wyżej wymienioną siłą?

Niezliczone spostrzeżenia okazują, że ciała przy powierzchni ziemi spadają na nią z siłą dośrodkową o przyspieszeniu dziesięciu metrów na sekundę.

A to przyspieszenie maleje, jak rosną kwadraty odległości; jest to po prostu prawo Newtona. Niech aerolit spada na ziemię z wysokości podwójnej średnicy ziemskiej. Na tej wysokości aerolit będzie pięć razy dalej od środka ziemi, aniżeli ciała przy jej powierzchni: więc spadnie z przyspieszeniem w pierwszej sekundzie dwadzieścia pięć razy mniejszem od przyspieszenia, jakie doświadczamy przy powierzchni ziemi, to jest z przyspieszeniem czterech decymetrów.

Odległość księżyca od środka ziemi wynosi sześćdziesiąt długości promienia kuli ziemskiej: więc siła dośrodkowa, z którą

księżyc zbacza od prostej drogi ku ziemi, ma przyspieszenie 3600 razy mniejsze od tego, z którem spada ciało przy powierzchni ziemi, to jest, nie całe trzy milimetry na sekundę.

A z odległości dwudziestu milionów mil, z jakiem przyspieszeniem spadnie ciało na ziemię? To ciało zacznie spadać z wysokości dwadzieścia tysięcy prawie razy większej, aniżeli odległość powierzchni ziemi od jej środka: więc z przyspieszeniem 400 milionów razy mniejszem od przyspieszenia na powierzchni ziemskiej. Ileż to wyniesie? Czterechsetmilionowa część dziesięciu metrów daje dwie stutysięczne części milimetra. Więc gdyby słońce miało obiegać koło, wypada, że siła dośrodkowa, z jaką zbaczałoby słońce z prostej drogi ku ziemi, miałaby przyspieszenie dwóch stutysięcznych części milimetra.

Tymczasem faktycznie ciało, które odbywa obieg roczny, ulega, jakeśmy widzieli, przyspieszeniu trzysta tysięcy razy większemu. Więc faktycznie ziemia nie może być ciałem środkowem, około którego obiegałoby słońce, ale odwrotnie, ziemia koło słońca krąży. Do tego wniosku prowadzą nas prawa mechaniki.

Z tegoż dowodu wynika również, że gdyby słońce obracało się koło ziemi, to u nas każde ciało spadałoby z przyspieszeniem trzech milionów metrów, z górą czterechset mil w pierwszej sekundzie, księżyc zbaczałby z prostej drogi z przyspieszeniem prawie kilometrowem i t. d. Te sprzeczności z namacalnem doświadczeniem wystarczą na odpowiedź ostatniemu obrońcy Ptolomeusza, który w ostatnich dziesiątkach lat wydał jeszcze niemiecką broszurkę pod napisem: *Die Erde steht still!* [1]

[1] Wyłożony tutaj dowód przychodzi już w podręcznikach, przeznaczonych dla szkół średnich, ale przedstawiony wogóle trochę niezgrabnie, bo oparty jako na pewniku, że masa słoneczna jest trzysta tysięcy razy większa od ziemskiej; z tego pewnika oczywiście już wynika, że ziemia musi obracać się koło słońca. Ale skądżeż fizyka zna masę słoneczną? Oblicza ją zależnie właśnie od obrotu ziemi koło słońca, jakby już pewnie znanego, bo dowodzi, że masa słońca tyle razy przewyższa ziemską, z ile razy większem przyspieszeniem spadają ciała na słońce, aniżeli na ziemię, a ziemia, przy rocznym obiegu koło słońca, zbacza ku niemu ruchem dośrodkowym o przyspieszeniu sześciomilimetrowem, czyli trzysta tysięcy razy

Rozwój pojęcia bezwładności i następne postępy mechaniki dowiodły ostatecznie, że prawdzie odpowiedział domysł Kopernika o ruchu ziemi i pozbawił wszelkiego prawdopodobieństwa domysł Arystotelesa o ruchach samowładnych. Ale za czasów Kopernika jego pojęcie ruchu mogło uchodzić za mrzonkę, niegodną miana hipotezy, a na dobitek pełną doniosłych następstw dla układu pojęć dalszych w filozofii perypatetycznej. Gdyby tylko Kopernik wpadł na myśl czysto astronomiczną, chociażby niezgodną z astronomią Arystotelesa, mogliby perypatetycy wstrząsnąć nad nią ramionami z pogardą, jak lekceważyli epicykle i ekscentryki Ptolomeusza. Ale pojęcie ruchu, oparte na ciążeniu powszechnem zamiast na samowładzy, wyglądało na zuchwałą napaść na ustaloną filozofię, bo chociaż nie całą metafizykę perypatetycy wywodzili z błędnego pojęcia ruchu, jednak opierali na niem ważny jej dział, nazywany wówczas filozofią przyrody, a dziś kosmologią.

Żeby poznać, jak cała filozofia przyrody *(philosophia naturalis)* nasiąkła pojęciem ruchu samowładnego, dość zauważyć, że Arystoteles wplątał to pojęcie w swoją naukę o ustroju ciał fizycznych [1].

---

większem od przyspieszenia, z jakiem zacząłby np. aerolit spadać na ziemię z odległości dwudziestu milionów mil: więc obrót ziemi koło słońca z ruchem dośrodkowym o przyspieszeniu sześciomilimetrowem dowodzi, że masa słoneczna przewyższa ziemską trzysta tysięcy razy. Jeżeli z obrotu ziemi poznajemy masę słońca, jak można z masy słońca dowodzić znowu obrotu ziemi? Żeby błędnego koła uniknąć, trzeba obliczyć przyspieszenie ciała ruchomego przy obrocie rocznym, niezależnie od tego, czy słońce czy ziemia odbywa ten ruch; matematyka istotnie nie potrzebuje wiedzieć, które z tych dwóch ciał okrąża drugie: dość jej znać rozmiary drogi kołowej i przeciąg czasu potrzebnego do obrotu, — obliczy stąd chyżość, i kiedy podzieli jej kwadrat przez promień koła obrotu, w ilorazie otrzyma przyspieszenie. Teraz fizyk zwraca na to uwagę, że gdyby z tem przyspieszeniem ruchu dośrodkowego słońce okrążało ziemię, każde ciało spadałoby na nią z przyspieszeniem trzysta razy większem od obecnego: stąd można równocześnie wyprowadzić oba wnioski: że ciało środkowe przy rocznym obiegu jest słońcem i że ma masę trzysta tysięcy razy większą od masy ziemskiej.

[1] To pytanie za jego świadectwem należało do głównych zagadek, które trapiły filozofów przyrody: dlatego rozbiera je na pierwszem miejscu

Nauka o ustroju ciał z materyi i formy powinna była zdawać sprawę ze zjawisk i tajemnic przyrody: dlatego Arystoteles badał zakres wpływów obu tych składników ciała. Do tego potrzebował określić pojęcie natury ciał i tu już wezwał do pomocy nieszczęsną samowładzę i pojął naturę ciał, jako pierwiastek ruchu albo spoczynku pierwotny, a nie tylko przypadkowy [1].

Potem bada on, czy materyę, czy formę uważać trzeba za naturę i źródło ruchu w ciele. Przyznaje, że pod pewnym względem słusznie Antyfon nazwał naturą materyę, ale uważa, że bardziej jest naturą forma [2].

W ten sposób wplątał Arystoteles niepoczesną samowładzę w swoje pojęcie składników ciała fizycznego: materyę i formę.

Dzisiejsza fizyka co kilka kroków opiera pochód swojej myśli na bezwładności ciał, mechanicznie wyjaśnia ogół zjawisk w przyrodzie, sprowadza je do odmian ruchu i oblicza je jego prawami. Zamiast tego poglądu mechanicznego, perypatetycy

---

ksiąg ΠΕΡΙ ΦΥΣΙΚΗΣ ἈΚΡΟΑΣΕΩΣ, Ks. I, r. 2: ἐξ ὧν γὰρ τὰ ὄντα ἔστι ζητοῦσι πρῶτον .. Ὥστε τὴν ἀρχὴν καὶ τὸ στοιχεῖον ζητοῦσι... Nie odszedł od innych w zasadzie, że w ustroju ciał biorą udział jakieś składniki przeciwne: r. 5: τἀναντία πως πάντες ποιοῦσι τὰς ἀρχάς... καὶ τοῦτο εὐλόγως; ale spostrzegł, że te „przeciwieństwa“, np. „nieuk“ i „uczony“ potrzebują jakiegoś podkładu, na którym kolejno występują, podmiotu przeciwnych orzeczeń, np. „człowiek“, stąd potrzeba składnika trzeciego: r. 6: οὐ γὰρ ἡ φιλία τὸ νεῖκος συνάγει καὶ ποιεῖ τι ἐξ αὐτοῦ, οὐδὲ τὸ νεῖκος ἐξ ἐκείνης, ἀλλ' ἄμφω ἕτερόν τι τρίτον. Dalej uważał, że ten podkład, np. „człowiek“, stanowi wraz z jednem przeciwieństwem: „nieuk“, liczebnie jedno i to samo, choć wobec rozumu występują jako dwa pojęcia; dalej r. 7: δεῖ τι ἀεὶ ὑποκεῖσθαι τὸ γιγνόμενον· καὶ τοῦτο εἰ καὶ ἀριθμῷ ἐστὶν ἕν, ἀλλ' εἴδει γε οὐχ ἕν. Stąd wnosi, że do ustroju ciała fizycznego należą poniekąd dwa czynniki: podkład i jego postać, jak „człowiek“ i „nauka“, poniekąd wymienić można jeszcze trzeci, brak postaci czyli jej przeciwieństwo: „nieuctwo“. Podkład przychodzi u perypatetyków pod nazwę materyi pierwszej, postać u nich dostała nazwę formy.

[1] Tamże Ks. II., r. 1: Τῶν ὄντων τὰ μέν ἐστι φύσει, τὰ δὲ δι' ἄλλας αἰτίας· φύσει μὲν τά τε ζῷα καὶ τὰ μέρα αὐτῶν καὶ τὰ φυτὰ καὶ τὰ ἁπλᾶ τῶν σωμάτων... Τὰ μὲν γὰρ φύσει ὄντα πάντα φαίνεται ἔχοντα ἐν ἑαυτοῖς ἀρχὴν κινήσεως καὶ στάσεως... ὡς οὔσης τῆς φύσεως ἀρχῆς τινὸς καὶ αἰτίας τοῦ κινεῖσθαι καὶ ἠρεμεῖν ἐν ᾧ ὑπάρχει πρώτως καθ' αὑτό, καὶ μὴ κατὰ συμβεβηκός.

[2] Tamże dalej: Ἕνα μὲν οὖν τρόπον οὕτως ἡ φύσις λέγεται, ἡ πρώτη ἑκάστῳ ὑποκειμένη ὕλη τῶν ἐχόντων ἐν ἑαυτοῖς ἀρχὴν κινήσεως καὶ μεταβολῆς... Ὥστε ἄλλον τρόπον ἡ φύσις ἂν εἴη τῶν ἐχόντων αὐτοῖς κινήσεως ἀρχὴ ἡ μορφὴ... καὶ μᾶλλον αὕτη φύσις τῆς ὕλης.

widzieli przyrodę w świetle jakby psychicznem: kazali ciałom odbywać samowładnie ruchy, dzięki istotnym formom, ukrytym siłom i popędom, bo według słów o tem św. Tomasza z Akwinu [1]: „jak forma istotna pociąga za sobą wszelkie dalsze przymioty zewnętrzne i przypadłości, tak dla ciała wymaga oznaczonego także miejsca, a w następstwie ciało z miejsca przymusowo wypchnięte, samo do niego wraca". Kopernik zadał cios samowładzy ciał i tem samem wstrząsnął jedną z podwalin ówczesnej filozofii natury, to jest zasadą, że w ciele tkwi jakiś pierwiastek czynny, jako niewyczerpane źródło samowładnego ruchu. Choć Kopernik jeszcze wyraźnie nie wymienia bezwładności ciał, ale tak im odmawia samowładzy, że w przebiegu jego dowodów wszystko spoczywa na ruchu ciał bezwładnych. Po Koperniku, Jan Benedetti (1530—1590 nadworny matematyk księcia sabaudzkiego) poświęca wyraźnie pojęciu bezwładności ustęp swojego dzieła głównego; coraz wyraźniej wspominają o niej Kepler i Galileusz, a Descartes dość ściśle określa jej pojęcie, na niej opiera swój mechaniczny pogląd na przyrodę, i za przewodnią myśl swojej nauki obiera ruch zamiast formy istotnej.

Nie dziw więc, że ruch ziemi około słońca został hasłem, które odróżniało wodzów i głównych krzewicieli filozofii wyzwolonej z poglądów Arystotelesa, od obrońców szkoły perypatetycznej. Już nikt tak spokojnie nie umiał mówić o ruchu ziemi i naprawie nauki Arystotelesa, jak dawniej obojga żądał np. Mikołaj Kuzańczyk, kardynał, w którego pismach [2] świta domysł o ruchu ziemi. W wiekach XVII. i XVIII. sprzyjać nowej mechanice kosmicznej i wołać o zagładę szkolnej filozofii, znaczyło jedno i to samo. Gassendi (1592—1655), otwarty zwolennik Demokryta, Kampanelli (1568—1639), Bakona (1561—1626) i Hobbesa (1588—1679), w ścisłej korespondencyi z Galileuszem (1564—1642) poufnie wyznaje, że przyjmuje system Kopernika z jego następstwami w filozofii naturalnej. Descartes (1596—1650), Leibnic (1646—1716) i Newton (1642—1726) należą do najdziel-

[1] *Comm. in phys. Arist.* l. 2, c. 1; lect. 1.
[2] *De docta ignorantia* l. 2, c. 11.

niejszych obrońców Kopernika i swojemi pracami razem z Galileuszem wytknęli drogę dzisiejszym poglądom, przyjętym w filozofii przyrody.

Oczywiście Kopernik nie przypuszczał, że perypatetycy bez walki odstąpią od Arystotelesa przed nowem pojęciem ruchu i jego następstwami. Przewidywał nawet dalszy obrót walki. Kiedy braknie filozofom dowodu na obronę nauki swojej czysto ludzkiej, wtenczas sięgają nieraz po broń powagi i usiłują prawdą objawioną poprzeć swoje poglądy. Tak postąpili i obrońcy ziemi nieruchomej i zwolennicy nowej astronomii. Kopernik ostrzegał, że Pismo święte nie rozbiera zagadnień czysto naukowych: darmo było o tem mówić zagorzałym zapaśnikom. Na nieszczęście dla Kopernika, za jego nauką stanął obóz nieprzychylny Rzymowi i oddał Kopernikowi przysługę iście niedźwiedzią: w ustach innowierców pochwały dla Kopernika budziły dla niego niechęć w sercach katolickich i sprawiły, że jego pomysł wyglądał ostatecznie za coś przynajmniej podejrzanego, za obrazę uczuć i uszów prawowiernych *(piarum aurium offensiva)*.

Ale bieg wieków uspokoił umysły. Waśnie wyznaniowe ucichły, a z postępem oświaty aberracya światła, pomiary paralaksy i nakoniec ostatecznie wyświecone prawa mechaniki, przyznały zwycięstwo Kopernikowi. Wreszcie także szkolna filozofia odstąpiła od Arystotelesa w pojęciach zburzonych przez Kopernika. Dzisiaj ani wzmianki o tych pojęciach nie można znaleść w podręcznikach filozofii perypatetycznej, najbardziej cenionych przez obrońców nauki Arystotelesa w innych działach filozofii. Dość przeglądnąć dzieło filozoficzne kardynała Zigliary O. P., bardzo polecane przez Leona XIII. biskupom do wykładów po seminaryach, albo najnowszy podręcznik księdza de Maria T. J., pochwalony osobnem *breve* przez tegoż Papieża, dość znać wykłady w Kolegium Rzymskiem, żeby wiedzieć, że filozofia perypatetyczna dokonała dzieła naprawy, żądanego w XV. wieku, i postępuje w zgodzie z nowożytną oświatą.

Filozofia perypatetyczna, odrodzona w duchu nowoczesnym, służy za dowód, że choć dzieło ludzkie, nawet zaszczycone opieką Kościoła, nieraz potrzebuje poprawy, jednak Kościół nie broni

badaczom przyrody podnosić głosu, żeby oczyścić z przestarzałych pojęć naukę filozoficzną najpoważniejszą w Kościele, jaką niezawodnie była perypatetyczna. Walka przeciw niej wystawiła także Kościół na niezliczone pociski, miotane przez krzewicieli filozofii wyzwolonej. Ciągle brzmiały okrzyki, że Kościół przez obronę szkolnej filozofii zajął stanowisko zacofane wobec postępów wiedzy. Kościół bronił tej filozofii od zagłady, ale nie kazał jej zdrętwieć w starożytnych błędach. Dziś te zarzuty tracą nawet pozorną podstawę.

Taki skutek długowiecznej walki doprowadził do tego, czego sam Kopernik skromnie oczekiwał, kiedy w liście do papieża wyraził nadzieję, że jego praca nie zostanie bez pożytku dla sprawy Kościoła: *et hi nostri labores, si me non fallit opinio, videbuntur etiam Reipublicae Ecclesiasticae conducere aliquid.*

Ks. K. Czaykowski.

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Urywki z pamiętnika.

II. Pochód na Sybir.

Przygotowania do podróży były bardzo krótkie: trochę świeżej bielizny, parę sukien, poduszeczka skórzana pod głowę i woreczek skórzany na piersi z zaoszczędzonem grosiwem, oto, co przysposobił nam ojciec; łaskawy zaś rząd oprócz tego dał mi, jako osądzonemu w sołdaty: buty juchtowe żółte, szynel sołdacki szary, takąż czapkę bez daszka, i majtki sołdackie, czarne; a zapowiedział przytem, że, jakkolwiek pozwala mi się wziąć z sobą własne ubranie, jeżeli je mam, to jednak obowiązany jestem tak wychodząc z Grodna, jak również wstępując do każdego miasta po drodze, brać na siebie uniform rekrucki, oraz obowiązany jestem ostrzydz włosy stosownie do przepisu, tj. na jednej półgłowie zostawiając włosy dłuższe nieco, a na drugiej całkiem króciutkie; że, w drodze szczególnej łaski, pozwala mi się to uskutecznić samemu, w przeciwnym zaś razie dopełnionem to będzie na bębnie, przez rządowego cyrulika. Nie czekałem więc ani chwili, aby coprędzej pozbyć się włosów, lecz już na całej głowie ostrzygłem się tak krótko, aby nawet ten rządowy cyrulik nie potrafił na którejkolwiek połowie głowy wystrzydz łysiny.

W niedzielę, dnia 6 października 1863 r. z rana ulice przylegające do więzienia zapełnione były tłumem Grodnian, pragną-

cych jeszcze raz oglądać swoje dzieci, pożegnać i pobłogosławić na drogę. O godzinie 9-tej rano dwadzieścia kilka osób wyprowadzono z więzienia; lżej sądzeni w ubiorach własnych, a srożej — w uniformach rządowych; otoczono silnym konwojem wojska i poprowadzono ku stacyi kolei żelaznej. Niedługo konwój połączył się z tłumem, bo serdeczniejsze kobiety nie mogły się wstrzymać, aby się nie przedrzeć do środka, nie popieścić, nie ucałować raz jeszcze swego ulubieńca; za niemi podążyli inni, i tak szliśmy już w gronie swoich najbliższych; konwój zaś widząc, że tu nic im nie zagraża, że tylko czułe pożegnania, błogosławieństwa, łzy i szlochania zajmują wszystkich, ustąpił na stronę. Przed stacyą już musieliśmy się ostatecznie pożegnać i sami tylko weszliśmy na peron, niosąc na plecach tłomoczki swoje i jadło. Rozpaczliwe jęki, płacze stojących poza baryerami naszych ukochanych, towarzyszyły nam do ostatniej chwili wyjazdu. Płakały nietylko kobiety i dzieci, ale też zanosili się z płaczu mężczyźni w sile wieku, płakał i mój ojciec, zahartowany eks-wojak z czasów Mikołajowskich, oficer, którego całe piersi uwieszone orderami rozmaitych stopni — wszystko to płakało żegnając nas, a my tak potrafiliśmy utrzymać siłę ducha, że ani jeden miny nawet kwaśnej nie okazał, wszyscyśmy się żegnali wesoło, z uśmiechem, zapewnialiśmy o prędkim powrocie, a gdy już lokomotywa gwizdnęła, kiedy zawachlowały w powietrzu ostatnie sygnały białych chustek pozostałych rodzin, jednomyślnie zanuciliśmy chórem „Boże, coś Polskę“, i z tem ostatniem wysileniem dobrego niby humoru, znikliśmy z widowni grodzieńskiej.

Odjechawszy nieco, po ukończonym śpiewie, dopiero daliśmy wolę uczuciu, ale jednak żaden z nas i wówczas nie zapłakał: posmutnieliśmy tylko, każdy widać starał się utrwalić w pamięci wszystko to, czego doznał na rodzinnej ziemi, zapamiętać ostatnią chwilę rozstania, aby temi pamiątkami odżywiać ducha w przyszłości, aby się karmić miłością dla kraju i swoich wtedy, gdy już ani powietrza, ani głosu rodzinnego zasłyszeć nie będziemy w stanie.

Po takiej pauzie medytacyi ocknęliśmy się w miejscu

o 14-cie wiorst odległem od Grodna, gdzie Kulczycki zeskoczył z lokomotywy, która już tam bieg swój zwolniła, a której zatrzymać sam nie umiał, — poświęciliśmy mu pośmiertne, pełne chwały wspomnienie, bo wtedy już on nie żył, już był zabity gdzieś koło Kowna, jako dowódca niewielkiej, rozbitej przez Moskali partyi, ale przed śmiercią sam kilku Moskali położył trupem; i z tem wspomnieniem ruszyliśmy dalej.

Na pierwszej stacyi Porzecze, spotkała nas przyjemna niespodzianka. Traktyernicy na niej, dowiedziawszy się, że dnia tego będą przewozić partyę Grodnianów, w której ma być mój brat, inżynier budujący tę stacyę przed rokiem, przygotowali paradny obiad dla całej partyi i uprosili władzę konwojową, jakoteż miejscowych żandarmów, aby uraczeniu nas tym obiadem nie przeszkadzali. Otrzymawszy pozwolenie, przyjęliśmy obiad z serdeczną wdzięcznością, na którym wiwatów i toastów rozmaitych nie brakło, a tak pokrzepieni na duchu i ciele, w dalszą udaliśmy się podróż.

Do Wilna przybyliśmy tegoż dnia wieczorem. Z dworca kolei, przez całe miasto przeszliśmy piechotą z tłomoczkami na plecach, otarliśmy się o świeżo opróżnione z ciał Sierakowskiego i innych szubienice, wystawione na placu, w pobliżu więzienia, i znów nas zamknięto w tym przybytku wszelkiego bezprawia, o jakiem pojęcie może mieć tylko ten, kto zwiedził moskiewskie *ostrogi*[1]. Tu, po raz pierwszy w życiu zetknąłem się oko w oko z bohaterami kradzieży, rozbojów, mordów, pożogi i rabunków, z tak zwanymi cywilnymi przestępcami. Pięć dni dano nam czasu na pierwsze rozpoznanie się w tych fusach ludzkości, a żeby to poszło nam z większą łatwością, i aby gruntowniej zbadać naturę i wartość tych nowych kolegów naszych, umieścili nas razem w jednych kamerach, wspólne dali nam jadło, ogólne *nary*[2] do spania, wspólną *paraszkę* (przepraszam, że tłumaczyć znaczenia tego wyrazu nie będę), razem mężczyźni, kobiety, dziewczęta i dzieci — wszystko to było wspólnie i razem.

Tu dopiero zupełnie inny świat przedstawił się naszym

[1] Więzienia forteczne. [2] Prycze.

oczom; stworzenia, bez żadnego pojęcia o uczuciach ludzkich, istne bydło w postaci człowieka, w całej nagości objawów swych instynktów, rozpościerało przed nami karty świetnych swych dziejów, chlubiąc się z dokonania takich czynów, o jakich myśmy pojęcia nie mieli, na które oburzały się natury najmniej wrażliwe, powstawały włosy, więdły uszy słuchaczy. Nic bardziej przerażającego, bardziej obmierzłego, nie zdarzyło mi się ani słyszeć, ani czytać, jak tam usłyszałem z ust żywych, żywą historyę najrozmaitszych zbrodni. Całe wieczory ci niby ludzie spędzają na opowiadaniu sobie z cyniczną szczerością wszystkiego, czego się w życiu dopuścili, a o ile więcej kto ofiar naliczył, o ile one były krwawsze, a bohater mniej czułym, o tyle większy wzbudzał w słuchaczach szacunek dla siebie, o tyle większą grał rolę. Taki miał przed wszystkimi pierwszeństwo we wszystkiem, taki był zwykle obierany na starostę więzienia, sądził sprawy, dzielił jałmużnę, pośredniczył z władzą więzienną, i był ogólnie w swojem gronie wielce poważany. Kajdany u takich ludzi to igraszka, którą się popisują tylko w obecności dozorców i inspektorów więzienia, skoro zaś tylko więzienie zamknęli i zostawili samych, już skuci na rękach i nogach zdejmowali łańcuszki, zawieszając je na jednej tylko ręce lub nodze, a w razie czyjegoś nadejścia, w tej chwili kajdany już były na swoich miejscach, i wszystko było w porządku. Jakim sposobem oni tak zręcznie tego dokonywać potrafili, nigdy przypatrzyć się nie mogłem, ale widziałem, że kajdany były mocne, całe i bez żadnego śladu żeby je można było gdzieśkolwiek rozpiąć, a tem mniej zdjąć bez odpowiedniego narzędzia kowalskiego.

Taka to szanowna dostała nam się kompania, aż na pięć dni odpoczynku w Wilnie. Cisnęliśmy się jak mogli choć do jednego kąta razem, bliżej siebie, aby się oddzielić od nich. A, że w Wilnie już przedtem było dużo oprócz nas politycznych więźniów, rozsadzeni więc po rozmaitych kamerach, w każdej z nich znaleźliśmy i swoich. W kamerze, do której mnie przydzielili, już było kilkunastu politycznych więźniów, między którymi jedno młode małżeństwo z dwojgiem małych dziatek. Kamera była duża, mieściła w sobie razem sześćdziesiąt osób. Pa-

nowie cywilni przestępcy, jako główni obywatele więzienia, zajmowali pierwsze i najlepsze miejsca na narach, my zaś rozmieściliśmy się w dwóch kątach na podłodze. W tej części, do której ja się przyłączyłem, było owe małżeństwo. W samym więc rogu przy ścianie leżała matka rodziny, przy niej dwoje dziatek, następnie mąż, a dalej już koledzy losu. Położenie było dla nieprzyzwyczajonych czasami bardzo drażliwe...

W gronie cywilnem żadnych skrupułów nie było, tam się wszystko robiło otwarcie, bez żadnych zasłonek, a tem mniej chrząkań, lub śpiewów, urzędnicy tylko „paraszkowi“, tak zwani *paraszniki*, obowiązani byli pilnować, aby codzień z rana „paraszka“ opróżnioną była.

Po pięciu dniach takiej praktyki cywilizacyjnej wysłali nas 11-go października do Petersburga. Tegoż dnia w nocy, a raczej 12-go października nad ranem, konwojujący partyę oficer obudził nas w wagonie wywoływaniem brata mego; domyśliliśmy się więc, że to musiał być Dynaburg, gdzie brat miał pozostać dla odsiedzenia kary w fortecy. Ledwieśmy parę słów na pożegnanie zamienić mogli, już brat wyskoczył z wagonu, a wtedy bezwiednie jakoś krzyknąłem mu jeszcze przez okno, że w Permie zaczekam na niego. O ile to jednak było możebnem, nie miałem wyobrażenia, wiedziałem tylko tyle, że on jest przeznaczony na mieszkanie do permskiej gubernii, a Perm miasto gubernialne leżało na mojej drodze na Amur. Dusza gwałtem widać tworzyła sobie jakieś jeszcze nadzieje przyjemności, i to podyktowało mi wspomnianą bratu zapowiedź!

Do Petersburga przyjechaliśmy 13-go października wieczorem. Już na stacyi petersburskiej rozdzielono nas na kategorye podług wyroków; osądzonych w sołdaty zebrali w jedną partyę, a wszystkich innych w drugą. Zostaliśmy więc w liczbie kilku tylko z kategoryi rekrutów, i nas, jako takich, poprowadzono nie do cytadeli, lecz do koszar wojskowych. Prowadził nas oficer z obnażonym pałaszem i kilku żołnierzy z karabinami. Ledwieśmy ruszyli ze stacyi ku Arakczejewskim koszarom, gdy od mieszkańców Petersburga doznaliśmy wcale niemiłego przyjęcia. Dowiedziawszy się, że to *palakow* prowadzą, rozwścieczona już

przeciwko nam petersburska czerń, zbierając się co chwila w coraz większej liczbie, zaczęła łajać, pluć, rzucać kawałkami cegieł, odłamkami butelek i kto czem miał, a nareszcie rzuciła się do bicia. Przytomności tylko i odwadze oficera zawdzięczamy, żeśmy bez wielkich szwanków potrafili umknąć. Oficer doprowadzony był do tego, że płazem pałasza grzmocił zajadłych napastników, a konwojowi kazał nastawić bagnety i tym sposobem ochraniał nas od pobicia. Ja jakoś tak manewrowałem, w tył i naprzód przeskakując rączo, że, oprócz oplucia mego szynela i paru jakichś odłamków, które mię trafiły, kułaka moskiewskiego wtedy nie skosztowałem wcale. Za to przyjęcie nas przez garnizon petersburski w Arakczejewskich koszarach mogę zaliczyć do bardzo ludzkich i uprzejmych. Po tem wszystkiem, czegośmy doświadczyli od czasu aresztowania aż do wstąpienia w mury tych koszar, obejście się garnizonu wydało się nam prawdziwie stołecznem, eleganckiem. *Locum* dali nam bardzo wygodne, każdy żołnierz starał się w czemś dogodzić, w czemś uprzedzić, wyrządzić jakąś przysługę; nie traktowali nas jak rekrutów, lecz jako ludzi, których położenie szacunek i współczucie obudzać powinny. I jednego więc i drugiego doświadczyliśmy od nich, to bezstronnie, z całą słusznością przyznać należy. Trzy dni, przebyte w tych koszarach, były prawdziwie przyjemnym wypoczynkiem. Żołnierze dostarczali nam z miasta wszystkiego, o cośmy prosili, pozwalali nawet ze sobą przejść się po sąsiednich dzielnicach miasta, zachodzili z nami do sklepów i cukierni, słowem, użyliśmy tam przedsmaku swobody ruchów, tak dawno pozbytej. W koszarach przyjmowaliśmy gości, pragnących nas odwiedzać, ale byli to wyłącznie Moskale, mieszkańcy Petersburga, którzy nasłuchawszy się dużo o „leśnych zwierzętach“, zwanych Polakami, chcieli im się przypatrzyć, poznać.

Pewnego razu, przychodzi jeden żołnierz garnizonu do nas i zapytuje, czy przyjmiemy *gaspòd* (panów lub państwo), którzy przyjechali i pragną nas widzieć?

— I owszem, — odpowiadamy — bardzo prosimy.

Weszło więc kilka osób, mężczyźni i damy, ubrani nadzwyczaj bogato, w sobolowych futrach, damy w aksamitach,

pełno złota, brylantów, aż kapie! Widocznie ludzie to wyższego towarzystwa, przynajmniej tak świadczy przepych ubrania. Podeszli bliżej z ukłonem, przypatrują się, to spojrzą wzajemnie na siebie, to znów nas oglądną, nareszcie któryś odważa się zapytać:

— *To wy Palaki?*

— Polacy — odpowiadamy, i znów przeglądania się wzajemne, znów spojrzenia na nas rzucane, i znów milczenie.

Nareszcie, jedna z dam, spostrzegłszy u mnie na piersiach krzyżyk na łańcuszku, który mi się jakoś wydostał na wierzch, z ogromnem zdziwieniem woła do jednego ze swoich:

— *Dùszeńka, szto éto, nieùżeli palaki kreszczenyj naròd?* (duszko, co to, czyż to Polacy chrześcijanie?).

— *Dołżnò byt'! koli krest na grudì!* (widać że tak, kiedy krzyż na piersiach) — odpowiada zapytany; i z ogromnem zdumieniem, oglądając się wciąż na nas, wyszli.

Widać więc z tego, jak dziwaczne naród o Polakach miał wyobrażenie, o tych „zwierzętach leśnych", u których krzyż na piersiach zdał się tak zdumiewającym dla pani w aksamitach; cóż tu już mówić o czerni ulicznej, o motłochu, który i sam o sobie nic nie wie.

Szesnastego października pojechaliśmy dalej.

W drodze do Moskwy, pierwszy raz oficer konwoju zaproponował nam przyjąć *karmowe* pieniądze, licząc po 20 kopiejek na osobę dziennie. Roześmialiśmy się okropnie na tę jego propozycyę i pieniędzy wziąć nie chcieliśmy, wystarczało to bowiem raptem na 2 szklanki herbaty, która po stacyach po 10 kop. za szklankę płaconą była. Nie dał się dwa razy prosić, a co zrobił z pieniędzmi, nie wiem.

W Moskwie powtórzyło się to samo, co w Wilnie; jeszcze może okropniej przerażało nas towarzystwo cywilnych przestępców, istnych kryminalistów, z którymi znów trzy dni musieliśmy przebyć. Tam obawialiśmy się nawet o własne życie, bo wzajemne morderstwa w ostrogu były na porządku dziennym. Niech tylko u którego zoczą pieniądze, a niech je szczelnie chowa przy sobie, to z pewnością albo gwałtem odbiorą mu gdzieś w ciemni, albo go uduszą, i wszelki ślad przepadł. Na nieszczęście do tego

jeszcze nie zamykano więźniów po kamerach, lecz cały dzień błąkała się ta zgraja po wszystkich kątach więzienia.

21-go października przybyliśmy do Niżnego Nowgorodu, i tam już się skończyła nasza podróż koleją.

Na dworcu kolejowym znów wydzielili rekrutów od innych kategoryj zesłanych i dali nam na pomieszczenie łaźnię, bo wszystkie inne apartamenta w domu etapowym już były zajęte.

W łaźni tej przebyliśmy znów trzy dni, i 24-go października ruszyliśmy w dalszą podróż już pieszo.

Pochód to był bardzo męczący, ale też bardzo wesoły i urozmaicony.

Partya z 600 przeszło ludzi złożona maszerowała w następującym porządku:

Na czele szli skuci na rękach i nogach *katorżniki* (zbrodniarze do ciężkich robót osądzeni); — za nimi: okuci tylko na nogach; — dalej: skuci tylko na rękach; — następnie: przykuci po dwóch do jednych kajdan na rękach; — za nimi: skuci po czterech lub sześciu do jednego żelaznego drążka; — dalej: kobiety skute w ten sam sposób; — a nareszcie: wolno idący zbrodniarze; — za nimi: partya politycznych: najprzód rekruci, później zesłani na osiedlenie, do rot aresztanckich, lub ciężkich robót — wszyscy idący wolno, nie skuci, — a dalej furmanki z rzeczami i dla chorych.

Po bokach, w pewnych odstępach, szli żołnierze w liczbie kilkunastu albo i więcej z nabitą bronią, a za partyą, w pewnem oddaleniu, jechał oficer prowadzący partyę.

Pierwszy dzień naszej pieszej podróży był ładny i ciepły, ale za to tem ciężej odbywała się droga, bośmy spotykali miejsca błotniste, przeważnie glinę, w której nogi grzęzły, a było do przebycia 28 wiorst z okładem. W połowie już drogi czuliśmy znużenie okropne, więc *prywał* (odpoczynek) musiał być nieco dłuższy. Pokładliśmy się wszyscy na ziemi, obok drogi, twarzą na dół, a nogi podnieśliśmy do góry, aby krew spłynęła ku biodrom, i zajęliśmy się w tym stanie przekąską, jaką kto miał ze sobą. Ale po odpoczynku nowe zmęczenie przyszło jeszcze prędzej: nogi już literalnie odmawiały posłuszeństwa,

tłomoczki tak ciążyły na plecach, że je gwałtem wciskaliśmy na fury, pomimo zakazu oficera i konwojowych; z ubrania coraz to coś musieliśmy ująć, i tak ledwie, ledwie dotarliśmy noclegu. Nie dochodząc wsi, Starelokiejewo zwanej, spostrzegliśmy czworobok ostrokołem otoczony, a w środku domek, przeznaczony na noclegi dla podróżujących więźniów. W domku takim wygodnie pomieścić można było 10 albo 15 osób najwięcej, a nas było przeszło 600! Dopiero w ostatnich czasach, spraktykowawszy widać literalną niemożność mieszczenia w takim domku licznych partyj, jakie ciągle tym traktem przechodziły, władze rządowe kazały podnieść nary do połowy wysokości kamer; tak, że każda z nich tym sposobem powinna była mieścić podwójną ilość przechodniów; na narach bowiem i pod narami na podłodze była wolna przestrzeń do zajęcia. Ale i pomimo to, dla partyi z 600 ludzi (a tak liczne partye przechodziły ciągle od czasu eksportowania politycznych więźniów), podobny domek był tak odpowiedni, jak ucho igły dla wieloryba. Musieliśmy więc cudów dokazywać, aby się jako tako, przynajmniej o tyle mieścić, żeby można było drzwi za nami zamknąć. Kto był na przodzie partyi, ten zajął miejsce na narach, następni pod narami, a reszta po różnych kątach i na środku kamery, ale i tak za mało było miejsca, aby się już nie mówię położyć, żeby choć usiąść — gdzie tam! Nacisk pchających się z sieni był tak potężny, że ci, dla których już zabrakło miejsca na narach lub pod narami, musieli stojący czekać, aż znużenie podegnie wszystkim kolana, i całą masą opuszczą się wszyscy na dół; wtedy jedni na drugich pospierawszy głowy, usypiali. Domki takie, jakkolwiek opatrzone były piecami, nie były jednak opalane nigdy, i rzeczywiście, potrzebnem to wcale nie było; nie więcej jak w pół godziny bowiem po zamknięciu drzwi tak natłoczonego domku, temperatura w nim podnosiła się do tego stopnia, że wnet szyby zamarznięte przedtem odtaiwały, gorąco robiło się takie, że ci, którzy swobodniej się ruszali na narach, do bielizny rozbierać się musieli; a w godzinę lub półtorej potem, świeca łojowa, wtykana zwykle w blaszanym lichtarzu do ściany, topniała, a nareszcie, od zgęszczonego powietrza gasła formalnie, i zostawa-

liśmy potem w ciemnościach, bo zapalić już niktby jej w takim zaduchu nie potrafił. Męczarnia była nie do opisania, szczególnie dla tych, którym się nie udało stanąć pod narami lub gdzieś bliżej ściany. Ci ostatni radzili sobie jeszcze w ten sposób, że wyrywali mech z pomiędzy brusów i przykładali tam usta, aby wolniej odetchnąć; kto zaś był bliżej okien, odświeżał się wodą, płynącą z szyb, albo uchylał, lub nawet rozbijał niby przypadkiem szybę, aby świeżego powietrza wpuścić na siebie. Jeżeli komu było potrzeba przejść ku drzwiom [a każde drzwi takiej kamery miały tę właściwość, że przyciągały do siebie ludzi słabszych konstrukcyj wewnętrznych (bo tam stawała paraszka)], to odbywało się zwykle po plecach i głowach tych biedaków, którzy musieli pozostać na środku kamery, lub przy samych drzwiach, i o tyle gorszem przez to oddychali powietrzem.

W takim stanie rzeczy już oczywiście niesposób było myśleć o formalnem przyjęciu partyi, które nowy oficer konwojny obowiązany był robić na każdym takim noclegu. Czynność ta odbywała się zwykle na dniówce, to jest w tym etapie, który oficer sam zamieszkiwał, i gdzie spędzaliśmy zawsze dwie nocy i jeden dzień.

Z upragnieniem więc czekaliśmy tylko, aż krzykną nam *paszół, wychodì*, a budzili nas tym sygnałem zwykle na parę godzin jeszcze przed świtem. Co prędzej więc manatki na plecy i do szyku: jeżeli trafił się jaki więcej ludzki oficer, to, wywoławszy tak partyę, ustawił tylko i zaraz popędził w drogę, do swego etapu; inni zaś, a było takich daleko więcej, umyślnie wynajdywali powody do dłuższego przetrzymania na dziedzińcu, na mrozie, aby potem zziębnięci prędzej zdążali ku miejscu.

Dniówkowe etapy, z małą bardzo różnicą, ale były nieco obszerniejsze, tam już choć na podłodze, choć przy drzwiach, albo u samej paraszki, ale można było przecie na własnych tłomoczkach przespać się leżąc. Tylko znów to przyjęcie partyi kosztowało nas dużo: każdego wywoływali po nazwisku podług dowodów podróżnych, sprawdzali rzeczy skarbowe, robili rewizye własnych rzeczy tak szczegółowo, że w kieszeniach nawet patrzyli nieraz; kto więc posiadał jakąś pamiątkę, list jakiś, jakąś

fotografię, lub coś podobnego, musiał co dwa dni drżeć o to, że mu je zabiorą, albo coraz nowych używać figlów dla skrycia przed okiem rewizyi.

Po odbytej rewizyi zamykano nas w kamerach, i tylko dwa razy w ciągu dnia wypuszczano na dziedziniec dla zakupienia żywności, którą żony konwojnych żołnierzy miały w swoim monopolu. To też, Boże uchowaj, co one nam przynosiły i po jakich sprzedawały cenach! Zresztą, o cenach nie mówię, bo one zbyt wysokie nie mogły być dla ludzi, którzy po 7, po 5 i po $3^1/_2$ kopiejek dziennie otrzymywali na jadło (po $3^1/_2$ otrzymywaliśmy w gubernii permskiej), ale że te wiktuały żadnej nie miały wartości, to było najgorsze. Przynosili naprzykład *szczi s kapustoj* — to ciepła woda z listkami gdzieniegdzie zielonej kapusty. *Za kapiejku kowsz pochlobki* (za kopiejkę skopiec polewki) — krzyczy baba — a daje ci warząchew jakiejś lury przaśnej ze śmierdzącemi błyskotkami po wierzchu. Mięsa nie przynosili nam wcale, bo wiedzieli, że na to nie mamy pieniędzy — ale zaśmiardłej wątroby to można było dostać spory kawałek za dwie albo trzy kopiejki; *gorìchowyj kisiel* — to jest po prostu kasza grochowa i kwas do tego, także zwyczajnem były jadłem; a wszystko to takiemi były specyałami w przekonaniu sprzedającej baby, że, gdy kto wahająco przypatrywał się zdala, a wziąć nie miał odwagi, impertynencko krzyczała wówczas: *no, podchodì, a to ujdù i nie uwidisz* (no, podchodź, bo pójdę i nie ujrzysz).

Żeby sobie w jakikolwiek sposób umożebnić wikt w ciągu drogi, a jak najmniej zaglądać do saganów i garnków tych przekupek, zaraz potworzyliśmy kompanie po czterech, pięciu lub sześciu bliżej z sobą będących kolegów; złożyliśmy po parę złotych z własnych pieniędzy na fundusz zakładowy, z tego pokupowaliśmy niezbędne naczynia, jak naprzykład imbryki do herbaty, kubeczki blaszane, miski drewniane i takież łyżki; ktoś miał za cholewą przechowany nożyk — i to były narzędzia, stanowiące wspólną własność. Same tylko kubeczki blaszane od razu przechodziły do rąk każdego z osobna, potrzebne bowiem były często i w ciągu drogi, więc mieliśmy je zawsze przy sobie u pasa. Jednego z gromadki obierano za gospodarza, więc

obowiązany był odbierać od oficera pieniądze, rachować się z nich przed spółką, zakupywać wiktuały u bab, jeżeli bez nich obejść się nie było można, a inni, po kolei, spełniali podrzędniejsze obowiązki: myli i upakowywali naczynie, szli z gospodarzem po jadło na dziedziniec, nastawiali imbryk do herbaty i t. p., a przedewszystkiem główną rolą takiego dyżurnego było, przy nadejściu do noclegu lub etapu dniowego, przedrzeć się na przód partyi, aby jednym z pierwszych zjawić się w kamerze, i jakimkolwiek sposobem utrzymać się przy placu, potrzebnym dla całej kompanii, tj. dla osób pięciu lub sześciu. To zadanie było najtrudniejsze: dostało się nieraz i połajanki i szturchańców niemało, ale pomimo to wszystko trzeba było miejsce pozyskać, bo to już była kwestya honoru. Jeżeli ktoś potrafił zdobyć wygodne miejsce dziś, to jutrzejszy dyżurny wszelkich używał wysileń, aby nie zostać w tyle i zająć, jeżeli nie lepsze, to takież. Ten zwykle najlepiej wychodził, kto był silniejszy, a mniej drażliwy na wymyślania lub szturchańce; taki po prostu rozpychał innych, wpadał do kamery i w miejscu, które uważał za dogodniejsze, kładł się w poprzek, wyciągał ręce i nogi, jak tylko mógł, i bronił się już od napadów. Czasami takiemu ktoś siadł na plecy, albo rzucił nań tłomok, ale to rzadko co pomagało: zwalić siedzącego, lub tłomok kopnąć nogą w przeciwną stronę, było postępkiem w przekonaniu partyi legalnym — zajęta więc przestrzeń zostawała przy zdobywcy. Mniej silni i delikatniejszej natury używali innych sposobów; tacy zaraz przy wejściu w zagrodę etapową zrywali z kolegów, co się dało: temu szynel, jeżeli go miał narzucony na ramiona, temu baszłyk, innemu choćby czapkę albo rękawice paskiem złączone, i z temi rzeczami świdrował się jak mógł naprzód, a dopadłszy wnętrza, rozkładał je, upewniając każdego, ktoby czyhał na zdobycie tak zajętego placu, że takowy zajęty już jest przez właściciela położonego przedmiotu osobiście. I taki sposób udawał się prawie zawsze, bo takie już były statuta partyi, chodziło więc głównie o to, aby ktokolwiek z kółka był w rzędzie pierwszych, inaczej już nic nie pomogło: kto się spóźnił, albo nie należał do żadnej gromadki, a sam dotrzeć nie mógł, pozostawał tam, gdzie się

ostatecznie potrafił zatrzymać, bądź to na środku kamery, bądź przy drzwiach, bądź na progu.

Po paru odbytych noclegach przekonaliśmy się, że najbardziej godne współubiegania się były miejsca na podłodze, pod narami, tam bowiem, jako na dole, powietrze było o wiele lepsze, a że pod narami i przy ścianie, więc nikt już tam nie turbował. Czasami tylko były wypadki jakiegoś rozlania na narach herbaty, zupy lub czegoś podobnego; wtedy więc to w prostej linii dostawało się pod nary, na głowy, kolana lub gdzieś indziej — ale to, wobec innych prerogatyw, było bagatelką.

W ciągu kilku pierwszych dni pieszej naszej podróży, siły fizyczne zdawały się sprzyjać naszemu losowi, nie słabły bowiem, lecz przeciwnie, coraz to wytrwalej przebywaliśmy dystanse po 30 i więcej wiorst dziennie; zamiecie śnieżne i wichry mroźne już się nam stały obojętne; szliśmy raźno i wesoło, ciesząc niedolę naszą piosenkami i fajeczką.

Nareszcie doszliśmy do Wasilsurska, pierwszego miasteczka za Niżnym Nowgorodem, przy połączeniu rzek Sury i Wołgi położonego. Przeprawa przez rzekę Surę była nader wrażliwa i niebezpieczna. Wtedy właśnie rzeka ta stanęła pierwszym lodem, wiatr dął niezwykle silny w kierunku do Wołgi, pędząc przed sobą śnieżną zadymkę po szklistej powierzchni; Wołga srożyła się bałwanami, jakby w walce z siłą mrozu, który nie zdołał jeszcze okryć ją swym kryształowym całunem; a przeprawić się potrzeba było tuż przy samym ujściu, tj. brzegiem lodu na Surze, obok fal niezamarzniętej Wołgi. Lód, w wigilię dnia tego sformowany na szerokiej, jak Wisła pod Warszawą, Surze, był tak jeszcze słaby, że o przeprowadzeniu furmanek i mowy być nie mogło; więc, odważniejsi tylko żołnierze, próbując bagnetem siły jego przed sobą, przeszli pojedyńczo na drugi brzeg rzeki i dali znak, że przejście jest możebne. Wtedy cała partya, kolejno, po jednemu, zaczęła się przeprawiać, ale że wicher gwałtownie pędził do Wołgi, a utrzymać się na lodzie bez ostrych podpór było niesposób, tem więcej, że namarznięte obuwie i grudy śniegu pod podeszwami dopomagały wichrowi znakomicie, więc nie było innej rady, jak przesuwa-

niem się wzajemnem uniknąć nieszczęścia. To przesuwanie odbywało się w ten sposób, że jeden wchodził na lód i sznurkiem albo paskiem ciągnął drugiego, w postawie siedzącej; przez to ten co siedział, był już bezpieczniejszy, że go wicher nie zdmuchnie do wody, a ciągnący, mając za sobą ciężar, mógł się silniej opierać wiatrowi — i tak cała partya bez wypadku dostała się do miasteczka; rzeczy zaś i chorych również przesunięto po lodzie.

Gdyby partya nie była tak liczną, byliby nas zatrzymali w Wasilsursku na czas dłuższy, świeżo bowiem spadły śnieg tak grubo pokrył ziemię, że literalnie po kolana potrzeba było brnąć nawet na zupełnie równej i odkrytej drodze. Ale szczupłość pomieszczenia w etapie byłaby jeszcze bardziej męczącą, niż pochód po kolana w śniegu — postanowiono więc doprowadzić nas do Czeboksar, powiatowego miasta w gubernii niżegorockiej, o pięć dni drogi odleglego od Wasilsurska, i tam przez cały miesiąc czekaliśmy uciszenia się zamieci i utorowania dróg.

Ale i tu niewiele więcej znaleźliśmy przeznaczonej dla nas przestrzeni: tak samo na narach i pod niemi było pełno nas, na podłodze, po środku kamer, pod ścianami u okien, za piecami i na piecach, wszędzie było pełno i ciasno; paraszki tak samo stały w każdej kamerze przy drzwiach, świece tak samo nieraz gasły od zaduchu, chociaż lufciki w oknach były wciąż otwarte — wszystko było jak dawniej, tylko że już tu oddzielono nas od cywilnych przestępców, i zamknięto drzwi od sieni; już i to było dla nas wielkiem dobrodziejstwem, że byliśmy sami między swoimi.

Niesposób wszakże było uniknąć zetknięcia się z kryminalistami, bo gdy przekupki nadchodziły z jadłem, obie kategorye wypuszczano na dziedziniec, i wtedy sporo doznawaliśmy rozmaitych figlów ze strony szanownych tych kolegów losu. Tak potrzeba było pilnować się ze wszystkiem swojem, jak rzeczywiście między złodziejami. Kolega Rząśnicki powiesił był raz na ćwieczku u swego posłania torbeczkę podróżną, a miał w niej kilkanaście rubli; nie dopilnował się nieborak, i torbeczki już nie było, a dopiero na drugi dzień parasznicy przynieśli mu ją rozciętą i w takim stanie, że i patrzyć na nią już nie chciał. Nie-

długo potem jednemu z księży z pod poduszki wyciągnęli 300 rubli — i ani śladu. Ksiądz używał różnych sposobów w celu odzyskania straty, zagroził formalnem poszukiwaniem przy udziale władzy konwojnej, a w razie dobrowolnego oddania, obiecał połowę oddać bez dochodzenia sprawcy kradzieży. Stąd utworzyły się między złodziejami dwie partye, poszukująca i przechowująca; długi czas odbywały się rewizye, wszczynały się nawet krwawe bijatyki, bezwstydne poszukiwania u kobiet — nic nie pomogło, pieniądze przepadły. I wiele innych co chwila zdarzało się kradzieży.

W czasie jednak rozdwojenia się partyi rzezimieszków z powodu poszukiwania księżych pieniędzy, znaleźli się tacy, którzy uprzedzali nas o zamierzanych nowych kradzieżach i skutkiem tego mieliśmy się na lepszej baczności. Wtedy i mnie ostrzeżono, żebym się pilnował. W przekonaniu bowiem partyi złodziejskiej uchodziłem za wielkiego bogacza, a to z powodu czarnego ubrania, długich palonych butów i jedwabnej koszulki, którą miałem na sobie, a torebka podróżna, przewieszona przez plecy, zawsze grubo wypchana, ostatecznie stwierdzała ten domysł; szukali więc sposobnej chwili, aby mię złapać gdzie w kącie i obedrzeć. W torbeczce znaleźliby niewiele, nie trzymałem bowiem tam pieniędzy, chyba na bieżące wydatki parę rubli zawsze tam było — resztę miałem na piersiach pod koszulą; ale jednak, dla wszelkiego bezpieczeństwa, nie wychodziłem już inaczej, jak w towarzystwie dwóch innych kolegów, którzy mię brali pomiędzy siebie, a torbeczkę przyciskałem zwykle pod pachą, co tem więcej jeszcze drażniło amatorów cudzej własności. Zdarzało się nawet, że, idąc pod taką eskortą kolegów, słyszałem na własne uszy, jak mi grożono obdarciem, jak się umawiano zanęcić mię do łaźni, lub przyłapać w pewnem ciemnem miejscu, lub tym podobne układano plany. Wtedy jakimś ruchem, albo słowem, dawałem moim prześladowcom do zrozumienia, że ich zamiary są mi wiadome, i to paraliżowało po części ich projekta, ale jednak odtąd nigdy już sam jeden nie pokazywałem się na dziedzińcu, ani nawet w sieniach, zawsze szliśmy co najmniej we trzech. Najczęściej asystowali mi najbliżsi koledzy niedoli:

Józef i Adolf Kaszubowie, Antoni Przybyłko, Antoni Bohatyrewicz, Jakub Zieliński, Adam Dąbrowa, Jan Artur Forsonelli de Larzak, January Hartung, Jan Żuk, Augustyn Szerszenowicz, Mikołaj Hirczonaki, Stanisław Krejbich, Władysław Królikowski, Nikodem Piotrowicz, Józef Kodziński, Antoni Siemaszko i inni.

W Czeboksarach pierwszy raz zapytaliśmy oficera, czy nam wolno napisać listy do swoich. Odpowiedział, że pisać możemy, byleby niezapieczętowane listy oddać mu do rąk, a on prześle je do gubernatora w Niżnym Nowgorodzie, skąd, po przecenzurowaniu, listy pójdą dalej, jeżeli tylko nie będzie w nich nic zakazanego.

O sposobie odbywania podróży, o niewygodach na noclegach i dniówkach, o rewizyach codziennych, i wogóle o niczem podobnem pisać nie wolno pod odpowiedzialnością i zatratą listu; a jedynie tylko o dobrem zdrowiu, sprzyjającej pogodzie i ładnych krajach, przez które przechodzimy, pisać nam radził, dodając, że jeżeli chcemy, aby listy łatwiej przeszły przez cenzurę i prędzej doszły, żebyśmy pisali po moskiewsku. Kto umiał, pisał po moskiewsku, inni po polsku, ale czy którykolwiek z tamtych listów doszedł przeznaczenia, tego już nie wiem, a wątpię bardzo, bo każdemu pomimo woli wyrwało się coś takiego, co dawało pojęcie o naszej sytuacyi, a to wyraźnie było zastrzeżone...

A jakeśmy czas spędzali przez ten miesiąc? Jak kto mógł i umiał — i jak było można. W jednej kamerze przeszło ośmdziesiąt osób rozmaitego wieku, stanu, wykształcenia i usposobień, nie mogło żadnym sposobem wynaleść sobie jednostajnego trybu dziennych zatrudnień, ale były jednak i ogólne zajęcia, jak np.: przedewszystkiem z rana robił się ogromny ruch w kamerze z powodu umywania się; każdy chciał choć kilka kropel wody zaczerpnąć z beczki dla siebie i przemyć oczy nad paraszką lub nad własną obiadową miską, jeżeli już tam dostać się nie mógł; następnie, któryś z księży, a było ich trzech w partyi, zaintonował pacierz, kto więc chciał, przyłączał się do modlitwy, a kto nie, odmawiał takową dla siebie po cichu, lub siedział spokojnie, aż się modlitwa skończy; potem zaraz następowało otwarcie kamery dla zakupienia żywności; wszyscy więc

brali się do właściwych sobie robót: gospodarze sekcyjni ruszali na dziedziniec do przekupek, inni zajmowali się przygotowaniem naczynia i ustawiali je na własnych pościelach, znów inni podążali do pieców, żeby rozdmuchać węgle do samowarków lub imbryków. Po tych czynnościach kamery się znów zamykały, i rozpoczynało się śniadanie. Po śniadaniu dyżurni pomywali i chowali naczynia. Wtedy każdy już na swoją rękę dysponował czasem: ktoś ze starszych utworzył sobie partyjkę do jakiejś gry kartowej na pacierze, ktoś zagłębił się w utworach Pola, którego dzieła ja miałem ze sobą ku ogólnemu pożytkowi; ktoś znowu studyował Goszczyńskiego lub Syrokomlę, których pisma niektórzy dziwnym sprytem potrafili zabrać ze sobą i przechować; inny gryzł w ustach ołówek, medytując nad czterowierszem do pamiętnika kolegi; znów inny brał się do krawiectwa lub szewiectwa, jeżeli suknie lub obuwie jego wymagały reparacyi, a byli i tacy, którzy nawet nowe ubranie budowali dla siebie i innych, nie mając przedtem pojęcia o krawieczyźnie; reszta bawiła się, kto czem mógł i jak umiał.

W południe nowy ruch z powodu zakupna i urządzania obiadu — po obiedzie znów to samo co przedtem, a wieczorem herbata, po herbacie znów pacierz wieczorny, pod przewodnictwem księdza; i zatem spoczynek nocny, aby na drugi dzień mieć nowe siły rozpocząć toż samo.

Takich dni 30 upłynęło w Czeboksarach, jak gdyby jeden, niczem się od siebie nie różniących.

Szóstego grudnia udaliśmy się w dalszą drogę, a zima już była kompletna, mróz ustalony, rzadko kiedy słabszy od 20° R., drogi utarte, doskonałe, wiatrów jakoś nie było, pobiegliśmy więc żwawo. Mówię: pobiegliśmy, bo niekiedy rzeczywiście biegiem odbyliśmy całą stacyę tak, że furmanki z rzeczami i chorymi kłusa jechać za nami musiały. Tak przeszliśmy Kazań i zdążaliśmy już ku Permie.

Na kilka dni drogi przed Permą, wypadło mi jakoś być dyżurnym; więc, dochodząc do stacyi noclegowej, obowiązany byłem zrobić wyprawę naprzód, celem zajęcia miejsca w kamerze dla mego kółka. Udało mi się to wybornie, zająłem bo-

wiem miejsce pod narami i do tego nie w środku lecz z brzegu, przy samej ścianie; więc też najprzód siebie ulokowałem w samym kąciku, aby mię nie turbowano, a koledzy przy mnie porządkiem, jeden przy drugim. Po odbytym posiłku, zaraz wzięliśmy się do spania, bo na jutro czekała nas dalsza droga do etapu, na dniówkę. Zwyczajem, u takich podróżnych przyjętym, całe ubranie swoje, które zdjąłem z siebie na nocleg, ułożyłem pod wezgłowie, a to mi się tem więcej w tym razie przydało, że w rogu stykających się ścian, gdzie miałem miejsce niby najlepsze, było parę sporych dziur, przez które mroźne powietrze z zewnątrz tworzyło śnieżny osad na ścianach i podłodze i trochę przeszkadzało do spania, rzeczami więc temi zarazem pozatykałem owe otwory. Na głos: *paszół! wychodi!* nazajutrz z rana przed świtem, kiedym chciał wydobyć moje manatki z pod głowy, znalazłem rzeczy, będące najbliżej mojej osoby, w stanie zupełnie mokrym, a te, co przylegały do ściany, przymarznięte i ośnieżone tak, że ledwie je mogłem oderwać. Nie było czasu zastanawiać się co z tem zrobić, włożyłem więc wszystko na siebie, jak było, i wyszliśmy na dziedziniec. Mróz był siarczysty, przeszło 30°, a powietrze choć ciche, ale tak piekące i trudne do oddychania, że mimowoli każdy pakował usta do rękawa, a drugą ręką ocierał twarz, bo mu sztywniała co moment. Pan dowódca partyi konwojnej, nie zważając na to, że żołnierze o oznaczonej godzinie musieli wywołać nas z kamer, przybył w godzinę później, a jeszcze godzinę zatrzymał nas przeliczeniem *(pierekliczkoj)*, ustawieniem, pokuciem i tym podobnemi ceremoniami, tak, że ledwie po dwóch godzinach wystania się na mrozie, usłyszeliśmy „marsz“ do wyjścia.

Już w pierwszej połowie tego postoju uczułem, że mi nogi marzną do niewytrzymania, zacząłem więc skakać, wywijać, tańczyć po dziedzińcu, i tym sposobem, rozgrzawszy się wewnątrz, złagodziłem nieco ból w nogach, a gdyśmy wybiegli już za wrota i popędzili drogą, niedługo i ten ból ustał i już było mi całkiem dobrze. Biegliśmy tak $2^1/_2$ godziny bez przerwy, bo stacyę mieliśmy nie dużą, tylko 18 wiorst do etapu na dniówkę. Po drodze pilnowaliśmy tylko całości naszych nosów, to też co

chwila oglądaliśmy się wzajemnie i w biegu rozcieraliśmy je sobie śniegiem, jeżeli który zbielał; dzięki więc tej ostrożności, wszyscy z całemi nosami wbiegliśmy na dziedziniec nowego etapu. Tu zaraz rozpoczęło się przyjęcie partyi, więc wezwania po kolei, rewizya dokumentów i rzeczy skarbowych, przetrząsanie własnych manatków, przechowywanie tych, które ulegały konfiskacie i t. d., słowem zwykły rozgardyasz, do którego już przywykliśmy, a który zawsze parę godzin zajmował czasu, zanim na dobre mogliśmy się ulokować na zajętych stanowiskach.

Już w czasie tego ruchu zacząłem uczuwać niezwykłe jakieś gorąco w butach, nareszcie ból i świerzb coraz silniejszy. Po ułatwieniu się z rewizyą, zaciekawiony, co tam się takiego odbywa, zdjąłem buty i przekonałem się, że obie nogi mam odmrożone. Za radą kolegi podróży, doktora Aleksandrowicza, wzięto się zaraz do tarcia śniegiem, ale to już podobno niewiele pomogło, bo było za późno: poczciwi towarzysze przez całą resztę dnia i przez całą noc na zmianę tarli i tego się tylko dotarli, że mi nogi zamienili na dwa duże pęcherze nalane wodą, a gorące i bolące nie do wytrzymania. Cały czas tej operacyi przeleżałem w gorączce, więc jakim sposobem nastąpiła zmiana skostniałych kończyn na wodne pęcherze — nie wiem, mówiono mi tylko, że to od ciągłego tarcia śniegiem, że, gdyby nie ono, to byłoby ze mną daleko gorzej. Wstać w żaden sposób nie mogłem, a tem bardziej nie mogłem nóg spuścić na dół, bo napływająca krew powiększała gorączkę i dodawała bólu niezmiernego. W takim więc leżącym stanie ubrali mię w obszerne *walonki* (wojłokowe buty, używane zwykle w całej Moskwie podczas zimy) i nazajutrz wynieśli na sanie pomiędzy chorych.

Skończyła się więc moja dziarska piesza podróż, musiałem jechać.

(C. d. n.).

Jerzy Kraskowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Jan Śniadecki na polu pedagogicznem. Napisał *dr. Aleksander Skórski*, docent filozofii i ogólnej pedagogiki w Uniwersytecie Lwowskim. Zeszyt I. Odbitka z *Muzeum*. We Lwowie 1892. Nakładem autora. (Str. 72).

Wobec tak znacznie już dzisiaj ożywionego u nas ruchu na obszernem polu pedagogiki, bardzo są na czasie prace, za przedmiot mające naszą pedagogikę i naszych rodzimych pedagogów. Do rzędu takich prac należy i ta, którą przedsięwziął p. Skórski, a mianowicie charakterystyka Jana Śniadeckiego jako pedagoga. Dotąd mamy dopiero początek tej pracy, zanim zaś wyjdzie cała, pragniemy zdać sprawę z wrażeń, odniesionych przy czytaniu pierwszego zeszytu.

Zeszyt ten zawiera dwa rozdziały, którym autor następujące dał tytuły: I. „Nauczycielskie stanowisko Śniadeckiego wobec ówczesnych przewrotów umysłowych w Niemczech“ i II. „J. Śniadeckiego etyczne poglądy wobec zupełnego rozbratu racyonalizmu z życiem realnem“.

Pan Skórski nie poprzestaje na historycznym opisie działalności pedagogicznej Śniadeckiego, ale pierwiastek przedmiotowy przeplata podmiotowym, i to wcale nieskąpo, tak iż zapoznaje czytelnika z wielu własnemi zapatrywaniami i poglądami. Przedmiotowa strona pracy o wiele lepsze robi wrażenie od filozofowań samego autora, to też zdaje nam się, że daleko lepiejby uczynił, gdyby się był ograniczył, ile możności, tylko do pierwszej, a w większej zachował się rezerwie co do rozumowań na własną rękę.

Autor — jak z tej jego pracy widać — posiada umysł spostrzegawczy i o kierunku wybitnie polyhistorycznym, stąd biegłym jest w dostrzeganiu rozmaitych wpływów, jakim ulegał Śniadecki w tworzeniu swych pism, jakoteż w zaznaczaniu pokrewieństw myśli Śniadeckiego z myślami innych umysłów. Na pochwałę także zasługuje wykazanie bezzasadności zarzutu p. Chmielowskiego, jakoby Śniadecki był formalistą, żądającym wszędzie ścisłości matematycznej. Jeszcze więcej uznania jest godną odprawa, dana autorowi „Chowanny“ za rozmyślne ignorowanie pedagogicznych zasług tego pedagoga *par excellence*.

Słusznie bardzo p. Skórski podnosi zasługi Śniadeckiego w energicznem jego wystąpieniu przeciw niedorzecznościom transcendentalnej metafizyki niemieckiej. Tutaj już jednak nie jest sędzią zupełnie bezstronnym. Chwali wystąpienie Śniadeckiego przeciw metafizyce pokantowskiej, gani zaś ataki, wymierzone przeciw krytycyzmowi samego Kanta, a to dlatego, że sam jest zwolennikiem „Krytyki czystego rozumu“, — poczytuje więc za wielki błąd „zidentyfikowanie krytycyzmu Kanta z późniejszą bezwzględną spekulacyą“ (str. 31).

Gdyby autor poprzestał na przyznaniu się tylko do tego, że w teoryi poznania przemawia mu do przekonania krytycyzm Kanta, nie robilibyśmy nad tem żadnych uwag; ale, wyznawszy swe *credo*, wpadł na nieszczęśliwą myśl wmawiania w swych czytelników, że to *credo* nie jest prostym aktem wiary w powagę Kanta, lecz wynikiem ścisłych rozumowań; wobec tego nie możemy pominąć milczeniem argumentacyi autora odnośnie do tego przedmiotu.

Powiada p. Skórski: „Pamiętać przedewszystkiem musimy, że jedna jest tylko droga wiodąca do poznania prawdy. Kto po niej kroczyć zamyśla, musi nasamprzód pozbyć się przesądu, że nasza wiedza ma niezawodny przedmiotowy charakter, że jest rzeczywistą“ (str. 17). A więc jest to przesąd, że wiedza nasza ma przedmiotowy charakter, a więc i przytoczone dopiero co zdanie, jako wyraz wiedzy, nie ma także charakteru przedmiotowego. Na czemże więc autor opiera swój sąd, tak kategorycznie wypowiedziany, czyżby także ulegał powszechnemu przesądowi?

Tezę swoją, że wiedza nasza nie ma charakteru przedmiotowego, udowadnia autor temi słowy, bezpośrednio następującemi: „Niezbitego przeświadczenia o tem nabywamy, uprzytomniwszy sobie ten jedyny fakt, że wszystko o czem tylko wiemy, jest jedynie wyobrażeniem, pojęciem i ideą w naszym umyśle. Skoro więc wszelkie *esse* równa się *percipi*, to zniknąć musi wszelka rzekoma przedmiotowa realność

i pewność, pierwotnie naszej wiedzy przyznawana". Autor, pragnąc swej tezy dowieść, wmawia po prostu w czytelnika, że ta teza jest faktem. Łatwy to sposób dowodzenia, ale nie jest zawsze logiczny, a mianowicie tam nie da się on stosować, gdzie teza przeciwna równie za fakt uchodzi, i to u wszystkich prawie ludzi. Przecież to zupełnie jest wszystko jedno powiedzieć, że wiedza nasza nie ma charakteru przedmiotowego, co powiedzieć: wszystko, o czem tylko wiemy, jest jedynie wyobrażeniem, pojęciem. Właśnie o to tu idzie, czy wszystko, o czem tylko wiemy, jest jedynie wyobrażeniem, pojęciem, czy też naszym wyobrażeniom, pojęciom odpowiada coś takiego, co już nie jest wyobrażeniem, pojęciem.

Dowiódłszy swej tezy przez takie *petitio principii*, dochodzi pan Skórski do dziwnie naiwnego wniosku: „Tym sposobem jest rzeczą jasną jak słońce, że nie możemy wcale wiedzieć, jaka jest natura spostrzeganych rzeczy sama w sobie, jak one wyglądają bez względu na poznającą naszą własną podmiotowość". Żeby dojść do wniosku, że nie wiemy, jak wygląda to, czegośmy nie oglądali, nie potrzeba było chyba całego poprzedniego rozumowania. Jeżeli autor tak rozumie swój wniosek, że o rzeczy, będącej przedmiotem naszego poznania, nie możemy wiedzieć nawet tego, czy ona jest sama w sobie czemś odrębnem od naszego o niej poznania, tj. czy poznaniu odpowiada jakaś rzecz sama w sobie, której natura jest taka, że już nie jest poznaniem, — to tego wniosku nie udowodnił, chyba... przez wspomniane *petitio principii*, — samo zaś zapewnienie, że to jest rzeczą jasną jak słońce, dowodu nie zastąpi. Jeżeli zaś autor chciał powiedzieć, że nie możemy wiedzieć o naturze rzeczy samych w sobie wszystkiego, że nie możemy ograniczonym naszym rozumem wyczerpnąć całej o niej wiedzy możliwej, to taki wniosek: 1) nie ma związku z poruszoną kwestyą o przedmiotowym charakterze naszej wiedzy, 2) prawdziwym jest tak według tych, co przyznają wiedzy charakter przedmiotowy, jak i według ich przeciwników.

W dalszym ciągu swych wywodów autor taką robi uwagę: „Niemożliwą jest wcale myśl o takim świecie, któryby egzystował niezależnie od naszej podmiotowości" (str. 18). Niechby tak autor zechciał pokazać tę niemożliwość, nie zaś tylko zapewniał gołosłownie, inaczej gotów nikogo nie przekonać o tej niemożliwości, jak i mnie nie przekonał, — owszem, jest to dla mnie rzeczą jaśniejszą jak słońce, że mogę myśleć o niezliczonej mocy rzeczy i światów takich, któreby egzystować mogły wcale niezależnie od mojej podmiotowości.

Według p. Skórskiego „na tem właśnie polega umiejętny charakter filozofii, że żadnych z góry założeń ani przypuszczeń przyjąć nie może“ (str. 18). Toby dopiero był filozof, któryby zaczął filozofować, nie przyjąwszy np. z góry *principium contradictionis!* Możeby zaczął swą filozofię od umiejętnego dowodzenia tego pewnika? Jednak dowód taki byłby wprost niemożebny, gdyż każda z przesłanek *tacite* suponowałaby to, czego się miało dowieść, jakiekolwiek bowiem zdanie, twierdzące czy przeczące, *implicite* wypowiada już ten pewnik. Można tylko i trzeba w swojem miejscu wytłumaczyć, dlaczego zasada sprzeczności jest pewną, ale nie można podawać jej w wątpliwość, trzeba ją z góry przyjąć w jakkolwiek umiejętnej filozofii.

Z tego samego powodu fałszywem jest i następujące zdanie autora: „Ażeby bowiem wiedza była rzeczywistą, wymaga nasze poznanie dowodu na to, że jemu odpowiada coś takiego, co nie jest poznaniem samem“ (str. 18). Jak też sobie autor wyobraża dowód na to, że nasze poznanie ma lub nie ma charakteru przedmiotowego? Przecież w wypowiedzeniu jakiegokolwiek zdania, w skład naszych dowodzeń wchodzącego, jeżeli tylko mówimy to, co myślimy o przedmiocie, zawsze i bezwarunkowo *tacite* i *implicite* twierdzimy, że to zdanie odnosi się do przedmiotu, o którym zdanie wygłaszamy; a więc przyjmujemy za rzecz niewątpliwą, że temu zdaniu, a konsekwentnie i poznaniu, którego ono jest wyrażeniem, odpowiada coś, co już nie jest poznaniem. Dowód zatem, którego się autor domaga, logicznie nie jest możliwym: z przesądem o przedmiotowości naszych pojęć należy przystąpić do filozofowania.

Z zapałem wielkim występuje p. Skórski przeciw identyfikowaniu myśli z bytem, jednak logicznie identyczność ta zdaje się wypływać z zaprzeczenia przedmiotowości naszej wiedzy, jeżeli bowiem przyjmie się za prawdę, że poznaniom naszym nie odpowiada nic takiego, co już nie jest poznaniem, to chyba daremne byłyby usiłowania wykazać istnienie jakiegoś bytu, nie będącego myślą, boć „wszelkie *esse* równa się *percipi*“, owszem — według świadectwa samego Kanta i za aprobatą autora (str. 20) — próżną i daremną jest pracą *aus Begriffen ein reales Objekt herauszuklauben.* Zarzut ten wymierzony był przeciw Fichtemu, ale zdaje się równie dobrze odnosić do samego Kanta i jego zwolenników.

Dziwnie się p. Skórski zapatruje na ową identyczność myśli z bytem: przyjęcie jej z góry uważa za zasadniczy błąd bezwzględnego idealizmu niemieckiego — i w tem ma słuszność, ale nie ma

jej wcale gdy twierdzi, że „było to odwieczną wiarą, towarzyszącą wszystkim badaniom, że myśl ludzka już z natury swej jest tak usposobiona, że odtwarza wiernie całą rzeczywistość“ (str. 14). Błądzi tu autor najprzód w tem, że miesza niedorzeczność panteizmu idealnego z uroszczeniem rozumu, sądzącego, iż poznaniem swem wyczerpuje wszelką wiedzę możliwą o przedmiocie poznawanym; następnie zaś błądzi, utrzymując, że takie mylne pojęcie o potędze własnego rozumu było „odwieczną wiarą towarzyszącą wszystkim badaniom“.

Tutaj spotykamy się także z srogim zarzutem przeciw średniowiecznej scholastyce. Przytoczymy dosłownie akt oskarżenia: „W tem naiwnem poczuciu władzy swojej nad elementami rzeczywistego bytu, wyrobił sobie rozum ludzki mniemanie, że z własnych zasobów myśli zdolen jest także w systematycznej formie wytworzyć cały zasób rzeczywistości, odkrywając naturalną zasłonę wszystkich tajników na świecie. Średniowieczna scholastyka, odsłaniająca z taką siłą przekonania, wszelkie misterya nieba i piekła, była monstrualnym wypływem rzeczonego uprzedzenia, które trzymając w swych więzach także prawie całą starożytną filozofią, w idealizmie znów Platona najestetyczniejszy znalazło wyraz“ (str. 14—15). Ktoś, wiadomości swe o osławionej scholastyce czerpiący z książek tak lekko napisanych, jak „Jan Śniadecki na polu pedagogicznem“, po przeczytaniu tego ustępu gotówby uwierzyć, że naprawdę takiem monstrum była ta scholastyka. Niechże szan. autor raczy choć jakoś to swoje oskarżenie umotywować, niechaj wskaże łaskawie, w którym z przedstawicieli średniowiecznej scholastyki doczytał się czegoś podobnego do postawionego zarzutu.

Autor twierdzi, że aż do Kartezyusza „o stosunek podmiotu do przedmiotu nikt się nie pytał“, że dopiero Kartezyusz stworzył „przepaść między podmiotem a przedmiotem — między myślą a bytem“ str. 15). Szkoda wielka, że p. Skórski przed napisaniem tego wszystkiego nie zajrzał do którego z tych filozofów, którym takie absurda zarzuca, np. do św. Tomasza; zapewne zmieniłby swe zapatrywania, przekonałby się, że scholastycy już przed Kartezyuszem znali tę przepaść między podmiotem a przedmiotem, od identyfikowania zaś myśli z bytem bardziej byli dalecy, niż niebo od ziemi [1].

[1] Tak np. mówi św. Tomasz:

„Res cognita dicitur esse cognitionis obiectum, secundum quod est extra cognoscentem in se ipsa subsistens; quamvis de re tali non sit cognitio nisi per id quod de ipsa est in cognoscente; sicut color lapidis, qui

P. Skórski uwielbia Kanta, ale nie całego, oddaje mu hołd jako autorowi „Krytyki czystego rozumu“, stanowczo zaś potępia „Krytykę praktycznego rozumu“ i co do niej zupełnie się zgadza z sądem Śniadeckiego. Przeciw kantowskiej etyce autor występuje energicznie, ale nie uderza w najsłabszą jej stronę: za największy błąd uważa to, co wobec zasadniczego jej błędu ledwie na wzmiankę zasługuje. Jądro złego całej moralnej filozofii Kanta jest w tem, że Kant nie szukał ostatecznej normy moralności ponad człowiekiem, lecz w samym człowieku, autonomia moralna to treść i rezultat tej etyki. P. Skórski zaś to tylko ma do zarzucenia, że Kant opiera moralność na rozumie bez uwzględnienia uczuć i popędów psychicznych z jednej strony, historycznych zaś motywów z drugiej, — a choć mówi o autonomii moralnej

---

est visus obiectum, non cognoscitur nisi per speciem eius in oculo“. *Quaest. XIV. de veritate,* art. 8.

„Patet autem diligenter intuenti rationes Platonis, quod ex hoc in sua positione erravit, quia credidit, quod modus rei intellectae in suo esse sit sicut modus intelligendi rem ipsam“. *In I. Metaph.* lect. 8.

„Res exterior, intellecta a nobis, in intellectu nostro non exsistit secundum propriam naturam; sed oportet quod species eius sit in intellectu nostro, per quam fit intellectus in actu. Exsistens autem in actu per huiusmodi speciem, sicut per propriam formam, intelligit rem ipsam; non autem ita quod ipsum intelligere sit actio transiens in rem intellectam, sicut calefactio transit in calefactum, sed manet in ipso intelligente et habet relationem ad rem, quae intelligitur ex eo, quod species praedicta, quae est principium intellectualis operationis ut forma, est similitudo illius. Ulterius autem considerandum est quod intellectus per speciem rei formatus intelligendo format in seipso quandam intentionem rei intellectae, quae est ratio ipsius, quam significat diffinitio“. *Contra gentiles* l. 1. c. 53.

„Habet se igitur species intelligibilis, recepta in intellectu possibili, in intelligendo sicut id quo intelligitur; sicut et species coloris in oculo non est id quod videtur, sed id quo videmus. Id vero quod intelligitur est ipsa ratio rerum exsistentium extra animam“. *Ib.* l. 2. c. 75.

„Ea, quae in sensu non cadunt, non possunt humano intellectu capi, nisi quatenus ex sensibus eorum cognitio colligitur“. *Ib.* l. 1 c. 4.

„Scientia est secundum modum cognoscentis; scitum enim est in sciente secundum modum scientis“. *S. th.* 1. q. 14. a. 1. c.

„Eadem sunt quae intelliguntur et de quibus sunt scientiae. Si igitur ea, quae intelligimus, essent solum species, quae sunt in anima, sequeretur quod scientiae omnes non essent de rebus, quae sunt extra animam, sed solum de speciebus intelligibilibus, quae sunt in anima: sicut secundum Platonicos omnes scientiae sunt de ideis, quas ponebant esse intellectas in actu“. *Ib.* q. 85. a. 2. c.

w kantowskiej filozofii (str. 48—49), to zdaje się ją jednak rozumieć jedynie jako niezawisłość od momentów psychiczno-historycznych.

Etyczne zapatrywania samego autora wcale nie są takie, iżby można się na nich bezpiecznie oprzeć w pedagogice; postaramy się je skreślić pokrótce własnemi jego słowami:

„Porozumiejmy się lepiej jednak co do tych realnych podstaw moralności... Wobec jednostronności racyonalizmu... domagała się zawsze praktyczna strona życia — ‚w pedagogice wszystko rozstrzygająca' — i naukowego uwzględnienia tych pierwiastków moralnego życia, które stanowią wewnętrzny, wieczny rdzeń natury ludzkiej... Przez pierwiastki i zasady moralnego życia rozumieć możemy tylko te wewnętrzne w człowieku popędy i siły, które wytwarzają wszelką moralną działalność... Najszerszy zaś i najogólniejszy zakres moralnej działalności mieści w sobie te funkcye ludzkiej woli, któremi spowodowany, dokonywa człowiek takich czynów, których istotną treścią i wyłącznym celem jest bądź jednostkowe, bądź powszechne dobro" (str. 39). — A więc pierwiastki i zasady moralnego życia są to pewne wewnętrzne popędy i siły. Pytamy zaciekawieni: jakież to są te popędy i siły, stanowiące pierwiastki moralnego życia? Otrzymujemy odpowiedź: te, co wytwarzają wszelką moralną działalność. Niechże kto będzie mądry z tej odpowiedzi. Pojęcie moralnej działalności także niedostateczne: jest to bowiem właściwością wszystkich bez wyjątku aktów woli, że pragniemy czegoś, pożądamy, chcemy tylko o tyle, o ile widzimy w przedmiocie pożądanym jakieś dobro, czy to prawdziwe, czy pozorne, — to jest cecha wyróżniająca akty woli od aktów rozumu.

Mówiąc dalej o owych realnych podstawach moralności, zadaje sobie p. Skórski pytanie: „Jakżeż zatem tu dadzą się bliżej określić te siły, które pobudzają człowieka do moralnego działania?"; następującą zaś daje odpowiedź: „Z poprzednich już wywodów wiedzieć możemy, że z jednej strony spoczywać te siły muszą w całej rozmaitości wewnętrznej konstytucyi ludzi i w całej organizacyi ich przyrodzonych władz i zdolności, z drugiej zaś w gotowych już wytworach dotychczasowej moralnej pracy, w faktycznych już zdobyczach cywilizacyi i w historycznych dorobkach kultury. Wszystkie moralne zatem czynniki i potęgi na świecie są raz psychicznej, drugi raz historycznej natury; przyczem i niepojęty zresztą bliżej współudział nadziemskiej siły bynajmniej nie jest wykluczony" (str. 40). Otóż mamy filozoficzne wytłumaczenie czynników, pobudzających człowieka do moralnego działania! Według takiej filozofii, wychowanie moralne polega-

łoby na tem, ażeby wychowanek poznał z jednej strony psychiczne swe skłonności i zdolności, z drugiej zaznajomił się z historyą i dorobkami kultury. Łatwy to system, ale czy moralny? Wychowawca, taką się kierujący etyką, nie może wskazać swemu wychowankowi ani jednej pobudki moralnej, ze względu na którą lenistwo np. lub łakomstwo na naganę zasługuje; owszem, według takiej etyki lenistwo i łakomstwo byłyby cnotami moralnemi, wynikają bowiem z uległości przyrodzonym skłonnościom i popędom, podnietę zaś znajdują w dorobkach kultury. Z pewnością autor inaczej rozumiał całą swoją teoryę realnych podstaw moralności, tylko niejasno się wyraził, ale nie nasza w tem wina: jeżeli, mówiąc o podstawach moralności, nie wspomni się o tej kardynalnej podstawie wszelkiej moralności, jaką stanowi pojęcie obowiązku, jeżeli tego obowiązku i całej moralności nie zwiąże się z najwyższą normą moralności i wyraźnie się na niej nie oprze, — wtedy napotka się zawsze na szkopuły, o które musi się rozbić taki system etyczny.

Pan Skórski sumienie zdaje się uważać za władzę, odrębną od rozumu. Wnosimy to z tego ustępu jego pracy, w którym, chcąc dowieść, że Śniadecki uważa rozum za współtowarzysza „uczuć i woli, które życie moralne głównie wytwarzają", tak się wyraża: „Sam już wzgląd na tę wewnętrzną potęgę, czyny ludzkie normującą, którą sumieniem nazywamy, potwierdza zdanie Śniadeckiego, że rola rozumu w działaniu ludzkiem jest tylko kształtująca" (str. 43; por. str. 69 i 71). Niedość na tem, autor utrzymuje, że sumienie jest „bezsprzecznie chrześcijańskiego dopiero pochodzenia" (str. 69). — Przedewszystkiem powinienby p. S. wiedzieć, że według filozofii t. zw. chrześcijańskiej sumienie nie jest potęgą od rozumu różną, lecz tym samym rozumem, zastosowującym ogólne zasady moralne do pojedyńczych czynów człowieka. Rozum, głoszący o pewnym postępku, że jest godziwy, o innym, że jest niegodziwy, jest najbliższą i bezpośrednią normą moralną czynów ludzkich, a, pełniąc tę funkcyę, nosi nazwę sumienia. Władza ta nadto nie chrześcijańskiego jest dopiero pochodzenia, ale tak jest starą, jak starym jest rodzaj ludzki — a i dzisiaj poganie i Żydzi znają te władzę i nieraz się nią kierują w swem życiu, mianowicie zawsze, ilekroć idą za głosem rozumu co do godziwości pojedyńczych postępków, nie idąc zaś za tym głosem, działają wbrew sumieniu, — człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby nie miał tej władzy.

Jeszcze grubszym błędem jest zapatrywanie się autora na wiarę religijną. Według niego, właściwem źródłem wiary religijnej jest

fantazya i uczucie, jak to można wyczytać na str 55, w innem znów miejscu powiada, że właściwa i prawdziwa wiara „w uczuciach i skłonnościach serca ludzkiego jedyne swoje ma źródło“ (str. 47). Chrześcijańskie pojęcia o wierze są zupełnie inne, przez wiarę bowiem religijną rozumiemy nadprzyrodzone uznanie rozumu, przyjmującego pod wpływem woli za prawdę to, co Bóg objawia, ze względu na powagę tegoż Boga, który objawia. Właściwym więc punktem wyjścia wiary jest poznanie powagi Boga objawiającego, poznanie prawdy lub prawd objawionych jako objawionych. Tak więc wiara religijna jest przedewszystkiem cnotą intellektualną.

Autor robi Śniadeckiemu zarzut z tego, że cnota dla cnoty samej nie jest jego hasłem (str. 60), jednak czy słusznie? Śniadecki pobłądził w tem, że cnotę podporządkował niejako pod korzyść doczesną, ale nie w tem, że ją wogóle podporządkował, że jej nie uważał za ostateczny motyw działania. W świetle bowiem ostatecznego celu cnota jest tylko środkiem, nie celem.

Autor utrzymuje na str. 3, że prawdziwym pedagogiem może być tylko filozof. Sądzimy jednak, że bardzo dobrym pedagogiem może być ktoś taki, co najmniejszej nawet nie ma pretensyi do szumnej nazwy filozofa. Zapewne, „prawdziwy pedagog“ powinien posiadać niejaką znajomość pewnych prawd psychologicznych i etycznych, ale od takiej skromnej wiedzy filozoficznej jeszcze daleko do filozofa. Sam nawet autor nie jest podobno przekonany o prawdziwości swego twierdzenia, gdyż na str. 5 sprzeczne z niem wygłasza zdanie: „Z krytycznego jednak rozglądu w pismach Śniadeckiego wynika jasno jak na dłoni, że on nie dlatego był wytrawnym pedagogiem, że był filozofem, lecz że przeciwnie dlatego stał się filozofem, iż był pedagogiem“. A więc, już będąc pedagogiem (zapewne prawdziwym), jeszcze nie był filozofem, a więc prawdziwym pedagogiem może być nietylko filozof.

Na str. 36 i nast. autor występuje przeciw prof. Struvemu za to, że ten filozof w pracy swej o Kremerze wziął w obronę Hegla zasadę rozumowego porządku świata. Nie wchodząc w to, o ile prof. Struve miał lub nie miał w tym względzie słuszności, chcemy tu tylko zaznaczyć niedostateczność argumentacyi autora, usiłującego przekonać czytelników o winie p. Struvego. Argumentuje autor z następujących słów p. Struvego: „Zasada tej (heglowskiej) filozofii, jej wiara w rozum świata, jej energia w pojęciu dziejów, zgodniejszą jest z ogólną naturą człowieka, z przyrodzonemi dążnościami wszystkich zdrowo my-

ślących ludzi i czasów, niż zasada rozpaczliwej apatyi, zaprzeczenia rozumowych podstaw bytu, wygłaszana przez Schopenhauera"; zacytowawszy ten ustęp, w taki sposób z niego korzysta: „Co do drugiej natomiast sprawy, to samym pesymizmem Schopenhauera wcale się nie zrażamy, lecz samej ‚filozofii identyczności' odmawiamy stanowczo tego przymiotu, jakoby z naturalnemi dążnościami trzeźwo myślących i działających ludzi pod jakimkolwiek pozorem dziś jeszcze w parze iść mogła" (str. 36—37). Z przytoczonego ustępu logicznie można co najwyżej taką wyprowadzić myśl prof. Struvego: jeżeli się stoi wobec dwu fałszywych systemów filozoficznych, Hegla i Schopenhauera, to z dwojga złego raczej pierwszy mógłby się jakoś dać pogodzić z naturą człowieka, niż drugi, czyli — innemi słowy — pierwszy system nie jest tak wstrętnym dla natury ludzkiej, jak pesymizm Schopenhauera. Powiedzieliśmy co najwyżej, gdyż właściwie nie porównywa się w tym ustępie jednego systemu z drugim, lecz tylko heglowską zasadę rozumowego porządku świata z szopenhauerowską zasadą rozpaczliwej apatyi [1].

Na tem ograniczamy sprawozdanie z książki p. Skórskiego, dodajemy jednak, że chętnie zwrócilibyśmy uwagę na wiele jeszcze szczegółów, które nas uderzyły, ale, ze względu na szczupłe ramy recenzyi, zniewoleni jesteśmy położyć jej koniec.

Może ta recenzya robi na czytelniku wrażenie pewnego czepiania się słów, ale sądzimy, że od pracy filozoficznej (za jaką uważamy książkę p. Skórskiego) należy się domagać ścisłości w rozumowaniu i wysłowieniu. Mimo jednak tę nieścisłość, praca p. Skórskiego ma wartość niemałą ze względu na stronę historyczną. *S. K.*

Historya Franka i Frankistów. Napisał *Zygmunt Lucyan Sulima*. Kraków. Nakład G. Gebethnera i Sp. 1893.

Ciekawą i niezwyczajną jest historya pół-mesyasza, pół-awanturnika, Jankiła Lejbowicza, znanego dobrze w dziejach zeszłego wieku

[1] Zdaje się, że autor ma jakiś rankor do p. Struvego. I tak, oprócz powyżej wspomnianego wystąpienia, mamy tego dowód w tem jeszcze: na str. 21 cytuje inny ustęp z tejże pracy o Kremerze, ale cytuje w taki sposób: „powszechny duch czasu oraz dążności i doświadczenia historyczne (???) narodu domagały się szerokiego na świat poglądu". Te znaki zapytania wyglądają nam na zaczepkę, a może zdradzają trochę braku domyślności: przecież p. Struve, chcąc wspomnieć o rozdrapaniu naszej ojczyzny a pisząc pod cenzurą rosyjską, nie mógł nazwać rzeczy po imieniu — *intellegenti pauca.*

pod popularnem nazwiskiem Franka lub Frenka; tem bardziej zaciekawiająca, że dotąd mgłą tajemnicy pokryta. Kim był właściwie i jakie miał przekonania i zamiary głośny żydowski reformator; czy szczerze do chrześcijańskiej wiary się garnął, czy zaprządz ją tylko usiłował w służbę niepomiarkowanej swej ambicyi, marząc o wytworzeniu nowej jakiejś „frankowskiej“ religii, nieforemnego zlepku z nauk i pojęć katolickich, żydowskich, sabbatejskich, mahometańskich? Co sądzić i jak wytłumaczyć dziwne igrzyska, które los z nim wyprawiał, przenosząc go — niema śladu jak, kiedy, w jaki sposób — z częstochowskiego więzienia do offenbachowskich pałaców; zmieniając, jakby za dotknięciem czarnoksięskiej różczki, więźnia w udzielnego niemal księcia sypiącego złotem, co płynęło obficie, a nie wiedzieć od kogo i jakiemi drogami? Jaką wreszcie rolę odgrywała i przed i zwłaszcza po śmierci Franka, tajemnicza panna Ewa, „święta panna“, jak ją z pewnego rodzaju bałwochwalczem uwielbieniem nazywano?

Pan Sulima próbuje odpowiedzieć na te i na wiele innych niemniej zagadkowych pytań; zagląda w tym celu do archiwów, zbiera troskliwie kłoski zostawione przez ustną tradycyę; szpera w żydowskich nowszych i dawniejszych chrześcijańskich historykach; ale ostatecznie, mimo wszelkich usiłowań i poszukiwań, wyznać musi, że zaledwie rąbek tajemnicy udało mu się odsunąć. Skromny ostatecznie rezultat mozolnej pracy, ale przy tym rezultacie będzie trzeba podobno raz na zawsze pozostać, chyba udałoby się komu szczęśliwemu odgrzebać nowe jakieś, nieznane dotąd dokumenty, które rzuciłyby nieco więcej światła na interesującą, acz dziwnie ciemnym zmrokiem otoczoną postać żydowskiego reformatora z przeszłego stulecia.

Zarzucić jednak trzeba szan. autorowi, że zbyt lekko, co najmniej, traktuje rzeczy religijne. Tak np. o dyspucie między talmudystami i anty-talmudystami wyraża się: ...„rozchodzono się z tej smutnej dysputy, dającej świadectwo niepojętej aberracyi umysłowej jej aktorów“. A temat dysputy był: „Mesyasz był Bóg prawdziwy, któremu imię Adonaj; ten miał ciało nasze, i wedle niego cierpiał dla odkupienia i zbawienia naszego“.

Również co do poglądu na talmud, a nawet na Pismo św. [1], idzie raczej za zdaniem Graetza, Żyda, niż za ks. Pikulskim (str. 20).

Dalej, jeżeli już uznał za stosowne poruszyć kwestyę o używaniu przez Żydów krwi chrześcijańskiej, to nie powinien był wypowiadać swego

[1] Przynajmniej co do księgi „Pieśni nad pieśniami“, (str. 20 i 21).

mniemania, przeciwnego danym historycznym jakie miał pod ręką, nie uzasadniwszy go również danemi historycznemi. Wyraża mianowicie szan. autor zdanie, że niemal wszystkie te podejrzenia na talmudystów wywołane dopiero zostały przez frankistów, a więc późniejsze są od połowy XVIII. w. Tymczasem w tej samej książce ks. Pikulskiego, którą autor tylekroć cytuje, w części III. nadrabin litewski Serafinowicz, ochrzczony jeszcze w r. 1710, stawia już tę kwestyę w całej jej nagości.

Co szan. autor mówi o procesach kryminalnych w tego rodzaju sprawach, jakoby były zemstą frankistów nad talmudystami, również oparte jest tylko na Graetzu; gdy tymczasem ks. Pikulski w tejże samej swej książce podaje taki proces i wyrok bardzo głośny swego czasu, z roku 1753, więc na dwa lata przed wystąpieniem Franka[1], o dziecię imieniem Stefan Studziński.

Można się też było spodziewać, że szan. autor większą wagę położy na zjawisko społeczne, wywołane przez Franka, niż na jego niezbyt ciekawą osobę. Dziś zwłaszcza, kiedy kwestya żydowska tak się na różne strony agituje, taki fenomen, jak wyłamanie się przeszło tysiącznej partyi Żydów z pod despotycznego a demoralizującego panowania talmudu i kahałów, jest ogromnego znaczenia. Jest to dowód oczywisty, zaczerpnięty z niedalekiej przeszłości, że nie rasa żydowska, ale ta pseudo-kultura talmudystyczna, którą w tak wielkiej części ta rasa jest przesiąknięta, sprawia ten ferment moralny, wywołujący przeciwko sobie wszystkie ekscesa antysemityzmu. *B.*

Król Bolesław Śmiały. Dramat historyczny w 5-ciu aktach. *Wacław Woysym Antoniewicz.* Kraków 1893.

Na ostatnich kartach tej książki mamy skreślony plan epopei ludowej (?), mającej się składać z 26-ciu dramatów, przedstawiających dzieje narodu polskiego od jego początków aż do końca, a nawet

[1] Ciekawe też są rzeczy o Franku w Русской Старинѣ; wrzesień 1883. Tamże na str. 484 wiadomość o 134 procesach o dzieciobójstwo. Widocznie też nie wiedział szan. autor co o tem mówi Skarga w „Żywotach Św.“, w „Obroku duchownym“ na dzień 30 marca, z okazyi męczeństwa „Symona Trydeńskiego“. Coś podobnego opowiada równie dawny i poważny jak Skarga pisarz Szymon Wysocki, w dedykacyi do tłumaczonego przez siebie żywotu św. Alojzego. Szkoda też wielka, że szan. autorowi nie była znana książka ks. Radlińskiego p. t.: „Prawda chrześcijańska... tj. Traktat Rabina Samuela“, również dawniejsza niż frankiści (1733 r.). Godny uwagi zwłaszcza jest tam uniwersał biskupa przemyskiego, o Żydach w Rymanowie i w całej dyecezyi zamieszkałych, z r. 1664 i 1666 (str. 378 i nast.).

sięgających ostatnim fantastyczno-alegorycznym: „Dziedzictwo króla Atlanta“, w przyszłość. Niektóre z tych dramatów już wydrukowano; przed nami leży „Bolesław Śmiały“ — innych nie znamy.

Najcięższy zarzut, jaki podnosimy przeciw temu dziełu, jest jego tytuł: dramat historyczny. Historycznym nie jest on wcale. Proszę posłuchać treści; a da się ona opowiedzieć bardzo krótko: Bolesław Śmiały poznaje podczas noclegu w domu Mścisława żonę jego, Krystynę; ujęty jej wdziękami, każe ją sługom swoim porwać na zamek krakowski. Św. Stanisław, wuj porwanej, żąda od króla wydania Krystyny; Bolesław opiera się temu, a wówczas biskup rzuca na króla klątwę i zabrawszy swą siostrzenicę, wychodzi z zamku. Wkrótce potem staje się ofiarą zemsty królewskiej. Panowie polscy gromadzą się na wieść o zabójstwie biskupa i zmuszają Bolesława, dręczonego wyrzutami sumienia, do zrzeczenia się tronu na rzecz swego brata, Władysława Hermana.

Z treści widzimy, że osią, około której się wszystko obraca, że sprawą, która wywołuje katastrofę, jest porwanie Krystyny. Toby była fabuła, jeżeli pominiemy nazwiska historyczne, odpowiednia do dramatu zwykłego, mieszczańskiego — jak go kiedyś zwano. Z powodu nazw i tylko nazw historycznych zwać go się tak nie godzi, tem bardziej, jeżeli on stanowi jednę część cyklu, który ma przedstawić najważniejsze chwile dziejów polskich. Król wyrzuca sobie tylko, że „zabił niewinnie człowieka“, że „żonę jednemu“ z nich „porwał dla siebie“. Wzmianka tylko jest mała i nic nie znacząca, nie wpływająca na akcyę o gwałtach nad poddanymi...

A przecież p. Antoniewicz zdaje sobie sprawę z ważności chwili, kiedy mówi we wstępie: „w dziejach Bolesława Śmiałego zastanawia to, jakim sposobem ten król tęgi, waleczny, zuchwały, imponujący swemu pokoleniu, który władzę królewską ogromnym otoczył blaskiem, i nieraz ją do despotyzmu posuwał, mógł tron opuścić tak cicho, bez walki i bez oporu“. W dramacie historycznym należało dać na to odpowiedź możliwie jak najjaśniejszą. Widoczna z tego, co o tych czasach wiemy, że król ustąpił nietylko skutkiem tego, że biskupa zabił, ale musiały się do tego przyczynić i inne powody. A naprzód ustąpienie króla jest tu przedstawione nieco za naiwnie, powiedziałbym: sielankowo. Na tronie polskim, czystym dotąd i nieskalanym, nie było zabójcy, — mówi Leszczyc — tyś go splamił, królu, oblałeś go krwią niewinną, więc zejdź z niego. Nie mamy więc zaznaczonej, a co koniecznie dla scharakteryzowania epoki należało uczynić, walki władzy

duchownej ze świecką; z dramatu nie dowiemy się, że to czasy Grzegorza VII. i Henryka IV., że to czasy Canossy, wzrostu, zespolenia i zjednoczenia Kościoła, potęgi duchowieństwa, które musiało być i w Polsce zreorganizowane przez legata papieskiego, który wtedy po pierwszy raz zawitał do ziem polskich. Następnie: czyby był król uląkł się klątwy, czyby był ustąpił i wyszedł z kraju, gdyby tylko duchowieństwo przeciw niemu wystąpiło; miał się przecież Bolesław jakiś czas po klątwie opierać temu duchowieństwu. A więc, wiemy zresztą o tem, musiał go odstąpić, a nawet iść ręka w rękę z klerem stan rycerski, który z silnych rządów królewskich, z brania w obronę kmieci, ubożenia kraju wyprawami nie był zadowolony. Ten stan umysłów rycerskich mamy tylko słabo zaznaczony i ostatecznie sprowadzony do jednego wypadku gwałtowności królewskiej: porwania żony Mścisława.

Z tych powodów przedewszystkiem, a znalazłyby się i mniejsze, — w zbyt nieraz subtelnem i nowożytnem wyrażaniu myśli i uczuć, chociaż tego za wielki grzech autorowi nie poczytujemy — odmawiamy sztuce prawa tytułowania się dramatem historycznym.

Akcya sztuki — dodajmy niescenicznej — słaba, postacie prawie wszystkie bez dramatycznej siły i życia. Figury wogóle martwe (ks. Laurenty, Leszczyc), do lepiej skreślonych należy Mścisław i król, ale zupełnie nie udał się autorowi św. Stanisław. Tu znać brak wyrobienia, brak zręczności w scenizowaniu np. w miejscu, gdy św. Stanisław powtarza klątwę przed kościołem na Skałce wobec kilku ze szlachty i zaczyna od słów: „Powtórzyć trzeba klątwę przed kościołem“. Biskup, w którym powinna była być skrystalizowana potęga ówczesnego Kościoła, nie robi na nas wrażenia. Grozy chwili, gdy przeklina króla, nie odczuwamy wcale. Wszelkie pochwały należą się atoli autorowi za bardzo ładny i staranny język, za wiersz (biały) bardzo dobry. Znać, że nad formą utworu swego pracował autor bardzo sumiennie.

Dr. Ant. M. Kurpiel.

Jubileuszowe wydanie pism Kornela Ujejskiego.

Księgarnia Jelenia i Langa w Przemyślu podjęła szczęśliwą myśl dostarczenia czytającej publiczności naszej zbiorowego wydania dzieł tegorocznego jubilata, wielkiego twórcy „Skarg Jeremiego“, tłumaczeń Chopina i Beethovena, patryotycznych poematów tylu. Konieczną potrzebą było także przypomnienie ostatniego z naszych natchnionych wieszczów, którego pieśni budziły ducha narodowego wśród klęsk tych

strasznych, które dzieje nasze między czwartym a siódmym dziesiątkiem bieżącego stulecia zapełniały.

Obecnie mamy w ręku dwa tomiki tego wydawnictwa. Jeden z nich zawiera „Skargi Jeremiego“. Ten tomik zdobi portret poety wedle Jana Styki, twórcy „Polonii“, wykonany. Widzimy więc podobiznę poety młodego, takiego jakim go malarz Styka wśród Wielkich naszych w swym obrazie przedstawił, jakim był Ujejski zdaje się wtedy, gdy arcydzieła swe tworzył. Na drugi tomik złożyły się następujące drobniejsze poemata: „Maraton“, „Ustęp z powieści sybirskiej“, „Podróż przerwana“, „Pogrzeb Kościuszki“, „Konfederat“, „Scena z dramatu Ostatni Buczaccy“, „Wieść o Adamie Mickiewiczu“, „Po latach ośmnastu“, „Błonia Medyckie“, „Pług i szabla“ i „Ptasie Gniazdo“.

Zewnętrzna strona obu tomików przedstawia się wcale korzystnie, papier dobry, druk wyraźny, korekta staranna, cena również przystępna: oba tomiki oprawne kosztują 1 złr. 10 ct. Nie wiemy jednak, dlaczego szanowni wydawcy każdy tomik zamierzają wydawać osobno, nie numerując ich wcale; czyż nie można było dać na „Skargach Jeremiego“ napis „Tom I.“ i t. d.? W ten sposób miałoby to popularne i pożądane bardzo wydanie, bodaj jedną cechę krytycznego wydania zbiorowego dzieł Ujejskiego; a byłoby to tem pożądańszem, iż jak szanowni wydawcy w swym prospekcie zapewniają, edycya ta, obliczona na sześć tomików, ma być podobno najkompletniejszą i oprócz znanych rzeczy ma przynieść również wiele utworów, dotąd nigdzie jeszcze nie drukowanych.

L. M. Dziama.

Въ оборонѣ правды. Студія на часѣ черезъ Іер. Вас. Навроцкого. (W obronie prawdy. Studyum na czasie przez *ks. B. Nawrockiego).* Львовъ 1893. (1—32).

„Słowa: klerykał, klerykalizm — liberał, liberalizm, stały się w ostatnim czasie u nas bardzo... popularnemi. O tem wiele się u nas dysputuje, z temi słowami spotkasz się obecnie tak tutaj w stolicy kraju, jak i na prowincyi, tak na wsi, jak w mieście, słyszysz je w rozmowach pojedyńczych ludzi i na większych zgromadzeniach. Na ten temat pojawiła się cała serya rozpraw z jednej strony w gazecie *Diło („Pro domo sua“)*, z drugiej w *Duszpastyr*'u *(„Pro domo Dei“),* i wywiązała się gorąca a przytem ciekawa polemika. Dowodem to, że wspomniane słowa i pojęcia mieszczą w sobie prawdziwie piekące pytania obecnej chwili, a wielkie zainteresowanie się polemiką *Diła* z *Duszpastyr*'em świadczy, że poruszono tam sprawy niemałej doniosłości. Od tej polemiki upłynęło już dosyć czasu, to też dzisiaj mo-

żemy chłodniej przypatrzyć się ciekawym tym rozprawom i zastanowić się nad poruszonemi w nich i w społeczeństwie naszem kwestyami".

Taki wstęp położył ks. Nawrocki na początku swej dzielnej, jędrnie napisanej broszury. Staje on w niej z jednej strony w obronie szlachetnych i czysto katolickich dążności większej części duchowieństwa ruskiego, które, zwłaszcza w ostatnim czasie, budzi się niezaprzeczenie do ruchu w życiu kościelnem, katolickiem, tak między sobą przez rekolekcye kapłańskie, jak i między ludem przez misye — z drugiej strony, *cum apostolica libertate*, odważnie i bez ogródki, jak na kapłana przystało, potępia zdrożne prądy, zwłaszcza liberalne, jakim od dłuższego już czasu hołduje znaczna część „narodowców" ruskich z organem *Diło* na czele, a którym, co smutniejsza, wtóruje, zapewne nie *ex malitia*, ale *ex ignorantia*, także druga, mniejsza część księży.

Wogóle *Diło* stoi przeważnie pieniędzmi księży ruskich, i gdyby ci odmówili mu swej prenumeraty, musiałoby z konieczności upaść. To też niejednego, jaśniej na rzeczy patrzącego, musiało to niezmiernie boleć, że organ ten, ich kosztem egzystujący, antykatolickie, liberalne głosi zasady. Aby więc otworzyć oczy niebacznym, pierwszy ks. Wołosiański, młody, gorliwy a przytem światły kapłan, zainterpelował *Diło* w czasopiśmie Душпастырь, ażeby ono wyraźnie powiedziało: czy chce i nadal być liberalnem — czy klerykalnem? Redakcya *Diła* bez zastrzeżenia przyznała się do liberalizmu, i z naciskiem podniosła, że *Diło* jest i będzie liberalnem. Naturalnie spodziewać się teraz można było, że na takie oświadczenie wszyscy księża ruscy, wiedząc przecież, że Kościół potępia wszelki liberalizm, nietylko radykalny i umiarkowany, ale też fałszywie tak zwany katolicki — odstąpią zaraz od *Diła*. Lecz oto, ku powszechnemu zdziwieniu, podniosło się z prowincyi kilku księży-„narodowców", a właściwiej kilku narodowców, którzy przytem są księżmi, nietylko w obronie liberalizmu *Diła*, ale z ostremi docinkami na ks. Wołosiańskiego, zarzucając mu, jakoby on swem żądaniem, by *Diło* w duchu klerykalnym pisało, chciał „zniszczyć ruską narodowość" (!), „rozedrzyć Ruś". Odpowiedział im należycie ks. Wołosiański, posypało się też z różnych stron kraju z jakich dwadzieścia głosów księży, którzy również taką nielogiczność i nierozum kapłanów-liberałów potępili. Między wszystkimi, jasnością myśli, żywym kolorytem, wyszczególniła się powyższa broszura ks. Nawrockiego, z której dłuższe ustępy, dla okazania jej ducha, przytaczamy:

Uczucie liberalne tych księży przeważyło i przewyższyło sumienie kapłańskie, stracili równowagę, i w obronie zagrożonego, według ich mnie-

mania narodowstwa, a raczej liberalizmu, wystąpili przeciw Kościołowi. „My nie klerykali — wołają — nie! my liberali". — Ależ wy przecież kler! — „Cóż z tego, że my kler — kiedy nie klerykalny"... Oto logika. Zapomnieli oni, a właściwie nigdy nie rozumieli, że cały *crimen* klerykalizmu w tem jest: ażeby stać twardo przy św. Wierze i Kościele katolickim, nie być indyferentnym, nie chwiać się na dwie strony — ale Chrystusa i Jego niemylny Kościół znać i Jego naukę głosić — nie być liberalnym...

Stawiając takie postulata *Dilu*, czyż stajemy na przeszkodzie rzeczywistym interesom narodowości? Nie — my tylko żądamy, i mamy prawo żądać, gdyż naszym kosztem *Dilo* utrzymujemy — żądamy, aby *Dilo* w swych szpaltach zaznaczało to, co służy ku podniesieniu Kościoła, a sprzeciwiało się temu, co Kościołowi, jego prawom i jego wolności się sprzeciwia. Niech nie żałuje miejsca na ważniejsze sprawy, które nas obchodzą nietylko jako Rusinów, ale i jako katolików. Z drugiej strony niechaj nie cieszy się z jakiegoś tam prawdziwego albo zmyślonego faktu, krzywdzącego katolicki Kościół i jego instytucye, tem bardziej niechaj nie powstaje przeciwko takim instytucyom. Niechaj w takich wypadkach powaga Kościoła będzie u niego większą od powagi *Kuryera Lwowskiego* i pism jemu podobnych. Piszecie w programach sejmowych, że: stoimy przy Kościele katolickim — a kiedy kler od was żąda, abyście tak czynili jak piszecie, abyście w duchu tego Kościoła i jego kleru pisali — podnosicie krzyk, że takie żądania, to sprawa jezuicka, to zacofanie, retrogresya — to rozbrat z duchem postępu, z inteligencyą!

Tej inteligencyi liberalnej, pozbawionej elementu klerykalnego, doświadczyliśmy po uszy. Wydała ona świetne rezultaty w młodzieży gimnazyalnej, akademickiej, u ludzi „na stanowiskach". Wejdźmy w rozmowę z takiemi „inteligentnemi głowami", które dopiero co złożyły egzamin dojrzałości. Wszystkiego od nich dowiecie się, tylko o jedno ich nie pytajcie, nie zaczepiajcie niczego duchownego, bo otrzymacie krótką odpowiedź: „ja takich rzeczy nie czytam, to się nie godzi z mojem przekonaniem!" Jakto, pytamy, taż przecie uczycie się w gimnazyum religii? „E, i cóż z tego, odpowiadają, ot czyta się, żeby się tam coś powiedziało, żeby katecheta ‚nie sekował'". A do spowiedzi czy chodzicie? „Ta czemuż, trzeba oddać kartkę, ale ja myślę, że to czysta sekatura, to powinni już raz skasować, przynajmniej w wyższem gimnazyum, przecież my nie chłopstwo, ani nie dzieci. Bo, proszę, ja przychodzę do spowiedzi, a ‚on' mnie o takie rzeczy pyta, jak jakiego ‚szkraba'. Zostawiłem kartkę i zabrałem się".

Czyż to nie widoczny przykład przyszłej „inteligencyi", „liberała umiarkowanego"? bo nieumiarkowany nie chodzi już sam do spowiedzi, ale kartkę posyła przez „szkraba". A cóż mówić o młodzieży akademickiej. Z takiej szkoły naturalnie nie wyjdą klerykali.

Postąpiliśmy, prawda, pod względem „inteligencyi"; nasi urzędnicy, profesorowie, kapłani, są „wszechstronnie inteligentni", tylko z jednej strony mają niektóre braki, mianowicie: prawnikowi brakuje prawa, profesorowi jego przedmiotu, kapłanowi teologii — a zresztą są ludźmi inteligentnymi.

W imię tej inteligencyi doszliśmy do tego, że dzisiaj jedni urządzają

sobie prawdziwy sport z wyśmiewania wszystkiego co święte, którym Kościół, Wiara św. i praktyki religijne podają zawsze nowy, niewyczerpany materyał do zabawy. Drudzy, w imię tej samej inteligencyi, chcieli postępu, chcieli Ruś oświecić, i uwolnić ją od zacofania, od „niekrytycznej wiary i zabobonów". Borykali się z Chrystusem i z Rzymem, a borykali się „za ruski kościół" (!). Ukończywszy, jak mniemali, z Rzymem, zaczęli borbę przeciwko swoim księżom, a zawsze „za ruski kościół — teraz już bezkapłański, ale — narodowy, nacyonalny". I doborykali się!... Naturalnie, że i Rzymu nie obalili i księży się nie pozbyli, ale jedno osiągnęli: oto w sercach tysięcy Rusinów po Rzymie i miejsce zastygło, a miejsce księdza w innych tysiącach zajął dzisiaj „komedyant-ksiądz".

Taka to więc nasza liberalna inteligencya, a jej głównymi guwernerami — nasza publicystyka, rozbita wprawdzie na różne tabory — „twardych", „miękkich" i t. d., ale w walce za tą liberalną inteligencyą a przeciw Kościołowi katolickiemu, wszyscy jak rodzeni bracia, jak ci Żydzi, co drą się i gryzą między sobą, ale gdy chodzi o wystąpienie przeciw chrześcijanom, wszyscy zbiegają się do wspólnej potyczki. Chętnie do obrony staje liberalna ta nasza klika gazeciarska za cerkwią „gr.-kat.-rosyjsko-krywosławną", albo też za „gr.-kat.-narodowo-liberalną", ale czysto katolicki Kościół, to wróg jej, a jego kapłan — chociaż najszczerszy syn Rusi — to Jezuita! Chaos w pojęciach, chaos w życiu moralnem, nędza w życiu społecznem — to owoce naszej liberalnej inteligencyi. Na jej skrzydłach — jednem, które nam *ex offo* od państwa przyszyli, drugiem, które my dobrowolnie sobie przyłatali — lecimy jak na dwukolnej bidzie — w przepaść. Gdyby się chociaż jedno z tych skrzydeł złamało, gdyby chociaż jedno koło pękło, to przynajmniej, które dobrowolnie sobie dodaliśmy, możebyśmy jeszcze stanęli na nogi, lecz cóż, kiedy liberalny bakcylus tak już rozstroił nasz organizm, a sporą dozą czerpany napój z zaraźliwym jadem tak już zniszczył zdrowy nasz zmysł, że ślepi i nieczuli staliśmy się na jedyne lekarstwo, jakie pozostało na wyleczenie się z tej choroby. Jakie to lekarstwo? To zdrowa i nieomylna, Boska nauka, złożona przez Boskiego Mistrza w wiernym depozycie, w katolickim Kościele, nieomylnej Oblubienicy Chrystusa Pana!

Oto w streszczeniu piękne myśli broszury ks. Nawrockiego, wzniosłe i zdrowe, godne kapłana. Nie pozostaje nam nic dodać, jak tylko szczerze życzyć, ażeby czyste to nasienie, na niwę ruskiego społeczeństwa rzucone, wydało stokrotny, pożądany owoc. *Ufajcie, jam zwyciężył świat* — mówi Chrystus, a zwyciężył przez Kościół katolicki; to też i w narodzie ruskim, jeżeli tylko całem sercem przylgnie do tego Kościoła, ufamy, że zły kąkol liberalizmu, socyalizmu i innych niebezpiecznych prądów, wrogich Cerkwi i samejże narodowości, zniszczeje, a czysta pszenica życiodajnych zasad okryje obficie zaniedbane jej zagony.

Pl.

Исторично-литературнѣ замѣтки до „Слова о Полку Игоревѣмъ". (Historyczno-literackie uwagi do „Słowa o Pułku Igora". *W. Kocowskiego).* Відчит Товариша Вол. Коцовского виголошенний на першихъ загальнїх Зборах Наукового Товариства імени Шевченка 11 мая 1892 р. у Львові. (Передрук із справоздання Гімназії академічної за р. 1893). Str. 42.

Cennym bez wątpienia dodatkiem do krytycznych studyów nad najdawniejszym zabytkiem literatury ruskiej są „Historyczno-literackie uwagi" W. Kocowskiego. Opierając się na licznych źródłach, wysnuwa autor na samym wstępie wnioski co do wpływów, przy jakich rozwijała się staroruska poezya, szczególnie epiczna: Ruś była związana bezpośredniemi stosunkami nietylko ze Wschodem, ale łączyły ją też ścisłe węzły z Zachodem. Dwór Jarosława Mądrego blizko spowinowacony był z dworem niemieckim, francuskim, polskim i węgierskim, nic więc dziwnego, jeśli i na Rusi znaną była ówczesna bohaterska poezya zachodniej Europy. Z Bizancyum też i koloniami greckiemi na wybrzeżach morza Czarnego utrzymywała Ruś stosunki cywilizacyjne i literackie. Stąd rozszerzało się na Rusi — już za Askolda i Dyra — chrześcijaństwo, a z niem i poezya kościelna.

Nadto kupcy ruscy przynosili bezpośrednio z dalekiego Wschodu liczne podania, które się wiele przyczyniały do rozwoju poezyi tak piśmiennej, jakoteż ludowej. Z tym zewnętrznym wpływem łączył się wpływ wewnętrzny: poetyczne usposobienie ludu. W ustach ludu żyły podania o bohaterskich wyprawach książąt, o wojnach domowych, a podania te były ogniwem, łączącem poezyę piśmienną z poezyą ludową. Przy takich czynnikach musiała wytworzyć się osobna poetyczna mowa i forma. Forma ta uwydatnia się szczególnie w akcencie i rymie, który występuje w różnych odmianach. Oto treść pierwszej części „Uwag".

W dalszym toku swej pracy bada autor przyczyny niesnasek domowych między książętami, które sprowadziły Połowców na Ruś i spowodowały nieszczęśliwą „wyprawę Igora", co stanowi główną treść „Słowa". Interesujące jest przypuszczenie autora co do tożsamości osoby „Bojana" z osobą Jana, syna Wyszaty; bądź co bądź, przypuszczenie to, opierając się na danych historycznych, nie jest bezpodstawne.

Wogóle przyznać musimy autorowi znajomość historyi ojczystej, objektywność zapatrywań, logiczność wniosków. Na jedno tylko pozwolimy sobie zwrócić jego uwagę: takie wyrażenia, jak „porzucił z czasem łacińską wiarę" (zam. zmienił łaciński obrządek), „Ruryk mógł już być chrześcijaninem zachodniego wyznania" (!) i t. p. — takie, mó-

wimy, wyrażenia, nietylko że są niestosowne, ale nadto mogłyby komuś dać powód do podejrzywania autora o brak pojęcia prawdziwej religii, lub o indyferentyzm w rzeczach wiary, a do tego przecież, sądzimy, autor się nie poczuwa.

Zaznaczyć też musimy, że styl suchy i zawiły znacznie osłabia korzystne wrażenie, jakie praca autora, skromna wprawdzie rozmiarami, ale bogata w materyę, mogłaby wywrzeć na czytelników.

X. H.

Miesiąc Maryi wedle zapisków z konferencyj majowych ks. Goliana. Przez *A. D.* W Krakowie. Nakładem A. Jerzmanowskiej. 1893.

Jeden z wielkich myślicieli naszego wieku słusznie uważał, iż im lotniejszym i przelotniejszym wyraz piękna, tem wyższym bywa onego objaw. Stąd nad sztuki plastyczne unosi się muzyka, a ponad falą harmonii góruje potęga słowa, o przemijającym dźwięku a nieśmiertelnym wpływie. Lecz posłannictwo słowa, acz najrodzajniejsze, pełnem jest zaparcia i wyrzeczenia. Żeńcy i żniwiarze, gromadząc obfite zboża snopy, nie pomną na siewcę, który obsiał w znoju i pracy zagon Pański. Czyny i księgi zostają, słowa, które im dały pobudkę i podnietę, rozbrzmiewają się doniosłem lecz bezimiennem najczęściej działaniem. A stąd pewna niewdzięczność i niepamięć jest zwykłą odpłatą najszczytniejszego posłannictwa między ludźmi.

Nie było męża, któryby wśród nas z wyższem natchnieniem i większem poświęceniem dzierżył urząd słowa, jak ś. p. ks. Zygmunt Golian. Całe jedno pokolenie w okresie bezmiernej klęski i zwątpienia, usiłował on podnieść, naprawić, pokierować, oświecić i zbawić. Kto oceni, ile owocu wydał w duszach ów posiew wspaniały, hojną rzucany ręką, bez względu na osobiste uciśnienie i ciężkości? Starsi z nas pamiętają dotąd, jak przed kilkudziesięciu już laty od grobu Skargi padały złotouste nauki, jak później stropy Maryackiej świątyni brzmiały wspaniałem słowem wielkiego kaznodziei, który nie szczędził głosu ni sił, i po kilka razy dziennie, w różnych kościołach i kaplicach zakonnych, uczył, objaśniał, nawracał do Boga, z zapałem wielkiego serca i wielkiego talentu. Trudno uwierzyć, iż choć całe dziesięciolecie już upłynęło, odkąd ten gorliwy sługa Boży odszedł na zasłużony spoczynek, nie znalazła się jeszcze żadna biografia wyczerpująca tak piękne i bujne życie, nie znalazł wizerunek postaci ze wszech miar pociągającej i zajmującej. Cichnie tymczasem echo głosu jego, wibrujące już tylko w duszach co go słyszały, nie ustalone pismem ni drukiem,

bo w czynnem apostolstwie swojem, ks. Golian niewiele mógł się zajmować wydawaniem swych świetnych improwizacyj, nie troskał się o ich zachowanie, bacząc tylko na ich bezpośredni skutek i owoce zbawienia. Stąd szczupłość spuścizny, która uniesie w potomność pamięć jednego z największych mowców religijnych w Polsce, jednego z najżarliwszych współzawodników Birkowskich, Prusinowskich, Kajsiewiczów.

Wobec zachodzącej mgły zapomnienia dokoła postaci i pamięci ks. Goliana, rzewne robi wrażenie troskliwość jednej kobiety, która z rąk sługi Bożego otrzymała pociechę i pomoc w chwilach najcięższych życia, doświadczonego rozlicznemi krzyżami. Słabemi siły, osamotnionemi zabiegami, szczupłemi środkami, próbuje ona spłacić dług wdzięczności pilnem gromadzeniem rozpierzchłej spuścizny słowa, które dla niej przemieniło Golgotę ziemskich niedoli w Tabor pociech niebiańskich. Niedawno z tych samych rąk otrzymaliśmy korespondencyę ks. Goliana. Dziś odbieramy we wznowionem wydaniu nabożeństwo majowe, ułożone podług doraźnych zapisków, niegdyś uczynionych w czasie rozmyślań, którym ś. p. ks. Golian w kościele św. Piotra przewodniczył. Urosła stąd książeczka niezrównana, o której ks. Kardynał Książę Biskup krakowski powiedział słusznie, iż ona nietylko na maj, lecz na zawsze służyć może i powinna. One też słowa: „Na maj i na zawsze“, złotemi głoskami błyszczą na ciemnej, starannej oprawie. Nie same bowiem medytacye ks. Goliana stanowią wątek i objętość tej miłej formą a doniosłej zawartością książeczki. Znalazło się tu miejsce i na modlitwy do Komunii św., i na nabożeństwo podczas Wystawienia, przedewszystkiem zaś na Mszę św. zwyczajną i jej odmiany we wszystkie dnie miesiąca maja. Wobec fali pobożnych wydawnictw, zastępujących ckliwemi elukubracyami własnego układu piękne i podniosłe modlitwy kościelne, z radością witamy zwrot w jedynie pożądanym kierunku, łączności z słowami kapłana i Kościoła. Francya od dawna trzyma się tej zasady, aby modlitewniki czysto parafialne wydawać, nie obciążając ich fantastycznym balastem osobistych wynurzeń pobożnych zresztą wydawców. Nikt przecież znaleść nie zdoła piękniejszych wyrazów prośby i pacierza nad te, któremi sam Kościół Boga chwali, Boga błaga i wzywa! Jedność wiary wiernych niechże się i jednością modlitwy zatwierdza. Zaczem gorące uznanie należy się wydawcy niniejszego nabożeństwa majowego, iż w tej ściśle katolickiej formie ułożył tę piękną książeczkę, której nie można dość zalecić pobożności wiernych „na maj i na zawsze“, rozmyślania bowiem spisane z pamięci według konferencyj ks.

Goliana zachowały płomienność i promienność tego żywego słowa, które za dni młodości naszej porywało i zapalało serca słuchaczy.

M.

Wykaz chorych Szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie za rok 1892 z uwzględnieniem chorych zakaźnych i leczenia tychże, a zarazem **Krótka historya Konwentu Braci Miłosierdzia** w Krakowie i dawnej polsko-litewskiej prowincyi. Kraków 1893. Druk „Czasu". (Duża 8-ka, str. 25).

O części statystycznej i leczniczej tego Wykazu powiemy tylko, że (o ile o tem możemy sądzić) odpowiadają wszystkim, najwybredniejszym nawet dzisiejszym wymaganiom statystyki i medycyny.

Ważniejszą dla profanów w naukach ścisłych, jest część historyczna. Za nią należy się prawdziwa wdzięczność od nas Polaków pobratymcowi naszemu Morawianinowi, który ją zredagował. Jest nim W-bny Przeor tutejszego klasztoru Braci Miłosierdzia, brat Letus Bernatek, magister farmacyi.

Dowiadujemy się z tej historyi, że Bracia Miłosierdzia sprowadzeni zostali do Polski za sprawą O. Gabryela Ferrary. „Był to, jak mówi autor, pobożny i z nauką leczenia bardzo obeznany zakonnik. Po wykonaniu wielu szczęśliwych operacyj na chorych i wyleczeniu arcyksięcia Maksymiliana Ernesta, przez swoich nadwornych lekarzy już opuszczonego... powołany został do Zygmunta III., który bez nadziei leżał ciężko chory". Wyleczywszy króla polskiego, wykurował następnie papieża Urbana VIII. Wskutek sławy, jakiej stąd nabył nietylko O. Gabryel ale i cały zakon, Waleryan Montelupi, kupiec krakowski, sprowadził Braci Miłosierdzia do naszego grodu.

Siedmnaście klasztorów ze szpitalami mieli Bracia Miłosierdzia w Polsce i Litwie, poznoszonych niestety następnie przez rząd rosyjski. Ostatni klasztor warszawski zniesiono w r. 1865.

O polskiej prowincyi, Przewielebny Prowincyał Braci Miłosierdzia Jan Boży Sobel[1], a za nim nasz autor, tak się wyraża: „Historya tej prowincyi nietylko przejmuje najgłębszym szacunkiem dla szlachetnego narodu, lecz wprost budzi podziwienie. Z niej wyszło kilku jenerałów zakonu, wielu mężów nauki, szczególnie w dziedzinie sztuki lekarskiej, wielu pobożnych zakonników, których uważają za świętych. W roku 1656 zmarło 18 Braci Miłosierdzia w Warszawie, Lublinie i Łowiczu

[1] *Geschichte und Festschrift der österr.-böhm. Ordens-Provinz der Barmherzigen Brüder.* Wien 1892.

śmiercią męczeńską. Jako pisarze celują szczególnie: O. Ludwik Ciosnowski, O. Augustyn Lochmann, O. Ludwik Perzyna, zasłużony lekarz i pobożny zakonnik, przeor w Łowiczu r. 1793. Król Jan Sobieski podczas swoich wypraw przeciwko Turkom zawsze miał przy swoim boku kilku Braci Miłosierdzia jako lekarzy polowych". — Wspomniany O. Perzyna wydał sześć znakomitych dzieł medycznych: 1) Makrobiotykę, która od roku 1789 do 1799 miała 4 wydania. 2) Podręcznik anatomii dla uczących się medycyny i chirurgii. 3) Podręcznik akuszeryi dla lekarzy polowych i akuszerek. 4) Nauka o leczeniu ran. 5) Przewodnik w sporządzaniu protokółów sądowych przy otwieraniu trupów. 6) Lekarz wiejski, czyli książka pomocnicza przy endemicznych i epidemicznych chorobach na wsiach. Prócz tego: „Dwie homilie do braci zakonnych, przeciw zaraźliwemu dzisiaj wolnomyślicielstwu w rzeczach wiary" (Łowicz 1796), i „Reguła zakonna św. Augustyna z dodatkami św. Jana Bożego, z łacińskiego i niemieckiego języka". Ktoby się spodziewał, że naszą literaturę medyczną tak znakomicie wzbogacił — świątobliwy zakonnik.

Cała broszurka napisana jest z pewnem ciepłem pobożności, językiem i stylem, jak na obco-krajowca wcale dobrym. Dwa tylko ustępy (str. 20 i 21) wykazują, że szan. autor nie rości sobie prawa być literatem z zawodu.

Mamy nadzieję,, że ta mała książeczka nie przejdzie bez oddźwięku w polskich sercach i będzie zadatkiem odrodzenia się do dawnej świetności tego Zakonu, i tego klasztoru krakowskiego, który z takiem zaparciem poświęca się dla chorych, a zwłaszcza cholerycznych.

Ks. H. P.

Pies, jego gatunki, rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie. Napisał *Stanisław Rewieński*. Z licznemi drzeworytami w tekscie. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1893.

Dobrze napisana monografia psa, którąby wyczerpywała dokładnie i krytycznie całe życie tego starego przyjaciela człowieka, wszystkie jego zdolności, przymioty i wady psychiczne, rozwój ich w osobniku i w generacyach całych, byłaby i bardzo pouczająca i zajmująca niemało. Takiej monografii jeszcze nie mamy. „Pies" Rewieńskiego, to książka przedewszystkiem praktyczna i informacyjna. Dlatego też autor nie bawi się w psychologię ani ewolucyę psa, a jeśli podaje nieraz ciekawe szczegóły z życia psychicznego różnych ras psich, to zawsze z punktu widzenia praktycznego: jeśli zaś zawadza czasami o pocho-

dzenie ras, to nie wchodzi w tę rzecz głębiej, tylko dotyka jej mimochodem. Z tego czysto praktycznego założenia wynika zupełnie naturalnie sposób pisania bez ścisłej precyzyi pojęć przyrodniczych i psychologicznych, jakoteż rozkład książki. Po kilku ogólnych uwagach o historyi naturalnej psa i o ogólnych prawidłach chowu psów, przechodzi do przeglądu ras każdej z osobna. Zajmują go najpierw psy do stróżowania i obrony, dalej psy domowe i pokojowe, następnie psy myśliwskie, którym najwięcej miejsca poświęca i których najbardziej *con amore* traktuje; pod koniec przeglądu nie zapomniał autor wspomnieć o niektórych pieskach pokojowych damskich. Przy każdej rasie podaje autor użyteczność jej, cechy główniejsze, wreszcie psiarnie sławniejsze, zajmujące się hodowlą odnośnych psów. Ostatni rozdział traktuje dość szczegółowo różne choroby psów, ich objawy i sposoby leczenia. Liczne drzeworyty w tekscie podnoszą wartość książki, szkoda tylko, że po największej części nie oddają właściwego wejrzenia ras odpowiednich.

Książeczkę tę, jako informacyjną, można bardzo polecić gospodarzom, myśliwym i tym wszystkim, co psy hodować, z psami i psami bawić się lubią.

J. Nuckowski.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Philosophia moralis in usum scholarum, auctore *Victore Cathrein S. J.* Friburgi. Sumptibus Herder. 1893. (Str. 396, w 8-ce).

Znany powszechnie w katolickiem piśmiennictwie niemieckiem ks. Cathrein T. J., profesor etyki naturalnej i autor gruntownych rozpraw — w *Stimmen aus Maria-Laach* — w zakresie bieżących przeważnie kwestyj etycznych, wydał przed dwoma laty dwutomowe dzieło p. t. *Moralphilosophie*, w którem pokusił się szczęśliwie o skreślenie całokształtu etyki przyrodzonej [1]. Niniejszą książkę łacińską, przeznaczoną do użytku szkolnego wedle systemu filozofii scholastycznej, uważać należy za krótkie, a umiejętne streszczenie niemieckiego dzieła.

Pochwały podniesione poprzednio w naszem czasopiśmie przy ocenie *Moralphilosophie*, wypadałoby chyba wszystkie i tutaj powtórzyć.

[1] Zobacz ocenę tego dzieła: *Przegląd Powszechny*, t. XXXI, sierpień 1891.

Dodajmy nadto, że *Philosophia moralis*, jako podręcznik dla znających terminologię szkolną, jest o wiele ściślejszą. Ale czy jest głębszą i gruntowniejszą od swojej starszej siostry niemieckiej? Odpowiemy, że tak. Przedewszystkiem dlatego, że ta ostatnia, jako dzieło popularne, nie mogła u ogółu czytelników suponować erudycyi; musiała więc — poniekąd z natury swego zadania — unikać dowodów, któreby ze ścisłością terminów i krótkością formy łączyły jędrność, siłę i przejrzystą oczywistość. Przeciwnie *Philosophia moralis*, jako podręcznik dla uczniów, którzy już poprzednio przeszli lub równocześnie przechodzą inne działy filozofii, mogła o wiele łatwiej — pomimo swojej zwięzłości — użyć dowodów, opierających się na pierwszych przyczynach. Uwagę tę odnosimy przedewszystkiem do części I., ogólnej, która — dla samego już przedmiotu — musi raczej szukać pomocy w analitycznej dedukcyi, niż w syntetycznej indukcyi.

W części I., w której jest mowa o szczęściu, jako wsobnym celu człowieka, o moralności, jako wyłącznej właściwości czynów istot rozumnych, o istotnej i zasadniczej różnicy między dobrem a złem moralnem, o wsobnej i przedsobnej normie działania moralnego, sumieniu i prawie przyrodzonem — czerpie autor dowody przeważnie z dzieł św. Tomasza z Akwinu. Przytem wprowadza na arenę — nowsze i najnowsze nawet — zapatrywania na te kwestye etyków, budujących sobie na lodzie gmachy moralności bez Boga. Ich błędne poglądy zbija dowodami wziętemi bądź z wnętrznych powodów rzeczy — *ex rationibus rei intrinsecis* — bądź wykazując nikłość ich teoryj ze samejże sprzeczności dowodów.

Część II., ogarniająca bardzo obfity materyał, bo prawa i płynące z nich obowiązki osobiste, społeczne i międzynarodowe, musiała wypaść w szczegółach kompendyalnie. To też niektóre tylko kwestye — jak o prawie własności i socyalizmie, małżeństwie, początkach, podstawach, obowiązkach i formach ustrojów państwowych — obrobił autor obszerniej: innych zaś bardzo wiele, traktuje znacznie pobieżniej, ujmując je umiejętnie w związku z głównemi tezami, w t. zw. *corollaria* i *scholia:* co i jasności pomaga i daje profesorowi — o ile czas starczy — szersze pole do wykładów.

Wobec ogromu materyału, nastręczającego się w etyce szczegółowej, trudno robić ks. C. zarzut z tego, że w swym podręczniku szkolnym niektóre ciekawe a ważne rzeczy zupełnie przemilczał, albo potrąca o nie mimochodem tylko. Wydaje nam się jednak, że praktyczność książki (jako podręcznika dla słuchaczy filozofii scholastycznej, którzy potem na studyum teologicznem wiele z kwestyj etyki ogólnej

raz jeszcze przerabiać będą), o wieleby zyskała, gdyby autor był mniej obszernie opracował niektóre rozdziały w części I., jak np. o cnotach i błędach (str. 69—83), o grzechu, zasłudze i pojęciu prawa *(ius)* w ogólności (str. 124—153), a podał natomiast w części II. kilka ciekawych a ważnych zagadnień z zakresu ekonomii socyalnej, jak np. o normie sprawiedliwego rozkładania podatków, o prawach i obowiązkach reprezentantów ludu w ciałach prawodawczych, o strejkach i militaryzmie. Nadto zauważymy, że emancypacyę kobiet rozbiera ks. C. jedynie ze stanowiska politycznego, pomijając zupełnie etyczno-socyalną stronę tej kwestyi.

Powtarzamy jednak, że nie mamy zamiaru robić ks. C. zarzutu z tego, czego w swej książce nie pomieścił, owszem wdzięczni mu jesteśmy za to, co pomieścił: za przejrzysty rozkład traktowanych rzeczy, za treściwe notatki z zakresu historyi filozofii na wstępie do tez, wreszcie za jasne i krótkie a ścisłe dowody i wskazówki do rozwiązania nasuwających się trudności, słowem: za dobry podręcznik szkolny.

Philosophia moralis, ze względu na język i wyłączne przeznaczenie dla szkoły, mniejby zapewne zająć mogła ogół wykształconej publiczności, dla którego przeznaczył autor dzieło niemieckie, ale profesorowie i słuchacze teologii moralnej w seminaryach duchownych, jakoteż katecheci, wykładający etykę katolicką w szkołach średnich, znajdą w niej dobry podręcznik pomocniczy, rozjaśniający niejednę kwestyę etyczną ze stanowiska rozumu.

Ks. Eugeniusz Hełczyński.

Горски Вијенац, историјски догађај при свршетку XVII. вијека сочинио Петар Петровић Негуш. У Новоме Саду 1892. (Górski Wieniec. Obrazek historyczny z końca XVII. wieku. Skreślił *Piotr Piotrowicz Niegusz.* W Nowym Sadzie [Neusatz] 1892).

Niezwykle przyspieszone, gorączkowe niemal tętno życia jednostek i całych społeczeństw, stanowi charakterystyczną cechę ostatnich lat dziesiątków naszego stulecia. Żyjemy z dnia na dzień, goniąc wciąż dalej a dalej, jakby parci jakąś tajemniczą siłą, nie oglądając się prawie poza siebie, i nader rzadko wśród tej ciągłej gonitwy pozwalamy naszemu duchowi orzeźwić się nieco miłym czarem poezyi. Coraz też mniej istotnie pojawia się wieszczów prawdziwie natchnionych i godnych tej nazwy, których pieśń umiałaby zelektryzować, porwać i unieść za sobą słuchaczy ponad ziemskie mrowisko, w sfery ideału. Od gwaru i zgiełku, z jakim na przestrzeni całej niemal Europy toczy się zło-

wroga *struggle of life*, poezya, lubiąca przedewszystkiem harmonię i spokój, chroni się coraz głębiej do pierwotnej swej kolebki, na łono dziewiczej górskiej przyrody, do ludów nie porwanych dotąd ogólnym materyalistycznym prądem, które, dzięki swemu odosobnieniu, zachowały jeszcze żywą wyobraźnię, oraz nader wrażliwy zmysł piękna. Takimi ludami, dla których pieśń stanowi nie zbytkowny haft, ale samą niemal osnowę codziennego życia, są dotąd jeszcze *par excellence* narody południowo-słowiańskie. Każdy poemat, noszący na sobie cechy prawdziwego natchnienia, witany bywa przez nie z radością i zapałem, w braku zaś nowych poetyckich utworów karmią się one dawnemi, które obecne pokolenie usłyszało od swych ojców i przekaże dzieciom lub wnukom, nie znając nawet niekiedy imienia ich twórców.

Do rzędu poematów, które u południowych naszych pobratymców największą zdobyły sobie popularność i, że się tak wyrazimy, przeszły w krew i szpik narodu, należy niezaprzeczenie *Gorski Vjenac* czarnogórskiego władyki, Piotra Niegusza. Wielką też zasługę położyła księgarnia braci Popowiczów, wydając obecnie w nowej szacie ten nie nowy już wprawdzie, lecz zawsze piękny utwór księcia-poety.

Wprzód jednak, niż się zaznajomimy z treścią „Górskiego Wieńca", rzućmy okiem na sympatyczną, a mało chyba znaną naszemu społeczeństwu sylwetkę jego autora. Radoj Piotr Niegusz, urodzony w r. 1813 i jeszcze za życia swego stryja, czarnogórskiego władyki, mianowany jego następcą, kształcił się najprzód w domu rodzinnym pod kierunkiem znakomitego serbskiego poety, Szymona Milutinowicza, który studyując z nim pilnie utwory klasyczne, wywarł wpływ doniosły na rozwój talentu swojego ucznia. Następnie młody książę po ukończeniu wyższych studyów i zwiedzeniu większej części Europy, wrócił do ojczyzny w r. 1830 dla objęcia tronu przodków. W ciągu dwudziestoletniego swego panowania stoczył kilka zwycięskich potyczek z Turkami pod Drobniakiem (1840), Grachowem (1842), Doljaną (1844) i Nahja Rjeczką (1849), poczem osiadł stale w Cetyni i zaczął pracować nad oświatą, oraz złagodzeniem obyczajów swojego ludu. Napróżno jednak starał się wykorzenić tak zwaną *otnicę*, czyli porywanie dziewcząt, i *krwinę*, to jest krwawą familijną zemstę; napróżno usiłował przekonać swych podwładnych o niezbędności szkół i nauki; naród, stojący o parę wieków wstecz na drodze cywilizacyi, nie dał się podnieść od razu do równego z innymi poziomu. Zniechęcony niepowodzeniem najlepszych swych chęci, książę w ostatnich latach życia odosobnił się całkiem od ludzi i świata, aby się poświęcić wyłącznie

pracy literackiej. Z tej właśnie epoki pochodzi większa część jego utworów, jak naprzykład: *Aleksita* (Алексита), *Ogljedało* (Огледало, Zwierciadło), *Kuła Dziuruszyta* (Кула Ђурушита), *Stefan Malji* (Стефан Мали) i t. d., pomiędzy któremi nader zaszczytne miejsce należy przyznać „Górskiemu Wieńcowi".

Poemat ten, a raczej obraz dramatyczny, przenosi nas do rezydencyi czarnogórskiego władyki Daniły przy końcu XVII. wieku, w chwili, gdy naród serbski, ogłuszony przez czas długi tak olbrzymią klęską, jaką była dlań bitwa na Kosowem Polu, zaczął się budzić z letargu do życia, do walki z półksiężycem. Wprawdzie Czarnogórze nie uległo nigdy tureckiej przemocy, lecz zanadto czuło swe braterstwo z innymi Serbami, aby nie miało boleć nad ich niedolą, jakby nad własną. Na wstępie mieści się piękna dedykacya utworu „Prochom Ojca Serbii" (Посвета праху оца Србиje), Kara Džjordžja, poważny zaś szesnastozgłoskowy jej wiersz posiada pewną marsową cechę, przygotowując czytelnika do tego, co na następnych znajduje się kartach. Sam „Wieniec" zdradza na każdym kroku widoczny wpływ klasycyzmu. Poeta starał się w nim zachować klasyczną jedność miejsca i czasu, co zaś do jedności akcyi, to utwór ten żadnego nie odtwarza czynu, ale tylko przygotowanie do przyszłych bohaterskich zapasów i maluje jedynie jutrzeńkę, która poprzedziła słońce złotej wolności. Przed oczyma naszemi przesuwają się kolejno postacie czarnogórskich *knezów* i wojaków, którzy donoszą swemu władcy o zatargach z Turkami, stopniowo coraz ostrzejszy przybierających charakter, lub zagrzani jego słowami, układają plany przyszłej walki. Postać samego władyki jest w wysokim stopniu tragiczna. Boleje on nad upadkiem swego narodu, pragnie go widzieć jak dawniej wielkim, wolnym i szczęśliwym, lecz wpośród swego otoczenia nie znajduje nikogo, coby go rozumiał i z nim razem działał. Najzacniejsze jego usiłowania rozbijają się o obojętność rodaków, pasuje się więc z nią rozpaczliwie, czując, że mu braknie sił do dalszej szermierki. Typ ten nadzwyczaj piękny i szlachetny, choć trochę za słaby, odzwierciedla wszystkie dążności, nadzieje i rozczarowania swego twórcy, który też w usta bohatera włożył najpiękniejsze, niekiedy głęboko filozoficzne poglądy i idee.

Jako gorący zwolennik klasycznych pisarzy, poeta nie omieszkał nawet w swym utworze naśladować chór grecki, który w jego „Wieńcu" stanowi tak zwane *koło* czyli pieśń, śpiewaną przy tańcu przez cały lud i zawierającą jakby kwintesencyę wyrażonych poprzednio zapatrywań. Chóry te przeplatają cały poemat i wielki nadają mu urok,

tem bardziej, że taniec połączony ze śpiewem poważnej zwykle treści nie jest wcale anachronizmem, owszem dziś jeszcze w uroczystościach i zabawach serbskich nader ważną odgrywa rolę.

Za zaletę też autorowi „Górskiego Wieńca“ poczytać należy, że o ile mu na to pozwalały ramy utworu, starał się w nim odtworzyć wiernie charakter miejsca i epoki. Wyborna jest charakterystyka odważnych, ale nawpół dzikich Czarnogórców, jak również popów, których Niegusz w niezbyt korzystnem wystawia świetle, uwydatniając zwłaszcza ich ciemnotę i niedbalstwo w spełnianiu obowiązków. Przedstawicielem tego kleru jest pop Mićo, który przybywa do władyki na czele deputacyi z poblizkich wiosek i wręcza mu pseudopetycyę, napisaną przez siebie w imieniu parafian. Opis komicznej tej audyencyi przytaczamy dosłownie:

(Pop Mićo podaje petycyę władyce Danile, ten zaś patrzy na nią, ale nic nie mówi).

KNEZ JANKO.

Cóż tam słychać, władyko, co pisze?

WŁADYKA DANIŁO.

Ja przeczytać tego nie potrafię.

(Władyka podaje papier księciu Jankowi, aby go oddał popu).

KNEZ JANKO *(przyglądając się petycyi).*

Dziwne pismo, niech je szatan porwie,
Tak wygląda ładnie na papierze,
Jakby nogą je grzebała kura.

(Wszyscy się śmieją, a knez Janko podaje petycyę popu, mówiąc):

Popie Mićo, czytaj nam to pismo,
Byśmy mogli wiedzieć, co tam stoi.

(Pop Mićo bierze petycyę, przygląda jej się długo i zaczyna czytać):

. . . . um . . . dam . . . am . . . .
. . . . bi . . . nu . . . no . . . .
. . . . na . . . sza . . . ra . . . .

WUK MIĆUNOWIĆ.

Ślicznie nam ten drągal tutaj czyta!
Cóż my z tego zrozumieć zdołamy?
Amanati! gdzieś się tak nauczył?
Może ciebie kształcono w Wenecyi?...
Jeśli swoje pismo tak nam czytasz,
To jak z cudzem będziesz radził sobie?

POP MIĆO.

Po co, Wuku, ze mnie tak żartujesz?!
Jak uczono, tak i nauczono!

Gdybym lepszych miał nauczycieli,
To i sambym lepiej dzisiaj czytał...
. . . . . .

WUK MIĆUNOWIĆ.

. . . . . .
Jakże czytasz liturgiczne księgi,
Gdy tak biegłym jesteś w tej nauce?

POP MIĆO.

... wcale ich nie czytam,
Nawet książki dla mnie nie potrzeba,
Bo jej w cerkwi nigdy nie otwieram,
Nauczyłem się na pamięć oto,
Jak odprawiać Mszę, lub dawać śluby,
I co mówić kiedy chrzci się dziecię;
Zamiast modlitw, jakich wówczas trzeba,
Odśpiewywam czasem pieśń z pamięci.

KNEZ JANKO.

Takich popów więcej, w całym świecie
I ze świecą pewnie nie znajdziecie!
(Wszyscy śmieją się i szydzą) [1].

[1] *(Pop Mićo dava pismo vladici Danilu, vladika gleda i ne govori ništa).*

KNEZ JANKO.

Što je bilo, što piše, vladiko?

VLADIKA DANILO.

Ne može se ono pročitati.
(Daje ga vladika knezu Janku, da ga popu povrati).

KNEZ JANKO *(gleda ga).*

Divna pisma, jadi ga ubili!
Krasno li je na kartu složeno,
Kao da su kokoške čepale.
(Svak se smije, knez Janko dava pismo popu i govori mu):
Pope Mićo, drž' ti ovo pismo,
Te pročitaj, da znamo što piše.
(Pop Mićo uzimlje pismo, dugo ga gleda i počinje čitati)
. . . . um . . . dam . . . . am . . . .
. . . . bi . . . nu . . . . no . . . .
. . . . na . . . ša . . . . ra . . . .

VUK MIĆUNOVIĆ.

Lijepo li ova sablja čita!
Divno li nas danas razgovori!
Amanati, dje nauči tako?

Oto niepodejrzane i wierne świadectwo, które i dziś może jeszcze tu i ówdzie dałoby się zastosować!

Co się tyczy formy, to pod względem rytmu nic nie pozostawia ona do życzenia, ale poemat zyskałby niemało, gdyby pisany był nie białym, lecz rymowanym wierszem. Nie czynimy jednak z tego zarzutu, gdyż poeta chciał może naśladować w ten sposób serbskie pieśni ludowe, po większej części rytmiczne, ale nierymowane. Może nawet to naginanie się do upodobań swego narodu zyskało jego utworowi tak wielką popularność. Pół wieku prawie już mija od chwili, gdy płyta grobowa zamknęła się nad zwłokami tego pieśniarza, a dotąd jeszcze czarnogórscy starcy, wiodąc poważne rozmowy o ubiegłych czasach, powtarzają aforyzmy wplecione do utworu Piotra Niegusza, które niepostrzeżenie przeszły w przysłowia; dotąd młódź serbska tańcząc narodowe *koło,* śpiewa z upodobaniem urywki z „Górskiego Wieńca".

Tytus Sopodźko.

Jesu li te u Mletke šiljali?
Kada svoje tako osijecaš
A da što bi s tudijem činio?

POP MIĆO.

Ti se, Vuče, ka' da samnom rugaš?
Kakav nauk takvo i čitanje!
Da sam ima' boljeg učitelja,
Te bih i ja danas bolje čita!
. . . . . .

VUK MIĆUNOVIĆ.

. . . . . .
A kaho im čitaš leturgjiju,
Kad ovako u pismo zatežeš?

POP MIĆO.

Amanati, ja je i ne čitam,
Niti mi je knjiga za potrebu,
Nit je kada u crkvu otvaram!
Na pamet sam dobro utvrdio:
Leturgjiju, krstit' i vjenčati,
Ka' i druge pomanje potrebe;
Pa kad mi je koje za potrebu,
Ispojem ga ka' pjesnu na usta.

KNEZ JANKO.

Čudna popa, jadi ga ne bili!
U svijet ga ovakoga nema.
(Sve y smijeh i u graju).

Izkustveno dušoslovje. Priredio *Marijan Vuković*, urednik *Škola* i počastni član pedagogijskoga Sbora. U Osieku 1893. (Psychologia doświadczalna. Opracował *Maryan Wukowicz*, redaktor *Szkoły* i honorowy członek towarzystwa pedagogicznego. W Osieku 1893).

Przed pięćdziesięciu jeszcze laty niewielu stosunkowo ludzi, i to tylko najstaranniej i najpoważniej wykształconych, zajmowało się psychologią, która dla ogółu społeczeństwa była czemś nieznanem, mglistem i nieokreślonem. Dziś, w miarę postępu w dziedzinie wychowania, psychologia wraz z pedagogią staje się coraz bardziej niezbędną dla rodziców i nauczycieli, pragnących wywiązać się sumiennie z obowiązków, włożonych na nich przez Boga i społeczeństwo. Wynikiem tego stało się dążenie wielu pedagogów do spopularyzowania o ile możności tej gałęzi wiedzy w jak najszerszych kołach czytającej publiczności. W tym właśnie celu skreśloną została książka, wymieniona przez nas w tytule i posiadająca wszelkie zalety, jakich od popularnych wymagamy wydawnictw. Pracę swą podzielił autor na trzy części, z których pierwsza: „O życiu zmysłowem“ *(O životu osjećala)*, zajmuje się zmysłami i ich narzędziami, jak również wrażeniami, otrzymywanemi przez duszę za ich pośrednictwem. Część ta służy jakby za przedmowę do psychologii właściwej, zawartej w krótkim zarysie w dwóch następnych częściach: „O życiu duchowem“ *(O duhovnom životu)*, i „O czynnem życiu duszy“ *(O tvornom životu duše)*. Autor traktuje swój przedmiot z prawdziwem zamiłowaniem, opierając się pod względem teoryi psychologii na dziełach Lindnera, Dittesa, Volkmanna, Essera, Posedela, Deželicza, Jemerszycza i Bazaryczka, co mu jednak nie przeszkadza wcale opracowywać swoje dzieło w sposób zupełnie samodzielny. Teoretyczne wywody popiera p. Wukowicz przykładami praktycznemi, zaczerpniętemi z historyi i codziennego życia, tudzież narodowemi przysłowiami lub cytatami z dzieł najwybitniejszych chorwackich poetów. Dla czytelników, biorących po raz pierwszy do ręki książkę o psychologii, metoda taka ułatwia niezmiernie przyswajanie obcych sobie dotąd pojęć, a nawet sprawia, że ludzie, obeznani już z tą gałęzią nauki, przebiegają z zajęciem kartki tej książki wielce zajmującej i ciekawej. Ponieważ zaś autor miał na względzie jak największy praktyczny pożytek czytelników, dlatego w dziele swojem umieścił sporo wskazówek pedagogicznych, ściągających się do rozwijania pamięci, wyrabiania charakteru i t. p. Zarówno więc ze względu na swą treść wybornie opracowaną

i owianą duchem głęboko religijnym, jakoteż dla jasności, prostoty i płynności stylu, dzieło p. Wukowicza zasługuje na zupełne uznanie.

Tytus Sopodźko.

Cardinal Johannes Dominici O. Pr. 1357—1419. Ein Reformatoren bild aus der Zeit des grossen Schisma. Gezeichnet von *P. Augustin Roesler R. SS. C.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1893. (W 8-ce, str. VIII, 196).

Cały wiek piętnasty zszedł na ustawicznych wysiłkach, podejmowanych przez świątobliwych członków różnych zakonów w tym zamiarze, żeby pierwotnego w nich ducha odżywić, a przynajmniej zapobiedz dalszemu upadkowi rozluźnionych obyczajów. Rzadko komu tak błogosławił Pan Bóg w tej pracy zaszczytnej, jak kardynałowi Janowi Dominici, zaliczonemu później w poczet Błogosławionych. Na dzieło przez niego przedsięwzięte wpłynęła nadewszystko św. Katarzyna Seneńska, a św. Rajmund przewodniczył i błogosławił czynom odnowiciela Zakonu Kaznodziejskiego. Przeszkód nie brakło wielkiemu dziełu: Signioria Wenecka wygnała Błogosławionego z obszarów zależnych od doży, rozprawy z krzewicielami odrodzonych nauk klasycznych we Florencyi odrywają jego umysł od głównej pracy, a uciążliwe trudy, ponoszone przez niego na usługach Grzegorza XII., którego został powiernikiem, krępowały jego swobodę w pracy nad własnym zakonem. Jednak świątobliwy zakonnik spełnił wzniosłe posłannictwo: dlatego jego żywot stanowi ważny przyczynek do dziejów i zwycięskich walk Kościoła w dobie bardzo opłakanej.

Ks. K. C.

Des Richard Loewenherz deutsche Gefangenschaft. Von *Carl Alois Kneller S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1893. (W 8-ce, str. IV, 128).

Nową zdobycz odkryli badacze na polu dziejów: kilka rękopisów średniowiecznych, które zdzierają szatę fantastycznych legend z postaci Ryszarda Lwie Serce. Sam ten król nie traci nic w nowem świetle: niemniej rycersko wygląda w opisach świeżo odkrytych, jak słynął w pieśniach i legendach minstrelów. Ale trzeźwi badacze nie upiększają dziejów Ryszarda wzmianką o jego wiernym giermku, który, według legendy, miał z lutnią obchodzić różne kraje, żeby znaleść miejsce pobytu swojego pana, trzymanego w niewoli przez Henryka VI. Nie wiernemu lutniście zawdzięcza teraz Ryszard powrót do Anglii, tylko

dyplomatycznym zabiegom duchowieństwa i szlachty angielskiej, której do rąk wpadł list Henryka VI. do Filipa Augusta o bezprawiu, dokonanem na Ryszardzie. Chociaż z dumą nowych źródeł użyli Niemcy do tego, żeby za chlubę narodowi poczytać, że Henryk VI. między jeńcami swoimi mógł wymienić króla angielskiego, jednak ich sumienna praca rzuca światło bardzo ujemne na Henryka VI. Prześladowca Ryszarda występuje w tym obrazie prawie jako pospolity *Raubritter*, zuchwalszy chyba od innych, bo nie zwykłego kupca schwycił w zasadzkę dla okupu, ale ograbił bezbronnego króla. Na widok takich zbrodniarzy, jacy w owych czasach rządzili narodami, pocieszyć może myśl, że całe społeczeństwo znacznie postąpiło już naprzód w zasadach i obyczajach chrześcijańskich.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Węgierskie śluby cywilne. — Walka przeciw socyalizmowi. — Mowa Wurmbranda. — Hr. de Mun o chrześcijańskim socyalizmie. — Katoliccy wyborcy we Włoszech. — Schyzmatycka propaganda między Słoweńcami. — Betleemska zbrodnia.

WĘGIERSKIE ŚLUBY CYWILNE.

Po roku walk i wszelkiego rodzaju bardzo smutnych agitacyj, w które wepchnął Węgry cały cykl rządowych projektów, zdążający do zupełnego przekształcenia istniejących dziś kościelnych stosunków; przystąpiło ministeryum Wekerlego, żadnemi protestami i względami nie zrażone, do wywiązywania się z poczynionych przez siebie obietnic. Przyczyna tak długiej zwłoki publiczną była tajemnicą; wiadomem było powszechnie, że cesarz żywi aż nadto usprawiedliwione obawy co do następstw podjętych reform, że w obawach tych utwierdzić go musiały memoryały przedłożone przez najwyższych dostojników węgierskiego Kościoła; przez czas pewien zdawało się nawet, że Wekerle, zrozpaczywszy o możności wykonania swego programu, poda się lada dzień do dymisyi. Tymczasem w ostatniej chwili przywiózł Wekerle do Pesztu zamiast dymisyi, pozwolenie cesarskie na parlamentarne traktowanie zapowiedzianych reform — a więc na pierwszem miejscu: fundamentalnej reformy istniejącego dziś prawa małżeńskiego, zaprowadzenia obo-

wiązkowych ślubów cywilnych. Nie tu miejsce wchodzić, jakiemi racyami zdołał prezes peszteńskiego ministeryum przełamać całoroczny opór cesarski; słabą też wydaje się nam pociecha, podsuwana przez niektóre katolickie organa, jakoby pozwolenie to w niczem jeszcze nie przesądzało kwestyi późniejszej sankcyi monarszej. Zapewne, cesarz odmawiając następnie sankcyi odnośnej parlamentarnej uchwale, byłby w najpełniejszem swem prawie, ale czy, i jak przypuścić można, że odmówi sankcyi ustawie tak ważnej, tak bardzo wstrząsającej całym narodem, kiedy po tak długim namyśle dozwala wprowadzić ją przed parlamentarne forum? — kto wóz z góry popchnie, to pewnie nie w tej myśli i nie dlatego, aby go później w pół drogi z wytężeniem wszystkich sił w pędzie powstrzymywać. Silniejszą i pewniejszą nadzieję można mieć w oporze Izby magnatów, która w znacznej swej większości reformom Wekerlego stanowczo jest przeciwna. Rządząca „liberalna“ partya wie o tem doskonale i z góry już próbuje rozmaitemi sztuczkami wpłynąć na opornych, zaśniedziałych magnatów. W tym celu pojawiły się w gazetach pogłoski to o zamianowaniu całej falangi liberalnie usposobionych „panów“, a choćby „półpanków“, akuratnie tylu, ilu potrzeba do przechylenia większości na tę stronę; to o odjęciu Izbie wyższej pewnych prerogatyw, ba! nawet o zupełnem jej zniesieniu. Groźby to ciężkiego kalibru; prawdopodobnie tylko sami ci, co najgłośniej i najbuńczuczniej z niemi występują, nie bardzo w spełnienie się ich wierzą.

Tymczasem peszteńscy liberali, szczęśliwi z chwilowo odniesionego zwycięstwa, podniecają sami siebie i na opinię wpływają ognistemi artykułami w prasie, mowami w klubach, manifestacyami na ulicy. Wekerlemu, wracającemu z Wiednia z cesarskiem zezwoleniem, zgotowano wspaniałą owacyę; o włos, a okrzykniętoby go zbawcą ojczyzny. Żydowsko-liberalne dzienniki zawodzą naturalnie pierwsze i najgłośniej hymn radości; zaręczają, że teraz dopiero, kiedy Węgry pozbędą się hamujących średniowiecznych więzów, otworzy się dla nich złota era pomyślności i rozwoju; powtarzają za rządowym *Nemzetem:* „Najważniejszy to krok, do którego przystępują Węgry od r. 1848,

równie ze względu na swe polityczne, jak i społeczne znaczenie". Skrajniejsze organy przyznają bez ceremonii, że śluby cywilne i wogóle cała reforma kościelna ma być w ich myśli tylko pierwszym etapem, za którym pójdzie zasadnicza zmiana dzisiejszego stosunku Cis- do Translitawii, gruntowna rewizya układu z 1867 r. A kler, a katolicy? Cicho dotąd i głucho z tej strony; po paru zebraniach, paru wiecach odbytych w lecie, zapanował grobowy spokój, jakby katolicy, zadowoleni, że ścisłą swą powinność odbyli, czekali z turecką obojętnością, co im *fatum* przyniesie. Dotąd wiadomem jest tylko, że kardynałowie Vassary i Schlauch przedłożyli cesarzowi obszerne memoryały, wyjaśniające fundamentalne zasady Kościoła, i konieczne stanowisko episkopatu w tej sprawie. Kardynał Schlauch ogłosił, z osobnego upoważnienia monarszego, wypracowany przez siebie memoryał; streszcza się on w następnym, ostrym, ale aż nazbyt usprawiedliwionym sądzie: „Z tego wszystkiego ostatecznie wynika, jak to najpoddaniej dowieść się starałem, że projekt do prawa o małżeństwie cywilnem sprzeciwia się sumieniu nietylko katolików, ale i wszystkich innych chrześcijan, nie odpowiada politycznym stosunkom naszego kraju, wprowadza chorobliwe pierwiastki w religijno-moralne życie ludu, a tem samem jest i dla państwa szkodliwym". Nie traćmy bądź co bądź nadziei, że za danem obecnie hasłem przez najwyższych kościelnych dostojników, pójdą i inni, pójdą w zgodnej a energicznej akcyi wszyscy, którym dobro Kościoła w Węgrzech, a tem samem i węgierskiej ojczyzny, leżeć winno i prawdziwie leży na sercu!

MOWA HR. WURMBRANDA

Rosnący i rozwijający się z dnia na dzień socyalizm, dał powód w ostatnich tygodniach na różnych punktach Europy, do ważnych i charakterystycznych wystąpień i oświadczeń, które i u nas przebrzmieć nie powinnyby bez echa, bo i dla nas mają nad wyraz praktyczne, aktualne zastosowanie. Świeżo mianowany ministrem handlu hr. Wurmbrand, wypowiedział na kilka dni przed ostatecznem usunięciem się ministeryum Taaffego, długą mowę, poruszającą wiele najaktualniejszych kwestyj społecznych, a tem może ciekawszą, że hr. Wurmbrand

uważa sam siebie za liberała czystej wody, do pewnego stopnia za przedstawiciela liberalnych zasad. „O kim, pytał mowca, powinniśmy na pierwszem miejscu pamiętać, myśląc o poprawie losu wszystkich w pocie czoła pracujących? Przedewszystkiem nie wolno nam z oka tracić ludu wiejskiego, który wogóle żyje o wiele nędzniej, i kontentuje się bez żadnego porównania lichszym zarobkiem od robotników fabrycznych. Jeśli mamy, a mamy obowiązek podnosić, pomagać, to potrzeby robotnika wiejskiego żywiej jeszcze przemawiają do serca ludzkiego, niż robotnika fabrycznego, a to może właśnie dlatego, że sam daleko mniej się na swą biedę może uskarżać; że przytem nie chce wszystkiego niszczyć, burzyć, świat do góry nogami przewracać... Praca wieśniaka ciągnie się nieprzerwanie od wieków i wieków; przypatrzcie się tylko jego życiu, przypatrzcie się, dajmy na to, życiu drwala w Styryi, i wogóle w górach... Co się dzieje z żoną, z dziećmi takiego drwala, kiedy mu spadające drzewo złamie nogę, kiedy wskutek tego nieszczęścia, nie mogąc mieć na swe usługi rozumnego lekarza, zostaje kaleką, lub umiera? Wiecie, co się dzieje? Tu dopiero pokazuje się poczciwe, miłosierne serce naszego chłopa. Wdowa idzie w najbliższą niedzielę z pięciorgiem dzieci do kościoła, a kiedy z kościoła wraca, nie ma przy sobie ani jednego. Wszyscy bogatsi, lepiej się mający wieśniacy, wieśniaczki, są chrzestnymi rodzicami takich biednych dzieci; biorą je też natychmiast do swego domu i obchodzą się z niemi jak z własnemi dziećmi. To jest, moi panowie, socyalizm stojący na chrześcijańskiej wyżynie; socyalizm prawdziwie podziwu godny. I wolnoż nam chrześcijański ten socyalizm, po wsiach naszych panujący, zamieniać za ów drugi, do którego forytowane przez rząd powszechne głosowanie, ma nas poprowadzić szeroką ścieżką?“

MOWA HR. DE MUN. Podobne ostrzeżenia, odnoszące się do propagandy socyalizmu między ludem wiejskim, z większą jeszcze siłą — bo też we Francyi większe i groźniejsze niebezpieczeństwo — rzucił hr. de Mun, w mowie wypowiedzianej w Landerneau w Bretanii, do stowarzyszenia „Katolickiej młodzieży“:

„Ostatnie wybory wyprowadziły na światło dzienne przerażający wzrost socyalizmu: czterdziestu socyalistów weszło do parlamentu... Ludzie to wiedzący czego chcą, obdarzeni talentem i śmiałością w przezwyciężaniu wszelkich przeszkód, której w podobnej mierze bardzo życzyłbym katolikom. Ten tryumf socyalizmu jest głównym, najbardziej zwracającym na siebie uwagę wypadkiem w ostatnich wyborach. Powiadam wam: ślepymi nam być nie wolno. Złe dzień w dzień robi postępy; najwyższy już czas silnie przeciw niemu, i to na całej linii, do walki wystąpić. W gruncie rzeczy dwie tylko dziś istnieją nauki, dobijające się o duszę ludu; dwa tylko programy: socyalistyczny i nasz chrześcijański.

„Jak mamy się zorganizować? W odpowiedzi wystarczy przypatrzyć się stronnictwu robotniczemu, dającemu nam wyborny przykład...

„Dziś już wcale nie wyłącznie w miastach szerzy socyalizm spustoszenie... Dawniej wystarczyło w czasie wyborów ukazać wieśniakowi czerwone widmo socyalizmu, aby głos jego otrzymać. Dzisiaj wieśniak zaczyna chętnie przysłuchiwać się tym, którzy mówią mu o jego biedzie i obiecują mu lepszą przyszłość...; najlepszym na to dowodem, że trzech socyalistycznych posłów wyszło z urny w czysto wiejskich okręgach. Po cóż więc zwodzić się, że na wsi niema gruntu dla socyalistycznej agitacyi, kiedy to nieprawda, kiedy jak tu, tak tam grunt równie dobrze przygotowany. Socyaliści wiedzą o tem doskonale, i dlatego na ostatnim paryskim kongresie... postanowili rozpocząć czynną propagandę na wsi, uchwalili rozpocząć zdobywczą kampanię od Bretanii, uważanej dotąd, nie bez słuszności, za kraj, do którego socyalistyczne idee przedrzeć się nie zdołały... Trudna rada — socyalizm to niebezpieczeństwo niemałe, a co się mnie przynajmniej tyczy, to wcale a wcale nie należę do tych, którzy sobie wyobrażają, że niebezpieczeństwo to da się usunąć lekceważącem wzruszeniem ramion.

„Niechaj katolicy dobrze to pamiętają: terenem, na którym walka się toczy, jest kwestya socyalna. Musimy na tym terenie stanąć, zjednoczyć na nim swe usiłowania, zorganizować ro-

snącą, dzięki Bogu, ligę naszą przeciw socyalizmowi. Kwestya socyalna jest znowu bez żadnej wątpliwości najściślej złączoną z kwestyą religijną. Socyalizm zakwitł i uczynił tak olbrzymie postępy dzięki prawu szkolnemu, które z duszy dziecięcej wyrywa wszelkie chrześcijańskie uczucie. Przeciwnicy nasi dobrze o tem wiedzą i nietrudno zrozumieć, dlaczego jeden z robotniczych organów wyśpiewywał niedawno temu pochwalne pienia na cześć tego prawa... To też większość przyszłego parlamentu nie utrudni z pewnością socyalizmowi drogi...; stronnictwo, rządzące Francyą od lat piętnastu, stronnictwo, które wyrzuciło Boga z praw i urządzeń państwowych, nie zamknie socyalizmowi bramy, bo mu ją właśnie naoścież otworzyło; wszak socyaliści to po prostu konsekwentni oportuniści. I konserwatywni monarchiści rzeki tej w pędzie nie powstrzymają... Jedyni, którzy o to przynajmniej się pokusili, są ci, co weszli na drogę przez Rzym wskazaną.

...„W innych krajach zajmują się katolicy od dawna wszystkiemi temi pytaniami, zajmują się niemi czynnie i księża i wierni. We Francyi duchowieństwo nasze bierze, niestety! niedość odpowiedni udział w walce socyalnej... Prawda, czasy są ciężkie, trudności wiele. Prawa szkolne, piętnastoletnie usiłowania rządzącej partyi, dążące do wykopania przepaści między klerem a ludem, nie przeszły bez śladów i doprowadziły do tego, że lud przyzwyczaił się nie kochać i nie wierzyć tym, których powołaniem jest pouczać go i bronić. Zamyka się księdza w zakrystyi, ogranicza wykonywanie jego urzędu w najciaśniejszych szrankach, stawia go się w niemożebności zajmowania się ludem, a potem zwróciwszy się do robotnika w mieście i na wsi, mówi mu się: ‚Popatrzcie-no się na waszych księży, jaką z nich macie korzyść? Do niczego nie przykładają ręki, coby wam mogło wyjść na dobre'.

„Raz jeszcze zaklinam was: zorganizujmy się, zgódźmy się na jasny socyalny program, rozszerzajmy go! Tu w Bretanii macie jeszcze znaczny wpływ. Macie duchowieństwo gorliwe, do ofiar gotowe. Korzystajcie z tej wielkiej potęgi; idźcie do ludu, przemawiajcie mu do serca, ożywiajcie w nim wiarę. Macie

energicznych, młodych mowców; urządzajcie konferencye, lud słuchać was będzie... Bo i jakże mielibyśmy ufność stracić? Czyż nie mamy naszego kodeksu socyalnego, czyż nie mamy wspaniałej encykliki o dzisiejszem położeniu robotników. Ale czy kodeks ten dobrze nam znany?... Socyaliści lepiej go od nas znają. Na wszystkich zorganizowanych przez siebie zgromadzeniach, kongresach, mówią o nim, cytują całe ustępy, to zgadzając się z niemi, to polemizując. Nieraz już zdarzało się, że zgromadzenia ludowe oklaskiwały imię Leona XIII., jako imię Papieża, który stanął w pierwszym szeregu szermierzy demokracyi.

„Droga wskazana, tylko nią naprzód postępować. Słuchajmy słów papieskich, studyujmy je, starajmy się w nie zagłębić. W ten sposób staniemy do walki uzbrojeni... Kiedy wzrok wstecz zwracam i porównywam teraźniejszość z przeszłością, radość serce mi napełnia. Stowarzyszenia „Katolickiej młodzieży", takie jak to wasze, po całej dziś Francyi rozszerzone; wszędzie, we wszystkich zawodach, w armii, podnoszą się młodzieńcy i wiarę swą głośno wyznają... A zatem ufności i odwagi!..."

KATOLICCY WYBORCY WE WŁOSZECH.

We Włoszech rośnie socyalizm szybciej może jeszcze niż we Francyi, w każdym razie szybciej niż w Austryi; zwłaszcza w Sycylii, gdzie co prawda, sama nędza robotników najskuteczniejszym jest agitatorem, szeregi socyalistyczne są bardzo liczne, a co ważniejsza, wybornie zorganizowane. Z drugiej strony, republikanizm — jak świeżo niezbicie dowiódł hr. Robert Corniani w gruntownym artykule ogłoszonym we florenckiej *Rassegna Nazionale* — zyskuje z dniem każdym na sile, rozszerza się wcale nie wyłącznie między skrajnemi żywiołami, ale i między dobrze myślącemi, którzy gotowi chwycić się każdego, rozpaczliwego nawet środka, byle wybrnąć z dzisiejszego nieznośnego położenia, pchającego kraj do coraz większej ekonomicznej i moralnej nędzy. A kto ma o usunięcie tej nędzy się starać; kto stawić tamę republikańsko-socyalistycznej fali? W parlamencie nie istnieje na seryo i prawdziwie konserwatywne stronnictwo, które i chciałoby i mogłoby zastosować skuteczne lekarstwa; uformować się w danych stosunkach nie

może, dopóki katolicy systematycznie od wyborów się wstrzymują. W tem tkwi głównie tragiczność sytuacyi, tragiczność sprowadzona sekciarską zaciekłością dawniejszego zwłaszcza, ale w części i dzisiejszego rządu włoskiego; szeregi w bój przeciw Kościołowi wyprowadzone, taktyka przeciw niemu użyta, zwraca się teraz dziejową Nemezis, przeciw państwu, przeciw monarchii, ci zaś, którzy jedni porządku społecznego skutecznie bronićby mogli, przez samoż państwo są rozbrojeni i do walki wystąpić nie mogą.

Rozumieją to, do pewnego przynajmniej stopnia, wszystkie konserwatywniejsze żywioły i dlatego łączą się z katolikami przy administracyjnych wyborach, a w sekrecie niczego bardziej nie pragną, jak aby złączyć się mogły i przy politycznych; rozumieją ich przeciwnicy — mniejsza o to, z lewego, radykalnego, czy z prawego, liberalnego skrzydła — a sama myśl o możności czynnego wystąpienia katolików na politycznej arenie, przejmuje ich bladym strachem. Panicznemu temu strachowi dał wyraz nie kto inny, tylko sam prezes ministeryum włoskiego, Giolitti, w rozgłośnej mowie, wypowiedzianej na wyprawionym dla siebie przez swych stronników bankiecie w Dronero. „Kto wie co nas czeka, przestrzegał Giolitti, kto wie, czy nie doczekamy się jeszcze jawnego sojuszu konserwatywnego skrzydła konstytucyjnych naszych stronnictw z partyą klerykalną. Bądźmy gotowi, łączmy się, trzymajmy się razem, bo jedynie silnie i wszyscy razem zjednoczeni, możemy mieć nadzieję zwycięskiego odparcia groźnej tej koalicyi“. Wprawdzie koalicya taka, gdyby istotnie przyjść mogła do skutku, byłaby ocaleniem dla monarchii, dla Włoch; ale w oczach Giolitti'ego, drugorzędne to interesa, wobec niebezpieczeństwa grożącego stronnictwu, któremu władzę zawdzięcza. Słusznie też pyta jedno z pism, krytykując tę mowę: „Któż zaprzeczy, że Giolitti w ofiarności, w poświęceniu dla swej partyi doszedł do ostatnich możliwych granic? Byle módz zawołać: Żyją i żyć będą liberali! nie waha się z wydaniem okrzyku: Niech ginie włoska monarchia, włoska jedność, niech w danym razie giną i Włochy!“

SCHYZMATYCKA PROPAGANDA MIĘDZY SŁOWEŃCAMI.

Schyzmatycka propaganda między Słoweńcami przynosić zaczyna smutne owoce. Liczba apostatów, którzy publicznie w Tryeście wyparli się wiary katolickiej i przyłączyli się do greckiej schyzmy, jest dotąd bardzo drobna; ale co daje niemało do myślenia, to liczny udział katolickich mieszkańców przy bolesnych tych uroczystościach, to niemal tryumfujący ton, z jakim pewna część słoweńskiej prasy o apostazyach tych opowiada. Radykalno-narodowe dzienniki, jak *Edinost, Slovanski Svet, Slovenski Narod, Il diritto Croato,* uspokajają i zaręczają swym czytelnikom, że niema się co bać i niema przeciw komu bronić wiary, tylko wszystkie siły wytężyć w obronie narodowości; ale same, kiedy najmniejsza sposobność się nadarzy, uderzają na Kościół, wyszydzają biskupów i księży, a opowiadają z zapałem o słowiańsko-prawosławnych obrzędach i instytucyach. Dobrze też i bardzo na czasie, że ważna uchwała katolickiego wiecu w Lublanie o założeniu ściśle katolickiego, popularnego pisma, przeszła w wykonanie; dzięki Bogu, że równie w Tryeście, jak zwłaszcza w Lublanie, znajduje się cały szereg wybitnych kapłanów, katolickich publicystów, którzy niebezpieczeństwa z oka nie spuszczają, śmiało, bez uwagi na żadne poboczne względy, do walki z niem stają.

BETLEEMSKA ZBRODNIA.

W Betleemie miała miejsce haniebna zbrodnia, o której wiadomość obiegła całą europejską prasę i którą żywo zajmuje się świat dyplomatyczny. Zbrodnię tę i bezpośrednie jej następstwa opisuje szczegółowo w liście umieszczonym w *Czasie,* znany dobrze i naszym czytelnikom z jerozolimskich swych korespondencyj, Bernardyn, O. Norbert Golichowski:

Jerozolima, 29 października.

Pod prawdziwie przygnębiającem wrażeniem kreślę list niniejszy. Na miejscu, gdzie Zbawiciel świata się narodził, w samem sanktuaryum, dnia 26 października koło godziny trzeciej po południu, Mikołaj Juricz, 25-letni Dalmatyniec, położył trupem brata naszego zakonnego, imieniem Liberata, i zranił śmiertelnie O. Rafała, kapłana-jubilata. Morderca jest rezerwistą austryackim, a od kilku miesięcy służył w rosyjskiem hospicyum jerozolimskiem i jako taki oprowadzał pielgrzymów

rosyjskich. W dniu powyżej podanym Mikołaj Juricz oprowadzał dwóch Rosyan po Betleemie i zaprowadził ich do groty Narodzenia Pańskiego. Kiedy zakonnicy nasi nadchodzili w procesyi do sanktuaryum, brat Liberat rzekł do nieznajomego sobie Mikołaja Juricza, aby się cofnął ze swoimi pielgrzymami. Pielgrzymi się cofnęli, ale Dalmatyniec, uzbrojony w karbacz (rewolwer), wcale o cofnięciu się nie myślał i stawił opór. Wówczas brat Liberat chciał go usunąć. Co się działo nie wiem, bo nie byłem świadkiem smutnej sceny. Dość powiedzieć, że brat Liberat padł na miejscu przeszyty kulą i w kilka minut ducha wyzionął, licząc 35 lat wieku. Ojciec Rafał, sędziwy kapłan, lat 75 przeszło liczący, który chciał wołać na pomoc innych zakonników, ugodzony został kulą w bok i w rękę i leży dziś w infirmeryi jerozolimskiego klasztoru. Żołnierz turecki, który stoi na straży przy miejscu Narodzenia Pańskiego, uciekł. Schwytano mordercę. Turcy pierwszą odbyli indagacyę.

Konsul rosyjski chciał odebrać mordercę z rąk tureckich (rzecz ta daje wiele do myślenia), lecz władza wojskowa turecka betleemska silnie się temu oparła. Po ściślejszem dochodzeniu pokazało się, że morderca jest poddanym austryackim. Konsul tutejszy, p. Karol Kwiatkowski, odebrał go z rąk władzy tureckiej, przeprowadził śledztwo i odeśle mordercę do Austryi.

Cały wypadek jest nader wymowny. Najprzód, jakim sposobem 25-letni rezerwista, Dalmatyniec, zna język rosyjski? Jakim sposobem Mikołaj Juricz, zaledwie wyszedł z wojska, przybył do Jerozolimy i stał się kawasem rosyjskiego hospicyum, czyli gospody rosyjsko-palestyńskiej? Jak to tłumaczyć, że młody człowiek, obcy w tych stronach, taką złością zapłonął przeciw zakonnikowi? Nie przesądzając faktów i dochodzeń sądowych, pozwolę sobie zrobić tę uwagę: Morderca musiał wejść w ścisłe stosunki z Rosyanami, od nich przejął nienawiść do zakonników św. Franciszka Serafickiego, obsługujących święte miejsca — z temi uczuciami wszedł do Betleemu i kiedy ujrzał, że zakonnik, jako zakrystyan, usuwa go od miejsca świętego, w chwili kiedy nadchodzi procesya, chwyta za rewolwer i zabija na miejcu zakrystyana, a drugiego zakonnika śmiertelnie rani. Co powiedzą na to Włochy, których dwaj poddani padli ofiarą zbrodni? Co powie Francya, protektorka zakonu św. Franciszka na Wschodzie? Co orzecze Austrya, której poddany, jako sługa Rosyi, znieważył sanktuaryum i tamże popełnił morderstwo na bezbronnych zakonnikach?

Ks. Jan Badeni.

Sfinks historyczny.

(Artykuł Włodz. Sołowiewa[1]).

Podajemy w tłumaczeniu artykuł Włodzimierza Sołowiewa, tego prawego syna Rosyi. Takie świadectwo oddane prawdzie jest nam Polakom, w tym czasie strasznego ucisku religijnego w Rosyi, tem potrzebniejsze, że inne, z polskich ust pochodzące, mimowoli, z jednej strony stają się denuncyacyami i wywołują nowe prześladowania, z drugiej, nie znajdują wiary w prasie zagranicznej. Europie pokazuje ten sfinks rzeczywiście „twarz niewieścią", ale nam równie rzeczywiście daje uczuć „pazury dzikiego zwierza".

I.

Z powodu dwudziestopięciolecia Petersburskiego Słowiańskiego Towarzystwa, pojawiło się w gazetach między innemi i wyjaśnienie „Idei słowiańskiej", napisane przez znanego profesora historyi, i czynnego członka tegoż Towarzystwa. Wraz z innymi słowianofilami, a także publicystami „zapobiegawczej prasy", szanowny profesor „istotę idei słowiańskiej" widzi w prawosławiu, które określa w następujący sposób: „prawosławie, jak je lud rosyjski pojmuje, to brak duchownego jedynowładztwa, zupełna tolerancya, połączona z poszanowaniem cudzej wiary. Takie prawosławie nie może dążyć do rozdziału, między oddzielnemi słowiańskiemi plemionami, lecz przeciwnie ułatwi ich zjednoczenie. Charakter naszego prawosławia oparty jest na zupełnem zharmonizowaniu się z innemi podstawami dziejów rosyjskich. Podstawy te, w sferze życia politycznego, przejawiają się jako społeczeństwo bez stanów — w sferze gospodarczej, gminorząd, a przedewszystkiem jako gminowładne posiadanie ziemi".

Forma co prawda tego określenia: „prawosławie to brak", nie może zaliczać się do wzorowych; związek pomiędzy tolerancyą wiary a wspólnością posiadania ziemi, zdaje się także cokolwiek naciągnięty; z pewnością lepiej było zupełnie zamilczeć o idei słowiańskiej, aniżeli ją wykładać tak, iżby zaraz zamiast niej podawać podstawy dziejów rosyjskich, tj. wszystkie inne narody słowiańskie uznawać jako nieosobowy i bezwzględny materyał dla rosyjskiej narodowości. Lecz odkładając wszystko na bok, w przytoczonej formule słowianofilskiej znaleść można jeden rys wyraźny, a mianowicie to, że odrębny i rzeczy-

[1] *Wiestnik Jewropy*, z czerwca 1893 r.

wisty charakter „prawosławia“, rozumianego nie w znaczeniu teologicznem, lecz jako źródło cywilizacyjno-historyczne, jest tolerancya i poszanowanie cudzej wiary. Że ten przymiot (bardzo ważny i doskonały, nawet niezawiśle od proponowanego związku z nim gminowładnego posiadania ziemi) „prawosławie“ istotnie posiada, to dawno już wiemy od poprzedników dzisiejszych słowianofilów. Wiele barwnie napisanych stronic w IV. tomie dzieł Aksakowa poświęcono rozwinięciu zasady, że prawosławia nie można sobie nawet wyobrazić bez wolności religijnej. Do tegoż wniosku nieuchronnie prowadzi i Samaryn, wykazujący, że w prawosławiu nie istnieje żadne zewnętrzne kryteryum prawdy.

A więc widocznie my mamy ogromną wyższość wobec innych narodów europejskich: one przez długi i trudny proces dziejowy dorabiały się zasady tolerancyi religijnej, a my ją mamy bez pracy, na mocy jedynie tego, że należymy do wschodniej części chrześcijańskiego świata. Lecz gdybyśmy się chcieli uradować tą swoją wyższością, to w przytoczonych nawet słowach słowianofilskiego mowcy mimowiedna znajduje się wskazówka, że to radość przedwczesna. „Takie prawosławie“, mówi on. A więc jest i nie takie? Jakież więc? Odpowiedzą nam na to inni patryoci, równie gorliwi obrońcy „prawosławia“, widzący w niem także istotę jeżeli nie idei słowiańskiej, to przynajmniej rosyjskiej, i powołujący się również na przekonanie rosyjskiego ludu. W imię tego wszystkiego, patryoci *Moskowskich wiedomostiej* proponują naprzykład następny sposób wpływania na ludność nieprawosławną: „Polacy katolicy na całej przestrzeni dziewięciu gubernij zachodnich powinni być poddani takiemu prawu, któreby ich zmuszało wychodzić z kraju. W tym celu, powinno przedewszystkiem być wzbronione (i nieodzownie ten zakaz egzekwowany) ludziom wyznawającym wiarę nieprawosławną, nietylko nabywać lecz i dzierżawić w kraju ziemię, a także zarządzać majątkami“.

Tu widocznie jest już mowa nie o owem „prawosławiu“, które (wedle słów profesora Bestużewa Rjumina) na mocy posiadanej przez się tolerancyi religijnej „nietylko nie może dążyć do rozdziału między pojedyńczemi plemionami słowiańskiemi, lecz nawet ułatwi ich zjednoczenie“. Nasi patryoci niszczycięle także obstają za zjednoczeniem, lecz tylko w rozumieniu Tamerlonowskiem. Dla nich zjednoczenie, znaczy zniszczenie różnic, a zasada wyznaniowości służy im tylko jako chorągiew nienawiści i oręż zniszczenia. Ten sposób podawany przez nich przeciw katolikom Polakom, proponowali i proponują przeciw Niemcom

protestantom, przeciw rosyjskim sztundystom i raskolnikom, przeciw Żydom, a w ostatnich czasach również przeciw Kałmukom i Burjatom buddystom, przeciw Tatarom mahometanom, wkońcu przeciw Ormianom. Jednem słowem, niema na całej olbrzymiej przestrzeni cesarstwa rosyjskiego takiej odrębności religijnej i narodowej, którąby nie podlegała wytępieniu, i to w imię tych samych szczytnych zasad naszej wiary i narodowości, na które powołują się mowcy Słowiańskiego Towarzystwa Dobroczynności.

II.

Tak więc, pod tem samem czcigodnem imieniem prawosławia, przedkładają nam dwie wprost sobie przeciwne zasady, które jednakowo i wyłącznie przywłaszczają sobie prawdziwy patryotyzm, najzupełniej zgodny z duchem rosyjskiego ludu, i przedkładają ludzie niezgodni ze sobą w zasadniczej kwestyi moralnej, a mianowicie: co dobre i co złe, co prawe i co niesprawiedliwie. „Zachodnicy“ i „Liberały“ mogą się złośliwie cieszyć, bo wyrzucający im brak patryotyzmu nasi „Wschodnicy“ i „Samobytnicy“ okazują się już nadzwyczajnie bogatymi: zamiast jednego patryotyzmu, mają ich dwa wprost sobie przeciwne: patryotyzm pojednawczy mowców Petersburskiego Towarzystwa Słowiańskiego, i patryotyzm tępicielski publicystów nowo-moskiewskich. Wszakże tak jedni jak drudzy za istotę narodowości rosyjskiej, a następnie i za źródło swego natchnionego patryotyzmu uznają „prawosławie“, które tym sposobem okazuje się jakimś dwulicowym Janusem, albo raczej sfinksem z twarzą niewieścią a pazurami dzikiego zwierza. Lecz sfinksy bywają wtedy tylko trwałe gdy są kamienne; życie zaś narodu, skoro dopiero dochodzi do niejakiej świadomości siebie, nie może pozostawać pod naciskiem wewnętrznej sprzeczności; i jeżeli rzeczywiście nasza zasada wyznaniowości, w swoich dziejowych objawach, zawiera owe dwa sprzeczne żywioły, które rozebrali między siebie z jednej strony ideolodzy słowianofilstwa, z drugiej patryoci tępiciele, — to dla naszej narodowej samowiedzy powstaje kwestya nagląca, od rozstrzygnięcia której na tę lub inną stronę zależy nasza przyszłość cywilizacyjno-dziejowa; mianowicie kwestya: co z tego dwojga rzeczywiste, a co przypadkowe; co powinno zniknąć, a co pozostać; czy pazury dzikiego zwierza, czy twarz niewieścia?

Jest tu jedna okoliczność, która dla pesymisty wydać się może potwarzą. Mimo zasadniczej sprzeczności dwóch naszych nacyonalizmów, ludzkiego i dziko-zwierzęcego, w praktyce różnica między niemi

jakoś zawsze się zaciera, i to zawsze na korzyść drugiego. Jak tylko jakaś sprawa ze sfery formuł i określeń abstrakcyjnych przechodzi w sferę konkretną, rzeczywistą, i gdy jakąbądź już sformułowaną kwestyę trzeba ostatecznie rozstrzygnąć, to w tejże chwili ludzka twarz naszej idei nacyonalnej poczyna blaknąć, płowieć; rysy jej zlewają się w coś niewyraźnego i mglistego i wkońcu znika twarz bez śladu, i z naszego sfinksa pozostają same tylko, wcale nie zagadkowe pazury dzikiego zwierza. Nie mówię tu bynajmniej o faktycznem zwycięstwie, przy rozstrzyganiu kwestyj praktycznych, patryotów gorszych nad lepszymi, — bo to mogłoby być przypadkowością czysto zewnętrzną: to pochłanianie postaci ludzkiej przez dziką zwierzęcość dokonywało się i dokonywa się tajemniczo w samych przedstawicielach słowiańskiej ideologii; oni sami świadomie lub bezwiednie wyrzekają się swojej idei, gdy idzie o istotne jej urzeczywistnienie, i wówczas stają po stronie swych przeciwników. Oprócz dwóch lub trzech słowianofilów najdawniejszych, którym nie nadarzyła się sposobność wyjść ze sfery abstrakcyjnej — między wszystkimi pozostałymi niema ani jednego, któryby śmiał albo umiał przeprowadzić swoje lepsze zasady do końca, a następnie zastosować je do rozwiązania wszystkich istotnych zagadnień rosyjskiego życia narodowego. Samaryn naprzykład, tak obszernie i dokładnie wykładający wolność duchową, do takiego stopnia powodował się ciasnym fanatyzmem wyznaniowym i nacyonalnym, że musiał wysłuchać dobrej nauczki od cesarza Mikołaja Pawłowicza, który mu przewybornie wyjaśnił zasadniczą różnicę między duchem chrześcijańskim a mahometańskim. Dostojewski, który ze wszystkich słowianofilów najdobitniej wykazał w swojej mowie, na cześć Puszkina, wszechludzki i uniwersalny charakter idei rosyjskiej, przy każdem konkretnem przedstawieniu kwestyi nacyonalnej, stawał się również wyrazicielem najelementarniejszego szowinizmu.

Tym sposobem, rzeczywiście nie znajdujemy w kole samych nawet ideologów nacyonalizmu, prawdziwych przedstawicieli tego żywiołu ludzkiego, pojednawczego idei rosyjskiej, przedstawianej w pismach i mowach uroczystych. Czyż stąd wypływa to pesymistyczne twierdzenie, że ludzka twarz naszego sfinksa jest wogóle tylko złudzeniem wyobraźni, a na prawdę istnieją same tylko łapy dzikiego zwierza i nic więcej? Rozwiązać to zagadnienie można jedynie na gruncie dziejowym, lecz uprzednio chciałbym grunt ten oczyścić z niektórych sofizmatów, któremi umyślnie lub nieumyślnie pewni autorowie wikłają istotę rzeczy.

III.

„Podstawą życia rozumnie-moralnego, jak pojedyńczego człowieka tak i całego narodu, powinno być chrześcijaństwo, podane nam w najczystszej formie prawosławia, które stworzyło Ruś świętą, ubezpieczając ją w czasie ciężkich prób, a zrosłego z rosyjskim ludem“. Na tem wyraźnem i stanowczem orzeczeniu obecnego Prezesa Towarzystwa Słowiańskiego oparci, wykażemy ów fałsz, którym nasi patryoci, obu odcieni, osłonić starają się antychrześcijańską a zarazem i antyprawosławną treść swych dążeń i zamiarów.

Chrześcijaństwo jako „podstawa życia rozumnie-moralnego“ staje przed człowiekiem (jak i przed całym narodem, wedle słusznej uwagi wspomnianego mowcy) z określonemi wymaganiami, mającemi dwa kresy: wyższy maksymalny kres, albo ideał absolutny, wyrażający się w wymaganiu: „bądźcie doskonali, jako ojciec wasz niebieski doskonały jest“; i kres niższy minimalny, łączący się z naturalną ludzką zasadą sprawiedliwości: „nie czyń drugim tego, co sobie nie życzysz“. Stopnie doskonałości rozliczne są i rozmaite, lecz prawo sprawiedliwości jedno i toż samo dla wszystkich i zawsze. Ideał absolutny istnieje dla nas nie inaczej, jak tylko w dążeniu do niego i w procesie osiągania go; lecz sprawiedliwość powinna być realną, urzeczywistnioną zasadą życia ludzkiego, bez której życie to nie może już mieć żadnej godności. Ideał chrześcijański, podnosząc nas nad łatwe wymagania sprawiedliwości, tem samem każe przypuszczać, że wymagania te są już przez nas urzeczywistnione. One stanowią *minimum* moralności, a życie lub działalność czy to pojedyńczego człowieka, czy całego narodu, gdy nie dosięga nawet do tego minimalnego poziomu, nie ma już wcale żadnej rozumnie-moralnej wartości — bo wówczas jest ono tylko produktem i wyrażeniem złych, dzikich, zwierzęcych instynktów, pomimo okrywania się jakąkolwiek maską.

Jedno z prostych i koniecznych zastosowań powszechnej zasady sprawiedliwości, jest obowiązek tolerancyi i poszanowania dla cudzej wiary i narodowości. Ten obowiązek zupełnie niezawisły od tego, jak my podmiotowo zapatrujemy się na treść wiary cudzej, na charakter obcej narodowości i jak cenimy wartość ich wewnętrzną; wymaga się poszanowania cudzego prawa, a nie cudzych przymiotów. Powinniśmy przyznawać innym wyznaniom i narodowościom, jakimkolwiek, prawo: istnienia, jawności i swobodnego rozwoju, i winniśmy to uznawać nie na zasadzie prywatnego naszego przekonania, ale na tej powszechnej

i formalnej zasadzie, że sami wymagamy bezwarunkowo od innych równegoż uznania naszej wiary i narodowości. To jest prosty i prawdziwy wniosek z powszechnej i przedmiotowej zasady sprawiedliwości, mianowicie: ponieważ my sami wcale nie życzymy sobie, aby gwałcono naszą wiarę i narodowość, więc nie powinniśmy pozwalać sobie tego i względem innych. Elementarna ta prawda, którą jak najdobitniej wypowiadali pierwsi apologeci chrześcijańscy i która była potem zagubiona w wiekach średnich a przywrócona z wielkim mozołem w czasach nowszych, poczęła się znowu zaciemniać w naszej epoce z powodu ślepych poruszeń namiętności i dziko-zwierzęcych instynktów. Pocieszającem tylko jest to, że niewiele jest ludzi zdziczałych, ośmielających się wprost ją odrzucać; więcej takich, co zachowując niejaką wstydliwość, używają różnych wybiegów i podstępów, aby nie odrzucając w teoryi zasady sprawiedliwości, sprowadzić ją do zera w zastosowaniu. Niektóre z tych wybiegów w pewnych sferach kursują powszechnie, i są jakby pewnikami kłamliwej patryotycznej argumentacyi. Odpowiedzieć na nie i wykryć ich grubo-sofistyczny charakter, będzie jak myślę na czasie.

IV.

Pierwszy taki wybieg, przy pomocy którego wstydliwi stronnicy gwałtu starają się uchylić od wymagań tolerancyi wyznaniowej[1], opiera się na grze słów. Ponieważ wolność religijną, czyli tolerancyę wiary, nazywają także wolnością sumienia, zatem to dozwala kwestyę przeinaczyć. Sumienie jest stanem wewnętrznym duszy, a wszystkie takie stany nie podlegają naciskowi zewnętrznemu; każdy ma prawo wierzyć i myśleć o wszystkiem jak chce, dopóki nie wyjawi myśli swych na zewnątrz. Wszakże powołujący się na ową wewnętrzną wolność ducha, doskonale wiedzą, że tu wcale nie chodzi o nią, lecz właśnie o swobodę objawów zewnętrznych, o wolność wyznawania i opowiadania swej wiary. Ponieważ my sami nie ograniczamy się wewnętrzną wolnością myślenia w głębi swej duszy co się nam podoba, ale chcemy także mówić i działać stosownie do tego, co uważamy za prawdę, to takąż samą, a nie inną zdaje się, wolność powinniśmy dopuszczać i dla innych.

Drugi, mniej gruby sofizmat zależy także na przeinaczeniu kwe-

[1] Dla krótkości mówić tylko będę o tolerancyi wiary, albowiem toż samo rozumowanie łatwo zastosować i do praw narodowości.

stvi, lecz z innej strony. Ukazują rozmaite kulty legalnie istniejące, i to legalne istnienie przypisują tolerancyi wyznaniowej, podając ją za prawdziwą wolność religijną. Lecz zewnętrzny kształt pewnego kultu, do którego należeć pozwolono jedynie na mocy faktycznej dziedziczności z rodziców na dzieci, a nie na mocy wolnego wyboru z własnego przekonania — taka zewnętrzna organizacya kultu nie jest jeszcze wiarą, a jej istnienie bezprzeszkodne jeszcze nie jest wolnością wiary lub wolnością religijną. Subjektem wiary jest przedewszystkiem osobistość żyjąca, a potem dopiero grupa lub organizacya socyalna, wolność zaś religijna jest to przedewszystkiem wolność dla każdego indywiduum ludzkiego, wyznawania i opowiadania tego, w co to indywiduum wierzy; to wolność nietylko organizacyi religijnej, lecz i przekonania, wolność dla każdej osobistości, aby mogła należeć lub nie należeć, wedle własnego wyboru, do tego lub innego z danych organizmów religijnych. Swojej religii my nie poczytujemy jedynie za fakt dziedziczności, lecz także i za przedmiot wiary żywej; my nie ograniczamy się wymaganiem, aby dzieci rodziców prawosławnych miały prawo być prawosławnemi, lecz jeszcze żądamy, żeby każdy człowiek urodzony pośród jakiegokolwiek wyznania, gdy z własnego swego przekonania uzna prawdę prawosławia, mógł bez przeszkody połączyć się z niem; a zatem sprawiedliwość wymaga i dla innych takiejże samej a nie innej wolności.

Lecz mówią po trzecie, poczucie legalności samozachowania narodowości obowiązuje nas, abyśmy zabezpieczali naszą jedność wiary, jako podstawę i sankcyę jedności i potęgi narodowej. Pominąwszy już to, że w tem rozumowaniu religia uważa się za narzędzie do celów postronnych, widzimy, że tu samowolnie i z góry się rozstrzyga kwestya kollizyi sprawiedliwości z egoizmem nacyonalnym, na korzyść tego ostatniego; nadto, w samem naznaczeniu takiej roli dla jedności wiary, jest i niedokładność historyczna i sprzeczność wewnętrzna. Różnica między częściami narodu niemieckiego, katolicką a protestancką, nie przeszkodziła Niemcom stać się wielkim narodem i potężnem państwem, a przymusowe stłumienie tej różnicy w Hiszpanii również nie przeszkodziło temu narodowi pozostać wielkim i potężnym; nawet i sam fakt różnicy nie zawsze daje się usunąć środkami przymusowemi, jak świadczą dzieje raskołu rosyjskiego. Lecz główna bezpodstawność tego trzeciego argumentu zawiera się w tem, że tu fakt zewnętrznej jedności wyznaniowej oddziela się od wewnętrznej treści samejże wiary. My wyznajemy prawosławie jako najczystszą formę chrześcijanizmu, lecz wiadomo, że chrześcijanizm ma ściśle określone przykazania, a do ich liczby

zewnętrzna walka z innowierstwem wcale nie należy, jak to dokładnie wykazywał cesarz Mikołaj Pawłowicz Samarynowi. Przykazania religii chrześcijańskiej, są to przykazania sprawiedliwości i ludzkości: takiej zaś religii i takich przykazań bronić środkami niesprawiedliwemi i nieludzkiemi, byłoby krzyczącą negacyą tychże przykazań. Jeżeli rzeczywiście zasadą naszej narodowej potęgi jest chrześcijanizm w najczystszej swej formie, to skutecznie podtrzymywać i wzmacniać ową potęgę można tylko odpowiedniemi do jej ducha środkami, tj. środkami zupełnie chrześcijańskiemi, a nie wprost przeciwnemi, które podkopują ową siłę wewnętrznie, daleko szkodliwiej od wszelkiego zewnętrznego odszczepieństwa. Nierozsądni gorliwcy, starający się o zabezpieczenie „prawosławia", wystawiają je sobie jako jakąś rzecz martwą, dla której jest zupełnie wszystko równo, jak i czem ją bronić, byle była całą.

Jeżeli przewożę powierzoną mi skrzynię kasową, to koniecznie na przypadek napadu rozbójników powinienem mieć w kieszeni nabity rewolwer. Lecz czy właściwe są podobneż środki ostrożności, gdy rzecz idzie nie o kasę, ale o „najczystszą formę chrześcijanizmu"? Wogóle chrześcijanizm, a osobliwie w najczystszej swej formie, jest przedewszystkiem pierwiastkiem duchowym, ożywiającym wewnętrznie ludzi w nim uczestniczących i powstrzymującym ich od wszelkich czynów gwałtu i ucisku względem kogokolwiek. Takiego „najczystszego chrześcijanizmu", któreby pozwalało na swoją obronę używać środków proponowanych naprzykład przez *Moskowskie wiedomosti*, niema i być nie może, a zatem tutaj chodzi nie o sprawę obrony „prawosławia", lecz o bronienie jakiejś fikcyi konwencyonalnej wspomnianej gazety, fikcyi wcale niepociągającej i nikomu niepotrzebnej.

Dalej obronę przymusową i rozkrzewianie prawdy religijnej wkładają na władze państwowe, jako ich obowiązek moralny. Obowiązek taki byłby możliwy tylko przy dwóch warunkach: po pierwsze, żeby obrońcy prawdy posiadali nieomylność w rozstrzyganiu tego, co wewnętrznie jest z prawdą zgodne lub niezgodne, co przeszkadza i co pomaga do jej rozwoju, albowiem bez takiego nieomylnego sądu, można mieć zamiast obrony — zburzenie, a zamiast rozwoju — zduszenie: a drugi warunek: żeby wogóle sama prawda broniona, wedle swej istoty pozwalała na sposób obrony przymusowej. Że zaś obu tych warunków w danym wypadku niema i być nie może, więc i ten mniemany obowiązek, obrony przymusowej, powinien być zaliczony do sofizmatów, wymyślonych dlatego, aby obejść wymagania tolerancyi religijnej.

W tym samym celu, bardzo pospolicie jest używany i inny wy-

bieg: tolerancya religijna miesza się z religijną obojętnością, z indyferentyzmem. Bez wątpienia, jeśli ja wierzę w prawdę, to nie mogę być obojętnym, kiedy ją ktoś odrzuca, lecz z tego nie wypada, że jestem obowiązany dusić go z tego powodu za gardło. Żarliwość o prawdę powinna być sprawiedliwą. Sposoby okazywania takiej żarliwości są znane: słowo przekonywające, wyznawanie i opowiadanie prawdy, jeśli potrzeba, poświęcenie własnego życia i męczeństwo. Gdzież tu jest miejsce dla gwałtu nad innymi? Przymus w miejsce przekonania wypływa nie z silnej wiary, lecz jest słabością umysłu, a niekiedy słabością samej wiary, albo nawet brakiem jej zupełnym. Za przykład jaskrawy tego ostatniego mogą służyć urzędnicy cesarstwa rzymskiego, którzy sami będąc skończonymi sceptykami w religii, mordowali chrześcijan w celu obrony religii państwowej.

I jak w owe czasy powody ogólnego prześladowania chrześcijan opierano między innemi na oskarżeniach o przestępstwa szczególne, tak i teraz, z powodu braku lepszych argumentów, zwykle nietolerancyę innowierców usprawiedliwiają wogóle ukazywaniem występnego charakteru pojedyńczych sekt. Na ten sofizmat już apologeci chrześcijańscy odpowiedzieli: jeżeli kto jest przekonany o przestępstwo, niech go karzą wedle prawa. „Niektóre sekty pobudzają do zbrodni, więc wszystkie sekty nie powinny być cierpiane"; taki wywód równie jest logiczny jak następujący: „niektóre osoby dopuszczają się przestępstw — *ergo*, wszyscy ludzie powinni być ukarani śmiercią".

Zakończamy ten spis sofizmatów przeciw tolerancyi religijnej, eszcze jednym, ostatnim, w którym duch antychrześcijański ujawnia się, jak wilk w owczej skórze. Zgadzają się, że każde przymuszanie w rzeczach religii jest niesprawiedliwe, wcale niepożądane, a nadto nie osiąga swego istotnego celu: przymusowo stać się prawdziwie wierzącym nikt nie może. Lecz powiadają: przymusowe zaprowadzanie prawosławia nie ma na celu tych pokoleń którym się aplikuje, lecz celem jego jest dobro pokoleń następnych, które będą mieć udział w prawdziwej wierze, już nie z przymusu, ale z natury, przez fakt urodzenia. W taki więc sposób jedne pokolenia muszą być biernem i bezosobowem narzędziem dla szczęścia innych. Taki pogląd być może, iż zgadza się z jakąś teoryą materyalistycznej ewolucyi, lecz z chrystyanizmem w żaden sposób nie da się pogodzić. Z punktu widzenia chrześcijańskiego, wszyscy ludzie i wszystkie pokolenia jednakowej są ceny, i jedne nie mogą służyć za bierne narzędzia na korzyść innych. Wogóle zaś teorya, która dla proponowanych dobrych celów pozwala używać środków

bezwarunkowo złych (a jest ona zarówno wrogą i charakterowi narodu ruskiego i duchowi Ewangelii), na Zachodzie nazywa się machiawelizmem, a na greckim Wschodzie bogo-mądrze-chytrem [1] rządzeniem.

Z wystawy w Chicago.

II.

Obok gmachu wystawy kobiecej, który opisywałem Wam w poprzednim liście, stoi — rzecz naturalna — Dom dzieci i zostaje wyłącznie pod opieką tegoż zarządu kobiet.

Wejdźmy do tego Domu dzieci. U drzwi wchodowych taki tłok, że ledwo krok za krokiem posuwasz się do wnętrza. Z górnych okien, ubranych w doniczki z kwiatami, dolatuje cię piękny chór cieniutkich, dziecinnych głosików, a we drzwiach wita cię burza wesołego śmiechu młodzianków lub oklasków otaczającego zgromadzenia.

Rozkład Domu dzieci podobny jest do pałacu kobiet, lecz nikt tu nie myślał o architekturze. Środkowa wielka sala sięga pod dach pierwszego piętra, ale w niej niema sztuk pięknych, aczkolwiek tam tylko o sztukach myślą, ale o... gimnastycznych. Stoją więc tam kozły rozmaitych wielkości i kształtów, leżą materace i inne przybory; pośrodku wiszą drabiny, drążki i tym podobne przyrządy do sztuk, do których wprawdzie nie trzeba artyzmu, lecz jak najwięcej zręczności. Więc gdy się dobierze grono zwinnych chłopaków i dziewcząt, to i dyrektor tego zakładu widocznie się ożywia... a śmiechu, a gwaru, a klaskania w dłonie!... i nie wiem czyja większa uciecha, czy tych broiszów na dole, czy też starszych, zebranych wokoło i na galeryi, patrzących na ich figle i psoty?... Przy dwóch oknach na dole tłoczą się tłumy szczególnie kobiet. Widzimy tam dwa pokoje przytułku sierot i opuszczonych dzieci; w jednym pokoju niemowlęta; troje najmniejszych, spowitych w pieluchy, wisi obok siebie w małych kolyseczkach pośrodku pokoju. Jedna kobieta może je wszystkie razem kołysać. W drugim pokoju są trochę większe dziecięta, które już same mogą się bawić. W jednym i drugim pokoju jest tego po ośmioro, a nianiek tylko po trzy. — Na piętrze wokoło głównej sali są cztery pokoje. W jednym jest ogródek freblowski: siedzą dziecięta i pod

[1] Богопремудрственно-коварнымъ домостроительствомъ.

dozorem nauczycielki układają z fasolek litery, liczby, i tak zabawką idzie nauka. W drugim pokoju dwadzieścia dziewcząteк, ubranych w białe sukienki i czepeczki, odbywa inną szkołę: domowych prac i zajęć. A więc naprzykład: cztery ich siada do stołu, cztery usługuje, obnosi półmiski, zmienia talerze, tam obok jedna z nich myje talerze, druga ociera. To znowu się role zmieniają: służące siadają do stołu, a te co siedziały, usługują. To zupełnie odpowiednie tutejszym stosunkom, gdzie bardzo często jednego dnia Maciek służy Jankowi, a nazajutrz już Janka Maciek do służby namawia. Nauczycielka dogląda porządku, uczy jak trzymać łyżkę, jak do ust zbliżać, jak krajać nożem, jak brać widelcem... ale ba! tylko teoretycznie, bo na talerzu niema nawet rysunku jakiego jadła. Na ten cel przecie zarząd mógłby coś wyznaczyć, a to biedactwo tylko wodę popija — tej to już im nie szczędzą... To znowu dziewczątka izbę zamiatają lub bieliznę dla lalek piorą, a to wszystko na komendę nauczycielki, w takt muzyki... co to jest?... Kiedyś, kiedyś tam na początkach wieków średnich tak samo mnich recytował pacierz lub śpiewał hymn, a grono ludzi pracujących powtarzało za nim modlitwę... a każda przerwa w pacierzu, każdy wybitny takt pieśni był komendą dla nich; razem w tej chwili dźwigali bryłę granitu; razem w tej chwili kładli na murach budowy cegłę lub kamień... było to w owych wiekach ciemnoty, na 1000 lat przed naszym świetnym XIX. wiekiem...

Idźmy dalej... Trudno się przedostać przez ten tłum ludzi, wpatrzonych z największą uwagą na grupę dzieci i kilka nauczycielek. Ani śmiechu, ani płaczu, ani wykrzyków dziecięcych, głośnych jak dzwoneczki; czasami twe uszy uderzy jakiś ton chropowaty... Nauczycielka wzięła jedno dziecię na kolana, pokazała jakiś obrazek i, pomału, z naciskiem, patrząc dziecku w oczy, wymówiła słowo. Dziecko patrzy na nią i pyta oczkami, czego ona żąda? Nauczycielka powtarza słowo raz trzeci, dziesiąty — tuli dziecko do siebie, całuje — i ono, tę matkę swoją po sercu, całuje, rączką po twarzy pieści, bo to rozumie, lecz nie rozumie jej żądań... to dziecko głuchonieme lub zagrożone tem kalectwem. I znowu, wykręcając usta, cedząc dźwięk po dźwięku, nauczycielka powtarza to słowo, rączkę dziecięcia przykłada do swej twarzy — ten niewinny hypnotyzm czasami pomaga... Po długiej, długiej męce, dziecko nareszcie wybełkoce coś podobnego do dźwięku mowy ludzkiej. Do siedmiu lat życia nie trzeba tracić nadziei, czasami dziecku rozwiąże się język, lecz najczęściej nie, i wtedy przechodzi ono do właściwej szkoły głuchoniemych. Tę początkową

szkołę, w której trzeba wymęczać nerwy i muszkuły twarzy i ust, trzeba płuca zrywać i to najczęściej... nadarmo; tę szkołę, która pożąda wysiłku, nawet świętej cierpliwości — tę szkołę powierzono tu kobiecie... bo któż nad kobietę ma więcej cierpliwości w stosunku z dzieckiem, kto lepiej to dwakroć niemowlę rozumieć i odczuć potrafi?

Jeszcze jest jedna szkoła w tym domu, lecz już dorostków: szkoła modelowania w glinie, a na dole jest wielka sala, w której co dnia pod wieczór, dla najstarszych dzieci, odbywają się odczyty z geografii, historyi, nauk naturalnych, a to wszystko ilustrowane mapami, fotografiami, manekinami i t. p. Sala zawsze przepełniona, ale nietylko dziećmi; w korytarzach bazar dziecinnych zabawek na korzyść funduszu stałego domu dzieci.

Z tego królestwa płci pięknej wypada nam teraz przejść do działu sztuk pięknych. Nazwa ta zdaje się wskazywać związek, podobieństwo; tymczasem tu tylko widzę różnice, i powiedziawszy tyle o pierwszej, jestem w zakłopotaniu, co mam mówić o drugiej. Otóż niemało już oglądałem wystaw sztuki w życiu, ale muszę powiedzieć, że tak słabej, jak tutejsza, jeszcze nie widziałem. Wiele rozmaitych przyczyn na to się złożyło. Przedewszystkiem ta ogromna przestrzeń i to oceanu, która oddziela Amerykę od Europy, a ta ostatnia jedynie mogła zapełnić sale pałacu sztuki. Powtóre to, iż dyrekcya wystawy niewielu artystom ubezpieczała ich własność. Z tej przyczyny spotykamy na obecnej wystawie dziwne zjawisko, któregośmy na żadnej poprzednio nie widzieli, a które zwraca uwagę każdego, kto choćby tylko pobieżnie zechciał przepatrzyć katalog. Na każdej stronicy widzimy całe szeregi obrazów z uwagą w nawiasie: „wypożyczone z takiej a takiej galeryi“, lub „własność tego a tego“. Artyści nie mieli odwagi wysyłać na niepewne swoich utworów, a w każdym razie narażać się na daleko większe koszta, niż przy każdej poprzedniej wystawie; krajowe więc komisye zapełniły przydzielone im sale obrazami, jakie miały pod ręką. Skutki tego okazały się bardzo ujemną stroną tej wystawy. To rzecz jawna, że ani instytucye, ani prywatni posiadacze dzieł sztuki nie dali tego, co było najpiękniejsze w ich zbiorach. Artyści, którzy mieli odwagę przysłać swe dzieła, nie przysłali również swoich arcydzieł. Stąd wynik ten, iż nowych rzeczy niezwykle mało, że tu i ówdzie spotykają się obrazy, że tak powiem, wydobyte ze składu, które pamiętam gdzieś tam z wystawy 1878 r. w Paryżu, których artysta jako rzeczy niepochlebnie ocenionych już nie ośmielał się wystawić w 1889 r., a które teraz znowu wypłynęły na jaw. Słowem, obecna wystawa ma-

larska nie jest wystawą w właściwem znaczeniu tego wyrazu. Począwszy od r. 1878, gdy wchodziłem rok po roku na salony Paryża, na wystawy w Monachium i Wiedniu, ostatecznie na wystawę 1889 r., widziałem każdym razem jakiś rozwój, jakiś nowy kierunek powszechny lub krajowy, gorszy lub lepszy, lecz nowy; notaty z każdej późniejszej wystawy były dalszym ciągiem notat z wystaw poprzednich, często bardzo krytyką lub wyjaśnieniem poprzednio zaledwie dojrzanych kierunków. Na każdej z tych wystaw wogóle, a w obrębie jej u każdego narodu, spotykałem jakiś utwór, który pozostawiał w duszy niezatarte wrażenie; słowem, na każdej z wymienionych wystaw musiałem pracować myślą, musiałem nowemi utworami zaznaczać nowe drogi lub stwierdzać znane mi dawniej. Obecna nie daje wcale ani materyału ani też bodźca do tego rodzaju pracy. Jeżeli odrzucimy rzeczy znane co najmniej od 1889 r., a nadto trzy sale *Loan collection,* dzieł obcych artystów, zakupionych przez Amerykanów, gdzie są niektóre przepyszne rzeczy mistrzów Europy — to zaprawdę nie wiem, o którym obrazie mógłbym powiedzieć: ten pozostanie mi na zawsze w pamięci. Boję się być posądzonym o stronniczość narodową, lecz mówię najszczerzej, iż między nowemi obrazami — po 1889 r. — widzę tu tylko „Frynę“ Siemiradzkiego, która na pozostanie w pamięci zasługuje.

Przejdźmy po kolei wszystkie narodowości, wymieniając tylko najważniejsze utwory. Przegląd ten musimy zacząć od Anglików, a to dlatego, że u nich rozpoczął się nowy zwrot malarstwa, który w 1889 r. tak jawnie stanął, że nawet Francuzi, tak zazdrośni o swe pierwszeństwo w tej sztuce, przyznali, iż wielkie zapytanie, czy wiek XX. malarstwa nie będzie należał do Anglików.

Jakież są główne cechy tego nowego kierunku, tak jak one się przejawiły na wystawie 1889 r.? Anglik jest tego przekonania, że dzieło sztuki powinno być w zgodzie z rzeczywistością, lecz powinno odtwarzać stronę piękną rzeczywistości. Realny idealizm, oto pierwsza główna cecha tej nowej szkoły. Gdy w 1878 r. widziałem po raz pierwszy wystawę malarską Anglików, to w utworach spotykałem ckliwy sentymentalizm, przechwycone ruchy, koloryt cukierkowy i t. p. W ciągu dziesięciu lat nastąpiła zupełna zmiana, wszystko zbliżyło się, o ile można, do rzeczywistości. Drugą cechą tego kierunku jest to szlachetne traktowanie zadanego sobie tematu, a rozumiem przez to nietylko uniknięcie prostactwa w ruchach lub sytuacyach, lecz nadto głębsze ich psychologiczne pojęcie. Co Francuz lub Niemiec przedstawia głównie ruchami, to Anglik przedstawia wyrazem twarzy. Ważną cechą

jest tu delikatność wykonania. Wielu z pomiędzy naszych artystów maluje szczotką i miotłą, a zamiast farb używa błota. Już i w 1878 r. w malarstwie Anglików widziałeś wykończenie większe niż u innych narodów. Dziś, gdy dwie powyżej określone cechy ich malarstwa doszły wyższego stopnia rozwoju, to i delikatne wykończenie uległo dodatniej zmianie, przestało być niesmacznem wymuskaniem z 1878 r., lecz stało się wiernem odtworzeniem delikatności ciała lub materyi innego rodzaju. Tak jak w naturze widzę tę delikatność z daleka i z blizka, tak samo i na ich obrazach, a nie jak u artystów innych narodów, gdy z dala widzę nos i usta a z blizka coś w rodzaju ziemniaka i rozgniecionej wiśni. Podobnie jak u mistrzów XV. wieku, których prerafaeliści angielscy z upodobaniem studyują, twarz ludzka, wyraz oczu, jest u nich pierwszą i najgłówniejszą rzeczą w obrazie. Uwaga widza najpierw na to jest zwrócona, potem dopiero zdolna jest ona rozważać przedmioty otoczenia. U naszych artystów najczęściej pociąga najpierw nasz wzrok ugrupowanie plam na obrazie, ogólne oświetlenie sceny, lecz gdy zapytasz, kto są ci ludzie na obrazie, i zechcesz im w oczy zajrzeć, to najczęściej znajdziesz je za grubą powłoką cieniów, a nie jest rzeczą rzadką, że artysta wcale ci tych oczu nie pokaże, a nawet zamiast twarzy pozwoli ci zaledwo oglądać ucho i kark. Bywa to szczególnie wtedy, gdy w twarzy tej i oczach winno się było malować jakieś głębokie uczucie lub szczytny charakter postaci.

I cóż mi z tego, że podałem charakterystykę najnowszej szkoły malarstwa, kiedy nie mam czem poprzeć mojej teoryi. Jak po rozbiciu statku ukazuje się czasem na mętnych falach ta lub owa postać z załogi, tak samo na obecnej wystawie Anglików mam zaledwo Millais'a „Chłopczynę puszczającego bańki mydlane“ i Herkemera „Ekstazę“. A gdzie obrazy Sant James'a, gdzie portrety Millais'a i Herkemer'a, gdzie Fildes'a, Riviere'a, Clark'a, Faed'a, Orchardson'a obrazy rodzajowe? Niema — jakże tu mówić o szkole angielskiej. A w zamian za te arcydzieła mamy sporą liczbę śmiesznych lub dziwacznych okazów. Wydobyto z omszonego pudła „Żonę gracza“, melancholiczną humoreskę z 1878 r. Mamy kilkanaście obrazów, o których nawet nikt nie wspomniał w 1889 r. Dziś zdarzyło się im znowu na wierzch wypłynąć — zapewne po raz ostatni. Niech mi będzie wolno choć jeden obraz z wystawy obecnej opisać, który był jedną z pereł w 1889 r. i nosi tytuł: „Ekstaza“. Francuz lub Niemiec chcąc przedstawić kobietę w ekstazie, kazałby jej ręce rozkrzyżować a oczy podniósłby do góry co najmniej pod kątem 60 stopni. Herkemer zaś przedstawia tak: Jest to

portret w całej postaci znanej w towarzystwie londyńskiem pani. Siedzi ona w salonie wsłuchana w jakieś opowiadanie czy muzykę. Wzniesienie kibici, złożenie rąk na kolanach, są tak spokojne, że w pierwszej chwili nikt na to uwagi nie zwraca, bo najpierw pociąga uwagę widza wyraz oczu i twarzy, co o wszystkiem mówią. Rumieniec trochę przygasł, oddech zatamowany, zda się, że każdy nerw tego oblicza drga w ukryciu, a oczy, chociaż zwrócone wprost na widza, nie patrzą na niego, bo ledwo dojrzany zwrot głowy świadczy, iż w tamtą stronę zwróciła całą swą duszę. — Także i w portretach angielskich nie możesz oczu oderwać mianowicie od twarzy. Kto na wystawie 1889 r. mógł zapomnieć wrażenie, jakie na nim robiły portrety: Gladstona przez Millais'a, kardynała Manninga przez Onless'a i pani Cairus przez Bigland'a, który i na tej wystawie się znajduje? To są twarze, które ryją się w duszę widza z nieprzepartą siłą, właściwą twarzy ludzkiej naówczas, gdy, czy to ręką Stwórcy czy geniuszem artysty, jest ona podniesioną do potęgi ogólno-ludzkiego lub narodowego typu.

Na całej wystawie tegorocznej jedyny objaw nowy, jaki trzeba zaznaczyć, jest to rozwój akwareli w Anglii do takiego stopnia, na jakim ona nigdy i nigdzie nie była. Ktoby chciał utrzymywać, że farba wodna nie może siłą kolorytu dorównać olejnej, temu radzę obaczyć Haag'a „Nowicyuszkę Druidów", Heushalla „Swawolnicę, tarzającą się z kotkiem po dywanie", lub Langley'a „Nieszczęście" — wszystkie są tu na wystawie. Wraz z tem opuszczam wystawę Anglików, by szybkim krokiem przechodząc sale innych narodowości, wspomnieć przynajmniej po jednym obrazie z tych, które powstały po 1889 r., o ile mię pamięć nie zawiedzie, przyczem korzystam z nadarzonej sposobności, by powiedzieć, że katalog dzieł sztuki obecnej wystawy jest zrobiony niedbale i nie ma najmniejszej naukowej wartości, ani miejsca pobytu artysty ani żadnej daty dotyczącej jego lub jego dzieła — tylko tytuły w kilku często niezrozumiałych słowach.

Przejdźmy do Stanów Zjednoczonych. Oczywiście trzeba być wyrozumiałym i uszanować patryotyzm p. French'a, jednej z tutejszych powag, gdy on widzi w czemś zapowiedź tworzenia się odrębnej szkoły Stanów Zjednoczonych... Wystawa ich, jest to ogólnej wystawy jedyna część, która się nadaje do studyum naukowego, bo tylko ta część jest epizodem w dziejach postępu malarstwa, a właściwie mówiąc dowodzi ona, że w tych latach od 1889 r. nie było żadnego postępu w Stanach Zjednoczonych. Jak ongi tak i teraz, nie patrząc nawet do katalogu, mogłeś i możesz powiedzieć: ten obraz ma-

lowany w Paryżu, ten w Monachium, ten w Rzymie i t. p.: omylisz się tylko co do czasu i miejsca, ale nigdy pod względem genezy duchowej. Do dziś dnia w Stanach Zjednoczonych jest tylko naśladowanie, ale samoistnej twórczości niema. Najlepszym tego objawem jest to, że na obecnej wystawie znajdujesz w wielkiej liczbie obrazy malowane na wzór utworów angielskich najnowszej szkoły — lecz niestety! przyswoili sobie tylko technikę, ale strona duchowa tych obrazów najczęściej cierpi na pustkę. Inaczej być nie może i jeszcze długie lata nie będzie, bo na to, by się wyrobiła szkoła narodowa, trzeba, by ten naród istniał jako całość wyrobionych i stałych form, a tego niema szczególnie w obecnej epoce dwakroć i trzykroć zwiększonego ruchu immigracyjnego, który tu na miejscu przeistacza się na ruch falowania ku Wschodowi. Pokąd te fale nie będą zatrzymane przez Ocean Spokojny, potąd wytwarzanie się typu narodowego w jakimbądź objawie życia społecznego jest tylko mrzonką patryotyczną. Chicago w tym względzie jest typowem miastem. Ludności liczy przeszło półtora miliona. W tej liczbie co najmniej 300.000 wychodźców z Anglii, Szkocyi i Irlandyi, blizko 400.000 Niemców, przeszło 150.000 Polaków i tyluż Skandynawów, około 100.000 Czechów. Oto już mamy około 1,000.000 mieszkańców, których jedyną spójnią duchową jest tylko ta polityczna idea, że oni są obywatelami jednego i tegoż państwa, że stoją pod tąż biało-czerwoną gwiazdzistą chorągwią. Zresztą wszystko u nich różne: krew, mowa, tradycye, religia. Nadto są jeszcze mniej liczne narodki w Chicago: Włosi, Grecy, Chińczycy, Holendrzy i t. p. Iluż więc jest w Chicago urodzonych Amerykanów?... jak sobie przedstawić typ chicagowski... tak jak on się tworzy w naszej wyobraźni, gdy mówimy: mieszczanin Krakowa, procentowicz wiedeński, burżua lub robotnik paryski... Na to przecie, by się mogła wytworzyć szkoła narodowa sztuki twórczej, trzeba mieć najpierw wspólny typ i wspólność dziejów. O pierwszym mowy być nie może, a druga jest dopiero w robocie. Przecież czem innem jest wspomnienie walki o niepodległość w duszy mieszkańców Bostonu, Nowego Jorku, Waszyngtonu, których dziadowie brali w niej udział, a czem innem jest to wspomnienie dla ludności Stanów nad brzegami Pacyfiku. Stany Zjednoczone w swojej całości od Nowego Jorku do St. Francisco — niech mi tak wolno będzie powiedzieć — nie mają jeszcze swojej historyi wspólnej, jakże tu mówić o utworzeniu szkoły narodowej w jakimbądź kierunku życia duchowego?

M. Żmigrodzki.

Listy australskie polskiego emigranta.

(Ciąg dalszy).

Sydney, 25 grudnia 1885.

Trzy tygodnie mija, jak po sześciotygodniowej podróży przybyłem do Sydney. Zdaje się, żem dobrze zrobił wyjeżdżając z Europy; tam siedziałem pięć miesięcy w Marsylii bez chleba i bez możności zarobienia nań, tu już po tygodniu dostałem posadę na 130 funt. szterl. rocznie, a pewnie po paru miesiącach będę miał dwa razy tyle. Posadę mam od rządu przy królewskiej Komisyi konserwacyi wód; pracuję nad rysunkami, właściwie teraz nad ich wykończeniem i opisaniem, od 9-tej z rana do 1-szej, i od 2-giej do 4-tej po południu. Pozostaje mi aż nadto czasu, który staram się dla siebie użyć; potrzebuję się jeszcze po angielsku uczyć, bo brak tego mógłby mi się stać przeszkodą do prędkiego dojścia do zamierzonego celu; przytem część czasu poświęcam także na puszczanie w świat moich papierów.

Jest to papier preparowany chemicznie, który wystawiony na promienie słoneczne, staje się niebieskim, inny czarnym. Jest to prawie to samo co papier używany do fotografii, z tą różnicą tylko, że o wiele tańszy i że nie zawiera w sobie połączeń srebra i złota. Potrzebny jest wszystkim, co robią rysunki linearne lub plany i potrzebują mieć kilka jednakowych odbitek. Przerysowywać zabiera dużo czasu i roboty, drukować lub litografować kilku egzemplarzy nie opłaci się, a moim sposobem robi się to prędko i tanio, pozwalając mi przytem ogromnie zarobić, jeśli odbyt wielki... Papierów jeszcze nie sprzedaję jako takie, ale przyjmuję roboty do wykonania. I tak, mam teraz zmierzyć kawał terenu, podzielić go na parcele, zrobić plan i kilka z niego kopij. Zarobię przytem na czysto 1 f.; roboty będzie niewiele. Nie chcę drogo wziąć, bo to dla takiego, co mi reklamę robi.

W Sydney dużo jest Polaków, ładne stanowiska zajmują i powszechnie są lubiani...

My mieszkamy u d-ra S.; dawny to mój znajomy, były lekarz hr. Ksawerego Branickiego. Przyjechał tu przed pięciu miesiącami i już zarobił przeciętnie po 3 ff. dziennie, bo tu za wizytę lekarską płaci się gwineę; z czasem — nawet wkrótce będzie miał piękny majątek; żona jego w lutym tu z Paryża przyjeżdża.

Matulu droga, czyż to nie widoczne, że jest dobry Bóg nade

mną? Przyjeżdżam do Marsylii nieznany, pięć miesięcy żyję bez pieniędzy, cholera nie zabrała, wyjeżdżam do Australii... tu jestem od trzech tygodni, a od dwóch już mam posadę i to dobrą, rządową, na której jeśli zostanę, to emeryturę mieć będę. Zdaje się, że zostanę na posadzie rządowej, lecz nie na tej, którą dziś mam; postaram się o miejsce chemika (stała pensya 400—450 ff. rocznie), a prócz tego można i prywatnie pracować.

Sydney, 10 stycznia 1886.

...Idzie mi coraz lepiej, robotę stałą rządową mam, tej nie puszczam, a prócz tego i pobocznie zarabiam. Onegdaj zrobiono u mnie obstalunek bardzo duży: 50 rysunków architektonicznych mam skopiować w 5000 egzemplarzy. Propozycyę przyjąłem, nie wiem tylko, czy zdołam dostać na czas papiery z Marsylii. Jeśli wszystko pomyślnie pójdzie, to już na tem tylko koło 100 ff. zarobię. No — i drobniejsze przytem roboty nadpływać zaczynają.

W przyszłym miesiącu będę wysłany, zdaje mi się, 400 mil w głąb kraju na pomiary. Będą mi, prócz pensyi, dyety dzienne płacić. Rad jestem z tej projektowanej wycieczki, gdyż poznam kawał kraju, a znajomość ta z czasem stać mi się może niezbędną.

Sydney, 10 lutego 1886.

...Co ze mną się dzieje, wie już Matula z listu mojego pierwszego pisanego z Sydney. Pracuję dalej w Komisyi wodnej, uczę się języka, daję poznawać ludziom i kuję plany na przyszłość — a są bardzo różowe. Jeden z nich, i to nie daleki, zdaje się, dyrekcya fabryki z płacą 400—500 ff. rocznie, a toż początki; jutro podam się o nią. Zacząłem tu wczoraj nową pracę. Piszę popularną Chemię analityczną; przystępną ma być dla takiego nawet, co w życiu swojem wyrazu „chemia“ nie słyszał. Zamiarem moim jest dać możność każdemu zbadania „kwalitatywnego“ każdego znalezionego minerału bez pomocy chemika, używając tegoż dopiero wtedy, gdy *quantitas* oznaczyć trzeba. (Każdy oczywiście, co poznawszy książkę moją coś znajdzie, dalszą robotę mnie da do wykonania). Piszę po polsku, pan C.... przetłumaczy na angielskie. Mamy zamiar prosić prezesa naszej Komisyi, p. Lyne (członek parlamentu, były minister robót), o przyjęcie protekcyi i dedykacyi tego dziełka; jeżeli przyjmie, to powodzenie za-

pewnione. W projekcie mam wiele innych rzeczy, lecz o nich, jako projektach dopiero, zamilczę.

Papiery moje heliograficzne nie tęgo idą. Zamówienie, które byłem dostał, cofniętem zostało po dwutygodniowej robocie, wskutek zwinięcia interesów spółki, która obstalunek u mnie zrobiła.

Życie dla kawalera bardzo tu nieciekawe, a dla nas jeszcze mniej. Mieszkamy i żywimy się za 15 szylingów tygodniowo, by resztę zarobionych pieniędzy oszczędzić. Mamy jeden mały pokoik, a w nim niezbędne tylko meble. Pokarm nasz stanowi głównie baranina i herbata; zupy żadnej nigdy nie dają. Z rana kotlet barani, chleb, masło i herbata; w południe, że daleko mieszkamy od biura, zjadamy przyniesiony z sobą chleb i baraninę (M.... przychodzi do mnie i gotujemy na maszynce herbatę); a o $6^1/_2$ wieczór herbata i jeszcze zimna baranina, która tu bardzo tania (2—3 pensów funt). Byłoby to dobre może, gdyby przyrządzać umiano, ale niestety, dostajemy ją jednego dnia warzoną, drugiego smażoną i t. d., nigdy sosu żadnego, gdyż oprócz bardzo ostrego, tak zwanego *karrik*, innego robić tu nie umieją. Owoce i warzywa nadzwyczaj są tu drogie, a że należą do rujnujących wydatków, zatem je rzadko kiedy i to tylko w homeopatycznych dozach widzimy. Mieszkamy na jednem z przedmieść „Paddington"; w mieście prawie wszystkie domy zajęte są biurami. Co do religii, wolność całkowita panuje. Wyznań tu co najmniej 50 rozmaitych. Katolicyzm silnie reprezentowany, księży dużo, dwa klasztory Jezuitów, jeden Marystów, jeden Franciszkanów, do którego ma przybyć trzech Ojców Polaków, o cośmy starania robili. Karmelitki ładny kupiły sobie klasztor z gruntem za 14.000 ff. Prócz tego jest tu wszędzie dużo Misyonarzy i irlandzkich, katolickich księży; jest też arcybiskup.

Aj! Matulu droga, gdyby to nie tak daleko, jakbym ja Matulę i z czasem wszystkich tu swoich przyhołubił. Wziąłbym dom i gruntu parę morgów na spłatę, mieszkalibyśmy sobie jak u Pana Boga za piecem; cóż, nieszczęście chce, że to gdzieś za morzami, górami, lasami! — Australia jest, doprawdy, krajem, gdzie żyć i umierać, ale nie samemu, bo duszno, nudno, bezludno — i sam już nie wiem co!

14 lutego. Wczoraj, jako w trzynastą rocznicę ślubu p. C.... urządził on nam piknik do „Lenkow River". Piknikiem nazywają tu każdą wycieczkę poza miasto. Lenkow River wpływa do Port-Jakson i stanowi jednę z jego zatok; ciągnie się 12 mil angielskich w głąb kraju, nim się dojedzie do słodkiej wody. Wstaliśmy o 5-tej z rana, o 6-tej bowiem, według umowy, mieliśmy być wszyscy w komplecie u pp. C....,

skąd gromadnie, by nie tracić najpiękniejszej pory dnia, udaliśmy się do portu, gdzie zabrał nas statek płynący w głąb kraju. Po ośmiomilowej jeździe zamieniliśmy parowiec na łódkę do wiosłowania. Lecz, pomimo tych wszystkich przyjemności, głód uczuwać się nam dawał, trzeba było pomyśleć o śniadaniu; wysiedliśmy więc wszyscy na brzeg, gdzieśmy ugotowali herbatę. Po skończonem śniadaniu pojechaliśmy dalej. Trzygodzinne wiosłowanie doprowadziło nas do miejsca, gdzie się kończy przypływ wody słonej; tam dłużej odpoczywaliśmy, pokrzepiając siły obiadem, by módz równie żwawo wiosłować w powrotnej drodze. W domu byliśmy około 10-tej wieczorem.

Nie można sobie nic piękniejszego wyobrazić w tym rodzaju, to też wycieczka ta długo w pamięci nam zostanie. Jedzie się ciągle parowem między pionowo ściętemi skałami, których szczyty pokryte lasami odwiecznemi. Nigdy tam chyba noga ludzka nie postała! jedynymi mieszkańcami tej dzikiej okolicy są najróżnobarwniejsze ptaki, szybujące w powietrzu, i ogromne jaszczurki (niby krokodyle małe), przemykające się po skałach. Czas nam sprzyjał, nie było bowiem upału, któryby zepsuł większą część przyjemności tego tak miłego dnia.

Klimat tutejszy, pomimo że bardzo zdrowy, jest nadzwyczaj zmienny, i tak: 12-go lutego o wpół do pierwszej mieliśmy w cieniu 41° Cels., o godz. 4-tej prawie oddychać trudno było, o 9-tej wieczór jeszcze trzydzieści parę, a o 10-tej wieczór już tylko koło 20°, i w tej mierze, mniej więcej, utrzymał się termometr przez cały dzień wczorajszy. Dziś znowu goręcej, ale jest lekki wiaterek chłodny, co upał nieco temperuje.

Sydney, 15 kwietnia 1886.

...U mnie tu zmiany dość znaczne zaszły; wyprowadziłem się od pana S.... i nająłem, sam dla siebie, domek na przedmieściu sydneyskiem „Newton". U pana S.... płaciłem 1 f. tygodniowo, a i teraz nie więcej mię życie kosztuje. Domek mam maleńki o trzech pokoikach i kuchni, z miniaturowym ogródkiem od wejścia i dziedzińcem. Kupiłem sobie mebli za 6 ff.: stół okrągły, szafkę, 4 krzesła wyplatane, obrus na stół, lampę, świecznik, łóżko (strasznie małe, a jeszcze bardziej niewygodne), miednicę, trochę talerzy, szczotkę do zamiatania i do butów. Ot i wszystko!

Jestem do tej pory w Komisyi wodnej, szukam jednak lepszej posady, którąby mi stratę papierów heliograficznych wynagrodziła. Po-

kładałem w nich znaczne nadzieje, lecz odbytu nie mają, wskutek tego, iż są stosunkowo za drogie, a ja ich w cenie obniżyć więcej nie mogę.

Do I... napiszę od siebie, w razie jednak gdyby mój list go nie doszedł, proszę mu powiedzieć, że jeśli przyjechać się zdecyduje, niech mi o tem doniesie, a ja mu pieniądze na drogę postaram się wysłać, jakoteż na przyjazd jego wszystko tu przygotuję, by mógł zaraz pracę rozpocząć. Gwarantuję mu, że co najmniej 10 szylingów dziennie zarobi, to czyni 3 ff. tygodniowo, a że za 1 f. dobrze żyć tu może, zatem 2 ff. tygodniowo oszczędzi; zresztą razem będziemy mieszkali.

Jestem tu od czterech miesięcy i widzę, jak i co tu zrobić można. Prosty robotnik dostaje 8 szylingów dziennie, lub 6 szylingów i wikt, słudze płacą 16 szyl. tygodniowo i oczywiście utrzymanie. Niech z tych cen zmiarkuje, co on będzie mógł zarobić.

Na Wielkanoc pojadę, zdaje mi się, kilkadziesiąt mil w głąb kraju w roli eksperta do zbadania pokładów naturalnego cementu, który tam znaleziono. Pan C.... w interesie Komisyi pojedzie także, ale dalej, bo 400 mil w głąb. On zabawi około 6 tygodni, ja tylko dni kilka.

Sydney, 24 sierpnia 1886.

...U nas zima, tj. pora dżdżysta, ma się już ku końcowi; nigdy nie było mniej, niż 10—12° ciepła, lecz mieszkańcy tutejsi uważają to za zimno i palą ogień na kominkach. Dziwny kraj ta Australia, dziwni i jej ludzie! Pisałem podobno, że Sydney składa się: 1) z centrum miasta, w którem są biura, sklepy, poczty, urzędy; zamieszkałe ono jest i ludne od 8-mej z rana do 7-mej wieczór, a już o 9-tej opustoszałe; 2) z kilkunastu przedmieść, do których po godzinach biurowych wszystko dąży, bądź to tramwajami parowemi, kursującemi po każdej niemal większej ulicy, bądź omnibusami, konno lub też na welocypedach, bardzo tu używanych.

W centrum miasta budynki są ładne i okazałe, przedmieścia zaś składają się z samych jednopiętrowych, nawet i parterowych domków, z których każdy przez jednę tylko rodzinę zamieszkany bywa. Domki te, budowane bez najmniejszego stylu, nawet niepraktycznie, są prawie wszystkie brzydkie, a przez to, brzydkie również składające się z nich przedmieścia. Rzadko się widzi dom stojący oddzielnie, wszystkie niemal przytykają jeden do drugiego. Rozkład pokoi, z małemi wyjątkami ten sam. Każdy domek zawiera od 2—5 pokoi, z malutkim (parę łokci

kwadratowych mającym) ogródkiem przed, i z trochę większym podwórkiem za nim. Oszczędność taka w budowaniu pochodzi stąd, że cena ziemi w Sydney dochodzi do bajecznej wysokości; i tak: w centrum miasta jedna stopa frontu ulicy na 120 stóp głębokości (długości) płaci się od 500—2000 ff., stosownie do tego, czy ulica jest główną czy poboczną. Proszę porachować, co dom kosztować musi i jaki zań czynsz płacić trzeba. Na przedmieściach biorą rozmaicie, od 6 do 50, a nawet 100 ff. za stopę. Pochodzi to stąd, iż z początku, zatem lat temu 40, kilku spekulantów zakupiło ogromne obszary za bezcen, każąc sobie, w miarę wzrostu miasta, ogromne i coraz większe sumy płacić. Miasto w tych warunkach wzrastało, wzrasta i wzrastać będzie z powodu dobroci portu, który jest zarazem jednym z najpiękniejszych w świecie.

Jest tu pewien jegomość (mieszka zwykle w Anglii), który posiada gruntu za jakie 40,000.000 ff.; ten spodziewając się, że cena ziemi jeszcze bardziej wzrośnie, nie przedaje jej wcale, tylko wydzierżawia na 99 lat, biorąc ledwie o kilka szylingów mniej niż ci, co na wieczne czasy sprzedają. Nie tak się rzeczy mają poza obrębem Sydney. Tam, ziemia sprzedawaną bywa na akry, i tak: tuż koło Sydney od 50—100 ff., a trochę dalej (20—30 mil w głąb) od 1—10 ff. Ja zamierzam każdy zbywający grosz włożyć w ziemię, i gospodarstwo założyć, gdyż tu na niem miliony zrobić można, i to w krótkim czasie, choćby tylko na jajach, których tuzin płacą teraz 3 szylingi. Trudno pojąć, dlaczego w kraju z klimatem takim jak australski, tak one są drogie; oto dlatego, że tu ludzie są za leniwi na zajęcia drobiazgowe, a zarobek za łatwy z jednej, chociaż odpowiednio bieda z drugiej strony, brak zatem funduszów na założenie takiego gospodarstwa.

Klimat gorący, przytem nadzwyczaj zmienny, lato zbyt suche, a zima wilgotna bez silnych chłodów, sprawiają, że każdy, mieszkający tu przez pewien czas, leniwieje, staje się nerwowym, anemicznym i traci energię. Pijaństwo panuje tu takie, iż niepijący, już przez to samo że nie pije, jest nadzwyczaj porządnym człowiekiem, tj. za takiego jest uważany. Kobiety zarówno bardzo się temu nałogowi tutaj oddają. Robota i robotnik drogo się płacą, od 6—12 szylingów dziennie, pomimo, że życie wskutek taniości baraniny nie jest drogie. Ale cóż z tego, kiedy zebrawszy trochę grosza, tenże robotnik pracować przestaje i póty hula i pije, aż mu znowu nędza w oczy zajrzy.

Kraj nadzwyczaj jest bogaty w minerały. Co tydzień prawie odkrywają nowe kopalnie: srebra, złota, miedzi i t. d. Obfite lub nie,

nic to nie wadzi, natychmiast kilka tysięcy ludzi rusza, w chęci łatwego a prędkiego wzbogacenia się. Cóż tu jeszcze dodać, by określić przyczynę drogości jaj, drobiu i nabiału? zdaje się nic, prócz tego, iż do takiego gospodarstwa trzeba także kobiety wytrwałej, zapobiegliwej, porządnej, do pomocy człowiekowi z pewnym kapitalikiem, a tu takich niema, a jeśli są (być muszą), to ich bardzo mało.

Ludność tutejsza dzieli się:

1) Ludzie majętni: a) „Skwaterzy", co biorą po kilkadziesąt do kilkuset tysięcy akrów ziemi w dzierżawę od rządu i hodują owce, lecz ziemi nie uprawiają; b) bogaci kupcy.

2) Urzędnicy rządowi, chemicy, inżynierowie i t. d., którzy z małemi bardzo wyjątkami: „Maciek zarobił, Maciek zjadł".

3) „Selektorzy" kupują od rządu 1200 akrów ziemi na osobę, tę spłacić mają w ciągu 21 lat, biorąc ją w cenie od 1—2 ff. Każdy taki selektor musi przez pięć lat na gruncie swoim mieszkać. Hodują oni trochę owiec, i nieco ziemię uprawiają.

4) Robotnicy.

5) ...? Tych brakuje, a możnaby ich za najbogatszymi postawić, w krótkim przeciągu czasu. Byliby to właściciele takich gospodarstw wzorowych, z początku choćby małych, a któreby powiększyć z czasem można było. Taką fermę jabym chciał założyć, skoro pieniędzy nieco zbiorę, a potrzeba mi na to 300—500 ff.; w każdym razie ziemi kupię, bo ta w górę pójść musi, choćby za jakie lat dwadzieścia...

Ponieważ poczta, o czem nie wiedziałem, w tym tygodniu nie jak zwykle we czwartek, lecz w poniedziałek odeszła, pozostaje mi zatem dość czasu do zapełnienia reszty papieru.

Odłożyłem przed chwilą gazetę, w której wyczytałem epizod, jaki się z pewnością w żadnym europejskim parlamencie nie zdarzył:

Dwóch członków parlamentu, z których jeden minister robót publicznych i mój prezes (Komisyi wodnej), pobiło się pięściami. Takie wypadki często się tu spotykać dają, gdyż bójka, zwana *boxy*, zastępuje tu nasze pojedynki. Nieraz na ulicy nawet widać dwóch „gentlemanów" bijących się.

Sydney, 10 września 1886.

... Choć w krótkości, dla braku czasu, opiszę co się stało przed tygodniem:

Wyjechałem z Sydney w towarzystwie niejakiego Szultza w celu znalezienia sobie 1200 akrów ziemi; zabłądziliśmy w lesie (po tutej-

szemu *busz)* i trzy dni prawie tułaliśmy się po nim, lecz cało nareszcie do Sydney wrócili. Jutro znowu tam jadę, by ziemię dobrze obejrzeć i jeśli można, do kupna odmierzyć; chcę ją wziąć od rządu po 1 f. akr na 17 lat spłaty z warunkiem, że na gruncie przez lat pięć mieszkać będę. Nazywa się to „selekcya“, a jabym w takim razie został „selektorem“.

Grunt ten położony jest między dwoma kolejami w linii prostej 3—4 mil od stacyi, po drodze 7 mil (4 mile idą na naszą 7-wiorstową). Główny cel, dla którego chcę ten obszar wziąć, jest spekulacya, gdyż po kilku latach mógłbym tę ziemię odprzedać ze znacznym zyskiem. Chciałbym bardzo zamiar mój do skutku doprowadzić; czy mi się to uda, nie wiem jeszcze, bo mam fatalnie mało pieniędzy, a wydatki w początkach dość duże ponieść trzeba. Gdybym miał wspólnika, toby mi łatwiej było; onby mieszkał na wsi, a jabym zarabiał w mieście, lub przeciwnie, samemu zaś trudno mi będzie sobie poradzić. Od 1 października opuszczam Komisyę wodną, a jeśli gruntu nie wezmę, to będę szukał innego zajęcia...

Druk ukończony 30 listopada 1893 r.

SPIS RZECZY

Artykuły naukowe i literackie.

Stronnica.

W HUCULSKICH GÓRACH. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 1

LICHWA NA WSI W GALICYI. (Dokończenie). Przez *d-ra Leopolda Caro* 37

BUDDHYZM. Przez *ks. W. Zaborskiego T. J.* 58 184

BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORYI. (Dokończenie). Przez *d-ra K. Krotoskiego* 76

SZKOŁA POWIATOWA BAZYLIAŃSKA W WILNIE. Przez *Wołyniaka* 93

KSIĄDZ KAROL ANTONIEWICZ. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.*:

I. Wśród rodziny 161

II. Małżeńskie pożycie i powołanie zakonne . 350

Z DZIEJÓW MOŻNEJ RODZINY. Kartka historyczno-obyczajowa. Przez *Kajetana Kraszewskiego* 204 332

ZASŁUGA KOPERNIKA W FILOZOFII. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 221 373

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI. Urywki z pamiętnika. Przez *Jerzego Kraskowskiego:*

I. Więzienie. 241

II. Pochód na Sybir 394

WIECZÓR NAD LEMANEM. Przez *ks. Maryana Morawskiego T. J.* 313

Stronnica.

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

Z TEKI DZIENNIKARSKIEJ. Pogadanki literackie. Ludwik Dębicki. *(K. C.)*. 110

WINCENTY REKLEWSKI. Szkic literacki. Bronisław Gubrynowicz. *(L. M. Dziama)*. 112

SKARBIEC ODPUSTOWY, czyli zbiór modlitw odpustowych z odpowiedniemi uwagami, do codziennego użytku zastosował ks. Maryan Fulman, mag. św. Teologii. — DROGA KRZYŻOWA. — POBUDKA SERAFICKA. — MYŚLI ŚW. FRANCISZKA Z ASSYŻU 114

DZIEJE SŁOWIAŃSZCZYZNY PÓŁNOCNO-ZACHODNIEJ DO POŁOWY XIII. W. Przez W. Bogusławskiego. Tom II. (III). *(Rusin z Pokucia)* 259

WŚRÓD POLONII W AMERYCE. Skreślił dr. Emil Habdank Dunikowski, prof. uniw. lwow. *(X.)*. 263

DAWNE DZIEJE. Wspomnienia z lat ubiegłych. Przez Aleksandra Wybranowskiego. 265

Przewlb. ks. Leonarda Goffinego KSIĄŻKA DO OŚWIECENIA I ZBUDOWANIA DUSZY CHRZEŚCIJAŃSKO-KATOLICKIEJ, czyli krótki wykład Lekcyj i Ewangelij na wszystkie niedziele i święta i t. d. *(K. R.)* 266

ŻYWOT LEONA DUPONT. Przez ks. Janvier. Z franc. przerobiony przez *. *(Ks. A. Boc T. J.)* 270

NABOŻEŃSTWO WYNAGRADZAJĄCE I CZEŚĆ PRZENAJŚW. OBLICZA PAŃSKIEGO. Streszczone według „Nowego Daru Jezusa“ przez O. Honorata Kapucyna. Przez *. *(Ks. A. Boc T. J.)* . 271

O POWOŁANIU ZAKONNEM podług nauki świętych Kościoła Doktorów Tomasza i Alfonsa. Tłumaczył z oryginału angielskiego za zezwoleniem OO. Redemptorystów Roger hr. Łubieński *(Ks. K. C.)*. 272

NOWY TESTAMENT JEZUSA CHRYSTUSA. Tom I. zawierający cztery Ewangelie. *(Ks. M. Morawski T. J.)*. 273

WSPOMNIENIA O 3-CIM PUŁKU UŁANÓW WOJSKA POLSKIEGO. L. Szumski 274

WSPOMNIENIA Z POBYTU W GALICYI w r. 1863. Przez St. Jarmunda *(L.)*. 275

KRONIKA ŻAŁOBNA utraconej w granicach W. Ks. Poznańskiego ziemi polskiej. Powiat żniński. Opracował E. Callier. *(K. C.)*. 276

KRYNICA. W stuletnią rocznicę oddania tutejszych zdrojów na użytek publiczny. Skreślił Władysław Bełza *(K. C.)*. . . 276

JAN ŚNIADECKI NA POLU PEDAGOGICZNEM. Napisał dr. Aleksander Skórski, docent filozofii i ogólnej pedagogiki w Uniwersytecie Lwowskim. Zeszyt I. *(S. K.)* 413

HISTORYA FRANKA I FRANKISTÓW. Napisał Zygmunt Lucyan Sulima. *(B.)* 422

KRÓL BOLESŁAW ŚMIAŁY. Dramat historyczny w 5-ciu aktach. Wacław Woysym Antoniewicz. *(Dr. Ant. M. Kurpiel)* . . 424

JUBILEUSZOWE WYDANIE PISM KORNELA UJEJSKIEGO *(L. M. Dziama)*. 426

Stronnica.

Въ оборонѣ правды. Студія на часѣ черезъ Іер. Вас. Навроцкого (W obronie prawdy. Studyum na czasie przez ks. B. Nawrockiego). *(Pl.)* 427

Исторично-литературнй замѣтки до „Слова о Полку Игоревѣмъ". (Historyczno-literackie uwagi do „Słowa o Pułku Igora". W. Kocowskiego). Видчит Товариша Вол. Коцовского виголошений на перших загальнїх Зборах Наукового Товариства імени Шевченка 11 мая 1892 р. у Львові. *(X. H.)* . 431

Miesiąc Maryi wedle zapisków z konferencyj majowych ks. Goliana. Przez A. D. *(M.)* 432

Wykaz chorych Szpitala Braci Miłosierdzia w Krakowie za rok 1892, a zarazem Krótka historya Konwentu Braci Miłosierdzia w Krakowie i dawnej polsko-litewskiej prowincyi. *(Ks. H. P.)* 434

Pies, jego gatunki, rasy, wychów, utrzymanie, użytki, układanie, choroby i ich leczenie. Napisał Stanisław Rewieński. *(J. Nuckowski T. J.)* 435

Z piśmiennictwa zagranicznego:

Immortelle. Spjevao Stjepko Španić. — U zatišju. Spjevao Josip Milaković. *(Tytus Sopodźko)* 115

Pozdrav istarskog Hrvata. Spjevao Rikard Katalinić-Jeretov. *(Tytus Sopodźko)* 118

Directorium asceticum, in quo de viri spiritualis eruditione tutissima sanctorum Patrum documenta traduntur a R. P. Matthaeo Josepho Rousset O. Pr. 122

Z prasy prawosławno-rosyjskiej. *(A. Szarłowski)* 122

Le Comte Joseph de Maistre et sa famille. Par M. de Lescure *(M.)*. 277

Gedichte von Albert Zipper. Zweite durchgesehene u. vermehrte Auflage. *(M. K.)* 287

Der Monismus als Band zwischen Religion und Wissenschaft. Glaubensbekenntniss eines Naturforschers, vorgetragen am 9. October 1892 in Altenburg von Ernst Haeckel *(J. Nuckowski T. J.)*. 289

Philosophia moralis in usum scholarum, auctore Victore Cathrein S. J. *(Ks. Eugeniusz Hełczyński T. J.)* 436

Горски Вијенац. историјски догађај при свршетку XVII. вијека сочинио Петар Петровић Његуш. (Górski Wieniec. Obrazek historyczny z końca XVII. wieku. Skreślił Piotr Piotrowicz Niegusz). *(Tytus Sopodźko)*. 438

Izkustveno dušoslovje. Priredio Marijan Vukovič. (Psychologia doświadczalna. Opracował Maryan Wukowicz). *(Tytus Sopodźko)*. 444

Cardinal Johannes Dominici O. Pr. 1357—1419. Ein Reformatorenbild aus der Zeit des grossen Schisma. Gezeichnet von P. Augustin Roesler R. SS. C. *(Ks. K. C.)* 445

Des Richard Loewenherz deutsche Gefangenschaft. Von Carl Alois Kneller S. J. 445

Z pism czasowych:

Praca, pismo katolicko-socyalne. *(Ks. M. Morawski T. J.)* . . . 131

Stronnica.

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Encyklika papieska do biskupów węgierskich. — Prawa i burdy włoskie. — Francuskie wybory. — Wiec katolików niemieckich w Würzburgu. — Protesty duchowieństwa poznańskiego i galicyjskiego przeciw wichrzycielom. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 135

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków: Z fizyologii i psychologii wzroku: barwy i teorya Younga-Helmholtza; wyobrażenia przestrzenne a empiryzm i natywizm. — Czaszka Cannstattska i Neanderthalska a człowiek współczesny mamutowi. Przez *J. Nuckowskiego T. J.* 146

Listy australskie polskiego emigranta 154

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Encyklika o Różańcu. — Mowa Zanardellego. — Kongresy w Belgii, Anglii, Ameryce. — Zmniejszanie się liczby katolików w Niemczech. — Niesnaski między katolikami na Górnym Szląsku. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 292

Z wystawy w Chicago. I. Przez *M. Żmigrodzkiego* 303

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Węgierskie śluby cywilne. — Walka przeciw socyalizmowi. — Mowa Wurmbranda. — Hr. de Mun o chrześcijańskim socyalizmie. — Katoliccy wyborcy we Włoszech. — Schyzmatycka propaganda między Słoweńcami. — Betleemska zbrodnia. Przez *ks. Jana Badeniego T. J.* 447

Sfinks historyczny. (Artykuł Włodz. Sołowiewa) 457

Z wystawy w Chicago. II. Przez *M. Żmigrodzkiego* 466

Listy australskie polskiego emigranta. (Ciąg dalszy) . . . 473

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. Morawski T. J.